


MROCZNE RODZINNE TAJEMNICE
I NOSTALGICZNA SCENERIA BARCELONY



ZAMKNIĘTE
POKOJE

CARE SANTOS



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

CARE SANTOS

ZAMKNIĘTE POKOJE

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Karolina Jaszecka



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
Habitaciones Cerradas

Copyright © Care Santos, 2011
Copyright © Editorial Planeta, S.A., 2012
Translations rights arranged by Sandra Bruna Agencia Literaria, SL
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-189-1

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motta](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[XXI](#)

[XXII](#)

[XXIII](#)

[XXIV](#)

[XXV](#)

[XXVI](#)

[Spis postaci](#)

[Komentarz autorki i podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Dla moich dzieci, wnuków oraz prawnuków
moich dzieci, które nie będą wiedziały, kim byłam.*

Obiecuj jedno: kiedy umrzesz, ktoś mnie wezwie.
EMILY DICKINSON

Czas: jedyny temat.
YASMINA REZA

Nieobecna Teresa, 1936

Fresk, 300 x 197 cm

Obecnie niedostępny dla publiczności

Teresa Brusés była obsesją i – jak mówiono – wielką życiową tragedią malarza Amadea Laxa. Spośród trzydziestu siedmiu przedstawiających ją obrazów tylko jedna trzecia namalowana została w ciągu ośmiu lat ich małżeństwa. Najbardziej niezwykłym z nich, uważanym za najlepsze dzieło autora, był ten ogromny fresk wykonany podczas prac remontowych przeprowadzonych na wewnętrznym dziedzińcu jego rodzinnego domu i datowany na 1936 rok (prawdopodobnie z początku lata). użytą techniką był tak zwany fresk suchy, polegający na malowaniu rozcieńczonymi w wodzie farbami na warstwie zwilżonego wapna, zastosowany tu przez Laxa po raz pierwszy i co ciekawe, po raz ostatni. Obraz przedstawia modelkę od pasa w górę ze zwróconym w jedną stronę ciałem i twarzą prawie z profilu, patrzącą w jakiś punkt znajdujący się poza obrazem wzrokiem smutnym albo może zagubionym. Wszystko to podkreśla zastosowanie chromatycznej gamy kolorystycznej – przeważają kolory ciemne: odcienie niebieskiego, czerni, ochra, indygo... – oraz grubych, zdawałoby się niedbałych pociągnięć pędzla, którymi namalowano pewne elementy, takie jak włosy czy dłonie. To rzadkość w pracach artysty tak drobiazgowego i dbającego zawsze o kontury i czystość kreski, w tym wypadku świadcząca o niespotykanym w jego twórczości pokrewieństwie z ekspresjonistami. Oczywiście wielokrotnie opisywany styl tego obrazu większość specjalistów przypisuje krytycznemu momentowi, w jakim został stworzony. Lax namalował go bowiem tuż po tym, jak modelka porzuciła go dla innego mężczyzny. Niestety fresk nie jest dostępny dla publiczności, ponieważ znajduje się w dawnej rezydencji artysty, która od wielu lat czeka na realizację projektu mającego na celu stworzenie tam muzeum. Wymaga to zgody władz, między innymi rządu autonomicznego, któremu Lax zapisał w spadku swój dom i artystyczną spuściznę.

Klejnoty sztuki katalońskiej,

Wydawnictwo Pampalluga, Malgrat de Mar, 1987 r.

Od: Silvana Gentile
Data: 8 lutego 2010
Do: Violeta Lax
Temat: Ważna sprawa

Nie znamy się. Nazywam się Silvana i mieszkam wraz z rodziną w Nesso, małej miejscowości w pobliżu jeziora Como na północy Włoch. Piszę do Pani na prośbę mojej matki, która chciałaby wysłać do Pani list. Czy zechciałaby Pani podać nam swój adres do korespondencji?

W oczekiwaniu na Pani odpowiedź serdecznie pozdrawiam.

Silvana

Szanowna Pani Lax,

zapewne pomyśli Pani, że ten list przyszedł z zaświatów. Proszę mi wybaczyć, że nie przesyłam go Pani w ten diabelnie szybki sposób, jaki umożliwiają nam maszyny, ale jestem jedną z tych osób, które nadal uważają, że listy pisane odręcznie zawierają w sobie więcej niż tylko wiadomość. Czuje się w nich puls ręki, która je napisała, wilgoć towarzyszących temu łez i być może uzasadniające je drżenie wzruszenia. Prawdopodobnie pomyśli Pani, że pisze oto ktoś rozczarowany nowoczesnością, określany mianem człowieka staroświeckiego, i będzie miała Pani rację. Prawdopodobnie to miejsce, w którym się urodziłam i które rzadko opuszczałam, napętniło mnie błędnym przeświadczeniem, iż świat jest spokojny i łagodny. Szczerze powiedziawszy, w moim wieku wolę pozostać w tej iluzji. W ramach tego wstępu dodam jeszcze, że jestem Pani wdzięczna za wyrozumiałość. Jeśli w jakiś sposób może to zrekompensować udostępnienie swojego adresu obcej osobie, przyznam, że trudno byłoby mi cokolwiek Pani opowiedzieć, korzystając z brzydkiej plastikowej klawiatury.

Sprawa, w której do Pani piszę, może wydać się Pani początkowo zupełnie obca: kilka tygodni temu zmarła moja matka. Mam nadzieję, że będę miała okazję opowiedzieć Pani o niej i o tym, jak bardzo kochała to miejsce, do którego przyjechała jeszcze jako dziewczynka. Jej odejście pogrążyło nas w głębokim smutku. Być może ukoji go jedynie spełnienie jej ostatniej woli, pomimo że jest ona dla nas – dla mojej córki i dla mnie – równie zaskakująca, jak prawdopodobnie będzie dla Pani.

Początkowo nie rozumiałyśmy, dlaczego moja matka wymieniła Panią w swoim testamencie, zresztą nie tylko ta kwestia nas zdumiała. Potrzebowałyśmy zatem, a przynajmniej ja, trochę czasu, żeby poskładać fakty i upewnić się, że to, co z początku wzięłyśmy za fantazje zmęczonego życiem umysłu, było w rzeczywistości fundamentem historii rodziny – naszej i podejrzewam, że również Pani.

Wszystko to, jak Pani się przekona, wymaga kilkugodzinnej rozmowy. Są kwestie, o których należy porozmawiać osobiście przy dobrym jedzeniu i z ładnym krajobrazem w tle. Proszę mi wybaczyć zwięzłość. Nie chciałabym o tej sprawie rozpisywać się w liście. Nawet w takim prawdziwym jak ten.

Dlatego też, Violetto, za pośrednictwem tej kartki papieru chciałam oficjalnie zaprosić Panią do odwiedzenia nas. Nasz dom jest małą oazą spokoju z widokiem na jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Może Pani tu zostać jak długo zechce, o wiele dłużej, niż wymagają sprawy, które powinnyśmy załatwić. Z tego co wiem, moja córka Silvana jest mniej więcej w Pani wieku. To ona zarządza obecnie naszym hotelikiem, w którym oczywiście czeka na Panią pokój. Proszę tylko powiadomić nas o dniu przyjazdu, żebyśmy mogły osobiście Panią odebrać.

Może być Pani pewna, że potraktujemy Panią jak członka naszej rodziny.

Mając nadzieję, że to nastąpi wkrótce, pozdrawiam serdecznie,

FIGORELLA OTRANTE

Od: Violeta Lax

Data: 1 marca 2010

Do: Arcadio Pérez

Temat: Podróż do Europy

Drogi Arcadio,

w końcu zdecydowałam się na podróż do Europy. Drina, moja asystentka, próbuje załatwić mi bilet na przyszły tydzień. Powiedz, ile dni powinnam według Ciebie pozostać na miejscu, żeby dobrze wykorzystać pobyt? Wiesz, że najbardziej chciałabym zobaczyć fresk Teresy, zanim zostanie usunięty ze ściany dawnego dziedzińca, ale będę Ci też towarzyszyć – jako ekspert, spadkobierczyni i przyjaciółka (co będzie bardziej przydatne) – podczas tych okropnych spotkań, o których mi mówiłeś. Z góry Cię jednak uprzedzam, że mam alergię na polityków.

Poza tym mam zamiar polecieć do Włoch. Początkowo chciałam tam pojechać w pierwszej kolejności, a dopiero potem wyskoczyć do Barcelony, ale dzisiaj rano nagle przypomniałam sobie, że prace konserwatorskie pewnie zaraz się rozpoczną, a za nic w świecie nie chciałabym stracić tej ostatniej okazji obejrzenia głównego dzieła mojego dziadka w jego pierwotnej lokalizacji. Tym bardziej że jest to dzieło, o którym przez lata wykładałam i pisałam, aż stałam się w końcu specjalistką w tej dziedzinie.

Reasumując: czekam na wieści.

Całuję,
Vio

PS. Przy okazji, jeśli zaprosisz mnie na lampkę wina, obiecuję, że opowiem Ci o dziwnych okolicznościach, w których tajemnicza wiekowa dama zaprosiła mnie do siebie nad jezioro Como. Przysięgam, że to nie żart. I mam zamiar tam pojechać. Daniel mówi, że zwariowałam. Ach, Daniel przesyła Ci pozdrowienia. Ostatnio jest tak zajęty swoją powieścią, że nie ma nawet czasu dla rodziny.

Od: Drina Walden

Data: 1 marca 2010

Do: Violeta Lax

Temat: Europa

Przesyłam Ci wszystkie informacje o lotach, o które mnie prosiłaś: Chicago-Barcelona i Barcelona-Orio al Serio (Bergamo/Mediolan). Sprawdziłam, że z tego lotniska będziesz miała najbliżej do jeziora Como. A właśnie tam się wybierasz, prawda? Napisz mi, czy chcesz przy okazji zwiedzić Mediolan, czy taki plan podróży Ci odpowiada. Muszę też wiedzieć, kiedy wracasz i skąd.

Wiem, że tego nienawidzisz, ale muszę zadać Ci to pytanie. Nie jako Twoja asystentka, lecz tym razem jako przyjaciółka. W końcu zanim zostałam asystentką, o wiele wcześniej byłam przyjaciółką.

Vio, czy jesteś pewna, że ta podróż nie jest w rzeczywistości ucieczką? Sama nie wiem, podjęłaś tę decyzję tak pośpiesznie i w tak dziwnym momencie. Nie rozumiem, dlaczego wyjeżdżasz właśnie teraz, kiedy Art Institute otwiera TWOJĄ wystawę portrecistów! I to, o czym mi napisałaś, niepokoi mnie jeszcze bardziej: „Pogodzić się z częścią mojej przeszłości, której pozwoliłam uciec”? Nie mam pojęcia, co może być dla Ciebie aż tak ważne, żeby zrezygnować z wygłoszenia mowy przed wszystkimi szefami w dniu otwarcia wystawy. Wiem, że to dla Ciebie jedynie dodatkowy pretekst i że tak naprawdę masz mnóstwo powodów, by jechać do Europy, począwszy od fresku Teresy, ale nadal nie jest to dla mnie jasne.

Być może pozwalam sobie na zbyt wiele nawet jako przyjaciółka, coś mi jednak mówi, że to wszystko ma związek z kryzysem, o którym mi wcześniej wspominałaś. Praca Daniela, Twój brak wiary w Wasz związek, obowiązki, jakie pociąga za sobą posiadanie dzieci... To wszystko minie, kochana. Albo nastąpią zmiany. Takie rzeczy przydarzają się nam wszystkim. To tylko kwestia czasu, wkrótce spojrzysz na to w inny sposób. Podsumowując, chciałam Ci tylko powiedzieć, że bardzo się o Ciebie martwię. Mam wrażenie, że kłębi się w Tobie wiele emocji naraz, a ja nie potrafię dociec ich źródła.

Obiecasz mi, że będziesz na siebie uważać? I że powiesz mi, jeśli będziesz mnie potrzebowała do czegoś więcej niż zarządzanie Twoim kalendarzem spotkań?

I

– Kiedyś opowiem ci o wszystkim, co pamiętam, i zmarli przewrócą się w grobach – wyszeptała Concha pewnego razu do swojej kochanej Aurory.

Życie nie dostarczyło jej wielu okazji, żeby mówić długo i rozwlekle. Chociaż być może to był tylko jeden z powodów, dla których Concha nigdy nikomu nie opowiedziała wszystkiego, co pamiętała.

Na przykład nigdy nie wspomniała, że w sobotę 24 grudnia 1932 roku pani Maria del Roser Golorons, wdowa po panu Laksie, po wysłuchaniu o godzinie dziewiątej mszy w kościele Matki Boskiej Betlejemskiej poświęciła cały dzień na zakupy w Wielkich Domach Towarowych El Siglo. Spędziła wiele czasu w dziale konfekcji dziecięcej na drugim piętrze, gdzie kupiła pełną wyprawkę dla pierwszego wnuka, który miał się urodzić w połowie wiosny: flanelowe pieluszki, ozdobne kocyki, kaptanki z batystu i holenderskiego lnu, a nawet pół tuzina haftowanych sukieneczek z falbankami (na wypadek gdyby urodziła się wnuczka). W dziale zabawek wybrała wspaniałego skaczącego pieska, tekturowego konia i blaszany powóz z zaprzęgiem koników. Następnie odwiedziła dział z wyrobami koszykarskimi, żeby kupić wózek spacerowy, wataną czapkę ozdobioną wełnianymi pomponami oraz kołyskę z baldachimem, wplecioną z wikliny, ale w cenie, jakby zrobiona była z najlepszego rodzaju drewna. Radość pani Marii del Roser z możliwości obsypania prezentami pierwszego dziecka Amadea, jej najstarszego syna, i jego kochanej Teresy znalazła wyraz w wielkości zrobionych przez nią zakupów.

– Dzisiaj dzieci są bardziej wymagające niż kiedyś i potrzebują więcej rzeczy – mówiła, żeby usprawiedliwić te sprawunki.

Idąc dalej, zatrzymała się przed piętrowym domkiem dla lalek kosztującym dziesięć peset. Przez chwilę Concha obawiała się, że jego widok przywoła najcięższe wspomnienia przedwcześnie zmarłej Violety, ale zdziwiła się ponownie, słysząc:

– To będzie mój prezent pod choinkę dla twojej córki. Myślisz, że jej się spodoba?

Kobieta ubrana w elegancki czarny uniform noszony przez personel sklepu uśmiechała się do obu dam, stojąc po drugiej stronie drewnianej lady.

Concha zbliżyła usta do ucha pani Marii del Roser i z największą dyskrecją powiedziała:

– Nie mam dzieci, proszę pani. Może chodziło pani o Laię, córkę kucharki Vicenty.

– Właśnie, to ta śliczna dziewczynka z wesołymi oczkami! – Maria del Roser wyglądała na podekscytowaną, ale zaraz się nadała. – Nie. To nie jest dobry pomysł. Nie sądzę, żeby ta dziewczynka jeszcze bawiła się domkiem dla lalek.

– Ma dwanaście lat – odrzekła Concha. – Sądzę, że byłaby zachwycona.

– Nie, nie, nie. – Jej pani odrzuciła ten pomysł, jak gdyby wydał jej się bardzo nieprzyjemny, i ruszyła dalej, zapominając o miniaturowym domku.

W dziale kuchennym chciała, żeby wyboru dokonała jej wierna towarzyszka. To była w pewnym sensie jej rola i powód jej obecności w tym miejscu. W oczach pani stawała się kimś w rodzaju wszechwiedzącego doradcy, jasnowidzki przepowiadającej potrzeby, a nawet katastrofy, które złagodzi kupno kilku przedmiotów. W rzeczywistości to Teresa, nowa pani domu, nalegała, żeby Concha nawet na sekundę nie zostawiała jej teściowej samej. Nie tylko towarzyszyła i służyła pomocą podupadającej już na zdrowiu starszej pani, ale pilnowała również, żeby jej posunięta demencja nie sprowadziła na rodzinę kłopotów.

W obecności nadskakującego ekspedienta, który pokazywał jej garnki i rondle z taką samą dumą, z jaką pokazywałby jedwabie i organdy, pani Maria del Roser mrużyła oczy, przywoływała Conchę gestem i mówiła:

– Ty wybieraj, w tej dziedzinie jesteś autorytetem.

Do końca nie było wiadomo, czy ta niewiedza jest prawdziwa czy udawana, chociaż Concha przypuszczała, że pani del Roser wie o zarządzaniu domem więcej, niż była skłonna przyznać, i że jej luki w pamięci wynikają zazwyczaj raczej z braku zainteresowania niż z ignorancji. Jej choroba nie rozwiewała żadnej z tych wątpliwości.

Tego popołudnia, oglądając patelnię, w której dnie odbijała się karykatura jej twarzy, odezwała się:

– Będziemy potrzebować ich co najmniej tuzin, prawda, Conchito?

Służącej udało się w jakiś sposób przekonać ją do kupna jedynie dwóch patelni. Pani uparła się również na dwa garnki i cztery rondle różnej wielkości i najwyższej jakości, wszystkie z żelaza, pokryte niebieską emalią. Tak naprawdę nie potrzebowały żadnej z tych rzeczy, a w kuchni wręcz było zbyt dużo naczyń, ale pani Maria del Roser nie potrafiła opuścić Domów Towarowych El Siglo, nie wydawszy co najmniej dziesięciu peset w mieszczącym się na parterze dziale kuchennym.

– Gliniane garnki podobają mi się bardziej od tych błyszczących – zwykła mówić z uśmiechem, kiedy jeszcze tryskała zdrowiem.

Tego dnia wbiła sobie do głowy, że w domu pilnie potrzebują kieliszków z cienkiego kryształu, które kosztowały ponad sto peset, i dodała je do zamówienia, nie mrugnawszy nawet okiem tuż przed przejściem do działu mody damskiej, gdzie czekała ją ostatnia przymiarka zamówionej sukni wieczorowej, przy okazji dorzuciła do rachunku kilka batystowych halek i dwie haftowane bluzki. Maria del Roser Golorons miała zbyt przekorny charakter, żeby podporządkować się czemukolwiek, nawet modzie, i ubierała się zawsze według kryterium schludności, wygody i odpowiedniego doboru kolorów, ale właśnie teraz, u schyłku życia, uparła się, żeby powrócić do turniury i spódnicy z trenem zamiatającą posadzkę.

– Elegancka kobieta powinna pokazywać jedynie czubki butów – wyrokowała pod wzrokiem zrozpaczonej modniarki, która chwilę wcześniej pokazywała jej szkice najnowszej paryskiej mody: płaszcze z jednym rękawem, które wydały się dystygowanej klientce zbyt dziwaczne, podobnie jak ich wypowiedziana przez ekspedientkę nazwa: „asymetryczne”. – Ci Francuzi już sami nie wiedzą, co wymyślić, żeby nas oszukać – powiedziała, przechodząc do czegoś innego.

Concha szła za nią po zatłoczonym sklepie radosna jak dziecko. Od śmierci Violety nie widziała pani tak uszczęśliwionej przedświątecznymi przygotowaniem. Bez wątpienia mające niedługo nastąpić narodziny znacząco wpływały na ten dobry humor. Dzięki temu dom znów przypominał odrobinę ten z dawnych czasów, kiedy jeszcze cisza nie zawładnęła nim na stałe.

Po zakupach pani Maria del Roser chciała odpocząć chwilę w kawiarni. Starannie rozłożywszy fałdy sukni, usiadła na jednym z foteli i poprosiła Conchę, żeby przyniosła jej z czytelnicy żurnal – „tylko nie francuski”, zastrzegła i zamówiła szklankę zimnej wody oraz porcję krokietów. Wyraziła również życzenie zobaczenia się z właścicielem lokalu, z którym zamierzała się przywitać, jak miała w zwyczaju, kiedy odwiedzała tę kawiarnię.

– Usiądź, Conchito, nie denerwuj mnie – powiedziała, wskazując na krzesło.

Don Octavio Conde, jak zwykle starannie i elegancko ubrany, zjawił się, gdy zabierała się do drugiego krokietu.

– Jak się czuje rodzina? – zapytał, pochylając się, żeby ucałować dłoń drogiej Marii del Roser.

– Niech pan sobie wyobrazi, jakie nieszczęście – odpowiedziała – właśnie się dowiedziałam, że Conchita nie ma dzieci.

– W moim wieku raczej powinnam mieć wnuki – zażartowała służąca, która знаła pana Octavia, już kiedy był dzieckiem. I szepcząc do ucha pani, dodała: – To Octavio. Zdziwi się, jeśli będzie pani mówiła do niego „pan”.

Octavio uśmiechał się ze zrozumieniem, chociaż patrząc na matkę swojego najlepszego przyjaciela, marszczył usta tak, że rysował się na nich rodzaj troski lub smutku.

– Conchita jest po trosze matką nas wszystkich – wtrącił. – I będzie nią również dla trzeciego pokolenia, które jest w drodze.

– To prawda, prawda – odrzekła Maria del Roser z zagubionym wzrokiem, po czym nagle się ocknęła. – Skąd pan o tym wie?

Octavio jakby się wzdrygnął. Był to ledwo widoczny ruch, który potrafiły zauważyć jedynie oczy tak uważne jak Conchity.

– Ponieważ pani syn i ja przyjaźnimy się od czasów szkolnych. Poznaliśmy się w szkole jezuitów w Sarrià. Wiadomo, że ciężkie życie w koszarach sprzyja zawieraniu przyjaźni – próbował zażartować, lecz jego śmiech był wymuszony.

– A tak, internat. – Maria del Roser przewróciła oczami i dla wygody skrzyżowała dyskretnie nogi pod spódnicą. – Tak bardzo lubiłam odwiedzać was w niedziele – westchnęła z nostalgią.

– My również lubiliśmy niedziele – mówił dalej Octavio – ale obawiam się, że z innych powodów. W obecności rodzin księcia stawali się bardziej ludzcy. Tak bardzo zazdrościliśmy Amadeowi, kiedy się od nich uwolnił! Zawsze był najinteligentniejszy z nas wszystkich. I bez wątpienia nadal jest.

Starając się jak najszybciej pozostawić tę drażliwą kwestię, starsza pani zmieniła temat. Nie lubiła rozmawiać o czasach, kiedy jej syn był uczniem u jezuitów w Sarrià.

– Tak, inteligentny – mruknęła, krojąc krokietą. – Szkoda tylko, że stał się taki ponury, nie sądzi pan? O czym to rozmawialiśmy? A tak. Czy spędzi pan Boże Narodzenie z rodziną?

– Obawiam się, że nie – odpowiedział Octavio, pocierając ręce z niezwykłą u niego nerwowością. – Jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku, żeby założyć własny interes.

Maria del Roser otworzyła oczy tak szeroko, że jej czoło zmarszczyło się jak miech akordeonu. Concha wyglądała na jeszcze bardziej zaskoczoną.

– Do Nowego Jorku? Na długo? – zapytała służąca.

– Nie wiem, to zależy od tego, jak mi pójdzie. – I wykorzystując nagłą zmianę tematu konwersacji, wymyślił na poczekaniu usprawiedliwienie: – Miło mi było panią spotkać. Teraz muszę panie przeprosić, ponieważ mam jeszcze wiele spraw do załatwienia.

– Oczywiście, rozumiemy – powiedziała Concha.

Maria del Roser nie skomentowała w żaden sposób zaskakującej wiadomości, którą właśnie usłyszały.

– Proszę pozdrowić ode mnie rodziców – ciągnęła, podążając za logicznym porządkiem pożegnań, który od dawna miała zakodowany w głowie. – Odwiedzę pana po świętach, kiedy przyjdziemy kupić wyprawkę dla dziecka. Urodzi się... Conchito, kiedy spodziewamy się mojego wnuka?

– W maju, proszę pani.

– Wie pan, moja biedna synowa już raz poroniła. Ale tym razem, dzięki Bogu, wszystko jest dobrze.

Conchitę zaczynały krępować tego typu zwierzenia. Również Octavio Conde nie wyglądał na zadowolonego z tematu, na który schodziła rozmowa. Chcąc jak najszybciej stamtąd odejść, ponownie ucałował rękę damy, skłonił głowę przed Conchitą i zanim wyszedł z kawiarni, powiedział kelnerowi, że obie panie były jego gośćmi.

Ledwo zniknął, Maria del Roser wyraźnie się zafrasowała.

– Zapomniałyśmy zapytać, czy jego żona czuje się lepiej. To było z naszej strony niegrzeczne.

– Pan Octavio jest kawalerem, proszę pani. Z pewnością chodzi pani o panią Cecilię Gómez del Olmo, jego matkę – odpowiedziała ostrożnie Conchita, podczas gdy pani przyznawała jej rację, kiwając głową. – Pozwolę sobie przypomnieć, że biedaczka umarła wiele lat temu.

– Naprawdę? A czy jej mąż ożenił się ponownie?

– Nie, proszę pani. Pan Eduardo Conde pozostał na zawsze wierny pamięci swojej zmarłej małżonki. Aż do swojej śmierci, również wiele lat temu.

Maria del Roser zmarszczyła brwi.

– Chodźmy, Conchito, bo już nam się wszystko zaczyna mylić.

Przeszły kilka kroków, ale zanim dotarły do windy, starsza pani ponownie się zatrzymała. Windziarz ubrany w czerwoną liberię otworzył im drzwi.

– Jak będzie miał na imię mój wnuk, Conchito? Ciągle zapominam – rzekła Maria del Roser, wciągając powłóczysty tren do windy.

– Modesto, proszę pani. Pod warunkiem że urodzi się chłopiec. Jeśli będzie dziewczynka, jeszcze nie wiadomo – odpowiedziała Concha ze strachem.

Był to strach przed uśpionym bólem mogącym zbudzić się w każdej chwili.

– Chciałabym, żeby nazywała się Violeta – stwierdziła nestorka Laxów. – Jak najszybciej w rodzinie powinna pojawić się kolejna Violeta.

Służąca z ulgą stwierdziła, że ból pozostał w uśpieniu.

– Jak mogą dać mojemu wnukowi imię jak dla windziarza...! – rzuciła Maria del Roser, ignorując stojącego przed nią pracownika. – Wiesz może, dlaczego wybrali takie okropne imię? Przecież jest tylu innych świętych.

– Na cześć malarza, który był mistrzem pani syna.

Odbywały tę rozmowę dziesiątki razy. Ale powtarzanie jej nie przeszkadzało żadnej z nich.

– A tak, prawda. Mój syn maluje. Sądzę, że nawet nieźle.

– Oczywiście, proszę pani. I cieszy się dużym powodzeniem i uznaniem – odpowiedziała z matczyną dumą Conchita.

Ta rozmowa toczyła się przy dużym afiszu reklamowym zajmującym prawie całą boczną ścianę windy. Widoczna była na nim młoda dama w wieczorowym stroju. W jednym rogu wyraźnie widniało napisane grubą kreską nazwisko artysty: Amadeo Lax. Obraz działał niczym wabik na klientów, podobnie jak w czasach, kiedy kilkanaście lat wcześniej służył za reklamę domu towarowego.

– Nie wydaje ci się, że Octavio był dzisiaj jakiś dziwny? – zapytała nagle Maria del Roser. – Nie był sobą.

Conchita odniosła takie samo wrażenie. Przypisała to zdenerwowaniu przed podróżą, o której właśnie im powiedział.

– Gdyby mój syn włożył tyle wysiłku w kierowanie fabrykami ojca i dziadka, nie bylibyśmy teraz biedni – rzuciła pani, zanim władczo wykrzyknęła: – Wysiadamy tutaj, młodzieńcze! Proszę się przesunąć!

Conchita wyszła z windy, czerwieniąc się po uszy. Pani szła, jakby nic się nie stało, skupiona na jakiejś pilnej sprawie, która kielkowała jedynie w jej umyśle.

– Pani nie jest biedna – pospiesznie odpowiedziała Conchita, kiedy odeszły na bezpieczną odległość od windziarza. – Jest pani jedynie trochę mniej bogata niż przedtem.

– Przedtem, czyli przed czym? – Kilka delikatnych równoległych zmarszczek ukazało się na czole Marii del Roser.

– Przed kryzysem. Mówi się, że dotknął cały świat, nie tylko barcelończyków. Jeden więcej, inny mniej, ale każdy coś stracił.

– To nie tak, Conchito, nie daj się zwieść pozorom. Prawdziwi bogacze prawie nigdy niczego nie tracą. Może jedynie tupet, ponieważ przy tak wielu anarchistach trzeba udawać. Czy znasz jakiegoś anarchistę?

– Nie, proszę pani, żadnego.

– Tym lepiej, niech tak zostanie. Anarchiści wpadają do domów i kradną dywany. A potem wszystko podpalają. Najpierw jednak dywany. Oni je uwielbiają. – Ponownie się otrząsnęła. – Ale co to za pogawędki? Musimy wracać do domu, Conchito. Czy kupiłyśmy wszystko, co było potrzebne? Zastanów się dobrze.

– Tak, proszę pani.

– Na pewno niczego nam nie brakuje? Może jakiegoś garnka na jutrzejszy obiad?

– Nie, proszę pani. Mamy wystarczająco dużo garnków.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie, proszę pani.

– Dobrze, więc nie wiem, co tu jeszcze robimy.

Lekko zmęczonym, lecz jak zawsze dostojnym krokiem pani Maria del Roser wyszła na Ramblę. Julián czekał kilka metrów dalej za kierownicą citroena. Kiedy ujrzał wychodzące kobiety, pospiesznie wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi i podał ramię starszej pani, pomagając jej wsiąść do środka. Następnie zrobił to samo z Conchą, chociaż już z mniejszym zaangażowaniem. Obie złapały się ramienia starego kierowcy z większą siłą, niż pozwalały na to konwenanse. Dla obu pań, które przekroczyły już sześć dekad życia, wspięcie się do tej nowoczesnej maszyny nie było łatwym zadaniem, tym bardziej że pomocą służył im prawie siedemdziesięcioletni szofer.

W końcu wspierana przez Conchę pani, dysząc, zajęła swoje miejsce. Julián westchnął, być może z ulgą, że operacja załadowania zakończyła się powodzeniem, i wrócił na swoje miejsce za kierownicą.

Kiedy silnik zaryczał, Maria del Roser odezwała się, rzucając ostatnie spojrzenie na oświetlone wejście do domu towarowego:

– Zaszkoziły mi te krokiety, Conchito. Czuję coś tutaj... – Wskazała na ściśnięty gorsetem żołądek. – Jedźmy do domu, Felipe – poleciła. – O tej porze przyzwoite damy nie pokazują się na ulicach.

Staremu szoferowi nie przeszkadzało, że pani nie pamięta jego imienia. Raczej czuł się zaszczycony, że zwraca się do niego imieniem jego ojca, który spędził życie na koźle powozu pierwszego pana Laxa, pracowity i milczący, jak przystało na dobrego służącego. Za życia Julián ubóstwiał go tak samo, jak pamiętał po śmierci, i ostatnimi czasy wdzięczny był pani, że ożywia go w swojej roztargnionej pamięci.

Na markizie nad głównym wejściem do domu towarowego rodzina dziecięcych marionetek ogłaszała Boże Narodzenie. Okna wystawowe błyszcząły od świateł. W największym elektryczny pociąg ciągnący wagony załadowane maleńkimi prezentami jeździł wkoło bez przerwy. Po Rambli podążały w obie strony tłumy zaaferowanych ludzi. Gdzieś w pobliżu śpiewano kolędy. Przez ogromne obrotowe drzwi nieustannie ktoś wchodził i wychodził.

Citroen ruszył główną aleją miasta w kierunku morza. Pani przymknęła oczy. Concha poddała się kołysaniu świątecznej radości, ostatnim promieniom słońca w mroźny dzień oraz ulicznemu ożywieniu. Przyglądała się bogatym zdobieniom fasady budynku Filipińskiej Kompanii Tytoniowej, przeżegnała się, mijając kościół Matki Boskiej Betlejemskiej, w którym rankiem tego samego dnia spełniła swoją coroczną powinność, podobnie jak wielu innych barcelończyków. W oddali ujrzała stragany kwiaciarek i poczuła lekką nostalgię za czasami, kiedy żaden silnik nie przeszkadzał kwiatom swoim kaszlem. Z przyjemnością wysiadłaby, żeby kupić bukiet białych stokrotek, ulubionych kwiatów pani Marii del Roser, lecz były już spóźnione i nie miały czasu, aby się zatrzymać.

Na wysokości calle Portaferriśsa auto zawróciło i przejechało obok pałacu Moja, którego okiennice były otwarte, jak gdyby ktoś postanowił przewietrzyć wytworne pokoje. Wraz z Conchą zauważyło to kilku przechodniów, którzy zatrzymywali się nagle, z ciekawością oglądając malowidła i rozety na sufitach. Zawracanie wyrwało panią z zamyślenia.

– Sprawdziłaś, czy zaprzężono mulicę? – zapytała. – Nie chcę tracić więcej czasu.

– Nowoczesne pojazdy nie potrzebują mulic, proszę pani. Mają silniki.

Samochód był kaprysem pana Rodolfa. Zamówił go we Francji prawie trzydzieści lat wcześniej, zachęcony reklamą oferującą „citroena limuzynę z eleganckim nadwoziem torpedo”. Żaden miłośnik motoryzacyjnych nowinek nie byłby w stanie oprzeć się takiemu opisowi. Był to jeden z pierwszych samochodów w mieście – numer rejestracyjny cztery – wzbudzający tak wielki zachwyt, że początkowo przechodnie bili brawo, kiedy przejeżdżał.

– Nie daj się zwieść pozorom i sprawdź, czy jest mulica... – odpowiedziała pani, po czym na powrót głowę zwiesiła na piersi i znów się pogрузzyła w głębokim śnie.

Na budynku, w którym kiedyś był teatr Coliseum, wisiało ogłoszenie, że w Boże Narodzenie odbędzie się wieczorny pokaz premierowy filmu Harolda Lloyda. Kilka osób czekało przy kasie. W pobliżu paru dżentelmenów głośno rozmawiało, żywo gestykułując. Concha westchnęła znudzona. Takie wzburzenie mogły wywołać jedynie kwestie katalońskiego nacjonalizmu lub kryzys gospodarczy. Ponieważ wydawało jej się, że rozmawiają w miłym dla ucha pięknym języku, w którym można proklamować republiki i jednocześnie sprzedawać melony, stawiała na to pierwsze.

Kiedy dojechali na miejsce, dawno minęła pora, gdy zazwyczaj podawano obiad. Niegdyś takie zachowanie byłoby dla pani nie do pomyślenia. Szczegółowe przestrzeganie rozkładu dnia było zawsze elementem zapewniającym dobre funkcjonowanie domu Laxów. Śniadanie podawano kwadrans po ósmej, pomiędzy dwunastą a wpół do drugiej był czas na spacer, obiad jadano punktualnie o drugiej, różaniec odmawiano o siódmej (we środy piętnaście minut później), a następnie podawano kolację, starając się nie wprowadzać żadnych zmian. W środy pani organizowała swoje spotkania w bibliotece, w czwartki przyjmowano gości, w niedzielę wszyscy szli w południe na mszę do parafii Niepokalanego Poczęcia, której proboszcz, ojciec Eudaldo, zazwyczaj jadł potem obiad u państwa Laxów. I tak niezmiennie, tydzień za tygodniem, aż do Bożego Narodzenia, Wielkanocy czy letnich wakacji, które naruszały tę rutynę.

Tego dnia, 24 grudnia 1932 roku, pani poprosiła, żeby przyniesiono jej herbatę do pokoju, i zniknęła, z nikim się nie witając. Jej syn, czekający na nią przy stole – sztywno wyprostowany na niewygodnym krześle – zaczął jeść, zniecierpliwiony przyglądaniem się stygnącej zupie i oczywiście wściekły. Synowa Marii del Roser, Teresa, próbowała ją usprawiedliwić, podając za powód chorobę teściowej. Nie tylko z tego powodu obiad obojga małżonków okazał się nijaki i smutny. I milczący.

Po południu kilku chłopców na posyłki z domu towarowego dostarczyło starannie zapakowane zakupy. Służący zanieśli je do składziku przy spiżarni w oczekiwaniu na dalsze polecenia. W kuchni trwały pracowite przygotowania do świątecznego obiadu następnego dnia. Rodzina nie miała w zwyczaju zasiadać do uroczystej kolacji wigilijnej. Świętowano obiadem w dniu Bożego Narodzenia.

Pani Maria del Roser nie wychodziła z pokoju przez całe popołudnie. Wieczorem wezwała Antonię, żeby pomogła jej położyć się do łóżka. Kobieta, która rozpoczęła pracę w tym domu zaledwie cztery lata wcześniej, wraz z wprowadzeniem się Teresy, wyszła z pokoju z twarzą wykrzywioną strachem, mówiąc, że nigdy nie widziała pani tak rozstrojonej ani z tak absurdalnymi pomysłami.

– Zwariuję, jeśli będę musiała dłużej jej słuchać – dodała.

Teresa zajęła się wszystkim. Odesłała pokojówkę i z troską oraz łagodnością sama zajęła jej miejsce. Weszła do pokoju teściowej, jak zrobiłby lekarz w nagłym wypadku. Chwilę później stamtąd wyszła

i posłała po Conchę. Ręce i głos jej drżały, kiedy mówiła:

– Na miłość boską, Conchito, czy wiesz, gdzie schowany jest klucz do pokoju Violety?

– Oj, nie, proszę pani. Uznaliśmy, że zaginał już wiele lat temu, w dniu... – przerwała, myśląc ponownie o uśpionym bólu, którego nie powinno zbudzić żadne głośno wypowiedziane słowo. Mówiła dalej: – Pani Maria zamknęła nim drzwi na amen. Po tym dniu już nigdy więcej go nie widziałam.

Te słowa nie zniechęciły Teresy.

– Więc musimy go odnaleźć. Jest przekonana, że leży pod jej łóżkiem i przez cały czas zmusza mnie, żebym go tam szukała. Mówi, że chce go mieć w ręku – wytłumaczyła Teresa. – Zajrzałam tam, szukałam go, ale pod łóżkiem nic nie ma. Nawet kurzu.

– Starsza pani plecie głupoty, pani wie o tym tak samo dobrze jak ja. I nie powinna pani tak się schylać. – Concha wskazała wzrokiem ledwo widoczny brzuch Teresy.

– To coś więcej niż niedorzeczności, Conchito. Nigdy nie widziałam jej w tak złym stanie. Przed chwilą poprosiła mnie, żebym zawołała jej syna Juana. Powiedziała, że chce go zobaczyć przed śmiercią. Bardzo się boję. Nie wiesz, czy Amadeo jest w domu?

Concha pokręciła przecząco głową. Widziała, jak Amadeo odjeżdżał chwilę wcześniej bez kierowcy, prowadząc rolls-royce'a. I oczywiście nikt nie miał pojęcia, o której godzinie wróci. Jak zwykle.

– Musisz mi pomóc, Conchito.

– Sądzi pani, że starsza pani zamierza wejść do pokoju Violety? – odważyła się zapytać. – Przeraza mnie sama myśl o tym. To byłoby dla niej fatalne. Tam wszystko wygląda tak samo jak wtedy.

Teresa patrzyła ze smutkiem. Pod oczami miała sine cienie. Położyła dłonie na brzuchu i wygięła plecy w łuk. Była wykończona.

– Musimy odnaleźć ten klucz – powiedziała – albo ona nie zaśnie przez całą noc. Musi przecież gdzieś być.

Teresa spośród służących utworzyła istną drużynę i kazała im szukać tego kawałka żelaza. Po kluczu wciąż nie było śladu, kiedy kwadrans po dziewiątej wrócił pan domu, tak elegancki i zimny jak zawsze. Rozejrzał się bez zainteresowania, zawołał Conchitę i kazał podać sobie kolację do pracowni. Wchodząc na piętro, uderzył w zbyt nisko umieszczony marmurowy liść będący ozdobą schodów i zatoczył się, ale nikt się tym nie przejął. On też nie.

Słyszając, że mąż wrócił do domu, Teresa weszła do jego pracowni, żeby opowiedzieć mu, co się dzieje, i poprosić o zgodę na sprowadzenie jego brata. Zeszła na dół kilka sekund później ze łzami w oczach. Conchita niespokojnie czekała u podnóża schodów.

– Czy pozwolił, żebyśmy zawiadomiły Juana?

Teresa potrząsnęła przecząco głową.

– Tego się obawiałam – wymamrotała stara służąca ze zmartwioną miną.

Pół godziny później mała Laia – która szybko znudziła się poszukiwaniami i matka posłała ją do kuchni – szła schodami prowadzącymi na poddasze, trzymając w rękach tacę z obfitym posiłkiem.

Synowa, odporna na obojętność męża i na zniechęcenie, nadal szukała klucza. Concha prosiła ją wielokrotnie, żeby się położyła, obiecując, że inni będą szukać dalej, ale jej nie posłuchała.

– Nie powinna pani tak się przemęczać – powiedziała Conchita, ponownie wbijając wzrok w brzuch młodej pani. – Nie wybaczyłabym sobie, gdyby przydarzyło się pani to samo co wiosną zeszłego roku.

– Nic mi nie będzie – uśmiechnęła się łagodnie Teresa. – Jestem już w czwartym miesiącu. Doktor powiedział, że wszystko przebiega prawidłowo.

Teresa już dawno temu zrozumiała, że upór jest jej najlepszą bronią.

Klucz w końcu odnalazł się około godziny dwudziestej trzeciej w sekretarzyku w pokoju używanym przez panią czasami jako prywatny salonik. Palce Teresy triumfalnie wyjęły go stamtąd i podały

teściowej, która ścisnęła klucz wraz z ręką synowej.

– Zostań na chwilę, Tereso – nakazała – i każ wszystkim wyjść.

Rozmowa kobiet trwała około pięćdziesięciu minut. Kiedy Teresa opuściła pokój pani Marii del Roser, miała zaczerwienione oczy i blade jak papier policzki. Położyła się spać bez kolacji. Herbata i drożdżówki, które Concha pozostawiła na stole w jej saloniku, następnego dnia były nietknięte.

Noc minęła w absolutnym spokoju. Nawet uliczny stróż nie przeszedł przed wielką bramą domu. Być może był to ów wielki spokój, który jak mówią, poprzedza wielkie kataklizmy.

W ciągu kilku następnych godzin, a był to już dzień Bożego Narodzenia 1932 roku, wydarzyły się trzy potworne rzeczy: spaliły się Wielkie Domy Towarowe El Siglo, pani Maria del Roser Golorons zmarła we śnie w swoim łóżku, Amadeo Lax po raz pierwszy spędził część nocy w łóżku Lai, dwunastoletniej córki kucharki.

WIADOMOŚCI LOKALNE

Wczoraj rano odbył się pogrzeb pani Marii del Roser Golorons, wdowy po budowniczym i przemysłowcu don Rodolfie Laxie i jedynej dziedziczki wspaniałych manufaktur włókienniczych w pobliskim mieście Mataró, noszących nazwę od nazwiska właścicieli. Wszyscy przyjaciele i znajomi cnotliwej damy lub jej rodziny, a nawet ci, którzy nie znając jej osobiście, słyszeli o zaletach jej charakteru, przybyli wczoraj, żeby oddać hołd jej pamięci. Jedni uczestnicząc w pochówku w poświęconej ziemi, a inni obserwując kondukt żałobny i odmawiając modlitwę za duszę nieboszczki.

O dziesiątej rano przed domem przy pasaje Domingo, gdzie o świcie pierwszego dnia świąt miała miejsce ta tragedia, uformował się kondukt, w którym znaleźli się: członkowie chóru parafialnego Niepokalanego Poczęcia z krzyżem; wielu przedstawicieli Szkoły Robotniczej z San Andrés ze swoim sztandarem; liczni pracownicy Fabryk Laxa z czarnymi opaskami na prawym ramieniu na znak żałoby, niosący zapalone świece; chór z kościoła Niepokalanego Poczęcia; czterdziestu ministrantów, również z zapalonymi gromnicami, otaczających trumnę, którą nieśli na ramionach robotnicy z rzeczonych fabryk; otwierający kondukt kapłani z parafii.

Za karawanem ze szczątkami zmarłej damy ciągniętym przez sześć czarnych, bogato przystrojonych koni szli wszyscy przebywający w Barcelonie mężczyźni z rodziny oraz pozostali bliscy, którzy z trudem panując nad bólem, uczestniczyli w pochówku.

I tak w towarzystwie proboszcza kościoła Niepokalanego Poczęcia, księdza Eudalda, za trumną kroczyli: syn nieboszczki, niezwykły malarz don Amadeo Lax Golorons; jego brat jezuita ojciec Juan Lax, a wraz z nimi, łamiąc tradycję nakazującą kobietom pozostawać na drugim planie w czasie pogrzebów, pani Teresa Brusés de Lax, synowa zmarłej. Reszta konduktu nie kryła żadnych niespodzianek: lekarz rodziny doktor Gambús, adwokat pan Trescents oraz inni przyjaciele i krewni tworzyli procesję liczącą ponad tysiąc osób. W żałobie rodzinie towarzyszył również radny Bremón reprezentujący burmistrza.

Nie da się wymienić nazwisk wszystkich osób uczestniczących w tym tak tłumnym pogrzebie. Byli tam: hrabia Gómez del Olmo z rodziną (don Octavio, don Javier, don Dionisio oraz don Ricardo); Sotolongo; Rosillo markiz de Santa Isabel; Boada, Albert Despujol, Bassegoda, Seguí, Plandolit, Samà, Güell y Giró; również pan Morcillo z Gminnego Zrzeszenia Związków Właścicieli Miejskich; doktor Bach z Izby Właścicieli Miejskich; pan Francisco Carreras Candi, prezes Królewskiej Akademii Literatury; pan Duran y Ventosa, były senator; oraz wielu innych, których przepraszamy za pominięcie.

Powyższe nazwiska wymieniamy z pamięci i prosimy osoby niewymienione o wybaczenie nam mimowolnego pominięcia.

Za konduktem jechał powóz Domu Miłosierdzia, karawan zapasowy i trzy wozy wypełnione wieńcami. Wiele z tych kwiatów było ostatnim podarunkiem składanym przez rodzinę, bliskich i przyjaciół nieboszczki. Jeden wieniec był od pracowników Fabryk Laxa i widniała na nim szarfa z następującą dedykacją: „Dla naszej dobrej pani Marii del Roser, która kochała nas jak swoje dzieci”. Na szarfie największego wieńca, przysłanego przez Towarzystwo Spirytystyczne z Vallés, można było przeczytać: „Naszej przyjaciółce i nauczycielce pogrążeni w smutku przyjaciele”.

Przez Paseo de Gracia i lewą stroną calle Aragón kondukt skierował się w stronę parafii Niepokalanego Poczęcia, gdzie uczestnicy pogrzebu wraz z chórem kościelnym odśpiewali uroczystą

pieśń. Następnie pochód przeszedł w tym samym szyku aż do skrzyżowania Paseo de Gracia z Gran Vía, miejsca wybranego do składania kondolencji. Ten uroczysty akt szacunku i poważania trwał bardzo długo. Obaj bracia Laxowie uścisnęli ręce wszystkim uczestnikom pogrzebu, dziękując im za przybycie.

Około trzystu osób, nie złożwszy kondolencji, przejechało ponad setką powozów na Cmentarz Wschodni, gdzie ciało pani Marii del Roser zostało pochowane w obrządku chrześcijańskim w rodzinnym grobowcu, obok jej nieszczęsnej córki Violety, zmarłej na straszną chorobę w kwiecie wieku. Na tę okoliczność zamówiono marmurową rzeźbę płaczącego anioła, którą umieszczono na kopule grobowca. Przedtem jednak odmówiono tradycyjną modlitwę wiernych, a następnie wyrecytowano wiersz zadedykowany zmarłej przez jej synową. Na całej długości Paseo de Gracia oraz na ulicach, którymi przeszedł kondukt pogrzebowy, stał ogromny tłum gapiów ze wzruszeniem odmawiających modlitwę.

Ból, w którym pogrążyła się rodzina Laxów, znalazł odrobinę ukojenia i pociechy w szczerzej, uroczystej i powszechnej żałobie całej Barcelony. Wszyscy, którzy mają zaszczyt znać członków rodziny zmarłej, towarzyszą im całym sercem w ich cierpieniu. To nieodwracalne nieszczęście jeszcze bardziej wzmocniło więzi sympatii i szacunku, jakimi rodzinę Laxów obdarzają wszystkie klasy społeczne Barcelony, od arystokracji po ludzi najbiedniejszych.

We wszystkich sercach na zawsze pozostanie dobre wspomnienie cnotliwej, a zarazem nieszczęśliwej damy, wszyscy katolicy zmówią w jej intencji modlitwę. Niech spoczywa w pokoju, a rodzinę ponownie prosimy o przyjęcie naszych najszczerzych kondolencji z powodu śmierci drogiej osoby.

II

Concha przez wiele lat przechowywała artykuł z „La Vanguardii”, w którym opisano pogrzeb pani. Kiedy czytała go po raz kolejny, czuła się, jakby znów tam była, wśród wdzięcznego tłumu żegnającego jej panią, otoczona dystyngowanymi damami mówiącymi, że pani Marii del Roser zachowają wspomnienie milczących bitew i niezrozumianych rewolucji, o których nawet nie miały odwagi mówić na głos.

Nie darowałyby sobie, gdyby jej tam nie było. Zawdzięczała wszystko tej dobrej kobiecie, która na zawsze od nich odeszła. Płakała, idąc w kondukcje, nie podchodziła jednak do dobrze strzeżonej trumny. Nie tylko dlatego, że nie była w stanie znieść myśli „nigdy więcej”, ale również dlatego, że była przekonana, iż dla pani ten pogrzeb byłby rodzajem kapitulacji. Nigdy by nie wybrała takiego przepychu ani ceremonii, o jakich zdecydowali inni. „My, kobiety, zawsze musimy w końcu ustępować”, pomyślała Concha, wspominając stanowcze poglądy Marii del Roser, która wywarła na nią taki wielki wpływ. Widząc tłum oddalający się calle Aragón, poczuła, że odchodzi również ważna część jej istnienia. Bez pani nic już nie będzie takie samo.

Przez całe życie Concha zbierała wycinki z gazet, które chowała do blaszanego pudełka w szafce nocnej. Było to pudełko po kruchych ciasteczkach, ozdobione nadrukiem przedstawiającym bawiące się dzieci. Dlatego przez wiele lat nostalgii jej wspomnieniom towarzyszył miły zapach cynamonu.

Na spodzie, pod wycinkami, przechowywała stary katalog Domów Towarowych El Siglo na sezon zimowy 1899/1900. Osiemdziesiąt stron zadrukowanych rysunkami wszelkiego rodzaju produktów, od mebli po koronkowe tasiemki. Na opisach pod każdym z rysunków – „Doskonałej jakości lniana pościel z ręcznie robioną koronką, do łóżka zakonnic, służącej lub małżeńskiego” – nauczyła się czytać w wieku dwudziestu lat dzięki własnemu uporowi i zaangażowaniu pani Marii del Roser, która była dobrym człowiekiem. Wspominając ją, często mawiała:

– Odczułam jej śmierć tak mocno, jakby umarła moja druga matka.

Concha Martínez Cruces rozpoczęła służbę w tym domu w marcu 1889 roku dzięki swojej starszej kuzynce, która była pokojówką u jednego z Bassegodów.

– Państwo Laxowie szukają mamki do dziecka i mogę cię polecić – powiedziała jej. – Przynajmniej będziesz miała pożytek ze swojego nieszczęścia.

Podczas rozmowy, która odbyła się następnego dnia, Concha ledwie się odzywała.

– Nie zachowuj się jak wieśniaczka – poradziła jej kuzynka. – Spuść wzrok, nie wydawaj brzydkich dźwięków i odzywaj się tylko wtedy, kiedy cię zapytają, dodając zawsze „proszę pani” lub „proszę pana”. Zrozumiałaś?

W tamtych czasach państwo Laxowie jeszcze nie przeprowadzili się do swojej rezydencji przy pasaje Domingo. Mieszkali na starym mieście, przy wąskiej bogatej calle Mercaders, którą nowe plany urbanistyczne zmiotły z mapy miasta. Był to mały dom, chociaż wspaniały dla kogoś z nizin społecznych. Pani Maria del Roser przyjęła je w salonie z fortepianem, siedząc bokiem w fotelu obitym bordowym aksamitem. Miała łagodny wyraz twarzy, ruchy delikatne, lecz pozbawione zmanierowania, naturalną wytworność, co najbardziej wprawiło Conchę w zdziwienie. Nie nosiła żadnej biżuterii ani nie chełpiła się bogactwem. Ubrana była z prostą elegancją, raczej nie podług najnowszej mody, włosy zebrane miała w kok na karku i traktowała ludzi z zaskakującą uprzejmością, a nawet z pewną zażyłością. Niemniej nic z tego nie umniejszało ani o jotę jej przez cały czas widocznej dystynkcji, jak

gdyby to była jedna z cech jej charakteru.

– Wolisz, żeby zwracano się do ciebie Concha czy Conchita? – Takie było jej pierwsze pytanie.

– Wszystko mi jedno.

Kuzynka szturchnęła ją po raz pierwszy łokciem.

– Proszę do niej mówić, jak pani woli, proszę pani – odpowiedziała za nią.

– W takim razie będę nazywać cię Conchitą. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zainteresowana pokręciła przecząco głową. Kolejny kuksaniec.

– Nie ma, proszę pani. Jak pani sobie życzy – powiedziała zduszonym głosem kuzynka.

– Ile masz lat, Conchito?

– Dziewiętnaście, proszę pani.

Conchicie zdawało się, że w tym miejscu nie słyhać jej głosu, jak gdyby pochłaniały go ściany obstawione książkami.

– Za cztery miesiące skończy dwadzieścia, proszę pani – dodała kuzynka.

– Skąd jesteś?

– Z Estopiñánu. W prowincji Huesca.

– Od dawna tu mieszkasz?

– Od dwudziestu trzech dni, proszę pani.

– I podoba ci się Barcelona?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale też nie chciała milczeć.

– Jest ogromna – powiedziała. Pani się uśmiechnęła. Wściekłe spojrzenie kuzynki zachęciło Conchę, która dodała: – Nie miałam jeszcze czasu, żeby coś zobaczyć, proszę pani.

– Sądzisz, że masz dobre mleko, Conchito?

– Tak, proszę pani.

– Czy wychowujesz własne dziecko?

Poczuła skurcz ściskający jej gardło. Pomyślała, że jeśli zacznie płakać, kuzynka się wścieknie, więc próbowała się powstrzymać.

– Nie wychowuję żadnego dziecka, proszę pani.

Maria del Roser Golorons spojrzała na nią ze zdziwieniem. Tym razem Concha wdzięczna była kuzynce za pomoc.

– Niestety, dziecko Conchity zmarło, proszę pani. Z powodu gorączki.

Pani poruszyła się w fotelu i zmarszczyła czoło.

– Kiedy to się stało?

– Trzy dni temu – mówiła dalej kuzynka. – Pochowaliśmy je wczoraj.

Wtedy ta wykwintna dama zrobiła coś, co Conchicie zdało się najbardziej niezwykle, a wręcz krępujące: jej oczy napełniły się łzami. Ze zdziwieniem ujrzała, że płacze podobnie jak ona. Do tamtej chwili zawsze wydawało jej się, że ludzie z wyższych sfer nie robią takich rzeczy. Następnie dama wstała, podeszła do niej i uściśnęła jej dłonie jak córce.

– Biedactwo – wyszeptała – i masz jeszcze siłę, żeby szukać pracy po takim nieszczęściu?

– Nie mam innego wyjścia, proszę pani.

Pani domu ją przytuliła. Concha była tak zaskoczona, że zeszywniała jak kamień. Od dawna nikt jej nie przytulał. Objęta tą pieśczołą jak ciepłą pachnącą wełną usłyszała słowa kuzynki:

– Conchita jest bardzo dobra, sama pani zobaczy. A jej dziecko było godnie poczęte, w małżeństwie. Ale nieszczęsna straciła męża w zeszłym roku.

To była kropla, która przepeliła czarę. Nagle Concha poczuła, że zabrakło jej sił, i wybuchła płaczem. Udało jej się uspokoić, kiedy pani złapała ją pod brodę, otarła jej łzy z policzków i powiedziała:

– Możesz tu zostać już od dzisiaj, jeśli chcesz. Mój syn potrzebuje kogoś takiego jak ty, młodego, silnego i o dobrym sercu. Musisz uratować jego życie za mnie, ponieważ ja nie mogę dać mu niczego.

– Postaram się, proszę pani.

– Ja natomiast postaram się, żebyś zapomniała, że jak sama powiedziałaś, jesteś tutaj, ponieważ nie masz innego wyjścia.

Zapadła cisza, wymiana spojrzeń, nieme porozumienie, które przypieczętowało między nimi obiema pakt niewymagający słów.

– Zaczekaj, chcę, żebyś od razu go poznała – powiedziała pani, wychodząc po kilkumiesięcznego wówczas Amadea.

Jej silne, pewne kroki rozbrzmiały na korytarzu. Chwilę później wróciła uśmiechnięta z Amadeem w objęciach i poprosiła Conchę, żeby po raz pierwszy go nakarmiła. Dziewczyna wzięła dziecko z ostrożnością, z jaką brała własne, usiadła na podnóżku i wyjęła spod warstw znoszonego ubrania prawą pierś. Pani i kuzynka, która spodziewała się porażki, obserwowały ją uważnie.

Amadeo był wątłym dzieckiem o żółtawej skórze i mimo pozycji społecznej rodziny natychmiast wzbudził w nowej mamce współczucie. Być może dlatego, że od razu chwycił jej sutek i zaczął go ssać z taką chciwością i niecierpliwością, z jaką później robił wszystko przez całe życie.

– Niech cię Bóg błogosławi, Conchito – odezwała się pani Maria del Roser, starając się powstrzymać łzy, po czym zapytała: – A ty, dziecko? Też chcesz coś zjeść?

Chociaż nie przyznała się do tego nikomu, Concha nic nie jadła od czterech dni. Była wychudzona. Zastanawiała się nawet, jak tak wyniszczone ciało jest w stanie nakarmić drugiego człowieka. Nieśmiało skinęła głową.

Pani wezwała służącą.

– Powiedz, proszę, Eutimii, żeby na chwilę tutaj przyszła – poleciła.

Eutimia była kobietą, która już dawno skończyła czterdzieści lat, niską, tęgą, szorstką, gadatliwą i sympatyczną jedynie wtedy, kiedy chciała. Jej rumiane policzki i naturalnie śniada skóra zdradzały wiejskie pochodzenie. Pachniała sianem i lawendą. Wydawała rozkazy ze swobodą i odwagą kapitana statku. Jej rola faktycznie nie różniła się zbytnio od tego, co robił stary wilk morski na swoim okręcie. Od ponad dwudziestu lat pracowała jako ochmistrzyni domu i znała sekrety jego murów i mieszkańców z takimi szczegółami, o jakich jej pani nawet się nie śniło. Jurysdykcja Eutimii rozpoczynała się w drzwiach kuchennych i rozciągała się na wszystkie pomieszczenia służbowe, gdzie również była gospodynią, szefową służby, a nawet osobą odpowiedzialną za buchalterię – ona bowiem co tydzień rozliczała się z panem Rodolfem z kosztów prowadzenia domu i nie uszło niczyjej uwadze, że jedynie do niej państwo nie zwracają się po imieniu – jej wpływy zaś zdawały się znacznie rozleglejsze, niż wynikało to z pełnionej funkcji, ponieważ pobierała pensję aż trzy razy wyższą od zarobków innych służących.

Eutimia była wdową. Chodziły słuchy, że jej męża pożarły wilki w ich rodzinnej wsi, chociaż nikt nigdy się nie dowiedział, czy to prawda czy jedynie plotka wymyślona przez służących w trakcie długich zimowych wieczorów. Jeśli była to prawda, musiało do tego dojść, kiedy mieszkała jeszcze nad rzeką Negro, w miejscu zwanym Sierra de la Culebra, Wężowe Góry, którego już sama nazwa przerażała najmłodszych pracowników domu, w tym Conchę. Mówiono również, że przechowuje kilka włosów z wąsów zmarłego męża w medalionie, którego nigdy nie zdejmowała, nawet do spania. Najwyraźniej te włosy były dla niej niezawodnym amuletem i właśnie dzięki niemu posiadała energię dzikiej bestii.

– Eutimio, przedstawiam pani Conchitę – powiedziała pani. – To nowa mamka naszego Amadea.

Ochmistrzyni nosiła świeżo wyprasowany biały fartuch, miała kasztanowe włosy zebrane w kok oraz

czepek na głowie równie nieskazitelny jak reszta ubioru. Skinęła głową wymizerowanej dziewczynie, na co Concha odpowiedziała zbyt późno. Wzrok ochmistrzyni zlustrował ją z naganą już przy pierwszym spotkaniu.

Pani łagodnym głosem poleciła:

– Proszę osobiście dopilnować, żeby Conchita zjadła porządną kolację. Niech Rosalía zdejmie z niej miarę, żeby uszyć jej uniform. I proszę nakazać, żeby przygotowano dla niej pokój.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziała Eutimia, ponownie kiwając głową. – Pozwolę sobie jednak przypomnieć, że jedyne wolne pokoje w domu są brudne i zagracone.

Maria del Roser nie wydała się tym zaniepokojona.

– W takim razie proszę, żeby zostały posprzątane. Na ten czas proszę znaleźć dla niej inne miejsce.

– W pokoju Carmeli, nowej pokojówki, jest wolne łóżko – poinformowała zaradna ochmistrzyni.

– Właśnie, niech zamieszkają razem. Tylko na noc lub dwie, dopóki nie przygotujecie pokoju.

Problem rozwiązany!

– Dobrze, proszę pani. Czy ma pani jakieś preferencje co do tego, w którym z dwóch pustych pokoi powinna za...?

– Och, Eutimio, niech mi pani nie każe się tym zajmować – przerwała pani domu. – Niech Conchita sama wybierze. Z pewnością ma własne upodobania. Chociaż na razie najważniejsze jest to, żeby ją dobrze nakarmić. Nie zwlekajmy już dłużej, proszę. Ta dziewczyna musi coś zjeść.

– Tak, proszę pani. Poproszę Juanitę, żeby się pospieszyła.

Eutimia wyszła z właściwą jej energią, a Maria del Roser znów spojrzała z sympatią na Conchitę.

– Myślisz, że spodoba ci się u nas? – zapytała.

Dziewczyna ponownie skinęła głową, nie potrafiąc powstrzymać łez.

– A więc załatwione. Eutimia zapozna cię z panującymi w domu zasadami. Zostaniesz u nas już teraz? Ach, głupia jestem, przecież musisz zabrać swoje rzeczy, pożegnać się z rodziną... Wybacz, jestem zbyt niecierpliwa. Powiedz, kiedy będziesz mogła zacząć. Ale proszę, żeby to było wkrótce. Tak bardzo cię tutaj potrzebujemy...

Dobytek Conchity ograniczał się do tego, co miała na sobie, i ciężkiego brzemienia smutku i nieszczęścia. Nie miała z kim się pożegnać ani kogo powiadomić o swoim odejściu poza kuzynką, która patrzyła na nią teraz z mieszaniną dumy i podziwu.

– Mogę zostać już teraz – wyjąkała.

– Chwała Bogu! – Pani była tak zadowolona, że swoim entuzjazmem speszyła obie kuzynki. – Wydam odpowiednie polecenia. A ty karm dalej i o nic się nie martw.

To powiedziawszy, zakończyła rozmowę – jak zwykle w dogodnym dla siebie momencie – i wyszła z pokoju.

Concha czuła się tam szczęśliwa od pierwszych chwil. Pani Maria del Roser od początku jej pobytu w rodzinie traktowała ją lepiej, niż życie potraktowało ją kiedykolwiek. Nie tylko dlatego, że ją nakarmiła, dała jej dach nad głową oraz ciepłe i suche miejsce do spania, ale również dlatego, że nowe życie tak bardzo różniło się od tego, które dziewczyna знаła do tej pory, że przez cały czas odnosiła wrażenie, iż znajduje się w jednej z tych wspaniałych opowieści, jakich słuchała, będąc dzieckiem. Pierwsze tygodnie pobytu w domu państwa Laxów wydawały się jej życiem jak z bajki. Z czasem stopniowo przyzwyczaiła się do wszystkiego: do rodziny, dziwactw niektórych jej członków i oczywiście do potrzeb Amadea, którego kochała jak własnego syna, prawdopodobnie mając potrzebę wykorzystania w jakiś sposób swej wielkiej miłości nagle zawisłej w próżni.

Najtrudniej jej było przyzwyczać się do obecności niektórych mieszkańców domu

przypominających widma. Ukazywali się nagle w jakichś drzwiach lub pośrodku korytarza, bezgłośnie, jakby wyłonili się z powietrza, patrzyli na nią nieobecny wzrokiem i nagle ponownie znikali w smutnej samotnej ciszy. Zrozumiała, że to relikty minionej epoki, istoty wycofane, dla których każda oznaka zmiany, jaką stanowią młodzi służący czy dzieci, jest z pewnością tak niepokojąca jak oni dla większości śmiertelników.

– Widma są ciekawe nowości, a jednocześnie boją się ich. Dlatego obchodzą kołyski, nigdy nie podchodząc do nich zbyt blisko – słyszała w dzieciństwie w swojej wsi.

Na drugim piętrze, w pokoiku tak maleńkim, że przypominał szafę, mieszkała leciwa staruszka. Żyła sobie cichutko i tak rzadko opuszczała swoje lokum, że często domownicy o niej zapominali. Zmarła, kiedy Concha była na służbie zaledwie od kilku miesięcy, a jej bardzo skromna uroczystość pogrzebowa świadczyła o tym, że była czyjąś cioteczną babką lub jeszcze dalszą krewną. Nikt nigdy nie wytłumaczył Conchicie pokrewieństwa nieboszczki z resztą rodziny Laxów. W przylegających do siebie pokojach mieszkały dwie ciotki, stare panny, które mogłyby uchodzić za bliźniaczki, gdyby różnica wieku nie wynosiła ponad piętnaście lat. Jedna miała na imię Roberta, a imienia drugiej Concha nigdy nie poznała, ponieważ wszyscy nazywali ją Mimí. Pomimo podobnych rysów twarzy Roberta i Mimí znacznie się od siebie różniły. Pierwsza była ponura, miała zrosnięte brwi, poważny głos i zachowywała się jak wojskowy. Natomiast jej młodsza siostra jakby się zatrzymała w wiecznej młodości, w niespełnionym romantyzmie, przez cały dzień chodziła, wzdychając, patrząc w dal i haftując na tamborku. Tylko Mimí dożyła przeprowadzki do nowego domu, w którym na krótko zajęła pokój na trzecim piętrze. Zmarła tak dyskretnie, że niektórzy mieli co do tego wątpliwości. Jeszcze wiele lat po jej śmierci zdarzało się, że słyszano dochodzące z jej sypialni westchnienia po straconych szansach.

Mamka starała się nie myśleć zbyt wiele o tych wszystkich wiekowych duszach. Nie było to trudne, ponieważ młodość przeganiała to co stare. W tym czasie Conchita żyła jedynie dla Amadea, którego natychmiast uznała za syna ofiarowanego jej przez los w zamian za to wszystko, co jej zabrał. Kiedy urodził się Juan, zaproponowała, że się nim zajmie, wierząc, iż ma wystarczająco dużo mleka dla obu chłopców, ale pani delikatnie odmówiła. Tym razem sama mogła zająć się synem. Concha była zadowolona z takiego obrotu sprawy, na krótko bowiem pozwoliło jej to odwrócić role: wprowadzała panią w tajemnice wychowywania niemowlęcia, w czym była prawdziwą mistrzynią. Jednocześnie Maria del Roser Golorons jeszcze bardziej doceniła pracę wiernej Conchity, ponadto obie kobiety połączyły niespodziewane więzi: więzi zrodzone z tego, co istnieje ponad pieniędzmi i społecznymi podziałami.

Oczywiście w domu były również osoby, które nie mogły znieść tych nowych porządków. Na przykład Eutimia.

– Udaje niemowę, ale mnie się zdaje, że to zmija. Miejmy nadzieję, że poza głosem niczego innego jej nie brakuje. W tym domu nie ma miejsca dla bezwstydnic.

Eutimia mówiła tak o Conchicie do pozostałych służących, nie przejmując się jej obecnością. Robiła to pod nieobecność pani, krzając się lub siedząc przy wielkim kuchennym stole nakrytym zawsze nieskazitelnym obrusem i grając sama ze sobą w karty. Oczywiście Concha doskonale słyszała jej komentarze, lecz nigdy nie odważyła się nic jej powiedzieć. W ochmistrzyni było coś brutalnego, co ją przerażało. W ciągu pierwszych miesięcy pobytu u państwa Laxów właśnie Eutimia była jedyną osobą, która wzbudzała w niej strach i źle ją traktowała.

Ochmistrzyni miała rację co do jej milczenia. Od rana do wieczora mamka ledwie się odzywała. Inni robili to za nią, a przynajmniej tak jej się wydawało, ona zaś słuchała ich, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Nikt tego nie zauważał. Większość mieszkańców domu całkowicie ją ignorowała.

Milczenie było jej jedyną obroną przed nieznanym.

Nie było niczego dziwnego w tym, że nie zwracano na nią uwagi. Przecież całymi dniami siedziała samotnie, nie licząc towarzystwa Amadea i od czasu do czasu spotkań z panią. Jej praca i plan dnia różniły się od zadań pozostałych służących.

Poruszała się z całkowitą swobodą po takich częściach domu, do których reszta służby nie miała wstępu. Jadła lepiej od wszystkich i o własnych porach. Cieszyła się większymi względami jako osoba, w której rękach leżało życie pierworodnego syna rodziny. Później dowiedziała się, że inne mamki domagają się takich przywilejów przed rozpoczęciem pracy w danym domu, ona zaś dostała to wszystko jakby w prezencie, według niej niezasłużonym. I chociaż zawsze wiedziała, że nic z tego nie jest i nigdy nie będzie jej własnością, nauczyła się tym cieszyć.

Eutimia nie mogła znieść, że ta smarkula korzysta z przywilejów, których ona nigdy nie miała. Zżerała ją zazdrość.

– Ty spryciaro, jeśli dowiem się, że nie masz mleka, obetnę ci cycki nożem do patroszenia, jasne?

Odpowiedzią Conchity było milczenie.

Nigdy nikogo by nie oszukała. Tym bardziej pani, jedynej osoby o dobrym sercu, jaką poznała od długiego czasu. Dlatego też na samą myśl, że Amadeowi mogłaby stać się krzywda, za serce chwycił ją strach.

Z początku żyła w swego rodzaju bańce spokoju. Tylko czasem można ją było spotkać przelotnie w kuchni, w czasie obiadu lub po południu, kiedy odpoczywała od niemowlęcia. Dopiero wieczorem schodziła do sutereny, gdzie wkrótce po przybyciu Conchity do domu przygotowano dla niej pokój. Ale nie była sama dzięki łaskawej decyzji pani podjętej pewnego dnia o świcie, kiedy płacz Amadea wyczerpał jej cierpliwość. Maria del Roser w nocnej koszuli zapukała do drzwi pokoju mamki, błagając ją, żeby zajęła się chłopcem, bo inaczej ona zwariuje. Od tamtej chwili przez cztery lata Amadeo spędzał noce w suterenie z Conchą i resztą służących.

W ciągu dnia mamka i chłopiec przebywali w tak zwanym pokoju zabaw, dość ciasnym pomieszczeniu na najwyższym piętrze, stanowiącym dawniej salonik jednej z prababć, której wkładem do rodzinnej historii było obszycie wszystkiego koronkami i przystrojenie mebli serwetkami wydzierganymi na szydełku. Ten słoneczny w zimie, a zacieniony latem pokój ozdobiony był okazałymi, niepasującymi do niczego stiukami. Amadeo spędził pierwsze lata życia pomiędzy tymi dwoma światami – strojnym salonikiem i ponurym pokojem dla służby – póki nie przeprowadzili się do nowej rezydencji, wtedy bowiem Maria del Roser postanowiła wprowadzić pewne zmiany.

Ale w czasie, o którym mówimy, Amadeo był jedynakiem i Conchitę rozpierała duma, że w ciągu zaledwie miesiąca przybrał pięć kilogramów. Również jej wymizerowane ciało nabrało kształtów, ona zaś przez to wyglądu zdrowszego i bardziej odpowiedniego do swojego wieku. Na twarzy pani Marii del Roser troska ustąpiła miejsca szczęśliwemu uśmiechowi.

– Jesteś naszym aniołem, Conchito! Darem niebios!

Tak, Concha nie przejmowała się niechęcią pozostałych służących. Jej terytorium stanowił pokój na ostatnim piętrze, który na początku zadziałał na jej rany jak balsam. Rano, kiedy karmiła niemowlę, Carmela przynosiła jej na tacy śniadanie. Jajka, świeżo upieczoną bułeczkę, czasami trochę wędliny czy twarogu, jakiś owoc i mleko. Kiedy po raz pierwszy ujrzała to jedzenie i zrozumiała, że jest przeznaczone dla niej, nie mogła powstrzymać łez. Lecz chwilę później poczuła się śmiesznie: płakała nad jedzeniem? Ona, która doświadczyła tyle cierpienia? Czy w ciągu kilku dni tak bardzo zmiękczyło ją życie bogaczy? Chwilowo miała zakaz picia kawy z cykorii – prawdziwa kawa bowiem była zarezerwowana dla państwa – ponieważ powszechnie uważano, że dodaje goryczy mleku, podobnie jak herbata, szparagi, ocet i inne potrawy. Ale nawet bez tego jej dieta stanowiła luksus, jakiego do tej

pory nie zaznała.

Po śniadaniu wyjmowała z szafy jedno z wielu ubranek i spokojnie stroiła dziecko na codzienny spacer. Pani Maria del Roser wkrótce zaufała jej wyborom i nigdy nie wtrącała się w te przygotowania będące dla Conchity najprzyjemniejszym zadaniem w ciągu dnia. Następnie odziewała się sama, pamiętając o szczegółach. Granatowy uniform, bielusiński fartuszek, nakrochmalony czepek, wypolerowane buty i złoty medalik z Matką Boską z Montserratu, który pani podarowała jej na urodziny. Tak wystrojona wkładała dziecko do wózka i wychodzili na spacer.

Wolnym krokiem przemierzała ulice Riera Alta i Ferran, pozdrawiając inne niańki – wkrótce większość z nich znała z widzenia – ciesząc się ciepłem pachnącego morzem powietrza i nieustannie się uśmiechając. Trochę później wychodziły młode panny, niektóre w towarzystwie swoich matek, inne ze srogą piastunką czy guwernantką, szeleszcząc jedwabiami, cienkimi muślinami i taftami spacerowych sukien. Prostota jednych błyszczała obok nadmiernej ostentacji innych, ale każdy mógł odnaleźć w tej rewii coś dla siebie. Około godziny pierwszej na miasto wylegały damy, jadąc powozami w towarzystwie woźnicy i lokaja. Można było również spotkać dżentelmenów konno lub – w przypadku bardziej postępowych – na rowerze.

Trasa spaceru stawała się paradą wytworności i elegancji, ciągłym zdejmowaniem i nakładaniem cylindra, szybkim uściskiem rąk okrytych rękawiczkami z rosyjskiej skórki i litanią pozdrowień dla rodziny. A ponieważ to wszystko nie robiło odpowiedniego wrażenia w wąskich uliczkach starego miasta, co bogatsi zastanawiali się już, gdzie mogliby się przeprowadzić, żeby widać ich było lepiej.

Skrywane na lepszą okazję nieśmiałe damskie uśmiechy wprowadzały niektórych w podły humor. Inni, być może dobrze urodzeni młodzieńcy uganiający się za pięknosciami, interpretowali je jako ledwo dostrzegalny, ale oczywisty znak i dawali się ponieść euforii zwycięzców. Jeszcze innych oburzał widok przejeżdżającej powozem kochanki jednego z młodych dziedziców, mającej czelność stawiać się na równi z tymi, którzy ją krytykowali. Milkli jednak, kontemplując kobietę, której uroda podobno była równie wielka jak wulgarność.

Całe to stroszenie piórek osiągało szczyt w południe, przyciągając wszystkich, nawet tłumy bosych obdartusów ze spodniami podtrzymywanymi kawałkiem sznurka, bladymi z głodu policzkami i twarzami brudnymi od węgla, którzy codziennie wystawali na skraju alei, żeby z bliska przyjrzeć się bogaczom.

Conchita wiozła swojego jedenastokilowego niemowlaka, demonstrując złoty medalik i szczery uśmiech. Nigdy do tej pory tak mało nie obchodził jej upływ czasu i nie była tak szczęśliwa.

Spoglądając na Amadea, już wtedy w jakiś sposób wyczuwała, jaki będzie ich los. Okoliczności sprawiły, że stała się świadkiem życia drugiego człowieka. Jak również doradcą, marionetką i prawdopodobnie jedyną osobą zdolną kochać starszego z braci Laxów, wiedzącą o nim wszystko. Concha nie mogła się temu przeciwstawić. Amadeo zawsze będzie jej dzieckiem, i oboje o tym wiedzieli. Był wrażliwym, porywczym, błyskotliwym chłopcem... zawsze wyróżniającym się, zawsze ignorującym innych, chyba że się im sprzeciwiał. Zawsze niezrozumiany. Samotnik z wyboru lub z natury.

Amadeo kochał ją na swój sposób. Płakał po jej śmierci. Była jedyną kobietą w jego życiu, po której płakał. Kilka lat wcześniej pozowała do jednego z jego pierwszych portretów zatytułowanego *Anioł dzieciństwa*. Tylko za pośrednictwem obrazu mógł jej powiedzieć, jak wiele dla niego znaczyła.

Na pogrzeb anioła dzieciństwa prawie nikt nie mógł przyjść. Jej trudne dziecko, które wyrosło na kapryśnego mężczyznę, przebywało bardzo daleko. Podczas uroczystości pogrzebowej nie było przemów ani śpiewów, o jakich zawsze marzyła, ani jej Amadeo nie wygłosił krótkiej mowy. Wszystko odbyło się szybko, prawie potajemnie, z kilkoma strzałami brzmiącymi w tle. W ostatniej drodze

matce towarzyszyły jedynie dwie osoby: Aurora i Higinio. Ona miała smutny zaszczyt być ostatnią służącą pracującą w domu państwa Laxów. On w pewnym sensie uratował wszystko. Oboje płakali szczerymi łzami.

Namalowana grubą kreską scena pogrzebu Conchity miała miejsce 24 lipca 1941 roku, w nowych czasach, które prawie całkowicie zatarły niegdysiejszy świat Laxów. Z lepszych czasów pozostało jedynie nazwisko Amadea, sławne w świecie, w którym już nic nie robiło na nikim żadnego wrażenia. Dom stał nadal, a oni go bronili, lecz w nocy w pokojach panowała przerażająca cisza. Cisza po nieobecnych, których ktoś nadal często wspomina.

Czas płynął niewzruszenie i najgorsze było to, że nie miał zamiaru się zatrzymać.

Ale podobnie jak życie może nas zaskoczyć nagłym końcem, czasami również daje nam nowe możliwości. Szansę na odrodzenie.

Cisza. Skrzypnięcie bramy. Ktoś przechodzi przez wiekowe drzwi wejściowe, patrzy zaskoczony, odważa się pozostawić ślad na kurzu pokrywającym marmurową posadzkę sieni.

Zagłębia się w tajemnicę. Idzie naprzód.

Ilekcio dzieje się coś takiego, ściany i duchy ogarnia strach.

Anioł dzieciństwa, 1905

Olej na płótnie, 75 x 40 cm

Barcelona, MNAC, kolekcja Amadea Laxa

Concha Martínez Cruces (1870–1941) rozpoczęła pracę w domu państwa Laxów jako mamka malarza, kiedy on miał kilka miesięcy, a ona nie skończyła jeszcze dwudziestu lat. Pozostała związana z rodziną, w której służyła również jako piastunka, pokojówka, dama do towarzystwa pani Marii del Roser de Lax, matki artysty, i ponownie jako niańka opiekująca się jedynym synem malarza aż do wybuchu wojny domowej oraz późniejszego wyjazdu chłopca do Francji. Zmarła na zapalenie płuc w 1941 roku. Była osobą kochaną przez kilka pokoleń i bez wątpienia bardziej stanowczą, niż można by sądzić po tym jedynym przedstawiającym ją portrecie.

To wczesna praca, Amadeo Lax namalował ją, mając zaledwie piętnaście lat. To również pierwszy z jego obrazów rodzinnych, które w kolejnych latach nabiorą w jego twórczości tak wielkiego znaczenia. Można tu zauważyć początki rozwijającego się stylu artysty: światło połączone z gamą jasnych barw oraz motywami roślinnymi w tle – wśród nich żywo wyróżnia się geranium i hortensje – pogodny wyraz twarzy modelki oraz naturalność sceny ukazującej kobietę nalewającą napój do czterech szklanek z delikatnego kryształu.

Tytuł został napisany odręcznie przez autora na odwrocie płótna.

Co ciekawe, wewnętrzny dziedziniec widoczny na obrazie znajdował się w rodzinnym domu malarza i został wyremontowany kilka lat później, latem 1936 roku. Podłogę pokryto parkietem, mury mozaiką w stylu art déco, a na ścianie w głębi rośliny i kwiaty ustąpiły miejsca freskowi *Nieobecna Teresa*, przez wielu uznawanemu za najlepsze dzieło artysty.

Amadeo Lax, portrecista (katalog wystawy),
Muzeum Thyssena-Bornemiszy, Madryt, 2002

III

Violeta nie przychodzi sama.

Towarzyszy jej dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich, młody, w niebieskiej marynarce i krawacie w paski, wygląda trochę jak beztrocki dzieciak, który nie przyzwyczał się jeszcze do ubierania jak dorosły mężczyzna. Podczas spotkania będzie się trzymał na drugim planie i przerywał milczenie jedynie po to, żeby pokazać swoją naiwność.

Drugi mężczyzna jest szczupły, przygarbiony, ma gęste siwiejące włosy, niezdradzające wcale jego prawie sześćdziesięciu lat, oraz oczy ukryte za grubymi szklami okularów w rogowych oprawkach. Nazywa się Arcadio Pérez i wygląda na człowieka zdruzgotanego jakimiś nieuniknionymi okolicznościami, chociaż uśmiecha się, a jego gesty są energiczne. Ma na sobie zbyt dużą białą koszulę, pomietaną wełnianą marynarkę, spodnie w kolorze khaki, skórzany pasek z metalową sprzączką i mokasyny z chwostami. W odróżnieniu od towarzyszy od dawna zna to miejsce i zdaje się zadowolony z roli przewodnika.

– Słyszałem, że to niesamowity dom – odzywa się młody człowiek, rozglądając się u stóp marmurowych głównych schodów. – Niech pan prowadzi, Arcadio.

Violeta również się zatrzymała. Patrzy w górę. Kręci głową z niesmakiem. Wygląda bardzo stylowo pomimo prostego, prawie niedbałego ubioru: džinsów, żółtej bluzki, butów z cholewkami i czarnej skórzanej kurtki. Jej blada karnacja kontrastuje z czernią lekko potarganych półdługich włosów.

Ma cienkie usta, lekko skośne oczy, prosty nos i wystające kości policzkowe. Jej rysy nie potrzebują makijażu, żeby się wyróżniać. Nie jest piękna, ale sympatyczny wygląd i wrodzony optymizm dodają jej atrakcyjności. Chociaż to, co widzi, nie pozwala jej okazać tego optymizmu.

Jej sposób poruszania się natychmiast przywodzi na myśl niektórych jej przodków. Ma dystyngowany wygląd, który zawsze charakteryzował jej dziadka Amadea, chociaż u niej wytworność nie miesza się z arogancją. Wyraz twarzy, błysk w oczach, delikatne gesty i bladość skóry odziedziczyła po Teresie, aczkolwiek nikt nie chce ani nie może tego potwierdzić. Jest w niej również cień rysów Marii del Roser, a jej widoczna kruchość natychmiast przywołuje skojarzenia z tą drugą Violetą, jej poprzedniczką, nieszczęsną zmarłą dziewczynką z kieszeniami pełnymi marzeń o przyszłości. Nie jest kimś obcym, lecz spadkobierczynią rodu.

Troje ludzi wchodzących razem należy rzecz jasna do zupełnie innych światów, dla których marmurowa sień stała się swego rodzaju punktem zbornym.

– Uważaj, jest bardzo brudno – ostrzega Arcadio Violetę.

– Jak to możliwe? – pyta Violeta szeptem, otwiera szeroko oczy ze zdziwienia i przygląda się wszystkiemu wokół, nie przestając kręcić głową.

– Uprzedzałem cię, że wszystko jest bardzo zaniedbane. Aż żal, że doprowadzili to miejsce do takiego stanu. A raczej że niczego tu nie zrobili.

Młody mężczyzna chyba czuje się nieswojo. Znalazł się tu jako przedstawiciel instytucji, którą oskarża się o zaniedbanie, i chociaż jego nie było jeszcze na świecie, kiedy w tym wielkim domu zaczął zbierać się kurz, jego skrzepowanie jest nieuniknione. Ale oczywiście nie mieli na myśli jego. Już kilka minut temu zapomnieli o jego obecności.

Nie dotykając zakurzonych roślinnych motywów balustrady, Violeta stawia stopę na pierwszym stopniu schodów.

– Chciałabym zobaczyć fresk – wyznaje, pnąc się w górę.

Idzie powoli. Chce przyjrzeć się detalom, przerazić się stanem tego wszystkiego. Jednak jej strach nie ma w sobie nic lub prawie nic osobistego. Była tu tylko raz, jako mała dziewczynka, którą przyprowadził Modesto, jej ojciec. Pamięta drzwi wejściowe i schody, poważną minę zapłakanej służącej, światło sączące się przez wspaniałe kolorowe witraże na pierwszym piętrze, majestatyczną trumnę przed rzeźbionym kominkiem i leżącego w niej, jakby spał, swojego dziadka Amadea, człowieka, którego ledwie знаła.

Trzydzieści sześć lat później Violeta ponownie przemierza tę samą drogę. Drzwi, schody, korytarz z mozaiką na podłodze i sufitem ozdobionym sztukaterią, główny salon, wielki kominek, przeszklone drzwi prowadzące na dawny dziedziniec wewnętrzny... Szczegóły i ich rzeczywiste rozmiary są dla niej nowe, ale robią tak samo duże wrażenie jak wtedy.

Violeta dociera do samego dna swojego najstarszego wspomnienia. Zatrzymuje się mniej więcej w tym miejscu, gdzie stała trumna Amadea Laxa. Rozgląda się wokół przygnębnym wzrokiem. Arcadio mówi:

– W czasach jego świetności musiało być tu wspaniałe, prawda?

Violeta powstrzymuje się od komentarza i idzie dalej. Popycha drzwi prowadzące na dziedziniec wewnętrzny. Warstwa szarego kurzu kryje dawny blask nietkniętych szyb. Violeta wychodzi na patio ze wzrokiem utkwionym we wznoszącą się w głębi ścianie, z której wita ją w niezwykle sposób Teresa swoim zagadkowym wyrazem twarzy. Fresk olśniewa pomimo godnego pożałowania stanu. Nadal stanowi imponujące dzieło, którego widok zapiera dech w piersiach. Całą przestrzeń zajmuje sylwetka kobiety namalowana ciemnymi barwami, grubymi gwałtownymi pociągnięciami pędzla. Violeta nie pamięta jej z wcześniejszej wizyty. Zastanawia się, czy taki obraz jak ten, widziany oczami dziecka, mógłby nie pozostawić w niej żadnego śladu. Być może miały na to wpływ okoliczności: po krótkim pożegnaniu zmarłego dziadka Modesto z córką pospiesznie opuścili dom. Teraz jednak Violeta patrzy z wielkim wzruszeniem. Przecież sportretowana kobieta była jej babką. Zgodnie z tytułem obrazu nieobecna, nieznaną, o którą nigdy nie wypytywano, o której nigdy się nie mówiło i którą umyślnie okryto zasłoną zapomnienia.

Violeta się nie odzywa. Jej milczenie mówi za nią. I blask jej oczu mających coś wspólnego z portretem, na który patrzą.

Arcadio idzie za nią i staje za jej plecami, również przyglądając się Teresie.

– Cieszę się, że udało ci się przyjechać – mówi.

– Niełatwo było mi podjąć decyzję. Byłam skłonna odwołać podróż. Jutro w Art Institute zostanie otwarta wystawa portrecistów. Jak wiesz, był to mój osobisty projekt, o który musiałam stoczyć wiele bitew. W końcu wyszło świetnie, ale ominą mnie gratulacje i honory.

Oboje milczą. Pretekstem do ich kilku ostatnich rozmów była właśnie ta wystawa, na której zaprezentowano również obrazy Amadea Laxa, oczywiście dzięki wypożyczeniu ich przez Museu Nacional d'Art de Catalunya oraz prywatnego kolekcjonera.

– Chociaż po głębszym zastanowieniu przyznaję, że wolę być tutaj – mówi Violeta z uśmiechem.

Poważną atmosferę przerywa nadejście młodego urzędnika. Kiedy przechodzi przez przeszklone drzwi, wymyka mu się:

– O kurczę! – I zaraz pyta naiwnie: – Co to jest?

Nikt nie odpowiada. Violeta stoi zamyślona. W postawie pełnej uszanowania, jakie wzbudzają arcydzieła.

Chłopak nie daje za wygraną:

– To należy do rządu czy do rodziny?

Pytanie przenosi Violetę kilka lat wstecz, do momentu gdy rozpoczęły się spory o spuściznę po malarzu.

– Niestety do rządu – odpowiada Arcadio, zawsze zbyt uczciwy, żeby walczyć z instytucjami. A być może niemający wystarczającej do tego odwagi.

Pomimo to bronił interesów Laxów, jak nie zrobiłby żaden z prawowitych spadkobierców malarza. Kiedy Violeta w studenckich czasach mieszkała w Barcelonie, dom zamknięty był na cztery spusty, a ona zbyt zajęta innymi sprawami. Absolutnie nie interesowały jej spory sądowe, w które uwikłani byli adwokaci rodziny i autonomicznego rządu, pomimo że Arcadio na bieżąco ją o wszystkim informował. Kiedy osiągnięto jedyne możliwe porozumienie, ona mieszkała już w Stanach Zjednoczonych i Arcadio jako jedyny reprezentował rodzinę przed władzami. Z lenistwa lub wygodnictwa wszyscy sądzili, że porozumienie to zadowoliłoby samego malarza. Arcadio i Violeta zawsze pozostawali ze sobą w kontakcie, a nawet spotkali się kilkakrotnie w Chicago, podtrzymując przyjaźń opartą na podziwie dla Amadea Laxa.

– No cóż, przypuszczam, że obraz nie jest wieczny – mruczy pod nosem Violeta.

Podczas długiego milczenia urzędnikowi przychodzi na myśl kolejne pytanie, którego nie wypowiada. Arcadio i Violeta znów zaczynają rozmawiać w onieśmielającym go bardzo osobistym tonie:

– To była twoja ostatnia szansa, Vio.

– Dlatego jestem ci wdzięczna, że mnie w to wciągnąłeś. Nie darowałabym sobie, gdybym nie przyjechała.

– Ktoś z rodziny powinien być obecny. Chociażby po to, żeby się sprzeciwić.

– Ty jesteś jak członek rodziny.

Arcadio ściszył głos, dając do zrozumienia, że mówiłby bardziej otwarcie, gdyby nie było z nimi przedstawiciela władz.

Na kilka sekund wszyscy troje zapadają w wyczekujące milczenie.

Młody urzędnik postanawia wykorzystać szansę.

– Czy to namalował Amadeo Lax? – pyta, wskazując spojrzeniem fresk.

– To jego największe dzieło – odpowiada Arcadio.

– I co ono tutaj robi?

– O to – wzdycha zarządca – powinien pan zapytać swoich przełożonych.

– Przepraszam – odpowiada chłopak, łapiąc w lot przytyk.

– Jej spojrzenie nadal budzi strach. Jest takie smutne... – odzywa się Violeta, w rzeczywistości mówiąc do siebie. Dla niej babcia Teresa nigdy nie była bardziej obecna niż właśnie w tej chwili.

Arcadio próbuje się uśmiechnąć.

– Nie dziwię się. Czy opowiadałem ci, że kiedy po raz pierwszy przyszedłem do tego domu, twój dziadek przyjął mnie tutaj, w gabinecie? Jego fotel stał po tej stronie – wskazuje miejsce na podeście – tyłem do tej ściany. A ja usiadłem w fotelu stojącym tam, obok drzwi. Przez całe spotkanie wydawało mi się, że Teresa nas obserwuje.

Przeważnie ludzka pamięć jest krótka i niedokładna. Jednak w tym przypadku wspomnienia Arcadia są zgodne z prawdą.

Kiedy Arcadio Pérez przyszedł tutaj po raz pierwszy, był studentem sztuk pięknych mającym absurdalne ambicje, aby być kubistą, i darzącym wielkim uwielbieniem Amadea Laxa. U schyłku życia artysta, który nie wychodził już z domu, był kupką kości pokrytych półprzezroczystą skórą. Arcadio wywalczył spotkanie z nim pod pretekstem wywiadu dla gazety studenckiej i chyba trafił na dobrego Laxa, który zgodził się go przyjąć. Tym bardziej że w tamtych czasach – był rok 1972 – malarz

rzadziej niż kiedykolwiek tolerował wkraczanie w swoją przestrzeń obcych ludzi i nie był w nastroju do rozmów ani o sztuce, ani o niczym innym. Nie malował już od ponad dziesięciu lat.

Arcadio przyniósł ze sobą pudełko czekoladek z Casa Foix i kilkanaście pytań, które odważył się zadać jedno po drugim, usiadłszy nieśmiało w fotelu. Gospodarzowi domu pytania wydały się ciekawe i odpowiedział na nie z przyjemnością, natychmiast obdarzając młodego dziennikarza sympatią. Przyczyna tego cudu jest tak stara jak słabości ludzkiej duszy: nic lepiej nie działa na artystę, o którym już nikt nie pamięta, jak wielbiciel o niezwyklej otwartości i dobrej pamięci. Arcadio od razu wydał mu się szczery, w jego głosie nie słyszał kłamstwa i ani krzty złości, w wypowiedziach zaś wyczuwał pełen szacunku jawny podziw. Miał czystą duszę.

Po spotkaniu leciwy mistrz poprowadził go po pozbawionych mebli ciemnych piętrach domu, przesiąkniętych zapachem zapomnienia i zamknięcia. Właśnie w tych godnych pozazdroszczenia okolicznościach Arcadio miał zaszczyt zwiedzić najlepsze muzeum, jakie można pokazać komuś: muzeum rozkładu ludzkiej egzystencji.

Po przeszłości nie pozostał prawie ślad. W kominku wielkiego salonu można było dostrzec resztki popiołu. Pokoje na piętrze spały snem zapomnienia i nudy, tęskniąc zapewne za kobietami, które je kiedyś zamieszkiwały: Marią del Roser, pierwszą Violetą, Teresą, Conchitą... Po nieobecnych w pokojach uchowały się jedynie osierocone przedmioty: popruta dziecięca czapeczka, z której nadal zwisał wyświechtany wełniany pompon; szczotka ze złamaną rączką; koraliki różańca rozsypane po drewnianej podłodze...

Otwarte drzwi nic nie ukrywały. Dom przypominał wielki pusty grób. Tylko przebudowany dziedziniec wewnętrzny i pokoik na strychu zachowały tchnienie życia.

Amadeo Lax, wspierając się na ramieniu młodego wielbiciela, zatrzymywał się przed własnymi obrazami wiszącymi bez ładu i składu na wszystkich ścianach, żeby opowiedzieć o nich z wyniosłością twórcy, cieszyć się swoją malarską odwagą, chwalić anegdotami i czekać na reakcję wrażliwego młodzieńca.

– Czy zna pan Ramona Casasa? – zapytał.

– Tak, oczywiście.

– Bardzo podobało mu się to płótno. Sądzę, że próbował je skopiować w jednym ze swoich ostatnich obrazów, ale nie pamiętam teraz w którym. Oczywiście powiedział, że to był hołd dla mnie.

A przed jednym z portretów krewnych zagadnął:

– Czy patrząc na ten obraz, jest pan w stanie odgadnąć myśli modelki? Proszę o szczerść.

Arcadiowi udawało się mówić to, co pragnął usłyszeć Lax, i zachowywać szczerść. Talent ten umożliwił mu wstęp do ostatniej ostoji malarza: na poddasze pełne gratów i płócien, gdzie prawie nikt nigdy nie wchodził z wyjątkiem samego Laxa.

To tam Arcadio po raz pierwszy ujrzał wyjątkowy niepokojący kobiecy akt z kolekcji. Od razu zaskoczył go niesamowitą tematyką oraz wulgarną śmiałością. Przedstawiał młodziutką kobietę siedzącą z rozchylonymi nogami w wytwornym fotelu, ze wzrokiem utkwionym prosto w widza. Srom – zaledwie dwa ciemne pociągnięcia pędzla – błyszczał jak świeżo otwarta rana. Obraz nosił włoski tytuł: *Il falso ricordo, Fałszywe wspomnienie*.

– Miałem zamiar spalić go przed śmiercią – powiedział mu Lax.

– Dlaczego? – zapytał w ekstazie adept sztuki.

– Ponieważ nikogo nie obchodzi.

Szli dalej.

– I zmienił pan zdanie?

– Lepiej. Sprzedałem go. Prywatnemu kolekcjonerowi. Jakiemuś holenderskiemu, szwajcarskiemu

czy węgierskiemu baronowi, nie pamiętam już. Wspaniały człowiek. Powiedział mi, że zamierza powiesić go w swoim domu w Londynie. Idealnie, ponieważ nie chcę, żeby wisiał w muzeum, a pieniądze mi się przydadzą.

Arcadio nie zadawał więcej pytań. Stwierdził jedynie:

– Sądziłem, że nie interesowały pana akty. To znaczy jako temat.

Lax nie odpowiedział. Wydawał gardłowe dźwięki podobne do odgłosu rur, kiedy się zapchają.

Ruszyli w dalszą drogę i wrócili na dawny dziedziniec, przed portret Teresy. Kiedy ponownie znaleźli się w gabinecie i usiedli naprzeciw siebie, Lax wyszeptał:

– Jedynym sposobem na zatrzymanie kobiety jest namalowanie jej.

Stopniowo wizyty Arcadia u wielbionego przez niego malarza stały się zwyczajem. Z początku szukał dla nich pretekstu – chcąc pokazać mu swoją raczkującą twórczość, prosząc o fachową poradę, przynosząc egzemplarz pisma, w którym ukazał się wywiad, lub po prostu pytając o jego zdrowie. W końcu nie potrzebował już powodu, żeby przejść przez drzwi serdecznego porozumienia, jakie się między nimi zrodziło. Poza tym Arcadio był idealnym towarzyszem dla starego Laxa. Uważnym jak domowy pielęgniarz, schlebiającym jak wielbiciel, którym w rzeczywistości był, i skrupulatnym jak syn. I był dyskretny. Nie tylko w odniesieniu do tego, co widział, ale również do tego, co pozostawało w ukryciu. Nigdy na przykład nie zapytał Laxa o nieobecność krewnych. Wszystko przypisywał ekscentrycznemu stylowi życia artysty. Nie wściubiał nosa w nie swoje sprawy. Krótko mówiąc, w jednej osobie łączył wszystko, czego Lax potrzebował, żeby pożegnać się ze światem, sądząc, że jest nadal tym, kim przestał być tak dawno temu. Arcadio szanował też jego zwyczaje.

Z upływem lat, prowadząc życie samotnika, Lax stał się człowiekiem nieprzestrzegającym żadnego planu dnia, żyjącym według swoich dziwnych upodobań. Jednym z nich było słuchanie radia. Budził się o tej samej porze co słynny Carlos Herrera i słuchał z wielkim zainteresowaniem, nie robiąc nic więcej aż do zakończenia audycji. Często wieczorami rozmawiał z Arcadiem o tym, co powiedzieli rozmówcy, jak gdyby dyskusja odbyła się u niego w domu. I oczywiście nigdy nie kwestionował tego, co mówił lub myślał Herrera. Często nawet go cytował – „Jak to mówi Carlos Herrera...” – szczególnie rozmawiając o polityce będącej obszarem, na którym podzielał poglądy ulubionego dziennikarza. Wieczorami na przemian spał i robił plany. Nostalgia ogarniała go tylko wtedy, kiedy rozmawiał o sztuce. Wzruszał się, wspominając Modesta Urgella, którego widział zaledwie kilka razy w życiu, lecz zawsze uważał za swojego mistrza. Jak również Romà Riberę i Francesca Masrierę, których sukcesu i popularności w żaden sposób nie można było porównać do odniesionych przez niego, ale nadal ich postrzegał jako wspaniałych artystów.

Lax wkrótce zaproponował panu Pérezowi – jak się do niego zwracał – żeby został jego osobistym sekretarzem. Wiele spraw wymagało zakończenia, a nie pozostało mu wiele czasu. Przez kilka miesięcy pracowali nad projektem wymarzonego muzeum, które ostatecznie nigdy nie powstało. A potem czas się skończył.

Przy okazji czuwania przy zwłokach malarza Arcadio i Modesto po raz pierwszy ze sobą rozmawiali. Violeta szła, trzymając ojca za rękę, chociaż nie może tego pamiętać, ponieważ miała wtedy zaledwie cztery lata. Nie pamięta także różnych ważnych osób, które zebrały się w salonie kominkowym, ani wygłoszonych przez nich przemówień, a tym bardziej momentu, kiedy ciało Laxa po raz ostatni przekroczyło bramę. Po minionych dniach, po wystawnych pogrzebach, podczas których z wielką pompą żegnano jej przodków, nie pozostał ślad. Świecki pogrzeb Amadea był smutny. Większość obecnych przyszła jedynie po to, żeby znaleźć się na zdjęciach, które następnego dnia opublikowała prasa. Prowadzono szeptem rozmowy na wszelkie tematy, nie zachowując zbyt dużego szacunku dla zmarłego, i tylko nieliczni wspomnieli o testamencie dziwacznym jak wszystko inne. Człowiek umiera

tak, jak żył: Lax nawet po śmierci zaskoczył krewnych swoją ostatnią wolą. Jedyńemu synowi Modestowi zostawił tylko resztki ledwie ziściących rodzinnych firm i ochłapy na kontach bankowych. Z wielkiej fortuny Laxów nie ocalało prawie nic. To, co nie popadło w ruinę, zostało rozkradzione lub przepadło podczas wojny domowej. Arcadio otrzymał niewielką sumę w gotówce. Mała Violeta mieszkanie przy Rambla de Catalunya, w samym centrum miasta.

Jeśli chodzi o obrazy, Amadeo Lax od początku miał jasny plan: prywatną kolekcję, na którą składały się obrazy, studia i szkice, przekazał w całości autonomicznemu rządowi Katalonii, podobnie jak dom z całą jego zawartością, pod warunkiem że zostanie w nim otwarte muzeum poświęcone jego osobie. Nic nie pozostawił przypadkowi. W testamencie zawarł szereg zaleceń dotyczących przyszłego muzeum, mianował Arcadia wykonawcą testamentu, a wszystkie pieniądze, jakie mu pozostały, przekazał do kasy rządu autonomii, żeby nic nie zagroziło spełnieniu jego marzenia.

Nie wziął jednak pod uwagę, jak krótką pamięć mają politycy, jeśli chodzi o spełnianie obietnic.

Mimo to jego sekretarz gotów był walczyć ze wszystkich swoich sił. Nawet udało mu się zebrać tysiące podpisów popierających projekt, co również nie odniosło skutku. Za każdym razem pokonywały go wybiegi urzędników. Bardzo szybko zamknęli przed nim swoje drzwi politycy, którzy wygłosili tyle słów w czasie pogrzebu malarza, i rozpoczęły się ciche podchody, rozmowy telefoniczne, skargi i przypomnienia. Przedstawiciele władz prędko znaleźli wymówki, żeby opóźnić projekt, bezpiecznie umieścili obrazy w piwnicach innych muzeów i zamknęli dom, obiecując przez cały czas prace remontowe, które nigdy się nie rozpoczęły. Strategia urzędników polegała na unikaniu definitywnej odmowy. Nigdy nie mówili o Muzeum Amadea Laxa jako o odrzuconym projekcie, chociaż ich działania o tym świadczyły.

Następnie wyciągnęli z rękawa niedorzeczny projekt Biblioteki Prowincji, którym zwodzili Arcadia przez kolejne dwie dekady. Chociaż pomysł nie był tak całkowicie absurdalny. Właśnie w związku z nim dzisiaj zjawily się w tym miejscu trzy osoby. I zaraz przybędzie czwarta, która będzie tu miała dużo pracy.

Dzisiaj przynajmniej przy głównym wejściu wisi złota tablica. Powieszono ją tam w setne urodziny Amadea Laxa dla uciszenia niektórych. Z okazji odsłonięcia tablicy uprzątnięto sień i schody, poczęstowano lampką wina osoby, które nie miały pojęcia o historii tego miejsca. W czasie przemówień oddano głos Arcadiowi. Nie przyjechał ani Modesto, ani Violeta.

Na ozdobionej u góry oficjalnym herbem tablicy widnieje napis:

W TYM DOMU URODZIŁ SIĘ I ŻYŁ
AŻ DO ŚMIERCI
MALARZ AMADEO LAX
(1889–1974),
REFORMATOR SZTUK PIĘKNYCH.
AUTONOMICZNY RZĄD KATALONII
PRAGNIE UCZCIĆ JEGO PAMIĘĆ

Co za uboga składnia i stek banałów, żeby streścić całe życie!

Oczywiście, ale czy warto dodawać coś więcej? Nie. To, co naprawdę jest warte uwagi, przeraziłoby zwiedzających.

TERESA NIEOBECNA BARDZIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK

Miejska inicjatywa Przyjaciele Muzeum Amadea Laxa zebrała sześć tysięcy podpisów pod petycją skierowaną do autonomicznego rządu Katalonii w sprawie spełnienia obietnicy danej artyście

Adela Farré

Rok przed śmiercią malarz Amadeo Lax (Barcelona, 1889–1974) spotkał się z przedstawicielami administracji, uzgadniając z nimi przekazanie domu – położonego przy pasaje Domingo nieopodal Paseo de Gracia – oraz prawie wszystkich obrazów w zamian za stworzenie muzeum monograficznego skupionego na jego osobie. Aby pomóc w osiągnięciu tego celu, artysta przekazał również czterdzieści milionów peset na pokrycie kosztów przebudowy budynku. Na wykonawcę testamentu wyznaczył magistra sztuk pięknych będącego jego osobistym sekretarzem, Arcadia Péreza, który miał czuwać nad spełnieniem jego ostatniej woli.

W ciągu ostatnich lat rząd nie wykazał się dobrą pamięcią. Marzenia Laxa nigdy nie zrealizowano. Kolekcję, w której skład wchodzi ponad dwieście prac, w tym obrazy olejne, studia i szkice, podzielono pomiędzy Museu Nacional d'Art de Catalunya (MNAC) oraz kilka muzeów prowincjonalnych, chociaż jedynie mała jej część została na stałe udostępniona publiczności. Zmęczony tak wielkim zaniedbaniem Arcadio Pérez postanowił cztery lata temu powołać inicjatywę obywatelską Przyjaciele Muzeum Amadea Laxa, aby zachować pamięć o tej umowie oraz przypominać organom naszego miasta o „permanentnym niespełnieniu obietnicy danej jednemu z najznamienitszych przedstawicieli naszej kultury na świecie”.

W tym czasie Pérez w imieniu inicjatywy, którą reprezentuje, niestrudzenie wypominał okropny stan dawnego rodzinnego pałacyku, nie przeprowadzono w nim bowiem żadnych prac konserwacyjnych od śmierci jego właściciela w 1974 roku. „Mamy informacje, że na parterze budynku odbywały się bankiety organów rządowych i przyjęcia, co jest dalekie od celu, jaki Amadeo Lax wyznaczył w swoim testamencie. Nie wspominając o tym, że w pewnym momencie mówiono o zburzeniu domu, co stanowiłoby wręcz nadużycie oraz świadczyłoby o braku wrażliwości artystycznej”.

W 1980 roku modernistyczny dom Laxów wpisano na listę zabytków. Budynek, zaprojektowany przez architekta Josepa Lluísa Ayrancha w 1899 roku, składa się z czterech pięter i piwnicy o łącznej powierzchni użytkowej wynoszącej ponad trzy tysiące metrów kwadratowych. Zbudował go Rodolfo Lax, ojciec malarza, znany również jako jeden z pierwszych propagatorów poszerzenia Barcelony pod koniec XIX wieku. Do tej niezaprzeczalnej wartości należy dodać, według Arcadia Péreza, „bogactwo elementów zdobiących budowlę, będących dziełem samego architekta i współpracującej z nim ekipy, między innymi wspaniałe schody ozdobione motywami roślinnymi, rzeźbiony kominek oraz początkowo kryty dziedziniec wewnętrzny, który w 1936 roku przebudowano na oryginalne pomieszczenie zwieńczone szklaną kopułą”. Perłę w koronie stanowi dużych rozmiarów fresk znajdujący się pod kopułą, namalowany przez samego Laxa prawdopodobnie przy okazji przebudowy.

Fresk, uznawany przez wielu za najlepsze dzieło autora, nosi tytuł *Nieobecna Teresa* i przedstawia młodą żonę artysty, Teresę Brusés – córkę don Casimira Brusésa, bogatego barcelońskiego przemysłowca znanego z prowadzenia interesów w Ameryce – w pozie, której Pérez nie waha się opisać jako „niepokojącą”. Ale najciekawsza jest historia opowiadana nam przez malowidło w milczeniu: rozpacz człowieka, który w okrutny i bolesny sposób utracił miłość życia. Cytując

człowieka, który przez pięć lat był osobistym sekretarzem malarza: „Lax namalował fresk w kilka dni, a może godzin po odejściu Teresy. Prawdopodobnie młoda kobieta opuściła męża oraz syna, uciekając z kochankiem, najstarszym z braci Conde, właścicieli historycznych Wielkich Domów Towarowych El Siglo, który na krótko przedtem osiadł w Nowym Jorku. Porzucony mąż, człowiek idealny pod każdym względem, uzewnętrznił swoją rozpacz pociągnięciami pędzla na świeżo pokrytej wapnem ścianie. W rezultacie powstało jedno z najbardziej poruszających dzieł hiszpańskiego malarstwa XX wieku”.

Ta historia od lat fascynowała krytyków sztuki i naukowców, mimo że niestety obraz nie został udostępniony szerokiej publiczności. Teraz o zapomnianym fresku ponownie robi się głośno. Można by rzec – i to porównanie jest swego rodzaju metaforą – że Teresa spoglądająca z obrazu jest bardziej nieobecna niż kiedykolwiek. Pomimo to Arcadio Pérez nadal ma nadzieję, że nie pójdzie na marne sześć tysięcy podpisów zebranych w celu wymuszenia remontu budynku oraz zwrotu dzieł Laxa na ich pierwotne miejsce. Do jego roszczeń dołączyło dwoje prawowitych bezpośrednich spadkobierców malarza: Modesto Lax, jego syn, wykładowca uniwersytetu w Awinionie, oraz jedyna wnuczka Violeta Lax, dyrektorka Art Institute of Chicago. Oboje do tej pory pozostawali dyskretnie na drugim planie, Pérez zaś zapewnia, że łączy go z nimi „wielka przyjaźń na odległość”.

IV

Powróćmy na dawne patio, gdzie nieświadoma niczego Violeta podchodzi do ściany. Słysząc dzwonek telefonu komórkowego. Młody urzędnik odbiera. Przez chwilę rozmawia, wydaje polecenia. W końcu oznajmia:

– Jest na zewnątrz. Pójdę po niego.

I zbiega w dół, wzbijając na stopniach schodów od lat uspiiony kurz.

– Mam ich dość – szepcze Arcadio.

Violeta potakuje lekko głową. Mruży oczy, żeby przyjrzeć się Teresie.

– Nie jest aż tak zniszczony, jak się obawiałam.

– Kopuła wzniesiona przez twojego dziadka okazała się bardzo wytrzymała. Żadnej wilgoci, spójrz, trudno w to uwierzyć. – Arcadio się uśmiecha. – Był niezwykle dumny z tej przebudowy. Ciągle o niej mówił.

– A ja wolałabym zobaczyć pierwotny dziedziniec. Ten, który widać na portrecie Conchity, pamiętasz?

– Oczywiście.

Violeta mówi o Conchicie, jakby ją znała. Częściowo tak jest, chociaż zna jedynie wyraz jej twarzy uwieczniony na portrecie. Nie może wiedzieć, że Concha była kiedyś tutaj, na przebudowanym dziedzińcu. Jeden jedyny raz, gdy to miejsce było już inne. Rodzinna niańka, bardziej przyjaciółka niż służąca Marii del Roser, anioł dzieciństwa, miała już wtedy sześćdziesiąt jeden lat. Nadal nosiła długą suknię, której tren zamiatał brud z podłogi. Włosy miała upięte w kok. Jej ruchy były miękkie i spowolnione, ramiona okrywał lekki szal. Otworzyła przeszklone drzwi i zatrzymała się na progu. I właśnie tam, nie mając odwagi pójść o krok dalej, rozplakała się jak dziecko. Następnie zamknęła drzwi, otarła łzy i wyszła.

Milczenie Violety przywodzi teraz na myśl milczenie Conchity. Spojrzenie jej babci ma w sobie coś niepokojącego, czego nie umie sobie wytłumaczyć.

– Co się stało z meblami? I z książkami? – pyta nagle.

– Z czasów przedwojennych nie zostało prawie nic. Podejrzewam, że wartościowe przedmioty rozkradziono. Resztę, kto wie, być może te tępaki bez zastanowienia wyrzuciły do śmieci. Może powinienem być bardziej cierpliwy, ale zmęczyło mnie już tłumaczenie im, jaką wartość przedstawiają niektóre rzeczy. Wiesz, że z nimi ciężko się współpracuje. O książkach nic nie wiem. Nie pamiętam, żebym wchodził do biblioteki, kiedy tu bywałem jeszcze za życia twojego dziadka.

– A czy pozostawienie tu fresku to był ich pomysł?

– Muszę przyznać, że tak. Zaproponował to jeden z ekspertów. Umieścić Teresę na głównym miejscu przyszłej czytelnicy. Chcieli zostawić malowidło na ścianie, ale kategorycznie odmówiłem. Powiedziałem, że jedyny sposób, by uniknąć uszkodzenia dzieła w czasie prac remontowych, to usunąć je i umieścić na innym podłożu. Nadal nie mam pojęcia, dlaczego mnie posłuchali. Pewnie trafiłem na ich słabszy dzień.

– Przynajmniej przyszła biblioteka zachowa coś z istoty mojego dziadka. Chociaż to mogą zrobić.

Arcadio powoli kiwa głową, wygląda na zmęczonego. Walka z urzędami, której poświęcił trzydzieści sześć lat, wypaliła go w końcu. Trzeba przyznać, że wybierając go, Amadeo Lax się nie pomylił. Ktoś inny poddałby się o wiele szybciej.

– Znasz konserwatora? – pyta Violeta.

Jak na zawołanie właśnie w tym momencie na szczycie schodów pojawia się młody urzędnik, niosąc płachtę zgrzebnego płótna i dwa wiadra. Idący za nim mężczyzna ubrany jest w biały kombinezon poplamiony kolorowo i wygląda na nieco przygnębionego. Wita się serdecznie z Arcadiem i ściska rękę Violetcie. Następnie podchodzi do ściany i uważnie ocenia uszkodzenia. Od czasu do czasu rzuca tajemnicze stwierdzenia:

– Ta część jest w trochę gorszym stanie. – Lub głaszcząc mur: – Tutaj zdaje się bardziej nieregularna. Obecni obserwują go w milczeniu z pokorą i ignorancją (każdy odpowiednio).

Po krótkich oględzinach konserwator, nie tracąc czasu, przystępuje do pracy. Obaj mężczyźni pomagają mu przynieść materiały i przyglądają się, jak wyciąga z torby wszystkie potrzebne narzędzia. Następnie mężczyzna pyta, gdzie może nabrać wody do rozrobienia kleju, a urzędnik spogląda na Arcadia w poszukiwaniu rozwiązania problemu, którego podobnie jak wielu innych spraw nie przewidział.

– Na dole, w pomieszczeniach służbowych, jest kran – tłumaczy Arcadio. – Proszę dać mi wiadro, to przyniosę wody.

Ani Violeta, ani Arcadio nie chcą dozorować niczyjej pracy. Zostawiają mężczyznę zajętego przygotowaniem kleju i wychodzą.

– Muszę coś załatwić – mówi Violeta.

Zostaje jedynie młody urzędnik, nie wiadomo, czy z obowiązku czy z ciekawości.

– Dzisiaj rozprowadzę klej – tłumaczy konserwator. – Za kilka dni, kiedy wyschnie płótno, będziemy mogli je zdjąć.

Violeta i Arcadio idą po schodach. Dopiero przy wyjściu Violeta pyta, czy to dobry konserwator.

– Mam do niego całkowite zaufanie. Nie martw się.

– Cieszę się – podsumowuje Violeta. – Nie możemy sobie pozwolić na kolejnych partaczy.

Il falso ricordo, 1962

Olej na płótnie, 280 x 255

Muzeum Thyssena-Bornemiszy, wystawa stała, Madryt

Pierwszą niewiadomą dotyczącą tego dzieła jest jego tytuł. Widz z pewnością zadaje sobie pytanie, o jakie fałszywe wspomnienie chodzi. Modelki? Przepelniającej ją zmysłowości? Młodości? Nie wiadomo, kim była kobieta pozująca do tego portretu ani jaki miała związek z jego autorem. Ważne jest to, że na tym obrazie Lax po raz pierwszy i ostatni podjął swoje wielkie tabu: kobiecy akt. Świadczy to o wyjątkowości dzieła, które artysta być może namalował dla siebie lub dla przedstawionej na nim kobiety. Drugi baron Thyssen kupił go bezpośrednio od malarza w 1972 roku z zamiarem powieszenia w swojej londyńskiej rezydencji. Obraz pozostał tam aż do roku 1988, kiedy to dołączył do stałej kolekcji madryckiego oddziału Muzeum Thyssena-Bornemiszy, którego nazwa pochodzi od nazwiska kolekcjonera.

Na obrazie uwagę zwraca zastosowanie światła podkreślającego kobiecą figurę, która przywodzi na myśl akty tworzone przez niemieckich romantyków, oraz wyraz twarzy modelki żywo odzwierciedlającej seksualne pożądanie. Godny uwagi jest fakt, że malarz umieścił swoje bezwstydne „wspomnienie” w takim samym wytwornym fotelu, w jakim Velázquez sportretował papieża Innocentego X (być może chcąc podkreślić tą metamalarską grą charakter bohaterki lub premedytację w jej spojrzeniu; być może chciał złożyć hołd mistrzowi hiszpańskiego baroku, który miał na niego tak wielki wpływ, a może przedstawić zawołowaną krytykę duchowieństwa – na ten temat istnieje wiele spekulacji). Jeden ze współczesnych krytyków zauważył, że tytuł odnosi się właśnie do tego metamalarskiego dialogu, jakby w twórczej pamięci artysty klasyczne obrazy zawsze można ponownie zinterpretować. Nie istnieje jednak żadna spójna teoria, a Amadeo Lax zmarł, nie opisawszy niestety swoich estetycznych zamiarów.

Muzeum Thyssena-Bornemiszy w kieszeni.

Przegląd najlepszych dzieł z kolekcji prywatnej Heiniego Thyssena,

Wydawnictwo Muzealne, Madryt 2002

Wśród najznamienitszych osobistości, które codziennie przechadzały się ulicami miasta w ostatnich latach XIX wieku, pojawiło się nazwisko wzbudzające podziw i zazdrość: państwa Brusésów. On, don Casimiro, był bogatym kupcem handlującym drukowanymi tkaninami, bardzo rzadko widywanym w towarzystwie. Ciągłe podróże dawały mu doskonały pretekst do trzymania się z dala od towarzyskiego zgiełku, a kiedy wracał, tak bardzo pragnął побыć w domu, że izolował się niezależnie od okoliczności. Mówiło się, że samo czytanie gazety zajmuje mu codziennie ponad trzy godziny. Oczywiście tą gazetą był „El Diario de Barcelona”, który najlepiej rozumiał potrzeby barcelońskich przedsiębiorców traktujących skrupulatną lekturę pisma jako część działalności zawodowej.

Jego małżonka, doña Silvia Bessa de Brusés, była stateczną damą, doskonałą panią domu, pobożną parafianką, osobą bardzo hojną w działalności dobroczynnej i tak pochłoniętą sprawami rodzinnymi, że za nic w świecie nie straciłaby jedynej odpowiedniej dla damy okazji do wyjścia, jaką zgodnie z ówczesnymi zwyczajami były spacery. Miała tak nieposzlakowaną reputację, a na przejażdżki wyruszała tak punktualnie, że na widok jej powozu nie było dżentelmena, który nie zwolniłby kroku, kłaniając się i pytając o zdrowie nieobecnego męża.

Doña Silvia nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat, ale tak sztywno trzymała się swoich zwyczajów i była tak surowa w osądach, że zestarzała się przedwcześnie. Poniewierała służbę, zawsze kładła się spać przed dwudziestą pierwszą i dumna była z pozbawionego wszelkiej frywolności życia, które spędzała na rozmyślaniu i milczeniu. Czytała tylko Biblię, a jej jedynym towarzystwem była samotna i jeszcze bardziej zgorzkniała od niej ciotka oraz dzieci, do których odzywała się tylko po to, żeby je skarcić. Plotkowano, że jej służące popełniały samobójstwa oraz że jedna z kucharek, nie mogąc wytrzymać dłużej upokorzeń, wsadziła głowę do garnka z gotującą się zupą. Niektórzy, posuwając się znacznie dalej, opowiadali, że wśród jej ofiar znalazł się też jej święty mąż – ów drobny dobroduszny mężczyzna przed ślubem z tą inkwizytorką nie planował nawet rozwijania przedsiębiorstwa za oceanem. Mówiono, że nie interesy są powodem jego częstych wyjazdów z domu, ale strach przed lodowatym spojrzeniem małżonki. I dodawano, że na Kubie don Casimiro utrzymuje całą armię wesołych, biuściastych, pachnących kawą i cukrem trzcinowym konkubin, które spełniają wszelkie pragnienia nieszczęśliwie ożenionego mężczyzny.

Tak czy owak po jego powrocie żona zachodziła w kolejną ciążę, a tego rodzaju niezawodność i stałość małżeńską podziwiała całe miasto. Dzięki tym wyjazdom i powrotom, zanim Hiszpania straciła swoje kolonie, państwo Brusés spłodzili piątkę dzieci, z których przeżyło troje. Po przegranej wojnie, założeniu nowych plantacji w innych krajach ambitny pan Brusés zajął się przemysłem okrętowym, robiąc interesy ze Stanami Zjednoczonymi, oraz handlem wełną z Argentyną. Wracając raz na jakiś czas do domu, zapładniał skrupulatnie prawowitą małżonkę, która wydała na świat kolejnych sześć latorośli, z których dwójka nie dożyła swoich pierwszych urodzin.

– Biedaczka kwaśniej od tyłu porodów – mówiła z przekonaniem Eutimia.

Ostatnia była Teresa. Urodziła się pechowego dnia, 10 maja 1907 roku. Przypadkowo tego samego dnia urodził się pierworodny syn młodego króla Hiszpanii, nazwany wieloma okropnymi imionami, poczynając od Alfonsa, które nosił również jego ojciec. Żywoty zarówno Teresy, jak i małego Burbona zostały prawdopodobnie naznaczone tragicznym piętnem. Niejeden monarchista umiałby to docenić, ale w domu Laxów monarchia nie miała zwolenników z wyjątkiem może paru służących.

Niedole Alfonsa Burbona Battenberga, pierwородnego syna Alfonsa XIII, są znane doskonale: chory na hemofilię, spędził ponad połowę życia w łóżku, cierpiąc katusze lub będąc poddawany różnym kuracjom, o których prędzej czy później dowiadawali się wszyscy. Natomiast cierpienia Teresy następowały dyskretnie. Dwa dni po narodzinach zmarła jej matka. Don Casimiro jak zwykle przebywał na swoich amerykańskich plantacjach i został o tym powiadomiony listownie przez panią Matilde, pobożną zgorzkniałą ciotkę, na którą spadł ciężar opieki nad dziećmi. Zanim mąż otrzymał tę smutną wiadomość i wrócił do domu, upłynęło ponad sześć miesięcy, w ciągu których ciotka już całkowicie zawładnęła wszystkim, co posiadała jej ukochana siostrzenica, tak że biedny milioner nie umiał sobie znaleźć we własnym domu miejsca. Atmosfera przypominała kościół, dzieci zachowywały się jak ospali ministranci, ciotka jak dewotka, a niewzruszeni służący milczeli jak groby. Przyzwyczajony do pachnącej rumem i kawą wolności oraz do bioder dwudziestoletnich Mulatek don Casimiro nie wytrzymał tam nawet tygodnia. Świętoszkowata ciotka, doskonale znająca słabości duszy męża siostrzenicy, wykorzystwała to, grożąc mu opuszczeniem domu, jeśli jej praca nie zostanie wynagrodzona. Pragnąc czym prędzej stamtąd uciec, zawsze ustępliwy milioner uległ groźbom chciwej staruszki, żeniąc się z nią podczas sekretnej ceremonii, którą ze wstydu utrzymywał w tajemnicy. Po zakończeniu niezbędnych formalności ucałował dzieci w chronologicznym porządku i wsiadł na parowiec „Príncipe de Asturias” płynący do Argentyny.

Powinien był zauważyć, że nazwa statku nie wróży nic dobrego, chociaż nie spodziewał się tego zaden z tysiąca dziewięciuset pasażerów. Po ponad dwóch tygodniach od wypłynięcia z portu w Barcelonie kierujący się ku brzegom Brazylii transatlantyk uderzył w podwodną skałę i zatonął w ciągu niecałych dziesięciu minut. Tak przynajmniej wynika z nie do końca spójnych opowieści stu pięćdziesięciu uratowanych pasażerów. W ten sposób siedmioro rodzeństwa Brusés, w wieku od sześciu miesięcy do szesnastu lat, zostało sierotami pod opieką sześćdziesięcioletniej macochy.

Piekło biednych dzieci trwało ponad dekadę, ponieważ tyle zabrało staruszce pożegnanie się ze światem. W ciągu tych dziesięciu lat drugiej pani Brusés udało się zniszczyć powołanie, zrujnować małżeństwa, pozbawić marzeń, wydziedziczyć kilkoro swoich pasierbów i wyrzucić z domu wszystkich tych, którzy sprzeciwiali się jej planom. W rezultacie rodzeństwo rozjechało się na zawsze w różne strony po otrzymaniu przypadającej każdemu części spadku po ojcu. Żadne nie kontynuowało rodzinnego biznesu, który najpierw przestał przynosić ogromne zyski, a następnie popadł w całkowitą ruinę. Również za sprawą ciotki Matilde przerwana została charakterystyczna barcelońska tradycja, zgodnie z którą firmę zakładał ojciec, powiększał syn, a rujnował wnuk.

Po tak długo trwającym koszmarze nie dziwi, że rodzeństwo z trudem powstrzymało radość z powodu śmierci macochy. Tak spieszyli się z pochówkiem, że proboszcz musiał ich hamować, tłumacząc, że Bóg musi mieć czas na przyjęcie jej do siebie w sposób, na jaki zasługuje jedna z jego najwierniejszych córek.

Po pogrzebie znienawidzonej dewotki nastął czas niespokojnego wyczekiwania. Kiedy nie przestrzegając żałoby, dwaj najstarsi bracia ożenili się z córkami ze znanych rodów, zamieszkali w swej dawnej rezydencji i zaczęli wyprawiać przyjęcia, zajmując się jednocześnie wychowaniem pozostałej czwórki rodzeństwa, po mieście rozeszły się plotki.

– Są złym przykładem dla szanujących się panien – mówiły plotkarki.

Jak to zwykle bywa po zbyt długiej i mroźnej zimie, rodzinna odwilż była istną eksplozją. Bracia, pragnąc dobrej zabawy, złagodzili swoje zwyczaje, zmienili krawca, zatrudnili więcej służby, zmienili wystrój wnętrza we wszystkich pokojach, organizowali bale, występy, aperitify i tak gorliwie próbowali obalić zasady uprzednio panującego reżimu, że niemalże naruszyli reputację najmłodszych sióstr na wydaniu, w tym Teresy. Nazwisko Brusés budziło tyleż ciekawości co zawiści. Rodzinny cadillac

z szoferem w liberii widywany był często przed wejściem do najwytworniejszych restauracji, jak Justin czy Maison Dorée. Trzecia siostra, którą wszyscy nazywali Tatín – chociaż została ochrzczona jako María Auxiliadora – bywała w kręgach artystycznych, ubierała się w Paryżu, przyjaźniła z Alfonsem XIII i nie okazywała najmniejszej ochoty, żeby wyjść za mąż. Dzięki niej bale organizowane w ich domu przydały rodzinie uznania, ponieważ na jej zaproszenie Carlos Gardel, Igor Strawiński i inni artyści występowali w odmalowanych pawilonach ogrodowych, a starannie dobrani znajomi, wśród których był generał Primo de Rivera i sam król, bili im brawa, chroniąc się w cieniu rododendronów.

W codziennym widowisku wyższych sfer, które w tamtej epoce przeniosły się z calle Riera Alta na nową Paseo de Gracia, Brusésowie również grali role o niezrównanym, choć przelotnym blasku. Jeśli chodzi o panny na wydaniu – może z wyjątkiem Tatín – młodym pretendantom do ich ręki ze strachu włos się jeżył na samą myśl, że w ślicznych pannach o złotych lokach i porcelanowej skórze płynie krew despotycznej pani Silvii, o której tyle strasznych rzeczy opowiadali im rodzice. Trzymając się nieco na uboczu, starając się unikać skandali, które mogło wywołać ich rozpustne życie, cztery młodsze siostry – urodzone w smutnych czasach postkolonialnych – wyszły młodo za mąż i na czas ucięły fałszywe pogłoski i jadowite plotki, uwalniając wreszcie od siebie braci, którzy bardziej sercem niż rozumem opiekowali się nimi przez ostatnie lata.

Należy jednak podkreślić, że Amadeo nie poznał Teresy podczas jednego ze spacerów, które należały do dobrego tonu w towarzystwie, ani na żadnym z balów, które okazały się dla rodziny tak opłacalne. Amadeo Lax nienawidził hałaśliwych rozrywek i chełpił się tym, że nigdy nie tańczył. Poznał Teresę o wiele wcześniej w jej domu przy zleceniu, które wszyscy uważali za łabędzi śpiew jej macochy, przynajmniej jeśli chodziło o jej rozrzutność. Amadeo był naprawdę zaskoczony, kiedy na początku 1919 roku otrzymał zlecenie sportretowania wszystkich członków rodziny Brusésów. Napawająca strachem despotyczna ciotka przeboleła wydatek wiążący się z zatrudnieniem malarza i wierna swojej maksymie: „Jeśli już coś robisz, zrób to dobrze”, wezwała najbardziej wziętego w mieście artystę, chociaż nie zdołała powściągnąć własnej natury i targowała się aż do końca.

Doña Matilde pozowała pierwsza – ruda, o bladej cerze, wystrojona w klejnoty, które zwykła nosić na premiery w teatrze Liceo. Chciała czym prędzej mieć ten portret, żeby zaczął zamiast niej umierać, tak jak w przypadku niewinnego pobożnego Doriana Graya. Następnie przyszła kolej na rodzeństwo, od najstarszego do najmłodszego. Chłopcy pozowali w smokingach. Tatín w ciemnej sukni, jakby była w żałobie. Luisa, María i Silvita w długich sukniach. Najmłodszej trzeba było pożyczyć granatową spódnicę jednej z sióstr, w której wyglądała jak przebrana za młodą panienkę, choć jeszcze nią nie była.

Teresa miała jedenaście lat, ale wydawała się młodsza. Lax namalował ją w krótkiej spódnicy odkrywającej kolana. Pozowanie trwało cztery dni. Przez ten czas Teresa przyglądała się malarzowi tak samo jak on jej. Zafascynowała ją jego elegancja, milczące usposobienie i zaporowy wiek (Lax wtedy dobiegał trzydziestki). Wydawało się jej, że w jego oczach kryje się tajemnica, i obiecała sobie, że nie spocznie, póki jej nie pozna.

Opuszczając dom Brusésów, Amadeo Lax zostawił w nim pierwszy z trzydziestu siedmiu portretów Teresy oraz ją chorą z miłości do niego.

Mała Teresa Brusés, 1919

Olej na płótnie, 180 x 70

Barcelona, MNAC, Kolekcja Amadea Laxa

Portret powstał w pierwszym etapie twórczości Laxa jako portrecisty barcelońskich wyższych sfer. Został zamówiony przez macochę i ciotkę modelki i uważa się, że właśnie przy tej okazji artysta poznał modelkę, która dziewięć lat później została jego żoną. To również pierwszy z serii trzydziestu siedmiu portretów Teresy Brusés, które Lax namaluje w ciągu całego życia.

Obraz wyróżnia się jasną paletą barw – błękitem sukni Teresy, ochrą jej blond włosów – i przedstawionym w ekspresywny sposób wyrazem twarzy, w którym artysta uchwycił żywą sympatyczną naturę dziewczynki, ale też zainteresowanie lekturą i nauką. Znaczenie, jakie dla najmłodszej Brusésówny miały te czynności, symbolizuje tu trzymana przez nią na kolanach książka. Nie tylko na tym obrazie Lax przedstawił upodobanie Teresy do czytania. Kwiat we włosach symbolizuje kobiecość, a kot śpiący jej na kolanach – dziecięcy świat, którego jeszcze całkowicie nie opuściła. Można z łatwością zauważyć, że książki i koty często towarzyszą na obrazach głównej muzeum artysty. Z biegiem lat w jej portretach dokonują się pewne zmiany, które staną się przedmiotem licznych badań.

Amadeo Lax portrecista (katalog wystawy)
Muzeum Thyssena-Bornemiszy, Madryt 2002

VI

Ktoś o wyostrzonym słuchu mógłby usłyszeć trzask wysychającego zgrzebnego płótna, które konserwator nakleił na portret nieobecnej Teresy. Schnie powoli, nieświadome swojej roli w tym przedsięwzięciu, wtapiając się jednak harmonijnie w otoczenie. Przecież tak naprawdę na dziedzińcu Laxów czas zawsze płynął powoli.

Budowa wymarzonej rezydencji don Rodolfa trwała około siedmiu lat, ostatni zaś rok oznaczał dla rodziny stałą zapowiedź przeprowadzki. Ci, którzy widzieli nowy dom, opowiadali o nim cuda. Eutimia, będąca tam dwukrotnie, mówiła pozostałym służącym, że ze swoimi czterema piętrami, wychodzącymi na ulicę ogromnymi oknami i pięknie urządzonej częścią mieszkalną, gdzie zadbano o każdy szczegół, bardziej przypomina pałac niż dom. Nie mówiąc o schodach, na których wspomnienie przewracała oczami i tak zapierało jej dech w piersiach, że przyciskała do nich ręce i dotykała medalionu z wąsami męża, ilekroć przypominała sobie marmurowe kiście i liście winogron.

Część dla służby, mówiła dalej Eutimia, znajduje się na parterze i w suterenie. Pokoje nie są zbyt ciasne i wszystkie – wszystkie, podkreślała – mają okienko, przez które w pokojach wychodzących na ulicę można oglądać nogi przechodniów. Kuchnie są dwie. Obie położone daleko od jadalni, żeby przykre zapachy nie przedostawały się na górę, lecz przewiewne, przestronne i wyposażone w nowoczesną windę. Pomieszczenie jest tak duże, że mieści dwie sześciuosobowe ławy, nowoczesną żeliwną kuchnię z wieloma fajerkami (wszystkie błyszczące że aż miło patrzeć) oraz dwie ogromne drewniane chłodziarki. Piecyk do rozgrzewania żelazka zainstalowano w osobnym pomieszczeniu, przeznaczonym tylko dla prasowaczki. A na koniec zostawiła najważniejsze: w domu są trzy łazienki, w tym jedna na dole, obok kuchni, z cynkową wanną i ściennym prysznicem. „To nasza łazienka”, wyjaśniała, na wypadek gdyby ktoś nie zrozumiał.

W pokojach dla służby nie było jednak prawdziwej nowości, którą jak najszybciej wszyscy chcieli zobaczyć: światła elektrycznego. W starym domu nadal używano lamp gazowych i naftowych, więc mało kto mógł sobie wyobrazić, że przez naciśnięcie palcem przycisku w ścianie pojawi się jasność jak z zaświatów.

Wielu obawiało się elektryczności, o której krążyły straszne opowieści, takie jak ta, że we Włoszech ludzie przypadkiem następujący na szyny tramwajowe ponoszą śmierć na miejscu. Byli również tacy, którzy nie chcieli przechodzić pod włączoną lampą lub, co gorsza, nawet nie wchodzili do pomieszczenia oświetlonego elektrycznością. Dlatego też doña Maria del Roser osobiście zadbała, żeby pierwszego wieczoru po przeprowadzce do nowego domu pokazać wszystkim szczegóły tego wynalazku. Zgromadzeni z tej okazji służący wydali z siebie zachwycone „oooooch”. Wszyscy oprócz kucharki Juanity, ją bowiem nowoczesność wprowadzała w ponury nastrój.

– Kaprysy bogaczy! – gderала. – Skoro nasz Pan roztacza noc nad światem, na co nam te światła?

Przed przeprowadzką w dawnej rezydencji wszystko nabrało tymczasowego charakteru oznaczającego jeden wielki bałagan. Nawet sprzątanie nie było już takie samo, ponieważ służba zaraziła się analitycznym myśleniem pani domu, która uważała i powtarzała tysiące razy, że nie należy tracić ani minuty na czyszczenie czegoś, co i tak zostanie wyrzucone.

Nie chodziło o metaforę: barcelońscy politycy bardzo szanujący opinie pana Rodolfa postanowili wybudować wielką aleję w miejscu, gdzie dotąd znajdował się jedynie labirynt wąskich ciemnych uliczek zabudowanych starymi pałacami i kościołami. Z braku lepszego pomysłu ochrzcili ją banalną

nazwą Gran Vía A. Budowa o rozmachu godnym faraona obejmowała aleję biegnącą w linii prostej od plaza Urquinaona w stronę morza, przeciętej prostopadłe przez dwie wielkie arterie. Pierwsza pojawiła się w wyniku poszerzenia istniejącej już calle Princesa. Druga zaś, którą chwilowo oznaczono literą „C”, miała prowadzić aż do katedry. Nie wliczając w to wielu mniejszych powstających ulic, które całkowicie zmieniały tę część miasta. Dom Laxów stał właśnie po prawej stronie nowej alei, mniej więcej u wylotu „Vía C”, gdzie dzisiaj słychać tylko uliczny ruch i trąbienie. Po zburzeniu go nie wzniesiono nowych budynków – w tym miejscu powstała prowadząca do katedry szeroka ulica, która nietypowo przedzieliła dzielnicę. Wywłaszczenie dotknęło dwa tysiące domów i wywołało falę protestów, jednak to nie powstrzymało osób odpowiedzialnych za modernizację miasta.

Rodolfo Lax widział w tym wszystkim logikę.

– Ludzie nie lubią postępu – mówił. – Gdyby wszystkie postępowe władze na świecie słuchały protestów obywateli, nadal malowalibyśmy bizona na ścianach jaskiń.

U niego natomiast zmiany wywoływały miłe mrowienie w żołądku. Z entuzjazmem opowiadał o prędkości, z jaką koparki zniszczą „ten labirynt niezdrowych murów”. Pomagał uspokoić największych przeciwników, wspierając przeniesienie kamień po kamieniu kilku średniowiecznych pałaców i klasztorów, chociaż w domu często mawiał:

– Ach, jak się wściekają niektóre matki przełożone, kiedy rusza się ich krużganki!

Rodolfo Lax Frey miał donośny głos, czerwone jak rak policzki i lubił się śmiać. Należał do mężczyzn, którzy we fraku i cylindrze wyglądają jak przebierańcy, jak gdyby jego ciało stworzone zostało do noszenia szerokiego pasa i luźnej koszuli wieśniaka, a stopy, które lepiej czułyby się nawet bez sandałów, nie były w stanie przyzwyczać się do sztywnej skóry butów. Był jedynakiem urodzonym w bogatej kupieckiej rodzinie z Vic, mało przywiązany do firmy należącej mu się w spadku i ze względu na tradycję. Był tak ambitny, że kiedy w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat został sierotą, postanowił sprzedać cały majątek i pojechać do Barcelony, gdzie mieszkały jego dalekie niezamężne ciotki żyjące w strachu w zbyt dużym domu, który z braku bliższych spadkobierców wcześniej czy później miał stać się jego własnością. Trzeba przyznać, że Rodolfo Lax był szczęściarzem. Ruszył w drogę, zjawił się u ciotek i natychmiast zdobył ich życzliwość. Później już tylko piął się wyżej.

W latach bezpośrednio poprzedzających wystawę światową z 1888 roku miasto przeżywało urbanistyczny boom, w którym odnajdywali się ludzie niespokojni duchem pragnący spróbować szczęścia i zaryzykować pieniądze. Rodolfo zrozumiał natychmiast, że bogatych jest wielu, ale większość lekko zgnuśniała. Dla rozwoju miasta pilnie należało dokonać wymiany pokoleń, a on robił co w jego mocy, żeby dać się poznać jako propagator najnowszych rozwiązań. Jednocześnie szczegółowo studiował plany urbanistyczne, bywał na modnych przyjęciach i wydał cały majątek na zakup działek przy Paseo de Gracia, calle Balmes i w górnej części miasta, gdzie w tamtych czasach były jedynie pola uprawne. Przedstawiał swoje innowacyjne pomysły na spotkaniach wpływowych osób, przekonał wywłaszczonych, że poświęcają się dla miasta, odwiedzał baraki, w których oferowano bezwstydną rozrywkę robotnikom, aż w końcu przyjęli go do swojego grona. Doskonalił swój kataloński, żeby nie uchodzić za wieśniaka wśród najbardziej zagorzałych katalońskich nacjonalistów. Wychwalał monarchię, ale tylko dlatego, że jej zwolennikami byli jego przyjaciele. Stał się wolnomyślicielem, nie przestając uczestniczyć w niedzielnej mszy. Przyłączył się do strajkujących, żeby zyskać tym coś od rządu w Madrycie, oraz bywał w madryckim hotelu Palace, kiedy katalońscy ministrowie mieli większość w rządzie. Zadziwiająca sympatia, jaką budził, w połączeniu ze szczerością i wyraźną smykałką do interesów tak bardzo spodobały się tej klasie społecznej wrażliwej na obliczanie korzyści wynikających z kontaktów towarzyskich, iż w ciągu trzech lat od przyjazdu do Barcelony był już bogaty, cieszył się zasłużoną sławą wizjonera i wszyscy nowi przyjaciele prosili go

o radę, ilekroć chcieli dokonać jakiejś inwestycji.

– Avenida Diagonal nie leży tak daleko, jak się wydaje! Za kilka lat stanie się najważniejszą arterią, chociaż dziś trudno w to uwierzyć! – twierdził z zapałem.

Ci, którzy go posłuchali, szybko ujrzeli rosnące kwoty na swoich kontach. Hojność w dzieleniu się tak przydatnymi prognozami przysporzyła mu w krótkim czasie sporą liczbę wdzięcznych przyjaciół. I wpływowych. Jak wiadomo, duże pieniądze to najlepsza podstawa serdecznych znajomości. W ten sposób nowo objawiony jasnowidz stał się jednym z twórców narodzin nowego miasta, w którym mieszały się marzenia idealistów z biznesami pragmatyków. Zarówno jedni, jak i drudzy wysłuchiwali jego rad przed zaproszeniem go na kolację lub po niej.

Ponieważ don Rodolfo nie lubił tracić czasu, postanowił wykorzystać te towarzyskie spotkania, by znaleźć sobie żonę. W domu jednego ze swoich pozornych przyjaciół dowiedział się o pewnej pochodzącej z dobrego domu pannie z Mataró, która pomimo starannego wykształcenia, umiejętności haftowania, znajomości podstaw gotowania i wiedzy o ilości ługu potrzebnego do porządnego prania, nadal chodziła z głową w chmurach. Tak przynajmniej twierdzili jej przerażeni rodzice, widząc, że pierworodna córka z upodobaniem uczestniczy w gorszących spotkaniach gromadzących wielu ekscentryków, jeśli nie szaleńców, i zawsze wracała z nich skłócona z całym światem.

Rodowe nazwisko Golorons nawet w Anglii i Ameryce natychmiast kojarzono z katalońskimi tkaninami. Obaj bracia Golorons, współwłaściciele firmy odziedziczonej po ojcu, prowadzili tak prężną działalność eksportową, że musieli zakupić kilka statków, aby obsłużyć zamówienia od swoich licznych zagranicznych klientów. Chociaż ze względu na rozmiary przedsiębiorstwa utrzymywali biuro w Barcelonie, obaj pochodzący z prowincji biznesmeni nie cierpieli życia w mieście i starali się jak najrzadziej opuszczać swój leżący w centrum Mataró pałac w stylu weneckim (jedynie na zewnątrz, ponieważ wewnątrz panowała surowość pustelni). Bracia Golorons co najwyżej przynosili się latem do Argentyny, gdzie prowadzili taki sam tryb życia, jedynie lżej się ubierając i w otoczeniu większej ilości zieleni.

Sen z powiek tym aktywnym ludziom interesu spędzało zachowanie ich jedynej dziedziczki. Jak na zwyczaje panujące w rodzinie była to zbyt zadowolona z życia panna. Ciągnęło ją do Barcelony, dokąd jeździła pod byle pretekstem, spotykając się z wieloma mającymi na nią zły wpływ osobami, które w oczach jej ojca i wuja zagrażały wszystkiemu, co oni i ich pracowity przodek budowali przez wiele lat. Jedynym sposobem, żeby uratować rodzinny majątek, skoro Bóg zaniedbał sprawić, by duch przedsiębiorczości charakteryzujący obu braci przeszedł na kolejne pokolenie, było znalezienie szalonej dziewczynie kandydata na męża będącego w stanie o wszystko zadbać. W tym celu bezbarwni bracia Golorons w towarzystwie apatycznej małżonki jednego z nich zaczęli bywać na przyjęciach barcelońskiej śmietanki towarzyskiej, której tak nienawidzili, i los sprawił, że w niedługim czasie poznali najbardziej obiecującego młodzieńca w całym mieście.

Rodolfo nigdy nie pragnął zostać dziedzicem imperium tekstylnego. Roztargnione usposobienie nie skłaniało go do premedytacji. Przyczyny tego szczęśliwego zbiegu okoliczności leżały raczej w czym innym. W gruncie rzeczy przemysłowcy z Mataró byli tak samo prowincjonalni jak ten rolnik zbiegły z Vic. Łączył ich opór przed tego rodzaju dziwnym życiem, które do nich nie pasowało, chociaż każdy zwalczał je na swój sposób. Goloronsowie wycofali się z niego. Lax toczył bitwę. Temat panny na wydaniu wypłynął podczas drugiej rozmowy przemysłowców z młodym Laxem. Wyłożyli problem wprost, nie zatajając żadnych ważnych szczegółów, takich jak to, że dziewczyna nie grzeszy urodą. „I obawiam się, że nie jest również domatorką”, dodała matka. Ojciec wyznał kawalerowi na stronie, iż mniema, że jedynie mężowi o radykalnych poglądach uda się poskromić krnąbrną pannę. Szeptem wspomnieli o posagu, który pomimo znaczącej wysokości w ogóle nie zrobił wrażenia na kandydacie.

Propozycja została złożona w Teatrze Wielkim Liceo podczas antraktu przedstawienia inauguracyjnego sezonu 1888/1889 i wzbudzającego niepokojący dylemat co do powagi repertuaru: niektórzy uznali za potwarz to, że młody tenor Francesc Viñas miał czelność – choć jedynie podczas bisów – zaśpiewać Wagnera po katalońsku, który uważali za prostacki lokalny język. Inni jednak wychwalali jego odwagę z oczami pełnymi łez konkurujących wielkością z brylantami zwisającymi z niektórych uszu. Bracia Goloronsowie mieli na głowie ważniejsze sprawy niż te muzyczne błahostki, poza tym Wagner również wydawał im się prostacki. Z powagą godną Nibelungów zwrócili się do don Rodolfa, który obiecał dać odpowiedź przed następnym przedstawieniem mającym odbyć się czterdzieści osiem godzin później w atmosferze podobnej polemiki.

Tej nocy w samotności swojego zbyt wąskiego łóżka Lax rozważył ofertę małżeństwa, jak gdyby chodziło o kolejny z jego interesów. Wążył za i przeciw, spisał listę obowiązków żonatego mężczyzny i czas, jaki musiałby im poświęcić. Nie potrzebował oceniać potencjalnej małżonki, ponieważ już na podstawie opowieści wydała mu się fascynująca. Nie mógł się wręcz doczekać chwili, kiedy dowie się o niej czegoś więcej.

Rzecz jasna w kwestii kobiet Rodolfo Lax również wyprzedzał swoje czasy, jak pod każdym innym względem.

Dlatego też postanowił zaryzykować. W końcu poślubienie tej panny nie było bardziej ryzykowne niż zakup ziemi u zbiegu alei Diagonal z Ramblą de Catalunya. Przemysł tekstylny nigdy za bardzo go nie interesował, ale możliwość zarobienia dużych pieniędzy wydawała mu się doskonałym powodem, żeby zmienić upodobania, toteż następnego dnia posłał dobrze ubranego służącego do pałacu Goloronsów w stylu weneckim przy La Riera w Mataró z krótkim liścikiem zawierającym prośbę o spotkanie. Datę ustalono na dwa dni później o wpół do dziewiątej rano. Nigdy się nie dowiedział, czy wybór tak proletariackiej pory wynikał z napiętego terminarza czy raczej przyszły teść chciał wystawić na próbę jego zaangażowanie.

Rodolfo Lax opuścił Barcelonę w wieczór poprzedzający wizytę o godzinie dwudziestej pierwszej wynajętym na tę okazję powozem firmy Juan Rovira. W El Masnou zatrzymał się na kolację, przespał się kilka godzin i odświeżył w miarę możliwości. O ósmej piętnaście jego powóz wjechał na pogrążoną jeszcze w porannym lenistwie La Rierę, a jego zachwylił dźwięk dzwonów bazyliki Najświętszej Marii Panny wzywających na poranną mszę. Na drzwiczkach powozu widniał slogan firmy transportowej, który mógłby stać się jego dewizą: „Sumiennosc i oszczednosc”. Miał na głowie nowy cylinder, a na szyi jedwabny plastron. „Taka okazja zasluguje na rozrzutnosc”, pomyslal.

Bracia Goloronsowie ubrani byli tak, jakby wybierali się na południową mszę. Po spotkaniu z ojcem i wujem posłano po dziewczynę, która rozentuzjasmowana i z wielką ciekawością zbiegła pospiesznie po schodach, wzbudzając tym ogromną dezaprobatę we wszystkich z wyjątkiem Laxa. Na szczęście umiała powstrzymać się na czas i na ostatnim odcinku udać mało przekonującą obojętność, co złagodziło nastrój. W posępnym salonie pełnym przytłaczających mebli pretendent do ręki zaimprovizował jak umiał najlepiej oświadczyzny przed dziedziczką, która patrzyła na niego bez mrugnięcia okiem, z miną, jakby zaraz miała wybuchnąć śmiechem, zastanawiając się, czy jest równie niezdarny w innych kwestiach.

Tak czy inaczej – być może właśnie po to, żeby mieć okazję się o tym przekonać – przyjęła oświadczyzny z wszelkimi tego konsekwencjami.

Tego dnia Goloronsowie zjedli obiad w głównym salonie, używając zastawy, kieliszków i srebrnych sztuców zarezerwowanych na specjalne okazje. Zażyłość, jaka narodziła się podczas posiłku, doprowadziła do podsumowania niedawnych rodzinnych nieszczęść, w których wyliczaniu lubowali się obaj bracia. Ich ulubionym tematem była śmierć żony młodszego z nich, do której doszło dziesięć

lat wcześniej, chociaż o przyczynach nie wspomnieli. Nieboszczka nadal miała przy stole swoje miejsce, którego nikt nigdy nie zajmował, na jej cześć owdowiały małżonek nosił czarny krawat, który – jak powiedział – będzie nosić aż do własnej śmierci. Rodolfo w milczeniu słuchał tego wszystkiego, gotów zaakceptować każde rodzinne dziwactwo, będąc jednocześnie obserwowany przez bystre oczka dziedziczki. Podano cztery dania, które popito kilkoma butelkami najlepszego wina i szampana. Zaskoczeni służyący myśleli, że ich zawsze tak apatyczni państwo zbankrutowali. W jaki inny sposób można było wytłumaczyć taką nagłą i niespotykaną wystawność?

Kiedy narzeczeni mieli okazję poznać się trochę lepiej, pogratulowali sobie szczęścia w czasach, w których problemy małżeńskie były na porządku dziennym. Sympatyczna buntowniczką skradła serce Rodolfowi. Pomijając to, że była brzydka, niestrudzoną i upartą idealistką, jej ogromna dobroć przekraczała wszelkie jego dotychczasowe wyobrażenia. Miała na imię María del Roser, ale dla niego była Rorró, Rorrità, Rorroritą i wieloma innymi – im bardziej wibrującymi, tym lepiej – odmianami, jakie przychodziły mu do głowy. Uwielbiał ją od pierwszego dnia, kiedy ujrzał ją głośno walczącą o swoje przekonania z wysokości trybuny i kilka sekund przed śmiercią nadal przyznałby bez wahania, że była największym szczęściem zesłanym mu przez los. A to w ustach spadkobiercy Manufaktur Goloronsów oraz założyciela Fabryk Laxa znaczyło bardzo wiele.

Ona, zgodnie z jej słowami, kochała go przede wszystkim za niezdarność. Z jakiegoś dziwnego powodu Rodolfo nigdy nie wyczuwał proporcji swojego ciała. Potykał się w drzwiach, na schodach, zderzał się z oknami i meblami... I tak w kółko, bo jak z czasem odkryła, nie znikало to wraz z przyzwyczajeniem się do otoczenia i wciąż przydarzało mu się to samo. Poza tym było dziedziczne, chociaż jeszcze wtedy nie mogła o tym wiedzieć. Chwilowo uczestniczyła w zaręczynach, które przypominały zgromadzenie akcjonariuszy i wzbudziły w niej wielką czułość. Później dowiedziała się, że jej narzeczony jest nowoczesnym, dowcipnym, inteligentnym mężczyzną, obdarzonym swego rodzaju szóstym zmysłem do długofalowych interesów. A ponieważ nowoczesność, dowcip, inteligencja oraz bliższa i dalsza przyszłość były przedmiotem jej zainteresowania, poczuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Trzeba przyznać, że nigdy nie było lepiej dobranej pary.

Ale powróćmy do przeprowadzki i nie schodźmy na manowce wspomnień, żeby wszystko pogmatwać, inaczej ta opowieść nigdy nie dobiegnie końca. Tego ranka pod koniec stycznia 1899 roku rodzina obudziła się w domu gotowym do ostatecznego pożegnania. Wszystkie ważne rzeczy spakowano. To, czego nie zabierano, stawało się ofiarą porzucenia. Armia tragarzy ubranych w niebieskie drelichy przybyła przed świtem i zaczęła załadowywać wozy. Pani wstała wcześniej, niż miała w zwyczaju, i o siódmej była już ubrana, wyperfumowana i wydawała polecenia. Don Rodolfo postanowił pierwszy pojechać do nowej siedziby, zabierając ze sobą Eutimię i kilku robotników, którzy mieli skończyć składać meble.

W południe już prawie wszyscy opuścili stary budynek. Niektórzy, jak dawna kucharka Juanita, mieli łzy w oczach. Innych, jak dzieci, bardziej cieszyła przyszłość, niż smuciła przeszłość, którą za sobą zostawiali. Z wyjątkiem Amadea, nadąsanego, bo matka nie pozwoliła mu nieść pudła z zółtami, lecz powierzyła je jednemu z tragarzy, pozbawiając tym samym zwierzaki zaszczytu podróży z całą rodziną.

Obserwowany przez grupę gapiów zwabionych takim zamieszaniem, Felipe czekał na nich na ulicy z poważną miną pasującą do okoliczności. Pani kazała wszystkim po kolei opuścić dom i poprosiła Conchitę, żeby wsadziła dzieci do kolasy. Kiedy wyszedł jej najstarszy syn, przywołała go:

– Amadeo! Czy zrobisz nam ten zaszczyt i zamkniesz drzwi po raz ostatni?

Ta propozycja spowodowała, że chłopiec, właśnie kończący dziesięć lat, zapomniał o zlekceważeniu, którego ofiarą padły jego żółwie. Złapał klucz i z miną dorosłego dwukrotnie przekręcił zamek. Na zawsze.

Następnie matka z synem wsiedli do powozu, w którym w ramionach Conchity czekała Violeta oraz ruchliwy żądny przygód Juan, i wszyscy ruszyli w drogę ku nowemu życiu. Pani pozdrawiała ręką spotykane damy, a Concha służące pod warunkiem, że je lubiła. Obie wyglądały jak opuszczające pałac księżniczki.

Przedarcie się o tej porze przez labirynt uliczek zabrało im dużo czasu. Musieli kilkakrotnie się zatrzymać, żeby ustąpić drogi. Po raz ostatni przejechali przez skrzyżowanie ulic Mercaders i Avellana. Po drodze minęli ostrzyciela noży, człowieka dojącego oślicę – jego klientka z założonymi rękami czekała w progu – i pani wytłumaczyła dzieciom, że ośle mleko jest znakomitym lekiem na choroby żołądka, oraz wóz wypełniony żywymi kurczakami, krawca zwanego Pablo Kuternoga stojącego w drzwiach swojego sklepu, poczuli też na calle de la Bomba smród mlecza, którą nad wejściem zdobił napis:

ROBIMY LEWATYWY I UBIERAMY NIEBOSZCZYKÓW

Skręcili w prawo, w stronę plaza del Ángel, gdzie ujrzeli tłumy wieśniaków zachwalających głośno swoje towary. Zanim się obejrzel, dotarli pod górę do więzienia i skręcili w kierunku calle de la Frenería. Pani, nie mogąc się doczekać, kiedy dotrą do Paseo de Gracia, cały czas mruzczała:

– Jak dobrze, że w końcu nie będziemy musieli patrzeć na tę ciasnotę!

Kiedy w końcu wjechali na Ramblę, każdy poczuł ulgę, że zostawili za sobą napiętnowane śmiercią uliczki, na których wszystko, co widzieli, skazane było na zniknięcie.

W górnej części Rambli de Canaletas ustawił się sprzedawca melonów. Owoce ułożone były na ziemi i widząc je, Maria del Roser poprosiła, by Felipe się zatrzymał, po czym posłała Conchę, żeby kupiła kilka. Niańka wybrała dwa ogromne dojrzałe owoce i wytargowała je za pół ceny. Z soczystą zdobyczą przejechali przez nowoczesny plaza de Catalunya. Cieszyli się jak wycieczkowicze, choć z wyjątkiem Amadea, który nawet jeśli był szczęśliwy, nie okazywał tego. Wyglądał jak zwykle poważnie, obserwując w milczeniu. Nigdy nie przepadał za zmianami, nawet w dzieciństwie, a nowy dom stanowił teraz dla niego więcej niewiadomych niż powodów do radości. Jego brat natomiast podśpiewywał sobie, ciesząc się ze wszystkiego: z wyprzedzenia przestarzałego tramwaju ciągniętego przez muły; z widoku pałacu rodziny Samà, gdzie podobno były pokoje o wnętrzach inspirowanych orientalnym luksusem; z błyszczącej markizy teatru Eldorado; a w szczególności z przejazdu przed hotelem Colón, w którego kawiarnianym ogródku jedli śniadanie najbardziej uprzywilejowani goście odwiedzający miasto. I właśnie przed tym luksusowym budynkiem matka musiała zwrócić mu uwagę.

– Juanito, ciesząc się, nie zapominaj o dobrych manierach – powiedziała surowo, a następnie zwróciła się do Conchity trzymającej w ramionach śpiącą Violetę: – Mam nadzieję, że nie spotkamy żadnego znajomego. Nie mam ochoty na pogawędkę, mając pod nogami melony.

Na Paseo de Gracia powitał ich budynek nakryty spadzistym dachem, przypominający zamek z bajki. Aleja była prawdopodobnie największą zdobyczą bogatych rodzin tego miasta. Szeroka jak ich ambicje i zbyt kowna jak ich marzenia, prezentowała się światu niczym pełne przepychu okno wystawowe. To tam nowobogacy przemysłowcy i prawdziwi arystokraci mogli pysznić swoją pozycją. Dla nich powstał rozległy nowoczesny bulwar, jakiego jeszcze nigdy nie widziano w tym mieście. Niektóre damy przystawały, żeby pozdrowić jadących powozem Laxów, a Maria del Roser odpowiadała im radosnym głosem, okrywając się aksamitnym szalem. Panowało dotkliwie zimno

i niedługo zaczął padać drobny zmrożony deszczyk, który dzieci wzięły za śnieg. W rytm radosnego bicia serc, któremu wtórował koński krok, dojechali do pasaje Domingo.

Dom Laxów był w tym czasie jedynym skończonym budynkiem na całej ulicy, chociaż znajdowały się tam również inne rezydencje w dość zawansowanej budowie. Robotnicy z gołymi torsami, pokrzykując, chodzili swobodnie tam i z powrotem. Troje rodzeństwa przyglądało im się ze strachem: byli zbyt hałaśliwi jak na zwyczaje dzieci z dobrego domu.

Na miejscu z niecierpliwością oczekiwano rodziny. Kiedy powóz minął łuk bramy wjazdowej, pani ujrzała na dziedzińcu całą służbę stojącą jak wojsko gotowe do przeglądu. Uśmiechnęła się dobrotliwie, poprosiła szeptem Conchę, żeby zajęła się melonami i dziećmi, a następnie z pomocą woźnicy wysiadła z powozu, żeby przywitać się po kolei z każdym ze swoich pracowników.

– Witajcie wszyscy w domu, który należy również do was – powiedziała, zanim oddział rozszedł się do swoich zadań.

Wewnątrz panowała atmosfera prowizorki, którą wszyscy starali się okiełznać. W kuchniach Eutimia wydawała polecenia grupie służących pracowicie rozpakowujących porcelanę, naczynia z aluminium i szkła. Niezwłocznie zostały rozłożone dywany, w wielkich oknach zawieszano grube złocone zasłony z jedwabnego adamaszku, przywiązując każdą z taśm do odpowiadającej jej klamry. Kilka stołów przykryto fantazyjnymi serwetami, lecz wiele osób na widok takiego przepychu zastanawiało się, jak przeżyją tę zimę i ogrzeją tak ogromne wnętrza.

Zimno było wrogiem zwalczanym w tych czasach przenośnymi piecykami i żeliwnymi piecami bezdymnymi. W najbardziej nieprzyjemnych miesiącach wytaczano przeciwko niemu cały arsenał środków, które nie polegały jedynie na przygotowaniu domu na ostrą zimę i zaopatrzeniu się w porządne drewno do kominka. Łóżka zasłane były tak wieloma i tak ciężkimi kocami, że dzieci czasami skarżyły się, że nie mogą oddychać. Spano w czepkach, wełnianych koszulach nocnych i pończochach. Jeśli leżąc w łóżku, chciało się odsłonić coś więcej niż głowę, używano odpowiednich do tego akcesoriów, takich jak zarękawki czy narzutki z rękawami. Jednym z głównych zadań pokojówek każdego wieczoru było napełnienie rozżarzoną węglem podgrzewaczy do łóżek i ostrożne włożenie ich w pościel państwa na pół godziny przed pójściem na spoczynek. Nie było nic smutniejszego niż ogrzewacz stóp, w którym żar wygasł.

W dzień chodzono po domu w ciepłych ubraniach, a Eutimia na polecenie pani troszczyła się, żeby służącym ich nie zabrakło. W najzimniejsze dni jedynym rozwiązaniem było ukrywanie się w nielicznych ogrzewanych zakątkach domu. Pod tym względem można powiedzieć, że służba miała przewagę nad państwem, ponieważ w kuchni nawet między posiłkami zawsze tlił się ogień w piecu, przy którym można było posiedzieć. Właśnie to miejsce, w pobliżu paleniska, od pierwszego dnia stało się ulubionym miejscem spotkań służby. Latem siadano przy stole z długimi ławami, gdzie można było zarówno spędzać czas w towarzystwie, jak i szeptać sobie do ucha sekrety.

Na czas mrozów, trwających w Barcelonie nie dłużej niż kilka dni w roku, stawiano w bibliotece żeliwny piecyk firmy Tortuga, który opalano drewnem lub węglem. Rzeźbiony kominek w głównym salonie był zbyt kłopotliwy, więc rozpalano w nim jedynie w niedziele lub przy jakichś wyjątkowych okazjach, jak Boże Narodzenie. Najlepiej było schronić się w bibliotece. A jeśli nie, zawsze pozostawały zwykle piecyki, chociaż pani pozwalała w nich palić tylko wtedy, gdy nie było innego wyjścia.

– Te urządzenia są jak małe dzieci. Przez cały czas trzeba na nie uważać, żeby nie spowodowały katastrofy.

Ponieważ przeprowadzka odbyła się podczas ostrej zimy, zadbano o wszystkie szczegóły. Letnie meble, dzięki którym dom oddychał z ulgą, kiedy rozpoczynała się ładna pogoda, czekały na swoją kolej w piwnicznych pomieszczeniach. Znacznie lżejsze i w większości pokryte zakupionym w Paryżu

obiciem w kwiatowe wzory, podobnie jak wszystko w domu, były całkiem nowe.

W ostatnich miesiącach podjęto wiele decyzji. Najtrudniejszą było bez wątpienia to, gdzie zamontować kolejny wynalazek wprowadzany do nowej rezydencji: telefon. Don Rodolfo uważał, że taki nowoczesny aparat przyda mu się w pracy. Kazał zainstalować telefon w biurach i fabrykach, z którymi odtąd będzie miał szybki bezpośredni kontakt. Jednak gdy nadeszła chwila, żeby zadecydować o ulokowaniu aparatu w domu, postawił sprawę jasno:

– Nie w moim gabinecie. Sama jego obecność przeszkadzałaby mi w pracy – powiedział z przekonaniem.

– Ale przecież tylko ty będziesz go używał – narzekła żona.

– Najlepiej byłoby zainstalować go w bibliotece – bronił się.

– O nie, nie ma mowy! Nie pozwolę, żeby twoje wynalazki zatruwały moje książki – odpowiedziała stanowczo, po czym wpadła na pomysł, który powinien spodobać się mężowi. – Nie martw się, myszku, wymyśliłam rozwiązanie. Przeznaczmy dla niego osobny pokój.

I tak telefon w tym domu dostąpił przywileju, którego odmawiano wielu jego mieszkańcom. Stolarzowi zlecono wykonanie okładzin ścian, by dodały elegancji pomieszczeniu na parterze. Na tle wykonanego na miarę dywanu, stolika w stylu angielskim i kilku foteli w stylu Ludwika XVI arystokratyczny aparat mierzący ponad pół metra i przytwierdzony do ściany wyglądał poważnie jak zegar i dziwnie jak piorunochron ze słuchawką z drewna i skóry. A żeby żadnego domownika z wyjątkiem państwa nie kusilo, by go użyć i zmarnować trzydzieści centymów, bo tyle w 1899 roku kosztowała rozmowa trwająca do trzydziestu słów, do pomieszczenia wstawiono drzwi, a klucz do nich don Rodolfo nosił w tej samej kieszonce kamizelki, w której trzymał zegarek.

Z początku za każdym razem, kiedy odwiedzał ich jakiś dobry znajomy, zarówno don Rodolfo, jaki i doña Maria del Roser, oprowadzając gościa po domu, pokazywali działanie telefonu, co robiło na wszystkich wielkie wrażenie.

– A czy tych z Mataró dobrze stąd słychać? – pytała niejedna wyniosła dama, wskazując na to rzadkie urządzenie.

Czasami goście z entuzjazmem bili brawo. W nowym domu wszystko było niezwykle nowoczesne i drogie.

W pierwszych dniach po przeprowadzce okazało się, że na osobną wzmiankę w historii domu zasługują marmurowe schody, jeden ze zrodzonych w duszy don Rodolfa kapryśków, których nie potrafił sobie wytłumaczyć. Zawsze był na tyle szczery, by przyznać, że wystrój domu wyszedł trochę chaotycznie: wszystkie te kiście winogron na przemian z poskręcanyimi liśćmi i latoroślami tworzące marmurowe woluty sięgające podłogi były zbyt przesadne. Choć rzeźbiarz przestrzegał przed tym! Zwłaszcza że jeden z liści znajdował się dokładnie na wysokości pierwszego stopnia i od początku stał się dla niego przeszkodą nie do pokonania. Odtąd aż do śmierci nieuchronnie don Rodolfo co najmniej raz dziennie potykał się o tę ozdobę balustrady. To samo robił później jego syn Amadeo, jak gdyby schody rzuciły jakiś urok na ród Laxów.

– A może go spiłować? – zapytała pragmatyczna Maria del Roser.

– Rorrito! To dzieło sztuki! – wykrzyknął z oburzeniem jej mąż, obiecując, że będzie bardziej uważał.

Oczywiście nadal się potykał. Choć może, zastanawiała się jego żona, potykałby się, nawet gdyby nie było tej zawalidrogi.

Pomimo trudności stopniowo sprawy układały się definitywnie, a ludzie przywykali do wszystkich nowości. Pan domu koncentrował się na wiadomościach dnia, zamykając się po południu w swoim gabinecie, żeby przeczytać gazetę. Do nowych mebli nawet pasowały nieliczne sprzęty przywiezione z dawnej rezydencji. Eutimia rzucała polecenia dotyczące rozmieszczenia każdego przedmiotu ze

zdumiewającą pewnością. Dzieci patrzyły na to wszystko z niedowierzaniem.

Amadeo zapytał o swoje żółwie.

– Z pewnością Eutimia zajęła się nimi, kochanie. Nie martw się już o te nudne stworzenia – odpowiedziała mu matka.

Dziwne, że Amadeo nie oprotestował przymiotnika, jakim matka określiła jego zwierzątka. Concha chodziła po domu, mijając wszechobecnych tragarzy zajętych swoją pracą. Za nią szły dzieci: Violeta mocno uczepiona jej spódnicy, Juan trzymający siostrę za rękę, kilka kroków z tyłu Amadeo spoglądający obojętnie w każdy kąt. Główne schody kojarzyły się niance z wejściem do opery, które znała jedynie z ilustracji w czasopiśmie. Ich poręcz natomiast przywiodła na myśl winobranie w jej rodzinnej wiosce.

– Najpierw poszukamy naszego pokoju – powiedziała Concha. – Jestem pewna, że nam się spodoba.

Najmłodsze dzieci były zachwycone, widząc szafę, biurko i nowe łóżka. Żelazne, bardzo wysokie i z baldachimem. Łóżko Violety nakryte było różową kapą. Pozostałe miały kolor turkusowy. Również dla Conchy było łóżko z baldachimem, na którego widok rozmarzyła się, zanim jeszcze zdążyła się do niego położyć.

– Chcę spać sam – zaprotestował Amadeo, kiedy tylko rzucił okiem na przestronne pomieszczenie, najlepsze w całym domu, przez którego ogromne okno wpadało mnóstwo światła.

– Gdzie mój drewniany koń? – zapytał Juan.

– Zostawiliśmy go w tamtym domu, skarbie. Był już bardzo stary.

Ten argument nie przemówił do młodszego chłopca. Juanowi chciało się płakać ze złości, ale powstrzymał się, chcąc wpięrow sprawdzić, czy dom zrekompensuje mu w jakiś sposób tak wielką stratę.

Po objęciu w posiadanie swojego pokoju prowadzone przez niankę dzieci wróciły na główne piętro. We czwórkę przeszli przez salon, rozglądając się na wszystkie strony, jak gdyby któraś z okazałych ozdób miała ich zaatakować, aż w końcu ujrzeli kolorowy witraż w drzwiach.

– Spójrzcie, jakie piękne kolory. – Concha ściszyła głos. – Nie macie ochoty ich polizać?

Violeta stłumiła psotny śmieszek. Amadeo spojrział w inną stronę, skrzępowany komentarzem, który wydał mu się absurdalny, zbyt dla niego dziecinny. Concha pchnęła drzwi prowadzące na wewnętrzny dziedziniec.

– To wspaniałe miejsce na lato. Chcecie, żebyśmy jadaliby tutaj obiady, kiedy zrobi się ciepło?

Na dziedzińcu zaczynał rosnąć bluszcz i różane krzewy. Była też mała fontanna w stylu rustykalnym. A z boku tajemnicze drzwi wyglądające, jakby prowadziły za ścianę do sąsiada.

Ziemię pokrywały czerwone kamienne płyty, ściany pomalowane były na biało. Za murami rozpościerała się panorama miasta w budowie – wznoszonych w okolicy domów.

– Tutaj nic nie ma – oświadczył Amadeo.

– Chwilowo, ale wiem, że twoja matka ma zamiar nakryć patio płóciennym dachem i kupić duży stół i kilka krzeseł. Mogę zapytać, czy pozwoli, żebyśmy użyli ich pierwsi, chcesz?

Amadeo wzruszył ramionami. Jego rodzeństwo odkryło rybki w stojącej w głębi fontannie, więc podszedł tam z udawanym zaciekawieniem. I zaskoczony ujrział swoje żółwie, które ktoś zostawił w kącie. Concha wykorzystała tę chwilę, by uświadomić Amadeowi, że niepotrzebnie pogniwał się na matkę, ponieważ w końcu jego żółwie dotarły na miejsce całe i zdrowe.

– Powinieneś nauczyć się panować nad sobą, szczególnie w stosunku do osób starszych od ciebie. I mógłbyś być trochę bardziej towarzyski.

Chłopiec przez kilka sekund wytrzymał wzrok nianki. Pomimo młodego wieku jego odważne spojrzenie było niepokojące. Concha poczuła, jak przyspiesza jej puls, ale nie pozwoliła mu wygrać.

Chwilę później Amadeo się poddał.

– Dzieci, nie wkładajcie rąk do wody, jest bardzo zimna – ostrzegła niańka.

Juan, marszcząc czoło, zapytał:

– Dlaczego ryby nie noszą płaszczy?

– Ponieważ nie potrzebują ich, kochanie. Mają zimną krew. Nie czują tak jak my.

Chłopiec na chwilę zamyślił się nad tą odpowiedzią. Ruchy rybek wydawały się o wiele bardziej ekscytujące niż ich natura. Tymczasem Amadeo usiłował otworzyć boczne drzwi. Conchita zdała sobie sprawę, że to jedyna rzecz w całym domu wyglądająca na starą. Miała zamiar powiedzieć chłopcu, żeby ich nie dotykał, kiedy rozległ się zgrzyt i drzwi ustąpiły.

– To sekretny pokój – powiedział Amadeo z niesłychaną u niego nutą emocji.

Jego brat i siostra przybiegli zwabieni tymi interesującymi słowami. Zajrzeli do środka. Pomieszczenie było długie i niekształtne, tworzyły je dwie nie do końca równoległe ściany.

– To komórka na miotły – zauważyła Concha, stwierdzając, że miejsce nie jest w żadnym stopniu niebezpieczne ani interesujące. – Chodźmy, dzieci, tu jest zimno. Wracajmy do domu.

Do salonu kilku tragarzy wносиło fotele obite pięknym żółtym aksamitem.

Ale rodzeństwo prowadziło już tajną naradę, stykając się głowami, w podnieceniu rozprawiając o sekretnej kryjówce. Oczywiście przewodził im Amadeo, obejmując rękami ramiona brata i siostry i mówiąc do nich szeptem, żeby Concha nie mogła usłyszeć:

– Zakładamy tajne stowarzyszenie komórki na miotły. Ja jestem prezesem, a wy honorowymi członkami. Będziemy spotykać się w tym miejscu w każdy poniedziałek w porze podwieczorku. Nie wolno nikomu o tym mówić pod groźbą kary śmierci. Zrozumieliście?

Brat i siostra przytaknęli z przerażonymi minami. Amadeo uścisnął im uroczyście dłonie i odszedł z miną świeżo upieczonego prezesa. Juan spojrział na Violetę i powtórzył:

– Pamiętaj, jeśli się wygadamy, będziemy martwi.

Zadowolona Violeta klasnęła w dłonie, nic nie rozumiejąc. Powtórzyła:

– Będziemy martwi, będziemy martwi!

VII

Mężczyzna w poplamionym białym kombinezonie wraca po czterech dniach. Przychodzą z nim również Arcadio i urzędnik. Nie ten młody, który był ostatnio, ale jego bezpośredni przełożony. Konserwator zachowuje się tak samo jak wcześniej: nie traci czasu. Przynajmniej na rozmowę. Upewnia się, czy pokrywająca fresk juta wyschła, wchodzi na drabinę, kiwa powoli głową i w końcu oznajmia:

– Można zdejmować.

Operacja ta wymaga wprawnych rąk. Polega na ściągnięciu płótna w taki sposób, żeby zdjąć wraz z nim dwucentymetrową warstwę gipsu. Na tej warstwie jest Teresa, ta z niepokojącym spojrzeniem. Konserwator potrzebuje pomocy, której udziela mu Arcadio. Obaj ciągną za płótno i popuszczają je delikatnie, jakby pomagali zwierzęciu zrzucić skórę. Pod koniec dnia fresk, który przez ponad osiemdziesiąt lat budził podziw, spoglądając ze stojącej w głębi dziedzińca ściany, jest tylko gigantycznym jakby pergaminem leżącym w dziwnym omdleniu na ciemnym drewnie podłogi.

Na ścianie pozostaje rozmazany ślad bytności Teresy. Część naturalnych barwników przeniknęła głębiej niż na dwa centymetry i zabarwiła ciemnymi cieniami resztki gipsu w taki sposób, że ktoś dobrze znający zdjęty obraz może go sobie wyobrazić, patrząc na jego odbicie będące nierealnym cieniem tego, co nadal jest namacalne.

Z wyjątkiem lewej strony, gdzie zdjęta warstwa ukazała zupełnie inne podłoże.

– Co to jest? – pyta urzędnik, wskazując na punkt widoczny mniej więcej na wysokości metra nad ziemią.

Konserwator dotyka go, usuwa małe kawałki tynku i drapie paznokciem.

Jego towarzysze są zaniepokojeni.

– No proszę – mówi, unosząc brwi – a to ci niespodzianka.

Arcadio podchodzi do miejsca, które skupia uwagę wszystkich. Pod tynkiem rysuje się kształt żelaznej płytki.

– Wygląda jak zamek – stwierdza konserwator.

Brakuje zatrzasku, chociaż widać mechanizm. W niektórych miejscach jest zardzewiały.

– Drzwi? – pyta Arcadio, mrużąc oczy. – Czy w ścianie nośnej mogą być drzwi?

– Nie, nie. Ściana nośna kończy się tutaj. – Konserwator pokazuje dokładną granicę. – Od tego miejsca do końca mamy następną strukturę. Trzeba by spojrzeć na oryginalne plany domu, ale jeśli to było patio, prawdopodobnie znajdował się tutaj jakiś magazynek lub coś podobnego. Być może odnowiony. Takie pomieszczenia miały zazwyczaj schody łączące je z podwórzem przy kuchni lub z pokojami dla służby. Intrygujące jest to, że został ukryty.

Arcadio się waha. Patrzy na drzwi, nie wiedząc, co zrobić. Urzędnik się niecierpliwi:

– Otwórzmy je.

– Może powinniśmy zawiadomić Violetę – mówi Arcadio.

– Violetę? Po co? Nie sądzę, żeby z tego powodu należało ją niepokoić.

– Przecież ten dom należał do jej rodziny. Powinna o tym wiedzieć.

– Z całym szacunkiem, panie Pérez, moim zdaniem nie powinniśmy pani Lax zawracać głowy taką sprawą. Dom należy do rządu autonomicznego od wielu lat, a pan i ja jako jedyni zajmujemy się tym, co się tutaj dzieje. Proszę się nie martwić, biorę na siebie całą odpowiedzialność. Otwórzmy te drzwi.

Remont rozpocznie się za trzy dni i lepiej uniknąć niespodzianek w ostatniej chwili.

Arcadio zachowuje dla siebie opinię na temat remontu. Powściągliwe usposobienie pozwoliło mu dotrwać w roli przedstawiciela rodziny aż do tej chwili. Należy do ludzi, których ostrożność zarozumialcy biorą za głupotę. Chociaż również z tym pogodził się już wiele lat temu. Konserwator wtrąca się do rozmowy i zmienia jej kierunek.

– Z technicznego punktu widzenia ich otwarcie nie jest możliwe – zapewnia, wskazując na żelazną płytkę. – Nie ma zatrzasku. Poza tym – pcha je – są zamknięte. Musielibyśmy je wyważyć.

– No to do dzieła – mówi z dumną pewnością siebie urzędnik. – Myślę, że to nie będzie trudne. Drzwi są w fatalnym stanie.

Arcadio zaciska usta. Patrzy na drzwi, które konserwator nadal oczyszcza z kawałków tynku. Drewno jest wysuszone i pokryte drzazgami. Nawet dziecko mogłoby rozbić je bez wysiłku.

Urzędnik zachowuje się jak ktoś przyzwyczajony do podejmowania decyzji, postępowania zgodnie z ustalonym planem, bez tracenia ani chwili na domysły. Człowiek swoich czasów, który codziennie wielokrotnie wypowiada słowo „operatywność” i nie waha się w swoich osądach. Nigdy.

Odsuwa konserwatora, nabiera rozpędu i wymierza silnego kopniaka w kawałek zmurszałego drewna, które kiedyś było drzwiami. Rozpadają się z suchym trzaskiem, któremu towarzyszy eksplozja drzazg.

– Tyle lat trenowania taekwondo w końcu się na coś przydało – mówi triumfalnie urzędnik, obciążając poły marynarki.

Ciemna podłoga jest teraz pokryta porozrzucanymi suchymi odłamkami drewna. Z otwartego pomieszczenia wydobywa się cierpki zapach.

Trzej mężczyźni usuwają pozostałości drzwi. Nie jest to zadanie tak proste, jak by się zdawało. Jak gdyby drewno chciało zaznaczyć, że niełatwo ruszyć coś, co trwało latami na swoim miejscu. Kiedy udaje im się skończyć po złożeniu w kącie resztek rozbitych drzwi, skupiają się na wnętrzu, małym pomieszczeniu, którego krzywe ściany zwężają się u wejścia. Nie widać żadnego drugiego wylotu. W głębi leży parę szczotek i mioteł, lecz trzej intruzi nawet ich nie zauważają. Na brudnej podłodze, zajmując większą część powierzchni, znajduje się coś, co o wiele bardziej zwraca ich uwagę: skurczona ludzka mumia.

Ciało jest całkowicie wyschnięte. Na szczęście nie widać twarzy, jedynie kępę rozczochranych włosów zachowanych na czasce, strzępy ubrania okrywającego ciało i parę domowych damskich pantofli na obcasie, które w innych okolicznościach spadłyby z tak szczupłych stóp.

– Cholera! – woła urzędnik z odrazą.

– Może lepiej będzie powiadomić Violetę Lax – dodaje Arcadio tym samym neutralnym tonem, którego do tej pory używał, chociaż nie kryjąc satysfakcji.

Konserwator podsumowuje:

– I policję.

Patrol numer 19
(Wydział Spraw Obywatelskich/Mossos d'esquadra)
Protokół numer 19 854

10.03.2010 patrol odebrał telefon od mężczyzny przedstawiającego się jako Arcadio Pérez Iranzo, który poinformował, że w trakcie prac remontowych odkryto w schowku za ścianą zmumifikowane zwłoki. Patrol stawiał się pod wskazanym adresem, na pasaje Domingo numer 7, gdzie stoi budynek uznany za Pomnik Dziedzictwa Historyczno-Artystycznego, należący do rządu autonomicznego. W środku znajdowali się: pan Arcadio Pérez Iranzo (pełnomocnik nadzorujący prace w budynku); pani Violeta Lax Rahal (specjalistka w dziedzinie sztuk, związana z rodziną, która wybudowała ten dom); pan Antonio Moya Soler (urzędnik rządu autonomicznego reprezentujący Biuro Radcy ds. Kultury); pan Sergio Uix Massagué (konserwator).

W wyniku oględzin potwierdzono obecność zwłok w zagłębieniu w ścianie zadaszonego dawnego dziedzińca wewnętrznego na parterze budynku. Świadkowie mówią, że nie dotykali niczego w pomieszczeniu, w którym leży ciało, chociaż przyznają, że zniszczyli drzwi metodą mechaniczną (kopnięciem). Zwłoki leżą na plecach. Jest to mumia pokryta strzępami ubrania (niewiadomego koloru), stopy obute są w domowe pantofle lub buty (bardzo zniszczone). Zachowało się również bujne owłosienie na głowie, a na szyi metalowy łańcuszek (bardzo brudny, ledwo zauważalny), z którego zwisa również metalowa obrączka. Na pierwszy rzut oka są to zwłoki kobiety.

W pomieszczeniu znajdują się również następujące przedmioty: dwie długie miotły, zmiotka (na kiju), miotełka z piór oraz szczątki kota (również zmumifikowane).

Z trojga świadków jedynie dwoje pierwszych ma związek z nieruchomością. Pan Sergio Uix przybył tam w celu realizacji prac konserwatorskich dużych rozmiarów fresku ściennego (którego usunięcie ujawniło istnienie drzwi). Natomiast pan Antonio Moya oświadczył, że osobiście wyważył drzwi, chcąc dowiedzieć się, w jaki sposób niespodziewane ujawnienie pomieszczenia mogłoby wpłynąć na przebieg prac mających się rozpocząć w przyszłym tygodniu. Pan Arcadio Pérez, który zna to miejsce najlepiej, twierdzi, że nie wiedział o istnieniu komórki za ścianą. To samo mówi pani Violeta Lax, dodając, że poza dniem dzisiejszym była w tym domu tylko dwa razy: przed czterema oraz przed trzydziestoma sześcioma laty. Poza tym zapewnia, że jest wnuczką ostatniego właściciela nieruchomości, Amadea Laxa Goloronsa, z zawodu malarza (artysty).

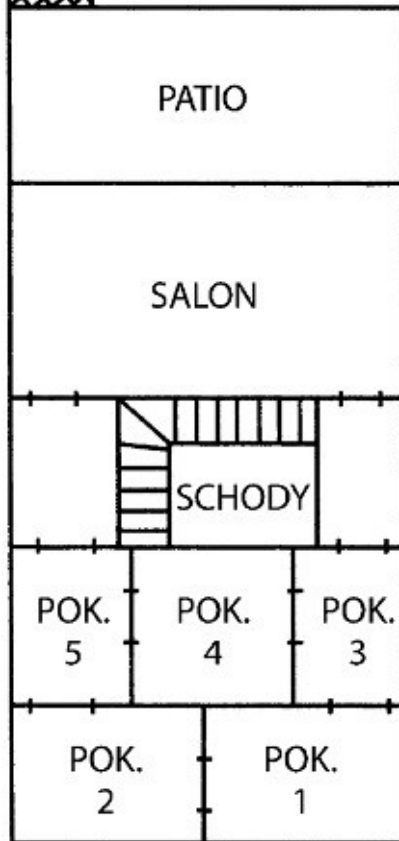
Wszyscy troje zapytani o tożsamość zmarłej oświadczyli, że nie wiedzą, kim mogła być. Poza tym Violeta Lax twierdzi, że nie spodziewała się odkryć tak niemiłej niespodzianki w domu, który kiedyś należał do jej rodziny.

Następnym krokiem było objaśnienie świadkom środków, jakie należy przedsięwziąć, aby nie zatrzeć śladów w miejscu, gdzie odnaleziono ciało. Na koniec o znalezisku powiadomiono kierownika zmiany, wszczęto też procedurę dochodzeniową w sprawie o zabójstwo. Świadkowie zostali poinformowani, że niedługo pojawi się sierżant Paredes. Wszyscy opuścili dawny dziedzińiec i strefę otoczono taśmą policyjną.

* Załączony szkic sytuacyjny parteru budynku wraz ze schowkiem na szczotki.



SCHOWEK
NA SZCZOTKI



Od: Drina Walden

Data: 11 marca 2010

Do: Violeta Lax

Temat: Na rozkaz!

Kochana Violeto,

zaczynałam się martwić. Lubię dostawać od Ciebie wiadomości, nawet jeśli są krótkie. Tutaj masz telefon do Twojego ojca, o który mnie prosiłaś. Twoja matka mówi, że dała Ci go sama ponad rok temu, zaznaczając, że zmienił numer i żebyś zamieniła go na ten nowy. Również według niej nigdy jej nie słuchasz i o niczym nie mówisz. Prosiła mnie, żebym Ci przypomniała jej adres mailowy, na wypadek gdyby naszła Cię ochota, żeby do niej napisać (powiedziała to, podkreślając ostatnie słowa). Nie martw się, udało mi się ją uspokoić. Wydawała się bardzo zaskoczona tym, że potrzebujesz numer telefonu do Modesta. Sądzę, że jak wszystkie matki wyobraża sobie, że zaraz wydarzy się coś strasznego.

Widziałam w wiadomościach, że w Barcelonie spadło dużo śniegu. Wszystko u Ciebie w porządku? Czy jest tak poważnie, jak mówią?

Czy w końcu masz zamiar pojechać nad skute lodem jezioro, żeby poznać tę tajemniczą Włoszkę?

Nie interesuje Cię, jak było na otwarciu wystawy portrecistów, a może wszystkiego już dowiedziałaś się z gazet?

Hej, nie bądź taka i napisz do mnie więcej niż trzy linijki.

Drina

Od: Violeta Lax

Data: 13 marca 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Oznaki życia

Cześć, Mamo,

pewnie się na mnie trochę gniewasz, że nie odzywam się do Ciebie już nie wiem od jak dawna, ale proszę, zachowaj wymówki do mojego powrotu, ponieważ wydarzyło się coś naprawdę poważnego. I właśnie dlatego wczoraj poprosiłam Cię o telefon do taty. Już z nim rozmawiałam. Sądzę, że oboje byliśmy w równym stopniu zaskoczeni, kiedy się usłyszeliśmy. Zadzwoiłam do niego na prośbę policji. Nie panikuj. Twój były jest chodzącym nieszczęściem, lecz nikogo nie zabił: muszą pobrać próbkę jego DNA. Moją też.

Opowiem Ci wszystko po kolei, chociaż nie mam zbyt dużo czasu. Przywłaszczyłam sobie komputer Arcadia (przesyła Ci pozdrowienia) z przepełnioną skrzynką wiadomości przychodzących, na które musi odpowiedzieć. Nie uwierzysz, ale śnieg, który spadł dwa dni temu, odciął dopływ prądu w wielu miejscach i pozbawił miasto łączności. Dlatego Arcadio udzielił mi politycznego azylu: bo moje mieszkanie przypomina Antarktydę. Jego też, ale przynajmniej jest czyste. Wiem, że to wszystko jest niesamowite i kiedyś opowiem Ci o tym ze szczegółami. Wciąż myślę o tym, jak się uśmieją znajomi z Chicago, kiedy się dowiedzą, że jednorazowa śnieżycą w ten sposób wykończyła Barcelonę, biorąc pod uwagę, że jesteśmy przyzwyczajeni wychodzić z domu przy minus trzydziestu, żeby łopata odśnieżyć drzwi wejściowe. No cóż...

A teraz wiadomość, którą nadal jestem zaszokowana. Parę dni temu ze ściany na dziedzińcu zdjęto fresk przedstawiający Teresę. Teoretycznie prace remontowe domu miały się zacząć jutro. Mówię teoretycznie, ponieważ nastąpiła nagła zmiana planów. Kiedy konserwator zdjął portret Teresy – naprawdę niewiarygodnie profesjonalnie – odkrył zamaskowane w murze boczne drzwi. Okazało się, że była tam stara rupieciarnia, składzik na szczotki czy coś w tym rodzaju. A w środku znaleziono zwłoki. Całkowicie zmumifikowane, chociaż w ubraniu, butach i z włosami na swoim miejscu. Nie było mnie przy tym, ale dotarłam tam niedługo po policji. Odbyły się przesłuchania, dziedziniec otoczono kordonem, przyjechali patolożka, koroner, śledczy i nastąpiła prawdziwa inwazja obcych. Zadawali pytania, na które żadne z nas nie znało odpowiedzi. Na przykład czyja to mumia albo kto ostatni raz wchodził na dziedziniec. Powiedziałam im więc, że chociaż należę do rodziny i przez całe życie słyszałam opowieści o niektórych mieszkańcach tego domu, nie mam żadnych informacji z pierwszej ręki; dla mnie rodzinna historia jest jak powieść o duchach.

Chociaż nie byłam całkiem szczerą.

Co prawda nie mam bladego pojęcia, kim była ta kobieta ze składziku na szczotki, ale od pierwszej chwili miałam straszne podejrzenie, swego rodzaju przecucie niemożliwe do wytłumaczenia, prawie pewność. Od tamtej pory cały czas o tym myślę. Zastanawiam się, dlaczego tak mało wiem o życiu dziadków, i ganię sama siebie za swoje okrucieństwo. Chociaż co by się stało, gdybym miała rację? Co o tym sądzisz? Podejrzewasz, kim ona może być? Kto pierwszy przychodzi Ci na myśl?

Podczas przesłuchania konserwator wspomniał o bardzo ciekawych szczegółach technicznych. Powiedział, że według niego fresk nie był nigdy zdejmowany z miejsca, gdzie został namalowany. Jego zdaniem najpierw pokryto ścianę warstwą tynku, blokując wejście do składziku, a następnie namalowano obraz. Wytłumaczył nam krok po kroku, na czym polega ta

technika. Fresk zwykło się malować na nieutwardzonym wapnie przy użyciu naturalnych barwników złożonych głównie z tlenków żelaza, które przenikają w ścianę, jak gdyby się w nią wtapiając. Policjanci pytali, czy warstwę tynku rozprowadza zazwyczaj sam artysta. Konserwator odpowiedział, że nie uważa tego za prawdopodobne w przypadku Amadea Laxa, który był znanym malarzem i nie traciłby czasu na coś, co mógł zrobić ktoś inny. Oczywiście co do zasady. Ale w okolicznościach, w których namalował swoją nieobecną Teresę, tak naprawdę nikt nie może być tego pewien. I na tym sprawa stanęła.

A właściwie nie. Arcadio oczywiście bronił Laxa. Nie byłby sobą, gdyby nie pozostał wierny pamięci mojego dziadka. Opowiedział o ucieczce Teresy, o wielkim poświęceniu i samozaparciu okazanym przez dziadka, który wychował tatę bez niczyjej pomocy – nie wspomniał o służbie ani o kuzynce Alexii – i musiałam grzecznie się wtrącić, żeby zamilkł, ponieważ gdy go słuchałam, robiło mi się trochę wstyd. Jak podziw może doprowadzić do czegoś takiego, i to po tylu latach? Na koniec poprosił o trochę szacunku dla prawego człowieka bez skazy czy coś w tym rodzaju. Czyli nic nowego.

Sierżant pytał mnie, co wiem o babci Teresie i jaka jest moja „wersja” (to jego słowa). Odparłam, że moja wersja nie pomoże zbyt wiele, ponieważ z wiadomych przyczyn będzie niekompletna. Wyjaśniłam mu, że od Ciebie się dowiedziałam, że dziadek nałożył na pamięć po swojej żonie pieczęć milczenia i skrupulatnie milczał na jej temat do końca, podobnie jak milczy tata. Powiedziałam, że gdyby nie tych trzydzieści siedem sławnych portretów nawet nie wiedzielibyśmy, że ta kobieta tak wiele dla niego znaczyła.

– Czyli obrazy są jedynym dowodem, jaki posiadamy, prawda? – zapytał sierżant.

– Obawiam się, że tak – odrzekłam. – Sztuka jest zawsze dowodem czegoś. A przynajmniej władzy, jaką martwi mają nad żywymi. Taki jest jej cel. Pozwala nam zatrzymać to, co niszczy czas.

Paredes na koniec poprosił, żebym zadzwoniła do taty. Stwierdził, że chce, abyśmy wszyscy razem zrekonstruowali tamte zdarzenia. Nie powiedziałam mu, że tata nie jest do tego najbardziej odpowiednią osobą. Mimo wszystko obawiam się, że nie ma wyjścia. Prowadząca sprawę sędzia śledcza również chce poznać „jego wersję”.

I właśnie o tym chciałam Ci napisać, żebyś wiedziała, czym jestem zajęta. Przez całe to zamieszanie nie zdążyłam na samolot do Bergamo, ale tak czy inaczej podejrzewam, że z powodu wczorajszej śnieżycy odwołano loty, więc kiedy będę w stanie ponownie zapanować nad swoim życiem, postaram się to sprawdzić i postępować zgodnie z planem. Mam jednak wrażenie, że ze względu na falę polarnych mrozów pustoszącą Europę podróż nad alpejskie jezioro nie jest najlepszym pomysłem.

Och, Mamo, jak zwykle mam pecha.

Twoja niewdzięczna córka, która Cię kocha w skrytości serca,

Vio

PS Nie próbuj do mnie dzwonić. Okazuje się, że jeśli chodzi o roaming, globalna wioska nie jest wcale taka globalna. Zostawiłam komórkę w domu.

PS 2 Czy kojarzysz kogoś, kto nazywa się Francesc lub Francisco Canals Ambrós? Pomyśl o tym. To ważne.

Od: Violeta Lax

Data: 13 marca 2010

Do: Daniel Clelland

Temat: Nie uwierzysz

Cześć, Kochanie,

zgodnie z tym, co obiecałam Ci dzisiaj przez telefon, opisuję szczegóły makabrycznej niespodzianki, jaką zrobił nam stary dom mojej rodziny. Wybacz, że wcześniej byłam tak lakoniczna, ale czuję się fatalnie, dzwoniąc za granicę z czyjegoś domu. Arcadio jest bardzo miły, chociaż nie sądzę, żeby wiedział, ile kosztuje połączenie telefoniczne ze Stanami Zjednoczonymi.

Śledczy przed usunięciem zwłok i później odkryli następujące rzeczy:

- ciało należy do młodej kobiety. To znaczy, która umarła młodo. Na oko nie da się ustalić wieku, ale badania laboratoryjne określą to dość dokładnie (z tego co mi powiedziano, analizie poddane zostanie szkliwo zębów);

- zwłoki przeleżały za ścianą długi czas. Najprawdopodobniej kiedy umieszczono je w składziku na szczotki, były jeszcze ciepłe. Kobieta miała na sobie domowe ubranie (odpowiadające jakiejś dawnej modzie). Był tam również martwy kot;

- mumia miała na szyi wisiołek: zardzewiały łańcuszek z zawieszoną na nim obrączką. Policjanci natychmiast orzekli, że może chodzić o obrączkę ślubną, i zabrali ją do analizy. Kilka godzin później ustalili kolejny fakt: po wewnętrznej stronie obrączki wygrawerowane było imię i nazwisko Francisca Canalsa Ambrósa. Nic mi to nie mówi, nie mam pojęcia, kto to może być. Arcadio też nie wie. Zobaczymy, co powiedzą rodzice (zapytałam „Mamapedię”).

- na szyi nieboszczki jest ślad. Lekarz sądowy przyglądał mu się długo i uważnie przez lupę, ale nie puścił pary z ust.

Czy chcesz wiedzieć, co z tego całego przedstawienia zrobiło na mnie największe wrażenie? Paznokcie zmarłej. Długie, zadbane i czarne.

Kiedy zabierano ją do laboratorium w plastikowym worku, pracownik zakładu pogrzebowego zapytał mnie, kto zajmie się pochówkiem po zakończeniu śledztwa. Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Poprosiłam, żeby dał policji trochę czasu na zakończenie działań.

Pogrzeb. To ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę.

Niemal wszyscy już sobie poszli, kiedy sierżant Paredes, który przez cały czas zaglądał w swoje notatki, zapytał mnie, czy mogłabym opowiedzieć mu o „tej należącej do rodziny kobiecie, która zniknęła bez śladu”. Wyjaśniłam, że Teresa nie zniknęła, tylko porzuciła dziadka i uciekła z innym mężczyzną. Zapytał, czy jesteśmy tego pewni, czy mamy jakiś dowód, który potwierdzałby obecność Teresy gdzie indziej. Odpowiedziałam, że dziadek pewnie wtedy to wiedział, ale nigdy nikomu o tym nie mówił. I że cała rodzina uszanowała jego ból.

Zwracał się do mnie per pani. Czułam się przez to staro. Poprosiłam, żeby mówił mi po imieniu.

„A twój ojciec? Czy nigdy nie chciał zobaczyć matki?”, zapytał. Starłam się mu wyjaśnić, jaki jest mój ojciec, opierając się na własnej opinii i podejrzeniach. „Chociaż nigdy tego nie przyznał, wydaje mi się, że zawsze czuł do niej żal – wyznałam. – Moim zdaniem obojgu wyszło na dobre, że nigdy nie starał się jej odszukać”.

„A ty? Też nie byłaś ciekawa?”

Czułam się nieswojo, wyjawiając mu prawdę. Przez całe życie oglądałam Teresę na obrazach, mówiłam o niej, prowadziłam na jej temat wykłady i badania. Znam postawę, każdy gest, blask oczu mojej babci na każdym z jej trzydziestu siedmiu portretów. Jestem specjalistką od niej.

I w pewien sposób to mi wystarczało. To była zamknięta sprawa, przedmiot badań. Nie przyszło mi do głowy, żeby drążyć głębiej.

„Czy uważasz, że sztuka ma z tym coś wspólnego?”

Przypomniałam sobie słowa Goethego (w tym momencie!): „Życie twórcy jest jego dziełem, a jego dzieło jest jego życiem”.

Oboje westchnęliśmy. Ta rozmowa nie miała już więcej wentyli bezpieczeństwa. Wreszcie padło ostatnie pytanie:

„Czy naprawdę żaden z członków rodziny nigdy nie pomyślał, że Teresa mogła zostać zamordowana?”

VIII

Wbrew temu, co zostało do tej pory powiedziane, najważniejszą rzeczą, jaką Maria del Roser Golorons zrobiła dla mamki swojego syna, było nauczenie jej czytać. Lekcje nie mogły mieć ustalonego harmonogramu i odbywały się między obowiązkami obu kobiet, czasami w tak długich odstępach, że żadna z nich nie pamiętała już, na czym skończyły poprzednio. Reszta polegała na zaangażowaniu Conchity i cierpliwości pani.

– Robisz szybkie postępy, Conchito – chwaliła ją Maria del Roser. – Jesteś zawzięta jak koń pociągowy.

– Oczywiście, proszę pani, jestem Aragonką.

Predyspozycje dziewczyny do nauki pozwoliły jej zyskać uznanie w oczach kobiety żyjącej wśród ksiązek i dokumentów. A wpływ, jaki miała na nią pani, był decydujący pod każdym względem. Zanim Concha trafiła do tego domu, była przekonana, że kobiety nie potrafią posiąść żadnych innych umiejętności poza tymi, którymi mogą popisać się w kuchni, polu i łóżku (chodzi oczywiście o porody), całkowicie odsuwając na bok wszystko, co dotyczy intelektu.

Pani oburzyła się, kiedy o tym usłyszała.

– Masz głowę przepełnioną śmieciami, dziecko. Kobiety są zdolne do tego samego co mężczyźni, pod warunkiem że nie będziemy na tyle głupie, by same się ograniczać. Zapamiętaj to sobie, ponieważ masz przed sobą dużo lat życia, żeby się o tym przekonać. Musisz się uczyć. Tylko jeśli doksztalcisz się trochę, będziesz w stanie zabrać głos i nikt nie odważy się kazać ci zamilknąć.

Tłumaczyła z takim zapalem, że czasami przerażała swoją uczennicę.

– Czy pan wie, że pani tak myśli? – pytała młoda mamka.

– Oczywiście, że wie!

– I nie gniewa się na panią?

Pani wybuchła śmiechem, który zatrzęsł jej dekoltem.

– Rozgniewałby się, gdybym nagle przestała mu się przeciwstawiać!

Conchita nie słyszała, żeby w ten sposób mówiła inna dobrze wychowana dama, i czasami obawiała się o zdrowie psychiczne pani lub była coraz bardziej przekonana, że ma do czynienia z rewolucjonistką. Jej oburzenie, jak to zazwyczaj bywa, związane było z ograniczonym światopoglądem. Kobieta, która ma odwagę myśleć inaczej niż jej mąż? Która przyjmuje własnych gości i wychodzi z domu, kiedy ma ochotę? Jej pierwszą myślą było: „Biedny pan Rodolfo, cóż za ciężki krzyż przyszło mu dźwigać”.

Oprócz środowych spotkań doña Maria del Roser prowadziła bogate życie towarzyskie. Wychodziła prawie każdego popołudnia i czasami wracała później niż mąż. Kiedy tak się zdarzało, czekał na jej powrót, pracując w swoim gabinecie, a kolację – czasami o dziwnych porach – podawano w jej saloniku, gdzie znajdował się stół ozdobiony fałdzistym obrusem i przenośny piecyk. Po posiłku długo siedzieli przy stole, opowiadając sobie, co robili danego dnia, i często aż na schodach słychać było ich niepohamowany głośny śmiech. Pan zostawał wtedy zazwyczaj na noc w jej pokojach, a następnego dnia ulegały zmianie niektóre codzienne zwyczaje, takie jak czytanie gazety czy wczesne rozsunięcie zasłon, ponieważ państwo długo nie opuszczali sypialni. Niejednokrotnie służące przyłapywano na próbach podglądania przez dziurkę od klucza sceny, której nigdy nie zobaczyły, ale która tak czy inaczej nie mieściła im się w głowie. Ponieważ to nienormalne, żeby zgodna i hojnie pobłogosławiona

potomstwem i dostatkami para była tak ostentacyjnie szczęśliwa. W tamtych czasach małżonkowie usychali w pogardliwej obojętności, każde w swojej części domu, zajęci własnymi sprawami, aż jakieś wydarzenie – zwykle niemające związku z rodziną – zmuszało ich do nieuniknionego chłodnego spotkania przeładowanego wyrzutami, których lepiej było nie roztrząsać.

W domu państwa Laxów życie płynęło w tak odmienny sposób, że służba – zwłaszcza jej żeńska część – przy każdej nadarzającej się okazji rozpowiadała wszystkim o niestosownych i niezwykłych przyzwyczajeniach swoich państwa.

– Co za wstyd! Przy własnych dzieciach! – oburzała się popędliwa Eutimia. I dodawała: – Oczywiście wszystko jest lepsze, niż żeby się dowiedziały, że ich matka jest heretyczką.

Rzadko ktoś miał odwagę zadawać pytania. Czasem robiła to jakaś nowa pokojówka jeszcze nienawykła do tych nieprawdopodobieństw:

– Co masz na myśli, mówiąc: heretyczka?

– Nie wiesz? Przecież wszyscy o tym mówią! Pani nie wierzy w Boga!

To oskarżenie wywoływało w kuchni pomruk.

– A najgorsze jest to – ciągnęła Eutimia – że ma odwagę mówić o tym publicznie. Słyszałam, że bez ogródek pisze o tym nawet w gazetach i jest z tego dumna.

– Ale przecież co wieczór odmawiamy różaniec... – wtrącał ktoś.

– Tak, z tym że to nie są modlitwy, jakie nakazuje nasz Kościół. Czy nie zauważyliście, że tajemnice nigdy nie są odmawiane po kolei? To heretyckie modlitwy! I obawiam się, że jeśli będziemy je w ten sposób odmawiać, wylądujemy prosto w piekle. Dlatego staram się skupić i zawsze odmawiam je jak Bóg przykazał. – Eutimia ściszała głos, żeby wyjawić najważniejszą informację: – Wiem też z dobrego źródła, że pani kazała się pochować na niepoświęconej ziemi.

Rozlegał się kolejny okrzyk oburzenia.

– A ksiądz Eudaldo? Jest przecież przyjacielem rodziny – zauważał ktoś, mając na myśli proboszcza parafii Niepokalanego Poczęcia. – Czy on nic nie może zrobić?

– A myślisz, że w jakim celu przychodzi co niedzielę? Stara się sprowadzić ją na dobrą drogę! Słyszałam, że pana Rodolfa kosztuje to fortunę. Trzeba wielu mszy, żeby odzyskać zagubione dusze.

W tym momencie pokojówka zęgnęła się, a ochmistrzyni spoglądała z litością.

– Niech Bóg jej wybaczy – mówił ktoś przepelnionym nabożnością głosem.

A Eutimia, nie tracąc żadnej okazji do podżegania nastrojów, dodawała:

– Jak również nam wszystkim za to, że jej służymy.

Relacje Conchity z Bogiem zawsze były napięte. Nigdy nie udało jej się zrozumieć, dlaczego ktoś, kogo uważano za dobrotliwego, lubi wymierzać tak straszne kary. Z początku przypisywała te wszystkie wątpliwości swojej ignorancji. Uważała, że nie ma prawa wyrażać swoich poglądów, skoro z góry uznała je za błędne. Dzięki temu, czego dowiedziała się z oczerniających plotek Eutimii i pozostałych służących, odważyła się zapytać o Boga, od którego doznała jedynie krzywd. Zrobiła to bez uprzedzenia, podczas lekcji czytania, czując w skroniach pulsujące tętno.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość – wyjąkała, odkładając na później spółgłoski wargowe – ale mam poważną wątpliwość.

Pani Lax odłożyła pióro na zeszyt, splótła dłonie i uśmiechnęła się.

– Nie chciałabym, żeby się pani na mnie gniewała za to, co powiem – dodała Conchita.

– Jeśli nie zadasz pytania, nigdy się o tym nie przekonamy.

Wymamrotała zawstydzona:

– Pani wie, że jestem nieukiem i czasami mogę mylić się w moich...

– Na Boga, Conchito! Pytaj wreszcie bez owijania w bawełnę.

Słyszając nieznaną wyrażenie – „bez owijania w bawełnę” – dziewczyna na chwilę zaniemówiła. W jej uszach zabrzmiało strasznie, jednak udało jej się kontynuować.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, czy Bóg istnieje? – rzuciła.

Doña Maria del Roser westchnęła, wbiła wzrok w stiuki na suficie i przez chwilę się w nie wpatrywała.

– Zadajesz mi trudne pytanie, kochanie. Obawiam się, że nie mam na nie jednoznacznej odpowiedzi, jakiej się spodziewasz. – Przerwała, ważąc słowa. – Mogę ci jedynie powiedzieć, że Bóg jest kimś innym dla każdego z nas i że powinnaś poszukać go w swoim sercu.

Rzeczywiście ta odpowiedź w ogóle nie zadowoliła uczennicy. Concha nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w dochodzeniu do własnych wniosków, a tym bardziej zagłębiania się w siebie. Widząc, że odpowiedź jeszcze bardziej ją zmieszała, doña Maria del Roser dodała:

– Z tym pytaniem jest tak samo jak z własnym zdaniem kobiet. Nikt ci nie pomoże znaleźć swojego sposobu wierzenia i myślenia. Sama musisz go odnaleźć. Musisz jedynie sama siebie zapytać, kim dla ciebie jest Bóg. Kim chcesz, żeby był.

Serce niańce biło jak oszalałe. Zastanawianie się nad istotą Boga nie było czymś, co w tamtych czasach przychodziło w sposób naturalny. Tym bardziej w przypadku dziewczyny, która ledwo skończyła dwadzieścia lat i jeszcze nie umiała pisać ani czytać.

– Spowiednik zawsze powtarza, że nie powinniśmy zadawać pyt...

– Nie interesuje mnie, co mówi twój spowiednik. On też się myli.

Concha stanowczo pokręciła głową w obronie spowiednika, chociaż właściwie już od pierwszego dnia wydał jej się odpychający.

– Nie, nie! Jemu natchnienie daje Bóg – odpowiedziała.

– Tak samo jak tobie, Conchito. Bóg inspiruje każdego z nas. Wszyscy jesteśmy jego stworzeniami. Docień się. Jesteś tyle samo warta co twój spowiednik.

Dziewczyna ponownie zaprzeczyła ruchem głowy, coraz bardziej przestraszona. Za nic na świecie nie była w stanie uznać takiego porównania. W głębi duszy zaczynała przyznawać rację Eutimii i pozostałym służącym. Pani nie szanowała największej świętości.

– Kim jest dla ciebie Bóg? – zapytała ponownie doña Maria del Roser, nie podnosząc głosu. – Czy jesteś w stanie odpowiedzieć na to pytanie?

– Bóg... – wymamrotała.

W głowie pojawił się Conchicie obraz bezbronnej martwej twarzyczki jej dziecka, kiedy tuliła po raz ostatni jego kochane stygnące ciało, czekając na jeden z tych cudów, o których będąc dzieckiem, nasłuchiwała się w opowieściach o żywotach świętych.

Ale cud się nie zdarzył.

– Bóg wyrządził mi wiele krzywd – odpowiedziała ze łzami w oczach.

Pani, uśmiechając się, podała jej chusteczkę. Czekala, była przy niej, przez cały czas jej się przyglądając. Mało kto ma odwagę spojrzeć prosto w oczy cierpieniu innych.

– Nie sędzę, żeby twoje serce potrzebowało właśnie takiego Boga – odezwała się w końcu, kiedy Conchita trochę się uspokoiła. – Wierzę, że Bóg nie pała do nas nienawiścią ani nie chce nas karać. Wręcz przeciwnie: jest wielkoduszny i kocha nas wszystkich jednakowo, nie dzieląc nas ze względu na pochodzenie czy płeć. Nie chce zabierać nam tego, co najbardziej kochamy, lecz przypomina nam, że my, żywi, jesteśmy o wiele bliżej martwych, niż nam się zdaje. Czy nie jest dla ciebie pocieszeniem myśl, że twój syn być może nie odszedł tak do końca? Że żyje w tobie, w głębi twojego serca?

Te słowa zrobiły na mamce tak wielkie wrażenie, że przestała płakać.

– Nie bój się, Conchito. Nie jestem szalona, jak niektórzy uważają. I nie mówię ci o dziwnych

zjawiskach. My, wolnomyśliciele, wierzymy między innymi w takie rzeczy, chociaż wielu ludzi nie zgadza się z nimi i dlatego nas atakują. – Zamilkła, klepnęła się rękami po udach i stwierdziła: – Wiesz, co zrobimy? Zaproszę cię któregoś dnia na nasze spotkanie i sama będziesz mogła to ocenić. Musisz przestać się bać myślenia i trochę bardziej się cenić. A teraz, jeśli nie chcesz do reszty stracić dzisiejszej lekcji, powróćmy do spółgłosek wargowych. Robi się późno!

Kilka tygodni później, również podczas jednej z lekcji, pani oznajmiła:

– W przyszły wtorek wieczorem odbędzie się spotkanie spirytystyczne w teatrze Calvo-Vico. Jeśli uważasz, że może cię zainteresować to, o czym będziemy tam mówić, daję ci wolny wieczór.

Concha nigdy nie poznała nikogo, kto by spełniał swoje obietnice, i oczywiście nigdy wcześniej nie była w teatrze.

– A kto zajmie się dzieckiem? – zapytała z przestraszoną miną.

Amadeo całkowicie był od niej zależny, a w nocy nadal się budził, domagając się jedzenia.

– Zdasz wrócić – zapewniła ją pani.

– Nie mam odpowiedniego stroju – dodała Concha, szukając kolejnej wymówki.

– Bardzo ładnie wyglądasz w uniformie. I nie ty jedna będziesz tak ubrana.

– Na te spotkania przychodzą służące?

– Oczywiście. Biorą w nich udział mężczyźni i kobiety każdego stanu. Pamiętasz, co ci mówiłam o równości ludzi?

Conchicie to wszystko nie mieściło się w głowie. Jak pani może uważać, że pod jakimś względem są równe? Ona, biedna analfabetka, która przez całe życie doświadczyła jedynie głodu, i Maria del Roser, dystygowana, elegancka i szanowana przez wszystkich dama? Ponieważ pani nie wiedziała, jak wyprowadzić z błędu tę upartą dziewczynę, przez cały czas kręciła jedynie głową.

– Zresztą nieważne, Conchito. Przyjdź we wtorek do teatru Calvo-Vico – zakończyła – a zrozumiesz, że w każdym z nas najważniejsze nie jest to, co najbardziej błyszczy na zewnątrz.

Prawie wbrew swojej woli, cierpiąc jak matka, która po raz pierwszy rozstaje się ze swoim dzieckiem, Concha wyszła z domu, dopiero gdy się upewniła, że Amadeo zjadł kolację i zadowolony poszedł spać. Z tej okazji wyprasowała swój najlepszy uniform i wyglansowała wyjściowe buty. Uznała za stosowne wypolerować również złoty medalik z Matką Boską z Montserratu, żeby jeśli ktoś ją rozpozna, wiedział, jak bardzo jej pani jest hojna również pod tym względem. Wyłożyła go na wierzch sweterka, który sama zrobiła z kilku motków pięknej granatowej wełny, urodzinowego prezentu od pani Marii del Roser.

Wszystkie te przygotowania i dotarcie piechotą aż do Gran Vía zajęło jej tak dużo czasu, że gdy dotarła na miejsce, spotkanie już się rozpoczęło. Oświetlona światłem elektrycznym fasada budynku zrobiła na niej wielkie wrażenie. Przed wejściem stało kilka niezdecydowanych osób. Z jednej strony głównych drzwi wejściowych ujrzała duży napis „Wieczór spirytystyczny”, a z drugiej afisz wystawianej obecnie i cieszącej się dużym powodzeniem operetki *Toreadorki*, o której słyszała.

Kiedy przeszła przez próg, pod jej stopami zaskrzypiała podłoga. Główna sala teatralna wyłożona była od góry do dołu drewnem, fotele powlekał krwistoczerwony aksamit. Nie używano tutaj jeszcze nowoczesnych żarówek, a gazowe lampy stwarzały atmosferę tajemniczości. Conchita rozejrzała się za wolnym miejscem, które znalazła niedaleko drzwi, w przedostatnim rzędzie. Była przerażona na samą myśl, że zwróci na siebie uwagę, a tym bardziej że mogłaby komuś przeszkodzić. Po zajęciu miejsca zdjęła ostrożnie wełniany szal i kapelusz, po czym wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy. Dopiero wtedy udało jej się skupić uwagę na tym, co się tam działo.

Na scenie kobieta w eleganckim kapeluszu mówiła ze zdumiewającą pewnością siebie:

– Proszę mi wierzyć, że nasze poglądy są coraz powszechniejsze. Dwadzieścia lat temu nie udałooby się nam zebrać w tym miejscu nawet dwudziestu osób. Spójrzcie, ilu nas jest.

Rzeczywiście, sala była pełna. Zostało zaledwie kilka wolnych miejsc, które powoli zajmowali maruderzy. Siedzący obok Conchity dżentelmen uważnie przysłuchiwał się kobiecie. Wielu innych mężczyzn siedziało w różnych częściach sali, chociaż liczebnie przeważały kobiety. Wśród nich można było dostrzec podobne do niej służące ubrane w uniformy z bogatych domów, jak również robotnice z zawiązanymi pod brodą chustkami i wełnianymi szalami na ramionach oraz mężczyzn ściskających w dłoniach niebieskie kaszkiety obok innych, trzymających na kolanach cylindry. Były tam damy w kapeluszach z szerokim rondem, których pochodzenie społeczne trudno było w ciemnościach rozszyfrować, oraz wiele osób w o wiele skromniejszych ubraniach. Rzędy najbliższej sceny zajmowały osoby najbardziej eleganckie, chociaż bez ostentacyjnych strojów, słuchające mówczyni z takim samym zainteresowaniem jak pozostali, jak gdyby rzeczywiście niczym się między sobą nie różniły.

Po oklaskach kobieta w kapeluszu zapowiedziała kolejne wystąpienie: wicehrabiego Torres-Solanota. Na sam dźwięk jego nazwiska rozległy się brawa, więc Concha pomyślała, że to musi być ważna osobistość w całym tym spirytyzmie. Wicehrabia był raczej korpulentnym mężczyzną, miał spiczaste wąsy i mówił pięknym barytonem. Jego wypowiedź była krótka – Torres-Solanot ograniczył się do podziękowania za tak liczne przybycie i do otwarcia spotkania. Następnie wystąpiły dwie śpiewaczki, które odśpiewały dwa piękne utwory, lecz Concha nie zrozumiała z nich ani słowa, ponieważ jak się domyślała, zostały napisane w jakimś obcym języku. Pomimo to słuchając ich, bardzo się wzruszyła – przecież muzyka jest językiem rozumianym na całym świecie – i z trudem powstrzymała się od płaczu. Emocje Conchity jeszcze nie opadły, kiedy na scenę zaproszono Marię del Roser, a ona biła jej brawo, aż rozboleły ją dłonie. Nie tylko ona, chociaż jej oklaski umilkły ostatnie.

Podczas przemówienia pani wyłuszczyła historię dziwnej nauki, która ich tam zebrała, wspomniała coś o materializmie, który próbowali zwalczać nowoczesnymi poglądami i przekonaniem, oraz o braterskiej miłości i ocaleniu narodów. Sądząc po tym, jakie owacje zabrzmiały po jej zejściu ze sceny, odniosła wielki sukces.

Następnie odbył się recital poezji, występy muzyczne i pełne niezrozumiałych dla Conchity słów przemówienie końcowe, które wygłosił niejaki don Miguel Vives. Kiedy wszyscy już sądzili, że spotkanie dobiegło końca, na scenę ponownie wszedł wicehrabia, poprosił o ciszę swoim gromkim głosem i zaskoczył wszystkich zapowiedzią:

– Drodzy przyjaciele, mamy dziś dla was szczególną niespodziankę. Dzięki uprzejmości jednego z naszych członków, szanownego pana Eduarda Condego, mieliśmy niedawno zaszczyt poznać młodzieńca, który pomimo młodego wieku i skromnego stanu objawia niezaprzeczalny talent w dziedzinie nauk spirytystycznych. Jestem przekonany, że stanie się sławny, ponieważ posiada cudowny dar i właśnie dlatego stał się już jedną z naszych gwiazd przewodnich. Dzisiaj z wielką dumą chcielibyśmy zaprosić go na tę scenę, żeby opowiedział o znaczeniu, jakie mają dla niego nasze idee. Panie i panowie, mam zaszczyt zapowiedzieć państwu pierwsze publiczne wystąpienie Francisca Canalsa Ambrósa.

Wybuch oklasków powitał młodzieńca liczącego nieco ponad dwadzieścia lat. Był wysoki, miał bujne kasztanowe włosy, mięsiste usta, smutne oczy i rumiane policzki. Jego wygląd nie pasował do górnołotnej prezentacji. Miał na sobie zbyt dużą marynarkę i ruchy niepewne.

Pomimo to kiedy zaczął mówić, niepewność ta zdała się zanikać. Na początku odniósł się do spirytyzmu jako moralności, nauki i filozofii oraz wytłumaczył, że komunikacja z życiem pozagrobowym i reinkarnacja są udowodnionymi faktami. Bez żadnego potknięcia lub przejęzyczenia przemawiał długo i wiele z tego, o czym mówił, było dla Conchy trudne do zapamiętania bądź po

prostu niezrozumiałe. Trzymał publiczność w napięciu, a skończywszy, otrzymał zgodny aplauz i ogólny podziw.

Jedynie mężczyzna siedzący obok Conchy pozostał niewzruszony. Nagle spojrzał na nią i wprost zapytał:

– Czy podobało się pani to, co powiedział ten młody człowiek?

– Tak – wyszeptała lekko zmieszana rozmową z nieznajomym. – A panu nie?

– Bardzo, ale nie biję brawa, ponieważ to nie on przemawiał – odpowiedział.

– Więc kto? – zapytała zdziwiona.

Dzientelmen uniósł pouczająco rękę, wskazując scenę, i rzucił z przekonaniem:

– To całkiem jasne, panienko. Przez jego usta przemawia istota wyższa, która opuściła swoją materialną powłokę.

Po tych słowach mężczyzna wstał, skłonił się mamce, przeprosił i wyszedł, zanim publiczność tłumnie opuściła salę.

Tej nocy Concha prawie nie zmrużyła oka, rozmyślając o tym, co zobaczyła i usłyszała. Rano, już spokojniejsza, wielokrotnie dziękowała pani za zaproszenie. Pani bardzo chciała poznać jej wrażenia. Odpowiedź dziewczyny była tak bardzo naładowana emocjami, że doña Maria del Roser stwierdziła:

– Potrzebujesz czasu, żeby przyswoić sobie tyle nowych rzeczy, Conchito, ale zrobiłaś pierwszy ważny krok. – Po czym dodała: – Dam ci znać, kiedy znów zorganizujemy spotkanie, żebyś mogła kontynuować swoją edukację. Spirytyzm potrzebuje entuzjastów takich jak ty.

Kiedy w następną środę o wpół do czwartej po południu zaczęli zbierać się cotygodniowi goście, niektórzy wydali się Conchicie bliżsi niż przedtem: wicehrabia Torres-Solanot, mówczyni w kapeluszu z szerokim rondem, don Miguel Vives, a nawet młodzieniec, który oszołomił wszystkich swoim darem wymowy. On, w odróżnieniu do pozostałych osób, po raz pierwszy gościł u państwa Laxów.

Od: Violeta Lax

Data: 15 marca 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Nadrobić stracony czas

Cześć, Mamo,

ostrzegam Cię, że to będzie długi mail, taki, jakie lubisz i jakich nigdy do Ciebie nie piszę. W życiu nie sądziłam, że tak się będziemy komunikować, ale skoro już ten sposób odkryłam, a przy tym mam czas i dzieli nas tysiące kilometrów odległości, nie zamierzam przepuścić tej okazji. Poza tym wiem, że Cię uszczęśliwię, opowiadając o tylu różnych rzeczach. I chociaż trudno Ci będzie w to uwierzyć, lubię przynajmniej trochę przyczyniać się do Twojego szczęścia.

Jak wiesz, nigdy nie chciałam sprzedać mieszkania w Barcelonie, które zostawił mi dziadek. Wynajmowałam je przez kilka lat, potem stało puste i tak jest dotąd, bo to miejsce, do którego mogę wrócić w razie potrzeby. Przestrzeń, gdzie wspomnienia mogą pokryć się kurzem. Zawsze wiedziałam, że w końcu tam wrócę.

Pierwszej nocy, zanim rzuciłam się na moje stare łóżko, musiałam przewyciężyć obrzydzenie. Ponieważ pralka nie działała – musiałby się zdarzyć cud, żeby działała – zadowolłam się wytrzepaniem pościeli na balkonie. Mimo to spałam w ubraniu i w płaszczu. Niewygoda rozproszyła smutek pierwszych godzin pobytu w Barcelonie i zmusiła mnie do zastanowienia się, czy rzeczywiście to jest to samo łóżko, które pamiętam z czasów, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat. Nagle wydało mi się niewiarygodne, że byłam w stanie spać z kimś na tak wąskiej pryczy, i zastanawiałam się, co nawaliło: łóżko czy mój romantyzm. Tak, wiem, że teoretycznie nie masz pojęcia o moich przygodach z tamtych czasów, bo starałam się je dobrze ukrywać przed Tobą, ale jak podejrzewam, zawsze wiedziałaś, że w tym mieście było coś – lub ktoś – co trzymało mnie tam o wiele mocniej niż badania na temat twórczości dziadka.

Chciałam Ci o tym opowiedzieć. Raz na zawsze uwolnić się od ciężkiej roli Twojej córki. Czy Ty też nie miałabyś ochoty chociaż na chwilę przestać być moją matką? Obawiam się, że ta opowieść nie nadaje się dla matek. Ale pisałam o łóżku.

Rzecz w tym, że wyrzuciłam je i kupiłam nowe, dwa razy szersze. Nie pozbyłam się nostalgii, lecz wiedziałam, że to nie będzie takie proste. Jeszcze nie.

No dobrze, do rzeczy: wczoraj przyleciał tata.

Kiedy tylko mnie zobaczył, powitał mnie słowami:

– Jak ty źle wyglądasz, córeczko. Fatalnie.

Co oznacza, że się nie zmienił.

Powiedziałam mu, że prawie nie zmrużyłam oka, ale nie wchodziłam w szczegóły. Miał ze sobą tylko małą walizkę. Zapytałam go, czy to cały jego bagaż.

– Leki, bielizna na zmianę i szczoteczka do zębów. Jeśli będę potrzebował czegoś więcej, kupię sobie – odpowiedział. – Tanie linie gubią wszystko, nie chciałem ryzykować.

Zdziwiło mnie, że przyleciał sam, ponieważ powiedziałaś mi, że ma nową przyjaciółkę.

– Amélie przyleci w czwartek – powiedział. – Miała coś do załatwienia. Nie mogła wyjechać tak nagle.

Nie mam pojęcia, kim jest Amélie, ani nie pamiętam, czy mi o niej mówiłaś. Przypuszczam, że to kolejna z tych efemerycznych panienek, które nazywa „asystentkami” i które nigdy nie zagrzewają miejsca dłużej niż kilka miesięcy, prawda?

Ponieważ wiem, że Cię to interesuje, powiem, że tata wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Czuje

się dobrze i czaruje jak zwykle. Wysiadł z samolotu, wyglądając jak dandys ubrany na przejażdżkę: wyglansowane buty, dobrze zaprasowany kant spodni i miękka skórzana kurtka narzucona na ramiona. W drogim szytym na miarę ubraniu, które na nim zawsze wygląda nieformalnie. Nadal ma gęste siwiejące włosy, czarne wąsy – czyli wciąż je farbuję – i eleganckie maniery. Wiem, że trochę dziwnie to zabrzmie w moich ustach, ale nie dziwię się, że Cię uwiódł. Mimo wieku nadal jest pociągający.

Zmieniły mu się jedynie wymiary. Jego ciało nie jest tak krzepkie i przypomina trochę usychający owoc. Czy to możliwe, że przestał chodzić na siłownię? Pod każdym innym względem pozostał taki sam. Zwraca uwagę na każdy drobiazg, nic nie umknie jego uwadze, podśmiewa się ze wszystkiego... Na przykład z wypolerowanych jak lustra płyt posadzki nowego terminalu lotniska.

– Słabo się robi! – powiedział. – Czy kobiety się nie skarżą? Przecież to raj dla podglądaczy!

Nic na to nie poradzę, Mamo: nadal denerwuje mnie ta jego pasja do zbierania anegdot. Przyznaję, że ma do tego dar i potrafi zjednywać sobie ludzi, ale mam swoją teorię: to jego sposób na unikanie poważnych rozmów, kiedy prędzej czy później nawiązuje się do spraw osobistych, które dla niego są jak pole minowe. Jak doskonale wiesz, dyskusja z ojcem zawsze składa się z omawiania kolejnych błahych spraw, im bardziej zabawnych i niedorzecznych, tym lepiej. A kiedy anegdoty mu się skończą, prosi o rachunek.

Z grzeczności zapytałam, czy chce zamieszkać u mnie. Zapomniałam, że tata nigdy nie zatrzymuje się u nikogo w domu.

– Jak zwykle mam rezerwację w Le Meridienie – odpowiedział obojętnie. – Nie chcę tracić ani minuty bez Rambli.

W tym momencie pomyślałam o Tobie. Przypomniałam sobie Twoje dawno temu wypowiedziane słowa:

– Twój ojciec nie może znieść myśli, że musiałby się dostosować do czyjegoś życia.

Czy pamiętasz, kiedy to powiedziałaś? Założę się, że nie! Odświeżę Ci pamięć. Podczas naszej pierwszej poważnej bezkompromisowej rozmowy w cztery oczy. Siedziałyśmy w samochodzie przed domem, który tata wynajął w Hendaye. Ty właśnie odjeżdżałaś, a ja miałam z nim spędzić pierwsze w życiu wakacje. Myślę, że w ten sposób chciałaś mnie ostrzec przed tym, co mnie czekało.

Mam Cię przed oczami. Byłaś ubrana w czerwoną bluzkę i miałaś opadające na ramiona rozpuszczone włosy.

– Modesto nigdy nie zrobił tego dla żadnego człowieka, nawet przez te krótkie dwa lata naszego związku. Po prostu nikt nie nauczył go żyć z drugą osobą. Dopóki mnie nie poznał, zawsze był sam. A teraz, kiedy już z nim nie jestem, pozostanie sam na zawsze.

Tak powiedziałaś. Twoje słowa wyryły mi się w pamięci. Przypuszczam, że dlatego, iż zdałam sobie sprawę z czegoś, co potwierdziło się z czasem. W pewien sposób ponowne spotkanie z Modestem, jego odmowa, by zamieszkać u mnie, moje natychmiastowe uczucie ulgi, było po tylu latach potwierdzeniem: jestem taka sama jak on. Ja również na zawsze pozostanę sama, Mamo. Zawsze byłam sama. Nie jestem zdolna dostosować się do życia innej osoby. Jedyne, co mnie od niego różni, to moja zdolność do udawania i poświęcenia. Chociaż i jedno, i drugie, podobnie jak niemal wszystko, co wymaga od nas wielkiego wysiłku, nie trwa długo. Pewnego dnia zarzucą mi to moje dzieci i będą miały rację.

Myślałam o tym wszystkim, kiedy tata zaskoczył mnie typowym dla niego pytaniem:

– Czy będą nas męczyć przez cały czas? Mam na myśli policję.

Odpowiedziałam, że nie mam pojęcia.

- Mam do załatwienia mnóstwo spraw - dodał.

Zaczęłam się bać tego, co się zdarzy. Tata traktował podróż do Barcelony jak weekendowy wypad. Myślę, że nawet przez chwilę nie zakładał, że sytuacja może być poważna.

Odprowadziłam go do recepcji hotelu, do którego wszedł jak do własnego domu.

- Modesto Lax Brusés - oznajmił, pukając lekko w blat owłosioną ręką.

A kiedy recepcjonista już miał poprosić go o jakiś dokument, żeby dokonać rejestracji, uprzedził go władcym tonem:

- Proszę odszukać mnie w komputerze. Jestem stałym klientem.

Jak możesz sobie wyobrazić, przez cały czas się uśmiechał. Z tą swoją majestatyczną postawą w głębi duszy jest jak dziecko.

Przydzielono mu pokój z widokiem na calle Pintor Fortuny.

- Wspaniale! - ucieszył się, ledwie do niego wszedł, odstawiając kotary w oknie. - W nocy poznam bliżej duchy kasjerek z El Siglo! Podobno były śliczne.

Boy hotelowy i ja spojrzeliśmy na siebie z rozbawieniem. Wytłumaczenie otrzymałam już tylko ja, kiedy zostaliśmy sami, chociaż część historii była mi znana. Właśnie w tym miejscu wznosiły się pierwsze w mieście wielkie domy towarowe, będące jednocześnie pierwszymi w Hiszpanii. Według uwielbiającego górnolotne określenia taty były czymś niesamowitym. Nosiły nazwę Wielkie Domy Towarowe El Siglo. Spłonęły w latach trzydziestych. Nie pozostały po nich nawet fundamenty. Straty był tak poważne, że władze miasta potraktowały je jako okazję do przebudowy miasta. Część strawionej przez ogień działki oczyszczono, żeby dawniej ślepą calle Pintor Fortuny połączyć z Ramblą.

- Zdaje się, że tymi domami towarowymi kierowała rodzina Conde. Dziadek namalował kilku jej członków. *Don Octavio Conde w swoim gabinecie w El Siglo*, jego mistrzowski portret, pamiętasz go? Należy do prywatnego kolekcjonera, ale udało mi się wypożyczyć go do Chicago na moją wystawę portrecistów.

- Jasne! - podchwycił tata. - Zawsze zapominam, że mam do czynienia ze światową specjalistką! Zgadza się! Właśnie nimi zarządzała rodzina Conde.

Zapytałam go, czy w pożarze zginęło dużo ludzi.

- Z tego co mi wiadomo, nikt - wytłumaczył. - Raczej umarło zbiorowe marzenie. To było legendarne miejsce.

Chciałam się dowiedzieć, jakie ma jeszcze w tym dniu plany.

- Nic szczególnego. Coś zjem. *Ramblejaré*.

Powiedział właśnie tak, po katalońsku. Porambuluję. No wiesz: to taki barceloński czasownik, który oznacza włóczenie się bez celu po sławnej alei.

Zapytałam, czy chce zjeść ze mną kolację. Chyba zgodził się z obowiązku. To dla niego typowe. Nie widzieliśmy się trzy lata, a on zachowuje się, jakby już miał mnie dosyć. Musiałam z powagą powiedzieć mu, że musimy pogadać chociażby po to, żeby przygotować go do rozmowy, na którą następnego dnia był umówiony z sierżantem miejscowej policji.

- Przygotować do rozmowy? Jakby to były egzaminy - zażartował.

Powiedziałam mu o odkryciu za freskiem Teresy. Powiedziałam, że chciałabym poznać jego teorię w tej sprawie. Wykręcił się:

- Teoria to za dużo powiedziane. Szkoda czasu.

- Co za różnica? Chcę poznać twoją opinię - nalegałam. - Myślisz, że ta kobieta mogła być kimś z rodziny?

Trudno mi było uwierzyć, że ojciec się nad tym nie zastanawiał. Że nie doszedł do tego samego wniosku co my. Już samo wspomnienie tej kwestii zdawało się go denerwować.

- Później. Nie męcz mnie tym teraz. Pozwól mi się nacieszyć miastem – zaprotestował, zdejmując buty.

Postawiłam sprawę jasno. Powiedziałam mu, że bez względu na to, jak bardzo będzie próbował się wykręcać, prędzej czy później musimy o tym porozmawiać.

- Lepiej później, Violín. Czy nie idziemy razem na kolację? Więc porozmawiamy o tym podczas trawienia!

Odwrócił się na pięcie i zamknął w łazience. Znasz go, to jego stały sposób na powiedzenie „temat zamknięty”.

Znasz też mnie. Nie umiem się kłócić. Potrafię tylko zaniemówić, a od tego już niedaleka droga do rezygnacji. Mimo wszystko muszę jednak przyznać, że podziwiam w tacie tę jego zdolność do nieprzejmowania się niczym. Zawsze chciałam patrzeć na życie jak na coś, co nie ma znaczenia.

Dlatego też raz zrobiłam coś, co on chciałby, żebym zrobiła.

- Pójdę się odświeżyć, tato, wieczorem jem kolację z pewnym przystojniakiem – powiedziałam. W jego głosie nie słychać było żadnego sprzeciwu, kiedy odpowiedział:

- Co za zbieg okoliczności. A ja umówiłem się z niesamowitą dziewczyną.

Zrobiłam sobie przerwę, żeby się zastanowić, jak Ci powiedzieć o następnej sprawie, Mamo. Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym „krótkim okresie”, który spędziłam z tatą. Przynajmniej nigdy ze szczegółami. Biorę w cudzysłów słowa, które znienawidziłam, ponieważ Ty je wtedy wypowiedziałaś: spędzę „krótki okres” z tatą w Awinionie, kiedy Ty i Jason będziecie otwierać swoją hiszpańską restaurację w Filadelfii. Po czym „krótki okres” wydłużył się do dwóch lat, w czasie których czułam się najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Bardzo Cię wtedy nienawidziłam, i to z różnych przyczyn. Nienawidziłam Cię za to, że zakochałaś się w naszym przystojnym korepetytorze angielskiego. Nienawidziłam Cię za to, że on też Cię kochał, i za to, że odważyłaś się za niego wyjść. Nienawidziłam Cię za to, że przez dwadzieścia cztery długie miesiące w Twoich planach nie było dla mnie miejsca, podczas gdy Ty urządałaś się w Stanach i przeżywałaś swój zasłużony miesiąc miodowy z Jasonem. Wiem, że nigdy nie byłam łatwym dzieckiem i że w wieku czternastu lat stałam się krnąbrna. Że zasługiwałaś na to, aby mieć swoją przestrzeń i czas, a mnie przydała się nauka francuskiego i poznanie innej rzeczywistości... Chociaż zrozumienie tego zajęło mi ponad dwadzieścia lat. Wówczas widziałam to inaczej.

Wtedy miałam czternaście lat, nie mówiłam dobrze po francusku i nie umiałam łatwo dostosować się do nowych miejsc i ludzi. Ciągnęłam za sobą bolesną tęsknotę za rodziną Barceloną, w liceum nie miałam powodzenia u chłopaków, jeszcze gorzej było z koleżankami. A do tego zamieszkałam z kimś w rodzaju pustelnika, który odzywał się do mnie tylko po to, żeby mówić mi dziwne rzeczy. A ja potrzebowałam ojca. Kogoś, kto mnie wysłucha, wesprze, kto od czasu do czasu wkurzy się na mnie. A nie anachorety, a tym bardziej wykładowcy.

Modesto Lax Brusés, obcy człowiek. To prawda, że nasze relacje nigdy nie były bliskie. Jedyne wspomnienie z dzieciństwa, jakie mi po nim pozostało, związane jest ze śmiercią dziadka i radością spędzenia Bożego Narodzenia z Wami obojgiem, kiedy on załatwiał formalności pogrzebowe. Przez te dwa lata udało mi się go poznać. Nauczyłam się go również kochać, chociaż moje dzieciństwo upłynęło bez niego, podobnie jak bez niego potoczy się reszta mojego życia. Zrozumiałam to, co powtarzałaś mi tyle razy: „Kochać twojego ojca oznacza, że trzeba nauczyć

się go nie potrzebować”. I kiedy poznałam go trochę lepiej, znów przyznałam, że miałaś rację, gdy mówiłaś: „Największym problemem Modesta jest to, że nudzi go życie”. Teraz myślę, że dokładnie wiedziałaś, co zamierzasz zyskać, zostawiając mnie w Awinionie. Gdybyś tego nie zrobiła, ojciec i ja nigdy byśmy nie zrozumieli, że jesteśmy tacy sami.

Moim pierwszym ważnym odkryciem było to, że jedyną zwyczajną rzeczą, która nie przygnębiała Modesta, było wszystko, co miało związek z książkami. W świecie akademickim poruszał się jak ryba w wodzie, być może dlatego, że tylko w tym środowisku jego błyskotliwość i ciekawość były natychmiast wynagradzane. Czasami wystawiał głowę na powierzchnię prawdziwego świata, żeby zebrać osobliwości, anegdoty, którymi robił wrażenie na studentach, słuchaczach wykładów czy przyjaciółach zapraszanych od czasu do czasu na kolację. Zrozumiałam, że w życiu realnym interesuje go jedynie to, co jest sprzeczne z rzeczywistością.

Podczas naszego wspólnego życia ojciec w najmniejszym stopniu nie zmienił przyzwyczajień. Spotykaliśmy się w bibliotece. Ja zazwyczaj siedziałam tam godzinami, szukając zaginionych skarbów. Samotność jako ucieczka i niezależność jako filozofia: to dwie najważniejsze cechy, które odziedziczyłam po Modeście.

Kiedy zadzwoniłaś do mnie, żeby mi powiedzieć, że Wasza nowa restauracja świetnie działa i że mój pokój jest już gotowy, tata szybko kupił bilet na samolot na następny tydzień, pchany – podejrzewam – tym samym pośpiechem co ja: żeby się ode mnie uwolnić. Kiedy całował mnie w czoło na pożegnanie, wsadzając do taksówki mającej zawieźć mnie na lotnisko, zauważyłam, że mamy na twarzach taki sam wyraz ulgi. Resztę mniej więcej znasz: długo go nie odwiedzałam, a kiedy już do tego doszło, bywałam w jego domu tylko gościem i nigdy na zostałam dłużej niż na jedną noc. Znasz moją dewizę: „W domu rodziców bywaj zawsze w odwiedzinach”.

Na odległość Modesto był przykładowym ojcem. Zawsze czułam, że naprawdę cieszy się z moich osiągnięć. Widać było, że pamięta o mnie, i okazywał to, przysyłając mi te śmieszne pocztówki, które wszystkim wysyła. Mam ich setki, podobnie jak Ty. Czasami myślę, że odkąd skończyłam szesnaście lat, moje życie zawiera się w nich. Niedawno postanowiłam je odnaleźć i poukładać. Włożyłam je do segregatora w porządku chronologicznym. Po długim przyglądaniu się zdjęciom, które nigdy nie mają nic wspólnego z żadnym miejscem turystycznym, tylko raczej z jakimiś ciekawostkami, które tata tak uwielbia, postanowiłam ułożyć je w taki sposób, żeby można je czytać, nie wyjmując. Charakter pisma Modesta jest bardzo czytelny, jak u ucznia. Niektóre teksty znam na pamięć.

Nigdy nie odważyłam się powiedzieć mu, że cieszę się, iż jego pocztówki ścigały mnie po całym świecie. Nie przestały przychodzić nawet przez dwa lata mojego pobytu w Londynie. Na pierwszej było napisane: „Ponownie jesteśmy na tym samym kontynencie, ale rozdzieleni niebezpiecznym pasem oceanu. Zaczynam myśleć, że robisz to naumyślnie”. Przysłał mi jedną do Barcelony, na adres mojego mieszkania po dziadku: „Dom nie jest w pełni Twój, dopóki nie otrzymasz w nim pierwszego listu. Witaj w Twoim nowym domu, Violín”.

Nazywał mnie tak jeszcze, kiedy byłam nastolatką: Violín. Strasznie mnie to wkurzało. Jakie dzieci są czasami głupie.

Nie okazał wielkiej wylewności, gdy postanowiłam badać obrazy jego ojca, ale sędzę, że się ucieszył. „Masz wszelkie cechy, żeby stać się największą na świecie specjalistką w dziedzinie twórczości Amadea Laxa. Nawet upór i geny, co w sumie oznacza to samo”, napisał mi na jednej z pocztówek z żabą na odwrocie. Był rok 1995. Byłam niezależnym duchem, a on zadowolonym widzem. Nie był zachwycony, kiedy poinformowałam go, że wracam do Stanów: „Szkoda, że teraz wyjeżdżasz, ale przypuszczam, że uciekasz gdzie pieprz rośnie z miasta, które kochasz, ponieważ

masz swoje powody”, napisał.

Uciekłam. Właśnie. On jeden to zauważył. Lub jako jedyny odważył się powiedzieć mi o tym.

Kiedy niedługo później napisałam do niego, by oznajmić, że dostałam propozycję pracy w Chicago Art Institute, przesał mi zdjęcie piaskowej klepsydry z następującym przekazem: „Zmarli mają dużo czasu i nieskończoną cierpliwość. Twój dziadek zaczeka na Ciebie. *Carpe diem*”.

Jak widzisz, jego przepowiednia się sprawdziła. Zmarli na mnie poczekali.

Wysłałam, żeby coś zjeść. Dobrze, obiecuję powstrzymać się od refleksji aż do następnego maila i opowiedzieć Ci do końca o naszym ponownym spotkaniu.

Sądziłam, że tata będzie miał ochotę na rodzime potrawy, toteż zrobiłam rezerwację w Quo Vadis. Z hotelu poszliśmy tam piechotą, wystrojeni i zadowoleni jak para narzeczonych.

W restauracji przejrzał menu, chwalał obecność w nim produktów naturalnych. Powiedział mi, że ostatnio kupuje warzywa tylko przez Internet, skrytykował nawyki żywieniowe studentów, a przy okazji jedzenie na uniwersytecie, na koniec zamówił zupę cebulową i sałatkę, jak gdyby jedno zwyczajnie prowadziło do drugiego.

Ja, do tej pory milcząc, zdecydowałam się na warzywa z grilla i jajka.

Zmienił temat. Zapytał mnie o dzieci. Powiedział, że są już pewnie duże. Pokazałam mu więc zdjęcia laga i Rachel.

Nałożył okulary, uważnie obejrzał zdjęcia i powiedział:

– Uważaj, bo niedługo ten twój lago znajdzie swoją Desdemonę.

Podano nam zupę cebulową, co nadało rozmowie inny kierunek. W hołdzie zupom z całego świata rzucił jedno ze swoich podchwytliwych pytań:

– Pewnie nie wiesz, w którym z europejskich krajów je się najwięcej zupy?

Oczywiście nie znałam odpowiedzi. Czy ktoś wie takie rzeczy? Czy byłeś w stanie podczas Waszego małżeństwa odpowiedzieć chociaż na jedno z tych jego pytań?

– W Polsce! – zawołał triumfalnie. – Tam ludzie jedzą dwa talerze zupy dziennie. Dziewięćdziesiąt procent jedzenia spożywanego przez Polaków to zupa. I pewnie nie wiesz, jakie jest najbardziej uniwersalne danie na świecie? – Teatralna cisza ozdobiona jego figlarnym uśmiechem. A następnie finał: – Oczywiście zupa! Z kluskami. Je się ją na całym świecie. Czy nie uważasz, że to przepyszna światowa wspólnota podniebienia?

Nie dawałam za wygraną. Przypomniałam mu, że musimy porozmawiać o tym, co się stało. O mumii.

Głęboko westchnął, dając do zrozumienia, że wolałby rozmawiać o zupach niż o mumiach.

– Dobrze, porozmawiajmy o mumii.

Zapytałam, czy zanim do niego zadzwoniłam, kiedykolwiek słyszał o składziku na szczotki.

Zaprzeczył oszczędnym ruchem głowy.

Zapytałam o jego matkę. Serce waliło mi jak opętane. Wiedziałam, że wkraczam na obszar ruchomych piasków.

– Pamiętasz babcię lub coś z czasów, kiedy dziadek malował fresk?

Tata znów potrząsnął głową.

– Miałeś wtedy jakieś cztery lata, więc nic dziwnego, ale może masz jakieś mgliste wspomnienia? – naciskałam.

– Wydaje mi się, że spędzałem cały czas z Conchą. Moi rodzice niezbyt chętnie zajmowali się dziećmi – odpowiedział.

Odważyłam się pytać dalej:

- Jakie jest twoje najbardziej odległe wspomnienie, tato? Czy mógłbyś poszperać w pamięci? Westchnął.

- Nie mogę ci pomóc, kochanie. Biorąc pod uwagę, jaki jestem roztargniony, z pewnością już dawno wszystko zapomniałem. Moja pamięć jest jak dolna szuflada. - Zaśmiał się, ale jego śmiech zabrzmiał sztucznie. - Łąduje tam wszystko, co nie ma swojego miejsca.

- Dobrze by było, gdybyś sobie coś przypomniał.

- Dobrze dla kogo?

Sądząc po jego zachowaniu, nic z tego nie interesowało go w najmniejszym stopniu. Odsunął talerz po zupie i złożył dłonie, jakby zastanawiał się beztrosko: „I co teraz?”.

Powróciłam do tematu.

- Policja chce wiedzieć, czy masz zdjęcia.

- Czyje? Teresy? Znam tylko jedno, które opublikowane zostało w monografii o twoim dziadku w ramach kolekcji Gent Nostra. Pamiętasz? To była kolekcja broszur o osobistościach katalońskiej kultury i polityki. Jeden z numerów poświęcony był Amadeowi Laxowi. Z pewnością kiedyś miałaś go w rękach. Istniała jeszcze jedna fotografia - zmrużył oczy - na której jestem też ja. Czy nie wysłałem ci jej przed laty?

Coś zaświtało mi w głowie. Nie tylko przypomniałam sobie, że kiedyś kupiłam na rynku Sant Antoni egzemplarz tej monografii, ale też gdzie go mam.

- Po co im potrzebne zdjęcia Teresy? - zapytał.

- Mówią, że przydadzą się w śledztwie.

- W śledztwie? - Zaśmiał się z niedowierzaniem. - Czy naprawdę po tylu latach bawią się w policjantów i złodziei? Nie mają nic lepszego do roboty?

Zapytałam go, czy nie chciałby poznać prawdy.

- Jakiej prawdy?

- O tej kobiecie. O zmarłej.

Zaczął pukać w stół palcami z idealnym manikiurem, rozejrzał się dookoła, kląsknął językiem i zmrużył oczy.

- Po co? Czy prawda coś zmieni?

- Może zmienić przeszłość - wyszeptalam.

Drugie danie podano podczas grobowej ciszy.

Zaczekałam, aż kelner naleje nam wody do kieliszków, po czym zapytałam tatę, czy zamierza sobie przypomnieć jakiś szczegół czy tylko tracimy czas.

- Obawiam się, że nikt nigdy nie zadbał o to, co powinienem zapamiętać, a czego nie. Tak czy inaczej to nie ma już znaczenia. Przeszłość jest mumią, jak ta kobieta, którą się tak przejmujesz.

Pomimo jego oporu pytałam dalej. Wiem, że ojciec doskonale zna twórczość dziadka. Przystudiował ją wnikliwie. Jego artykuł o symbolice kotów obecnych na portretach Teresy wszędzie cytują i powołują się na niego. Zapytałam, czy przynajmniej pomoże mi poszukać wskazówek na obrazach.

- Jakiego rodzaju wskazówek?

- Wszystkich. Obrazy mogą powiedzieć nam prawdę.

- Sztuka może mówić cokolwiek - zauważył. Włożył do ust oliwkę, starannie ją przeżuł, przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym zakończył: - Widzę, że podeszłaś do tego bardzo poważnie.

Poczułam, że to, co mówimy, tworzy między nami kłopotliwą przepaść. Oboje nie byliśmy w stanie odzyskać nastroju, w jakim byliśmy na początku wieczoru.

Piliśmy bezkofeinową kawę, kiedy podjęłam ostatnią desperacką próbę i zapytałam, co by się stało, gdyby się okazało, że ta mumia to jego matka.

Bawił się układaniem na wzorzystym obrusie pełnych paczuszek z cukrem w równy szereg. Marszczył czoło, wzrok miał nieobecny. Znasz tę jego minę głębokiego niezadowolenia.

- Fakt, że przeszłość można zmienić, Violeto, nie oznacza, że musimy to robić - orzekł wreszcie. Podniósł rękę, prosząc o rachunek, i dodał: - Jest bardzo późno. Najwyższy czas iść spać.

Powiem to samo, Mamo. Jest bardzo późno. Żegnam Cię i obiecuję, że dalej będę opisywała Ci wszystko ze szczegółami.

Buziak dla Ciebie, drugi dla Jasona.

Vio

PS Nie miałam jeszcze czasu rzucić okiem na link, który przysłałaś mi w ostatnim mailu, ale zrobię to za chwilę. Naprawdę znalazłaś coś o naszym tajemniczym mężczyźnie? Mam nadzieję, że ten blog będzie coś wart, ponieważ umieram ze zmęczenia.

Święty, który nigdy nie był świętym

Przy jego grobie nigdy nie brakuje odwiedzających, a tym bardziej kwiatów. Dyrekcja cmentarza musiała przenieść sześć sąsiadujących z nim nisz, żeby pomieścić wielką liczbę przynoszonych codziennie wotów, bukietów i darów. Na najstarszym w Barcelonie cmentarzu, Cementiri de l'Est, jego miejsce wiecznego spoczynku jest najczęściej odwiedzanym grobem. O kim mowa? Pozwólcie, że wam przedstawię ciekawą postać...

Za życia nazywał się Francesc Canals Ambrós. Zmarł podobno śmiercią naturalną, mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, 27 lipca 1899 roku. Pochodził z biedoty, jak większość tych, którzy go teraz czczą, i pracował w legendarnych Wielkich Domach Towarowych El Siglo, stanowiących dla barcelończyków symbol swoich czasów. Mówi się, że jeszcze za życia z poświęceniem pomagał ludziom oraz znany był z dobrego serca i uczynków. A nawet że wystarczyło, by spojrzeć komuś w oczy, a odgadywał datę jego śmierci. Podobno przewidział też własną śmierć. Chociaż wszystko to wiadomo jedynie z opowieści.

Nisza zabezpieczona jest szybą. Wewnątrz znajduje się zdjęcie pokazujące, jak prawdopodobnie wyglądał: szczery, chłopięcy, o czystym smutnym spojrzeniu. Czasami nie widać zdjęcia, ponieważ „wyznawcy” wykorzystują tę przestrzeń jako urnę do wrzucania karteczek, na których starannie spisują swoje najgłębsze pragnienia. Osoby opiekujące się grobem wyjmują karteczki raz w miesiącu, ale natychmiast pojawiają się kolejne. I z tego co się mówi, każda prośba zanesiona do Francesca Canalsa zostaje spełniona. Właśnie dlatego ludzie wielbią go jako ludowego świętego i częściej znają nie z imienia i nazwiska, lecz z przydomku El Santet, znaczącego po katalońsku święty.

Korzystając z tego, że jestem na miejscu, czytam kilka widocznych prośb.

Wiem, że nie powinienem, ale trudno mi jest się oprzeć. Każdy znajdzie tutaj coś dla siebie. Niektóre prośby są naprawdę wzruszające: „Chciałabym, żeby moje dziecko znów zaczęło chodzić”, „Nie chcę wracać do więzienia...”, „Chciałbym zapomnieć o Marii”. Inne nie są takie niezwykłe: „Pracować w swoim zawodzie”, „Wyleczyć nogę”, „Pieniędzy”, „Szczęścia i zdrowia”... A niektóre wręcz dziwaczne: „Przed śmiercią zobaczyć Moncayo”, „Świnkę morską”, „Zdobyc Nagrodę Nobla”... Na podstawie charakteru pisma staram się odgadnąć, kim była osoba, która wrzuciła ją do tej prowizorycznej urny. Robię kilka zdjęć. Kiedy kończę, podchodzi kobieta z bukietem. Robię jej miejsce. Kładzie bukiet wśród innych i w ciszy modli się przez chwilę. Potem odchodzi. Postanawiam zapytać ją, czy po raz pierwszy odwiedza tę cudowną postać i dlaczego to czyni. Jej odpowiedź całkowicie mnie zaskakuje:

– Przychodzę w każdy poniedziałek, żeby podziękować mu za to, co dla mnie zrobił i nadal robi – odpowiada.

Nie mówi mi nic więcej, a ja nie mam odwagi naciskać. Poruszony pozwalam jej odejść. Z pobliskiego grobowca przygląda jej się stoicko spokojny kot.

Przed odejściem gawędzę również z cmentarnym dozorcą. Opowiada mi, że El Santet czczony jest przez ludzi już od bardzo dawna.

– Ja tu pracuję od 1979 roku. Kiedy zacząłem, już tak było. Setki osób co tydzień przychodzą,

prosząc o spełnienie życzeń i przynosząc ofiary dla „Świętego z Poblenou”, jak go tu przewali od nazwy dzielnicy, jakby ktoś miał im go zabrać. Czytałem gdzieś, że ten zwyczaj rozpoczął się kilka dni po pogrzebie, kiedy kilka jego koleżanek z pracy przyszło tu złożyć kwiaty i wypowiedziało życzenia. Pewnie pomyślały, że skoro za życia był taki dobry, pozostanie dobry też po śmierci. Ich prośby się spełniły i rozeszła się wieść, że Francesc Canals czyni cuda. I jak widać, tak jest do dzisiaj. Cuda dzieją się nadal i nadal przychodzą ci, którzy ich potrzebują.

Pytam go, czy kiedykolwiek zwrócił się o pomoc do chłopca.

– Kiedyś tak, ale nie powiem, o co prosiłem.

– A może mi pan powiedzieć, czy się spełniło?

Poważnie nieśmiało potakuje głową.

– Tak, spełniło się, chociaż to nie było takie proste.

Mam szczęście, że mężczyzna jest rozmowny i dzisiaj nie ma dużo pracy. Świetnie się z nim gawędzi. Opowiada mi o interesującej tradycji.

– Może nie zauważyłeś, ale przez całą szerokość płyty nagrobnej przechodzi rysa. Ludzie wierzą, że jeśli uważnie się jej przyjrzyj, zobaczysz po drugiej stronie białe światło. To zaświaty, królestwo umarłych. Ja nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by to zrobić, bo uważam, że to prawda. Poznałem ludzi, których życie się odmieniło, kiedy zobaczyli to światło. Wielu wierzy, że ten chłopak powinien zostać świętym. Jest tylu innych świętych... jak by to ująć... mniej profesjonalnych. On nigdy nie zawodzi. To prawda, że do uznania za świętego należy udowodnić uczynienie pięciu cudów? Jeśli tak, to ten chłopak od dawna spełnia ten wymóg! Co tam pięć! On ich uczynił już tysiące! Tylko że w tym kraju zawsze jest tak samo. Księża nie chcą biednych świętych. Nieważne, że jest narzędziem Boga na ziemi i że wszyscy go wielbią. Co ich obchodzimy my, zwykli ludzie? Nic nie rozumieją. Wszystkim to mówię, żeby wreszcie stało się jasne: ten chłopak jest święty, święty na ludową miarę: socjalistyczny, powszechny i niezależny! Był taki od urodzenia i oczywiście za życia przez cały czas to udowadniał, a przecież nie na darmo się mówi: „poznacie ich po ich owocach”, prawda? No właśnie. Na co, do cholery, czekają, żeby postać go do nieba i oficjalnie uznać za świętego? Nie rozumieją, że z góry pomogłby nam bardziej niż stąd? Nie widzą, że zasługuje na aureolę, ołtarz w kościele, dzień w kalendarzu i uznanie go za patrona pracowników wszystkich dużych domów towarowych na świecie?

IX

W czwartek 9 kwietnia 1925 roku, wbrew swoim zwyczajom i w towarzystwie młodszej siostry, Tatín Brusés złożyła wizytę Marii del Roser Golorons.

– Z pewnością rozumie pani, moja droga, że o tej delikatnej sprawie mogę rozmawiać z panią tylko osobiście – powiedziała, opadając na żółty aksamit i krzyżując elegancko nogi pokryte jedwabiem, spowita chmurą o zapachu róż, z wręcz pogardliwym uśmiechem na ustach, demonstrując na rękach i w uszach komplet rubinów, które wzbudziłyby zawiść niejednej damy z wyjątkiem goszczącej ją pani domu.

Na tle wyszukanego wyglądu Tatín beznadziejnie wyróżnia się w tej scenie dyskretny wdzięk jej towarzyszki. To Teresa, najmłodsza z siedmiorga dzieci powołanych na świat przez państwa Brusésów. Chce zrobić dobre wrażenie, ale oczy jej biegają z kąta w kąt, być może sama by tak robiła, gdyby nie musiała trzymać się norm. Wdowa Lax знаła ją z portretu, który namalował jej Amadeo kilka lat wcześniej, kiedy jeszcze nosiła krótkie sukienki. Zaskoczyła ją jednak bardzo jej przemiana w młodą damę o niepokojącej urodzie i smutnym wyrazie twarzy.

Obie siostry są podobne do siebie. Mają podobne złote pofalowane włosy, jasne oczy – chociaż oczy Teresy są większe i bardziej błękitne – oraz tak samo delikatnie zarysowane kości policzkowe i podbródek. Jednak poza tymi podobieństwami znacznie się od siebie różnią. Tatín ma zwartą, pozbawioną krągłości budowę ciała, grubą szyję oraz zbyt duże dłonie i stopy. Teresa jest jej całkowitym przeciwieństwem. Jej kształty są delikatne i piękne. Przypomina nieszczęśliwą wróżkę, co sprawia, że trudno się jej oprzeć. Kiedy siedzą tak obok siebie, Tatín przypomina bardziej surową wersję tego samego dzieła, jak gdyby rzeźbiarz ćwiczył na niej, aby następnie przyłożyć się przy wykonaniu ostatecznej wersji.

– Jak widzisz, Tessito – mówi Tatín Brusés z bezpośredniością, z jaką zachowuje się na każdym spotkaniu – pani Lax rozumie cię i pomoże nam.

Młodsza siostra nie wydaje się zbyt szczęśliwa. Nadal rozgląda się wokół milcząco. Na jej ustach rysuje się smutny uśmiech. Przypomina kwiat oczekujący wiosny.

Spotkanie odbywa się w porze dnia, kiedy słoneczne złoto wpada do pomieszczeń, pokrywając wszystko zmysłową powłoką. Aby zjawisko to widoczne było w całej swojej wspaniałości, wdowa Lax kazała odpowiednio rozsunąć zasłony i posadziła gości bokiem do okien. Kominek jest wygaszony, a na pierwszy romantyczny plan wysuwa się gramofon, z którego rozbrzmiewa *Tannhäuser*.

Wybór muzyki był jedną z trudnych decyzji podjętych tego popołudnia, po tym jak woźnica przywiózł bilecik napisany osobiście przez Tatín, zapowiadający jej wizytę z zamiarem porozmawiania „o bardzo delikatnej sprawie”. W ferworze przygotowań pani uznała nagle, że w salonie jest zbyt dużo szydełkowych serwetek, które kazała natychmiast schować. W tym samym czasie Conchita wymieniała tytuły dostępnych płyt, ale wdowie Lax nic nie przypadło do gustu. Ani *Ave Maria* Schuberta („zbyt pobożne o tej porze”), ani Carlitos Gardela śpiewający *Pobre mi madre querida* („jakie smutne są te nowoczesne piosenki!”), ani *El relicario* w wykonaniu Raquel Meller („nie, nie, śpiewa tylko o brunetkach, a ona jest blondynką, więc może się obrazić”), czy nawet *La Santa Espina* („Jezus Maria! Wyrzuc to natychmiast! Czy to możliwe, że odkąd zaczął rządzić Primo, nie puszczałyśmy muzyki?”). Kiedy Concha znalazła *Tannhäusera*, pani odetchnęła z ulgą, uznając, że „Wagner pasuje do wszystkiego”.

Kolejną trudną decyzją był poczęstunek. Wszyscy wiedzieli, że Tatín Brusés nie należy do kobiet, które uwielbiają jedynie grać fotele w cudzych salonach. Kiedy Tatín Brusés wychodziła z domu, zawsze spowita chmurą swoich różanych perfum, szła podbijać świat. Było powszechnie wiadomo, że wielokrotnie osiągała swój cel. Poza tym wybrała na odwiedziny fatalną porę: szóstą po południu. Zbyt wcześnie na aperitif i za późno na herbatę z ciastkami. Ale jeśli niczym jej nie poczęstuję, popełnię niewybaczalną nieuprzejmość, pomyślała Maria del Roser. Kawa zdawała się jej tak banalna jak likier, zamówienie słodczy w cukierni byłoby zbyt pochopne i mało oryginalne. Nie odpowiadało jej żadne rozwiązanie, a czas uciekał. W końcu podzieliła się swoimi dylematami z Vicentą, która podsumowała je czterema słowami: „Ja się tym zajmę”.

A teraz rozmowa dobiegła końca, podobnie jak podwieczorek, i obie panie mogły uznać swoje cele za osiągnięte: Tatín podzieliła się przyczyną smutku swojej młodszej siostry, a Maria del Roser zaskoczyła wymagającego gościa czymś odmiennym. Kiedy już obie są zadowolone, spotkaniu zaczyna grozić senność. Jednak w tym momencie pojawia się Amadeo.

Wdowa Lax słyszy znajome potknięcie o liść winorośli i chwilę później oświadcza z dumą:

– A oto mój syn.

Kwiatek nagle ożywa, dusząc w sobie okrzyk wzruszenia.

Tatín patrzy na nią z wyrzutem. „No dobrze, zakochałaś się jak głupia, ale zachowuj się jak dama”, zdają się mówić jej oczy.

Właśnie w tej sprawie przyszły. Delikatne kwestie, o których wspomniała w swoim bileciku zawsze zaskakująca Tatín Brusés, okazały się czymś o wiele ważniejszym, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

– Nienawidzę owijania w bawełnę, proszę pani – rzuciła zaraz po powitaniu – i na ile panią znam, mam przeczucie, że mogę być z panią szczerą. Nie wiem już, od jak dawna moja siostra żywi do pani syna Amadea uczucie będące jak choroba, która powoduje, że Teresa przez cały czas jest smutna i nie do zniesienia. Postanowiłam przyjść, aby sprawdzić, czy obu nam wspólnie nie uda się wymyślić jakiegoś sposobu, żeby zaradzić cierpieniu tego dziecka. A przy okazji zaprosić panią i pana Amadea na bal debiutancki Teresy, który odbędzie się w przyszłym miesiącu, i obawiam się, że bardziej będzie przypominał stypę, jeśli jego główna bohaterka nie będzie w lepszym humorze.

Maria del Roser również mówiła wszystko wprost. Od razu wyjaśniła siostrze, że jej syn nie cierpi spotkań towarzyskich i nigdy nie uczestniczy w balach debutantek ani w żadnej innej uroczystości, na której musiałby spotkać się z więcej niż dziesięcioma osobami. Żeby złagodzić trochę ostrość tej wypowiedzi, dodała:

– Muszą panie zrozumieć, że on całkowicie oddał się malarstwu i takie rzeczy uważa za oczywistą stratę czasu.

– Co z pewnością jest prawdą – przyznała Tatín.

Natomiast Teresie chciało się płakać. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że w tej chwili w korytarzu usłyszały brzęk srebrnego wózka pchanego przez Conchitę.

– Ach, podwieczorek – westchnęła pani.

Na wypolerowanej tacy błyszcząły trzy porcelanowe filiżanki. Wyglądały jak bulionówki, ale wewnątrz drżał biały płyn omieciony brunatnym cieniem. Wydawał słodki wspaniały zapach. Panie wahały, nie zadając pytań. Chwilowo.

– Uwielbiam cynamon – stwierdziła Tatín z euforią, kiedy Concha podała jej filiżankę i łyżkę.

– Nasza kucharka codziennie wymyśla coś oryginalnego – powiedziała Maria del Roser.

Zaskoczenie było jeszcze większe, kiedy w płynie odkryły ryż.

– Ma się ochotę pokruszyć w to chleb – stwierdziła Tatín.

– W takim wypadku być może lepiej byłoby to podgrzać – uznała wdowa Lax.

Jedynie Teresa nie wyraziła opinii, ani milczenie, ani smutek, ani nawet miłość nie przeszkodziły jej zjeść do końca swojej porcji, czym złamała zasady dobrego wychowania.

– Na Boga, Tessito, zostaw coś dla służby – skarciła ją starsza siostra. Dziewczyna się zarumieniła. Urok tej chwili zachęcił Tatín do kontynuowania tematu: – Wracając do naszych spraw, droga pani... Czy sądzi pani, że istnieje jakaś możliwość, żeby odciągnąć pana Amadea na kilka godzin od malarskich zobowiązań? Jego obecność byłaby wielkim zaszczytem dla całej naszej rodziny. Proszę wierzyć, że podziwiamy go od czasów, kiedy mieliśmy okazję pozować dla niego na życzenie mojej ciotki Matilde.

– Niech spoczywa w spokoju – bez namysłu wyszeptała Maria del Roser.

– Tak, tak, i niech przez wiele lat czeka na nas w niebie! – dodała Tatín jakby od niechcienia. Mówiła dalej: – Zapewniam panią, że uroczystość będzie miła. Wynajęliśmy orkiestrę z Sabadell, która zagra cztery fantazje Wagnera, nic głośniego. – Wskazała na gramofon. – Widzę, że również co do tego mamy podobne gusta. I obiecuję, że dołożymy wszelkich starań, żeby poczuli się państwo u nas jak w domu.

Maria del Roser poczuła się w obowiązku dać swojemu gościowi odrobinę nadziei:

– Dobrze, zrobię co w mojej mocy. Ale nie mogę obiecać paniom, że...

– Oczywiście, że nie! – Tatín potrząsnęła głową. – Nie chcę do niczego pani zobowiązywać! Już i tak pozwoliłam sobie tą prośbą na zbyt wiele!

Kiedy Conchita zebrała filiżanki z powrotem na wózek, jej pani miała już pewność, że podwieczorek był prawdziwym sukcesem.

– Czy danie pani kucharki ma jakąś nazwę?

Pani wzrokiem poprosiła o pomoc wierną Conchę.

– Vicenta nazywa to ryżem na mleku – odpowiedziała niańka.

– Bardzo oryginalnie! Ryż na mleku! Jak ona na to wpadła?!

Przepełniona dumą Maria del Roser pozwoliła się połechtać tym brzmiącym jak zwycięstwo słowom. Po zjedzeniu cudownego dania nawet odrętwiałe dziewczę nabrało kolorów.

I w tym właśnie momencie, jak już zostało wspomniane, nadszedł Amadeo. O tej porze nikt się go jeszcze nie spodziewał, a zaledwie rok wcześniej byłoby to nie do pomyślenia. Ale wiek, a być może sława sprawiły, że stał się większym domatorem.

Byłoby wielką nieuprzejmością się nie przywitać. Zazwyczaj, jeśli po drodze nikogo nie spotyka, informuje o powrocie przez jedną z pokojówek i biegiem chowa się w swojej pracowni na poddaszu. Jednak dzisiaj jest czwartek, dzień odwiedzin, i dwie damy rozmawiają z jego matką w salonie. Zbacza z drogi, żeby się przywitać. Zaledwie kilka metrów i tylko parę minut. Przynajmniej tak mu się zdaje. Ale jest tam Teresa. Piękna jak fatalna zjawa. Apatyczna jak bohaterka opery. Prawie osiemnastoletnia. Modnie ubrana w suknię do połowy łydki. Spod toczka przyozdobionego kwiatem wystaje kilka jasnych loków, które wymknęły się ze splecionych na karku włosów. I te jej intensywnie błękitne oczy, o których już zapomniał.

Na jej widok Amadeo ma ochotę zabrać ją gdzieś, gdzie nikt im nie będzie przeszkadzał.

Widząc go, Teresa z wrażenia traci dech.

W salonie unosi się słodki zapach nadający tej chwili atmosferę leniwego posiedzenia w wybornej cukierni.

– Ach, witaj synu – mówi Maria del Roser, gdy syn całuje ją w policzek. – Właśnie opowiadałam o tobie pannom Brusés.

Amadeo pochyla się, żeby pocałować dłoń Tatín. Kiedy zwraca się do Teresy, dziewczyna szeroko otwiera oczy, jak gdyby ujrzała zjawę.

– Tatín uprzejma była zaprosić nas na towarzyski debiut Teresy – ciągnie matka. – Chyba ją pamiętasz. W przyszłym miesiącu kończy osiemnaście lat.

– To już bal debutantek? – Amadeo odwraca się do nich. – Jak ten czas szybko leci! Wydaje się, jakbym wczoraj malował pani portret w sukience do kolan. Chociaż przyznam, że upływ lat udoskonalił modelkę. – Teresa się rumieni. Amadeo, wykorzystując swoją przewagę, dodaje: – Będzie dla mnie zaszczytem zaprosić panią do tańca w dniu pani wejścia w dorosłość. Oczywiście jeśli pani opiekunka wyrazi zgodę.

Amadeo z satysfakcją zauważa, jaki efekt wywarły jego słowa. Dziewczyna czuje, że serce zaraz wyrwie się jej z piersi. Starsza siostra wstaje gotowa do wyjścia, zachwycona tak wspaniałym zakończeniem spotkania. Pióra jej kapelusza rywalizują długością i ostentacją z frędzlami żyrandola.

Maria del Roser w zamyśleniu marszczy czoło. Wspominając z tak dużym naciskiem o niechęci syna do przyjęć, nie wzięła pod uwagę podstawowego szczegółu: że Amadeo uwielbia młode dziewczęta.

Malarz skłania się, mamrocze usprawiedliwienie i znika na schodach.

Wraz z nim znika iluzja.

Od: Violeta Lax

Data: 20 marca 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Dwa zdjęcia

Kochana Mamo, masz rację.

Na odległość jestem lepszą córką. Moje długie maile do Ciebie są tego najlepszym dowodem.

Proszę, nie martw się za bardzo o mnie. Czuję się dobrze. „Napuszony” ton moich listów (to Twoje określenie) spowodowany jest tym, że się starzeję i robię się bardziej górnolotna. Nie bierz tego, co mówię, nazbyt poważnie, dobrze? Daniel też uważa, że jestem niezdolna.

Ale tajemnica mojej barcelońskiej przeszłości uczuciowej jest zupełnie innego rodzaju. Obiecuję Ci o tym opowiedzieć, kiedy będę miała własny komputer i trochę czasu. Na razie nadal jestem pasożytem w domu Arcadia.

Piszę do Ciebie, ponieważ znalazłam zdjęcie, o którym wcześniej wspomniał tata. I nie tylko to. Dawno temu razem z kilkoma rzeczami, których nie chciałam zostawić najemcom mojego mieszkania, schowałam do komórki pudło pełne papierów i książek. Oszczędzę Ci opisu warstw brudu, przez które musiałam się przebić, żeby je odnaleźć. Nie masz pojęcia, jak bardzo się wzruszyłam, otwierając to pudło. Oglądałam wszystko przez długie godziny. Szczególnie dwa zdjęcia, które są niesamowite. Kiedy będę mogła, prześlę Ci je mailem, żebyś Ty też mogła je zobaczyć.

Jaka była prawdziwa historia Amadea i Teresy, Mamo? Czy ktoś w rodzinie zadał sobie trud, żeby się tego dowiedzieć? Poznali się, kiedy ją malował, a ona miała wtedy dwanaście lat. Powiedzmy, że to prawda, ale co się stało później? Jak się do siebie zbliżyli? Jak wyglądał dzień ich ślubu? Jakie było ich małżeństwo? Na czym opierał się ich związek?

Te dwa zdjęcia są jedyną odpowiedzią na te pytania.

Pierwsze pochodzi z wydanej w ramach kolekcji Gent Nostra biografii, o której istnieniu przypomniał mi tata podczas kolacji. Fotografia znajduje się na stronie dwunastej. Pod nią widnieje napis: „Amadeo Lax i jego małżonka na jedynym znanym zdjęciu studyjnym”.

To ślubny portret w odcieniach sepii. Teresa siedzi na taborecie. Za nią stoi dziadek. Położył rękę na jej ramieniu. Gest wygląda na czuły mimo sztuczności całej sytuacji. Teresa odpowiada na tę czułość, sięgając jego dłoni swoją prawą ręką, i obserwator łatwo zauważy błyszczące na ich serdecznych palcach obrączki. Jej lewa ręka spoczywa na kolanach okrytych delikatnymi tiulami sięgającymi ziemi. Suknia ma długie rękawy i bardzo skromny dekolt. Na głowie Teresa ma modny w latach dwudziestych tiulowy stroik, z którego opada haftowany welon. Pochyla się lekko do przodu, jak gdyby czekała niecierpliwie na koniec sesji zdjęciowej, żeby zacząć świętować, i uśmiecha się z dziecięcą szczerością. Wygląda bardzo młodo, chociaż miała dwadzieścia jeden lat. Jest piękna.

Natomiast mina dziadka zdradza pewność siebie i opanowanie. Nic dziwnego: dobrze się ożenił z piękną panną z bogatej rodziny. Małżeństwo zostało pobłogosławione przez wszystkich, nawet przez niego. Uśmiecha się powściągliwie. Może bawiło go obserwowanie napięcia młodej małżonki, której fotograf pewnie zarzucił brak powagi i zbyt dużą energię. Wygląda dystyngowanie wbity w ciemną marynarkę z kamizelką, ze złotym zegarkiem z dewizką, satynowym plastronem i cylindrem. Posiada wszystkie akcesoria zdradzające jego uprzywilejowaną pozycję społeczną, łącznie z rękawiczkami z rosyjskiej skóry, które trzyma w lewej ręce. Jest nadal młodym i przystojnym mężczyzną. Z pewnością również Teresie

zazdroszczono takiego męża. W jej twarzy przyciąga uwagę spojrzenie utkwione w obiektywie, rozświetlone charakterystycznym blaskiem szczęścia.

Drugie zdjęcie przestał mi tata parę lat temu i z tego co wiem, nie istnieje żadna jego odbitka. To znaczy, że nigdy nie było publikowane. Być może dlatego ani on, ani ja nie pamiętaliśmy o jego istnieniu. Zostało zrobione w tym samym zakładzie fotograficznym cztery lata później. Widnieje na nim jak zwykle elegancki Amadeo Lax. Ponieważ męska moda zmienia się powoli, można by powiedzieć, że przez cały ten czas nie zmieniał ubrania. Z kieszeni kamizelki jak zwykle zwisa dewizka od zegarka. Kapelusz leży na stoliku obok. Jednak tym razem jego usta wykrzywia niesympatyczny grymas. Od ostatniego razu, kiedy pozował w tym miejscu, przybyło mu kilka kilogramów. Można by powiedzieć, że teraz nie czuje potrzeby, by podobać się komukolwiek. Nawet tym, którzy pozują obok niego.

Teresa siedzi przed nim na krześle. Ubrana jest z wyszukaną elegancją: spódnica do kostek, haftowana bluzka i buty na obcasie. Włosy ma zebrane w dość luźny kok. Nie jest już tą szaloną niecierpliwą dziewczyną ze ślubnego zdjęcia. Ma dwadzieścia pięć lat – jest rok 1932 – ale wygląda na czterdzieści. Jest chuda, wymizierowana i ma podkrążone oczy. Może jeszcze nie doszła do siebie po porodzie. W ramionach trzyma kilkutygodniowe dziecko – tatę ubranego w strój do chrztu – i uśmiecha się do niego czule. Jedynie ten delikatny uśmiech przypomina kobietę z pierwszej fotografii. Jej wcześniejsze szczęście znikło.

Ze wszystkich wizerunków Teresy, które znam, ten jest najbardziej okrutny. Tata jako noworodek. A dziadek w roli szacownego ojca. Oraz żona, wielka niewiadoma.

Ciekawe, że przez wiele lat starałam się, aby te zdjęcia nie ukazały się w żadnej biografii dziadka. Robiłam to z szacunku dla jego pamięci, dla jego dawnego cierpienia, ale również dla taty, który nie musi rozmawiać o matce, żeby pokazać, jak bardzo cierpiał, dorastając bez niej, i jak wielki miał do niej żal, że go opuściła.

W historii malarstwa, sztuki i literatury pełno jest nieznośnych wybitnie utalentowanych postaci. Ludzie ci zdobią podręczniki, lecz byli prawdziwym przekleństwem dla tych, którzy mieli nieszczęście z nimi żyć. Być może dziadek był jednym z nich, chociaż po tylu latach nie da się tego odgadnąć z jego ust wykrzywionych grymasem wyższości. Upływ czasu wydłuża cienie i zamazuje kontury. Inaczej następne pokolenia nie miałyby czego podziwiać.

Przez lata z absolutnym przekonaniem uczestniczyłam w wymazywaniu Teresy z pamięci rodziny. Dla mnie Teresa była jedynie artystycznym motywem, szczęśliwą inspiracją o porównywalnym znaczeniu co damy z wyższych sfer, które dzięki dziadkowi przez dekady zachowały wdzięk i sławę w nienaruszonym stanie.

Do teraz. Teraz czuję, że spojrzenie Teresy wyrzuca mi moją wielką naiwność. Czuję, że babcia pyta mnie, dlaczego nigdy nie odważyłam się zajrzeć głębiej. I zobaczyć na przykład jej prawdziwego wyrazu twarzy, kiedy patrzy na niemowlę.

Sądzę, że nigdy nie powinniśmy przestać przyglądać się tym zdjęciom, Mamo. Zawierają prawdę, która jest w stanie zmienić wszystko.

Dobranoc.

Violeta

PS Zapomniałam! Wczoraj byłam na cmentarzu Poblenou tylko po to, żeby sprawdzić, czy we wstępie do bloga, który mi przestałaś, jest napisana prawda. Grób Francesca Canalsa Ambrósa jest niesamowitym miejscem. Dokładnie takim, jak opisano na blogu. Nie śmieję się ze mnie, ale

nie mogłam się powstrzymać, żeby nie poprosić o coś tego ludowego świętego. Napisałam to na karteczce i wrzuciłam przez szczelinę.

Dam Ci znać, jeśli się spełni.

X

Na dawnym dziedzińcu rozpoczyna się nowe przedstawienie. Od strony schodów słychać głosy. Na scenę wchodzi siedem osób. W kolejności występowania: Arcadio Pérez, młody urzędnik, sierżant Paredes, jego umundurowany pomocnik, Violeta Lax, młoda dziewczyna z francuskim akcentem o imieniu Amélie, przedstawiona jako „sekretarka mojego ojca”, oraz Modesto Lax, którego obecność ściąga całą uwagę, zanim otworzy usta.

– Lepszym słowem będzie „asystentka” – mówi w końcu, wskazując dziewczynę.

Gdyby byli aktorami, ich różne zachowania mogłyby odpowiadać granym przez nich rolom. Modesto szepcze do ucha Amélie. Violeta i Arcadio wyglądają na niespokojnych i niemogących się doczekać, żeby wreszcie nastąpiło to, co ma się wydarzyć. Mężczyźni w mundurach marsowymi minami dodają sobie powagi, każdy według swojej rangi. Urzędnik szuka w kieszeni telefonu komórkowego, przekraczając przeszklone drzwi. Odbiera. Rzuca:

– Jestem na spotkaniu, oddzwonię później. – Jego skrzywiona mina lekko łagodnieje po tym, co słyszy w słuchawce. – Tak, oczywiście, mecz oglądamy u mnie. Przynieś, co chcesz.

Rozłącza się, udając, że właśnie załatwił ważną sprawę. Modesto unosi brew.

– Ach, Barça. Prawie już zapomniałem, że to prawdziwa religia tego miasta. – Rozgląda się nieobecny wzrokiem kogoś, kto chce trzymać się na uboczu, jak gdyby w obawie, że kurz zniszczy jego nienaganny wygląd. A może nie chodzi o kurz, ale o przeszłość, której się boi. Być może w ramach obronnego manewru pyta: – À propos, pewnie nie wiedzą państwo, skąd się wzięły barwy Barcy?

Violeta robi zniechęconą minę. Paredes wygląda na rozbawionego. Arcadio z podziwem unosi brwi i szepcze:

– Uwielbiam pańskie anegdoty. Są bardzo zabawne.

Modesto polechtany komentarzem odpowiada:

– Nie? To słabi z was *culés*¹! To barwy herbu Tesino, jednego z włoskich kantonów Szwajcarii leżącego niedaleko Winterthuru. Granat i czerwień. Tam urodził się człowiek o nazwisku trudnym do wymówienia dla miejscowych, tutaj znany jako Joan Gamper. Był założycielem klubu. Wcześniej był oczywiście napastnikiem Basel, szwajcarskiego zespołu, który również gra w granatowo-czerwonych barwach. Biedak popełnił samobójstwo z powodu długów.

– Skąd pan zna te wszystkie historie? – pyta urzędnik. – Jest pan jak encyklopedia!

Modesto śmieje się, spojrzeniem szukając pełnego podziwu wzroku Amélie. To ten rodzaj uwielbienia, który u kobiet zamienia się w miłość.

– To tylko bezwartościowe wszystkim znane historie. A inne... wie pan, kto szuka, ten znajdzie – mówi Modesto.

Paredes, uznając wstęp za zakończony, skupia się całkowicie na ceremoniale, któremu przewodniczy. Podciąga do góry policyjną taśmę i zaprasza Modesta, żeby wszedł do schowka na miotły. Modesto odrzuca zaproszenie eleganckim gestem, ale przygląda się klitce z daleka. Następnie kręci głową i mówi:

– Nie miałem pojęcia o istnieniu tego miejsca.

Cała ta sprawa bardzo Modesta nudzi, o czym świadczy jego obojętna życzliwość.

– Mimo to zostało ujęte już w pierwotnych planach budynku – tłumaczy sierżant.

– Ciekawe – mamrocze Modesto tonem, jakiego użyłby do oceny dziewiętej nogi pająka.

– Dobrze, przejdźmy do dalszych spraw. – Sierżant podnosi głos, wyjmując z teczki jakieś dokumenty. – Dziękuję bardzo za przybycie. Biorąc pod uwagę znaczenie tego, co mam do powiedzenia, wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy spotkamy się osobiście. Poza tym bardzo nam zależało, żeby pan Lax na własne oczy zobaczył miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. Ze względu na okoliczności jego pamięć jest najstarszym źródłem informacji, jakim dysponujemy.

– Zatem to śledztwo skazane jest na niepowodzenie – żartuje Modesto.

– Mam również nowe wiadomości, którymi chciałem się z państwem podzielić – ciągnie Paredes, przeglądając dokumenty. – Zacznijmy od drugoplanowego bohatera: kota znalezionego przy zwłokach. Położono go tam już martwego. Prawdopodobnie był to jeszcze kociak, dobrze odżywiony, i wabił się Dickens. Tak przynajmniej jest napisane na srebrnej zawieszce, którą miał na obróżce. Co państwo na to?

– Ładne imię dla kota. Znałem też jednego, który wabił się Tolstoj – mówi Modesto.

Sierżant Paredes się nie uśmiecha. Chce zakończyć temat. Kontynuuje:

– Jest również złota obrączka, którą ofiara miała na łańcuszku na szyi. Sprawdziliśmy, kim był Francesc Canals Ambrós. Z pewnością to, co powiem, zaskoczy państwa.

Arcadio i Violeta wymieniają się spojrzeniami z porozumiewawczym półuśmieszkiem. „Za późno”, zdają się mówić. Sierżant dostarcza coraz więcej danych na temat ludowego świętego. Modesto słucha z uwagą. Interesują go tego rodzaju historie.

– Czyli zostało udowodnione, że czyni cuda? – pyta.

– Na to wygląda – odpowiada Paredes. – W sieci jest bardzo dużo informacji. Po przeprowadzeniu małego śledztwa znaleźliśmy jeszcze jedną. Mieszkał na calle Valencia pod numerem trzysta czterdziestym czwartym i należał do parafii Niepokalanego Poczęcia. Z pewnością w archiwach parafialnych były informacje o nim i jego rodzinie, uległy jednak zniszczeniu podczas wojny domowej. Był kawalerem. W cmentarnych kartotekach w rubryce zawód wpisano „handlarz”, ale nie udało nam się sprawdzić, gdzie pracował. Został pochowany dwudziestego ósmego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku w niszy numer tysiąc sześćset osiemdziesiąt dwa, sektor pierwszy, kwatera trzecia na Cementiri de l'Est. W tej samej niszy położonej na szóstym poziomie między rokiem tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym a tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym pochowano jeszcze pięć osób: dwoje dzieci i troje dorosłych. Znamy ich nazwiska, jeśli to państwa interesuje. We wrześniu tysiąc dziewięćset ósmego roku jego szczątki przeniesiono do niszy numer sto trzydzieści osiem, kwatera czwarta w sektorze wewnętrznym numer jeden, gdzie spoczywają do dzisiaj. Nieznany jest powód przenosin, ale najprawdopodobniej miało to związek z jego wyznawcami. Bardzo niewygodnie jest czcić kogoś, kto leży na szóstym poziomie. Lata później w tym samym grobie pochowano jego rodziców, Francisca i Antonię. Przy okazji przenosin szczątków grób został zwolniony na zawsze z opłat i stał się swoistym apokryficznym sanktuarium dla pielgrzymów. Byli tam może państwo? To niesamowite miejsce.

Kolejne ogólne zaprzeczenie. Violeta milczy.

– Na chwilę obecną jedynym przychodzącym mi na myśl związkiem pomiędzy tym chłopcem a pańską rodziną jest przynależność do parafii Niepokalanego Poczęcia.

– Jest jeszcze jeden – dodaje Violeta, zaskakując prawie wszystkich. – Wielkie Domy Towarowe El Siglo. Moja rodzina utrzymywała ściśle kontakty z ich właścicielami, rodziną Conde. W tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku dziadek namalował portret jednego z jej członków, don Octavia Condego, który był jego przyjacielem. Portret znajduje się obecnie w Chicago, a dokładnie na wystawie zorganizowanej przez muzeum, w którym pracuję.

Paredes robi zdziwioną minę.

– Naprawdę? – pyta. – Tak czy inaczej związek między nimi jest niejasny. Ten pobożniś umarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy badanej przez nas ofiary nie było jeszcze na świecie. Wątpię, czy powinniśmy iść tym tropem i czy jest sens bardziej się w tę sprawę zagłębiać.

– Całkowicie się z tym zgadzam! – podkreśla Modesto, gotów uznać całą kwestię za zamkniętą.

Ale Paredes jeszcze nie skończył.

– Dostaliśmy jednoznaczne wyniki badań DNA. – Odwraca się do urzędnika, który znów rozmawia przez telefon. – Przepraszam, czy mógłby pan na chwilę wyjść? Ta kwestia dotyczy jedynie rodziny.

Arcadio także kieruje się w stronę wyjścia, lecz Violeta go zatrzymuje.

– Przecież jesteś jak z rodziny – mówi.

Arcadio czeka na zgodę Modesta i otrzymuje ją w formie kiwnięcia głową. Zostaje również Amélie.

Kiedy przeszklone drzwi zamykają się za urzędnikiem, Paredes mówi dalej:

– Jak państwo zobaczą – pokazuje raport – poziom zgodności DNA pana Laxa i zmarłej jest bardzo wysoki. Innymi słowy w laboratorium są przekonani, że ta kobieta była pańską matką, panie Lax.

Potwierdzenie podejrzeń Violety odbiera jej głos. Modesto patrzy na Paredesa zamyślonym wzrokiem. Pyta go, czy może zobaczyć dokumenty, i przegląda je przez chwilę. Chciałby odnaleźć w nich coś, co zaprzeczy temu, co przed chwilą usłyszał. Podaje je Violetcie, której oddech przyspiesza.

– Tego się obawiałam – szepcze, widząc pisemne potwierdzenie tego, co właśnie powiedział Paredes. – To straszne!

Paredes próbuje zapanować nad sobą i kontynuuje:

– Jeśli chodzi o zwłó... – poprawia się – ...o zmarłą, mamy konkretne informacje. Była kobietą o wzroście około metra sześćdziesięciu centymetrów, rasy białej, w chwili śmierci liczyła mniej więcej trzydzieści lat. Ubrana była w coś przypominającego satynową koszulę nocną, być może szlafrok (na szczątkach znaleziono haftki oraz satynowe guziki), a na stopach miała domowe pantofle. Sądzymy, że do śmierci doszło latem, między rokiem tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym a tysiąc dziewięćset czterdziestym, co zbiega się z datą namalowania fresku oraz zniknięciem Teresy Brusés. Jeśli to rzeczywiście jest ona, to w oparciu o informacje otrzymane od państwa możemy przyjąć, że umarła w trzydziestym szóstym, co rzeczywiście pasuje. Powód śmierci również jest pewny: uduszenie. Zwłoki schowano *post mortem*, ale bardzo szybko, kiedy nie było jeszcze oznak pośmiertnego zeszywnienia. Przyjmujemy, że ciała nie odkryto ze względu na fresk pokrywający ścianę wraz z drzwiami, chociaż nie możemy wykluczyć innych czynników. Jeśli chodzi o sprawcę przestępstwa, raczej nie zaryzykujemy żadnych przypuszczeń. Nie wiemy, kto wtedy mieszkał w domu ani w czym interesie byłoby zrobienie czegoś podobnego. I tak zresztą nie ma to większego znaczenia, ponieważ zbrodnia przedawniła się wiele lat temu. Teresa Brusés nie odziedziczyła prawie nic ze swojej rodzinnej fortuny, co zasadniczo wyklucza motyw finansowy. Pozostaje nam wielki klasyk w tego typu przestępstwach, który pasuje do *modus operandi*: afekt. Ale po tak długim czasie nie da się niczego udowodnić, a tym bardziej wskazać podejrzanego. O wszystkich szczegółach, które pobieżnie właśnie państwu przedstawiłem, dowiedzą się państwo z raportów laboratorium i biegłego sądowego specjalizującego się w entomologii. Mogą być państwo pewni, że działaliśmy z najwyższą dyskrecją. I proszę mi wierzyć – patrzy teraz na Modesta i Violetę – że jest mi bardzo przykro.

Poruszona Violeta czyta raport: „markery genetyczne”, „umiejscowienie chromosomów”, „przekazane allele”...

– Co to jest? – pyta, wskazując jedną z kartek.

– Raport, w którym opisano szczegółowo, dlaczego nie doszło do rozkładu ciała – informuje Paredes.

– Dowiedzą się z niego państwo, że wilgotność względna w pomieszczeniu wynosiła pięć procent.

– Powiedział pan, że została zamordowana latem – wtrąca się Arcadio, który do tej pory przysłuchiwał się rozmowie z zaciśniętymi ustami. – Skąd to wiadomo?

– To odkrył entomolog. Ma to związek z jakimiś pasożytami rozwijającymi się w krwiakach, ale podobno jedynie w gorących miesiącach. Nie zawsze można je znaleźć.

Violeta czyta łamiącym się głosem opis potwierdzający tę tezę:

– „Mocno odwodnione tkanki, obecność okazów pasożytów tymczasowych o nazwie *Megaselia scalaris*, jak również skórnika słońca i pozostałości po nim”.

– Właśnie. *Megaselia scalaris* – potwierdza Paredes – chodzi o niego.

Sierżant zbiera dokumenty i wkłada je do teczki.

– Zlecę zrobienie kopii dla państwa – mówi. – Rozumiem, że chcieliby ją państwo mieć.

– Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żebym mógł czytać te raporty przed zaśnieciem – mówi Modesto i zaraz potem pyta: – Czy to już wszystko?

– Niestety tak. Po uzyskaniu zgody sędziego trzeba jedynie pochować zmarłą – odpowiada Paredes.

– Nasze śledztwo na tym się kończy. Z prawnego punktu widzenia niedługo sprawa zostanie zamknięta. Zapewniam państwa, że jest mi bardzo przykro, iż nie zdołałem zrobić nic więcej.

– Zrobił pan więcej, niż było konieczne, zapewniam pana – dodaje Modesto, nie starając się, by zabrzmiało to życzliwie, ale Paredes uśmiecha się z wdzięcznością.

– Sędzia wezwie państwa do dokonania ostatnich czynności w ramach postępowania. Później będą mogli państwo zorganizować pogrzeb i wrócić do normalnego życia. Jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, chciałbym uczestniczyć w pogrzebie.

Nikt nie odpowiada, w końcu reaguje Modesto.

– Ach, oczywiście, nie widzimy przeszkód. Proszę przyjść, jeśli ma pan ochotę. – Na koniec uderza w powietrzu dłonią o dłoń. – Proszę mi powiedzieć, sierżancie, czy to już koniec czy jest jeszcze jakiś upiorny szczegół, o którym powinniśmy wiedzieć?

– Z mojej strony to wszystko. Ale sądzę, że urzędnik reprezentujący miasto chciałby o czymś państwu powiedzieć.

Uwieszony na telefonie komórkowym młody człowiek się niecierpliwi. Ktoś mówi mu, że może już wejść.

– Policyjna taśma będzie zdjęta jeszcze dzisiaj – informuje go Paredes. – Będą mogli państwo natychmiast przystąpić do przygotowań do uroczystości.

Urzędnik parska z ulgą, wyglądając jednocześnie na skrępowanego. Powodem tego jest wyraz twarzy niektórych z obecnych.

– Uroczystości? – pyta Arcadio.

– No cóż, nie śmiałbym tak tego nazwać – usprawiedliwia się chłopak. – W rzeczywistości chodzi o swego rodzaju inaugurację prac, coś symbolicznego. Uznaliśmy, że to dobry pomysł podkreślający wagę oddania budynku miastu.

Violeta marszczy brwi.

– Czy zbliżają się wybory regionalne? – pyta Arcadio.

Urzędnik nie ma jeszcze wystarczająco doświadczenia, żeby dyplomatycznie rozwiązać tak napiętą sytuację jak ta. Wręcz przeciwnie. Ilekroć się odzywa, strzela gafę. Podobnie jak w tej chwili:

– Cieszę się, że zakończyli państwo tę niemiłą sprawę. Muszę państwa o coś prosić. Uważamy w urzędzie, że nie powinno się nagłaśniać sprawy odnalezienia zwłok. Przyszli użytkownicy tego budynku zapewne nie byłiby zachwyceni, wiedząc, że czytają w miejscu, gdzie doszło do zbrodni, rozumieją państwo? Nie sądzę, żeby byli w stanie się skupić.

Modesto rozumie.

– Oczywiście, oczywiście. Kiedy człowiek czyta, powinien unikać dekoncentracji.

– Przyniosłem dokument do podpisu. To czterostronne porozumienie. Między państwem – patrzy na Modesta i Violetę – jako spadkobiercami zmarłej, panem Pérezem w funkcji pełnomocnika i wykonawcy testamentu artysty, którego prawa pozostają w mocy, oraz władzami jako spadkobiercami i zarządcami majątku Amadea Laxa. Wszystkie strony zobowiązują się nie ujawniać żadnych informacji dotyczących odkrycia ludzkich szczątków, nie publikować o tym artykułów ani książek i nie udzielać żadnych komentarzy przez okres dwudziestu pięciu lat, począwszy od tej chwili.

Młody urzędnik rozkłada dokumenty na stoliku. Modesto nawet nie zadaje sobie trudu przeczytania dokumentu. Wyciąga srebrne pióro z wewnętrznej kieszeni aksamitnej marynarki i podpisuje się w miejscu wskazywanym przez chłopaka. Następnie mówi:

– Gotowe.

Violeta i Arcadio podejrzliwie czytają umowę. W ramach zachęty urzędnik dodaje:

– Nie możemy pozostawić tej sprawy bez zabezpieczenia się przed nieprzewidzianymi okolicznościami. W tym miejscu dokonamy wielkiej inwestycji i szczerze mówiąc, myślę, że dyskrecja będzie korzystna dla wszystkich.

Violeta mamrocze:

– Dla wszystkich oprócz Teresy.

– Daj spokój, dziecko, nie zwlekajmy z tym dłużej – protestuje Modesto. – Jeśli będziesz podchodziła do tego tak poważnie, spóźnisz się na samolot.

Violeta kiwa głową. Nie podoba jej się taki obrót sprawy i widać to po jej zachowaniu. Chociaż w głębi duszy rozumie, dlaczego ten dokument tak bardzo odpowiada Modestowi. Daje mu znacznie więcej niż praktyczne porozumienie. Umożliwia mu pozbycie się przeszłości. Pozostawienie jej w kącie, gdzie nie będzie mogła przeszkadzać. Violeta zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie jest w mniejszości. Jest wręcz tego pewna. W końcu podpisuje we wskazanym miejscu i pospiesznie się żegna.

– Wybaczcie mi, proszę – mówi – ale muszę jechać na lotnisko. Mam samolot za dwie godziny.

Żegna się z ojcem i Arcadiem, całując ich dwukrotnie w policzki, ściska dłoń Paredesa, uśmiecha się do Amélie i kiwa głową do pozostałych. Przed wyjściem mówi do przyjaciela:

– Napiszę do ciebie.

Po dopełnieniu wszystkich formalności i wyczerpaniu tematu rozmowy ostatni ze sceny schodzą Modesto i Amélie. Zatrzymują się pośrodku brudnego dziedzińca, czując złowieszczą siłę bijącą z dawnego schowka na szczotki i plam na ścianie, patrzą na kopułę zadaszającą pomieszczenie.

– To dobre miejsce na czytelną – mówi Modesto. – Bije od niego spokój.

Amélie oczywiście się z nim zgadza.

– Dobrze się czujesz? – pyta go, poprawiając fular, który ma na szyi, idealnie pasujący do odcienia butelkowej zieleni jej spodni.

Odpowiadając, Modesto łapie ją za rękę.

– Nie za bardzo. Męczy mnie to udawanie.

Amélie patrzy na niego z czułością.

– Ach, *chérie*, to niedługo się skończy. Powiemy jej, kiedy wróci z Włoch. Miej trochę cierpliwości. Dzisiaj nie był najlepszy moment.

Amélie patrzy w stronę salonu z kominkiem, w którym nie słyhać już żadnych głosów, robi minę psotnej dziewczynki i szybko całuje Modesta w usta.

Następnie puszcza jego rękę i wychodzi przed nim pewnym krokiem, jakim powinna iść każda asystentka.

Również ich głosy gubią się w głębi skrzypiącego korytarza. Słuchamy z uwagą. Bawi nas to. Doszli już pewnie do końca schodów. Najwyższy czas na odnowienie ulubionej rodzinnej tradycji.

Jest! Głuchy huk. Nerwowy śmiech. Koniec przedstawienia.

Modesto potknął się o liść winorośli.

Portret don Octavia Condego w jego gabinecie w El Siglo, 1927

*Olej na płótnie, 102 x 45
Barcelona, kolekcja prywatna,
specjalnie wypożyczony*

Amadeo Lax tylko raz namalował człowieka, którego przez wiele lat uważał za najlepszego przyjaciela. Octavio Conde był najstarszym synem założyciela Wielkich Domów Towarowych El Siglo, pełnił funkcję prezesa zarządu w latach 1927–1932. Urodził się, podobnie jak Lax, w 1889 roku. Poznali się w szkole z internatem prowadzonej przez jezuitów w Sarrià, gdzie najprawdopodobniej narodziła się ich przyjaźń. W późniejszym czasie obaj z powodzeniem robili karierę, każdy w swojej dziedzinie, co nie przeszkadzało im wielokrotnie ze sobą współpracować. Niniejszy portret, prezentowany publiczności po raz pierwszy, stanowi skromny dowód potęgi finansowej rodziny Conde. Jego bohater, ubrany w jaskółkę, stoi wyprostowany za biurkiem, na którym malarz przedstawił kilka przedmiotów o interesującej symbolice: gałązkę oliwną oznaczającą pracowitość, dzban z wodą – czystość i dalekowzorność, książkę – mądrość, oraz wagę – uczciwość kupiecką. Wyraźna pionizacja obrazu odzwierciedla zainteresowanie Laxa współczesnym realizmem widocznym w starannym ostrożnym studium natury, namalowanym długimi lekkimi pociągnięciami pędzla. Octavio Conde i Amadeo Lax byli bliskimi przyjaciółmi do 1932 roku, kiedy to Octavio wyjechał z miasta w towarzystwie Teresy Brusés, żony Laxa, by zamieszkać z nią w Stanach Zjednoczonych. Od tamtej chwili naturalnym biegiem rzeczy życie malarza upływało w dyskrecji. Jak można się domyślać, nastąpił również koniec przyjaźni Laxa i Condego, którzy nie spotkali się już nigdy więcej.

W latach 1919–1932 Lax namalował plakaty reklamowe dla El Siglo, jak również portrety don Eduarda Condego i doñi Cecilio Gómez del Olmo – rodziców swojego przyjaciela – oraz innych członków rodziny założyciela rozległego imperium handlowego, jak na przykład don Ricarda Gómeza. Wszystkie portrety, łącznie z omawianym tutaj, wisiały od 1915 roku w sali zarządu spółki i większość z nich spotkał tragiczny los podczas pożaru, który zniszczył domy towarowe w Boże Narodzenie 1932 roku. Obraz przedstawiający Octavia uniknął płomieni, ponieważ w tym właśnie czasie był wypożyczony do galerii Sala Parés na wystawę monograficzną malarza, której otwarcie miało miejsce 12 grudnia 1932 roku. W tym samym czasie w sali wystawowej Wielkich Domów Towarowych El Siglo urządzono ekspozycję wszystkich plakatów stworzonych przez Laxa, które również spłonęły podczas wspomnianego nieszczęśliwego zdarzenia.

*Hiszpańscy portreciści XX wieku (katalog wystawy)
Chicago Art Institute, Chicago, Stany Zjednoczone, 2010 r.*

XI

Mieszkańców sutereny domu Laxów oraz niektórych pokoiów na wyższych piętrach zaskoczyła wiadomość o tym, że wesola Vicenta i cherlawy Julián ze sobą sypiają.

– Wyglądali jak ogień i woda, a tu masz babo placek – gderała Eutimia.

Zabiedzona, ale posiadająca dobre referencje Vicenta Serrano trafiła na służbę w 1910 roku, żeby zastąpić Juanitę, która zmarła nagle we śnie w wieku sześćdziesięciu lat. To nie była taka prosta sprawa: troje dzieci państwa wyrosło na gotowanych przez nieboszczkę potrawach, do których wzdychali również wszyscy dorośli domownicy. A jakby tego było mało, wdowiec po kucharce przez cały dzień siedział za stołem, z drżącymi ustami wpatrując się w palenisko oczami pełnym łez.

Vicenta miała dwadzieścia cztery lata, pochodziła ze wsi, była lekko nieokrzesana, bardzo powabna i najbardziej pracowita ze wszystkich. Trzymała w rękawie kilka asów, na przykład przepis swojej matki na uwielbiany przez bogatych Katalończyków ryż na mleku, oraz posiadała swego rodzaju ludową mądrość: wierzyła, że prostotą i prawdą można zdobyć świat.

Było oczywiste, co spodobało się w niej Juliánowi. Vicenta miała ciemne oczy, mocno zarysowane brwi i gęste kręcone włosy sięgające pasa. Wyglądem przypominała drapieżne zwierzę. Poza tym była śmiała, zawsze uśmiechnięta, a kiedy sądziła, że nikt jej nie widzi, podśpiewywała w kuchni kuplety:

*Olaboga, olaboga,
chłopcze drogi to przestroga...*

Wszystkich bardziej ciekawiło, co zrobił wstydlivy, niemrawy jak ślimak i równie mało rozmowny Julián, że podbił jej serce. Wcześniej wszyscy uważali go za biernego leniwego półgłówka, ponieważ kiedy nie miał akurat niczego do roboty, prawie nigdy się nie odzywał i tylko spał. Nie ulegało wątpliwości, że pożądanie, miłość lub nadzieja na posiadanie kobiety wyłącznie dla siebie, kiedy już dawno przestał być młodzieńcem, okazały się silnymi bodźcami. W każdym razie charakter konkurenta wpłynął na końcowy wynik: zanim Julián zebrał się na odwagę, zalecał się do Vicenty całe osiem lat, podczas których wielokrotnie zmieniał się repertuar jej kupletów. Nie stał się z tego powodu bardziej gadatliwy, ale dzięki kobiecemu urokowi przekroczył wiek pięćdziesięciu lat z mniej smutną miną. A ona śpiewała dalej, chociaż teraz już nie po kryjomu. Julián siadał przy kuchennym stole i oklaskiwał swoją kuchareczkę, gdy krzątała się wokół, nucąc z premedytacją:

*Pchła jakaś przeklęta dziko podgryza mnie,
Szukam jej dwie godziny, próżne starania me.
Ach, nie macie pojęcia, jaka to udręka,
kiedy żartoczna pchła mnie nęka i nęka...*

Czasami dołączał do nich osiemdziesięcioletni Felipe, któremu nastrój bardzo się poprawił, odkąd wiedział, że jego syn nie jest już prawiczkim.

Ponieważ Vicenta i Julián nie wzięli ślubu i wcale go nie pragnęli, Laia Montull Serrano była dzieckiem nieślubnym, co w tamtych czasach oznaczało byciem nikiem. Przyszła na świat w sobotę 23 października 1920 roku. Tego ciepłego dnia morze było spokojne, a lekki wiatr rozproszył do wieczora chmury, które zebrały się nad nim o poranku.

Zaraz po narodzinach pani Maria del Roser dała dziecku w prezencie złoty medalik z Matką Boską z Montserratu, tym sposobem witając je w rodzinie. Ponieważ w domu nie było innych dzieci, dzieciństwo Lai upłynęło na samotnych zabawach wśród pobłażliwych dorosłych. Odziedziczyła kilka drogich, choć używanych i w większości lekko zużytych zabawek, które już nikomu nie były potrzebne, w każde Boże Narodzenie doña Maria del Roser pamiętała o niej, kupując jej jakiegoś gałgankowego misia czy lalki, za które następnego dnia dziewczynka dziękowała małym przekonującym dygnięciem i pocałunkiem w policzek, trzymając kurczowo matkę za rękę.

Dziewczynka bywała na wyższych piętrach domu tylko przy okazji tych uroczystych podziękowań. Wchodząc, szeroko otwierała oczy olśniona wszystkim, co widziała po drodze, i po powrocie do swojego pokoju w suterenie z okienkiem, przez które widać było jedynie poruszające się nogi, marzyła, żeby zamieszkać na górze.

Przez pierwsze lata życia Laia dzieliła pokój z matką. Później zajęła wolne łóżko w pokoju Rosalíi, a kiedy ta odeszła, stała się panią i władczynią pokoju z dwoma łózkami i szafą. W innych czasach taka sytuacja trwałaby jedynie do chwili, aż kolejna służąca zajęłaby wolne miejsce, ale po zakończeniu wojny wiele się zmieniło i z miasta zniknął powszechny duch przepychu. Poza tym nowy pan Lax uważał, że nie potrzebują tak licznej służby. Violeta niestety umarła, Juan wyprowadził się na zawsze, pan korzystał tylko z poddasza i gabinetu, a jedyną osobą, która żyła mniej więcej w tym samym miejscu i w taki sam sposób jak dawniej – chociaż bardziej obca niż kiedykolwiek – była doña Maria del Roser, nawet na moment nierozstająca się z Conchitą. Na drugim i trzecim piętrze pełno teraz było zamkniętych pokoi. Również tam nie brakowało wolnego miejsca.

Te czasy sprzyjały jednak szczęściu Lai. Ponieważ nie znała wcześniejszego burzliwego życia, jakie prowadziła na początku wieku rodzina Laxów, ich dom wydawał jej się oazą spokoju. Przez pierwsze lata życia nigdy od niej niczego nie wymagano, rosła w absolutnym braku obowiązków, robiąc to, na co miała ochotę.

Żyła praktycznie w kuchni, obok matki, chociaż zdarzało jej się łobuzować na podjeździe, a kiedy państwa nie było w domu, ojciec pozwalał jej wsiadać do samochodów. Jej ulubiony był marki La Cuadra z dwiema skórzanymi kanapami i kołami o pomalowanych na czerwono szprychach, przypominający gigantyczną zabawkę. Rolls-royce wydawał jej się zbyt poważny, odpowiedni raczej do podróży w interesach. Wewnątrz hispano-suiży bawiła się, udając wielką damę jak Teresa, piękna nowa pani Lax. Wyobrażała też sobie, że ktoś przysyła jej prezenty tylko po to, żeby mogła je odrzucać. Albo jeszcze lepiej: marzyła, że jest narzeczoną wielkiego pana – oczywiście bardzo bogatego i żonatego – tak samo jak ta kobieta, którą odkryła pewnej nocy śpiącą na tylnym siedzeniu auta pana Laxa.

– Kto to jest? – zapytała ojca.

Siedzący już za kierownicą gotów do odjazdu Julián bardzo się na nią zdenerwował. Laia niemal w mgnieniu oka została odprowadzona do swojego pokoju. Z tych właśnie powodów dziewczynka pomyślała, że tamta śpiąca kobieta była kimś ważnym.

– Gdzie ją wieszysz? – nalegała. – Czy ona jest pijana?

– To nie twoja sprawa – odpowiedział ojciec, zamykając drzwi do pokoju.

Wraz z pojawieniem się nowej pani Lax dom trochę odżył. Wznowiono zwyczaj wspólnego zasiadania do obiadu, po południu podawano dla pań herbatę z ciastem w salonie, biblioteka ponownie stała się jednym z najbardziej uczęszczanych miejsc i nawet w suterenie pojawiła się nowa twarz: Antonia, pokojówka z dziobami po ospie, wcześniej niańka Teresy. Dostała pokój po Eutimii, ponieważ jedynie ktoś, kto nie znał ochmistrzyni, mógł profanować jej dawny pokój, nie bojąc się spotkania z jej duchem.

Na polecenie Teresy Laia zaczęła wykonywać różne prace. W wieku jedenastu lat posłano ją jako pomoc do prasowni. Dostawała do wykonania proste prace, matka zaś wprowadzała ją w tajniki gotowania. Do jej obowiązków należało między innymi podawanie na stół dań w czasie rodzinnych posiłków. Rosalía uszyła jej błękitny uniform, czepek i fartuszek, w których dziewczynka zaczęła pokazywać się pracodawcom, nosząc srebrne tace zastawione cannelloni, pieczystym czy dorszem. Uważała, by podchodzić do biesiadników we właściwej kolejności, żeby każdy mógł nałożyć sobie porcję. Najpierw do najstarszej pani, następnie do mężatek, do starych panien, a na koniec do dżentelmenów, również od najstarszego do najmłodszego. Traktowała to jak prostą zabawę. Jeśli nie było gości, pierwsza w kolejności była nestorka rodziny, doña Maria del Roser. Mimo że matka tłumaczyła jej, jak wielkim nieszczęściem jest choroba starszej pani, Laia musiała uważać, by nie wybuchnąć śmiechem, gdy słyszała wygadywane przez nią niedorzeczności. Pewnego dnia ujrzała, jak pani, korzystając z tego, że nikt z rodziny nie patrzy, zrzuciła na kolana dwie łyżki ryżu, a następnie psotnie puściła do niej oko. Innym razem Teresa, nakładając sobie pierwsze danie, zobaczyła, jak starsza pani chowa do rękawa sześć srebrnych łyżek, jedną po drugiej. Od tamtej pory zanim zaczęła przeliczać sztuce, na wszelki wypadek najpierw wysyłała Conchitę na przeszukanie pokoju Marii del Roser.

Jedynie oziębłość pana Laxa budziła w Lai respekt. Kiedy na koniec podchodziła do niego, modliła się, żeby nie upuścić tacy lub żeby nie ugięły się pod nią nogi. Ścisnęła naczynie z cannelloni jak ostatnią deskę ratunku. Początkowo Amadeo nawet na nią nie spoglądał. Laia wątpiła, czy w ogóle ją zauważa, aż pewnego razu usłyszała, jak pyta za jej plecami:

– Kim jest ta smarkula?

– To córka Vicenty i Juliána – poinformowała Teresa. – Jest już w wieku, kiedy może się do czegoś przydać.

– Kucharki koniecznie powinny mieć dzieci z kierowcami! – dodała Maria del Roser wesoło, mając na myśli rodziców Juliána, Felipego i Juanitę, którzy dawniej również byli kucharką i woźnicą rodziny.

Laia była niezauważalna jeszcze przez krótki czas. Dopóki uniform nie zrobił się za mały. W ciągu roku urosła ponad dziesięć centymetrów, a jej ciało uległo całkowitej przemianie.

Teraz Amadeo przyglądał się jej, ilekroć podchodziła z tacą. Zakładał ręce na brzuchu i prosił, by nałożyła mu na talerz, w ten sposób mógł obejrzeć ją sobie od góry do dołu.

Kolejna scena jest tego zgubną konsekwencją.

Pewnego dnia wczesnym rankiem Laia słyszy kroki rozbrzmiewające na schodach. Z początku myśli, że to Conchita jak zwykle przyszła po lekarstwo na zgagę. A może po coś dla pani, która po południu źle się poczuła.

Nie. Te kroki brzmią inaczej.

Przez szparę pod drzwiami pokoju dostrzega słabe światło. Słyszy zgrzyt przekręcającej się klamki. Kiedy przez wąską szczelinę widzi pana Laxa z lichtarzem w ręku i w aksamitnym szlafroku, nie rozumie, co się dzieje. Zakrywa się kołdrą. Udaje, że śpi. Ku jej zaskoczeniu pan bardzo powoli, niemal bezgłośnie zamyka drzwi i odwraca się do niej. Robi krok, drugi. Serce dziewczynki wali jak oszalałe. Pan stoi przy łóżku. Patrzy na nią. Oddycha ciężko.

– Nie oszukasz mnie. Wiem, że nie śpisz – szepcze.

Stawia lichtarz na podłodze, siada obok niej na brzegu łóżka. Wyciąga rękę w poszukiwaniu jej ciała. Kładzie dłoń na brzuchu Lai. Zsuwa ją niżej. Laia otwiera oczy.

– Grzeczna dziewczynka – mówi pan z uśmiechem.

Laia po raz pierwszy widzi, jak pan Lax się uśmiecha. Również po raz pierwszy rozmawia z nią poza jadalnią.

– Jeśli nie będziesz krzyczała, dam ci prezent – szepcze.

Dziewczynka jest tak przerażona, że wstrzymuje oddech. On czuje to samo, myśli, słysząc coraz cięższe dyszenie mężczyzny.

– Chcesz prezent? – pyta znowu pan.

Laia kiwa twierdząco głową. Pan odrzuca kołdrę. Dwie duże gorące dłonie łapią Laię za uda i ściągają z niej majtki. A ona czuje chłód. I wstyd.

Pan Lax odwiązuje pasek. Zbliża się. Patrzy dziwnie, jakby nie czuł się dobrze. Opada na nią całym ciałem. Jest ciężkie i nieprzyjemne. Jedynie aksamitny dotyk jego nóg jest miękkie.

Nagle Laia czuje, jak coś strasznego rozrywa jej wnętrze. Boli. Ledwie powstrzymuje się od krzyku (o mało nie traci prezentu). Duża dłoń zakrywa jej usta. Drży, ale nie z zimna. Pan zagłębia się jeszcze bardziej. Następnie wydaje pomruk, bierze głęboki wdech i wstaje.

Poprawia na sobie ubranie.

– Pomyśl, co byś chciała – mówi do niej, podnosząc lichtarz – i powiesz mi o tym jutro wieczorem, kiedy wrócę.

Wychodzi bezszelestnie. Jest zadowolony, myśląc, że wreszcie po raz pierwszy od wielu dni zdarzyło mu się coś dobrego. Tym razem nie potyka się na schodach.

Laia już nie może zmrużyć oka. Patrzy czujnie na drzwi, na wypadek gdyby pan postanowił wrócić.

Od tej pory tak będzie co rano. Aż w końcu Laia do tego przywyknie.

Od: Violeta Lax

Data: 20 marca 2010

Do: Arcadio Pérez

Temat: Znad jeziora Como

Kupiłam sobie laptop. Był mi potrzebny, a poza tym bardzo chciałam do Ciebie napisać. To pierwsza wiadomość, którą z niego wysyłam. Muszę nieco uporządkować myśli. Jeśli nie zapamiętam tego, co mnie spotkało, w końcu uwierzę, że to wszystko nieprawda. Z drugiej strony, choć zjeździłam kawał świata, nie mogę sobie wyobrazić miejsca bardziej niż to inspirującego do pisania długich, iście dziewiętnastowiecznych listów.

Jestem w Nesso, miasteczku nad jeziorem Como, w odległości trzech kwadransów łodzią od Varenny. Varenna ma dobre połączenie promowe z Mediolanem i Bergamo, a przystań znajduje się parę metrów od stacji. Po jeziorze pływają we wszystkich kierunkach dziesiątki łodzi. Wolno, szybko, średnio, niektóre pokonują duże odległości, a inne przeplývają jedynie na drugi brzeg. Są wspaniałe pod każdym względem, pod warunkiem że nie próbuje się zrozumieć ich rozkładu jazdy.

Moi gospodarze zarządzają jedynym hotelem w Nesso. Skromnym, mieszczącym dziesięć pokoiów budynkiem usytuowanym dosłownie na wodzie. Hotel ma własną przystań i widok na rzymski most. Nazywa się Villa Eulalia i bynajmniej nie jest jednym z tych luksusowych pałaców, jakich pełno we Włoszech, lecz raczej wyważonym kaprysem bogaczy, niepozornym z założenia. Trzeba przyznać, że jeśli właściciele mieli zamiar schować się przed światem, to wybrali doskonałe miejsce.

Obecną właścicielką hotelu jest Silvana, matka sześcioletnich bliźniaków, a jej mąż Aldo jest tutejszym lekarzem. Poza tym wspólnie prowadzą kilka małych lokalnych firm zajmujących się działalnością ściśle związaną z tym miejscem. Wynajmują łodzie, organizują wycieczki itp. Zimą, kiedy jest mało gości, cieszą się długim okresem spokoju. Rano wożą synów do szkoły w Como, jedynej miejscowości w okolicy, która światłami sygnalizacyjnymi, centrami handlowymi i pośpiechem przypomina miasto. Czasami robią tam zakupy bądź jedzą w jakiejś restauracji, a po południu odbierają dzieci. Albo jedzie jedno z nich, podczas gdy drugie czeka w domu, przygotowując kolację w kuchni z widokiem na wodę. Krótko mówiąc, ich życie jest tak idylliczne, że aż skręca mnie z zazdrości.

Kiedy dojechałam tam pociągiem, Silvana czekała na mnie na dworcu. To wspaniała kobieta. Prawdę mówiąc, wydała mi się taka już dzień wcześniej, kiedy poinformowałam ją o swoim przyjeździe, a ona zaproponowała, że odbierze mnie w Mediolanie. Oczywiście nie zgodziłam się na to. I dobrze zrobiłam, ponieważ warto było przejechać pociągiem wzdłuż brzegu jeziora.

Silvana jest ode mnie o rok młodsza, ale moim zdaniem wygląda na trzydzieści pięć lat lub nawet mniej. Może dlatego, że ubiera się na sportowo, a może dlatego, że nie opuszcza jej pogoda ducha. Wjechałyśmy samochodem na prom. Dopłynęłyśmy do Bellagio, a stamtąd szosą ruszyłyśmy do Nesso (tylko mi nie mów, że te nazwy już same w sobie nie działają na wyobraźnię). „Masz szczęście, że jest ładna pogoda. O tej porze roku zdarza się wiele pochmurnych dni”, powiedziała. W drodze rozmawiałyśmy o zbiegu okoliczności, jakim jest to, że obie mamy bliźnięta. Pokazałam jej zdjęcia Iaga i Rachel, a ona mnie swoich dwóch synów, i obie przyznałyśmy, że wszyscy czworo są śliczni.

Zwróciłam uwagę, jak świetnie mówi po hiszpańsku z delikatnym włoskim akcentem. Powiedziałam jej o tym. Odpowiedziała:

„Jasne, to mój język ojczysty. Z matką, a przede wszystkim z babcią rozmawiałam tylko po hiszpańsku”.

Już od pierwszego momentu zdałam sobie sprawę, że jedynym mężczyzną w życiu Silvany był prawdopodobnie Aldo. Przynajmniej jedynym, o którym była skłonna rozmawiać z nieznaną. Po drodze opowiedziała mi, jak poznała go pewnego lata, kiedy przyjechał ze znajomymi popływać na nartach wodnych. Aldo właśnie zerwał z dziewczyną i jego przyjaciele chcieli, żeby się zabawił. Nie podejrzewali, jak szybko znajdzie pocieszenie i że to lato będzie dla niego ważne. W następnym roku, zaraz po skończeniu studiów, zamieszkał w Nesso.

„Wszyscy jego znajomi zastanawiali się, czy nie tęskni za miastem, ale żeby się o tym przekonać, trzeba pobyć tutaj trochę dłużej niż w czasie letnich wakacji”, śmiała się Silvana.

W domu powitał nas pyszny zapach świeżo ugotowanego obiadu.

„Kucharką jest moja matka i nie ma zamiaru przejść na emeryturę. Dzisiaj zrozumiesz, dlaczego nie nalegam, żeby to zrobiła”, zażartowała.

W przedsiionku podłoga wyłożona jest kamiennymi płytami w geometryczne wzory. Są tu lustro, dywan i kontuar. Jakby się wchodziło do własnego domu.

„Wejdz, mama jest pewnie w kuchni”, powiedziała Silvana, otwierając drzwi po prawej stronie.

Jadalnia jest mała – zaledwie sześć stolików – i bardzo przytulna. Z okien widać jezioro i przystań. Jest tam kominek, a nad nim portret kobiety. Zwróciłabym na niego uwagę chociażby ze zboczenia zawodowego, gdyby w tej chwili nie przyszła matka Silvany, żeby się ze mną przywitać.

„Cieszę się, że pani nas odwiedziła, Violetto”, powiedziała Fiorella Otrante, całując mnie z większą wylewnością, niż się spodziewałam.

Natychmiast zauważyłam, że matka i córka są do siebie bardzo podobne, również pod względem nieujawniania swoim wyglądem wieku. Później dowiedziałam się, że Fiorella ma trochę ponad sześćdziesiąt lat, i zapewniam Cię, że nadal jest bardzo ładna.

„Szkoda, że nie znała mnie pani, kiedy byłam w lepszej formie”, odpowiedziała na mój komplement.

To była aluzja do śmierci jej matki. Wykorzystałam to, żeby złożyć jej kondolencje i poprosić, by mówiła mi po imieniu. Czułam się jak bohaterka powieści Oscara Wilde’a.

Na kolację zjadłyśmy faszerowanego pstrąga, który jak mi powiedziano, jest typową potrawą tego regionu. Fiorella przygotowała go na moją cześć. Potem rozmawiałyśmy, póki na pobliskiej dzwonnicy nie wybiła północ.

Zdziwiłam się, że w domu nie ma dzieci.

„Dzisiaj nocują w Mediolanie u swojej drugiej babci”, wyjaśniła Silvana.

Podczas gdy córka parzyła kawę, matka przeszła do sedna.

„Czy chcesz porozmawiać dzisiaj o sprawie, o której pisałam ci w liście, czy może wolisz poczekać do jutra?”, zapytała.

„Prawdę mówiąc, umieram z ciekawości”, odpowiedziałam całkiem szczerze.

„W takim razie bądź uprzejma podać mi dokumenty, które znajdziesz w pierwszej szufladzie komody. I moje okulary”.

Fiorella ostrożnie strzepnęła okruchy chleba ze stołu, położyła dokumenty przed sobą, nałożyła okulary, zmrużyła lekko oczy, jak gdyby wbijała w coś wzrok, i nagle się zawahała. Zdjęła okulary i spojrzała na mnie.

„Przed wszystkim musisz wiedzieć, że moja córka i ja chcemy wypełnić co do joty ostatnią wolę mojej matki. Ufamy, że pomożesz nam w tym”.

Nie rozumiałam, o co jej chodzi, ale się zgodziłam. Nałożyła okulary i mówiła dalej:

„Testament mamy krył kilka ciekawych dla nas niespodzianek. Oprócz znanych nam już składników majątku, czyli hotelu i pieniędzy na kontach bankowych, notariusz wymienił także dodatkową klauzulę warunkową. W życiu nie słyszałam o czymś podobnym. Wręczył nam list od matki i pęk kluczy. Na breloku widniał dziwny adres, punkt kilometrowy na Via Borgonuovo, szosie łączącej Nesso z sąsiednią miejscowością Cavagnola. To porośnięty chaszczami, skalisty, niezamieszkały obszar. Zdziwiło nas nie tylko położenie tego miejsca, ale również to, że mama nigdy nam nie wspominała, iż posiadamy tam jakąś nieruchomość. Postanowiłyśmy pojechać tam zaraz po wyjściu od notariusza. Odkryłyśmy ukrytą wśród zieleni, wznoszącą się nad urwiskiem chatę zbudowaną z kamienia i suszonych na słońcu cegieł. Kiedyś musiała to być na wpół zrujnowana pustelnia, którą ktoś postanowił ponownie wykorzystać w czasach, kiedy można było to robić bezkarnie. Jeśli się zgodzisz, zawieziemy cię tam jutro rano. A tymczasem chciałabym, żebyś rzuciła okiem na testament i klauzulę, o której wspominałam”.

Moja gospodyni była prawdziwą mistrzynią dozowania napięcia. Testament wyglądał zwyczajnie: mnóstwo prawniczej retoryki po włosku, podpisanej przez kobietę, której nazwisko zwróciło moją uwagę. Eulalia Montull Serrano.

Możesz sobie wyobrazić, jak niespokojnie spałam tej nocy.

Rankiem zawiozły mnie do chaty. Ten, kto ją tam zbudował, rzeczywiście chciał uciec przed światem. Dach został naprawiony, co również je zaskoczyło, ponieważ było dowodem na to, że matka Fiorelli chciała utrzymać to miejsce w dobrym stanie, mimo że tam nie bywała.

„Myślę, że to będzie dla ciebie duże zaskoczenie”, uprzedziła mnie Silvana, kiedy wchodziliśmy do sanktuarium.

Naprawdę nie przesadzam, używając tego słowa na określenie miejsca, w którym się znalazłyśmy. Weszłyśmy do pracowni malarskiej. Wyglądała nierealnie, ale tylko dlatego, że panował tam porządek. Piętrzące się w pudełkach pędzle, zebrane sztalugi, wszystkie materiały poukładane. Gdyby nie zapach i warstwa kurzu, można by powiedzieć, że na kogoś czeka. Przy jednej ze ścian dostrzegłam duży kształt przykryty prześcieradłem. Po jego zdjęciu moim oczom ukazały się dziesiątki płócien. Dokładnie trzydzieści dwa. Stały w równym szeregu, poukładane według wielkości i starannie rozdzielone kartkami gazet.

„Prawdopodobnie wszystko uporządkowała moja matka. Nakryła również obrazy. Żeby je chronić lub dlatego, że nie chciała na nie patrzeć, kto wie”.

Pokazały mi jedno płótno. Pierwsze z brzegu. Był to kobiecy akt. Natychmiast rozpoznałam ten styl. Linie, detal, kontury... obsesyjne przygotowanie płócna (zbyt dużo zszywek, zbyt dużo płócna...) i zanim spojrzałam na podpis, zadawałam już sobie dziesiątki pytań.

Zgadłeś? To obrazy mojego dziadka. Prawdziwe. I wszystkie przedstawiają kobiece akty.

„Modelką była moja matka – wyjaśniła Fiorella. – Kiedy je zobaczysz, zrozumiesz, dlaczego chciała je ukryć”.

„A to wszystko?”

Wskazałam chatę.

„W tym miejscu twój dziadek pracował podczas pobytu tutaj”, wytłumaczyła.

Zmarszczyłam czoło.

„Ale... nie miałam pojęcia, że Amadeo Lax tu był. Żaden z biografów nigdy o tym nie wspomniał”.

„Widzisz przed sobą dowód. – Fiorella wskazała przestrzeń wokół nas. – Biografowie mogą się mylić”.

„Masz dużo czasu, Violetto – wtrąciła się Silvana. – Już ci mówiłam, że możesz u nas zostać, jak długo zechcesz. Może będziesz chciała dokładniej zbadać obrazy, żeby się upewnić co do ich autentyczności”.

Pokiwałam głową, lecz tylko po to, żeby zyskać na czasie. Myśli kłębiły mi się w głowie jak oszalałe. Mogę Ci zapewnić, że w kwestii autentyczności obrazów nie miałam prawie żadnych wątpliwości. To było oczywiste. Kiedy je zobaczysz, zrozumiesz, co mam na myśli.

Powiem Ci coś na zachętę: to są trzydzieści dwa akty. Trzydzieści dwa! Niesamowite! Jeden jest identyczny jak *Il falso ricordo*, a nawet lepszy. To znaczy, że tamten wydaje się zwykłą kopią tego, który bez wątpienia jest oryginałem. Poza tym potwierdzają to daty. Ponieważ jak się domyślasz, obrazy zostały skrupulatnie oznaczone datą i tytułem, podobnie jak wszystkie inne dzieła Laxa.

Ostatnie dwa dni spędziłam na analizie każdego z tych płócien i zinwentaryzowaniu ich. Sądzę, że zarząd MNAC będzie zainteresowany. Przesyłam Ci spis, żebyś mógł przekazać go odpowiedniej osobie, która ma w tej kwestii moc decyzyjną. Jeśli po załatwieniu wszystkich formalności uznasz za wskazane, poinformuj o tym prasę. Silvana i Fiorella wyrażają zgodę. A kiedy się dowiesz, jaki warunek nieboszczka postawiła w swoim testamencie, zaczniesz krzyczeć z wrażenia (i będziesz chciał powiedzieć o tym wszystkim). Tak, oddaje trzydzieści dwa obrazy pod opiekę zarządu Museu Nacional d'Art de Catalunya, ale pod trzema warunkami. Po pierwsze, mają być wystawione z pozostałymi pracami Laxa i w odpowiednio wyróżnionej części głównego muzeum. Zaznaczyła wyraźnie, że nie chce, by je wymieszano z obrazami innych artystów ani żeby wisały z dala od najważniejszych kolekcji malarskich. Po drugie, czyni mnie odpowiedzialną za ten mający powstać projekt muzealny. I po trzecie, wszystko musi zostać zrealizowane w ciągu trzech lat od dnia jej śmierci. Jeśli po upływie tego czasu rząd autonomiczny nic nie robi, obrazy automatycznie staną się częścią zbiorów Muzeum Prado. Ach, i w tym celu wyznacza mnie na wykonawczynię testamentu. Czy to nie jest jak sen?

Wiem, sen albo żart. Przecież o to właśnie przez cały czas walczysz. I tego pragnął mój dziadek. Kończąc, wspomnę, że to miejsce pomaga mi również przetrwać wszystkie wiadomości z ostatnich dni. Byłam tak zdezorientowana, że nie zdołałam nawet dojść do oczywistych wniosków.

Na przykład któregoś wieczoru, po wielu godzinach oglądania obrazów, powiedziałam Silvanie:

„Nie dziwię się, że mój dziadek postanowił pobyc tu jakiś czas, korzystając z gościnności twojej babci. Również z chęcią bym została. Jak widzisz, historia lubi się powtarzać”.

Silvana spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

„Z gościnności? Nie, Violetto. To jest o wiele bardziej skomplikowane. Ona była miłością jego życia. Amadeo Lax był również moim dziadkiem”.

Wykaz trzydziestu dwóch nieznanymi obrazów Amadea Laxa przekazanych przez panią Eulalię Montull Serrano zarządowi Museu Nacional d'Art de Catalunya (MNAC)

Sporządzony przez Violetę Lax, doktora historii sztuki (specjalizującą się w malarstwie modernistycznym i ruchu novecentisme), dyrektorkę Chicago Art Institute. Nesso, Como, Włochy. 26 marca 2010 r.

Opis ogólny spuścizny:

Są to 32 obrazy olejne namalowane w późnych latach życia malarza Amadea Laxa (Barcelona, 1889–1974). Wszystkie datowane są na lata 1935–1940, 47% (14 obrazów) namalowanych zostało w pierwszym roku, a kolejne w następującym porządku: 6 obrazów w 1936 r.; 2 w 1937 r.; 4 w 1938 r.; 3 w 1939 r. oraz 3 w roku 1940. Wspólna jest dla nich tematyka kobiecej nagości. Na 29 obrazach widnieje ta sama modelka, na 3 obrazach namalowane są anatomiczne detale osoby, której identyfikacja jest niemożliwa.

Każdą pracę Amadeo Lax, zgodnie ze swoim zwyczajem, opatrzył tytułem i na odwrocie podpisem oraz datą. Również blejtramy posiadają cechy charakterystyczne dla autora, w tym dokładnie przybite na rogach płótno (szczegół ułatwiający identyfikację i stwierdzenie autentyczności badanego materiału).

Obrazy ponumerowano w kolejności, w jakiej zostały ułożone przy ścianie pracowni. Porządek ten uzależniony był od rozmiarów pracy, przy czym największa znajdowała się najbliżej ściany.

Aspekty wyróżniające:

Niezaprzeczalną wartość artystyczną wzmacnia to, że tematyka obrazów jest praktycznie nieznaną w twórczości Amadea Laxa. Z jednym wyjątkiem – *Il falso ricordo*, dzieła z 1962 r. zakupionego przez barona Heiniego Thyssena, które obecnie jest częścią stałej wystawy Muzeum Thyssena-Bornemiszy w Madrycie – malarz bowiem zawsze się przed nią wzbraniał, twierdząc, że czuje odrazę do kobiecych aktów.

Wartość materialną całego legatu szacuje się na 15 milionów euro.

Opis obrazów (skrót)

Nr 1: *Chłód*, 200 x 170 cm. Olej na płótnie, 1939 r.

Największy obraz kolekcji. Przedstawia pomieszczenie. Kobieta sylwetka zajmuje środek lewej połowy płótna. Młoda piękna naga kobieta siedzi na fotelu pokrytym białym pokrowcem z rękoma wyciągniętymi w stronę ognia, z głową zwróconą do widza, gęstymi długimi czarnymi włosami opadającymi na plecy. Bystrość spojrzenia oraz poważny wyraz twarzy skupiają uwagę widza. Po prawej stronie wyróżniają się rozpalony kominek, kawałek lustra i kilka liści.

Nr 11: *Gdyby ściany mogły mówić*, 170 x 140 cm. Olej na płótnie, 1936 r.

Ukazuje modelkę leżącą na kanapie obok okna, przez które widać jezioro Como. Ma związane włosy i ubrana jest w stylu ludowym, ze spódnicą podciągniętą powyżej pasa, odstawiając nogi w białych pończochach oraz gęste owłosienie łonowe. Omdlała poza kobiecej postaci, rozluźnienie ramion, rozchylone uda i nagie stopy podkreślają ogromny ładunek erotyczny kompozycji. Co ciekawe, mając powyższe na uwadze, geometrycznym środkiem obrazu jest

właśnie łono modelki. Należy ponownie zauważyć, że zarówno temat, jak i sposób jego przedstawienia jest nietypowy dla twórczości malarza.

Nr 17: *Nuda verità (Naga prawda)*, 165 x 94 cm. Olej na płótnie, 1940 r.

Przedstawia tę samą modelkę siedzącą we wspaniałym fotelu, całkowicie nagą i z rozchylonymi udami, zwróconą w stronę widza. Znowu strefy intymne przejmują główną rolę, zajmując środek geometryczny płótna. Dodatkowo nie widać tutaj owłosienia, a zaznaczone grubymi warstwami czerwonej i białej farby wejście do pochwy jest bardzo realistyczne. Należy zauważyć, że z całą pewnością jest to ulepszona wersja obrazu *Il falso ricordo* (datowanego na rok 1962), który obecnie należy do zbiorów Muzeum Thyssena-Bornemiszy i można go oglądać w sali Amadea Laxa. Po powierzchniowej analizie obu obrazów wydaje się, iż ten wyróżnia się staranniejszym wykonaniem, delikatniejszymi pociągnięciami pędzla i szerszą gamą kolorystyczną.

Nr 20: *Sjesta*, 150 x 150 cm. Olej na płótnie, 1936 r.

Ta sama modelka śpiąca. Spod pościeli wystaje głowa – czerń włosów rozrzuconych na poduszce kontrastuje z bielą łóżka – oraz jedna pierś, której sutek – znowu – zajmuje środek geometryczny kompozycji. W tym detalu zawarty został erotyzm obrazu, który w innym wypadku wydawałby się nazbyt naiwny.

Nr 26: *Otwarta rana*, 120 x 93 cm. Olej na płótnie, 1935 r.

Interpretacja klasycznego tematu „zranienia”. Modelka siedzi na skale nad spokojnymi wodami jeziora, wyciągając kolec, który wbił się jej w lewą stopę. Lewą kostkę opiera na prawym kolanie, jej stopy są białe, a spódniczka podciągnięta na uda w taki sposób, że widz może zobaczyć strefy intymne. Po raz kolejny wyróżnia się realizm i dokładność anatomiczna, z jaką malarz nakreślił srom modelki ukazanej na obrazie tak, jakby była obserwowana z ukrycia, dzięki czemu artysta oraz widz przyjmują rolę podglądacza.

Nr 29: *To, co nas łączy*, 70 x 70 cm. Olej na płótnie, 1935 r.

Jeden z trzech detali anatomicznych w kolekcji. Ukazuje dłoń opartą na piersi. Nie da się ustalić, czy to kawałek ciała tej samej modelki, chociaż wszystko na to wskazuje. Grube pociągnięcia pędzlem ukazują w kilku miejscach płótno. Możliwe, że jest to studium.

Uwaga: pełna lista obrazów została przekazana do wstępnej oceny zarządowi MNAC. Niniejsze zestawienie wykonano w celu powiadomienia prasy o zapisie testamentowym. Na życzenie prześlemy zdjęcia wymienionych obrazów. W celu uzyskania dokładniejszych informacji należy się skontaktować z Arcadiem Pérezem.

XII

10 marca 1908 roku Maria del Roser Golorons zdjęła dobrowolnie nałożony na siebie zakaz otwierania francuskiej szkatułki ze złota i kryształu, która wcześniej należała do jej babki. W tajemnicy przed wszystkimi zaniósła ją do saloniku, postawiła na toalecie, przekręciła maleńki kluczyk i uniosła wieko. Na widok zawartości szkatułki w jej oczach pojawiły się łzy. Czuli się winni nieistniejącej zdrady, która przeniosła ją w czasy wczesnego dzieciństwa, kiedy po kryjomu otwierała tę skrzynię ze skarbami i ukradkiem przymierzała kolczyki, naszyjniki i bransoletki. Kłujące swoimi filigranowymi mackami broszki wzbudzały w niej strach. Wtedy nie rozumiała, że jej matka, zawsze tak skromna jak córka krawcowej, zawsze zamknięta w domu, nie miała prawie okazji nosić tych wspaniałości, toteż lubiła wyobrazać sobie elegancję swojej antenatki, rudej prababki, która przeżyła wojny karlistowskie, nigdy nie zdejmując z siebie kosztowności, i drżała z zachwytu na samą myśl, że pewnego dnia ona również stanie się taką budzącą respekt wystrojoną w biżuterię damą.

Teraz, kiedy szkatułka należała do niej i za trzy miesiące kończyła się żałoba po matce, Maria del Roser nie czuła tego samego. Choć piękno klejnotów ponownie sprawiło, że serce zabiło jej mocniej, żałowała, że już nigdy nie zjawi się ich prawowita właścicielka, by znów przyłapać ją z uszami obwieszonymi szlachetnymi kamieniami, w oczywisty sposób łamiącą zakazy i bawiącą się w kogoś, kim nie stała się żadna kobieta w ich rodzinie.

– Nadejdzie czas po mojej śmierci, gdy będziesz mogła je nosić, córeczko – powiedziała jej pewnego razu matka, odkładając wszystko na swoje miejsce. – Ale wcześniej będziesz musiała na nie zasłużyć.

Maria del Roser zaczęła wyjmować klejnoty ze szkatułki i rozkładać je na czystej ściereczce. Musiała wybrać, co nałoży tego wieczoru, wreszcie wychodząc z domu po wyczerpujących rytuałach żałoby. Po raz pierwszy klejnoty dotknęły jej skóry, a nie jej matki, babki czy prababki. Pomyślała, że nie zasłużyła na nie. Że nie spełniła warunku i w każdej ozdobie zamiast wyrefinowanego luksusowego kaprysu ujrzała matkę. Ścisnęło ją w gardle, gdy usłyszała zbliżający się warkot silników i na ulicy nadzwyczajne zamieszanie, które przycichło przed bramą jej domu. Uchyliła lekko firankę, żeby zobaczyć, co się dzieje. W tym momencie ujrzała samego króla Alfonsa XIII, który z pomocą kilku znajomo wyglądających dżentelmenów wysiadał z hispano-suizy należącej do Rodolfa i z trudem wspinał się po kilku stopniach schodów wejściowych. Nie tracąc czasu, żeby powkładać biżuterię z powrotem do francuskiej szkatułki, pomyślała, że niejedynemu ze służących padnie z wrażenia, kiedy przyjdzie mu stanąć twarzą w twarz z królem. Spojrzała na siebie w lustrze, wyszła z saloniku, zamykając drzwi na klucz, i pospiesznie zbiegła po schodach, by odpowiednio powitać tak znakomitego gościa.

Monarcha pólleżał w jednym z foteli z żółtego aksamitu z głową odchyloną do tyłu i opartą o poduszkę, podczas gdy kilka osób z jego orszaku próbowało ściągnąć mu z nóg wysokie buty. Miał na sobie obciążony orderami mundur, który wyglądał na niewygodny. Żołnierze straży królewskiej, ubrani w galowe mundury, zachowywali się jak stado dezorientowanych owiec, któremu nagle zapadł się pasterz. Członków królewskiej świty pochodzących z najlepszych barcelońskich rodzin, wśród których nie brakowało młodzieńców w tym samym wieku co goszczący władcę, oblewał zimny pot na samą myśl, jak to wszystko może się skończyć. Z podestu schodów służące, żegnając się co rusz, pilnie obserwowały scenę rozgrywającą się przed kominkiem, gotowe spełnić każde polecenie. Na przykład kiedy pan Maura poprosił o wachlarz, żeby ochłodzić króla Hiszpanii, Conchita pospiesznie

wyjęła z sekretarzyka słomiany wachlarz, którym dawniej wachlowała dzieci, i oddała go w ręce premiera.

– Biedak zasłabł – wyszeptał Rodolfo do ucha małżonki, kiedy dołączyła do grupy osób zaniepokojonych królewską niedyspozycją. – I nie dziwię się, biorąc pod uwagę grafik uroczystości, jakie mu zorganizowano. Nie miał nawet jednej wolnej chwili, żeby pójść do toalety.

Posłano samochód po doktora Gambúsa, który przyjechał przygotowany na każdą okoliczność. Do tego czasu król mimowolnie poruszał głową i zdawał się majaczyć po cichu. Usta mu drżały, jakby poruszała je wewnętrzna modlitwa. Lekarz obejrzał pacjenta z wielką powagą i ostrożnością, jak gdyby bał się go uszkodzić. Podobnie jak pozostali obecni musiał dojść do wniosku, że król nie jest jeszcze w wieku, w którym przydarzają się omdlenia. A właśnie w 1908 roku Jego Wysokość skończył dwadzieścia dwa lata. Trzeba przyznać, że dobrze je wykorzystał.

Kiedy Gambús cucił króla, rozsiewając po całym salonie wonie eterycznych olejków ze swojej walizeczki, Maria del Roser zaprosiła wszystkich obecnych na patio i poleciła podać przekąski.

– Gdyby nas uprzedzili – protestowała Eutimia – mogłabym pięknie przystroić dom.

Don Rodolfo opowiadał w skrócie żonie, jak mu minął poranek, idąc schodami do swojego pokoju, żeby zmienić nowe buty, kupione na tę okazję, na starsze, które nie będą torturowały mu stóp. Maria del Roser próbowała go powstrzymać, ale Rodolfo uciał krótko:

– Jeśli ich nie zmienię, w końcu proklamuję republikę. – Usiadł na ławie, by zdjąć buty, tymczasem Maria del Roser z niecierpliwością czekała na dalszy ciąg relacji. – Wydaje mi się, że biedak jest przeziębiony. Zauważyłem to, kiedy tylko wysiadł z pociągu, punktualnie o dziewiątej pięć na stacji Paseo de Gracia. Wsiadając do samochodu, zapytał, czy ktoś ma chusteczkę, i zanim dojechaliśmy do Rambli, zużył kolejne dwie czy trzy. W całym tym zamieszaniu, w towarzystwie rajców miejskich, kardynała, szefa sztabu generalnego i biskupa, którzy przez cały czas zamęczali go okropnymi dowcipami, źle się poczuł. Do bazyliki La Mercè dojechał już błądliwy i aż żał było patrzeć, jak szedł pod baldachimem przy dźwiękach *Te Deum*. W czasie mszy wydawało się, że trochę mu się polepszyło, i aż do odśpiewania *Salve Regina* i całowania Matki Boskiej wyglądało na to, że odzyskał siły. Ale to były jedynie pozory. Zgodnie z planem dnia bez pośpiechu – on zużywając chusteczki, my szukając kolejnych – jechaliśmy w stronę skrzyżowania calle Reina Regente z calle del Consulado. Tam właśnie, przy calle Ancha siedemdziesiąt jeden, znajduje się nieruchomość markiza de Monistrol, którą wyznaczono do wyburzenia w pierwszej kolejności. Nie wyobrażasz sobie, Rorró, ile krzesel, proporców, sztandarów i ubranych w galowe mundury strażników zmieściło się na tym odcinku ulicy. Sam nie byłem w stanie ich zliczyć. A ponieważ taka uroczystość nie mogła się odbyć bez odpowiedniej otoczki muzycznej, byli tam również, przerażeni ze zdenerwowania i wbici w swoje najlepsze mundury, członkowie co najmniej czterech orkiestr miejskich, łącznie z orkiestrą warsztatów salezjanów oraz regimentu piechoty z Alcantary, na które aż miło było popatrzeć. Dbając o każdy szczegół, ktoś postawił na królewskiej trybunie donice z roślinami, ale ponieważ król przez cały czas kichał, pospiesznie je usunięto z obawy, że wywołały u niego alergię. Ach, Rorró, szkoda, że nie mogłaś go zobaczyć. Jak zwykle dumny i sztywny, wyglądał, jakby stał na balkonie swojego pałacu. Wisiał tam również proporzec z nazwiskiem Cerdy², sądzę, że z uprzejmości i żeby przekonać do niego władze w Madrycie, ponieważ wszyscy wiemy, że nikt nigdy nie zapłacił mu za jego projekty ani nieprzespane noce, chyba że obecnie krytyka i zniewagi służą za zapłatę. Wszystkiego można spodziewać się po tych politykierach. Kiedy rozpoczęto przemowy, każde miejsce zajęte było przez jakąś ważną osobistość. Ja wylądowałem w trzecim rządzie z jedynym w swoim rodzaju widokiem na kark dyrektora Banco Hispano Colonial, wyniosłego jak ojciec panny młodej (który oczywiście płaci za wesele). Deputowany Puig i Cadafalch miał na twarzy lekkie rumieńce, ale oboje wiemy, że bynajmniej nie dlatego, że

zgadza się z królem. Zdawał się raczej zastanawiać, co jutro odpowie republikanom, kiedy w czasie posiedzenia rady miejskiej oskarżą go, że jest monarchistą i zdrajcą Barcelony. Natomiast Cambó był tak spokojny, jak gdyby w towarzystwie Maury, maurystów i samego króla nie tęsknił nawet do własnej żony. Przemówienie Sanllehy'ego nie zawierało treści i było zbyt długie w odróżnieniu od świetnej mowy burmistrza i jedynie wzmianka o radnym Bastardasie dodała mu odrobiny pikanterii, głównie dlatego, że sprawa nieobecności pewnych osób wywołała plotki i ucięła ziewanie. Ktoś niezorientowany zapytał, gdzie jest Bastardas i czy może również jest przeziębiony. „Nie, ale Bastardas chciał, żeby inauguracja odbyła się we wtorek”, odpowiedział mu ktoś zachwycony, że może w mało dyskretny sposób udzielić informacji. „Ach, a czy on ma coś przeciwko środzie?” „Nie, tylko że we wtorek Maura i król nie mogli przybyć”. Przy okazji mógłbym przysiąc, że podczas przemówień widziałem, jak markiz de Comillas zapadł w drzemkę. I nie tylko on. Oklaski uratowały go przed wstydem, obudził się wypoczęty i gotowy krzyczeć, podobnie jak wszyscy pozostali i w doskonałym katalońskim: „*Visca el Rei!*”. A propos konserwatystów, muszę ci powiedzieć, że Maura zadziwił nas wszystkich przemówieniem przypominającym mowę inauguracyjną w Akademii Królewskiej, tak było kwieciste i pełne ozdóbek: „Jak drzewo pełne soków, które wypuszcza nowe silne pędy oraz wybucha pięknym gęstym kwieciami, pełna życia Barcelona potrzebuje przeprowadzenia reform polegających na zmianie wąskich uliczek w szerokie arterie” i bla, bla, bla. Wszyscy w oszołomieniu rozmyślali nad rozkwitem, kiedy przedstawiciele władz miasta i Maura z królem na czele ruszyli w stronę numeru siedemdziesiątego pierwszego. Tam czekał na nich człowiek w uniformie trzymający w ręku kilof. Nie było to zwyczajne narzędzie, nie obawiaj się. Na tę okazję odlano je ze srebra i złota i osadzono na akacjowym trzonku. Będzie doskonałym eksponatem do muzeum, chociaż trudno powiedzieć do jakiego. Najpierw wziął go Sanllehy, żeby z powagą, jak monstrancję, wręczyć królowi. I wyobraź sobie, że król ujął kilof bez wahania, a nawet z pewnym profesjonalizmem, jak gdyby miał doświadczenie w burzeniu miast. „A co będzie, jeśli nie wybiję kamienia?”, zapytał ktoś z tych, co zawsze wątpią w zdolności Burbonów. Comillas wytłumaczył mu (sam nie wiem, skąd to wiedział): „To niemożliwe, proszę się o to nie martwić. Kamień został wcześniej wyjęty i jest bardziej obłuzowany niż ząb staruszki”. Było też kilka złośliwych komentarzy: „To właśnie chciałem zobaczyć! Króla łupiącego kamienie!”. W końcu bez żadnych niespodzianek kamień wypadł tak, jak oczekiwano, wszyscy klaskali, wieszając sobie nawzajem, a tymczasem król pobiegł prosić o chusteczkę. Po zdjęciach dla prasy i obowiązkowych pozdrowieniach dwór ponownie ruszył w drogę, na audiencję, obiad i przyjęcie, które miały nastąpić w tej właśnie kolejności w siedzibie Kapitanii Generalnej. Ale wsiadając do samochodu, biedny Alfons był blady i spocony. Ktoś zapytał go, czy dobrze się czuje, czy chciałby zmienić program, lecz odpowiedział: „Nie, nie. Jedźmy dalej. Co teraz? Czy jedziemy już na obiad?”. A kiedy poinformowano go, że czeka na niego sześciuset przemysłowców, żeby opowiedzieć mu o swoich najnowszych osiągnięciach, zamknął oczy, otarł pot rękawem admirałskiego munduru i powiedział: „Niech tak będzie”. Ale dalszy ciąg nie był już możliwy. Po dotarciu do bramy Kapitanii Generalnej król nie otworzył oczu ani nie reagował na potrząsanie przez znamienitych i eleganckich członków swojej świty. Ktoś zażartował, że to Bastardas zorganizował tak napięty grafik. Ktoś inny wyolbrzymiał sprawę, mówiąc o otruciu, kolejnym zamachu i wielu innych przesadzonych wymysłach. Padało coraz więcej komentarzy i wszyscy zdawali się coraz bardziej zaniepokojeni zdrowiem władcy, a ponieważ, krótko mówiąc, nikt nie wiedział, co począć z tym problemem, kazałem natychmiast zawieźć go do nas, i wszyscy na to przystali. I pomyślałem, że przy okazji zmienię buty. Nie gniewaj się na mnie, Rorrito. Wiem doskonale, że nie chciałabyś mieć kulejącego męża.

Rorró uśmiechała się zadowolona ze szczegółowej relacji Rodolfa, która przeniosła ją w opisywane miejsca. Spojrzała na niego zyczliwie.

– Jak zwykle postąpiłeś słusznie, kochanie – powiedziała.

Rodolfo, który właśnie wsunął stopy w stare trzewiki, odetchnął z ulgą.

– Byłem pewien, że mnie zrozumiesz. A teraz chodźmy, słyszę zgiełk na dole i nie chcę, żeby ktoś powiedział, że gospodarze się ukrywają.

Zamieszanie było spowodowane przybyciem kardynała i jego orszaku, dwóch czy trzech biskupów i jednego prałata, którzy zaraz po pobłogosławieniu mądrych delikatnych dłoni doktora Gambúsa skierowali się prosto do bufetu, jak gdyby znali drogę. Na miejscu odkryli, że w tym domu podają pyszne jedzenie i że obecni rozmawiają tylko o galowym przyjęciu zaplanowanym na ten wieczór w teatrze Liceo. Jedno i drugie przypadło im do gustu.

– Nie sądzę, żeby trzeba je odwoływać. Chyba z powodu zwykłego przeziębienia Jego Wysokość nie będzie chciał zrobić przykrości tak wielu drogim mu przyjaciółom – odezwał się biskup Laguarda, który znał doskonale mechanizmy rządzące stosunkami pomiędzy możnymi.

Kardynał i jego podwładni z pełnymi ustami potakiwali głowami, przyznając rację Jego Ekscelencji.

Całe to wydarzenie dodało skrzydeł Eutimii, która mogła zagrać ostatnią wielką rolę swojego życia. Mimo że skończyła już sześćdziesiąt trzy lata, władza na kilka godzin przywróciła jej młodość i widać było, jak jest szczęśliwa, kiedy wydawała pokojówkom polecenia, żeby schłodziły więcej szampana, prędko przygotowały więcej kanapek i pokroiły więcej wędlin. A pod koniec dnia otrzymała coś, co uznała za nagrodę za wiele lat służby i poświęcenia. Alfons XIII, który odzyskał już kolory na twarzy, z lekkim uśmiechem powiedział jej, że wszystko bardzo mu smakowało. Eutimia poczuła, że serce zabiło jej mocniej, i czym prędzej dotknęła medalionu, w którym trzymała wąsy zmarłego męża, żeby on również mógł uczestniczyć w tej chwili. Przez resztę życia z radością wspominała, że pomogła wrócić do zdrowia królowi Hiszpanii.

– Jak smutno wygląda spotkanie towarzyskie, gdy uczestniczą w nim jedynie mężczyźni, mimo że niektórzy mają na głowie pióra i pierś obwieszoną medalami – szeptała Concha do ucha Juanicie, przyglądając się wszystkim obecnym na patiu dżentelmenom. – Gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, wywiesilibyśmy flagę.

Maria del Roser przyznałaby jej milcząco rację. Jej też brakowało flagi i klejnotów zdobiących suknie wieczorowe dam, które z pewnością zabłysną w całej okazałości wieczorem w Liceo. Postanowiła udać się tam dla Rodolfa, który nienawidził rozmów przed wejściem do łoża i spinał się na sam dźwięk obowiązkowych kurtuazji. Maria del Roser wiedziała, jak wymuszone może być milczenie podczas spotkań śmietanki towarzyskiej, często zresztą wynikające z niezdarności słownej rozmówców. Dlatego też zdecydowała się towarzyszyć mężowi, żeby jak zwykle prowadzić ze wszystkimi kurtuazyjne pogawędki.

Suknia na tę okazję musiała spełniać tak wiele warunków, że krawcowa o mało nie straciła cierpliwości: „Żadnej czerni, ponieważ zasmuca Rodolfa. Tym bardziej bieli, zostawmy ją dla pańienek na bale debutantek. Po ukończeniu trzydziestu pięciu lat różowy jest dwuznaczny. Również zieleń, turkusy i kretony nie pasują do mojego stanu ducha. A okropne brązy będą nosiła za dwadzieścia lat. A co pani sądzi?”. Krawcowa była oszołomiona. Jako ostatnią deskę ratunku rozłożyła na stole kupon lekkiego jedwabiu sprowadzonego prosto z Paryża i pyszniąc się jak ktoś, kto odsłania wygrywającą kartę, powiedziała: „Pani potrzebuje malwowego”. Maria del Roser Golorons uznała to za strzał w dziesiątkę. Majestatyczny kolor łączył w sobie ostatni krzyk mody ze starodawną powagą duchownych. Poleciała, żeby tren i dekolt były mniejsze niż zazwyczaj, i uparła się na bufiaste rękawy poniżej łokcia. Jak zwykle, kiedy podejmowała decyzję, nie było sposobu, żeby zmieniła zdanie.

Niepokój o uroczystość w Liceo miał związek nie tylko ze zdrowiem króla.

– Czy już wiadomo, gdzie go państwo posadzą? – zapytał markiz de Robert.

– Na Boga, niech pan nie mówi o królu jak o wazonie – zbeształ go pan Milà i Pi ze Stowarzyszenia Liceo. – Oczywiście, że wiemy. Markizowie de Julià i de Sotohermoso oddali swoje łóża, żeby mogli zając je przedstawiciele władz. Maura, król i jego świta.

Stojący w pobliżu Julià, polując na plasterki kiełbasy z Vic, które jedna ze służących niosła na tacy, wtrącił się w samą porę:

– Gdyby ci prostytutki nie zlikwidowali łóża jego babki, teraz nie trzeba by szukać mu miejsca.

– Oczywiście, ale gdyby Izabela II chciała, żeby jej wnuki oglądały przedstawienia, zapłaciłaby za odbudowę teatru, o co ją proszono po pożarze. To nie było ładne z jej strony – stwierdził Milà i Pi.

Rodolfo przytakiwał, wiedząc doskonale, że barcelończycy – a przynajmniej ci, których znał – są w stanie wybaczyć wszystko oprócz tego, że ktoś nie zapłacił tego, co powinien.

– A jaki jest planowany program koncertu? – dopytywał młody Albert Despujol, unosząc ostrygę. – Mam nadzieję, że tylko Wagner.

– Nie, proszę pana – odezwała się Maria del Roser – będzie również Grieg i Paul Gilson. Proszę pomyśleć, w końcu król może nie być aż tak wielkim miłośnikiem Wagnera jak my.

– Bzdura! Dlaczego miałby nim nie być? – odpowiedział Camilo Fabra.

– Niektórzy nie znoszą jego muzyki i nawet wymyślają na niego paszkwile – wtrącił się don Emilio de la Cuadra. – Wiadomo przecież, że „Zamiast Wagnera, Niemca maniaka, poszli słuchać skwierczenia pieczonego prosiaka”, i inne podobne rzeczy.

– Głupoty! – dodał Fabra oburzony. – Wszyscy o dobrym guście uwielbiają Wagnera. Ten, kto ułożył ten wierszyk, zasługuje na to, żeby ogłuchnąć.

Niektórzy uważali, że taka obrona tego co germańskie jest dziwna u człowieka, który niedawno założył spółkę z Anglikiem, żeby rozszerzyć na cały świat sprzedaż produkowanej w jego fabrykach bawełny. Powstrzymali się jednak od komentarzy, ponieważ powszechnie było wiadomo, że opera i bawełniane tkaniny nie mają ze sobą nic wspólnego.

Z wnętrza domu nadeszły dobre wiadomości. Król otworzył oczy. Onieśmielone zawstydzone pokojówki podawały mu przekąski. Chwilowo lekarz uznał, że nie należy władcy przeszkadzać. Dobre wieści złagodziły nastroje.

Albert Despujol pozostawił na chwilę ostrygi i zapytał gospodarzy o ich syna Amadea, swojego rówieśnika. Laxowie zauważyli, że po hiszpańsku mówi okropnie, i nie wiedzieli, czy robi to przez szacunek dla innych czy żeby jego słowa brzmiały arystokratycznie.

– Wyjechał – poinformował go Rodolfo. – Nie wiemy, czy do Włoch czy do Paryża.

Maria del Roser dodała:

– Pozwoliliśmy, by podczas podróży uzupełnił swoje artystyczne i osobiste wykształcenie. Jest za granicą od dwóch lat.

– Niektórzy mają szczęście – stwierdził Albert Despujol. – Ja natomiast nie mogę myśleć o żadnym wyjeździe ze względu na obowiązki związane z narzeczoną i pracą. Mój przyszły teść uważa, że wyrzeczenia zrobią ze mnie odpowiedzialnego mężczyznę, godnego zarządzać jego fabrykami. Przyznam się państwu, że również żywię taką nadzieję. Żenię się pod koniec roku. Czy państwa syn wróci do tego czasu? Chciałbym prosić, żeby zrobił mi ten zaszczyt i został jednym z moich świadków.

Wygląd młodego Alberta Despujola w połączeniu z wyrafinowanymi manierami i ambicjami, o których świadczy zapał do pracy, sprawiły, że stał się jedną z najbardziej pożądanych partii dla bogatych panien na wydaniu. W końcu zaręczył się z jedną z córek Muntadasów zgodnie z oczekiwaniami swojej rodziny i samego Alberta Despujola.

– Napiszę do niego – powiedziała Maria del Roser. – Jestem pewna, że z przyjemnością przyspieszy powrót w związku z tak szczególną okazją. Jak pan wie, mój syn bardzo pana ceni.

Maria del Roser oczywiście mówiąc to, wypełniała swoją rolę, chociaż w rzeczywistości obawiała się, że Amadeo nie cierpi Alberta Despujola, podobnie jak prawie każdego.

Również Octavio Conde Gómez del Olmo należał do grupy młodzieńców wybranych, żeby towarzyszyć królowi w jego podróży po mieście, w związku z tym on też uczestniczył w tych rozmowach. Kiedy Laxowie, jako dobrzy gospodarze krążąc po pomieszczeniu niczym pszczoły przeskakujące z kwiatka na kwiatek, podeszli do jego grupy, zaskoczył ich pytaniem:

– Czy wiedzą już państwo, że obaj synowie don Eusebia Güella są bohaterami?

Następnie opowiedział historię, która ostatnio była na ustach wszystkich. Chodziło o dwóch synów powszechnie znanego przemysłowca.

– To się stało w tym tygodniu w fabryce w Santa Coloma de Cervelló. Czternastoletni robotnik wpadł do z kadzi z barwnikiem, które potocznie nazywane są barkami. Kwas spalił mu obie nogi i lekarze orzekli, że przed amputacją może je uratować jedynie przeszczep skóry. Potrzebowano dwudziestu chętnych, z których każdy oddałby prostokątny kawałek skóry, długi na dwadzieścia centymetrów i szeroki na siedem. Pierwszym ochotnikiem, który zaofiarował swoją skórę, był ksiądz z osiedla robotniczego, święty człowiek nazwiskiem Cobarrubias. Drugim i trzecim byli bracia Güell, Santiago i Claudio, którzy pełnią w fabryce funkcje dyrektora i wicedyrektora. I nie był to pusty gest, ponieważ następnego dnia im pierwszym wycięto z boków takie właśnie kawałki ciała.

– Tego właśnie nam potrzeba! Arystokratycznych bohaterów! – ucieszył się burmistrz Sanllehy. – Jeśli Llimona wyrzeźbi ich w kamieniu z Montjuic, obiecuję postawić ich pomnik na plaza de Catalunya!

– Z pewnością lepiej by tam wyglądali niż wszystkie te karłowate palmy, którymi obsadził pan plac, don Domingo – wtrącił się Salvador de Samà, bogaty markiz, deputowany i były burmistrz miasta, który chciał się ubiegać o reelekcję. – Ale proszę pilnować artystów, żeby nie przedstawili dwóch wartościowych młodzieńców nago, ponieważ wtedy nikt nie postawi ich pomników w miejscu publicznym!

Tym, co tak naprawdę cieszyło Salvadora de Samę, było przechwalanie się przed Rodolfem, że go ubiegł. Można powiedzieć, że celem życia ich obu było wzajemne prześciganie się i zapamiętywanie do końca życia okazji, w których im się to udało. Dla upartego Laxa szpilką, którą Samà wbił mu najgłębiej, były zdające się leżeć z dala od wszystkiego górskie tereny, które markiz sprzedał Eusebiowi Güellowi po niebotycznej cenie, żeby podopieczny Eusebia, ów Gaudí, który nie umiał rysować linii prostych, stworzył na nich swoją najnowszą ekstrawagancję.

– Dajcie don Salvadorowi wolną rękę – zażartował Rodolfo – a z pewnością zapełni nam plaza de Catalunya obeliskami!

Doña Maria del Roser podeszła do don Octavia Condego. Młodzieniec z pewnością jako jedyny z obecnych mógł szczerzyć się tym, że jest przyjacielem Amadea. Tylko z nim najstarszy syn Laxów utrzymywał sporadyczne kontakty. Kiedy mogli porozmawiać sam na sam, Maria del Roser zwróciła się do niego o pomoc:

– Proszę cię, Octavio, czy mógłbyś napisać do Amadea i zapytać go, kiedy ma zamiar wrócić? Nie chcielibyśmy, żeby na tak długo odsuwał się od świata i swoich obowiązków. Prędzej czy później będzie musiał przejąć to, co do niego należy, a przedłużająca się nieobecność w mieście może kosztować go bardzo drogo.

– Oczywiście, pani Lax, z przyjemnością go o to zapytam. Chociaż muszę panią uprzedzić, że pani syn nie posłucha moich rad. Ani moich, ani nikogo innego, bo zawsze postępuje według własnej woli.

– Czytałem, że ostatnio oskarżają was o sprzyjanie Lerrouxowi – wtrącił się don Rodolfo zawsze bardziej zainteresowany tym, o czym pisały gazety, niż tym, co się działo w domu.

– Szkoda słów! Mój ojciec jest tym wszystkim oburzony, ale mówi, że nie zamierza uczyć się katalońskiego! Tłumaczę mu, że nie ma powodów, żeby tak się przed tym wzbraniać, że przecież kataloński jest językiem miłym dla ucha i wygląda na to, że nawet przydaje się do czegoś więcej niż tylko do sprzedaży wołu, co obecnie próbują udowodnić wyrastający zewsząd poeci i dramaturdzy. Ale mój ojciec nadal uważa, że w Barcelonie, żeby zasłużyć na tytuł obywatela, trzeba być przeciwko czemuś lub komuś. Wiedzą państwo, uparty z niego człowiek.

Maria del Roser uśmiechała się uprzejmie, słuchając syna swojego przyjaciela i towarzysza. Właśnie w tych dniach dzięki uporowi don Eduarda Condego koło spirytystyczne, do którego oboje należeli, odniosło wielki sukces.

– Pański ojciec jest wspaniałym człowiekiem – powiedziała. – Wiele osób przekonało się o tym i przyznaje to.

Maria del Roser miała na myśli przeniesienie szczątków Francisca Canalsa Ambrósa, w co don Eduardo włożył wiele trudu. Dzięki niemu wyznawcy cudotwórcy, których były tysiące, mieli wreszcie miejsce, gdzie mogli go czcić. Zamierzała powiedzieć o tym don Octawiowi, przypuszczając, że nie jest świadom zasług ojca, lecz przeszkodziła jej charakterystyczna dla arystokratów zmienność powodująca, że ich umysły rozpałały się, kiedy wyływały pewne tematy.

– À propos katalonistów... – odezwał się Claudio López, 2. markiz de Comillas, właściciel Banco Hispano Colonial, zwany „Największym Jałmużnikiem Królestwa” ze względu na swoje zamiłowanie do filantropii. – Słyszałem, że król zostanie w Barcelonie, żeby odwiedzić Palau de la Música. Bierzcie z niego przykład, panowie! To się nazywa katalońska solidarność, a nie to, co robi Prat de la Riba³!

– Tak, tak... moim zdaniem król chce raczej poznać kryjówkę wroga, nie uważacie? – odezwał się pan Plandolit z Banco de Barcelona.

Markizowie pokiwali głowami. Spotkanie miało na nich odprężający wpływ i sprzyjało wyjawianiu sekretów. López stwierdził:

– To jasne, że w Barcelonie królowi podoba się bardziej niż w Madrycie.

– A może lubi bardziej barcelończyków od madryckich arystokratów, którzy wyglądają jak wyjęci z obrazu Velázquez? – zapytał inny znany bankier, pan Estruch.

Don Rodolfo się zaśmiał.

– A ja powiedziałbym raczej, że woli barcelonki.

– Ma pan rację – przyznał Plandolit. – Wiktoria Eugenia za bardzo się zaniedbuje. Jej mąż jest zbyt młody, a ona zbyt angielska, żeby komedia w końcu nie zmieniła się w farsę.

Dokładnie w tej chwili do towarzystwa dołączył don Ramón Bassegoda, brodaty i znany wszystkim osiemdziesięcioletni, a do tego zagorzały wielbiciel tytoniowego dymu.

– Co słyhać, młodzieży? – powitał ich, kłaniając się następnie Marii del Roser. – Czy wszystko u państwa w porządku?

Octavio odpowiedział kurtuazyjnym ukłonem.

– Jak się miewa pański ojciec, hrabio? Czy doszedł już do siebie po stracie drogiej pani Cecylii?

Octavio odpowiedział uprzejmie, acz zdawkowo, nie mając ochoty na rozmowę o śmierci matki spowodowanej przypadkiem, kiedy jej długa suknia zapaliła się od butelki z benzyną. Prasa na szczęście przemilczała przyczynę i całe miasto łączyło się z rodziną w smutku. Dyskrecja spowodowała, że ból był bardziej znośny.

– A pan, Rodolfo? Czy u pana wszystko w porządku? Doszły mnie wieści, że oprócz burzenia miast przenosi pan teraz klasztory kamień po kamieniu.

Rodolfo przewrócił oczami, jak gdyby mówił: „Szkoda słów”. Chodziło o zakonnice z klasztoru Marii Panny z Montesión, równe kapryśne, jak lubiące trudne przeprowadzki.

Bassegoda wskazał palcem gospodarza i lekko ściszył głos:

– A tak przy okazji, don Rodolfo, czy nie mógłby pan zdobyć dla mnie portyku czy kolumnady, których nikt teraz w kościołach nie potrzebuje? Chciałbym dać żonie jakąś drobnostkę z okazji naszych złotych godów. Słyszałem, że dzięki panu pewna baronowa kupiła po okazyjnej cenie portal klasztoru z calle del Carmen i że postawiła go w swoim ogrodzie razem z czternastoma kolumnami, które zbywały siostrzyczkom od Marii Panny z Junqueras. A swoją drogą, zbywały im po bardzo wygórowanej cenie. Ale jest mi wszystko jedno, ponieważ stać mnie na to. Bardzo mi się podoba nowoczesny zwyczaj zmniejszania klasztorów według skali Cerdy. Również Bóg powinien zmieścić się na kartce w kratkę, żeby dostosować się do obecnych czasów. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się wielkich rzeczy po kimś, kto myśli tylko o tym, żeby wszędzie wprowadzić kanalizację. Czy uważa pan, że temu miastu brakuje podziemnych brudów? Co za niedorzeczność! À propos, słyszałem, że kupiec cukrowy Plandiura, gdziekolwiek pojedzie, wszędzie skupuje ołtarze i chrzcielnice. Prawdę mówiąc, ołtarzem również bym nie pogardził, pod warunkiem że nie ma na nim hordy demonów i będzie dobrze wyglądał w ogrodzie. Jak pan uważa?

Ponieważ Rodolfo nie wyraził swojego zdania na ten temat, Bassegoda mówił dalej:

– Ach, czy pamięta pan, jak przybyliśmy do Barcelony? Co to były za czasy. Miasto miało zamknięte na noc bramy, przy których wartę pełnili groźni żołnierze. Kiedy zaczynaliśmy wykrzykiwać hasła „Zburzyć mury!”, zawsze znalazł się jakiś zniedołężniały arystokrata, który spoglądał na nas, jakbyśmy chcieli zabrać mu jego własność. Panowie, jesteście młodzi, nie macie pojęcia o tym, co robiliśmy. Obecne wydarzenia nie liczą się w porównaniu z tym, co się działo dawniej, podobnie jak zimy nie są już takie jak kiedyś. To prawda, że postęp wyczuwa się nawet w pogodzie. Teraz nie jest już tak mroźno jak kiedyś! Ale powiedzcie mi, panowie, czy się rozwijacie? Zarabiacie duże pieniądze? Macie zamiar się ożenić? Zapamiętajcie na zawsze, że bez pieniędzy ani żony nie da się w życiu dojść do niczego.

Po tych słowach Ramón Bassegoda, współzałożyciel spółki Constructora Catalana SA, zrujnowany w czasie kryzysu rynku nieruchomości w 1866 roku i nieco później powstały z własnych popiołów, aby zostać impresariem teatralnym, oddalił się zmęczonym krokiem, który narzucały mu przeżyte osiemdziesiąt cztery czcigodne lata.

W tym momencie otworzyły się drzwi na patio i w wielobarwnych szybkach zarysowało się odbicie wysokiej szczupłej sylwetki króla Alfonsa XIII. Natychmiast umilkły wszystkie rozmowy. Członkowie straży królewskiej sformowali szyk, odkładając w pośpiechu kanapki i krokiety. Bankierzy zachowali pikantne dowcipy na inną okazję. Kardynał wraz ze swoim stadkiem zaczął się szybko żegnać. Wojskowi zasalutowali, a przemysłowcy poczuli się bezpiecznie. Bez wątpienia król wyglądał lepiej. Z wyjątkiem nosa, który był czerwony jak papryka. Maria del Roser Golorons powitała go ukłonem.

– Nie wiem, jak mam pani dziękować za gościnę, pani Lax – powiedział Alfons XIII, uśmiechając się lekko i ściskając dłonie gospodyni – ale zapewniam panią, że znajdę sposób, żeby się za nią odwdziżyć.

Niektórzy z obecnych uznali to zdanie za obietnicę nadania tytułu szlacheckiego. W końcu Alfons XIII rozdawał tego rodzaju przywileje równie chętnie, jak bogata burżuazja je przyjmowała.

– Moją nagrodą jest poprawa zdrowia Waszej Wysokości – powiedziała Maria del Roser, opuszczając wzrok na kamienną posadzkę.

Wykorzystując powszechnie panującą radość, pani domu kazała przyprowadzić Violetę i ustawić się służbie. Umierająca ze wstydu dziewczynka pojawiła się przed królem, wyglądając jak zwykle niczym ptaszek, który przed chwilą wypadł z gniazda. Król ucałował ją w policzki i zapytał, ile ma lat.

– Prawie dziesięć – poinformowała.

– Zarazi ją katarem – wyszeptała do siebie Conchita.

Maura zaproponował toast, do którego potrzebne były kolejne dwie skrzynki Veuve Cliquot, co doprowadziło Eutimię do ataku furii.

– Ten człowiek powinien zrozumieć, że to nie jest parlament ani że tutaj nie wyciągamy wina z kapelusza, jak on wyciąga swoje ustawy – warczała ochmistrzyni.

Po toaście król chciał kontynuować zaplanowany porządek dnia. Ponieważ przekąski podane na wewnętrznym dziedzińcu domu Laxów były obfite, postanowiono zrezygnować z obiadu i przejść bezpośrednio do ceremonii całowania królewskich rąk. Bez dalszych niespodzianek wszyscy wsiedli do samochodów w porządku zgodnym z protokołem, podczas gdy Violeta grała na fortepianie w salonie *Marsz królewski*. Ostatni opuścili dom pan Rodolfo, kardynał, Antonio Maura i sam król. Doña Maria del Roser obserwowała ich z okna na górnym piętrze, z dumą przyglądając się swojemu myszkowi w tak doborowym towarzystwie. Chwilowe opóźnienie nastąpiło, kiedy Alfons XIII żegnał się ze służącymi, którzy stali rzędem na baczność u stóp schodów z Eutimią na czele. Ta zwłoka uratowała skórę sześciu towarzyszącym królowi lokajom ubranym w stylu epoki Fryderyka Wielkiego – w białe peruki, trójrogi z piórami, czerwone surduty, spodnie do kolan i białe pończochy – bo dali się skusić Vicencie, która zrobiła im własne przyjęcie, zachwycona ich obecnością w kuchni. Kiedy król w końcu zszedł po schodach na pasaje Domingo, był innym człowiekiem, a lokaje zajmowali swoje miejsca. Następnie wszyscy wsiedli do samochodów i zniknęli, pozostawiając dom w większym nieładzie, ale tak samo cichy jak w momencie, kiedy do niego wchodził.

Tej nocy, po uroczystości w teatrze Liceo udanej zgodnie z oczekiwaniami, kiedy pan Rodolfo chrapał jak stara lokomotywa, natłok dokuczliwych myśli nie pozwalał zasnąć pani Marii del Roser. Rozmyślała nie tylko o nieoczekiwanym i bardzo cieszącym ją zaszczycie, jaki przyniósł jej ten dzień. Nie mogła również zapomnieć o młodym Albercie Despujolu czy o drogim Octaviu Condem. O łatwości, z jaką brylowali w towarzystwie; o poufałości, z jaką zwracali się do króla. Tak bardzo życzyłaby sobie, żeby jej trzymający się z dala od tego wszystkiego syn był równie towarzyski i naturalny jak jego koledzy. Nie mogła znieść myśli, że Amadeo nie jest w stanie zachowywać się jak oni. I czuła się temu winna: „Powinnam bardziej zajmować się nim, kiedy był dzieckiem, nie pozostawiać go tyle czasu w rękach Conchity, nie pozwalać Rodolfowi, by postępował tak brutalnie, kiedy zaczęły się kłopoty”, myślała, czuwając w ciemnościach.

Pchana tym przekonaniem, umacnianym poczuciem winy, wstała z łóżka, podeszła do biurka, zapaliła lampkę naftową, wzięła kartkę papieru i napisała list do Amadea, informując go o ślubie jego przyjaciela Josepa Marii Alberta Despujola z córką państwa Muntadas oraz o jego prośbie, żeby został jego świadkiem. Napisała adres hotelu w Rzymie, który Amadeo wskazał jej jako swoje ostateczne miejsce pobytu, i odłożyła list, żeby następnego ranka zanieśiono go na pocztę. Wróciła do łóżka, dźwigając na sercu ciężar tego tak przykrego problemu.

Trzy tygodnie później przysła pocztą zwrotną odpowiedź syna.

„Kochana Matko, chwilowo nie planuję powrotu. Kiedy się na to zdecyduję, powiadomię Cię o tym. Proszę, żebyś przesłała ode mnie odpowiedni prezent panu Albertowi Despujolowi wraz z życzeniami szczęścia i potomstwa. Twój kochający Cię syn Amadeo”.

Pani Maria del Roser nie poczuła się lepiej. Na szczęście zaraz potem nadeszło lato, które zawsze łagodziło nastroje. Morska bryza i oddalenie od miejskich problemów pomogły jej przyzwycząić się do myśli, że jej syn nie przykłada żadnej wagi do spraw, które jej spędzają sen z powiek. Postanowiła nadal wypłacać Amadeowi pensję i dać mu odrobinę swobody. W końcu to było mniej uciążliwe, niż smucić się przez cały czas.

Pobył Amadea za granicą przedłużył się o dwanaście miesięcy i trwałby jeszcze dłużej, gdyby nie

stało się coś, co całkowicie zmieniło bieg wydarzeń. Wiele lat później spadkobierca Laxów uzna tę chwilę za nagły koniec jego młodości.

Otóż 30 lipca 1909 roku młody malarz otrzymał pilny telegram:

„Tata umarł. Wracaj natychmiast”.

IMPROWIZACJA PO TRZYDZIESTU SZEŚCIU LATACH

Nuria Azancot

Po zawiłej historii, która rozpoczęła się otwarciem w 1974 roku testamentu malarza novecentisme Amadea Laxa, wreszcie autonomiczny rząd Katalonii zdecydował się wykorzystać w jakiś sposób pałacyk należący wcześniej do artysty, który przekazał go władzom w celu przeznaczenia na muzeum. Ale ponieważ zamysły instytucji publicznych pozostają wieczną zagadką, po trzydziestu sześciu latach bezczynności wczoraj przedstawiono mediom plany architektoniczne – autorstwa Ricarda Selvasa – nowej biblioteki, która będzie nosiła imię malarza i według osób odpowiedzialnych za projekt zostanie prawdopodobnie otwarta w 2013 roku, po piętnastu miesiącach prac remontowych. Zgodnie z planami budynek będzie miał powierzchnię trzech tysięcy metrów kwadratowych i pomieści jedyne w mieście zbiory specjalistyczne dotyczące sztuki nowoczesnej, liczące ponad sto tysięcy książek. Dodatkowo mieścić się tam będą wideoteka, fonoteka i mała sala wystawowa. Wystawa inauguracyjna poświęcona będzie oczywiście Amadeowi Laxowi. Prezentację dla dziennikarzy poprowadził osobiście twórca projektu, który zapytany o nieobecność na spotkaniu przedstawicieli władz zażartował: „Politycy mają ważniejsze sprawy na głowie”. Szkoda, że nawet zbliżające się wybory nie są powodem, żeby osoby aktywne w życiu publicznym wzięły na siebie odpowiedzialność za projekt czekający na realizację od prawie czterech dekad. I że kiedy widać światło w tunelu, postępowanie urzędników jest całkowicie pozbawione powagi, a wszystkim rządzi niezrozumiała improwizacja.

XIII

A oto fakty, o których nie pisze się w gazetach: wczesnym rankiem pojawia się w budynku Ricard Selvas, architekt odpowiedzialny za projekt. Prezentuje niewzruszoną postawę walca drogowego. To porównanie nie jest do końca pozbawione sensu, ponieważ pierwszym zadaniem kierowanych przez niego ludzi będzie zburzenie ścian przeszkadzających w realizacji projektu przyszłej biblioteki. Policzone są godziny murów obojętnych na upływ czasu.

Wizyta ma charakter badawczy, z farbą w spreju w ręku. Architekt oznacza czerwonym krzyżem ściany do usunięcia. Następnie wróci do biura i do swoich projektów, żeby nie zakurzyć sobie garnituru. Ale nie spodziewa się pewnej przeszkody. Drugiego dnia po rozpoczęciu robót dzwoni do niego majster.

– Za jedną ze ścianek działowych na piętrze odkryliśmy drzwi. Chce je pan zobaczyć czy od razu mamy je rozwalić?

Architekt jest odpowiedzialnym i ciekawskim człowiekiem. Chce zobaczyć drzwi. Przybywa na miejsce przed południem. Robotnicy wyszli coś zjeść. Dom wypełnia brudna mgła. Majster prowadzi go na piętro. Przez wyłom w jednej z bocznych ścian widać dwuskrzydłowe drzwi. W trakcie prac wyburzeniowych zniszczono połowę jednego skrzydła, w drugim powstała szczelina, lecz farba w kolorze bladego różu jest nadal widoczna. Podobnie jak zamek, który pozostał w drzwiach.

– Dziwne – zauważa majster. – Są zamknięte na klucz.

Selvas przygląda się odkryciu. Popycha zniszczone drewno, próbując uchylić drzwi. Po drugiej stronie panuje tajemnicza ciemność.

– Czytałem o zamurowanych ołtarzach czy kaplicach, ale żeby ukrywać za ścianą pokój?

– Czy powinniśmy kogoś powiadomić? – pyta majster.

Architekt już o tym pomyślał. Są dwa wyjścia. Po pierwsze, zadzwonić do natrętnego Arcadia Péreza i pozwolić, żeby wetknął w to swój wścibski nos, godząc się tym samym na opóźnienie remontu już na samym początku. Drugie rozwiązanie to udać, że znalezisko ich nie zaskoczyło. A jeszcze lepiej udać, że nie miało miejsca. Tak czy inaczej, kiedy ściany zostaną wyburzone, nikt nie rozpozna dawnych pomieszczeń.

– Wyważ je – nakazuje. – Na moją odpowiedzialność.

Selvas jest zajęтым człowiekiem. Ma niedaleko stąd spotkanie o trzeciej. Przyszedł natychmiast, ponieważ miał po drodze, ale teraz musi już iść. Nie minęły nawet trzy kwadranse, a majster ponownie do niego dzwoni.

– Człowieku, mam spotkanie.

– Chodzi o zamurowany pokój, proszę pana. Tam jest łóżko i inne rzeczy. Pełno starych gratów. Sądzę, że ktoś to powinien zobaczyć, może jest tu coś wartościowego.

– Dobrze, zajmę się tym. Niczego nie ruszajcie.

– Oczywiście. Poza tym nikt nie ma odwagi tam wejść. Chłopaki się boją.

– Jakby to był grób Tutenchamona. Powiedz im, że są już dorośli.

– Prawdę mówiąc, tacy dorośli jeszcze nie są. Poza tym większość nie rozumie, co do nich mówię. To Rumuni i Marokańczycy. Dwa bardzo przesądne narody, które wszędzie widzą umarłych, szefie.

Myśląc o zmarłych i przeklinając w duchu, Selvas dzwoni do Arcadia Péreza. On również natychmiast zjawia się w budynku, pomimo że planował powrót tam dopiero po zakończeniu

remontu, żeby nie oglądać go w takim stanie, zrujnowanego. Towarzyszy mu Violeta.

Majster wskazuje im drogę. Podłoga usłana jest gruzem. Pozostałości różowych drzwi stoją oparte o jedną ze ścian nośnych. Otwór w ścianie przypomina przejście do innego wymiaru. Oboje przez nie przechodzą, rozglądając się wokoło.

Wewnątrz znajduje się łóżko z żelazną ramą, starą kołdrą i poduszką, nad nim wisi obraz przedstawiający młodą Matkę Boską. Na łóżku leży porcelanowa lalka ubrana w tiul. Poza tym jest tam krzesło, prostokątna szafa z podłużnym lustrem i komoda z czterema szufladami. Na niej leży kilka przedmiotów wyglądających, jakby ktoś je niedawno tam położył: kałamarz z brązu, dzbanek, mszał, stare metalowe pudełko, różaniec, para rękawiczek, grzebyk... Violeta go podnosi. To mały prostokąt z masy perłowej ozdobiony perełkami, bardzo podobny do tego, który widnieje na wspaniałym portrecie Violety siedzącej ze znudzoną miną przed pianinem. Przedmiot nieśmiertelny sam w sobie.

Otwiera szafę. Po jednej stronie wisi kilka sukni. Z drugiej na półkach leżą kapelusze. Na dole stoją buty. Sześć par. Damskie.

– W komodzie również jest pełno ubrań. – Arcadio wskazuje szufladę, którą właśnie wysunął.

Violeta przegląda rzeczy ułożone w szufladach. Przymierza rękawiczki, które idealnie pasują do jej małych dłoni. Mszał ma na grzbiecie złoty napis. Z okładki drugiej książki dowiaduje się, że jest to powieść *Spirytystka* autorstwa Théophile'a Gautiera. To egzemplarz z 1861 roku wydany przez madrycką Librería Alfonso Durán. Na wyklejce widnieje ekslibris w stylu modernistycznym przedstawiający zamkniętą książkę, na której stoi dzban z wodą, leży gałązka oliwna i waga, przeplecione inicjałami O. C. G. O. Violeta przerzuca kartki. Niektóre fragmenty są zaznaczone. Zatrzymuje się na pierwszym lepszym zdaniu na osiemdziesiątej szóstej stronie: „Od tej chwili wszystkie kobiety, które znał, wymazane zostały z jego pamięci”.

Spomiędzy kartek wypada na podłogę koperta o przetartych rogach. Nazwisko nadawcy nic jej nie mówi: Montserrat Espelleta. Adresatem jest Teresa Brusés, ale nie ma adresu. Z równo rozciętej u góry koperty Violeta wyciąga trzy kartki zapisane okrągłymi pięknymi literami, które natychmiast przywodzą jej na myśl kaligraficzne pismo zakonnic w jej szkole. Nagłówek brzmi: „Szanowna Pani”. List jest zbyt długi, żeby czytać go teraz. Chowa go z powrotem do koperty i myszkuje dalej.

Metalowe pudełko jest ozdobione dziecięcymi obrazkami i nazwą starej fabryki herbatników, napisaną modernistycznymi literami. Wewnątrz znajduje się mnóstwo wycinków z gazet i starych kartek. Ogląda je ze smutną miną kogoś, kto wie, że bez względu na starania nie zdoła zrozumieć tylu tajemnic.

Przeszłość oglądana z perspektywy terażniejszości właśnie tak wygląda: łamigłówka z brakującymi elementami.

– Czy mogą państwo pracować na innych piętrach, dopóki nie zabierzemy stąd wszystkiego? – pyta Arcadio.

Selvas łaskawie się zgadza.

– Dobrze, ale proszę się pospieszyć.

Violeta znudzona czekaniem, 1913

Olej na płótnie, 95 x 41 cm

Barcelona, MNAC

Jedyny znany portret Violety Lax Golorons, siostry malarza, jest prawdopodobnie jedną z najbardziej delikatnych prac w całym jego dorobku artystycznym. Dziewczyna przedstawiona na nim została w długiej sukni, siedzi bokiem przy fortepianie, na jednej ręce opiera policzek, drugą uderza w klawisze z niewielkim zainteresowaniem. Ozdobiony perłami grzebyk, który modelka ma we włosach, wraz z obrazem widocznym w tle na ścianie – to prawdopodobnie plan Barcelony – spowodowały, że dzieło to często uważa się za hołd złożony Vermeerowi. Wiele razy opisywano wyraz twarzy młodej kobiety, blask jej oczu, ulotność uwiecznionej chwili, subtelność tej sceny i dbałość o detale, tak wspaniałe na portretach krewnych Laxa. Widać pewność wykonania, szerokie czyste pociągnięcia pędzlem oraz oryginalny sposób traktowania płaszczyzn przez upraszczanie planów. Jeśli chodzi o gamę kolorystyczną, obraz opiera się na bieli lekkiej sukni oraz szarych odcieniach fortepianu – doskonale rozpoznawalnego instrumentu pochodzącego z fabryki Cassadó y Moreu, wyprodukowanego w 1902 roku z intarsjowanego kubańskiego mahoni – z akcentem barwnym wprowadzonym przez błękitną różę przypiętą do dekoltu sukni dziewczyny. W wiktoriańskim języku kwiatów, który Lax często stosował w swoich obrazach, niebieska róża oznacza to co niemożliwe. W tym przypadku symbol odnosi się do wyzdrowienia siostry, która zmarła rok po pozowaniu do tego portretu, w wieku zaledwie szesnastu lat.

Hiszpańscy portreciści XX wieku (katalog wystawy)

Art Institute of Chicago, Chicago, Stany Zjednoczone, 2010 r.

XIV

Maria del Roser Golorons miała powody, by uważać, że nie zajmowała się dobrze dziećmi. W rzeczywistości nikomu o jej pozycji nie przyszłoby w tamtych czasach do głowy, żeby tracić czas na wychowywanie smarkaterii. Od tego była służba, na którą wydawano majątek. Dzieci psuły spotkania towarzyskie i utrudniały rozmowy. Lepiej było trzymać je z dala, dopóki nie nauczyły się zachowywać jak prawdziwi ludzie.

Tak więc dzieci z bogatych domów przez pierwsze lata życia prowadziły podwójną egzystencję, która pozwalała im poznać zarówno żywe zapachy kuchni, jak i wschodnie subtelności matczynej toaletki. Uszczęśliwiały je działania, które wywoływały u ich rodziców rumieńce zażenowania, jak wiązanie ogonów myszom złapanym w drewnutni czy próbowanie z kociołka potraw z warzyw i ziemniaków przeznaczonych dla służących. Podobnie jak wszystkie dzieci, również bogate przychodziły na świat obdarzone naturalnym, acz mało ważnym dla dorosłych talentem pozwalającym im odróżnić rzeczy naprawdę ważne od tych, które nie są nic warte.

Amadeo nie był pod tym względem wyjątkiem. Przez pierwsze cztery lata życia sypiał w suterenie w pokoju Conchy, do którego matka postanowiła przenieść go tej nocy, kiedy zdesperowana przyszła tam w koszuli nocnej. Po narodzinach Juana niańka była częściej potrzebna na górze. Wtedy zdecydowano o przeniesieniu ich obojga do pokoju zabaw, gdzie zwyczajnie wprowadzone w suterenie były nadal stosowane, ponieważ nikt nie zatroszczył się o to, żeby ich zakazać. Terytorium dzieci podlegało kompetencjom niańki i nikogo innego. Conchita wprowadzała zasady na wyczucie, a kiedy tego nie robiła, nikt na to nie zważał.

Pewnego ranka, w przepelnionej obowiązkami porze pomiędzy śniadaniem a spacerem, Concha zapukała w drzwi pokoju pani. Za niecały tydzień rodzina miała się przenieść do nowego domu.

– Ach, to ty – powiedziała Maria del Roser, rzucając na nią okiem znad okularów i nie przerywając pisania. – O co chodzi?

– Chciałabym powiedzieć pani o czymś, zanim zobaczy to pani na własne oczy lub usłyszysz od osób trzecich – powiedziała.

Wobec tak poważnego wstępu Maria del Roser odłożyła pióro.

– Co się stało?

– Dzisiaj w nocy Amadeo zranił się w głowę. To nic poważnego, ledwie zadrapanie.

– Jak to?

Conchita westchnęła.

– Bracia się pobili. Obaj zostali ukarani. Amadeo poszedł spać bardzo zły. Tak się wiercił, że w końcu wypadł z łóżka i uderzył się w czoło.

Maria del Roser zdjęła okulary i zacisnęła usta.

– Co było powodem bójki?

– Zazdrość. Obaj chcieli spać w moim łóżku.

Pani się zastanowiła.

– Uważam, że postąpiłaś dobrze, Conchito. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

Niańka nie wyglądała na zadowoloną. Zawahała się przed drzwiami.

– Tak czy inaczej tego rodzaju konflikty niedługo się skończą – dodała pani. – Amadeo ma już prawie dziesięć lat i razem z jego ojcem postanowiliśmy zapisać go do szkoły z internatem prowadzonej przez

jezuitów w Sarrià. Piętnastego września pożegnamy go aż do przyszłego lata. Zakonnicy są pod tym względem bardzo restrykcyjni i nie wypuszczają uczniów nawet w czasie najważniejszych świąt. A poza tym w nowym domu będzie miał oczywiście własny pokój, jak przystało na chłopca w jego wieku.

Ta wiadomość była dla Conchity jak kubeł zimnej wody. Nie była w stanie nic odpowiedzieć.

– To wszystko, Conchito. Idź już, proszę. Muszę dokończyć pisanie artykułu.

Niańka zamknęła za sobą drzwi i stanęła w korytarzu, patrząc na swoje ręce, zatopiona w myślach. Amadeo, jej dziecko, jej delikatna istotka, wyjeżdżał uczyć się w szkole z internatem. Dawno temu zastanawiała się nad tym. Kiedy do domu zaczęli przychodzić niemrawi i cherlawi nauczyciele, którzy uczyli z taką samą niechęcią zarówno rysunku, jak łaciny, była przekonana, że państwo postanowili zorganizować dzieciom prywatną naukę, jak to było dawniej w zwyczaju. Ta wiadomość ją zaskoczyła.

Z bijącym sercem wróciła do pokoju dziecięcego. Zobaczyła Amadea, który siedział na łóżku i patrzył w stronę drzwi jak przestępca czekający na ścięcie. Jego rodzeństwo jadło śniadanie pod okiem Carmeli.

– Wydałaś mnie? – zapytał na jej widok.

Powoli zamknęła drzwi i zaprzeczyła ruchem głowy. Chłopiec rzucił się Conchicie w ramiona z taką siłą, że o mało jej nie przewrócił. Concha zbliżyła twarz do grubych ciemnych włosów malca, wzięła głęboki wdech i zachciało jej się płakać. Jej maleńki, jej Amadeo, jej Tito. Cały czas myślała o słowach Marii del Roser i o tym, co teraz będzie. Po powrocie ze szkoły będzie już przyzwyczajony do życia bez niej, do zachowywania się jak mężczyzna, którym kiedyś się stanie.

Zapanowała nad sobą, żeby skarcić go, co należało do jej obowiązków.

– Skłamałam dla ciebie, tak jak prosiłeś. Ale jeśli nie dotrzymasz obietnicy, opowiem o wszystkim twojej matce, zrozumiałeś?

– Jasne, że tak, Conchito! Jesteś najlepsza! Bardzo cię kocham! – Amadeo złapał ją w talii, dusząc w uścisku. To już nie był słaby malec, którego starała się chronić.

– A teraz zjedz śniadanie. Mleko stygnie.

Zanim Amadeo dołączył do rodzeństwa, wycalował ją jeszcze kilka razy. Podobnie jak przy innych okazjach Conchitę cieszyło to okazywanie uczuć, chociaż zastanawiała się przez cały czas, czy takie zachowanie uchodzi tak dużemu chłopcu. Juan miał jedynie sześć lat, a już tak nie postępował. Oczywiście każdy ma swój sposób bycia i potrzeby okazywane w dzieciństwie, przekonywała sama siebie niańka, ponownie odpływając myślami w inne miejsce. Internat. Jezuiści z Sarrià. Wrzesień. Jego własny pokój.

Nie odważyła się powiedzieć o tym Amadeowi. Spór z poprzedniego ranka był jednym z powodów. Juan nagle się obudził, wystraszony nocnym koszmarem, i przyszedł do łóżka Conchy. Ale po podniesieniu kołdry zobaczył już tam Amadea śpiącego jak suseł, przytulonego do niańki.

– Boję się. Chcę spać z tobą – błagał Juan.

Amadeo się odwrócił. Na wpół zaspany powiedział bratu, żeby się wynosił, bo to jego miejsce.

– Ty śpisz tu już długo. Teraz moja kolej. Boję się – powtórzył Juan.

Conchita uznała, że mały ma rację. Próbowała wytłumaczyć to Amadeowi, lecz nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

Conchita zatem zostawiła go w swoim łóżku i położyła się w łóżku Juana, przytulając przestraszonego chłopca. Ale to nie spodobało się Amadeowi. Zaczął rozpaczliwie płakać i wołać, żeby wróciła do niego, bo on również bardzo się boi.

– Jeśli natychmiast nie przyjdiesz, umrę – krzyczał rozzłoszczony.

Wstał, próbował odciągnąć Conchę od swojego brata, a ponieważ była nieugięta, wrócił niechętnie

wściekły do łóżka i zaczął umyślnie uderzać czołem o wezgi. Jeden, dwa, trzy, cztery razy, aż wystraszona Conchita wstała, by powstrzymać go przed kolejnym uderzeniem. Skaleczył się w głowę. Concha musiała zostawić Juana i małą Violetę – która niczego nieświadoma spała w kołysce – żeby pójść po wodę i mydło do przemycia czoła Amadea. Resztę nocy spędziła przy nim, siedząc na dywanie, kołysząc go jak niemowlę i szepcząc mu do ucha:

– Dlaczego to zrobiłeś, dziecko? Dlaczego mi to robisz?

Amadeo szybko nauczył się stawiać na swoim. Był uparty od początku, odkąd przeniesiono go z kołyską do pokoiku Conchity, w czasach, gdy lubiła go usypiać, patrząc na spokojną buźkę swojego chłopczyka, i wsuwać rękę między szczelki, żeby pogłaskać go po policzku. Kiedy łapał ją za palec, zamykała oczy i czuła się szczęśliwa.

– Masz za dorosłe imię jak na taką małą kruszynkę – powiedziała kiedyś do niego. – Będę cię nazywała Bonito⁴. Bo taki właśnie jesteś, najładniejszy na świecie.

Pewnej nocy, mając około piętnastu miesięcy, jej śliczny chłopczyk wprowadził nową zasadę. Obudził się o trzeciej nad ranem, spojrzął na niańkę, po czym nie zastanawiając się długo, wygramolił się z łóżeczka i zwinął w kłębek obok niej. Concha poczuła miłe ciepło jakby zwierzątka i w półśnie udało jej się jedynie wymówić jedno zdanie:

– Bonito, wracaj do swojego łóżeczka.

Na nic się to zdało. Amadeo, podobnie jak zrobi to wiele lat później w tej samej suterenie, właśnie rozporządził innym łóżkiem i ciałem, jak gdyby były jego własnością.

– Bonito... – wyszeptała Concha bezradnie.

– Tito tu – powiedział, jeszcze gaworząc w sposób, który fascynował Conchę, i zamknął oczy.

Niańka nie przypomniawszy więcej malcowi, że powinien spać we własnym łóżeczku. Za bardzo cieszyła ją jego bezwarunkowa miłość, ciepłe objęcia i pewność, z jaką ją kochał i wyróżniał. Nigdy nie przydarzyło się jej nic podobnego. Z nikim.

Kiedy przenieśli się do pokoju na górze, ten zwyczaj trwał, chociaż już nie każdej nocy. Amadeo opuszczał swoje łóżko, ilekroć miał ochotę, i kładł się z nią. Gdy trochę podrośł i w łóżku zrobiło im się ciasno, Concha przez całą noc nie mogła zmrużyć oka z obawy, że jeśli po zaśnięciu rozluźni ciało, przygniecie chłopca. Ale nawet wtedy była szczęśliwa. Teraz Amadeo obejmował ją jeszcze mocniej i mówił, jak bardzo ją kocha. Często płakał rozpaczliwie, dostając niemowlęcej czkawki, a ona uspokajała go słowami i czułością. Zawsze jej się to udawało. Conchita była wtedy jedynym balsamem będącym w stanie ukoić w pierwotnym synu Laxów smutek i bunt, z którymi bez widocznego powodu się urodził.

Odkąd Concha dowiedziała się o nowym szkolnym etapie w życiu Amadea, przez tydzień płakała każdej nocy. Czekwała, aż chłopiec zaśnie, i pozwalała łzom płynąć z oczu. Na próżno powtarzała sobie, że chłopiec jego stanu musi się uczyć, że miała go dla siebie dłużej, niż mogła się spodziewać, i teraz powinna pozwolić mu odejść, by mógł w przyszłości spełnić oczekiwania swoich rodziców. Przez cały czas myślała, że najlepszy etap jej życia dobiega końca. I mogła jedynie powtarzać sobie w myślach: „Głupia, głupia, głupia...”.

W nowym domu wybuchy gniewu Amadea stały się znacznie bardziej niepokojące. Detonatorem, lub jednym z nich, był oddzielny pokój. Było to piękne pomieszczenie, w ogóle nie dziecięce, z oknem wychodzącym na tylny dziedziniec, biurkiem, biblioteczką i mnóstwem innych rzeczy, których nie potrzebował.

Wręcz przeciwnie. Nowe życie dużego chłopca całkowicie wykorzeniło jego jedyną pasję: rysunek. Do tej pory wszyscy aprobowali jego gryzmolenie świecowymi kredkami po kolejnych zeszytach. Był

w stanie codziennie poświęcać temu zajęciu wiele godzin, nie licząc całej masy papieru. Maria del Roser nawet żartowała:

– Jeszcze więcej kartek, synu? Sam jeden potrzebujesz ich więcej niż wszyscy księgowi twojego ojca razem wzięci. Doprowadzisz nas do bankructwa!

Ale teraz rysowanie uznano za niestosowne i matka Amadea poleciła Conchicie pilnować, by jej najstarszy syn „nie tracił czasu na bohomyzy”, a zachęcała go raczej do czytania, które uważała za pożyteczniejsze. Conchita jak zwykle starała się postępować zgodnie z otrzymywanymi instrukcjami, lecz gdy od czasu do czasu musiała użyć jakiegoś podstępu, żeby wywołać uśmiech na twarzy swojego trudnego chłopca, szeptała mu do ucha:

– Poszukamy kartki i namalujesz mi piękny portret?

To zawsze działało. Kiedy Amadeo, dumny jak Leonardo, przynosił jej rysunek, pytał:

– Schowasz go na zawsze w pudełku po herbatnikach?

Conchita przytakiwała, a następnie – z wielkim bólem – darła dzieło na kawałki i wyrzucała do śmieci ze strachu, że pani odkryje spisek. Chociaż udało jej się kilka zatrzymać. Najbardziej wzruszał ją pierwszy rysunek: krótka kreska zamiast ciała, koło otoczone bazgrołami jako głowa, dwie wielkie dłonie z palcami jak kiełbaski i uśmiech wychodzący poza owal twarzy. Mając zaledwie cztery lata, Amadeo umiał uchwycić, jak bardzo była przy nim szczęśliwa. Ze łzami w oczach Conchita powiedziała:

– Schowam go na zawsze w pudełku po herbatnikach.

– Aż będziesz stara? – zapytał.

– Aż będę bardzo stara.

– I będziesz mnie wtedy dalej kochała?

– Tak, kochanie. Wtedy będę cię dalej kochała.

Ale to wszystko miało miejsce dużo wcześniej, przed przeprowadzką. Teraz sytuacja była inna.

Pierwszej nocy w nowym domu zdarzyła się pierwsza katastrofa. Zmarznięty Amadeo przebiegł boso przez korytarz do pokoju rodzeństwa, szukając niańki. Znów znalazł śpiącego z Conchą Juana. Amadeo dostał jednego ze swoich ataków złości i z obawy, że wydarzy się to samo co wcześniej, niańka w końcu pozwoliła mu zostać. Na szczęście rozmiary nowego łóżka umożliwiały większą gościnność i pomieszczenie się z oboma chłopcami. Rankiem rozmawiała z Amadeem. Próbowała wytłumaczyć mu, że nie powinien tak się zachowywać.

– Jesteś już duży, Tito. Niedługo będziesz się wstydził przychodzić do mojego łóżka. Na szczęście nie potrzebujesz już niańki. Nie wiedziałeś o tym? Będziesz mógł robić takie rzeczy jak dorośli. Co tylko zechcesz.

Wypowiedziała te słowa z bólem w sercu. Amadeo potakiwał niepewnie głową.

– Czy teraz bardziej kochasz Juana? – zapytał ledwie słyszalnym szeptem.

Conchita złapała go mocno i przytuliła do piersi.

– Oj, dziecko, nie zadawaj mi takich pytań!

Nadejście letnich wakacji oznaczało ogromny zamęt i wielką radość. Pierwszą zapowiedzią tej pory roku była wizyta szewca w towarzystwie taszczącego ogromny kufer ucznia. Dzieci siadały w fotelu w salonie, w kolejności według wieku, i cierpliwie przymierzały nowe letnie modele, które stawiał przed nimi szewski uczeń. Po tej wizycie zarówno starsi, jak i młodszy byli wyposażeni w obuwie na zbliżające się wycieczki, żeglowne i spacerowe po plaży.

Następny był kapelusznik. Obładowany nowiutkimi lekkimi kapeluszami z włoskiej słomki odpowiednimi na upalne miesiące. Dla panów – a do tej kategorii zaliczano wtedy także Amadea i jego

brata Juana – szerokie ronda chroniące oczy przed słońcem. Dla dam duże słomkowe kapelusze ze wstążkami, kwiatami lub ptakami. Po zaopatrzeniu wszystkich w nakrycia głowy rozpoczynała się przeprowadzka ludzi i rzeczy. Pierwsi zawsze wyjeżdżali służący. Cały ich oddział miał za zadanie przygotować dom na przyjazd państwa. Oczywiście Vicenta zostawała w mieście aż do ostatniej chwili, a w swoim imieniu wysyłała służącą wyszkoloną w rozpalaniu letniego paleniska.

Dzieci w towarzystwie Conchity podróżowały rodzinnym samochodem kierowanym przez Felipego, który w tym okresie musiał bez przerwy jeździć tam i z powrotem. Podróż trwała około pięciu godzin wraz z niezbędnymi przystankami, a dotarcie do Caldes d'Estrach było prawdziwym świętem. Przejeżdżając przez Paseo de los Ingleses, zawsze mijali pozdrawiających ich znajomych, a już sama myśl o zbliżaniu się do morza powodowała, że serca zaczynały im bić mocniej. Na nakrytym stole czekała pyszna kolacja, pokoje pachniały solą i czystą pościelą. W Barcelonie ostatni opuszczający dom troszczyli się o to, by wszystkie meble pozakrywać białymi pokrowcami uszytymi na miarę. Oczywiście poza łóżkiem pana i gabinetem, ponieważ w owych czasach głowy rodzin nie miały zwyczaju – lub ochoty – na spędzanie lata z bliskimi.

W Caldes rodzina Laxów oddawała się letnim kaprysom. Dzieci beztrąsko się wysypiały i miały dużo ruchu; z wizytą przyjeżdżali krewni, pozostając na kilka tygodni; pani czytała i pisała pod sosnami w ogrodzie, spoglądając od czasu do czasu w dal; sąsiedzi wydawali przyjęcia w prywatnych zagajnikach, a kiedy przyjeżdżał don Rodolfo, wywoływał zgorszenie wśród miejscowych, paradując w szlafroku i pantoflach, podczas gdy ubrany w liberię Felipe jechał za nim wszędzie samochodem. Ogólnie życie upływało beztrąsko i bez spoglądania na zegarek.

Wstrząsające wydarzenie, które po raz pierwszy zmaćło tę sielanekę, miało miejsce na początku jednego z takich przyjemnych letnich popołudni. Szum morza zachęcał do sjesty. Po obiedzie państwo pili kawę, siedząc na leżakach w towarzystwie przemysłowca don Emilia de la Cuadry, starego przyjaciela rodziny. Łyzeczki podzwaniały o porcelanowe filiżanki, a gość opowiadał cichym głosem o przygnębieniu spowodowanym niedawnym upadkiem swojej firmy, skarżąc się, że nie wie, jak się z tego podnieść.

– Nie jedzie, Rodolfo! Czy możesz w to uwierzyć? Tyle lat badań i wysiłków, a on stoi w miejscu jak blok granitu! Ale to jeszcze nic. Najgorsze jest to, że szefowie hotelu Colón oczekują, że w październiku podstawię im dwa luksusowe autobusy, którymi zamierzają przywozić klientów ze stacji Francia. Jeśli nie spodobają im się firaneczki i siedzenia obite aksamitem...

Don Rodolfo w milczeniu słuchał uważnie o zmartwieniach producenta automobili. Ptaszki ćwierkały obojętnie na drzewach. Morskie fale przyływały i odpływały. Na drugim końcu ogrodu Concha czuwała nad pierwszymi chwiejnymi krokami Violety, a dwaj bracia Laxowie oddawali się swojej ulubionej zabawie: strącaniu szyszek kamieniami.

Starszy o cztery lata Amadeo zawsze miał przewagę nad bratem, mimo że nie był zbyt zręczny ani wyjątkowo zwinny. Natomiast Juan był sprytnym, szybkim i rezolutnym uczniem. Łatwo można było się domyślić, że za jakiś czas pokona starszego brata.

Tego popołudnia skupił się na jednym celu, jak zwykle wybranym przez Amadea: na wielkiej wypełnionej nasionami szyszce. Po raz pierwszy trafił w nią Juan. Paraboliczny rzut, suchy odgłos uderzenia i szyszka spada mu pod nogi. Kiedy szalejący z radości zwycięzca podchodzi, żeby ją podnieść, Amadeo się sprzeciwia.

– To ja w nią trafiłem – kłamie, marszcząc czoło.

Zaczynają się mocować. Juan jest silniejszy, niż Amadeo się spodziewał. To kolejny problem, którego nie wziął pod uwagę.

– Co? Ona jest moja! Oddaj mi ją! – krzyczy młodszy brat.

Amadeo nie zamierza się poddać. Odpowiada:

– Ty nigdy nie trafiasz!

– Rzucam celniej od ciebie! Jesteś oszustem!

Conchita bierze na ręce Violetę i wtrąca się w spór w chwili, gdy Amadeo rzuca nagle szyszkę i odchodzi w stronę domu, płacząc. Juan upada na ziemię ze swoim skarbem w rękach.

– Kretyn. To moja szyszka – cedzi przez zęby.

– Nie nazywaj brata kretynem – mówi Conchita, zastanawiając się jednocześnie, czy powinna pójść za Amadeem czy też dać mu czas na ochłonięcie.

Zanim udaje jej się podjąć decyzję, Amadeo wraca z zaczerwienionymi policzkami i oczami, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Trzyma w ręku jakiś przedmiot i patrzy wyzywająco na brata, jak gdyby wszystko inne nagle zniknęło. Idzie długimi krokami jak żołnierz. Jest w nim coś strasznego, czego Concha nie potrafi nazwać.

Podchodzi do nich, zatrzymuje się nagle i pokazuje, co przyniósł: mały rewolwer z kolbą z masy perłowej. Wygląda jak zabawka, ale jest prawdziwy. Należał do matki Rodolfa, która dawniej nosiła go pod fałdami spódnicy, na wypadek gdyby musiała bronić się przed jakimiś napastnikami. Z tego samego powodu pan trzymał go w komodzie przy wejściu do domu, zawsze pod ręką. Amadeo przystawia lufę broni do głowy Juana i krzyczy krewko:

– Oddaj mi szyszkę albo cię zastrzelę!

Conchita tłumy krzyk. Próbuje zabrać mu broń. Chłopiec się wyslizguje.

– Zostaw mnie! – krzyczy w furii.

Kobieta zatrzymuje się nagle. Przytula Violetę. Wyciąga rękę do Juana.

– Daj mi szyszkę – rozkazuje mu.

– Jest moja! – protestuje Juan. – Ja ją strąciłem!

– Natychmiast mi ją oddaj, Juanie. Słuchaj mnie.

Serce wali Conchicie jak szalone. Nie wie, co robić, ale stara się tego nie okazywać. Juan wręcza jej szyszkę, a ona podaje ją Amadeowi na otwartej dłoni.

– Dam ci ją w zamian za pistolet – proponuje mu drżącym głosem.

– Nie. To pistolet ojca.

– Dlatego właśnie będzie bardzo zły, kiedy się dowie, że go zabrałeś.

– Daj mi ją albo strzelam! – powtarza Amadeo, trzymając palec na spuście.

Concha rzuca szyszkę między drzewa, podbiega do Juana, podnosi go z ziemi i przytula do siebie i Violety. Wzrok Amadea napawa ją tak wielkim strachem, że jedyne, co jej przychodzi do głowy, to chronić przed nim najmłodszych.

Wtedy pada strzał, płosząc ptaki. Amadeo rzuca się biegiem w stronę plaży. Młodsze rodzeństwo wybucha płaczem. Niania również. Kiedy troje dorosłych – Maria del Roser, Rodolfo i don Emilio – docierają na miejsce zdarzenia, znajdują trzy osoby zrozpaczone każda na swój sposób, a na ziemi rewolwer Smith & Wesson kaliber 32, wcześniej należący do poprzedniej pani Lax, oraz rozstrzelane resztki szyszki.

Po tym strasznym zdarzeniu, które Concha zrelacjonowała ze szczegółami, don Rodolfo Lax postanowił zająć się wychowaniem najstarszego syna. Na dwa dni zamknął go w jednym z pokoi na poddaszu, gdzie jadł jedynie to, co przyniosły mu pokojówki pod nadzorem ojca. Następnie postanowił zabrać go ze sobą do miasta i na trzy tygodnie posłać do pracy w fabryce drogiego don Emilia, który nie tylko miał odwagę mu pomóc, ale również przedstawić swoje poglądy dotyczące wychowywania krnąbrnych dzieci. Conchita i Maria del Roser przyjęły tę decyzję ze łzami w oczach. Natomiast Amadeo wysłuchał wyroku niewzruszony. Jedyne Concha mogła sobie wyobrazić, ile wysiłku

kosztowało go to dumne opanowanie.

Amadeo wyjechał ze spuszczoną głową, nie patrząc na nikogo, po krótkim pożegnaniu pod bacznym okiem ojca. Nie objął Conchy jak zawsze. Don Rodolfo zabronił mu takich słabości rozpieszczonego dziecka. Spojrzał jej tylko w oczy z poważną miną i powiedział:

– Żegnaj, Conchito. Do zobaczenia w przyszłe wakacje.

„Do zobaczenia w przyszłe wakacje!”, powtórzyła w myślach. Wyszeptała stłumionym głosem:

– Żegnaj, Tito. W nocy dobrze się okrywaj.

Don Emilio de la Cuadra pochodził z miasteczka Sueca w Walencji, ale dużo podróżował. Po jednej z wizyt w Paryżu wrócił z przekonaniem, że elektryczność jest lekarstwem na całe zło tego świata. Elektryczność dla niego była tym, czym dla pani Marii del Roser spirytyzm: jedyną energią zdolną dokonać zmian. Poza tym oboje również pragnęli, żeby nastąpiły one jak najprędzej. I oczywiście by dożyli tego dnia. Chcąc przyczynić się do rozwoju, don Emilio rzucił wszystko, osiadł w przechodzącej wielkie zmiany Barcelonie i na rogu ulic San Juan i Diputaci6n zbudował fabrykę elektrycznych samochodów. Wolałby produkować silniki spalinowe, ale pewien Katalończyk o nazwisku Bonet zajął się tym wcześniej niż on. I od tamtego czasu elektryczność stała się dla biednego Emilia łamigł6wką nie do rozwiązania. Rodolfo był jego pocieszycielem i doradcą.

– Co byś powiedział, gdybym poszukał zagranicznego wsp6lnika? Słyszałem o m6łodym Szwajcarze, który m6głby stać się moim wybawieniem...

Jeszcze w tym samym tygodniu nastąpiła największa zmiana w życiu Amadea Laxa. W fabryce don Emilia czuł się najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Byli tam inni chłopcy w jego wieku, pracujący jako czeladnicy, ale czuł, że nie mają ze sobą nic wsp6lnego. Byli twardzi jak zwierzęta, mieli brudne paznokcie i przyglądali mu się uważnie i podejrzliwie. W fabryce nauczył się jedynie, jak trzymać się od nich z daleka. I być jeszcze bardziej powściągliwym i milczącym.

Po upływie tego nieznośnego okresu wstąpił do szkoły z internatem. Don Rodolfo zostawił go tam w poniedziałek o ósmej rano, żegnając się z nim klepnięciem po plecach i jednym jedynym zdaniem:

– Mam nadzieję, że ojcowie jezuici znajdą sposób, żeby zrobić z ciebie męzczyznę, synu.

– Tak, ojciec – przytaknął.

Stwierdzenie, że szkoła w Sarrià mieściła się w górnej części Barcelony, było w tamtych czasach nieścisłością. W roku 1900, kiedy Amadeo Lax stał się uczniem jezuitów, szkoła była nowym budynkiem położonym z dala od miejskiej cywilizacji: w sąsiednim miasteczku pośród gór, otoczonym lasami, winnicami, sadami i ogrodami. Nazwiska uczniów robiły duże wrażenie, ponieważ najlepsze rodziny posyłały tam swoje latorośle, ale Amadeo nigdy nie rozumiał, dlaczego ludzie to robią. Tylko w niedziele, gdy szkoła otwierała swoje podwoje, uczniowie witali rodziców na dziedzińcu ubrani w mundurki, poza tym chodzili w czymś w rodzaju szaroburych tunik, które zimą nie chroniły ich od uporczywego chłodu wdzierającego się do surowych pomieszczeń. Nie starczało im jedzenia, księży byli posępnymi, a nauka – jedyna rzecz o sprawdzonej jakości – opierała się na starych zasadach upokarzania ucznia i samowoli nauczyciela. Do tego należało dodać narzucaną przez ojców izolację od świata. Od połowy września do świętego Jana – czyli niemal do końca czerwca – uczniowie przebywali wyłącznie w szkole i pod żadnym pozorem nie mogli wrócić do domów, nawet na święta, urodziny czy z powodu choroby. W tym ostatnim wypadku chłopcy leczeni byli w szkolnym ambulatorium. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie dziwił fakt, że niektórzy nazywali szkołę „zamkiem za siedmioma g6rami, za siedmioma lasami”.

Jednak byli uczniowie umiejący się dostosować do trudnych reguł, a nawet tacy, którym one odpowiadały. Amadeo był zbyt wrażliwą duszą, żeby się temu wszystkiemu poddać. W nocy trząsł się

i płakał ukryty pod kocem. Przenikliwy dźwięk dzwonu, jeszcze przed świtem ogłaszającego pobudkę, często wyrывał go ze snu niewyspanego i skostniałego. W kościele podczas jutrzni chłód wydawał się jeszcze bardziej przenikliwy. Na dziedzińcu Amadeo siedział oparty plecami o ścianę, patrząc, jak inni grają w piłkę. W refektarzu jadł ze spuszczoną głową, oglądając odmrożenia na dłoniach – inni mieli je też na stopach i uszach – a następnie wracał do kaplicy, klasy, na dziedziniec, do refektarza, kaplicy... i tak przez dziewięć niekończących się miesięcy. Znosił każdy dzień z bohaterskim stoicyzmem, powstrzymując się od płaczu, nie potrafiąc zwrócić się o pomoc do zakonników, którzy wspierali nauczycieli w pewnych pracach i reprezentowali bardziej ludzką twarz tej instytucji. Ale już wtedy Amadeo nienawidził okazywać słabości. Wolał umrzeć, niż prosić o pomoc. Dlatego też dni miały mu na oczekiwaniu chwili, gdy spełni się zapowiedź ojca i z chłopca w końcu stanie się mężczyzną. Takim, którego nic z tych rzeczy w najmniejszym stopniu nie będzie obchodziło, który nie będzie się bał trudów nadchodzącego dnia i tęsknił do bólu za domem. Mężczyzną, którego nikt nie będzie podejrzewał o słabość.

Mimo wszystko miał dobre oceny. Nie był geniuszem matematycznym ani w gramatyce francuskiej, ale wyróżniał się w łacinie i zjednał sobie nauczycieli artystyczną wrażliwością. Jego ojciec uznał, że się poprawił i że zgodnie z oczekiwaniami jezuici znaleźli sposób, żeby go skierować na właściwą drogę. Nadal był milczącym i raczej posępnym młodzieńcem, lecz nikt nie mógł powiedzieć o nim złego słowa. Do czasu gdy w szkole nie rozpoczął nauki jego młodszy brat, który postanowił zostać jednym z najlepszych uczniów.

Juan Lax Golorons miał nie tylko wszystkie zewnętrzne cechy, których oczekiwano po młodzieńcu jego stanu – urodę, uprzejmość, schludność, śmiałość i inteligencję – ale wykazywał również ogromną chęć do nauki. W niedługim czasie tak doskonale nauczył się łaciny, że mógł dyskutować z pocziwym ojcem Eudaldem po obiedzie, a dzięki zamiłowaniu do klasyków stał się ekspertem od Cycerona i Wergiliusza, zanim sypnął mu się zarost. W szkole odkrył teatr, wyróżniał się w geometrii, występował na kończących rok szkolny akademiach, zebrał pokaźną liczbę nagród, a nawet został wyróżniony przez ojców zaszczytnym obowiązkiem bicia w dzwon w refektarzu. I nie tylko w kwestiach nauki celował we wszystkim, również pod względem towarzyskim całkowicie przyćmił brata, emanując wrodzoną sympatią i radością. Otwierała się przed nim przyszłość, której nie mogli się doczekać tak jego nauczyciele, jak i on.

Amadeo nie mógł zrozumieć, jak Juan to robi. I zżerała go zazdrość.

Zatrzymajmy się na pewnym zimowym popołudniu 1905 roku. W kominku w salonie Laxów tli się żar. Słabe światło elektrycznej lampy, która nie robi już na nikim wrażenia, mruga w kącie. Deszcz bębni w kolorowe szybki poszarzałe przez noc. Pani ubrana na ciemno, z pochyloną głową i złotym różańcem w ręku, siedzi na swoim miejscu przy kominku. Obok niej zaledwie sześciolatnia Violeta porusza ustami w szepcie.

To pora wspólnego odmawiania różańca. Przerywa go nagle dzwonek do drzwi. Pani zaciska usta i robi niezadowoloną minę. Wydaje polecenie tak samo cicho, jak odmawiała przed chwilą modlitwę:

– Idź otworzyć, Conchito, i ktokolwiek to jest, powiedz, że będzie musiał poczekać.

Niańka wychodzi z salonu, pani zaś wraca do modlitwy:

– ...*Sancta Maria mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc, et in hora mortis nostrae.*

Concha idzie przez korytarz, w dół po marmurowych schodach, przechodzi przez sień i uchyla wizjer, aby się upewnić, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Po drugiej stronie stoi Amadeo. Ma czternaście lat. Mężczyzna, którym zaczyna się stawać, pożera rysy jej ukochanego dziecka. Widać to jeszcze wyraźniej tego wieczoru, kiedy pojawia się w podartym granatowym mundurku i z wystającą ze spodni koszulą. Zataczając się, przemoczony deszczem, z raną na policzku i krwią w kąciку ust.

Drży z zimna.

Kiedy Concha otwiera przed nim drzwi, wpada do domu jak huragan.

– Tito! Co ci się stało? – pyta przerażona Concha.

– Nic... – odpowiada, przechodząc przez próg, sztywny, oszczędny w słowach, taki, jaki będzie do końca życia. – Nic się nie stało, Conchito. Podjąłem jedynie pewną decyzję. Czy ojciec jest w domu?

– Wróci dzisiaj późno. Chyba jest na posiedzeniu rady miejskiej.

Amadeo parska, wydaje się zadowolony z tej wiadomości. Źle oceniona odległość lub wrodzona niezdarność powoduje, że potyka się tam gdzie zawsze.

– Niech diabli wezmą tego, kto umieścił tutaj ten kawałek marmuru! – wykrzykuje, idąc dalej.

Nie ma zamiaru z nikim się witać. Maszeruje prosto do swojego pokoju. Za nim podąża zaniepokojona Concha. Kiedy dochodzą do podestu, Amadeo odwraca się, żeby spojrzeć na swojego anioła stróża, i mówi:

– Powiedz mojej matce, że nie zamierzam wracać do szkoły. I proszę cię, Concho, nie nazywaj mnie już więcej tym śmiesznym imieniem.

Od: Valérie Rahal

Data: 22 marca 2010

Do: Violeta Lax

Temat: Ślady pamięci

Kochana Violeto,

nadal się martwię. Twoje tłumaczenie, że szaleństwa, w które jesteś zamieszana, nie są tym, o czym myślę, absolutnie mnie nie przekonują. Wiem, że prędzej czy później popełnisz ten rodzaj szaleństwa, którego się obawiam. Między innymi dlatego pojechałaś do Barcelony, prawda? Żeby uregulować zaległe długi, o których jak piszesz, nie miałam pojęcia. Moim zdaniem ta sprawa z pochowaniem Twojej babci sześćdziesiąt lat po jej śmierci wydaje się największym szaleństwem ze wszystkich.

Z tego co piszesz w mailu, moją największą ciekawość wzbudziło należące do Conchy pełne wycinków pudełko po herbatnikach. Dałabym wszystko, żeby je mieć. To niesamowite tak nagle mieć styczność z inną epoką. Dziecięce rysunki, o których piszesz, mogły zostać narysowane przez każde z dzieci, Violetę, Juana lub Twojego dziadka. Sądzę, że mógł je nawet narysować Twój ojciec. O ile dobrze pamiętam, zdążył poznać niańkę. Chociaż obawiam się, że jeśli nie są podpisane, nie da się tego dowiedzieć. Będzie to kolejny punkt na liście tajemnic. Jeśli przywieziesz tę relikwię do domu (pod warunkiem oczywiście, że sama tu wrócisz), chciałabym rzucić okiem na pocztówki, artykuły z gazet, zdjęcia i pozostałe rzeczy. Szczególnie na artykuł z czasopisma spirytystycznego, w którym wspomniano, że Teresa przed wybuchem wojny domowej wzięła udział w uroczystości na cześć teściowej. Jeśli się nie mylę, ta strona jej życia jest nam nieznana, prawda? Wiedzieliśmy o Marii del Roser, ale nie o niej.

To skłania mnie do myślenia o nieznanym wspomnieniach kryjących się w archiwach gazet na całym świecie. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? Na pewno tak. Przeraża mnie świadomość, że wszystkie te jej „tajemnice” zdarzyły się dwa pokolenia temu, lecz całkowicie poszły w zapomnienie, jeśli w ogóle wiedzieliśmy o nich. Gdyby pewnego dnia wszystkie rodzinne sekrety wyszły na jaw, zmieniłoby to całą historię świata.

Jeśli chodzi o Twoje rozmyślenia nad testamentem Eulalii Montull, mogę Ci powiedzieć, że doskonale Cię rozumiem. Mnie również zaskoczyła ta wiadomość. Ja również zrobiłam obliczenia, zastanawiając się, jak ktoś może zapaść się pod ziemię na dziewięć lat, a następnie wrócić do życia jakby nigdy nic. Jeśli te kobiety powiedziały Ci prawdę – a nie widzę powodu, żeby tak nie było – dziadek przyjechał nad Como latem 1936 roku i wyjechał stamtąd zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej, we wrześniu 1945 roku. Sądzę, że wojna mogła zatrzymać go tam na dłużej, niż chciał. Podobnie jak Arcadio jestem skłonna myśleć, że jego pobyt w Como był bardziej pragmatyczny niż romantyczny. Chociaż w odróżnieniu od Arcadia nie doszukuję się w tym żadnego spisku mającego na celu zniszczenie czyjejś reputacji ani tym podobnych bzdur. Biedny Arcadio zainwestował tyle lat życia w uwielbianie Amadea Laxa, że w końcu stracił całkowicie obiektywizm. Nie rozumie, że w tych okolicznościach dobre imię Twojego dziadka nikogo już nie obchodzi.

Cała reszta zupełnie mnie nie dziwi. Obawiam się, Córeczko, że aby zniknąć, wystarczy tylko tego chcieć. Jednak przyznam, że intryguje mnie, dlaczego ta Eulalia tak skrupulatnie rozwiązała kwestię dziedziczenia, z postawionymi warunkami włącznie. Uważam, że uknuć tego rodzaju strategii przed śmiercią jest godne podziwu. To jakby zostawić potomnym jakąś zagadkę do rozwiązania.

Porozmawiajmy jednak, zgodnie z Twoją prośbą, o Twoim fascynującym ojcu i jego związku z tą częścią rodzinnej historii. Jak możesz sobie wyobrazić, związek ten jest raczej znikomy. Może to zabrzmieć niewiarygodnie, ale nigdy nie opowiedział mi o ponownym spotkaniu z ojcem. Miał wtedy dwanaście lat, więc nie jest możliwe, żeby tego nie pamiętał. Po prostu nie chce o tym rozmawiać. I uważam, że powinniśmy – powinnaś – to uszanować, ponieważ z pewnością ma ku temu swoje powody. Dawno temu zrozumiałam, że on zawsze ma swoje powody, chociaż chowa je pod tym denerwującym płaszczkiem obojętności.

Mężczyźni w Twojej rodzinie zawsze byli przekonani, że muszą dokonać wielkich rzeczy. Sprawy domowe stanowią dla nich zbyt duży ciężar. Mam wrażenie, że pod tym względem Modesto jest podobny do ojca i dziadka. Wszyscy w końcu uciekli, odeszli, żeby wypełnić swoje przeznaczenie, którym było stworzenie imperium budowlanego, malowanie obrazów olejnych czy stanie się niekwestionowanym ekspertem od Brechta swoich czasów. Dlatego też wcale mnie nie dziwi, że Twój dziadek, po wysłaniu syna do Awinionu na wychowanie kuzynce Alexii, wyjechał do Włoch, żeby malować kobiece akty. Miał szczęście, że mógł liczyć na nią i jej męża. Uwielbiali Twojego ojca jak syna, którego się nie doczekali. Również Modesto naprawdę ich kochał i miał ku temu powody. Kiedyś Alexia powiedziała mi, że przez cały czas, gdy Modesto u nich mieszkał, Amadeo Lax co roku przysyłał im znaczącą sumę pieniędzy i że dzięki tym pieniądzą mogli żyć wygodnie i spełniać wszystkie kaprysy chłopca. Jednak Twój dziadek nigdy im nie powiedział, kiedy zamierza wrócić, chociaż wszyscy wiedzieli, że zrobi to prędzej czy później.

I tak też się stało. Na drogę otaczającą dom wjechał samochód, usłyszeli trzaśnięcie drzwi, oddalający się warkot silnika i ujrzeli go idącego ścieżką z płaszczem zarzuconym na ramiona i w kapeluszu na głowie. Było gorąco, lecz wyglądał wytwornie, co zawsze było jego znakiem rozpoznawczym. Powiedział, że przyjechał po Modesta i zabiera go ze sobą do Barcelony. Ale Twój ojciec zaprotestował. Wybuchł gniewem, chociaż jako nastolatek nie powinien był tak się zachować. Amadeo zdołał przemówić mu do rozumu i skłonić do rozmowy w cztery oczy. Dyskutowali długo. Po wyjściu Amadeo oznajmił, że Modesto może zostać u kuzynki Alexii, jeśli ona nie ma nic przeciwko temu. Obiecał opiekunom syna, że nie zabraknie im nigdy pieniędzy i że jeśli będzie to możliwe, wyśle im większą sumę. Nigdy nie złamał danego słowa. Tego dnia został na obiedzie, chociaż odjechał zaraz potem. Nigdy więcej tam nie wrócił, a Twój ojciec zobaczył go jeszcze zaledwie dwa razy, zanim ja pojawiłam się w jego życiu. Trzeba przyznać, że to mało konwencjonalny związek ojca z synem, lecz taki właśnie wybrali. Obaj jak zwykle dostali to, czego chcieli.

O moim nieżyjącym teściu mam bardzo subiektywne wspomnienia. Poznałam Amadea Laxa w Barcelonie, kiedy Twój ojciec zabrał mnie do jego wielkiego domu. Wizyta przebiegała według jakiegoś dziwnego protokołu. Wszyscy troje byliśmy sztywni i skrępowani. Nie mieliśmy wspólnych tematów do rozmowy. Dom był koszmarnym miejscem, zachęcającym jedynie do ucieczki. Przeraziła mnie myśl, że Amadeo mieszkał sam w tej brudnej, zapomnianej przez Boga rezydencji, gdzie wszystko robiło wrażenie opuszczonego, nawet sam Amadeo. Zdziwiłam się bardzo, że ten nieobecny egoistyczny ojciec, o którym słyszałam, był w stosunku do mnie uroczym dżentelmenem, starającym się uprzejmie mnie ugościć i utrzymać pozornie naturalną konwersację. W jego towarzystwie czułam się swobodnie i czas wizyty minął bardzo szybko. Kolejny raz zobaczyłam go w trumnie, gdy od kilku lat byłam już po rozwodzie z jego synem.

Mam nadzieję, że dzięki tym informacjom przestaniesz tak surowo oceniać przodków. Każdy z nas kiedyś w trudnej sytuacji postąpił niewłaściwie. Wszyscy porzuciliśmy kogoś, kiedy

najbardziej nas potrzebował. Nie zadręczaj się już tą sprawą. Ani nie męcz tym Twojego ojca, proszę.

Uściski od Jasona.

Kocham Cię.

Mama

PS Nie zapomniałam, że obiecałaś mi o czymś opowiedzieć.

Portrety stwarzają realne zagrożenie dla widza: pozwalają wyobrazić sobie wszelkiego rodzaju historie. Być może leżąca panna, patrząca na świat niewinnym wzrokiem, była w rzeczywistości chłodną despotyczną matką rodziny zatruwającą życie wszystkim, którzy ją otaczali. Lub że małżonkowie trzymający się serdecznie za ręce, pozujący niewinnie i swobodnie z dziećmi, które rozsiadły się na miękkim trawniku pod drzewem cytrynowym muskanym letnim światłem, byli w prawdziwym życiu parą zupełnie obcych sobie ludzi, nieprzebywających nawet we wspólnym domu wystarczająco długo, żeby skończyć portret, i oczywiście z obojętnością zaniebdywali swoje dzieci wychowujące się wśród służby i kucharek, podczas gdy oni gnuśnieli w basenach dwóch europejskich uzdrowisk w różnych krajach.

Dzieła portrecistów należy oglądać ostrożnie. Trzeba powiedzieć sobie: „Zgadzam się na zaskoczenie, a wraz z nim na oszustwo”. Na obrazach jest tak samo jak w opowieściach: kłamstwo stanowi część reguł gry. Chociaż prawda zawsze gdzieś wychodzi na jaw. A prawda jest jedyną rzeczą, którą warto po sobie pozostawić potomnym. Chociażby spojrzenie, elegancką pozę czy ulotne piękno zbuntowanego kosmyka włosów. A może jakąś szaloną historię, którą przyszłe pokolenia będą opowiadać ze śmiechem lub we łzach.

Tak, sztuka jest oszustwem. Ale kiedy przestaje nim być, ukazuje jedyną prawdę, która się liczy.

Od: Violeta Lax

Data: 23 marca 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Ostatni dzień z Teresą

Cześć, Mamo.

Cały dzisiejszy dzień poświęciłam Teresie. Rano byłam w MNAC-u. Może Ci się to wydać głupie, ale musiałam ją zobaczyć. Mam na myśli jej portrety. Zapomniałam już o gniewie, który mnie dopada za każdym razem, kiedy wchodzę do części poświęconej sztuce nowoczesnej w naszym Museu Nacional. Są tam dzieła Josepa Amata, Antoniego Clavégo, Hermen Anglady Camarasy, Modesta Urgella... obrazy odziedziczone po Museo de Arte Moderno de la Ciudadela, w którym wiele lat temu spędziłam tyle popołudni. A między nimi, bez ładu i składu, wiszą obrazy dziadka. Nie tak daleko od miejsca, które sobie wymarzył, choć nadal nie tam, gdzie powinny wisieć jego prace. Oglądałam jedynie portrety Teresy. Suknie, pozy, zmiany, jakim modelka podlegała przez lata, koty. Czy zauważyłaś, że w pewien sposób śmierć Teresy była podobna do jej portretów? Nie zabrakło żadnego szczegółu.

Uśmiech na jej twarzy wydał mi się dzisiaj bardziej tajemniczy niż zwykle. Jej oczy bardziej żywe. Jej gesty – zapowiedzią nieuchronnego przeznaczenia, które ją czekało. Myślę, że zawsze patrzyłam na nią ze zbyt dużą obojętnością. Widziałam tylko to, co chciałam zobaczyć. Ograniczałam się do warstwy wierzchniej.

Pogrzeb Teresy był dziwny i smutny (bo czy mogło być inaczej?). Uczestniczyliśmy w nim tylko we trójkę: Paredes, Arcadio i ja. Tata zapłacił za niszę i wytłumaczył się swoim zwyczajowym żarciem: „Na cmentarz po moim trupie. Mnie spopielicie, a moje prochy rozrzucicie po widowni teatru Odéon w Paryżu”. Uznał płytę nagrobkową za zbędny wydatek, którego wolał sobie oszczędzić. Tak czy inaczej nie moglibyśmy wyryć na niej nazwiska babci, nie naruszając porozumienia, które podpisaliśmy z rządem autonomicznym. Kupiłam kilka czerwonych róż i położyłam je na anonimowym grobie.

Oddalając się, miałam uczucie, że wzrok Teresy podąża za mną.

Chcę opowiedzieć Ci o rzeczach, które znaleźliśmy w pokoju Violety. Moje mieszkanie przypomina teraz sklep ze starociami! Suknie, chociaż zakurzone i znoszone, są wspaniałe. Nie przypominają ubrań szesnastoletniej panienki. Sądząc po nich, musiała być bardzo drobna. Buty wyglądają jak dla lalki, miała mniejsze stopy niż ja!

Pisałam Ci już, że na komodzie znalazłam powieść. Zatytułowana jest *Spirytystka* i jest jednym z tych pięknych dziewiętnastowiecznych wydań, w których nazwisko autora podawano po hiszpańsku – Teófilo Gautier, jak Guillermo Shakespeare czy Carlos Dickens. Co za okropna ignorancja! Treść poprzedzona została żalosną przedmową, w której tłumacz przestrzega czytelnika, że nie powinien dać się wciągnąć w magmę niemoralnych poglądów pisarza. Współczesny czytelnik mógłby uznać ten utwór za dość pretensjonalną powieść o duchach, w której dystygowany dżentelmen zakochuje się w przezroczywej zjawie błędzącej po salonie jego domu i wpada na jej punkcie w obsesję, aż w końcu nie udaje mu się z nią odejść. Oczywiście najpierw umiera, lecz w tak romantyczny i stylowy sposób, że każdy chciałby wziąć z niego przykład. I stąd te przestrogi autora prologu, który przy okazji stara się uświadomić światu, że ludzie wierzący w duchy są niebezpieczni dla społeczeństwa.

Co ciekawe, książka odzwierciedla szeroko rozpropagowany od połowy XIX wieku w Europie i Stanach Zjednoczonych prąd, który miał również oddźwięk w Hiszpanii: spirytyzm. Nie

wyobrażaj sobie mediów korzystających z plansz *ouija*. Spirytyści tamtych czasów byli wykształconymi ludźmi wyznającymi wiarę, która nie wykluczała katolickiego Boga, lecz raczej go interpretowała na swój sposób, wierząc jednocześnie w wolność ducha, równość wszystkich ludzi i zdolność duszy do wzniesienia się ponad granice cielesne, w tym ponad linię dzielącą życie od śmierci. Spirytyści domagali się wolności wyznania i powszechnego prawa głosu oraz zawsze sprzeciwiali się władzy. Reasumując, była to grupa nowoczesnych ludzi, którzy szokowali współczesnych.

Zbierali się w stowarzyszenia, często tajne, i organizowali wszelkiego rodzaju wydarzenia kulturalne, w których przeplatali występy muzyczne czy poetyckie uzdrawianiem, wywoływaniem duchów i łączeniem się ze światem pozagrobowym. Mieli nadzieję, że pewnego dnia zmienią społeczeństwo siłą swoich koncepcji. Chociaż oczywiście większość ludzi uważała ich za zabobonnych szalbierzy. W końcu zniknęli. A szkoda.

Wiesz przecież, że moja prababka należała do jednego z takich stowarzyszeń. A teraz wiemy, że Teresa poszła za jej przykładem. Co prowadzi mnie do przekonania, że powieść Gautiera być może nie należała do Violety. Chyba że ona również zagłębiała się w ten świat. Poza tym pozostaje jeszcze sprawa ekslibrisu. Jak mogłam od razu na to nie wpaść? Zawarta w nim symbolika jest oczywista. Przynajmniej taka powinna być dla badaczki twórczości Amadea Laxa. Przedstawia książkę, dzban z wodą, wieniec laurowy i wagę (lub innymi słowy: pracowitość, roztropność, mądrość i uczciwość). Te same symbole widnieją na mało znanym portrecie namalowanym przez dziadka, który właśnie teraz publiczność może zobaczyć po raz pierwszy na mojej wystawie portrecistów. Chodzi o obraz przedstawiający Octavia Condego Gómeza del Olmo. Czyli O. C. G. O., litery wykorzystane w rysunku na ekslibrisie. Książka należała do niego.

No. Wczoraj czytałam ją do bardzo późna. Na prawie trzystu stronach znalazłam wiele fragmentów podkreślonych grubo czarnym atramentem. Zauważyłam coś ciekawego: we wszystkich niektóre litery zaznaczone były małą kropką, znakiem ledwie dostrzegalnym dla nieuważnego czytelnika. Zaczęłam je po kolei spisywać, chcąc sprawdzić, czy te zaznaczenia mają jakiś sens. Na koniec czekała mnie duża niespodzianka.

Przepisuję Ci zdania, żebyś mogła sama powtórzyć tę grę. Nie trzeba być geniuszem, aby zrozumieć, że wszystkie fragmenty mówią o złamanym sercu, a niektóre zdają się zawierać bardzo bezpośredni komunikat. Podkreślam litery, które zaznaczono kropką.

„Wszyscy spojrzeli na mnie oprócz jednej osoby, której żrenic całej uwagi pragnąłem. Moja nieszczęsna miłość nie została nagrodzona” (strona 86).

„Zrozumiął, że bez niej będzie nieszczęśliwy przez resztę swoich dni” (strona 92).

„Zapytaj mnie, miłości moja, jak daleko będziesz w stanie pójść ze mną. Jaki sens ma nieszczęśliwe życie?” (strona 151).

„Od tej chwili wszystkie kobiety, które znał, wymazane zostały z jego pamięci” (strona 162).

„Zazzdrość zatapiała swoje cienkie igły w jego serce zdruzgotane” (strona 167).

„Spadające ziarenko piasku nigdy nie wzniesie się ponownie do góry. A życia marnego nie da się przewrócić głową w dół jak piaskową klepsydrę, by mogło ponownie spaść” (strona 230).

A oto wynik uzyskany w tej grze w szyfr: p-ó-j-d-ż-z-a-m-n-ą-w-p-r-z-y-s-z-ł-o-ś-ć. Pójdź za mną w przyszłość.

Co o tym sądzisz? Kto Twoim zdaniem mógł być adresatem czegoś takiego? A autorem? Czy ten rozważny model z obrazu, o którym Ci wspomniałam?

Ale to jeszcze nie wszystko. Niektóre numery stron również oznaczono kropkami.

Jesteś gotowa?

92 - 151 - 162 - 167 - 230

Czyli: 2 - 51 - 2 - 7 - 30. Myślisz, że to nie ma sensu? Może ci się to wydać szaleństwem, lecz moim zdaniem jest w tym logika: 25, 12, 7 i 30.

Co się zdarzyło o godzinie siódmej trzydzieści dwudziestego piątego grudnia? Którego roku? To trudne pytanie.

Pomimo to w pudełku z wycinkami znalazłam prawdopodobną odpowiedź. Wielkie Domy Towarowe El Siglo spłonęły w roku 1932, w dzień Bożego Narodzenia. Pożar wybuchł, zgodnie z relacją gazety, krótko przed dziesiątą rano. Najwyraźniej Octavia Condego tam nie było, ponieważ właśnie tego dnia przekazał wszystkie obowiązki w firmie braciom, zamierzał bowiem wyjechać do Ameryki i rozpocząć własne interesy.

A jeśli Octavio Conde zmuszony został do takiej ucieczki pogardą ze strony kogoś bardzo dla niego ważnego?

Chociaż jest jeszcze coś. To pytanie, które sobie zadaję od dawna. Dlaczego nikt nigdy się nie zastanawiał, gdzie jest Teresa i co się z nią stało? Czy nie dziwi Cię, że nikt jej nie szukał? A może nie mam racji?

Czy mam zbyt wybujałą wyobraźnię?

Czy znajduję, ponieważ szukam, czy może dlatego, że chcę znaleźć?

Kocham Cię,

Vio

Siedemnastego czerwca 1899 roku młody Francisco Canals Ambrós został zaproszony po raz pierwszy na środowe spotkanie w domu pani Lax.

Bywalcy jak zwykle przyszli punktualnie o wpół do czwartej i służba zaprowadziła ich na górę, do biblioteki, gdzie kanapę zastąpiono owalnym stołem nakrytym, jak co tydzień, długim czarnym sukniem. Wokół niego każdy miał wyznaczone miejsce, które niezwłocznie zajmował niczym biznesmen mający do omówienia niecierpiące zwłoki sprawy. W oczekiwaniu na spóźnialskich podano herbatę i ciastka. Służące wiedziały, że kiedy przyjdzie ostatni gość, drzwi zostaną zamknięte i przez kilka godzin nie będzie można ich otwierać za nic w świecie. Jakakolwiek sprawa naruszająca zwykle funkcjonowanie domu pomiędzy trzecią trzydzieści a siódmą będzie musiała zaczekać. Pani była pod tym względem tak stanowcza, że pokojówki nie miały nawet odwagi zbliżyć się do drzwi, żeby podglądać, jak to miały w zwyczaju przy innych okazjach. Po spotkaniu, podczas gdy goście schodzili na dół z zafrasowanymi minami, w bibliotece unosił się ostry zapach spalonego wosku i niejedna filiżanka leżała przewrócona na dywanie.

Dzieje się to więc w bibliotece. Uczestnicy zajęli już swoje miejsca. Gość honorowy siedzi na głównym miejscu przy stole, z rumieńcem na twarzy z wrażenia, że znalazł się po raz pierwszy w tak wspaniałym domu. Jego oczy nerwowo biegają po wypełnionych książkami regałach. Drzwi zostają zamknięte. Maria del Roser nalewa herbatę gościom. Nie musi nikogo pytać o upodobania. Z wyjątkiem chłopaka, najnowszej gwiazdy tego popołudnia.

– Odrobinę herbaty czy może lepiej coś innego, panie Canals? – dopytuje się gospodyni.

Francisco Canals czuje suchość w ustach.

– Czy mógłbym prosić o szklankę wody?

– Oczywiście! – I Maria del Roser łapie dzbanek ze szkła z Murano.

Następnie siada na miejscu, które kiedyś zostało jej przydzielone. Brzęk łyżeczek cichnie w chwili, kiedy don Miguel Vives zabiera głos.

– Dzisiaj jest z nami wspaniała osoba – rozpoczyna, patrząc na młodzieńca z ojcowską dumą – człowiek obdarzony ogromnymi zdolnościami mediumicznymi. Wszyscy obecni już wcześniej mieli okazję go poznać podczas naszych wieczornych spotkań, ale dzisiaj będziemy mogli podziwiać jego umiejętności w naszym ścisłym gronie. Czy zanim zaczniemy, zechce pan powiedzieć nam kilka słów o sobie, panie Canals?

Onieśmiony chłopak rumieni się jeszcze bardziej. Choć stara się patrzeć obecnym w twarz, w końcu skupia wzrok na dzbanku z wodą.

– Jestem bardzo wdzięczny panu Eduardowi Condemu za wszystko, co dla mnie robi – wyjąkał.

– Drobnostka! – wykrzykuje wspomniany. – Każdy by to zrobił!

Francisco Canals unosi brew, jak gdyby wątpił w słowa protektora. Pozostali z ciekawością obserwują tak bardzo ze sobą kontrastujące niezdarność chłopaka i swobodę Condego. W końcu ten ostatni czuje się zmuszony do udzielenia wyjaśnień.

– Pan Canals pracuje od dwóch lat w dziale artykułów związanych z żałobą w moim domu towarowym – tłumaczy, budząc natychmiast zainteresowanie obecnych – i muszę przyznać, że jest osobą bardzo lubianą przez klientów oraz przez samych pracowników, którzy poinformowali mnie o jego talentach. Chociaż ten młody człowiek jest niezwykle skromny i nie lubi się wyróżniać,

nietrudno mi było wywnioskować ze wszystkiego, co się o nim mówiło, że chodzi o osobę o ogromnych możliwościach spirytystycznych. Dlatego wezwałem go do biura i zapytałem wprost, czy rozsiewane przez innych plotki o nim są prawdziwe. I zaskoczyło mnie, z jak wielką szczerością mój młody pracownik mówił o swoim wielkim darze i jak chętnie gotów był dzielić się nim z innymi. Tak postępują jedynie ludzie szlachetni. Resztę już wiecie. Podczas ostatniego wieczornego spotkania poprosiłem, żeby nam opowiedział, czym jest dla niego spirytyzm, i żeby zgodził się uczestniczyć dzisiaj w naszym ostatnim spotkaniu przed letnimi wakacjami, ponieważ jestem przekonany, że jego udział wzbogaci nas wszystkich.

Słowa Condego wywołują wśród obecnych niepokój.

– Jedynie taki wolnomyśliciel jak pan jest w stanie okazać tyle podziwu dla podwładnego – mówi Maria del Roser.

Conde uśmiecha się i odpowiada:

– W mojej firmie wszyscy jesteśmy sobie równi.

– I rzeczywiście pan to okazuje, don Eduardo. Nie przypadkiem domy towarowe, którymi pan kieruje, słyną z dobrych zarobków i opieki zdrowotnej dla pracowników, nie mówiąc już o zapewnieniu im bezpiecznych warunków pracy. Poza tym pracownicy dostają urlopy. W dodatku płatne! Tak może postępować jedynie liberał.

– Dobrze, już dobrze. – Don Eduardo czuje się skrępowany. – Nie zebraliśmy się tutaj, żeby rozmawiać o moich sklepach, ale żeby zobaczyć i posłuchać tego cudownego młodego człowieka, który dzisiaj zademonstruje nam jeden ze swoich największych talentów: psychografię.

Wszystkich opanowuje podniecenie.

– Jest pan zdolny nawet do tego? – dziwi się Maria del Roser.

– I do jeszcze innych rzeczy! – kontynuuje Conde. – Pan Canals żyje w swego rodzaju stałej komunikacji z innym światem. Dla niego rozmawianie ze zmarłymi jest rzeczą normalną. Jest pan gotowy?

– Czy mógłbym prosić o jeszcze trochę wody? – pyta bohater wieczoru.

– Oczywiście! – Gospodyni napełnia jego szklanę. – Proszę pić do woli. Bez skrępowania.

Francisco Canals wypija kilka łyków, odstawia szklanę na stół i zamyka oczy. Otwiera je zaraz i bez wahania zwraca się do obecnych, podobnie jak tego dnia, kiedy wszedł na scenę teatru Calvo-Vico.

– Zmarli są niewidoczni, ale nie nieobecni – mówi.

Wszyscy są pod wrażeniem pewności, z jaką wypowiada te słowa. Nagle wydaje się kimś innym, jak gdyby prawda, którą skrywa w duszy, dodawała mu odwagi.

Conde daje znak Marii del Roser, która wstaje, by zamknąć okiennice w jedynym oknie. Pokój pogrążyłby się w całkowitej ciemności, gdyby nie tańczący tuzin maleńkich płomieni dwunastu lichtarzy zapalanych w czasie każdej sesji. Francisco Canals wyjmuje z kieszeni czarną przepaskę i podaje ją don Eduardowi. Wszyscy widzą, jak trzęsą mu się ręce. Don Eduardo wstaje, zawiązuje opaskę na oczach medium i wraca na swoje miejsce. Maria del Roser przysuwa do rąk gościa pióro, kałamarz i kilka kartek. Wszystko jest już gotowe. Cisza wzmacnia dźwięk przyspieszonych oddechów. Nikt nie ma odwagi poruszyć nawet palcem. Spojrzenia skupiają się na bohaterze wieczoru.

Canals trzyma pióro w drżącej dłoni. Wszyscy zauważają, że jest leworęczny. Zamacza stalówkę w kałamarzu. Na kartce robi się plama podobna do czarnego księżyca. Francisco czeka przez chwilę nieruchomo. Wszyscy patrzą na niego. Nagle ręka zaczyna mu drżeć jeszcze bardziej. Stalówka opada na papier. Kreśli kilka niezgrabnych linii podobnych do gryzmołów dziecka. W gwałtownym skurczu mięśni łąduje pośrodku kartki i przy akompaniamencie głośnego skrobania zaczynają się pojawiać litery.

„Kiedy położę się do grobu, nie powiem, jak wielu innych: mój dzień dobiegł końca”, pisze jednym pociągnięciem pióra, które następnie zastyga, po czym wraca na kartkę i pisze dalej:

„Grób nie jest uliczką bez wyjścia i mój dzień rozpocznie się następnego ranka”.

Kolejna pauza. Po zamoczeniu stalówki w kałamarzu ręka kontynuuje pisanie:

„Nie myślcie o tym, co gnije. Nie tylko żywi rzucają cień. Spójrzcie uważnie w ciemność, a ujrzycie promieniujące światło zmarłych”.

Zatrzymuje ją konwulsyjne drżenie. Medium wzdycha. Czeka jeszcze kilka minut na wznowienie przekazywanej wiadomości, ale nic się nie dzieje. Czuje jedynie ból w lewej ręce. W końcu odkłada pióro i z zaróżowionymi policzkami szepcze cichym głosem:

– Sądzę, że to wszystko.

Pan Conde bierze zapisaną kartkę i czyta na głos całą wiadomość. Na koniec woła z zadowoloną miną:

– Wspaniale, młody człowieku! Prawdziwe oświadczenie woli! Czy wie pan, kto panu to podyktował?

– Wiem tylko, że to wybitna dusza – odpowiada chłopak.

– Nie wątpię. Ale czy zna pan jakiś inny szczegół, który mógłby nas naprowadzić na trop?

– Nie pogodził się ze swoją śmiercią. Jest nieszczęśliwy. Być może zmarł niedawno – orzeka Canals.

– Czy według pana mógłby to być Francuz? Czy mówił do pana po francusku? – zainteresowała się jedna ze starszych dam.

– Duchy nie potrzebują języków – odpowiada Canals z pewnością siebie – ponieważ porozumiewają się w języku uniwersalnym.

– Ach, oczywiście, oczywiście!

– Jestem pod wrażeniem, panie Canals – wyznaje Maria del Roser. – Istotnie posiada pan niesamowity dar.

Chłopak rumieni się, wracając w ten sposób do tego, co zdaje się być jego naturalnym stanem.

– A to jeszcze nic, droga koleżanko. Pan Canals ma jeszcze jeden talent, dzięki któremu go poznałem i który zdolny jest poruszyć naszą świadomość do głębi.

– Naprawdę? Co to za talent?

Milczenie podkreśla napięcie.

– Jest w stanie odgadnąć, ile życia pozostało człowiekowi, patrząc mu jedynie w oczy.

Ta rewelacja wywołuje różne reakcje. Pierwszą są ukradkowe spojrzenia. Niewiele osób ma ochotę na ujawnienie tak osobistej informacji, która przeraża ich samych. Potem rozlegają się okrzyki.

– A czy to działa na wszystkich? – pyta gospodyni.

Młodzieniec odpowiada szeptem:

– Tak, proszę pani. Nawet w moim przypadku.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że zna pan datę swojej śmierci?

– Od bardzo dawna – odpowiada chłopak. Nikt nie ma odwagi zadać pytania, o którym myślą wszyscy. Francisco Canals uprzedza ich: – Zostało mi niewiele czasu.

Następuje powszechne osłupienie.

– Ale przecież jest pan młody! – wykrzykuje ktoś z oburzeniem, jakby karcił chłopaka.

– Śmierć nie jest dalej od pani niż ode mnie – szepcze spokojnie Francisco – ponieważ nie podlega żadnej logice.

– A przyczyna? Również pan ją zna? – wtrąca się męski głos.

– Nie. Tylko datę.

– Gdyby znał pan przyczynę, może udałoby się uniknąć śmierci.

– Nie widzę ku temu powodów.

– Powodów? Czy sama śmireć nie wydaje się panu wystarczającym powodem?

Chłopak pije wodę. Dodaje jedynie:

– Nie boję się śmierci.

– Czy jeszcze pana zobaczymy? – pyta ta sama starsza dama, która odezwała się wcześniej.

– Oczywiście. Będę blisko państwa. Kiedy odejdę z tego świata, będę o wiele bliżej niż teraz.

Eduardo ponownie czyta tekst napisany na kartce i komentuje:

– Być może ta znamienita dusza, która skontaktowała się z panem, chciała przekazać nam wiadomość związaną z pana osobą.

– Może. – Młode medium się zamyśla, przesuwając ręką po czole, żeby otrzeć dokuczliwy pot.

Widząc, że gość honorowy zaczyna okazywać zmęczenie, Maria del Roser postanawia działać. Wstaje, podchodzi do regałów z greckimi klasykami i bierze pudełko leżące do tej pory za trzema tomami *Pełnego zbioru sztuk* Arystofanesa. Z przyjazną powagą podchodzi do chłopaka i wręcza mu je.

– Panie Canals, w imieniu Koła Środowego w dowód naszej wdzięczności proszę przyjąć ten skromny podarunek.

Dwanaścioro gości powraca do swoich filiżanek z herbatą, odprężając się z ulgą, podczas gdy chłopak wyjmuje prezent z opakowania. Jego oczom ukazuje się etui z masy perłowej wyłożone w środku czerwonym aksamitem, na którym leży złota obrączka. Oczy młodego Canalsa błyszczą ze zdziwienia.

– Na jej wewnętrznej stronie wygrawerowane zostało pańskie nazwisko – informuje Maria del Roser.

– To zbyt wiele. Nie powinni państwo... Ja nigdy... – Młodzieniec nie potrafi znaleźć słów, co zadowala obecnych.

Wkłada obrączkę na palec serdeczny.

– Naprawdę nie trzeba było – dodaje.

Wszyscy unikają jego wzroku.

– To nic takiego. Ot, drobnostka, żeby pamiętać pan o nas i zgodził się jeszcze kiedyś z nami spotkać.

Francisco Canals nie odpowiada. Żegna się z obecnymi z niezwykle uprzejmością, wyćwiczoną za ladą działu z artykułami żalobnymi.

Na schodach goście mijają Conchitę, która właśnie idzie do pokoju dziecięcego, niosąc na rękach małą Violetę mającą trochę ponad roczek. Wszyscy zatrzymują się, żeby jej poschlebiać. Rzucają jej serię śmiesznych słów, które dorośli mają zwyczaj wypowiadać przy dzieciach. Na końcu czeka Francisco Canals.

W milczeniu przechodzi obok nich, gdy wszyscy są na dole. Nikt oprócz niańki nie zauważa jego wyrazu twarzy. Spogląda na Violetę i nagle z jego twarzy znika ten tak wyróżniający się spokój. Canals zaciska usta, spuszcza wzrok i pospiesznie zbiega po schodach.

Conchita chciała mu powiedzieć, jak bardzo podobał jej się jego występ w teatrze Calvo-Vico, ale nie zdążyła. Chłopak znika w pośpiechu jak ktoś, kto ujrzał coś, czego nie chciał widzieć.

Od: Violeta Lax

Data: 24 marca 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Skoro to Cię tak bardzo interesuje...

Muszę przyznać, Mamo, że nie znałam Cię od tej strony. Czyli winna Ci jestem opowieść? Schlebia mi, że byłam w stanie Cię zaintrygować. I cieszy mnie, że z pewnością nie zawiodę Twoich wysokich oczekiwań. W przeciwnym wypadku będziesz miała prawo pogniewać się na narratorkę.

Wszystko zaczęło się 19 grudnia 1993 roku w Paryżu, kiedy poznałam kogoś, kto miał stać się najważniejszą osobą w moim życiu. Stało się to przypadkiem, podobnie jak wszystko, co jest ważne. Wtedy zaledwie doszło do wymiany grzeczności, po których okazało się, że mamy takie same zainteresowania związane ze światem sztuki. Mnie pasjonowało malarstwo. Tę osobę – muzyka. Zaczynała stawiać pierwsze kroki w świecie muzycznym. Również komponowała. Chciała założyć zespół i nagrać płytę. Do naszego ponownego spotkania doszło pod koniec tego samego roku podczas mojego pobytu w Barcelonie u koleżanek ze studiów. Nie obeszło się bez łóżka. To był mój pierwszy raz. Potem dwa lata milczenia, podczas których ograniczyłam się do śledzenia sukcesów tej osoby z oddali. Jej nazwisko zaczynało być znane nie tylko we Francji, ale również w Hiszpanii. Nagle jedna z jej piosenek została wybrana do jakiegoś sportowego wydarzenia i stała się bardzo sławna. Grano ją wszędzie. Zaczęły się liczne koncerty i postanowiłam pojechać na jeden z nich do Paryża. Powiedzmy, że byłam tam incognito, lecz w pierwszym rzędzie. Kiedy tylko zabrzmiała ta piosenka, ta osoba wypatrzyła mnie ze sceny. Po występie podszedł do mnie jeden z ochroniarzy i powiedział, że ktoś chciałby się ze mną zobaczyć. Poprosił, żebym z nim poszła za kulisy. Wiesz, tak właśnie jest w świecie rocka. Oczywiście poszłam z nim.

Prawdę powiedziawszy, w tamtym czasie byłam tą osobą urzeczona i tak bardzo mnie pociągała, że aż się bałam. Przy niej czułam, że nie mogłabym się oprzeć niczemu, co by mi zaproponowała. To było fantastyczne, a zarazem krępujące uczucie. Jej pewność siebie, atrakcyjność i ta siła, żeby piąć się w górę, czyniły mnie całkowicie bezwolną. Tak, sądzę, że to najbardziej klasyczna definicja zakochania, wyrzeczenia się siebie, ale ja wtedy nie byłam do tego przyzwyczajona. I wątpię, żebym kiedykolwiek była.

To drugie spotkanie było wspaniałe. Ta osoba powiedziała mi, że nawet przez chwilę nie przestała o mnie myśleć. Ja nie powiedziałam tego samego. Moje uczucia przerażały mnie i wolałam je wyprzeć. Mimo to kiedy zaledwie kilka miesięcy później otrzymałam propozycję, by zamieszkać razem w Barcelonie, nie zastanawiałam się długo. Na początku mieszkania były oddzielne. Później poprosiłam tę osobę, żeby się do mnie wprowadziła. Uznała ten gest za koniec moich wątpliwości i obaw. I sądzę, że do pewnego stopnia tak właśnie było. To był jedyny etap mojego życia, w którym udało mi się całkowicie komuś oddać, bez kompleksów, zastrzeżeń czy półśrodków. Byłam z tą osobą bezwarunkowo. I warto było. Bez wątplenia było to coś najlepszego, co kiedykolwiek dzieliłam z drugim człowiekiem. Wiem, że to brzmi strasznie i że nie sposób nie pomyśleć o Danielu. O tym, co dla mnie znaczył, i o roli, jaką odegrał w moim życiu nasz związek. Ale tak właśnie czuję i w tej sytuacji nieprzyznanie tego byłoby absurdem.

To trwało dwa lata. W tym czasie zaczęłam być rozpoznawana wśród właścicieli galerii oraz w światku akademickim. Wydałam kilka publikacji. Propozycje pracy zaczęły na mnie spadać niczym deszcz. Wtedy nagle postanowiłam skupić się na karierze. Zastoniłam się odwieczną

wymówką i zniszczyłam nasz związek. Poprosiłam tę osobę, żeby nie chodziła ze mną na publiczne uroczystości. Kiedyś zapytała, czy wstydzę się jej towarzystwa. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Uświadomiłam sobie, że zacznam komuś wyrządzać krzywdę nie do naprawienia. I że z jakiegoś powodu, którego nie umiałam sobie wytłumaczyć, to załedwie początek.

Wtedy dostałam propozycję przyłączenia się do ekipy Art Institute i zgodziłam się natychmiast. Wiedziałam, że tej pracy nie da się pogodzić z naszym wspólnym życiem, a mimo to parłam do przodu. Ta osoba próbowała przekonać mnie, ale jej słowa wywołały odwrotny skutek: nagle zapragnęłam zamknąć ten etap życia. W rzeczywistości praca w Chicago była idealnym pretekstem do ucieczki. Nawet się nie pożegnałam. Wykorzystałam wyjazd w trasę koncertową, spakowałam się i zostawiłam na nocnej szafce bardzo pompatyczny list, w którym dziękowałam za wszystko, czego się przy tej osobie nauczyłam, i życzyłam jej dużo szczęścia.

Chociaż odeszłam ze złamanym sercem, nie obejrzałam się za siebie ani razu. Czułam, że ucieczka to jedyny sposób, by ruszyć do przodu. Coś atawistycznego.

W Chicago udało mi się wyleczyć z tęsknoty i stopniowo zapomnieć o dawnym życiu. Obiecałam sobie, że nie wrócę do Barcelony, dopóki nie uwolnię się od tego wspomnienia, i w pewnym sensie stałam się inną osobą. Taką, jaką chciałam, żeby mnie widzieli inni. Zrezygnowałam z istotnej części siebie. A najgorsze jest to, że nawet tego nie zauważyłam. Potem zjawił się Daniel. Idealna wisienka na torcie. I minęło ponad piętnaście lat. Czas mija szybciej niż zapomnienie.

Niedawno dowiedziałam się z gazet, że moja młodzieńcza miłość zachorowała na nieuleczalny nowotwór. Stawiła mu czoło kilka razy, ale teraz jej stan był poważny. Najpierw ogłoszono zawieszenie trasy koncertowej. Następnie do sklepów trafiła nowa płyta, składanka demówek i niewydanych do tej pory piosenek, skomponowanych dawno temu, których jak informowano w prasie, autor nie ujawniał z powodów osobistych. W tym albumie jest piosenka pod tytułem *Żegnaj, Violeto*. Właśnie ona pomogła mi podjąć decyzję. Myślę, że chociaż jest już za późno, tej osobie należy się wytłumaczenie. Lub możliwość, żeby cisnąć mi wyrzuty w twarz. Zawsze powtarzałaś mi, kiedy byłam dzieckiem: „Nigdy nie jest za późno, żeby zrobić to, co należy zrobić”.

Dlatego przyjechałam do Hiszpanii.

Chociaż teraz, kiedy już tu jestem, ponownie walczę ze swoim tchórzostwem. Wiem, w którym leży szpitalu, mam numer telefonu do menadżera tej osoby, ale wciąż wymyślam jakieś powody, żeby odłożyć to na później. Paraliżuje mnie strach.

Teraz już wiesz. Jesteśmy kwita.

Pozdrów Jasona.

Twoja kochająca córka

Violín

XVI

Śmierć Rodolfa Laxa zaskoczyła wszystkich, nawet jego.

Dwudziestego siódmego lipca 1909 roku przemysłowiec wstał przed świtem w równym stopniu przejęty tym, co miało się na pewno stać, i pełen obaw o inne możliwe wydarzenia. Dom był pusty, jak każdego lata. On był jedynym mieszkańcem pokoi wypełnionych widmami mebli nakrytych prześcieradłami, śpiących swoim corocznym snem. Tylko jego gabinet i sypialnia pozostały otwarte. To mu wystarczało w czasie gnuśnych tygodni, gdy panowały najwyższe temperatury i powszechna ospałość, zważywszy, że nie potrzebował żadnych luksusów poza poranną kawą, ciszą do czytania i snucia planów, czemu oddawał się z rozkoszą, aby wypełnić samotne godziny reszty dnia. Zazwyczaj wychodził z domu około dziesiątej po przeczytaniu gazet. Odwiedzał którąś z fabryk, załatwiał ważne sprawy, podejmował trzy czy cztery decyzje, z których później czuł się dumny, i wracał do domu dopiero po kolacji w hotelu Colón, gdzie spotkania w gronie przyjaciół przedłużały się do późnych godzin nocnych, ku uciechu takich jak on szczęśliwych mężczyzn uwolnionych od swoich rodzin.

– To jedyna pora roku, kiedy rozmawiamy o paniach, nie musząc jednocześnie znosić własnych żon – zwykł żartować Lax.

Tego wtorkowego poranka miasto pogrążone było w pozornej ciszy przepelnionej poczuciem winy. Dzień wcześniej doszło do niepokojących zamieszek ulicznych, przy czym nikt nie wiedział, co ma o nich myśleć. Grupa kobiet manifestowała przeciwko decyzji rządu o wysłaniu ich mężów na wojnę w Maroku. „To wojna bogatych, w której umierają tylko biedni”, mówiły i Lax przyznawał im rację. On również uważał, że rządowe plany są niedorzeczne i niesprawiedliwe, ale z lenistwa nie chciało mu się do tego mieszać. Do takich idealistycznych walk pasowała jego żona, która we wspaniałej piersi skrywała buntowniczą duszę. Następnie doszło do strajku niezadowolonych robotników. Nagle ulice zastawiły barykady, sklepy pozamykano, rebelianci stanęli gotowi do walki, a wraz z nimi część wojska. Kiedy zaczęły płonąć kościoły, klasztory i szkoły prowadzone przez zakonników, Rodolfo wystraszył się, że wszystko runie. To poruszenie zdawało się bardziej pasować do powieści z minionego wieku niż do współczesności rozsądnych i nowoczesnych ludzi. Wprawdzie rozsądek nie był raczej mocną stroną buntowników, którzy nazywali siebie pacyfistami, lecz uspokoić ich było w stanie jedynie wojsko. Zaledwie kilka godzin później Rodolfo zrozumiał ich pobudki, ale w żadnym wypadku nie postępowanie. Był przekonany, że sprawy lepiej rozwiązywać przy stole niż na linii ognia. Wszystko można negocjować. Sam był tego przykładem, kiedy uniknął strajku generalnego w swojej firmie, ustalając z robotnikami nowe warunki pracy. Oczywiście rząd Maury był o wiele szybszy w wysłaniu na ulice artylerii niż w znajdowaniu argumentów. A w kwestii rezerwistów istniało zbyt wiele ukrytych interesów, żeby podejmować na ten temat jakąkolwiek dyskusję.

W firmie Laxa, podobnie jak w pozostałych barcelońskich fabrykach, nikt nie pracował poprzedniego dnia. Pikiety Solidarności Robotniczej nie musiały zbytnio się starać, żeby zachęcić do strajku. Oburzenie było powszechne, a w niektórych przypadkach obejmowało nawet pracodawców.

Po południu Laxa odwiedził Trescents, który chciał się dowiedzieć, jakich środków należy użyć przeciwko strajkującym.

– Żadnych. Mają już dość własnych kłopotów.

– Żadnych? Proszę, żeby pan to przemyślał. Jeśli nie pokaże im pan, kto jest szefem, w końcu wyrzucą pana z własnej firmy.

– Już za bardzo pokazywałem im, kto tu rządzi, Trescents. Niech się pan zastanowi. Należę do tych, którzy mogą zapłacić za zwolnienie moich dzieci od pójścia na wojnę. Natomiast oni nie mogą nic zrobić. A większość ma żony i dzieci. Niech się pan nie gorączkuje. Proszę postawić się na ich miejscu. I proszę mi pozwolić porozmawiać z nimi – uciał temat Lax, szczerze przekonany, że pomiędzy nim i jego robotnikami istnieje wzajemny szacunek.

– Niech pana nie zwiódą pozory, don Rodolfo. Ma pan wielu robotników. Nie wszyscy pana znają, nie wszyscy są uczciwi. Niektórzy traktują niezwykle poważnie tę nową modę na walkę robotniczą. Wspominają nawet o związkach zawodowych! Ale który związek wywalczy im lepsze warunki pracy, niż pan im zapewnił?

– Daj im pan spokój, Trescents – nie ustąpił Rodolfo, może dlatego, że naprawdę popierał syndykalizm, a może dlatego, że w głębi duszy uważał, iż lewica nigdy niczego nie osiągnie. – Niech sobie organizują swoje spotkania, kogo to obchodzi? Nie postąpiłby pan podobnie?

Kauzyperda Tomás Trescents należał do staroświecko wychowanej młodzieży, której życie rządziło się prawem kanonicznym i chrześcijańską liturgią. Cierpła mu skóra na samą myśl o porównywaniu się do podobnych pospolitych hord. Lax nie przejmował się tym. W rzeczywistości nie brał tych spraw poważnie, dopóki jego przyjaciel De la Cuadra nie pojawił się przerażony na spotkaniu dżentelmenów w hotelu Colón, opowiadając, jak to w złym momencie postanowił przejść się po mieście, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają. Wśród wielu strasznych rzeczy widział zawieszony nad głównym wejściem jednej z fabryk Laxa transparent, na którym widniał napis: „Po tej rodzinie nie zostanie nawet jedna kropla krwi”.

Z powodu tego hasła Rodolfo źle spał w nocy. W jasnym świetle lampy naftowej na długo przed świtem próbował przewidzieć, jaki obrót przybiorą sprawy. Z różnych miejsc w mieście od czasu do czasu słychać było odgłosy strzałów. Wstał zaniepokojony bardzo wcześnie, powoli się ubrał i zaczął jak co dzień, aż przyniosą mu dwie prenumerowane przez niego gazety. W tym czasie i z braku czegoś innego przejrzał poniedziałkową „La Vanguardię”. Na kartce zapisał: „Przestudiować nowy wynalazek Edisona: domy z cementu”. Obejrzał rysunki gramofonów, o których tak wiele mówiła Rorró, wziął wizytówkę i napisał: „Uprzejmie proszę o jak najszybsze dostarczenie mi najlepszej jakości gramofonu marki Víctor wraz z pudełkiem igieł i kilkoma płytami (wybór pozostawiam Państwu). Zapłacę za wszystko gotówką. Załączam karteczkę, która powinna znaleźć się w przesyłce. Adres na odwrocie. Uprzejmie dziękuję, Rodolfo Lax”. Napisał na kopercie nazwę i adres sklepu: „Casa Corrons, Rambla de los Estudios 11” i zostawił do wysłania.

Z niecierpliwością czekał jeszcze przez chwilę na wiadomości z tego dnia. Ale zamiast gazet Felipe przyniósł list i filiżankę kawy.

– Jakiś chłopak czarniejszy od węgla właśnie to dla pana zostawił – powiedział, kładąc list na biurku. Rodolfo przeczytał bilecik i ze wzburzeniem zmarszczył czoło, pokręcił głową, wypił kawę duszkiem i wymruczał:

– Zaczynamy gonić w piętę.

Pospiesznie zbiegł po schodach, dogonił Felipego na dziedzińcu i poprosił, żeby natychmiast przyprowadził dla niego samochód.

– Proszę dopilnować, żeby to zostało dostarczone – polecił, wręczając mu kopertę z zamówieniem na gramofon.

Rodolfo Lax ponarzekął na skwar męczący miasto już o tak wczesnej porze, z przygnębieniem wsiadł do samochodu i odjechał w momencie, kiedy dzwony bojaźliwie ogłaszały godzinę dziesiątą.

Wtedy po raz ostatni widziano go opuszczającego dom.

Pięć tygodni później, kiedy Maria del Roser zastanawiała się, jak ma żyć dalej bez mężczyzny, który

uszcześliwiał ją przez wszystkie dni ich wspólnego życia, zjawił się kierownik Casa Corrons, przynosząc dużych rozmiarów paczkę.

– To dla pani domu od jej męża.

Słyszając to, Vicenta o mało nie zemdliała ze strachu. Przez chwilę myślała, że tak zawsze skrupulatny pan nadal zajmuje się wszystkim z zaświatów.

Po otwarciu paczki ujrzeli najnowszy model gramofonu Víctor, dopiero co przysłany ze Stanów Zjednoczonych, z załączonym bilecikiem: „Dla Rorró od kochającego Rodolfa”.

Obowiązkowy Felipe nigdy się nie przyznał, jak wiele kosztowało go dotarcie na Ramblę de los Estudios tamtego burzliwego ranka. Ale było warto. Niespokojna wycieczka przyczyniła się do tego, że pan mógł spełnić ostatni kaprys swojej Rorró, Rorrity, Rorrory czy jak tam nazywał kobietę, która już dla wszystkich i na zawsze pozostanie wdową Marią del Roser Lax.

Amadeo Lax Golorons przyjechał drugiego sierpnia późnym rankiem. Z Rzymu podróżował samotnie dylizanssem, zatrzymując się jedynie na zmianę koni. Po przybyciu do Barcelony natknął się na dziwne miasto, które ponosiło konsekwencje za swój zbytek. Wojskowi patrolowali ulice, a powietrze niesło gorzki smród spalenizny. Ludzie starali się udawać, że wszystko jest takie jak przedtem. Barcelończycy od dawien dawna przywykli do silnych emocji.

Kiedy w końcu Amadeo dotarł do domu, tylko brudne ubranie i blade policzki ujawniały jego przeżycia z ostatnich godzin. Ledwie wysiadł na dziedzińcu dla powozów, zapytał o matkę. Powiedziano mu, że jest w bibliotece, pomyślał więc, że odpoczywa. Spytał, czy Violeta i pozostali członkowie rodziny są w domu.

– Są nadal w Caldes – poinformował go Felipe. – Pańska matka absolutnie się nie zgodziła, żeby odbyli tak niebezpieczną podróż. I moim skromnym zdaniem ma rację. Przeżyliśmy tutaj horror.

– A pogrzeb?

Felipe spuścił wzrok.

– Nie było o nim mowy, proszę pana.

– Gdzie odbywa się czuwanie przy zwłokach ojca?

– Nigdzie, proszę pana.

– Ale wiesz przynajmniej, gdzie on jest?

– Nie, proszę pana.

Amadeo przetarł podkrążone oczy.

– Co się stało, Felipe? Czy ktoś może mi powiedzieć?

Szofer w milczeniu skinął głową i poprosił o pozwolenie, żeby usiąść. Grobowym głosem opowiedział, co się stało.

– We wtorek zawiozłem pańskiego ojca do klasztoru Sióstr Hieronimitek na calle San Antonio. Miasto opanowali szaleńcy i ciężko było tam dotrzeć. Kiedy w końcu dotarliśmy do bramy, wydawało się, że panuje spokój. Nawet powiedziałbym, że zbyt duży spokój. Pan Rodolfo kazał mi wracać do domu, ale nie chciałem zostawiać go tam samego i postanowiłem poczekać, aż wejdzie do środka. Gdy zobaczyłem, jak przechodzi przez bramę klasztoru, ruszyłem w stronę Rambli de los Estudios. Nie wyobraża pan sobie, jaki zamęt panował na ulicach. Nie mam pojęcia, jak udało mi się dotrzeć tam i z powrotem bez większych szkód. Dlatego niedługo później znów znalazłem się przed bramą klasztoru. Natychmiast dopadli mnie ci szaleńcy. Zapytali, czy jestem kierowcą Rodolfa Laxa i czy chciałbym do nich dołączyć. Kiedy odmówiłem, nazwali mnie zdrajcą i pobili. Mieli ze sobą pochodnie i bagnety; przez chwilę sądziłem, że mnie zabiją. Zabrali mi samochód. A mnie wyrzucili podczas jazdy na skrzyżowaniu Gran Vía z Balmes. Udało mi się wrócić do hieronimitek piechotą, bo tramwaje nie

jeździły, lecz klasztor już płonął. Na ulicach nie było widać żywego ducha, ale z każdego okna patrzyły czyjeś oczy.

– Czy mój ojciec powiedział ci, w jakim celu w tak nieodpowiednim dniu odwiedzał zakonnice? – zapytał Amadeo.

– Nie, proszę pana. Nigdy nie mówił mi o swoich zamiarach.

– A domyślasz się czegoś?

– Rano dostarczono bilecik. Po przeczytaniu go pański ojciec postanowił wyjść. Wyglądał na rozgniewanego. Z tego co wiem, robił z zakonnicami jakieś interesy.

– Widziałeś, kto przyniósł bilecik?

– Tak, proszę pana. Zwykły chłopiec na posyłki, jakiś obcy. Pewnie przyniósł wiadomość w zamian za drobną opłatę.

– Czy jest możliwe, że zakonnice wyczuły niebezpieczeństwo i poprosiły go o pomoc?

– Tak właśnie pomyślałem, proszę pana. Tak robiły inne siostry, a niektóre nawet broniły się same, strzelając z broni.

Amadeo fuknął. To była ostatnia rzecz, na którą miał ochotę: nie dość, że musiał wrócić wcześniej, niż planował, to jeszcze przychodziło mu zmierzyć się ze śmiercią pełną znaków zapytania i dziedzictwem oznaczającym mnóstwo obowiązków.

– Jest jeszcze coś, proszę pana... – wymamrotał Felipe.

Amadeo spojrzał na niego pytająco.

– Matka przełożona hieronimitek, niejaka siostra Maravillas, dwa dni temu przyniosła osobiście list do pana. Była ubrana po świecku i wyglądała na przestraszoną.

Amadeo przyjrzał się eleganckiemu pismu, którym ktoś wykaligrafował na kopercie: „Dla pana Laxa syna”.

– Dobrze, Felipe. Jutro pojedziesz do Caldes po moje rodzeństwo. Każ służbie zamknąć letni dom i natychmiast niech wszyscy wracają. Będzie dużo pracy. Teraz możesz odejść.

Szofer ruszył w stronę kuchni, lecz Amadeo go zatrzymał.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Rozumiem, że Conchita jest w domu.

– Tak, proszę pana. Przyjechała kilka dni temu razem z pańską matką.

– Poproś, żeby przyszła do gabinetu.

Felipe zareagował z niepokojem, niezdolny zaakceptować nowego porządku rzeczy.

– Do gabinetu pana Laxa?

– Oczywiście, Felipe. Teraz ja jestem panem Laxem.

Zmęczonym krokiem Amadeo wszedł po schodach. Z korytarza zajrzał do salonu jedynie po to, aby się upewnić, że nic się tam nie zmieniło. Wsłuchując się w szmer swoich kroków, z przyjemnością ruszył dalej, w stronę pokoi od strony ulicy. Chwycił za klamkę. Przez chwilę wydawało mu się, że ujrzy don Rodolfa w jego ulubionym fotelu, łamiącego sobie głowę nad zastosowaniem jakiegoś nowego wynalazku lub krytykującego postępowanie któregoś z polityków. Jednak tak się nie stało. Kiedy zajął jego krzesło, miał chwilę zwątpienia, słabości niezwyklej u tak dumnego człowieka, którym się stał. List od zakonnicy przywrócił mu siły. Rozciął kopertę srebrnym nożem do listów i spojrzał na piękny charakter pisma. List opatrzony był datą pierwszego sierpnia. Powyżej dwie tworzące krzyż linie błogosławiły swoją obecnością wiadomość. „Szanowny Panie Lax”, brzmiał sztywny nagłówek. Dziedzic nie spodziewał się niczego szczególnego po tak mało obiecującym początku, mimo wszystko czytał dalej: „Proszę pozwolić mi wyrazić kondolencje z powodu śmierci Pańskiego Ojca, któremu tak wiele zawdzięczamy – zarówno ja, jak i moja wspólnota. Niemniej nie to jest celem tego listu, lecz potrzeba wyjaśnienia Panu, że Don Rodolfo umarł w moich ramionach i że była to śmierć bohatera

oraz pozbawiona cierpienia, a nastąpiła po tym, jak rzucił się bronić naszego klasztoru przed upokorzeniem ze strony barbarzyńców”.

Amadeo zdjął buty. Lekko się pochylił. Czytał dalej. „Wiem, że Don Rodolfo, jak wyszeptał mi tuż przed śmiercią, przyjechał do naszego klasztoru przekonany, że wezwaliśmy go na pomoc. Uznałam za słuszne poinformować Pana, że tak nie było. Żadna z nas nigdy nie napisała wiadomości, na którą zareagował tak szybko, ponieważ nigdy nie ośmieliłybyśmy się wystawić na niebezpieczeństwo życia kogoś tak dla nas drogiego. Moim zdaniem Pański Ojciec padł ofiarą podstępny, chociaż ani On, ani my nie wiedzieliśmy, kto był jego autorem.

A wydarzyło się, co następuje: przed świtem grupa mężczyzn z pochodniami, pijanych i uzbrojonych w bagnety, pojawiła się przed naszą bramą. Krzyczeli jak szaleni: «Wynocha, siostry! Przyszliśmy podłożyć ogień!». Nie miałyśmy nawet czasu, żeby uratować kielichy z kościoła. Wdarli się do środka, niszcząc wszystko, i wyciągnęli nas siłą. Na szczęście kilku odważnych ludzi z okolicy dało nam schronienie. Z okien ich domów widziałyśmy, jak wynosili z kościoła rzeźby i rozłupywali je młotkami oraz niszczyli wszystkie wartościowe przedmioty. Zbaczęścili cały klasztor, nawet kryptę, z której wyciągnęli ciała naszych zmarłych sióstr i tańczyli z nimi pośrodku placu w rytm szatańskiej wrzawy. Następnie wystawili je na rogach ulicy, pozbawiając tym samym resztek godności. To były dantejskie sceny, po nich niektóre z nas dotąd nie są w stanie dojść do siebie.

Jednak kiedy przyjechał Pański Ojciec, wszystko to dobiegło już końca. Antyklerykałowie prawdopodobnie zmęczeni się niszczeniem wszystkiego i zaczynałyśmy dziękować Bogu, że nasz klasztor uniknął pożaru, który niszczył inne. Wtedy zobaczyłyśmy nadjeżdżającego Don Rodolfa. Kierowca zostawił go pod główną bramą. Wszedł bez stukania, zapewne zdziwiony na widok szeroko otwartej furty. Za nim ujrzałyśmy grupę rebeliantów. Właśnie wtedy domyśliłam się, że wpadł w zasadzkę, i postanowiłam iść mu z pomocą. Pożyczono mi broń i proszę wierzyć, że to mnie uratowało, mimo że nigdy nie widziałam broni z bliska. Dzięki temu, że przez cały czas trzymałam strzelbę w ręku i raz odważyłam się z niej wystrzelić, była dla mnie swego rodzaju tarczą. Weszłam z nią do klasztoru i prosto na dziedziniec, na którym ujrzałam Pańskiego Ojca próbującego wyrwać jednemu z napastników dopiero co wyjęte z grobu szczątki zakonnicy zmarłej w XVI wieku. Don Rodolfo próbował przemówić mu do rozumu, ale tamten go nie słuchał. Pojawili się jego koledzy. Zagrozili Pańskiemu Ojcu bagnetem. Odmówił oddania szczątków. Ja wystrzeliłam, raniąc jednego z nich w stopę. Nastąpił ogromny zamęt, bieżanina i bluźniercze okrzyki. Zanim się obejrzałam, było już za późno: Pański Ojciec został śmiertelnie ranny, a jego zabójcy rzucili się do podpalania wszystkiego. Udało mi się wyciągnąć Don Rodolfa na ulicę, gdy płomienie już zaczynały trawić nasz dom. Na zewnątrz zrobiłam jedyne, co mogłam: próbowałam ulżyć mu w ostatnich chwilach, i wydaje mi się, że zdołałam tego dokonać”.

Będąc pod wrażeniem bohaterstwa zakonnicy, Amadeo odwrócił kartkę na drugą stronę i dokończył czytać jej relację:

„To, co zrobiłyśmy później, było jedynie aktem miłosierdzia. Nie mogłyśmy pozwolić, żeby zwłoki Pańskiego Ojca zabrała policja, jakby był pospolitym przestępcą, ani żeby upał panujący w tych dniach rozłożył jego ciało na oczach wszystkich. Poprosiłam o pomoc kuzynkę, przełożoną klasztoru Montesión, która wielce przejęta otrzymaną wiadomością, zgodziła się natychmiast na pogrzebanie Don Rodolfa na dziedzińcu swojego klasztoru. Odprawiłyśmy prostą ceremonię, której przewodniczył ksiądz z kościoła Santa Madrona, kolejny duchowny, który w ostatnich dniach zmuszony był do ucieczki i zaszycia się w ukryciu. Tak więc od 30 lipca ciało Pańskiego Ojca spoczywa w pokoju w poświęconej ziemi. W miejscu, które Państwo, członkowie jego rodziny, możecie odwiedzać, ilekroć zechcecie, nie zważając na klauzurę. Klasztor Montesión miał więcej szczęścia niż nasz i prawie

w ogóle nie ucierpiał z powodu zamieszek. W odróżnieniu od naszych budynków, które zostały całkowicie zniszczone. Teraz jedynie ma sens ich rozbiórka.

Spełniając swój obowiązek poinformowania Pana o tych smutnych wydarzeniach, mogę jedynie ponownie zapewnić o moim jak najszczerzym żalu. Pański Ojciec stanowił dla nas wzór do naśladowania, był naszym doradcą i przyjacielem. Postaramy odwdzińczyć się Panu i Pańskiej rodzinie za jego wielką hojność, jeśli kiedykolwiek będą Państwo w potrzebie. Niech Bóg nas chroni i wskazuje nam drogę. Pańska oddana przyjaciółka, matka Maravillas”.

Czytanie tak zaabsorbowało Amadea, że nie zauważył nawet, kiedy przyszła Conchita. Nagle uniósł wzrok i ujrzał swoją dawną niańkę stojącą w progu gabinetu, z wilgotnymi oczami i rękami na policzkach.

– Najświętsza Panienko, jak ty się zmieniłeś! – wykrzyknęła.

– Wejdz, proszę, i zamknij drzwi – poprosił, składając ostrożnie list od zakonnicy i wsuwając go z powrotem do koperty.

Niańka była pod wielkim wrażeniem stanowczości i naturalności, z jaką Amadeo przejął stery w domu. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, tyle samo, ile miała ona, rozpoczynając pracę, ale jego twarz zdradzała pewność siebie, a szorstka surowość całkowicie zatarła manieri nieśmiałego nastolatka, którym niedawno jeszcze był. Z dystansem większym niż wyznaczała szerokość biurka, Amadeo zapytał:

– Jak się czujesz, Conchito?

Kobieta wybuchła płaczem. Zbyt długo powstrzymywała ucisk w gardle.

– To straszne – wyszeptała, biorąc go za rękę.

Amadeo nie uchylił się od dotyku ani nie odwzajemnił pieśczości. Nie poruszył ręką.

– Opowiadaj – nakazał.

– Po raz ostatni widzieliśmy twojego ojca w niedzielę. Jak co tydzień przed zmrokiem wrócił do Barcelony, żeby zająć się swoimi sprawami. Do środy nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje w mieście. Twoja matka miała przeczucie, coś w rodzaju ostrzeżenia. Cóż, ona mówi, że to było ostrzeżenie od kogoś, kto nad nią czuwa. Zatelegrafowała do twojego ojca. Ze dwadzieścia razy przeklęła jego decyzję, by nie zakładać telefonu w domu w Caldes. Przez cały czwartek wypytywała o niego wszystkich, którzy przyjechali z miasta. Wieczorem postanowiła, że następnego dnia o świcie pojedzie do domu. Przygotowała wszystko, żeby dylizansem dostać się do Mataró, a następnie wsiąść tam do pociągu. Ale nie było takiej potrzeby: wczesnym rankiem przyjechał Felipe z wiadomością. Przez całą drogę twoja matka żywiła nadzieję, że pan Rodolfo żyje. Najpierw udała się do klasztoru Hieronimitek, ale zastała tylko zgłiszczą po wielkim pożarze. Po przyjeździe do domu zamknęła się w bibliotece i nie chce nikogo widzieć. Prawie cały czas słyhać jej płacz. Nie wiedzieliśmy, co się stało, dlaczego nie szuka go po szpitalach, dlaczego o niego nie rozpytuje.

– Czy ktoś powiadomił ojca Eudalda?

– Przyszedł dzisiaj rano, rozmawiał z nią, ale wyszedł bardzo zde gustowany, mówiąc, że nic nie poradzi wobec tak jawnych herezji.

– Herezji? Podejrzewam, że wiesz, co miał na myśli.

– Twoja matka jest przekonana, że jakaś dusza czuwa nad nią w zaświatach. I to nie byle jaka, tylko kogoś, kto przed śmiercią obiecał jej, że się z nią skontaktuje.

– Rozumiem – odpowiedział Amadeo równie niezadowolony jak ojciec Eudaldo. – A czy można wiedzieć, kim jest ten anioł stróż?

– Nazywał się Francisco Canals Ambrós. Zmarł jakiś czas temu, chyba z dziesięć lat minęło. Jednak ostatnio ma powody, żeby być twojej matce wdzięczny.

Amadeo rzucił pytające spojrzenie.

– Właśnie dzięki niej przeniesione zostały jego zwłoki. Z bardzo niewygodnego grobu na szóstym poziomie na poziom parteru. Tak jest o wiele lepiej.

– Czy teraz zmarli przejmują się położeniem swoich grobów?

– W tym przypadku nie chodzi o wygodę zmarłego, ale jego wyznawców. Chłopak za życia miał wyjątkowe talenty, a po śmierci czyni cuda. Mówi się, że spełnia wszystko, o co się go poprosi.

– Jakiego rodzaju cuda?

– Wszelkiego. Ma wielu wiernych. Jego grób zawsze jest obłożony ofiarami i prezentami. Powinieneś to zobaczyć. Ale dopóki twoja matka i don Octavio nie załatwili przeniesienia go niżej, biedni pielgrzymi nie mogli odpowiednio go adorować.

– A skąd ty o tym wszystkim wiesz, jeśli można spytać?

– Ponieważ go znałam! To był bardzo dziwny młodzieniec. Zmarł nagle, nikt nie wie na co. Nieborak był tak skromny, że wstydził się mówić. Widziałam też, jak przenoszono jego szczątki. Biedaczek, jakże mi było żal, że tak niewiele z niego zostało.

– Starczy już, Conchito! To jakiś absurd! – wykrzyknął Amadeo, tracąc cierpliwość. – Chcę tylko, żebyś mi powiedziała, jak się czuje moja matka.

Concha zamilkła. Spojrzała na leżącą na biurku stertę listów.

– Odmawia jedzenia. Chce tylko siedzieć zamknięta w bibliotece przy świetle świec. Mówi, że musi się pożegnać.

Ostatnie zdanie wypowiedziała, szlochając. Amadeo próbował znaleźć pozytywną stronę sytuacji.

– Nie martw się, Conchito. Wszystko się jakoś ułoży. Postaramy się wyciągnąć mamę z biblioteki i zorganizujemy pogrzeb ojca.

– Tak, tylko że nie wiemy, gdzie został pochowany.

– Ja się tym zajmę, nie martw się.

Niańka westchnęła z ulgą. Można było powiedzieć, że część rumieńców nagle wróciła jej na policzki. Wyraz twarzy Conchity zdawał się mówić, że wrócił mężczyzna tego domu i już nie trzeba się obawiać żadnego niebezpieczeństwa. Statek odzyskiwał kapitana.

– Postaraj się kupić coś pysznego na dzisiejszą kolację. Dobre jedzenie dla dwóch osób. Niech pojedzie z tobą Felipe. Ulice nadal nie są bezpieczne dla samotnej kobiety.

Conchita wytarła łzy grzbietem dłoni.

– Dobrze, proszę pana – powiedziała z nutką dumy w głosie. – Dzięki Bogu, że tu jesteś.

Amadeo pomyślał dokładnie o tym samym. Zanim niańka wyszła, dodał:

– Zauważyłem, że meble w pokojach nadal są okryte pokrowcami.

– To prawda. Nie mieliśmy czasu, żeby je zdjąć.

– Zrób to jak najszybciej. To przygnębiające. Jakbyśmy wszyscy umarli.

Pewną ręką Amadeo odnalazł w pierwszej szufladzie pióro ojca. Wyjął kartkę firmowego papieru i zaczął pisać. Ze zdjęcia stojącego na gzymsie ojciec po raz pierwszy zdawał się aprobować działania syna.

Punktualnie o wpół do dziewiątej dziedzic zapukał do drzwi biblioteki. Tak jak się spodziewał, nie otrzymał odpowiedzi. Próbował je otworzyć, ale od wewnątrz były zamknięte na klucz.

– Matko, za pięć minut podadzą kolację. Proszę, żebyś zjadła ze mną.

Wbrew przewidywaniom Conchity doña Maria del Roser zeszła do jadalni. Ujrzała stół z lnianym obrusem nakryty z prostotą odpowiednią dla tak smutnej chwili. Mimo wszystko sztuczce zostały wypolerowane, a na naczyniach nie było nawet pyłku kurzu. Rostbef i dodatki do niego były jedynym zbytkiem.

Na tę okazję Amadeo Lax przygotował taktowną i konieczną perorę, którą zamierzał przemówić matce do rozsądku, zaprowadzić w domu odrobinę porządku i poinformować ją o kilku szczegółach, których nie zamierzał tolerować. Zaczął od najprostszej sprawy.

– Kazalem przywieźć Juana i Violetę. Nie ma sensu, żeby pozostawali w Caldes podczas rodzinnej żałoby. A jeśli chodzi o nas, to jest kilka rzeczy, którymi musimy niezwłocznie się zająć, matko. Ojciec zasługuje na pożegnanie jak Bóg przykazał, stosownie do naszej pozycji. Dlatego też pomyślałem, żeby zlecić jakiemuś znanemu artyście wykonanie marmurowej rzeźby, która stanie na rodzinnym grobowcu. Chciałbym, żeby to był anioł. Ostatnio stały się niezwykle modne. Mam zamiar we wszystkich naszych przedsięwzięciach ogłosić dzień oficjalnej żałoby. – Zrobił przerwę, oceniając efekt, jaki wywarły jego słowa. Maria del Roser patrzyła na niego uważnie, nie wyrażając wyraźnie zgody, lecz nie okazując również niechęci. – Oficjalny nekrolog ukaże się w gazetach w piątek. Oczywiście w „La Vanguardii” i w „Diario de Barcelona”. Najlepiej będzie powiadomić wszystkich w ten sposób. Pomyślałem, że sobota będzie odpowiednim dniem do odprawienia mszy. Chciałbym prosić ojca Eudalda o wygłoszenie kazania. Jeśli potrzebujesz żałobnych ubrań, Felipe i Concha mogą pojechać po nie dzisiaj po południu. Na ulicach jest już w zasadzie spokojnie, ale wołałbym, żebyście ani ty, ani Violeta jeszcze nie opuszczały domu, chyba że będzie to konieczne. Jeśli chodzi o ciało... – Maria del Roser uniosła wzrok wśród głębokiej ciszy. – Każę przenieść je do rodzinnego grobowca. Dzięki dziwnym okolicznościom, które nie mają teraz znaczenia, dowiedziałem się, gdzie ojciec został tymczasowo pochowany i...

– Na dziedzińcu klasztoru Montesión – odezwała się Maria del Roser – i wydaje mi się to wspaniałe.

Zaskoczyła dziedzica, który nie mógł zrozumieć, w jaki sposób matka uzyskała tę informację. Chciał mówić dalej, lecz Maria del Roser mu przerwała:

– Nie mam zamiaru iść na pogrzeb twojego ojca, Amadeo. Nic tam po mnie.

Rysy twarzy Amadea stężały.

– Nie zamierzasz pożegnać się z mężem?

– Oczywiście, że się pożegnam, ale po swoim.

Do salonu weszła Conchita, żeby nalać wody do szklanek. Natychmiast się zorientowała, że z powodu jej obecności pomiędzy matką a synem zapadło lodowate milczenie. Skończyła pospiesznie i opuściła pokój. Kiedy wyszła, Amadeo zaatakował ponownie:

– To znaczy jak, jeśli wolno wiedzieć? Zamierzasz może urządzić ten swój seans spirytystyczny? Wywołać ducha ojca?

– Proszę, żebyś nie wyśmiewał się z moich przekonań, synu. W tym tak nieszczęśliwym czasie bardzo mi pomaga.

– Twoja wiara jest śmieszna, matko, poza tym stanowi dla wszystkich powód do kpin. A może nie czytasz gazet?

– Oczywiście, że czytam, a nawet do nich piszę. – Ton rozmowy zaczynał być coraz ostrzejszy.

Amadeo wybuchł szyderczym śmiechem.

– Nazywasz gazetami te pełne zabobonów i fałszywych teorii naukowych broszury? Uważasz, że najlepszy sposób, by pożegnać się z ojcem, to pomodlić się do bożków z masy papierowej?

Maria del Roser nie odpowiedziała. Wzięła głęboki oddech. Amadeo ukroił kawałek mięsa i zaczął go powoli przeżuwać.

– Nie traćmy czasu na kłótnie, które do niczego nie prowadzą – kontynuował. – Powinniśmy wspólnie postanowić, co powiedzieć o śmierci ojca.

– Nikogo to nie obchodzi.

– Będą dopytywać się dziennikarze i znajomi.

– Powiemy im, że pojechał z pomocą hieronimitkom i stał się ofiarą okrutnego ataku jakichś bezduszników.

Amadeo przestał żuć. Spojrzał ze zdziwieniem.

– Rozmawiałaś z którąś z zakonnicek?

– Nie.

– Znasz matkę Maravillas?

– Nie, chociaż chętnie bym ją poznała. – Maria del Roser próbowała się uśmiechnąć. – Zadała sobie wiele trudu i chciałabym jej podziękować.

– A ja raczej uważam, że pozwoliła sobie na zbyt wiele.

– Dlaczego tak mówisz? Z powodu grobowca? Ach, nie przejmuj się tym. Twój ojciec jest tam szczęśliwy. W końcu przecież wiele razy rozmontowywał i ponownie stawiał te mury. Czuje się tam jak u siebie w domu.

Amadeo nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Miał coś powiedzieć, lecz ubiegła go matka:

– Co do rodzinnego grobowca i rzeźby, to nie jest dobry pomysł. Twój ojciec nie wierzył w anioły. Woli być u swoich zakonnicek.

Amadeo zmieszany pokręcił głową.

– Wszystko to wydaje mi się nie na miejscu.

– To naturalne, synu, ale kogo to obchodzi? Chciałabym, żebyś wiedział, jak bardzo doceniam, że tak szybko wróciłeś z Włoch. Oraz twoją dbałość o dobre imię rodziny w całym tym nieszczęściu. Zapewne podobnie jak ja uważasz, że wszystko powinno jak najszybciej wrócić do normy. – Maria del Roser odsunęła nietknięty talerz, napiła się wody i mówiła dalej: – Pozwoliłam sobie napisać do pana Trescentsa, prosząc go, żeby przyszedł jutro. Najlepiej będzie, jeśli wprowadzi cię w szczegóły tego, co odziedziczyłeś po ojcu. Niestety, nie będę mogła ci towarzyszyć. Terminologia prawnicza przyprawia mnie o zawroty głowy. Zgodnie z prawem będziesz mógł zrobić, co zechcesz, ale proszę cię, żebyś zapomniał o dawnych dziecinadach i miał na uwadze los brata. Będzie dla ciebie dobrym zastępcą. I wiernym pomocnikiem, jestem tego pewna. Powinieneś również zacząć myśleć o małżeństwie, skoro masz już wszelkie przymioty wynikające z pozycji i majątku, żeby wzbudzić zainteresowanie najlepszych rodzin w mieście.

Zniecierpliwiony Amadeo już od kilku chwil otwierał usta, żeby coś powiedzieć. Skorzystał z okazji, kiedy matka zamilkła, by wziąć oddech.

– Czy nie przesłyszałem się, że ojciec woli klasztorne krużganki od rodzinnego grobowca?

– Nie, synu.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Po prostu wiem. Nie pytaj mnie o coś, czego nie chcesz usłyszeć.

– Chyba nie wierzysz, że on może się z nami komunikować, prawda? Czy to ojciec według ciebie nie chce przenieść się do grobowca?

– Znów ten przeklęty grobowiec! Daj już temu spokój, synu! Dość na ten temat. Mówiłam ci o twoich obowiązkach jako spadkobiercy. To naprawdę ważne.

Amadeo nabił na widelec kawałek ziemniaka, umoczył go w sosie i włożył do ust. Dopiero po przeżuciu go i połknięciu podjął rozpoczęty przez matkę temat.

– Nie wiem, czy chcę kierować Fabrykami Laxa – powiedział.

– Oraz imperium Goloronsów, synu. Nie zapominaj o owocach pracy dziadka, które również znalazły się w twoich rękach.

Młody dziedzic poruszył się na krześle. Jego stanowczość zniknęła w obliczu energii matki, był jednak zbyt dumny, żeby nie próbować tego ukryć. Chciał coś dodać, ale Maria del Roser odezwała się

pierwsza:

– Twoje zdolności malarskie są oczywiste i cieszę się z tego. Pielęgnuj ten dar, jeśli chcesz, lecz nie zapominaj o pielęgnowaniu pamięci nazwiska ojca, dbając o pozostawiony przez niego majątek, który obejmuje nie tylko nieruchomości, patenty, roczne bilanse i różne inne zawiałości. On chciałby również, żebyś zajął się przede wszystkim pracownikami. Twój ojciec szczyił się tym, że znał wszystkich, każdego z osobna, a jest ich ponad pięć tysięcy.

– A nie pomyślałaś, że może to oni zastawili na niego śmiertelną pułapkę?

Maria del Roser ruchem ręki odpędziła ten pomysł.

– Bzdury! Ci, którzy go zdradzili, w ogóle go nie znali. Lub tylko na tyle, żeby go nienawidzić. Nienawidzić jego przenoszenia klasztorów, wpływowych znajomości, majątku... Byli przeciwko niemu tak samo jak przeciwko duchownym: dla zasady. W tym mieście właśnie tak to działa, nie wiedziałeś o tym? Przy najmniejszym proteście przeciwko niesprawiedliwości wszyscy biegają palić klasztory i zabijać bogatych.

– Nie chcesz poznać prawdy. Robotnicy uważają nas za swoich wrogów.

– Co za głupstwa! Twój ojciec nie był wrogiem żadnego pracownika. Wręcz przeciwnie. Wszyscy go szanowali. I nie bez przyczyny. Zrobił dla nich więcej niż którykolwiek inny przedsiębiorca. I posłuchaj mnie, ponieważ jeszcze nie skończyłam.

Amadeo się nadał. Poza nowego pana domu, tak świetnie sprawdzająca się w stosunku do Felipego i Conchy, była bezużyteczna w przypadku matki, która nadal była jego prawnym opiekunem.

– Chcę, żebyś mi obiecał, że pozwolisz mi zająć się kwestią ojca – ciągnęła. Amadeo poczuł się nieswojo. – Jeśli chcesz, publikuj nekrologi, organizuj pogrzeby i ogłoś dni żałoby we wszystkich przedsiębiorstwach na świecie, ale zostaw ojca w klasztorze Montesión. U jego zakonnic.

Amadeo nie chciał zgodzić się na taki układ, aż wpadł na pomysł karty przetargowej.

– Dobrze. Pod warunkiem że kupisz mi wszystko co niezbędne w pracowni malarskiej i pozwolisz urządzić ją na poddaszu – powiedział.

Wdowa Lax posłała synowi długie spojrzenie, jak gdyby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Zanim zdążyła odpowiedzieć, dziedzic mówił dalej:

– I powiesz mi, skąd wiesz o szczegółach śmierci ojca, o których mi przed chwilą powiedziałaś.

– Zgadzam się co do pracowni malarskiej – oświadczyła po chwili niepokojącego milczenia. – Sam możesz sobie wszystko kupić, ponieważ zamierzam przekazać ci wszelkie sprawy finansowe. Druga sprawa niech cię nie obchodzi.

Amadeo uśmiechnął się kpiąco, lecz uśmiech znikł w chwili, kiedy matka podniosła się od stołu, powoli przysunęła krzesło na swoje miejsce i powiedziała:

– Jutro pozwolimy, żeby życie toczyło się dalej, synu. Z pewnością dokądś nas zaprowadzi.

Kiedy ciemna sylwetka Marii del Roser Golorons odbiła się w marmurze kominka, jej syn dodał:

– Podziwiam twoją stanowczość i odwagę w tych chwilach, matko.

Dochodząc już prawie do drzwi, rzekła nie wiadomo, do siebie czy do syna:

– Spójrzcie uważnie w ciemność, a ujrzycie blask zmarłych.

Dla Amadea Laxa wczesne wstawanie oznaczało godzinę dziesiątą. Bardzo rzadko w swoim życiu godził się wstać o wcześniejszej porze lub wyjść z domu, zanim wybiła jedenasta. Nie lubił również planować z wyprzedzeniem. Organizował się na bieżąco, po śniadaniu i przeczytaniu gazet. Ci, którzy coś od niego chcieli, przychodzili do gabinetu około dwunastej i byli przyjmowani według kolejności przybycia. Niestety, potrzebowało go o wiele więcej osób, niż jego lubiące samotność usposobienie było w stanie znieść. W ciągu dwóch lat, które upłynęły od śmierci don Rodolfa i osiągnięciu przez Amadea

pełnoletności, dziedzic musiał się poddać nowym obowiązkom. Bez szemrania przyjmował i wysłuchiwał petentów, zawsze z lekkim zainteresowaniem, ale również z poczuciem odpowiedzialności, które zaskakiwało nawet jego matkę. Wśród wielu przejętych przez niego obowiązków były również sprawy domowe, nadal pozostające w gestii Eutimii.

– Brakuje jarzyn, ziemniaków, oliwy i kawy. Mleko zdrożało o dwa centymy. Zamówię cztery worki węgla do kuchni. Brakuje płynu do polerowania metali, karmy dla ptaków panny Violety oraz innych artykułów pierwszej potrzeby. Przydałoby się kupić nowe kruszywo na dziedziniec. Potrzebujemy również kieliszka na wykałaczkę i tuzina łyżeczek do deserów. Zegarmistrz Merleti i chłopak ze sklepu ze świecami Tarda przynieśli rachunki za swoje usługi. Ach, jedna z pokojówek cierpi na duszności i potrzebuje tabletek od doktora Andreu. Inna ma pasożyty i potrzebuje lewatywy z...

– Niech pani kupi wszystko, co jest potrzebne – rzekł Amadeo niezbyt zainteresowany jelitowymi problemami służby, przeglądając jednocześnie dokumenty: „Zegary Merleti: coroczny przegląd zegarów w całym domu oraz ich nakręcenie, 20 peset”, „Świece, lampy oliwne i lichtarze w różnych kolorach i wielkościach, 5 peset”.

– Jeszcze jedna sprawa, jeśli pan pozwoli. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy kupić maści leczniczej o nazwie... – Eutimia wyjęła z kieszeni fartucha kartkę i z trudnością odczytała obcy charakter pisma: – Tricofero Padró.

Amadeo zmarszczył brwi. Ochmistrzyni czytała dalej:

– „Trzy cudowne zastosowania. Pierwsze: wpływa na porost włosów. Gęstych, błyszczących i z uroczyimi lokami. Drugie: oczyszcza głowę. Nie jest oliwą, więc nie jęlczeje, dlatego chroni przed łupieżem i innymi świństwami. Trzecie: leczy migrenę. Ponieważ utrzymuje włosy w tak idealnym stanie, ożywia ich naturalne działanie elektryczne. Za pomocą prostego i bezpiecznego prądu z łatwością rozładowuje nadmierne nagromadzenie się fluidów nerwowych...”

– Dobrze już, dobrze – przerwał jej Amadeo – kto tego potrzebuje?

Eutimia westchnęła.

– Ach, proszę pana. U nas, na dole, kto miał najmniej szczęścia, ma migreny, a komu los bardziej sprzyjał, ma łysinę. Sama bym to zastosowała – dotknęła mocno przerzedzonych siwych włosów na swojej głowie – żeby zobaczyć, co się stanie. Ci, którzy go próbowali, mówią, że czyni cuda. Najwyższy czas, żeby nam wszystkim urosły te urocze loki, o których wspomina ulotka.

Czasami Amadeo zgadzał się na prośby Eutimii z czystej niemocy.

Natomiast Conchita przychodziła do niego w mniej pragmatycznych sprawach, które prawie zawsze dotyczyły Violety.

– Twoja siostra bardzo by się ucieszyła, gdyby miała zestaw do pisania. Ona bardzo lubi pisać.

– A co pisze?

– Sekretny dziennik. I dużo listów.

– Listów? Do kogo? – zapytał Amadeo z niepokojem.

– Ach, do wszystkich. Do twojej matki, do ciebie, do wymyślonej koleżanki, która nazywa się Greta, a nawet do pogromcy tygrysów o nazwisku Henriksen, którego widziałyśmy zeszłej soboty w teatrze Soriano. W programie było napisane, że przywrócono go do życia, żeby mógł wystąpić w Barcelonie.

Amadeo się roześmiał.

– To na pewno znajomy mojej matki. Albo niedługo się nim stanie.

– Rzeczywiście, właśnie pani Maria del Roser poleciła nam to przedstawienie. Twoja siostra była zachwycona. Gdybyś widział, jak biła brawo.

– Nie podoba mi się, że jedenastoletnia panienka pisze listy do wskrzeszonego pogromcy tygrysów – zaśmiał się pan domu, lecz wyraził zgodę na spełnienie wszystkich zachcianek Violety. – Dobrze.

Dostanie zestaw do pisania. Powiem Octawiowi, że pojedziecie w tym tygodniu go wybrać.

– Nie ma potrzeby, Amadeo. Chciałybyśmy poszukać go po swoim, jeśli pozwolisz. Jeżeli Octavio będzie nas pilnował, nie pojeździmy windą.

– Słucham?

– Twoja siostra uwielbia jeździć w górę i w dół tym urządzeniem! I szczerze powiedziawszy, ja również. Nie tylko my. Windziarz przez całe popołudnie odgania ciekawskich. Jest ich tylu, że nie ma miejsca dla tych, którzy rzeczywiście gdzieś jadą.

Amadeo zmarszczył czoło. Wiedział, że jego siostra chodzi do El Siglo nie tylko po kałamarze; zawsze tak było. Ale lubił spełniać kaprysy Violety. A Conchita miała świadomość tego i zawsze stawiała na swoim.

Niestety codzienna wizyta mecenasa Trescentsa nie trwała krótko. Obłożony teczkami ze sprawami do załatwienia prawnik monotonnie wymieniał wydarzenia dnia:

– Pracownicy Przędzalni i Tkalni w San Andrés żądają podwyżek i szkoły dla swoich dzieci, twierdząc, że pański ojciec obiecał im to niedługo przed śmiercią. Ci z Mataró poinformowali mnie, że fabryka została opanowana przez szczury, i żądają jakiegoś środka na ich wytępienie. Transport bawełny, który miał przyplłynąć wczoraj, ma opóźnienie z powodu złej pogody i robotnicy z San Martín wstrzymali pracę; pytają, czy mogą nie przychodzić do fabryki, póki surowiec nie będzie dostarczony. Jeden z rolników zbierający plony na naszym gruncie przy avenida Diagonal pyta, czy może wejść na pole, żeby zebrać ziemniaki, i w zamian proponuje nam czterdzieści kilogramów. Otrzymaliśmy kilka interesujących ofert zakupu terenów przy Paseo de la Bonanova, niektóre po śmiesznych cenach. Moim zdaniem powinniśmy się im przyjrzeć. Przyniosłem panu do przejrzenia wyciągi ze wszystkich kont w Banco de Barcelona. Pan Estruch przesyła panu pozdrowienia i zaproszenie na obiad w przyszły czwartek. Markizostwo de Mariana twierdzą, że krzesła w ich nowym pałacu są krzywe i pani markiza, która jest tęga, nie zgadza się na nich siadać ze strachu, że spadnie. Pan Moreu, producent mebli, pyta, ile parawanów zamówił hrabia de Olano. Przyjaciele Sztuk z Santa Águeda proszą pana o poparcie w sprawie domu, który Gaudí zaprojektował dla rodziny Milà, i przeciwko krytyce oskarżającej go o pogwałcenie planów urbanistycznych i dziwactwo. Na koniec pański brat Juan od wielu tygodni zajmuje się planem poprawy warunków pracy robotników (z tego co wiem, bardzo dobrego) i chciałby go panu przedstawić. Jest jeszcze kilka spraw mniej ważnych, którymi możemy się zająć po załatwieniu tamtych.

To wszystko stanowiło katusze dla człowieka, który myślami był gdzie indziej.

– O co chodzi z tym planem poprawy warunków dla robotników? Nie wiedziałem, że mój brat ma takie ciążoty.

– Ma, proszę pana. I prawdopodobnie jego plan będzie przydatny.

– Przydatny? Dla kogo?

– Dla wszystkich, proszę pana. W tych niespokojnych czasach zadowolenie pracowników to dobry interes.

– No dobrze. Niech pan przekaze mojemu bratu, że porozmawiam z nim o jego planie, chociaż nie mogę dokładnie określić kiedy. Pozostałe sprawy załatwimy jutro.

Trescents robił notatki. Drugą ręką wyciągał z kieszeni lnianą chusteczkę, którą w przerwach wycierał sobie pot z czoła.

– Czy nie mógłby pan dać mi chociaż odpowiedzi w kwestii szczurów w Mataró? To pilny problem.

– Zrobiło się późno, Trescents. Proszę rozwiązać najpilniejsze sprawy według własnego uznania.

Adwokat wychodził z wyrazem porażki na twarzy, myśląc, że syn nieodżałowanego don Rodolfa przyprawi go o jakąś chorobę, jeśli nie zacznie szybko upodabniać się do ojca. A jego droga krzyżowa

dopiero się rozpoczynała, ponieważ kiedy Amadeo okazywał zainteresowanie, sprawiał adwokatowi same niespodzianki. Jak tego dnia, gdy Trescents przyszedł do gabinetu z codziennymi sprawami i ujrzał dziedzica uśmiechniętego i gotowego do wyjścia: w białym płaszczu na ramionach, z żywą gardenią w butonierce i w rękawiczkach z kozłej skóry.

– Proszę mnie zawieźć do jednej z moich fabryk. Muszę zobaczyć, o czym rozmawiamy.

Trescents wybrał Przędzalnie i Tkalnie w San Andrés. Pokonali drogę, jadąc hispano-suizą w grobowym milczeniu. Po dotarciu na miejsce adwokat kazał robotnikom ustawić się na dziedzińcu: kobiety po jednej stronie, mężczyźni po drugiej, a dzieci pośrodku. W sumie czterysta dwadzieścia dwie osoby. Zaniepokojony wrażeniem, jakie mogli zrobić na tak wyrafinowanym właścicielu, kazał wszystkim umyć twarze i ręce łącznie z paznokciami. Nie milknąc nawet na chwilę, oprowadził pana po fabryce, w której skład wchodziła ogromna hala, a w niej krosna, kuwety na barwniki oraz biuro – zwykły je zajmować don Rodolfo podczas swoich cotygodniowych wizyt.

Amadeo prawie w ogóle się nie odzywał. Dokładnie i powoli wszystko obejrzał. Następnie wszedł do biura, zamknął drzwi, nie zdejmując płaszcza, oparł się o jedno z biurk i powiedział szczerze do rodzinnego prawnika:

– Ja się do tego nie nadaję, Trescents. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie.

Nie powiedzieli ani słowa więcej. W drodze powrotnej obaj myśleli o nieszczęsnym Rodolfie: Trescents z nostalgią wiernego pracownika, ukształtowanego według zasad i wymagań dawnego szefa, Amadeo z poczuciem winy dezertera.

Tego dnia młody dziedzic postanowił, że nigdy więcej nie postawi nogi w żadnej ze swoich fabryk. Niedługo potem udał się do notariusza. Pewnego zwyczajnego poranka kilka tygodni później, kiedy Trescents przyszedł uzbrojony w swoje teczki i pilne sprawy, niespodziewana przemowa odebrała mu ze zdziwienia głos.

– Postanowiłem mianować pana swoim pełnomocnikiem we wszystkich interesach. Już niedługo stanę się pełnoletni i będę mógł dysponować całym majątkiem. Od tej chwili będzie pan miał dziesięć dni na wybranie dwóch zaufanych zarządców, jednego do Fabryk Laxa, a drugiego do imperium Goloronsów, jak lubi nazywać je moja matka. Każdy z nich otrzyma pełne uprawnienia, żeby kierować firmami według własnego uznania pod pańskim nadzorem. Raz na miesiąc będziecie składać mi raport oraz będą załatwiane najważniejsze sprawy. W sprawach niecierpiących zwłoki decyzje będzie podejmował pan. Sporządzimy dokument, w którym to wszystko zostanie szczegółowo opisane. I oczywiście wynagrodzenie będzie odpowiednie do obowiązków. Ach, byłbym zapomniiał, mam do pana prośbę. To osobista sprawa.

Adwokat się ocknął jak przebudzony z transu.

– Oczywiście, panie Lax. Słucham pana.

– Chciałbym, żeby mianował pan mojego brata brygadzystą robotników z Przędzalni i Tkalni w San Andrés.

– Brygadzystą? – Prawnik się uśmiechnął. – Pozwolę sobie zauważyć nie bez dumy, że pański brat ma zdolności do pełnienia stanowisk o wiele bardziej odpowiedzialnych.

– Brygadzystą – nalegał Amadeo, a żeby złagodzić swoją gwałtowność, dodał: – Na razie. Juan jest bardzo młody i musi się jeszcze dużo nauczyć. Poza tym wydaje mi się, że będzie tam najszczęśliwszy na świecie. Nie zauważył pan wielkiego zainteresowania, jakim darzy klasę robotniczą?

Na twarzy adwokata pojawił się chytry uśmiech.

– To młodzieńcze porywy, proszę pana. Jego zainteresowanie tą panną Montserrat nie będzie trwało długo. Za kilka lat pański brat będzie adwokatem, a ona pozostanie minionym kaprysem.

Amadeo pomyślał o wspaniałych osiągnięciach akademickich brata, który brylował we wszystkim,

czego się dotknął, również w miłości. Jego znajomość z niejaką panną Montserrat, córką, wnuczką i prawnuczką robotników, była jedynie najnowszą oznaką jego namiętnej natury, która powodowała, że nie zastanawiał się nad stosownością swojego postępowania. Podejrzewając, że nie jest to przelotny kaprys, Amadeo uważał tę przyjaźń za przeszkodę mogącą mieć skutki w przyszłości. Robotnikom nie można ufać. Według niego najlepiej trzymać się od nich z daleka lub określić wyraźny dystans. Znajomości brata były dla niego jak choroba.

– Chciałbym, żeby zebrał pan informacje o tej dziewczynie, Trescents. Wszystko, co pan znajdzie.

– Oczywiście, proszę pana. To będzie proste. Prawie cała jej rodzina dla nas pracuje.

– Doskonale. Ale niech mi pan powie, czy jest pan zadowolony z mojej dzisiejszej propozycji?

– Bardzo, proszę pana. – Prawnik zerwał się z miejsca. – To bardzo hojna propozycja. Jestem zaszczycony, że powierza mi pan tak wielką odpowiedzialność. Kontynuowanie pracy pańskiego ojca będzie dla mnie wielkim wyzwaniem.

Amadeo spojrział chłodno na przyszłego pełnomocnika.

– Proszę pamiętać, że mój ojciec nie żyje od prawie dwóch lat, Trescents.

– Oczywiście, proszę pana. Pamiętam o tym przez cały czas.

– Teraz ja jestem panem Laxem. Nie żyje się przeszłością, Trescents.

– Bez wątpienia, proszę pana. Doskonale zdaję sobie sprawę, że terażniejszością jest pan.

– Dobrze, w takim razie każę notariuszowi przygotować dokumenty.

**Protokół z Posiedzenia Zarządu
Museu Nacional d'Art de Catalunya (MNAC)
z 25 marca 2010 r. (fragment)**

Zarząd zebrany na posiedzeniu zwyczajnym uchwalił, co następuje:

- 1) Przyjąć ustanowioną przez panią Eulalię Montull Serrano na rzecz MNAC masę spadkową złożoną z trzydziestu dwóch do tej pory nieznanymi obrazów malarza Amadea Laxa.
- 2) W związku z powyższym przyjąć warunek wynikający z treści testamentu, polegający na publicznym zobowiązaniu się do zebrania wszystkich dostępnych prac malarza w jednym pomieszczeniu muzealnym, które zostanie do tego celu przeznaczone.
- 3) Przyjąć drugi warunek testamentu polegający na mianowaniu na okres dziesięciu lat pani Violety Lax Rahal członkiem niniejszego zarządu z prawem głosu, aby mogła czuwać nad wypełnieniem ww. zobowiązań.
- 4) Podać do wiadomości publicznej przyjęcie legatu podczas konferencji prasowej, która odbędzie się 12 kwietnia 2010 r. w Muzeum.
- 5) Zaprosić z tej okazji prawowitą spadkobierczynię pani Montull, panią Fiorellę Otrante (zamieszkałą w Nesso we Włoszech) oraz panią Violetę Lax, wykonawczynię ww. testamentu.

Protokół podpisano w Barcelonie 25 marca 2010 r.

XVII

Arcadio to człowiek niezmordowany. I oto jest gotowy do przeprowadzenia rutynowej kontroli prac remontowych przyszłej biblioteki. Ze swoim nieśmiałym wyrazem twarzy wchodzi w bramę dla pojazdów. Do wczoraj można by mówić, że panuje tu szalone ożywienie. Natomiast w tej chwili jedynym szaleńcem jest Selvas, architekt. Rozmawia przez telefon, stojąc na podeście marmurowych schodów. Krzyczy:

– Co to znaczy, że ten projekt zawsze budził wątpliwości? O czym ty mówisz, człowieku? Sam nie wierzysz w to, co mówisz! I co teraz? W rzeczywistości nie masz lepszych argumentów, żeby uzasadnić coś, czego nie można uzasadnić. Potem się mówi, że urzędnicy improwizują, a wy macie czelność temu zaprzeczać! Taka jest prawda: jesteście mistrzami improwizacji! I jesteście niepoważni.

Przerywa. Obojętnie patrzy na bezbarwną postać, która zatrzymała się u stóp schodów, koło nieszczęsnego liścia winorośli. Przybysz ma na sobie zrobiony na drutach rozpinany sweter w kolorze bordowym, koszulę w zieloną kratkę i brązowe mokasyny. Dzisiaj Arcadio przebił sam siebie w doborze ubrania.

– Tak, tak... pieprzony spadek. Czy naprawdę nie można tych obrazów powiesić w innym miejscu? Czy to musi być w moim projekcie, do cholery?

Arcadio zagląda do dawnych kuchni. Drewniany stół zniknął już wiele lat temu, podobnie jak ławy przy kominku. W mniejszej kuchni brakuje drzwi. Z okazałej kolekcji rondli i garnków w kącie szafy przetrwał tylko jeden. Wydaje się zdziwiony swoją obecnością tak samo jak Arcadio.

Puste przestrzenie wzmacniają głos architekta.

– Nie, nie robotnicy stanowią problem. Byli bardzo zadowoleni. Problemem jak zwykle jest robienie wszystkiego na ostatnią chwilę. Zaraz będzie pierwszy maja! Poza tym czy można wiedzieć, skąd ten pośpiech? Pozwoliliście temu budynkowi gnić przez dziesięciolecia, a teraz chcecie, żebym zmienił cały projekt architektoniczny w miesiąc? Cholera, człowieku, tak się nie robi. Nie, nie chodzi o to, że to jest skomplikowane. W końcu ostateczna przestrzeń, którą zaprojektowałem, może zostać przystosowana na muzeum po kilku małych poprawkach. Ale ty i ja wiemy, że nie o to chodzi. Wiadomość ukazała się już w prasie. Wzięliśmy na siebie zobowiązanie. Pojawiło się moje nazwisko. Nie chcę, by myślano, że przyjąłem łapówkę. To nie w moim stylu, rozumiesz? Ani mojej pracowni. Posłuchaj, ja przyjmuję wszystkie twoje argumenty, ale ty musisz zrozumieć moje. Nie mogę figurować jako twórca nowego projektu bez względu na to, jak bardzo opiera się na poprzednim. Ja zaprojektowałem bibliotekę, a jeśli teraz zdecydowaliście, że to ma być muzeum, wycofuję się. To proste.

Arcadio bierze rondel i ogląda jego wnętrze. Powłoka z niebieskiej emalii poodpryskiwała. Przygląda się szczerbom, jakby nad wyraz go interesowały. Gdyby ktoś go w tej chwili zobaczył, zastanawiałby się, jak taki roztropny człowiek może się uśmiechać z takim szczęściem, patrząc na naczynie kuchenne.

– Nie, nie, nie, Voltas, posłuchaj mnie – dobiega z góry dalszy ciąg rozmowy. – Słuchasz mnie? Nie zmienię zdania. Naprawdę, bardzo mi przykro. Mam na głowie wiele następnych projektów i nie będę tracił czasu na wasze wątpliwości. Powiedziałem ci, że się wycofuję, i tak zrobię. Mogę najwyżej polecić ci inne biuro architektoniczne, ale nie gwarantuję, że projekt będzie gotowy w terminie, o którym mówisz. Oczywiście, że służę pomocą, za kogo ty mnie masz? Nie zaprojektuję tylko tego twojego

pieprzonego muzeum. I nie zabieraj mi już czasu, proszę. Rozmawiając z tobą, nie odebrałem co najmniej czterech ważnych telefonów. Naprawdę uważam, że powinniśmy już zamknąć ten temat, tak będzie najlepiej dla nas obu. Ty poszukasz architekta, który mnie zastąpi, a ja wrócę do swoich sp...

Arcadio nie musi dalej słuchać. Przechodzi przez dziedziniec dla powozów, przemyka przez drewnianą bramę. Będąc już na ulicy, podnosi wzrok. Spogląda na gotyckie okna gabinetu don Rodolfa, później zajmowanego przez jego syna, a teraz stojącego pustką jak wszystkie pozostałe pomieszczenia. Unosi wzrok w kierunku dużego okna na pierwszym piętrze, dawnej sypialni małżeńskiej zamienionej w pokój pani Marii del Roser, z przyległym salonikiem, w którym Teresa podejmowała ważne decyzje, teraz po prostu kolejnym pustym wyczekującym pomieszczeniem. Spogląda na okrągłe okienka na trzecim piętrze – tam swój pokój miały dzieci, stamtąd Conchita zawsze obserwowała przechodniów. U jego stóp lufciki pokoiów służby drgają z emocji, chcąc ujawnić swoje tajemnice.

Arcadio nadal się uśmiecha. Cały budynek obserwuje go zastygły w milczeniu.

Kiedy chce włożyć rękę do kieszeni, żeby zadzwonić do Violety, zauważa, że nadal trzyma w niej rondel.

Olimpia, 1914

Olej na płótnie, 95 x 51 cm
MNAC, kolekcja Amadea Laxa

Montserrat Espelleta Torres, znana pod artystycznym pseudonimem Piękna Olimpia, stała się sensacją barcelońskich scen w latach pierwszej wojny światowej, kiedy miasto przeżywało bezprecedensowe ożywienie gospodarcze, któremu sprzyjała neutralność Hiszpanii. W tym właśnie kontekście należy oglądać obraz, na którym udało się uchwycić splendor epoki niezrównanego przepychu, kiedy rozrywki i zbytek grały główną rolę w życiu przemysłowych i artystycznych elit miasta.

Na portrecie wyróżnia się wesoły koloryt szala modelki – żółć, zieleń, błękit, fiolet – wrażenie ruchu frędzli zakrywających jej stopy oraz zmysłowość nagich ramion, dzięki którym obraz ten uważany był za ikonę tak zwanej *belle époque*. W głębi widać ciemną widownię teatru – prawdopodobnie Gran Salón Doré, w którym dziewczyna występowała aż do 1915 roku – wypełnioną wyczekującą publicznością. W pierwszym rzędzie, obok świateł rampy, wyróżnia się trochę wyraźniejsza od pozostałych twarz – niektórzy widzą w niej autoportret malarza, od samego początku wielkiego wielbiciela gwiazdy będącej w latach 1913–1920 jego kochanką. Montserrat Espelletę spotkał smutny koniec: zrujnowana i zapomniana przez wszystkich zmarła na syfilis w 1930 roku.

Klejnoty sztuki katalońskiej,
Wydawnictwo Pampalluga, Malgrat de Mar, 1987

XVIII

Czwartego listopada 1928 roku z wielką pompą, a zarazem ulgą Maria del Roser Golorons ożeniła pierworodnego syna z najmłodszą latoroślą Brusésów. Ślub odbył się w katedrze – co stanowiło rzadki przywilej – a uczestniczył w nim Milans del Bosch, pełniący w owym czasie funkcję gubernatora prowincji, oraz trzystu gości. Król i Primo de Rivera również byli zaproszeni, lecz usprawiedliwili swoją nieobecność, którą oczywiście im wybaczone. W tym czasie umysły bogatych Katalończyków zaprzętały wyłącznie myśli o nowym Ministerstwie Gospodarki, które miało znaleźć rozwiązanie wszystkich ich bolączek, oraz na przygotowaniach do wystawy światowej mającej ukazać w barwach tęczy odzyskaną świetność miasta. Wobec tak naglących spraw obecność mężów stanu na ślubie – nawet na ślubie sławnego artysty i piękności z bogatej rodziny – mogłaby zostać uznana za niewłaściwy wybór priorytetów.

– Może i Primo zabrania nam mówić po katalońsku i burzy pomniki, ale niech nad nami czuwa... – mówili niektórzy.

Krzątanina w domu pana młodego rozpoczęła się przed świtem. Pierwsze obudziły się kuchnie. Od wczesnego ranka paleniska zastawione były garnkami z kawą i langustami na przekąskę, wszędzie w wesołym rozgardiaszu stały kieliszki, a służące nie potrafiły ukryć zdenerwowania. Conchita kręciła się tam i z powrotem, układając kwiaty w wazonach, poprawiając czepki pokojówkom i wydając polecenia dotyczące śniadania dla gości – w większości dalekich krewnych i kolegów Amadea – którzy nocowali na trzecim piętrze.

– A przy okazji, czy ktoś widział pana młodego? – zapytała Vicenta przed dziesiątą.

Pani zjadła śniadanie w swoim salonie za kwadrans ósma. Następnie zajęła się gorliwie poranną toaletą.

– Z każdym mijającym rokiem potrzebuję pół godziny dłużej siedzieć przed lustrem – zażartowała do swojego odbicia. – Trzymając się tej logiki, powinnam zacząć się ubierać w zeszłym tygodniu.

Kwadrans po dziesiątej przyjechał Juan ubrany w prosty brązowy habit zakonu Świętego Ignacego Loyoli. Conchita powitała go mało pobożnym uściskiem.

– Jak ładnie wyglądasz! – powiedziała, klepiąc go po policzkach tak samo, jak kiedy był mały. I dodała szeptem: – Dzięki Bogu, że jesteś. Twoja matka będzie szczęśliwa, widząc razem swoich dwóch mężczyzn.

– Robię to dla niej – niechętnie odpowiedział Juan – i dla tej dziewczyny, mojej przyszłej szwagierki, która nie jest niczemu winna. Wystarczająco ciężkie życie czeka ją u boku mojego brata.

– Daj spokój, kochanie, nie mów tak. Nadal żywicie do siebie te wieczne urazy?

Zakonnik spojrział na dawną niańkę oskarżycielskim wzrokiem. Usprawiedliwiła się pogodnie:

– Ach, nie potrafię! Nie umiem zwracać się do ciebie per ojciec Juanie, Juanito. Przecież zmieniałam ci pieluchy! Obiecuję, że w towarzystwie cię nie skompromituję, naprawdę.

Ojciec Juan poszedł prosto do pokoju swojej matki. W kuchniach służące nie mówiły o niczym innym, tylko o tym, jak do twarzy jest mu w habicie.

– Odrobinę szacunku, dziewczęta, to przecież duchowny – rzekła Concha, i to zdanie wzbudziło niejedno westchnienie.

Matka i syn zeszli na dół chwilę później, oboje zamiatając schody fałdami długich szat. Trzymając pod ramię młodszego syna, Maria del Roser podeszła do fotela przed kominkiem, w którym elegancko

się rozsiała.

– Nic tu się nie zmieniło – powiedział jezuita, rozglądając się uważnie. – Tylko obrazów przybyło.

– Twój brat ostatnio dużo maluje. Niedługo zabraknie ścian.

Juan z rękami założonymi z tyłu powoli obszedł pokój dookoła. Zatrzymał się przed portretem znudzonej Violety. Ostatnim razem wisiał nad kominkiem. Teraz to miejsce zajął portret nieznanej dziewczynki o blond włosach.

– To Teresa Brusés, twoja przyszła szwagierka – wyjaśniła Maria del Roser.

– Wiedziałem, że mój brat gustuje w młodych dziewczętach, ale nie sądziłem, że w aż tak młodych – odpowiedział tonem całkowicie pozbawionym ironii.

– Miała wtedy jedenaście lat. To jej pierwszy portret, który namalował. Dla nich ma ogromną wartość. Zakochała się w nim podczas pozowania do niego.

– Naprawdę? Biedaczka!

– Ta dziewczyna jest niesamowitym przykładem konsekwentnego dążenia do celu. Zawsze wiedziała, że wyjdzie za Amadea. Nawet musiała przyjść jej siostra, żeby poprosić o wstawiennictwo za nią.

– I wstawiła się matka za nią?

– No cóż, powiedzmy, że próbowałam pomóc. Resztę załatwił sam Amadeo. I oczywiście miłość. Nie wolno nie doceniać mocy uczuć.

– A tym bardziej chęci matki, by sprowadzić zbłąkaną owieczkę na właściwą drogę.

Maria del Roser zaśmiała się i zakaszlała.

– Jest matka przeziębiona?

– Jak co roku, synu. Od października do lutego. Ten kaszel bardzo mi dokucza.

– Czy badał matkę lekarz?

– Daj spokój, od śmierci naszego drogiego Gambúsa nie mam zaufania do żadnego innego. Na wszystko zapisują tabletki. Nie cierpię ich. Na kaszel biorę kawowe karmelki, które mają takie samo działanie, ale trwające dłużej. Lekarze już nie są tacy jak dawniej.

Podczas gdy matka kpiła sobie z pigulek, Juan zatrzymał się przed innym obrazem. Przyglądał mu się długo, dłużej niż innym. W końcu poszedł dalej.

– Doprawdy nie mam pojęcia, co ta pani robi w moim salonie. Nie jest nawet z nami spokrewniona! – skomentowała Maria del Roser, widząc zainteresowanie syna. – Chociaż muszę przyznać, że obraz jest barwny i rozwesela ten ponury kąt. Gdyby tam nie wisiał, kazałabym kupić jeden z tych jaskrawych wazonów z chińskiej porcelany.

– W pewien sposób ta dziewczyna jest członkiem naszej rodziny, mamó – wytłumaczył Juan. – Ona i jej rodzice pracowali dla nas przez wiele lat w fabryce Przędzalnie i Tkalnie w San Andrés.

– Ano tak... To dlaczego ubrana jest jak dziwka?

Juan nie odpowiedział. Powrócił do Violety, spojrzął na nią ze smutkiem i zakończył oglądanie, mówiąc:

– Trzeba przyznać, że ma talent.

– Puść coś na gramofonie, proszę. Żeby zrobić nastrój. Tam znajdziesz kilka płyt. Mamy *Marsz grenadierów* i Fernanda Calva recytującego *Życie jest snem*. Która godzina? Jak to możliwe, że twój brat nie dał jeszcze znaku życia?

Juan spojrzął na zegar ścienny.

– Za dwadzieścia dwunasta.

– Jezus Maria! Trzeba przynieść przekąski! Goście niedługo się zejdą!

Przekąski czekały gotowe, kiedy zaczęli się pojawiać wystrojeni goście z trzeciego piętra. Następnie

przyszła kolej na przyjaciół z czasów młodości pana młodego. Josep Maria Albert Despujol obnosił pokaźny brzuch, którego nie była w stanie ukryć żadna kamizelka, natomiast jego małżonka, eteryczna dziedziczka rodziny Muntadasów, miała na szyi wzbudzący zazdrość szmaragd. Będąc wielkimi melomanami, pierwsi zwrócili uwagę na muzykę dochodzącą z gramofonu.

– Och, *Valse triste* Sibeliusa, jakie to oryginalne – wycedziła dama przez zęby.

Maria del Roser uśmiechnęła się nerwowo, żałując, że osobiście nie nadzorowała programu rozrywkowego. „Lepszy byłby *Marsz grenadierów*”, pomyślała, ale było już za późno.

Widok Octavia Condego jak zwykle wywołał głębokie westchnienia pokojówek. Idąc lekkim krokiem w nienagannym smokingu, z jasnymi oczami i gęstymi kasztanowymi włosami, stanowił uosobienie wytworności. Wytworności, którą podkreślał jego stan kawalera milionera, chociaż widocznie nie dość wystarczająco, żeby dzięki temu zdobył żonę. Kilka lat wcześniej jego reputacja rozpustnika była równie wielka jak jego najlepszego przyjaciela, aż surowy don Eduardo musiał interweniować, przywołując syna do porządku. Od tamtej pory Octavio skoncentrował się na zarządzaniu domami towarowymi, a jeśli nawet prowadził rozwiązłe życie, przestało być przedmiotem plotek.

Nowo przybyły ucałował dłonie pani Marii del Roser i po bratersku uściskał ojca Juana. Sądząc po jego wyrazie twarzy, był jednym z nielicznych, którzy rozumieli, jak ważna jest obecność zakonnika.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę – wyszeptał.

Jako jedyny zapytał o jego obecne życie, ale ojciec Juan ominął kwestie osobiste.

– Uczniowie są coraz bardziej nieokrzesani, co oznacza, że czynimy postępy w jakimś kierunku – zażartował.

Służące roznosiły półmiski pełne przysmaków i naczynia z napojami. Wychwalano homara. Maria del Roser była jak królowa podczas przyjęcia. Przez cały czas przybywali nowi goście. I wciąż brakowało jednej osoby.

– Czy pan młody zamierza jeszcze długo się ukrywać czy może pożałował swojej decyzji? – zapytał Octavio Conde.

Wdowa Lax zaczęła poważnie się niepokoić.

– Gdzie się podział twój brat? – zapytała na boku młodszego syna.

W tym momencie do salonu weszła Tatín Brusés spowita charakterystyczną chmurą różanych perfum i pospieszyła uściskać panią domu. Jak zwykle gdziekolwiek się pojawiała, jej przybycia absolutnie nie dało się nie zauważyć. Na tę okazję wybrała inspirowaną Chinami suknię paryskiej projektantki mody, Jeanne Lanvin, z zielonego jedwabiu połączonego z elegancką czarno-czerwoną peleryną. Modystka zrekompensowała brak rona przy jej toczku obfitością piór. Również torebka pokryta była piórami i z daleka wyglądała jak papuga rzadkiego gatunku.

Korzystając z zamieszania wywołanego powitaniami, Juan wyszedł na poszukiwanie pana młodego. Zapytał o niego Conchitę, która nic nie wiedziała. W kuchni powiedziano mu, że nie zjadł śniadania i że nikt go jeszcze nie widział. Wszedł na poddasze i zapukał do drzwi. Cisza. Już miał zacząć pytać najbliższych towarzyszy hulanki starszego brata, kiedy usłyszał warkot jego samochodu. Wyjrzał przez balkon saloniku matki i zobaczył, jak Amadeo wysiada z Citroëna, dzierżąc w rękę srebrną laskę i wycierając twarz ręcznikiem. Na tylnym siedzeniu chichotała kobieta o nagich ramionach i długich blond włosach. Ręka okryta rękawiczką wysunęła się przez okno i wręczyła panu młodemu lusterko. Amadeo przez kilka sekund z satysfakcją przyglądał się swojemu odbiciu. Następnie zwrócił lusterko, mówiąc:

– Doskonałe golenie, szanowna pani. Proszę mi przypomnieć następnym razem, kiedy nie będę tak bardzo się spieszył, żebym ponownie skorzystał z pani usług.

Z samochodu odpowiedział śpiewny głos:

– Następnym razem ogolę ci coś innego, gołąbku.

Stojący przy drzwiach auta Julián czekał cierpliwie na zakończenie tego groteskowego przedstawienia. Amadeo podszedł do niego i powiedział coś szeptem. Juan nie mógł tego usłyszeć, ale i nie musiał. Było to polecenie odwiezienia dziewczyny tam, skąd ją zabrał. Wszystko należało pozostawiać w takim porządku, jaki się zastało.

Amadeo nie wszedł schodami. Salon pełen był gości oczekujących na jego przyjście. Poprosił Conchę, żeby przyniosła frak i pozwoliła mu przebrać się w swoim pokoju. Kiedy wyszedł, wyglądał świetnie. Stara nianka ucięła dla niego gardenię, którą włożył do butonierki. Nie brakowało żadnego szczegółu i wszystko było na swoim miejscu: złoty zegarek na łańcuszku, chusteczka, kapelusz, jedwabny plaster...

– Nie dręcz swojej matki, Amadeo. Jeszcze minuta, a zemdleje – ostrzegła Conchita.

Pan młody kroczył powoli, gotowy wejść w rolę czarującego pana domu, której wszyscy się po nim spodziewali.

– Ach, synu, dzięki Bogu! Myślałam, że uciekłeś. Czy mogę wiedzieć, gdzie się podziewałeś? Zaczynałam się bać, że sama będę musiała wznieść toast! – skarciła Maria del Roser swojego trzydziestoosmioletniego syna, tracąc panowanie nad sobą w obecności gości.

Amadeo uratował sytuację. Zdjął rękawiczkę, chwycił kieliszek wypełniony złocistym musującym płynem i uspokoił swoją rodzicielkę słowami:

– Byłem na mszy o jedenastej, matko, żeby przyjąć komunię. Chciałem rozpocząć resztę życia wolny od grzechów przeszłości.

Wypowiadając te słowa, Amadeo szukał wzroku swojego brata Juana. Ale on wyszedł na dziedziniec, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Następnie uniósł kieliszek i podzwanianie szkła w toaście położyło kres jego kawalerskiemu życiu. Pięć minut później całe towarzystwo wyruszyło w drogę do katedry.

Sześć godzin po ślubnym nabożeństwie służba z niecierpliwością czekała na przybycie nowej pani domu. Jednak dopiero po ósmej wieczorem rozległ się warkot samochodów orszaku weselnego.

Pierwsza dojechała Maria del Roser. Tym razem towarzyszył jej daleki wuj, którego imienia nigdy nie mogła zapamiętać. Nazywała go na przemian Leonardo lub Norberto i wydawało się, że jemu to absolutnie nie przeszkadza. Spuchły jej stopy, a na twarzy widniał wyraz głębokiego szczęścia, jakie czuje się pod koniec pozostających w pamięci dni. Za nią szła Conchita dumna jak kaczka, która właśnie ujrzała, jak jej najbardziej ospały pisklak rzucił się na głęboką wodę. A na samym końcu szli państwo młodzi. On spokojny, powściągliwy – gdy przechodził, pokojówki szlochały. Ona tak piękna, że jej obecność wszystkich paraliżowała.

– Oto nowa pani domu – powiedziała do służby niechętnie przemówień Maria del Roser. – Od dzisiaj z przyjemnością przekazuję jej moje obowiązki.

Po kolei każdy ze służących został przedstawiony nowej pani Lax.

– Julián Montull, nasz kierowca. Godny następca swojego ojca, który doskonale nam służył.

– Proszę pani... – Mężczyzna z szacunkiem skłonił głowę.

– Vicenta Serrano. Jej ręce są warte miliony. To nasza kucharka.

– Witamy panią, pani Lax.

– Carmela i Aurora, nasze pokojówki.

Dwa dygnięcia w milczeniu.

– Higinio odpowiedzialny za konserwację i naprawy. To znaczy za wszystko.

Higinio z powagą wyciągnął rękę do Teresy, która ucisnęła ją lekko zakłopotana.

– Conchitę już znasz. Zaradzi, kiedy coś się stłucze albo porwie. Była mamką twojego męża, niańką nas wszystkich, łącznie ze mną, a od śmierci Eutimii ochmistrzynią... Czasami mam wrażenie, że to ona jest panią domu.

Conchita się zarumieniła. Jej uprzywilejowana pozycja została już wystarczająco udowodniona przez to, że jako jedyna ze służby mogła uczestniczyć w uroczystości ślubnej.

Dotarłszy do ostatniej osoby, Teresa pochyliła się, uśmiechnęła łagodnie, ukazując dwa rzędy idealnych zębów, i po raz pierwszy się odezwała:

– A kim jest ta śliczna dziewczynka?

Dziecko ukryło się za spódnicą Vicenty.

– To Eulalia, proszę pani. Nasza córka – odpowiedział Julián, łapiąc dziewczynkę za ramię i zmuszając ją, by pokazała się Teresie.

– Mówimy na nią Laia. Po katalońsku. Juliánowi hiszpański sprawia pewne trudności... – usprawiedliwiła się Vicenta.

– Laia, śliczne imię – rzekła Teresa. – Mamy coś dla ciebie, prawda, Conchito? – Niańka podała jej paczuszkę owiniętą w tiul. – To dla ciebie. Lubisz migdały w cukrze?

Laia wyciągnęła rękę, z ukosa spoglądając na nową panią od góry do dołu.

– Pocałuj panią w rękę – poleciła jej matka.

Dziewczynka jeszcze bardziej skuliła się w sobie.

– Zrób to – syknął Julián mało przyjaznym tonem.

Popchnięta przez kierowcę Laia zrobiła krok do przodu. W jednej ręce trzymała migdały, które właśnie dostała, tak mocno je ściskając, że opakowanie wbiło jej się w skórę. Teresa zdjęła satynową rękawiczkę. Pospiesznie jak ktoś, kto musi wypić coś niedobrego, Laia cmoknęła wierzch dłoni młodej nowej pani domu.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliła Maria del Roser. – A teraz odpocznijmy wszyscy. Jutro będzie czas, żeby poznać się lepiej. Poza tym przyjedzie nowa pokojówka. Jak ona się nazywa, moje dziecko?

– Antonia – odpowiedziała Teresa.

– Właśnie, Antonia. Zajmie się też prasowaniem i szyciem. Jutro znajdziemy dla niej miejsce. A teraz po hiszpańsku czy po katalońsku, wszyscy do łóżek!

Amadeo przeszedł obok służących bez słowa.

– O której godzinie życzy pani sobie, by podano jutro śniadanie?

Idąca schodami Maria del Roser Golorons udała, że nie słyszy. Amadeo szedł za nią równie obojętny jak teraz jego matka, chociaż dla niego nie było to żadną nowością. Teresa zatrzymała się, zawahała i spojrzała na Vicentę, która zadała pytanie.

Jej lekka bladość nikogo nie dziwiła – była to przecież jej noc poślubna.

– O zwykłej porze będzie dobrze – odpowiedziała.

I ruszyła po schodach na górę.

Kiedy drzwi do pokojów zamknęły się za państwem, służący wśród szeptów i chichotów zaczęli obgadywać nową panią Lax.

– Jaka piękna suknia!

– Ona jest niezbyt doświadczona.

– Tak, ale piękna.

– Nie jest zbyt młoda dla niego?

– Ile ma lat? Dwadzieścia trzy?

– Skądże. Dwadzieścia jeden.

– Na Boga!

– Nie będzie umiała poprowadzić domu.

– Jak sądzicie? Konsumują już małżeństwo?

Jedynie Laia i Conchita się nie odezwały. Pierwsza rozpakowała migdały w cukrze i bawiła się, układając je w rzędzie na stole. Druga, zmęczona słuchaniem złośliwości, poszła do swojego pokoju, mamrocząc:

– Dopiero co przyjechała, biedaczka. Pozwólcie jej się nauczyć.

Conchita miała ciężką noc. Przypisała to tuzinowi pączków z dorsza, ponieważ im dłużej nie mogła zasnąć, tym większe nudności czuła na ich wspomnienie. Długo po północy usłyszała na schodach kroki. Na zewnątrz czekał samochód, ale warkot silnika nie brzmiał jak któregoś z aut należących do państwa. Wyteżyła słuch: wśród śmiechów wesoły, nieprzywykły do mówienia szeptem głos powiedział:

– Przywiozłam brzytwę, gołąbku.

Conchita kilka razy pokręciła głową. Poczowała przyływ mdłości, pospiesznie wstała i w samą porę dobiegła do umywalki, by zwymiotować gęstą masą lekko zalatującą morzem.

Od: Violeta Lax

Data: 1 kwietnia 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Łamigłówka

To znowu ja, Mamo, i mam wiele nowych wiadomości.

Jutro przyjeżdżają Fiorella i Silvana. MNAC zorganizował konferencję prasową, żeby poinformować o testamentowej darowiźnie. Tak jak przewidziałam, wszyscy byli pod wrażeniem jakości oraz oczywistej oryginalności prac dziadka. Dyrektorka sporządziła bardzo pochlebny raport na temat jakości obrazów i zaleciła zarządowi ich przejęcie, a co za tym idzie, ścisłe wypełnienie warunków zawartych w testamencie. Resztę załatwili adwokaci i wahania rządu, który nagle powrócił do pierwotnej wersji i postanowił z domu dziadka zrobić filię muzeum. To oznacza swego rodzaju powiększenie jego głównej siedziby, tyle że w innym budynku. Tak więc Eulalii Montull jednym pociągnięciem pióra udało się to, o co biedny Arcadio i ja walczyliśmy przez całe życie. Mam nadzieję, że tym razem zdążę porozmawiać z Fiorellą o jej szczodrej matce. Wiele szczegółów tej historii nadal nie pasuje do siebie. A moja wiedza o rodzinnej przeszłości jest tak znikomą, że nie jestem w stanie wnieść prawie niczego do tej gmatwaniny.

Wczoraj ponownie spotkałam się z Paredesem. Zadzwoił do mnie z informacją, iż rzeczy należące do Teresy nadal znajdują się w laboratorium i powinnam coś z nimi zrobić. Umówiłam się z nim w kawiarni Zurich. Wręczył mi plastikową torbę z parą wyblakłych pantofli, dwoma kawałkami tkaniny obrębjonej szydełkiem, tabliczką z wygrawerowanym imieniem Dickens oraz złotym łańcuszkiem z obrączką. Powiedział mi, że kota wyrzucono na śmietnik, ja stwierdziłam, że postąpili odpowiednio. Od razu założyłam na szyję wisiorek (i nadal mam go na sobie). Ilekroć widzę wygrawerowane po wewnętrznej stronie obrączki nazwisko Francisca Canalsa Ambrósa, zastanawiam się, jakie znaczenie miał ten wisiorek dla babci, czy przypadkowo miała go na sobie, umierając, czy może ten kawałek złota miał coś wspólnego z jej zabójstwem. Nie sądzę, żeby mężczyźnie urodzonemu w 1889 roku było do śmiechu, kiedy jego żona nosiła na szyi obrączkę z imieniem innego. Zadaję sobie mnóstwo pytań i poddaję się z braku odpowiedzi. Bez względu na to, jak usilnie będę szukać informacji o Teresie w czytelnicy prasy, części jej tajemnicy nigdy nie poznamy. Być może nikt jej nie znał.

Paredes zapytał mnie również o tatę. Wyjaśniłam, że poprzedniego wieczoru zjedliśmy pożegnalną kolację. Wczesnym rankiem on i Amélie wrócili do Awinionu.

„Ciekawy z niego człowiek”, powiedział.

Zgodnie z wyborem taty kolacja odbyła się w Set Portes. Przyszli spóźnieni, kiedy miałam już zamiar sobie pójść. Powiedzieli, że spędzili popołudnie w butikach na Paseo de Gracia i wydali majątek. Ona miała na nadgarstku nowiusieńki zegarek Cartiera i nie sądzę, by kupiła go za swoją pensję. Tata wyglądał świetnie. Nie tak jak zawsze: o wiele lepiej. Zrobił sobie manikiur i ufarbował wąsy, pachniał płynem po goleniu, włosy miał zaczesane do tyłu. Dawno nie widziałam go tak przystojnego ani tak bardzo tryskającego szczęściem. Być może, jak sam mówi, Barcelona go tak wzmacnia. Podczas kolacji ni z tego, ni z owego zapytał mnie:

– Czy jesteś szczęśliwa, dziecko?

Powiedziałam, że tak, jestem, chociaż umiarkowanie. Podobnie jak wszyscy, bo przecież nikt nie jest w stanie zmierzyć szczęścia.

– Bzdura! – odpowiedział. – Szczęście jest tak samo mierzalne jak limit na karcie kredytowej. Czy wiecie, kto jest w Europie najszczęśliwszy? Ludzie mieszkający na północy. A przynajmniej

tak twierdzą. Zaskakujące, prawda? A najszczęśliwsi są Bułgarzy. Istnieje wiele związanych z tym teorii, ale ja sądzę, że to za sprawą festiwalu Eurowizji. Nie zauważyłaś? Biedni Bułgarzy zawsze dają wysoką punktację swoim sąsiadom, a na nich nikt nie głosuje. Natomiast Hiszpania to ni pies, ni wydra, jesteśmy szczęśliwi trochę bardziej niż europejska przeciętna. W sumie nie jest źle, ponieważ na Eurowizji nigdy zbyt nie zaszaleliśmy. Ach, no i ludzie żyjący w związku są szczęśliwsi od singli. A potem mówi się, że małżeństwo jest źródłem konfliktów.

To ostatnie zdanie wypowiedział, patrząc figlarnie na Amélie. Ona uśmiechnęła się bardziej jak matka niż asystentka i jadła dalej. Być może myślała o swoim cartierze.

Podczas kolacji Modesto wyjawiał kilka zaskakujących rewelacji, którymi tak bardzo lubi urozmaicać rozmowę. Powiedział, że zastanawia się nad sprzedażą domu w Awinionie i przeniesieniu się do Barcelony. Zaprosił mnie, żebym przyjechała i wybrała z jego domu, co chcę, ponieważ według jego słów: „wszędzie walają się graty, których nie potrzebuje”. Zapytałam go, co będzie z uczelnią, jego konferencjami, kolacjami i ze starymi jak on emerytowanymi profesorami, z festiwalem teatralnym, z Brechtem... krótko mówiąc, ze wszystkim, co przez te lata było jego życiem. Wiesz, co mi odpowiedział?

- To wszystko nagle przestało być ważne.

Odważyłam się poruszyć temat mojego śledztwa dotyczącego Teresy. Wytłumaczyłam mu, że kiepsko mi idzie i że do tej pory najbardziej wartościową rzeczą, jaką znalazłam, były wycinki z gazet przechowywane w pudełku po herbatnikach. Powiedziałam, że Teresa Brusés była aktywistką jednego z tych spirytystycznych stowarzyszeń, które pojawiły się pod koniec XIX wieku i w jej epoce tak bardzo się rozwinęły, tyle że działała w trudnych czasach i musiała znosić wszechobecne kpiny.

- Naprawdę? - Tata uniósł w zdziwieniu brwi. - No proszę...

- Właściwie były to lata agonii spirytyzmu, ponieważ podczas wojny domowej zakazano uprawiania go, a kiedy stowarzyszenia tego typu pojawiły się znowu pod koniec lat sześćdziesiątych, okazało się, że ich idee, w przeszłości uważane za postępowe, stały się skostniałe.

Wytłumaczyłam mu, że w czasach świetności spirytyści byli bardzo wpływowi, a w ich szeregach znajdowali się tacy znani ludzie jak Arthur Conan Doyle czy Victor Hugo. Udało mi się wzbudzić jego zainteresowanie. Uznałam to za cud.

- Masz jakieś informacje na ten temat? - zapytał.

Obiecałam wysłać mu kopię wycinków i kilka innych rzeczy. Nie wiem tylko, czy zainteresował go spirytyzm czy Teresa, lecz tak czy inaczej było to jakieś osiągnięcie. Podał mi swój adres mailowy.

- Amélie nauczyła mnie obsługiwać Internet. Odkrywam nowy świat!

Pomyślałam, że asystentka, której udało się wprowadzić takiego dinozaura jak mój ojciec w świat nowoczesnych technologii, naprawdę warta jest markowego zegarka.

Ale to jeszcze nie koniec. Nie uwierzysz. Nagle wypalił:

- Wiesz, że nie lubię rozmawiać o ojcu, Violín. Zawsze był dla mnie obcym człowiekiem. Nawet nie żywię do niego urazy. Miał pewnie swoje powody, żeby żyć tak, jak żył, ale zupełnie mnie one nie obchodzą. Jeśli to ci się do czegoś przyda, to uważam, że wcale nie jest takie nieprawdopodobne, że zabił żonę. Nie zdziwiłbym się również, gdyby był wojennym przestępcą czy jednym z tych nazistowskich lekarzy eksperymentujących na ludziach, chociaż na to był zbyt wielkim egoistą. A biednej Teresie mogę jedynie współczuć. Trafiała na złego człowieka w złych czasach. Nie wiadomo, co naprawdę się wydarzyło. Sądzę, że twoje śledztwo jest hołdem dla jej

pamięci i w jakiś sposób odtworzy te wydarzenia. Sam chętnie bym się nim zajął, ale musisz zrozumieć, że nie mam już tyle czasu, abym mógł się zajmować tak smutnymi sprawami. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, resztę swoich dni zamierzam przeżyć jako człowiek maksymalnie skandynawski. Wszystko jak zwykle pozostawiam w twoich rękach. Nie dość, że są ładniejsze od moich, to jeszcze bardziej kompetentne.

Miałam ochotę wstać i bić mu brawo. Ale w zamian dałam mu buziaka w świeżo ogolony policzek i otarłam łzę. Amélie również płakała. Podejrzewam, że ta scena wystraszyła kelnera mało obeznanego z bliskością, jaką wyzwała dobre jedzenie.

To było godne zakończenie uczt, którym chciałam się z Tobą podzielić.

Wzruszona i wykończona

Twoja Vio

Wspomnienie o zmarłej Marii del Roser Golorons

Tekst napisany w hołdzie
przez Teresę Brusés de Lax,
wygłoszony podczas minionego
Kongresu Spirytystycznego w Barcelonie
(fragmenty)

Podobnie jak w przypadku takich postaci jak Allan Kardec, wicehrabia de Torres-Solanot, Miguel Vives czy doña Amalia Domingo Soler, uznawanych obecnie za twórców naszej nauki, chciałabym dzisiaj przybliżyć państwu postać mojej mentorki, którą wielu z państwa pamięta: Marii del Roser Golorons de Lax. Być może nie pozostawiła po sobie dzieł zdobiących półki bibliotek ani nie prowadziła zażartej polemiki z żadnym wybitnym przedstawicielem Kościoła, ale przez całe życie równie wytrwale, jak dyskretnie siała ziarno swoich ideałów i umiała wzniecić w słuchaczach iskierkę wolnomyślicielstwa, jasność myśli i przebudzić głębie ducha. Miałam szczęście być przy niej do końca i mogę zapewnić, że zmarła wierna swoim przekonaniom i w towarzystwie duchów ukochanych osób. W pewien sposób na łożu śmierci złożyła w moje ręce świadectwo swojej życiowej walki, będąc przekonana, że te złe dla nas i dla świata czasy w końcu nas wzmocnią. Obiecałam jej, że przezwyciężę swoją wrodzoną nieśmiałość i pójdę wskazaną przez nią drogą, i właśnie dlatego dzisiaj odważam się wypowiedzieć słowa dedykowane pamięci i wspomnieniu osoby, którą noszę w sercu jako jedną z najlepszych, najbardziej wielkodusznych i inteligentnych, jakie kiedykolwiek poznałam. To, że była matką mojego męża, w tym przypadku jest jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

[...]

Ze względu na to wszystko, co powiedziałam do tej pory, uważam, że istnieje wiele kwestii wymagających od nas wytrwałości i pełnego zaangażowania. Pierwszą z nich jest pacyfizm. Musimy być w stanie przekonać nasze społeczeństwo do tego, w co wierzymy: że świat bez broni, kary śmierci, politycznych granic, oparty na współpracy jednostek jest możliwy. Dlatego powinniśmy domagać się rewolucji społecznej i kulturowej, która musi wyjść od nas, a nie być narzucona przez jakiś rząd czy instytucję - oczywiście łącznie z Kościołem katolickim, który darzymy głębokim szacunkiem, choć nie przestrzegamy jego praw. Koniecznością jest również, żeby kobiety przestały postępować pod dyktando mężczyzn, żebyśmy nauczyły się być wolne

i cieszyć się tą wolnością, podejmując własne decyzje i oczywiście biorąc odpowiedzialność za swoje błędy. Tylko ktoś, kto myśli samodzielnie, popełnia błędy. Musimy dążyć do tego, żeby przestać być wiecznymi dziewczynkami. Odrzucmy obecną naukę, która tworzy kobiety ignorantki, potrafiące jedynie prowadzić dom i poprawnie zachowywać się w towarzystwie. Chcemy uczyć się tego samego co mężczyźni. Mamy prawo korzystać z tych samych lektur i wykonywać te same prace. Jak również - dlaczego nie? - z tej samej pozycji w pewnych wydarzeniach publicznych, na przykład w pogrzebach, z których jesteśmy naturalnie wykluczane, jak gdyby nasz ból lub obecność były wstydlive. Nasza godność moralna dotyczy wszystkich sfer, łącznie z tymi, które w innych rozpala miłość.

[...]

Na koniec chciałabym wspomnieć o kwestii, która osobiście mnie niepokoi, zwłaszcza że widziałam, jak ustalone zwyczaje godzą w nasze prawa i godność, jeśli nie możemy stawić oporu. Mam na myśli cmentarze. Wszyscy wiemy, że w San Quintín de Mediona, miejscowości położonej w prowincji Barcelona, istnieje większy i piękniejszy od katolickiego cmentarz spirytystów i że odbywają się tam liczne pogrzeby, podczas których żaden katolicki ksiądz nie narzuca swoich obrzędów ani nie zabrania pochówku, jak to się zdarza od jakiegoś czasu w naszym mieście. Uważam, że w tej kwestii powinniśmy być ostrożni, chociaż stanowczy. Tłumaczyć tym, którzy uważają się za obdarzonych łaską rozsądku, że istnieją także inne punkty widzenia oprócz głoszonych przez nich. Należy o tym przekonywać innych, lecz nie narzucać im naszego zdania. Proponuję, aby każdy z nas podpisywał dokument z prośbą o pogrzeb pozbawiony rytuałów, w naszym obrzędzie, i żebyśmy wytrwali w tym przekonaniu bez względu na to, jak bardzo będziemy piętnowani jako ludzie przesądni, heretycy, a nawet dzieci diabła. Musimy wziąć na siebie trudności czasów, w jakich przyszło nam żyć, i ciężar wpływów tradycyjnej moralności wywierany na wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, które w trudnych czasach wolą chronić się pod osłoną tego co niezmiennie. Mimo wszystko powinniśmy wierzyć, że nadejdą dla nas lepsze czasy, i pracować z tą nadzieją. I wreszcie zrozumieć, przyjaciele, że być może urodziliśmy się o sto lat za wcześnie.

Od: Valérie Rahal

Data: 2 kwietnia 2010

Do: Violeta Lax

Temat: Och, ta miłość...

Ach, Córeczko, trudno mi uwierzyć, że w Twoim wieku nie dostrzegłaś objawów tajemniczej choroby, która dotknęła Twojego ojca. Tej, która powoduje, że stał się miłszy, przystojniejszy, bardziej elegancki, rozrzutny, towarzyski i wrażliwy jak nigdy. On jest zakochany. Zadzwoił do mnie, żeby mi o tym powiedzieć, ale nie było takiej potrzeby. Już o tym wiedziałam dzięki Twojemu sprawozdaniu z kolacji. Jemu jednak powiedziałam, że odgadłam to po tym, jak powiedział do mnie „cześć”. Chyba zrobiło to na nim wrażenie.

Tak naprawdę Twój ojciec nie zadzwonił do mnie, żeby obwieścić mi, że się zakochał. Zadzwoił, by mi powiedzieć (w tej kolejności), że martwi się o Ciebie, żebym się tym zajęła i że się żeni. Ślub (cywilny) odbędzie się w Awinionie w przyszłą sobotę o godzinie 12.30. Poprosił mnie również, żebym Ci o tym powiedziała, że z góry wybacza, że nie przyjedziesz, i oczywiście że nie musisz dawać mu żadnego prezentu. Zadurzył się w tej lubiącej drogie zegarki dziewczynce. Nie przejmuj się: dwadzieścia pięć lat temu pomyślałabym to samo co Ty.

Dzwoniła też do mnie Drina. Mówi, że wysłała Ci kilkanaście maili i że nie dajesz znaku życia. Powiedziałam jej, że jesteś bardzo zajęta, zepsuł Ci się komputer i jesteś w podróży. Pewnie zauważyła, że próbuję Cię usprawiedliwić, i nie uwierzyła w ani jedno moje słowo. Pytała, czy wkrótce wracasz. Widocznie nagromadziły się niecierpiące zwłoki sprawy i kończą się jej pomysły na wyjaśnienia (i wydaje mi się, że również cierpliwość). Wspomniała, że wśród najbardziej dręczących ją rzeczy jest wywiad dla CNN. Z tego co rozumiałam, na odpowiedź pozostały jej niecałe dwadzieścia cztery godziny. No proszę, mam ważną córkę!

Ponieważ nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, cytuję jej pytanie: Czy zamierzasz wkrótce wrócić? A raczej: Czy zamierzasz wrócić?

Co do zawiedzionej młodzieńczej miłości, o której napisałaś mi w przedostatnim mailu, powiem tylko, że spodziewałam się czegoś bardziej gorszego. Nie rozumiem, dlaczego tak długo ukrywałaś przede mną coś tak banalnego. Niemożliwe miłości skrywają się we wszystkich zakurzonych kątach ludzkiego życia, Vio. Nie jesteś wyjątkiem. Przynajmniej pod tym względem. Chociaż przyznaję, że romans ze znanym piosenkarzem wydaje się bardzo ekscytujący.

Spotkaj się z nim, załatw tę zaległą sprawę. A potem prędko opowiedz mi o tym i wróć do swojego życia. Twoje dzieci i matka Cię potrzebują. Mnóstwo całusów. Od Jasona też.

Mama

XIX

22 października 1912 roku gazety w epickim stylu poinformowały o dotarciu do serbskiej granicy żołnierzy armii greckiej mających walczyć przeciwko Turkom. Szczegóły opisów napadów na spowite mgłą pociągi, wykradania nieprzyjacielskich flag, wybuchów bomb w środku nocy czy greckiej floty odpływającej od brzegów Lemnos budziły w spadkobiercy Laxów takie same emocje, jakie odczuwał w dzieciństwie, kiedy Concha opowiadała mu historie ze swojej wsi. Inaczej jednak przyjął informację o grupie robotników kolejowych pracujących na trasie Madryt–Saragossa, którzy zanudzali czytelników swoimi petycjami wydrukowanymi na tej samej stronie. Zamknął gazetę, napił się porannej kawy, zaciągnął pasek jedwabnego szlafroka i zaczął się zastanawiać, jakie zdarzenia przyniesie mu dzień. Nagle drzwi otworzyły się bez pukania i na scenę wkroczyła Maria del Roser z zarumienionymi policzkami.

– Dzień dobry, synu. Czy mogę wejść?

Pytanie było zbędne, skoro już weszła i właśnie usiadła. Wobec wymownego milczenia syna poczuła się w obowiązku zapytać:

– Przeszkadzam?

– Właśnie szedłem do pracowni – odpowiedział Amadeo, zamierzając wstać.

Ręka Marii del Roser złapała go energicznie za ramię.

– Sekundę – powiedziała. – Muszę porozmawiać z tobą o bardzo ważnej sprawie.

Amadeo usiadł niechętnie.

– Chodzi o twojego brata. Ostatnio wydaje mi się przygnębiony. Ledwie je.

– Może się zakochał.

– Jestem tego pewna! Ale kiedy był zakochany kilka miesięcy temu, miał lepszy humor.

Niespokojne oczy Marii del Roser przebiegły po blacie biurka i wszystkich leżących na nim przedmiotach: po skórzanej teczce, zestawie do pisania i osuszaczu z ciętego kryształu, po srebrnych kałamarzach, elektrycznej lampie z kryształkami... zasadniczo wszystko wyglądało tak samo jak za życia Rodolfa, niemniej wydawało jej się tak obce, jakby to było inne miejsce. Być może tą obcą jestem ja, rzekła sobie.

Zaniepokojony badawczym wzrokiem matki Amadeo udawał, że robi porządek w papierach. Ułożył je w sterty, pilnując, by jedne dokumenty były na górze, a inne na dole. Obawiał się bezceremonialności, z jaką Maria del Roser wchodziła do gabinetu, rozglądała się, brała bez wahania każdy papier, który zwrócił jej uwagę, i oglądała go z wielkim zainteresowaniem zmrużonymi oczami, jak gdyby jego dokumenty były rodzinnymi fotografiami. Aby nie zobaczyła tego, czego nie powinna, Amadeo otworzył szufladę po prawej stronie biurka i schował w niej jeden ze stosów.

– Czy mógłbyś usiąść spokojnie? – zbeształa go matka. – Denerwuje mnie to. Ach, przecież to pieczęć Brusésów! – Złapała leżący w zasięgu jej ręki bilet wizytowy z cienkiego kartonu dobrej jakości i przeczytała: – „Szanowny Panie Lax. Chciałabym zlecić Panu sportretowanie moich sześciorga pasierbów oraz mnie. Proszę mnie odwiedzić, kiedy będzie Pan mógł, i omówimy warunki. Pozdrawiam serdecznie, doña Matilde Bessa, wdowa po don Casimirze Brusésie, armatorze i eksporterze kawy”. No proszę – stwierdziła Maria del Roser. – Brusésowie to dobra rodzina. Powinieneś przyjąć to zlecenie.

– Dziękuję, matko. Będę o tym pamiętał. Czy jeszcze o czymś w tej chwili powinniśmy

porozmawiać?

Maria del Roser odłożyła równiutko bilet na róg biurka, upewniając się, że nie wystaje za żadną krawędź. Następnie z tą samą starannością skrzyżowała ręce na kolanach pokrytych surowym jedwabiem i zauważyła:

– Widzę, że nie pomożesz mi w sprawie twojego brata.

– Juan i ja ledwie się do siebie odzywamy. Nie jest wskazane, żebym wtrącał się w jego sprawy. Poza tym jest już dużym chłopcem.

– Tak, osiemnaście lat... Najgorszy wiek dla mężczyzny. Wiek, w którym marnuje się własne życie.

– Czy matka odrobinę nie przesadza?

Zamyślona Maria del Roser ponownie zaczęła bawić się bilecikami.

– Mam z wami krzyż pański, synu. Czy nie moglibyście się pogodzić? Bez względu na to, jak poważne było to, co się wydarzyło w szkole, to jest już przeszłość. Minęło prawie dziesięć lat.

– Osiem.

– Osiem, dziesięć... co za różnica. Na pewno jest na to jakiś sposób.

Amadeo wziął bilet wizytowy wdowy po armatorze i eksporterze kawy i położył go na swojej aktówce.

– Jak się ma dzisiaj Violeta? – zapytał. – Czy czuje się lepiej?

Przygnębiona Maria del Roser potrząsnęła przecząco głową.

– Nadal wymiotuje. Jest z nią Conchita.

– Czy zbadał ją doktor Gambús?

– Dzisiaj rano. Zalecił jej post i picie wody. Myślę, że ten człowiek nieuchronnie się starzeje. Mógł przynajmniej przepisać jej jakieś pastylki! To oczywiste, że lekarze nie są już tacy jak dawniej.

– Później pójść do niej.

Maria del Roser wzięła nóż do otwierania kopert. Spojrzała na niego. Obróciła go. Odłożyła na biurko. Wzięła blaszane pudełko leżące na górze zeszytów. Przeczytała: „Perry & Co, for rapid writers”. Odłożyła je na miejsce. Wzięła inne: „Laxen Busto. Skuteczny. Miły. Nieszkodliwy. Wydajny. Nie podrażnia ani nie wywołuje bólu”.

– Masz zaparcia, synu?

Amadeo stracił cierpliwość.

– Proszę, żeby matka odłożyła to na miejsce.

– Nie ma się czego wstydzic. Ludzkość od wieków ma zaparcia.

– Przypominam matce, że to nie jest już gabinet ojca. Nie może matka tutaj wchodzić i wszystkiego przetrząsać.

Maria del Roser odstawiła blaszane pudełeczko na miejsce, gdzie wcześniej położyła bilet, przyznając synowi rację. Dodała:

– To z przyzwyczajenia, wybacz.

– Rozmawialiśmy o Violetcie – mówił dalej, wracając do głównego tematu tej chaotycznej rozmowy. – Jeśli w ciągu kilku dni jej się nie poprawi, pošlę po szwajcarskiego lekarza.

– Biedny człowiek! Dlaczego z tak daleka?

– Szwajcarscy lekarze są najlepsi.

Maria del Roser przyglądała się ścianom. Nie podobało jej się, że portret Conchity nalewającej wodę na dziedzińcu zajmuje główną ścianę.

– Powinieneś powiesić tutaj portret ojca – uznała. – Oczywiście gdybyś go namalował.

– Myślę o założeniu tu telefonu. – Wskazał na jedyną pustą ścianę. – To chyba najlepsze miejsce.

– Twój ojciec mawiał, że telefon nie pozwala mu pracować.

Amadeo westchnął. Nauczył się szanować gorsze dni matki, kiedy tęsknota za przeszłością powodowała, że stawała się apatyczna, marudna i skłonna do marnowania czasu. Było to częścią jego rutyny, podobnie jak wizyty Trescenta czy prośby Eutimii w sprawach domowych.

– Szkoda, że nie zajmujesz się sam interesami, jak chciał twój ojciec – kontynuowała narzekania kobieta, z apatią patrząc w pustą ścianę.

– Rozmawialiśmy już o tym wiele razy, matko. Niech matka poprosi może Conchitę, żeby przygotowała matce ziółka? Nie ma matka nic do czytania?

Nadaśany grymas.

– Nic, na co miałabym ochotę... Nie ma już takich pisarzy jak dawniej.

– Poza tym nie powinna matka martwić się funkcjonowaniem przedsiębiorstw. Moje szaleństwo nie odzwierciedla się w rocznych bilansach. Wręcz przeciwnie, fabryki działają lepiej niż kiedykolwiek. Mam nawet zamiar poszerzyć interesy o show-biznes z pomocą Bassegody.

Matka fuknęła, nie wiadomo, czy na znak protestu czy rezygnacji.

– Zapomnij o tych szwajcarskich lekarzach – powiedziała ze stanowczością. – Przecież twoja siostra nie umiera. I obiecaj mi, że zajmiesz się Juanem.

– Dobrze. Czy jeśli to obiecuję, matka sobie wreszcie stąd pójdzie?

– Nie. Pójdę sobie, jeśli dasz mu awans. Musi czymś zarządzać, żeby się nie nudzić.

– Czy dyrektor fabryki matce odpowiada?

Twarz Marii del Roser rozświetlił uśmiech. W końcu się dogadali.

– Świetnie. Ale nie wysyłaj go zbyt daleko.

– A gdzie by matka chciała? Do San Martín? Do San Andrés?

– Może być San Martín. Julián może zawozić go tam samochodem po zajęciach na uczelni i czekać na niego, żeby przywieźć go z powrotem do domu.

– Czyli praca w godzinach popołudniowych. Dobrze. Czy coś jeszcze?

– Nie kpij sobie! Wystarczająco dużo zmartwień mam z wami dwoma!

– Jutro porozmawiam z Trescentsem.

Wyjściu kobiety towarzyszył szelest tkanin. Wyglądała na zadowoloną. Amadeo odprowadził ją i zamknął drzwi na klucz.

– I pamiętaj, że zostało ci jeszcze trochę czasu, żeby mnie namalować – wymamrotała, wchodząc ze znużeniem po schodach.

Niech matka i syn zajmują się swoimi sprawami, my zaś postarajmy się w tajemnicy zrobić to, czego Amadeo się boi, a Maria del Roser nie śmie: zakłócić spokój przedmiotów. Oczywiście zaczynając od szuflady po prawej stronie biurka. A konkretnie od dokumentu, który Amadeo specjalnie schował pod plik papierów. Opatrzony jest podpisem Trescenta i obiecującym nagłówkiem: „Raport na temat pracownicy numer 789 Przędzalni i Tkalni Golorons i synowie w San Andrés, Montserrat Espellety Torres, lat 16”. Raport napisany jest na maszynie, niektóre fragmenty podkreślono na czerwono, wiele słów obwiedziono kółkiem: „16”, „lojalna”, „młodsza siostra”, „opór”, „kuplety”, „ładna figura”.

Dołączono do niego zdjęcie grupy pracowników fabrycznych, zbyt ogólne, żeby można dostrzec twarze poszczególnych osób, na odwrocie zaś napisano ołówkiem: „Montserrat Espelleta Torres jest pierwsza z prawej w drugim rzędzie”. Raport jest stary, datowany na luty 1910 roku. Przez dwa lata leżenia na biurku Amadea całkiem się zdezaktualizował.

Między papierami znajdują się również astronomiczne rachunki: z restauracji, hoteli, od modniarzy, kuśnierzy, jubilerów, za wynajem samochodów... Amadeo uważa je za namacalne pamiątki po niezapomnianych nocach. Między nimi kryje się bilecik od Octavia Condego: „Bardzo doceniam

Twoją życzliwość i dyskrecję ostatniej nocy, przyjacielu. Panna Niepamiętamjaka była wspaniałym kąskiem, tak jak zapowiedziałeś. Okazało się, że mamy identyczne gusta! Niech żyje więc miłosa wspólnota! Zniszcz, proszę, tę wiadomość. Chyba nadal jestem pijany”.

Jest tu również akt własności mieszkania przy Rambla de Catalunya. Niezbyt dużego jak na nawyki i zwyczaje Laxów; olbrzymiego jak dla lokatorów z przyszłości. Są faktury za meble, pościel, sprzęt do łazienki, nawet za łóżko robione na miarę – wedle wielkości pożądanego – wszystko kupione w El Siglo z najwyższą dyskrecją, tak że nikt nie został skompromitowany. Są tu również bilety do sal widowiskowych: kawiarenek, gdzie odbywały się koncerty, kina z wodewilem, kabaretów w większości mieszczących się w barakach Paralelo. Jest zdjęcie z nabazgraną dedykacją Raquel Meller pod pełnym kokainy blaszanym pudełeczkiem, na którego pokrywce widnieje napis: „Magiczny proszek na żołądek doktora Creusa”.

Są też salda z Banco de Barcelona zaokrąglone do zawrotnych kwot, protokoły ze zgromadzeń wspólników, gratulacje kolegów z powodu finansowego dobrobytu, listy od europejskich, amerykańskich i azjatyckich klientów... oraz dziesiątki zapisanych cyframi stron zbierających kurz, lecz niezwracających najmniejszej uwagi adresata.

I tak moglibyśmy śledzić dalej drobne oznaki istnienia jednego z najbogatszych przemysłowców miasta, a zarazem człowieka najmniej zainteresowanego swoją fortuną. Chociaż znajdziemy większą przyjemność, pozwalając się ukołysać tykaniu stojącego na gzymsie zegara lub przyglądając się geometrycznym kształtom, które słońce rysuje na dywanie w miarę upływu dnia.

Mija nie jedno popołudnie, lecz wieki. Jako nic nieznaczące okruchy świata nie dostrzegamy, jak ów świat pędzi. Jedno mrugnięcie oznacza dekadę. Lot muchy po pokoju trwa pięćdziesiąt lat. Nas, nieobecnych, czas nie obchodzi. Na tym polega nasze małe zwycięstwo. Kiedy ponownie podnosimy wzrok, nie ma już na biurku pudełeczka ze stalówkami ani lampy z kryształowymi frędzelkami. Kałamarze ustąpiły miejsca luksusowemu zestawowi do pisania ze srebra i czarnego bursztynu. Portret Conchity wisi teraz na bocznej ścianie. Uprzywilejowane miejsce należy obecnie do oryginalnego portretu pani Marii del Roser. Telefon stoi już na blacie: marki Thomson-Houston ze złotą tubą i słuchawką na czarnej podstawie. A więc świat pędzi dalej mimo wszystko.

Biurko nadal jest wypełnione papierami, ale teraz są to coraz wyższe i wyższe sterty. Przejrzenie ich byłoby męczące, a poza tym jest zbędne. Dotyczą sprawozdań finansowych, wypowiedzeń z pracy, negocjacji z pracownikami, drobnych napraw i tych wszystkich drobiazgów, które wypełniają życie wielkiej firmy. Dla nas ciekawiej będzie zatrzymać się na liście ze szwajcarskiego sanatorium – we Fryburgu – którego dyrektor użył wielu słów, by przeprosić „w imieniu nauk medycznych” za to, że nie był w stanie „zapropionować żadnego rozwiązania dla tego dramatycznego przypadku”. Kolejna nowość: na biurku stoi krucyfiks. Słoneczne światło jest równie wesołe, ale na podłodze nie ma już dywanu. Jest zapewne lato. Jedno z niewielu, których Maria del Roser Golorons nie spędziła w posiadłości w Caldes d’Estrach. Musi być jeszcze jakiś inny powód. Odpowiedź leży w ciszy. W domu panuje smutek, którym prawdopodobnie zaraziło się monotonne tykanie. Słysząc kobiety odmawiające gdzieś nieopodal różaniec.

W gabinecie panuje upał, który nikomu nie przeszkadza. Jedynie my jesteśmy tutaj obecni. Drzwi są nadal zamknięte na klucz, mimo że odkąd rozpoczęła się ta scena aż do jej zakończenia otworzą się i zamkną setki razy. Powiedzieliśmy, że nie ma tu nikogo, ale obecność niektórych mieszkańców pozostawiła ślady na przedmiotach. Conchita przyniosła wycinek z gazety, który drzemie w koszu na śmieci w postaci kulki zmiętego papieru. To tylko kawałek gazety, lecz dla niej był czymś więcej: był nadzieją. W artykule opisano zdolności uzdrowicielskie niejakiego doktora Manna, Francuza, który reklamował się jako „leczący beznadziejne przypadki”. Ośmielał się nawet zachęcać kolegów po fachu:

„Lekarze, zapraszam, żebyście przyprowadzili do mnie swoich nieuleczalnie chorych pacjentów”. Jeśli to prawda, że ściany mają uszy, z pewnością nadal się zastanawiają, jak straszne cierpienie doprowadziło Conchitę do tego, że po raz pierwszy i ostatni w życiu podniosła głos na Amadea, i w jaki sposób on znalazł siły, by odpowiedzieć niańce, że nie pozostało nic do zrobienia oprócz modlitwy o szybki koniec. A potem nastąpiło czuwanie. Przez całe dwie doby pan domu siedział zamknięty w pokoju z łokciami opartymi na leżących na biurku papierach i z twarzą ukrytą w dłoniach, płacząc po kryjomu. Trzeciego dnia wyszedł, przywdział żałobę i pokierował pogrzebem swojej siostry Violety, zmarłej na białaczkę w wieku szesnastu lat.

Przez kolejne trzy dni drzwi były zamknięte. Na biurku wszystko wydawało się przygotowane na częste eskapady swojego pana. Zniszczona gazeta z tego dnia oznajmiała straszną datę śmierci dziewczynki: 26 sierpnia 1914 roku. Na trzynastej stronie było sprawozdanie ze spotkania przedsiębiorców, które odbyło się dzień wcześniej w hotelu Ritz w czasie najdroższej kolacji w historii tego lokalu – po dwadzieścia pięć peset za osobę – z okazji uczczenia neutralności Hiszpanii w europejskiej wojnie. Na stronie dziesiątej korespondent z Bilbao informował, że mimo dwóch tysięcy ofiar angielskiej armii udało się zabić wielu niemieckich żołnierzy i strącić sterowiec niosący bomby. Na jedenastej pisano o smutku ciężącym na Włoszech po śmierci Piusa X, podczas gdy dobiegały końca przygotowania do przerzedzonego przez wojnę konklawe. Na stronie piątej, jasno podkreślając pierwszeństwo, jakie w tamtych czasach dobrobytu miała dla barcelończyków rozrywka, ogłaszano repertuar teatrów i salonów mody. Teatr Doré oferował „najpełniejszy w mieście program variétés” z zamykającym przedstawienie występem „najpiękniejszej i najzabawniejszej z naszych kabaretowych piosenek”, której imię napisano wielkimi literami: PIĘKNA OLIMPIA.

Jednak tego wieczoru, jak i w następne najbardziej oczekiwany z zagorzałych wielbicieli artystki nie zajmie miejsca zarezerwowanego dla niego w pierwszym rzędzie. Nie odwiedzi jej również w jej garderobie. Ani w łóżku.

Piękna Olimpia rozpoczęła długą powolną drogę ku upadkowi, naiwna i ufna, zakochana w nieodpowiednim mężczyźnie.

Od: Violeta Lax

Data: 3 kwietnia 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Niespodzianka!

Kochana Mamo,

Twoje rozczarowanie jak zwykle wynika z mojego tchórzostwa. W tym wypadku odzwierciedlającego się w dwuznaczności przekazu.

Mogłabym opowiedzieć Ci o wizycie Włoszek, ale zostawię to na później.

Mam dla Ciebie dwie wiadomości, które z pewnością pomogą Ci odzyskać zainteresowanie moją historią.

Po pierwsze, w końcu ustaliłam dzień i godzinę załatwienia tej zaległej sprawy. Przysięgam, że stanie się to jeszcze w tym tygodniu.

Po drugie, moją młodzieńczą miłością nie jest, jak uznałaś, „znany piosenkarz”. To Margot Mallais. Czyli znana piosenkarka.

Spokojnie sobie przetraw tę wiadomość, Mamo. Bez względu na to, jak bardzo jesteś nowoczesna, nie sądzę, by było Ci łatwo przyswoić informację, że miłością życia Twojej córki była inna kobieta.

Bardzo Cię kocham,

Vio

Raport dotyczący pracownicy nr 789 Przędzalni i Tkalni Golorons i synowie w San Andrés, Montserrat Espellety Torres, lat szesnaście
Sporządzony przez Tomása Trescentsa w lutym 1910 r.

1) Informacje na temat rodziny:

Ww. pracownica jest córką Trinitat Torres Gilbert i Salvadora Espellety Bartomeusa oraz młodszą siostrą Miguela i Salvadora Espellety Torres. Oboje rodzice pracowali w Przędzalniach i Tkalniach Golorons i synowie od 1897 r. Matka pracuje tam nadal (w farbiarni). Ojciec znajduje się w nieznanym miejscu od czasu tragicznych wydarzeń w ostatnim tygodniu lipca 1909 r., w których aktywnie uczestniczył. Jest poszukiwany od 3 sierpnia. Jego synowie, Miguel i Salvador, zostali zatrzymani i osądzeni przez zwyczajny sąd wojskowy (przewodniczył kapitan piechoty Luis Franco Cuadras) za przestępstwo buntu popełnione we wspomnianych dniach. Obaj odbywają karę piętnastu lat więzienia. Jedna z ich kuzynek oraz bliski krewny pracujący w naszej cegielni w Barcelonie nigdy nie przysparzali problemów.

2) Opis:

Wzrost 164 cm. Waga ok. 55 kg. 16 lat. Włosy i oczy brązowe. Ładna figura. Wesołe i żywe usposobienie. Rozpoczęła pracę w Manufakturach Goloronsów w wieku 9 lat (w przędzalni). Mając 11 lat, przeszła do farbiarni, gdzie po ukończeniu 14 lat dostała samodzielne stanowisko pracy. Ze strony brygadzystów nie ma na nią skarg poza tym, że muszą często zwracać jej uwagę za śpiewanie kupletów, które nie wszystkim się podobają. Jest schludna i punktualna. Trzykrotnie prosiła o podwyżkę.

3) Jej przyjaźń z panem Juanem Laxem:

Rozpoczęła się w czasach, kiedy pan Lax pracował nad stworzeniem raportu dotyczącego poprawy warunków pracy robotników. Panna Espelleta zaproponowała mu pomoc i między dwojgiem młodych - są w podobnym wieku - zrodziła się natychmiast przyjaźń. Pracownicy potwierdzają, że w wielu przypadkach widziano, jak się całowali, chociaż piszący ten raport nie jest o tym przekonany. Znajomość nie przerodziła się w nic poważniejszego.

W sobotę 23 kwietnia 1932 roku o ósmej rano Laia wyszła na dziedziniec uzbrojona w sekator, kierując się prosto do żółtego krzewu róży. Przyjrzała się uważnie wielu kwiatom, wybrała jeden ledwo rozwinięty pąk i uważając, żeby nie pokłuć się kolcami, ucięła go tak, jak nauczyła ją matka: dokładnie pod jednym ze zgrubień i pozostawiając łodygę wystarczającej długości, żeby kwiat pięknie wyglądał. Niosąc go, zbiegła schodami do kuchni, w której Antonia właśnie kończyła przygotowywać tacę ze śniadaniem dla pani Teresy.

– Czy mogę sama włożyć ją do wazonika? Proszę, proszę... – nalegała dziewczynka.

Stara pokojówka kiwnęła głową. Z niezwykłą starannością Laia oczyściła z liści i kolców dolną część łodygi i włożyła ją do stojącego na serwetce delikatnego wazonika z porcelany. Oczy błyszczały jej ze szczęścia.

Wiedziały o tym jedynie Laia i Antonia. Vicenta kursowała już w tę i z powrotem ze swoimi rondlami. Carmela była na wyższych piętrach. Julián pogryzał zamoczoną w oliwie kromkę chleba i starał się czytać satyryczne wierszyki w gazecie, podczas gdy Higinio zagadywał do niego słowami jakby żywcem zaczerpniętymi z obrad madryckiej komisji parlamentarnej.

– Jacy wy, Katalończycy, jesteście wyczuleni na słowa! Nie wystarczy wam żyć w jednym z regionów jak reszcie obywateli republiki? Nie, wy musicie mieć państwo! Czyje państwo? Fanatyków zdolnych proklamować niepodległość w swojej łazience, a następnie zwołać referendum, żeby ludzie was poparli. I oczywiście ludzie to robią, bo najważniejsze to się wyróżniać. Inny język, inni sędziowie, chcecie nawet innych praw! I niech nikt nie śmie nawet pisać! Po co macie dogadywać się z resztą śmiertelników? Wy możecie uchylać własne prawa, bo jesteście niezależni i najmądrzejsi ze wszystkich!

Julián był flegmatycznego usposobienia, co nie oznaczało, że nie miał jasno zdefiniowanych przekonań i że nie zamierzał bronić ich przed kim trzeba, pod warunkiem że rozmówca nie pluł mu w twarz, mówiąc, jak rozgorączkowany Higinio. Chwilowo uznał, że lepiej będzie dokończyć śniadanie, przeczytać wierszyk, którego nie mógł zrozumieć z winy Higinia, i jak najprędzej wrócić do zajęcia doprowadzającego do furii krewkiego dozorcę: do malowania na starym prześcieradle dużymi literami po katalońsku hasła głoszącego:

EL GREMI DE CONDUCTORS I XOFERS
VOL L'ESTATUT TAL COM L'APROVA
EL POBLE DE CATALUNYA⁵.

Jak zwykle opanowany Julián wybierał się nazajutrz z tym transparentem pod Banco de España, skąd wyruszyć miała manifestacja popierająca przyjęcie statutu⁶. Wyglądało na to, że przeszkody stawiane przez rząd centralny, próbujący nie dopuścić, by doszło do uchwalenia aktu wyphywającego z woli i uprawnień ludu katalońskiego, były aż nazbyt wystarczającym powodem do publicznego oburzenia. Julián był przekonany, że kiedy tylko dowiedzą się o tym w Madrycie, pójdą po rozum do głowy i zatwierdzą statut jak należy. Na manifestacji towarzyszyć mu miała Vicenta. Nie bez powodu była jedną z czterystu tysięcy kobiet, które podpisały poparcie dla statutu podczas referendum, dając w ten sposób do zrozumienia, że choć nie mają prawa głosować, chciałyby zostać usłyszane. Postanowili zabrać ze sobą Laię, mimo że miała jedynie dwanaście lat, żeby od dziecka uczyła się

jednego z podstawowych ludzkich uczuć: patriotyzmu.

– Nie ma co szukać wyjaśnienia uczuć, Vicente. Trzeba je po prostu okazywać – wyrozumiale powiedziała pani Teresa kucharce, kiedy poprosiła o kilkugodzinne wychodne w niedzielę.

Ale spokój ducha, z jakim domagali się swojego, wyprowadzał z równowagi ludzi takich jak Higinio.

– Jestem otoczony przez separatystów. A Alfons Trzynasty? Czy nie był przyjacielem rodziny? To szaleństwo! Nawet państwo bronią Macià i jego statutu – protestował Higinio pochodzący z Chinchilla de Monte-Aragón w prowincji Albacete, gdzie mieszkał do ukończenia trzydziestu pięciu lat, nie wyobrażając sobie nigdy takich politycznych zawirowań.

– Jesteście nudni, w kółko mówicie o tym samym – wtrąciła Antonia, akceptując spojrzeniem tace z śniadaniem dla Teresy. – Nie widzicie, że nie ma żadnych zmian i że sytuacja nigdy nie będzie inna?

Na talerzyku z cienkiej porcelany leżały obrane kawałki pomarańczy, dwa plastry gotowanej szynki i jajko na twardo. W wiklinowym koszyczku po prawej stronie spoczywały dwie świeżo upieczone bułeczki. Trzy kulki masła znajdowały się w maleńkiej ceramicznej miseczce. W drugiej była marmolada jeżynowa, którą pani uwielbiała, odkąd służąca sięgała pamięcią. Sztućce, lniana serwetka, kryształowa szklanka i filiżanka. Wszystko na swoim miejscu.

Ponieważ nigdzie nie było widać Carmeli, Laia wyskoczyła z propozycją.

– Ja mogę zanieść tacę z kawą i sokiem – powiedziała, stając w gotowości.

– Nie, nie, dziecko. Mogłabyś spaść ze schodów.

Zaczęły się sprzeczać. Dziewczynka usilnie prosiła. Vicenta w końcu wyraziła zgodę.

– Pozwól jej – wyszeptala do ucha Antonii. – Ona uwielbia panią Teresę. Da sobie radę.

We dwie zatem ruszyły na górę.

Antonia była chuda, lecz silną kobietą. Szła wyprostowana, jakby połknęła kij, ale poruszała się zwinnie. Zazwyczaj gęste kasztanowe włosy przyprószone siwizną nosiła gładko zaczesane w kok, z którego zawsze wymykał się jakiś kosmyk. Widziana od tyłu mogła uchodzić za młodą dziewczynę, jednak twarz wyprowadzała z błędu. Przeszło pięćdziesiąt lat życia wryło na policzkach, w kącikach ust i wokół oczu siateczkę zmarszczek, które stawały się wyraźniejsze od śladów po ospie tak starych, że nikt jej bez nich nie pamiętał.

Miała te dzioby, kiedy przyszła na służbę do Brusésów, i zaważyły na decyzji surowej pani Silvii Bessy, która wybrała Antonię spośród wielu kandydatek. Matka Teresy miała szczególny sposób dobierania służby i zawsze wołała brzydkie służące od ładnych. Była przekonana, że jeśli nie pożądamy ich mężczyźni, mniej odrywać się będą od obowiązków. W przypadku Antonii rzeczywiście trafiła w dziesiątkę. Dziewczyna pracowała niestrudzenie i była dumna zarówno ze swojej niekwestionowanej prawości, jak i z zachowanego dziewictwa. Jej wyższość moralna polegała na tym, że nigdy nie miała okazji ulec pokusom. Wcale z tego powodu nie zgorzkniała, a wręcz przeciwnie. Mówiąc o mężczyznach, robiła to z niepokojącą swobodą.

– Prędzej zostanę zakonnica, niż wyjdę za mąż! – mawiała. – Bóg przynajmniej szanuje swoje kobiety w łóżku!

Antonia znalazła się u Brusésów niedługo po narodzinach Teresy, którą nazywała Tessitą. Przez jedenaście lat była jej niańką. Jak również jej siostr, Silvity i Luisy. Wielokrotnie była świadkiem zmian w domu i przetrwała wszystkie rodzinne zawirowania: od prawych rządów pani Silvii do kościelnego ponuractwa pani Matilde czy pogwałcenia dobrych obyczajów przez osieroczone rodzeństwo. I z upływem czasu zajmowała coraz ważniejszą pozycję, począwszy od zarządzającej kuchnią aż do funkcji ochmistrzyni... Kiedy Teresa i Amadeo ogłosili swoje zaręczyny, modliła się, żeby jej słabowita dziewczynka zabrała ją ze sobą do nowego domu i wyciągnęła z chaosu bez sternika ani kapitana. Na szczęście jej modlitwy zostały wysłuchane. Kiedy zjawiła się ze swoją zasadniczą miną w domu Laxów,

niejeden mieszkaniec suterenny poczuł, że wraz z nią powróciła swego rodzaju świetność minionej epoki. Toteż najlepszym rozwiązaniem było umieszczenie jej w pokoju po Eutimii.

Antonia doszła do szczytu schodów i zręcznie oparła tacę o prawe biodro, żeby zapukać do drzwi pokoju.

Z wnętrza odezwał się ospały głosik:

– Proszę.

Zaraz po wejściu Antonia zauważyła, że nastrój jej pani uległ pogorszeniu. Teresa miała spuchnięte powieki jak ktoś, kto wieczorem zasnął z oczami pełnymi łez. Na jej widok pani próbowała się uśmiechnąć, ale wypadło to blado i mało przekonująco.

Kiedy postawiły obie tace na stole przy oknie, Antonia podała kawę tak, jak pani lubiła, a kryształową szklankę napełniła sokiem. Tymczasem Laia, stojąc za plecami Teresy, przyglądała się jej szeroko otwartymi oczami. Wzrokiem wodziła od delikatnych rannych pantofli z jedwabnymi chwostami do słoiczka z pudrem ryżowym, od subtelnych fałd satynowego szlafroka do srebrnej rączki szczotki, którą pani poskramiała swoje złote loki. I dalej: od ławki w garderobie, na której leżały części bielizny ozdobione haftem i koronkami, do uchylonych drzwi szafy, w której widać było bajeczne gazy i jedwabie.

Kiedy jej wzrok napotkał odbite w lustrze spojrzenie pani, strach przerwał oczarowanie. Poczowała, jak policzki jej płoną akurat w chwili, gdy Antonia podała jej tacę z napojami i powiedziała:

– Trzymaj ją mocno i zanieś do kuchni, proszę. I nie potknij się.

Młodziutka pokojówka bardzo chciała się dowiedzieć, co się stało pani, ponieważ nawet ona zauważyła, że coś jest nie tak. Nie mieściło jej się w głowie, że taka piękna, delikatna i bogata kobieta mogłaby mieć jakiegokolwiek zmartwienia. Myślała, że gdyby była na jej miejscu, rozwiązywałaby wszystko, udając się na przejażdżkę samochodem lub zlecając modniarce uszycie kilku pięknych sukienek na różne okazje. Oczywiście dorosłym trudno czasami dogodzić (nie mówiąc o tym, że zrozumienie ich jest niemożliwe).

Wychodząc, usłyszała jedynie pytanie, które Teresa zadała Antonii:

– Czy pan już wrócił?

Pozwólmy odejść dręczonej niezaspokojoną ciekawością Lai do kuchni i zaczekajmy na odpowiedź Antonii.

– Jeszcze nie. I nie ma go w domu od trzech dni.

Teresa usprawiedliwia go z nieobecny spojrzeniem.

– Z pewnością załatwia jakieś sprawy.

Antonia chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Od dawna nie mówi już o panu domu połowy z tego, co o nim myśli. Szczególnie Teresie, której nie chce ranić swoimi opiniami.

– Powinnaś porozmawiać z mężem, Tessito – radzi jej, powstrzymując się od komentarza. – Powiedz mu, że potrzebujesz więcej uwagi. To nie w porządku, że on spędza poza domem tyle nocy, jak gdyby...

– To bardzo zajęty człowiek, Antonio. Wiedziałam o tym, wychodząc za niego. – Uśmiecha się, przypudrowuje nos, wstaje i podchodzi do tacy. Zachowuje się, jakby nic się nie stało. – To nie jego wina. To ja wstałam w takim humorze. Nie wiem, co mi jest.

Antonia patrzy na nią bez słowa. Przychodzi jej na myśl kilka powodów, które również przemilcza. Jest jedną z tych osób, które nigdy nie wychodzą z domu i mało mówią. Wiedzą o wszystkim, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Zwracają większą uwagę na słowa innych. Ich największą zaletą jest intuicja.

Teresa pociąga łyk soku pomarańczowego, patrząc przez okno.

– Czy jest pochmurno? – Odsłania firankę, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. – Ale pech! Co za dzień!

Bez większego ożywienia ogląda różę. Opuszcza ręce luźno na kolana.

– Musisz coś zjeść – odzywa się Antonia.

Odpowiedzią jest grymas obrzydzenia.

– Nie mogę. Niczego nie przełknę.

Antonia nie ukrywa niezadowolenia.

– Rozchorujesz się, jeśli nie będziesz jadła.

W tym momencie ktoś puka do drzwi. Teresa każe wejść. Zjawia się Conchita.

– Dzień dobry, pani Lax – wita się, zamykając za sobą drzwi. – Pani Lax chce iść na Ramblę pooglądać książki i przysłała mnie, żebym zapytała, czy może skorzystać z samochodu pana Laxa i czy pani Lax miałaby ochotę do nas dołączyć.

Antonia reaguje na tak pełną powtórzeń kwiecistą przemowę spontanicznym uśmiechem.

– Czekam na pana Laxa – mówi Teresa, zarażona powtórzeniami niańki. – Przypuszczam, że wybrał się na mszę o ósmej. Dopóki nie wróci, nie będę wiedziała, czy mamy jakieś sprawy do załatwienia. Oczywiście jeśli chodzi o samochód, nie ma problemu.

Nie było problemu, ponieważ ostatnimi czasy Amadeo cieszył się jak dziecko, osobiście prowadząc swój najnowszy kaprys, rolls-royce'a model Silver Ghost, uznawanego przez niektórych za najlepszy samochód na świecie. Kazał sprowadzić go z Londynu w tym samym czasie, kiedy zbankrutował Banco de Barcelona, i z ostrożności ukrywał go przez kilka miesięcy. Odkąd postanowił się nim pochwalić, obowiązki rodzinnego szofera ograniczyły się do wożenia na przejażdżki dam oraz załatwiania nagłych nieprzewidzianych spraw.

Po wyjściu Conchity Teresa zaczyna się ubierać. Bielizna i para jedwabnych pończoch leżą na ławeczce w garderobie. Antonia przygotowała wszystko jak co dzień. Teresa zostawia nietkniętą kawę i patrzy na ubranie z apatią. Pokojówka protestuje, ale na nic się to zdaje. Młoda pani spogląda na niebo.

– Widzisz? Rozchmurzyło się. Nie mogło być inaczej!

Dwadzieścia minut później Teresa puka do drzwi saloniku teściowej ubrana w spódnicę i bluzkę koloru łososiowego, na nogach ma buty marki Columbia na obcasie pompadour. Wygląda ślicznie.

Maria del Roser ma dzisiaj dobry dzień. Dziewczyna poznaje to po pewności, z jaką ją przywitała.

– Ach, witaj, kochanie, to ty. Conchita powiedziała mi już, że nie pojedziesz z nami na spacer w święto Sant Jordiego⁷.

– Nie mogę. Być może będę musiała pójść z twoim synem na jakieś przyjęcie czy wieczorną mszę. Nie wiem jeszcze, jakie ma plany.

– Ani ty nie wiesz, ani nikt inny, kochanie. Wydaje się, że jedyny plan, jaki ma mój syn, polega na niszczeniu naszych planów.

Teresa nie odpowiada. Conchita zawiesza trzy sznury pereł hodowlanych na dekolcie pani Marii del Roser, która zatwierdza tę czynność w lustrze. Następnie pudruje sobie nos, spogląda na siebie z profilu, chowa zbuntowany siwy kosmyk włosów i wzdycha.

– Ach, nic już na to nie poradzę – mówi i nie wiadomo, czy ma na myśli swoją twarz czy syna. – Usiądź, dziecko, napij się herbaty.

Maria del Roser osobiście obsługuje synową. Nalewa jej porządną porcję herbaty, dodaje trzy łyżeczki cukru i odrobinę mleka.

– Dobrze ci robi. Wyglądasz okropnie.

Teresa się stara. Upija łyk. Wykrzywia usta. Odstawia filiżankę na stół.

– Jak miło – mówi starsza pani. – Dzisiaj obudziłam się z jasnym umysłem.

Teresa się uśmiecha i naprawdę cieszy. Kilka lat temu jej teściowa zaczęła cierpieć na zaniki pamięci. Początkowo nie wydawało się to poważne, ot, zwykle roztargnienie niemające znaczenia. Przestała pamiętać, gdzie zostawiła coś lub co ma zrobić następnego dnia, zapominała imiona krewnych, których rzadko widywała, myliła nowe służące. Takie rzeczy wcześniej też się jej przydarzały, pomimo że miała trzeźwy umysł. Aż pewnego dnia obudziła się niedysponowana i poprosiła Conchitę, żeby wezwała doktora Gambúsa.

– Doktor Gambús umarł, proszę pani. Nie pamięta pani? Jakies sześć lat temu.

– Naprawdę? – Zmarszczyła czoło, po czym zareagowała dziwnie gwałtownie. – Tak bez uprzedzenia? Co za brak lojalności! A nasza rodzina tak bardzo go ceniła! I płaciliśmy mu na czas! Czy wiesz, gdzie wyjechał?

Conchita wyjąkała zaniepokojona:

– Przypuszczam... że... do nieba.

– Nie ma już takich lekarzy jak dawniej... – mamrotała przygnębiona pani.

W nowym stanie pani Marii del Roser dobre było tylko to, że nie trwał długo. Tak szybko, jak wymyślała najbardziej szalone rzeczy, zapominała o nich.

– O czym to mówiłyśmy? – pytała często.

Kiedy jej stan zaczął się pogarszać, były dni, że nie pamiętała imienia syna ani swojej roli w rodzinie lub myliła Teresę z którąś ze służących.

– Wynieś, proszę, wreszcie tę tacę. Czy nie widzisz, że od dobrej chwili nie jest tu już potrzebna? Dlaczego stoisz jak gapa? Te młode ładne pokojówki myślą tylko o tym, żeby złapać narzeczonego z dobrej rodziny! – syczała przez zęby.

Conchita upominała ją:

– Na Boga, proszę pani, to pani synowa. Proszę tak nie mówić.

Wtedy Maria del Roser spoglądała na Teresę wzrokiem nie z tego świata i mówiła to, czego nikt nie chciał słuchać:

– To prawda, że mój syn gustuje w coraz młodszych pannach. Ale trzeba przyznać, że ta jest prześliczna...

Początkowo nadal pisywała artykuły i przyjmowała członków Środowego Koła. Jednakże w ciągu kilku miesięcy jej działalność intelektualna zgasła jak knot świecy i w miejsce kobiety postępowej jak na swoje czasy pojawiła się uśmiechnięta sześćdziesięcioletnia dziewczynka zmierzająca do absolutnego zapomnienia. Właśnie wtedy lekarze nazwali jej chorobę: demencja. Przepisali jej sen i spokój. Teresa osobiście zajęła się tym, żeby spełniany był każdy jej kaprys. Po pierwsze, zwolniła Conchitę ze wszystkich domowych obowiązków i mianowała ją pełnoetatową pielęgniarką. Codziennie starała się znaleźć chwilę, żeby odwiedzić teściową, zawsze pod odpowiednim pretekstem, jak pokazanie jej tkaniny czy poproszenie o radę w jakiejś drobnej sprawie. Traktowała ją z taką samą czułością, z jaką opiekowałyby się własną matką, gdyby los jej na to pozwolił. Teresa zawsze czuła, że pod tym względem jedynie odwzajemnia uczucie, które otrzymała: Maria del Roser również od początku traktowała ją jak własną córkę.

– Nie mam zamiaru wyjść, dopóki nie wypijesz herbaty – rzuciła nagle starsza pani rozkazującym tonem guwernantki. Zaraz potem pogłaskała ją po policzku delikatną dłonią. – Nie chcę, żeby cokolwiek ci się stało, Violeto – wyszeptała. – Tym razem będę się o ciebie bardziej troszczyła.

Conchita poprawiła ją:

– To nie Violeta, proszę pani. To Teresa. Teresa! Pani synowa.

– Ach tak! Jaka jestem głupia! Wiem doskonale, kim jesteś, Tereso. I bardzo się cieszę, że jesteś moją

synową. Zawsze się obawiałam, że mój syn ożeni się z jedną z tych panienek lekkich obyczajów, w których tak gustuje. Mieliśmy dużo szczęścia, że trafiliśmy na ciebie.

Teresa uśmiechnęła się, głaszcząc pokryte plamkami ręce Marii del Roser. Poczowała nieskończoną tęsknotę za ich intelektualnymi pogawędkami sprzed zaledwie kilku lat.

– O czym rozmawialiśmy? – odezwała się starsza pani. – A tak. O herbacie. Wypij ją.

Teresa opróżniła filiżankę herbaty, powstrzymując mdłości, po czym prędko wstała i pobiegła do łazienki.

Maria del Roser wzięła szal i włożyła buty na średnim obcasie. Z łazienki, pomimo swej niedyspozycji, Teresa nadal słyszała jej słowa.

– Czy dobrze się czujesz, kochanie? – zapytała starsza pani.

– Tak, tak – udało jej się odpowiedzieć – proszę się nie martwić. A po powrocie o wszystkim mi opowiecie.

Wychodząc, pani zapytała z roztargnieniem:

– Odśwież mi pamięć, Conchito. Nie mamy wnuków, prawda?

– Nie, proszę pani, nie mamy.

– Aha. – Pani zatrzymała się zamyślona i natychmiast zmieniła temat: – Czy zaprzężono już konie?

– Nie, proszę pani. Samochody z silnikami ich nie potrzebują.

– Ach, to wspaniale. Czy Felipe jest już gotowy?

– Julián, proszę pani. To syn Felipego, który odszedł na emeryturę po ponad trzydziestu latach służby u pani.

Wyraz zaskoczenia na twarzy poprzedził grymas.

– Nie sposób spamiętać imion tych nowych służących, Conchito. Najważniejsze, żebyśmy wyszły, zanim zaczną padać deszcz.

Z nienaturalną dla niej skwapliwością starsza pani pojechała spełnić swój obowiązek pokazania się na Świącie Książki, Teresa zaś spokojnie w samotności zwymiotowała w łazience teściowej, a następnie, powoli dochodząc do siebie uwolniona od tej przekłętej herbaty, zeszła po schodach, chcąc odetchnąć odrobiną świeżego powietrza i przy okazji obejrzyć swoje krzewy różane.

Kiedy dotarła do salonu, z zaskoczeniem ujrzała tam don Octavia Condego. Rozsiadł się wygodnie na żółtym aksamicie i jakby nigdy nic zatopił się w lekturze „La Vanguardii”.

Na jego widok Teresa się wzdrygnęła, ponieważ nie spodziewała się gości o tej porze.

– Nikt mi nie powiedział, że pan tu jest – usprawiedliwiła się.

– To naturalne. Zapytałem o pani męża, a ponieważ go nie zastałem, poproszono, żebym zaczekał na niego w salonie. Prawdę mówiąc, skłamałem, Tereso, ponieważ pragnąłem zobaczyć panią.

Don Octavio ubrany był ze zwykłą elegancją. Miał na sobie dwurzędową marynarkę leżącą tak doskonale, jak leżą jedynie drogie, szyte na miarę ubrania. Lśniące bordowe buty pasowały kolorystycznie do rękawiczek i wystającej z butonierki chusteczki. Teresę jednak najbardziej ujmował jego urok. Szczery uśmiech, staromodne maniery i światowy sposób bycia, na które tak czule były zawsze barcelońskie damy.

Ostatnie słowa wypowiedziane przez gościa spowodowały, że nagle serce szybciej jej zabiło.

– Mnie? Dlaczego?

– Chciałbym panią o coś zapytać.

– I nie może pan tego zrobić w obecności mojego męża?

– Pani mąż nie rozumie spraw, o których chciałbym z panią porozmawiać. Może pani usiądzie?

Teresa się zarumieniła. Zaskoczenie i ostrożność, z jaką przyjęła słowa don Octavia, spowodowały, że zapomniała o obowiązkach gospodyni.

– Tak, oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Usiądźmy. – Próbowwała naprawić swoje uchybienie. – Czy jadł pan już śniadanie? Może pan się czegoś napije?

Don Octavio z wrodzoną naturalnością odrzucił propozycję, nie przestając się uśmiechać. Niedopatrzenie Teresy nie miało dla niego znaczenia. Wręcz przeciwnie, podobało mu się. Pomimo stanu kawalerskiego w ciągu czterdziestu trzech lat życia miał okazję wystarczająco dobrze poznać kobiety, żeby w jednej chwili rozpoznać oznaki szczerego zmieszania. I oczywiście uwielbiał szczerze zmieszanie szanowanych pań. Ten Amadeo to ma szczęście, pomyślał, podczas gdy policzki Teresy odzyskiwały naturalną bladość, a jej oczy przyglądały mu się z ostrożną niewinnością.

– Zaledwie kilka dni temu postanowiłem uporządkować dokumenty mojego ojca – zaczął don Octavio. – Nie zagłębiałem się w firmowe rachunki, lecz w bardziej osobiste papiery, których po tylu latach nikt jeszcze nie odważył się przejrzeć. Natknąłem się na liczne niespodzianki. Między innymi na wiele dokumentów dotyczących działalności Towarzystwa Spirytystycznego, do którego należał i niesłuchanie był z tego dumny.

Teresa poczuła wielką ulgę, zrozumiałwszy, że ta zagadkowa wypowiedź podąża w mało kompromitującym kierunku. Wyprostowała się lekko w fotelu, tracąc część sztywności, z jaką siedziała do tej pory. Odważyła się nawet przytaknąć ruchem głowy i uśmiechnąć swobodnie.

Nie zdążyła poznać don Eduarda Condego. W jej rodzinie wciąż opowiadano o jego energii oraz inteligencji. Niestety, współzałożyciel – wraz ze swoimi dwoma szwagrami – imperium, które początkowo było sklepem z bielizną, a w końcu stało pierwszymi dużymi domami towarowymi w Hiszpanii, zmarł 27 marca 1914 roku, pozostawiając po sobie wspomnienie, które trwać będzie jeszcze bardzo długo. „Odszedł inteligentny, szczerzy, miłosierny i dobry człowiek, który jedynie za pomocą takich narzędzi, jak niezłomna praca oraz cnoty odziedziczone po rodzicach potrafił rozwinąć swoje przedsiębiorstwo i okryć chlubą ich nieskazitelne nazwiska. Nic nie zapełni w nas ogromnej pustki, jaką stworzyła jego śmierć”, napisano w gazecie.

– Segregowanie ich zajmie mi dużo czasu – mówił dalej gość. – To dużo materiałów: listy, artykuły, nawet krótki dziennik ze wzmiankami o pewnych odkryciach, które zrobiły na nim wielkie wrażenie. Do pewnych doszło nawet w bibliotece tego domu, podczas organizowanych przez doñę Marię del Roser spotkań, na których zbierała się śmietanka katalońskich spirytystów. Przyznam, że póki nie natrafiłem na wszystkie te dokumenty, nigdy nie interesowała mnie ta sfera życia ojca. Jednak po przeczytaniu jego notatek i nie przeczę, że również ze względu na pustkę, którą nadal odczuwamy po jego odejściu, postanowiłem jakoś się tym zająć. Zastanawiałem się, jak to zrobić, kiedy nagle przypomniałem sobie o pani i pomyślałem: „Co ze mnie za głupiec. Przecież Teresa jest godną kontynuatorką dzieła naszych rodziców. Ona będzie umiała mną pokierować”.

Teresa lekko się zarumieniła.

– Kontynuatorką? Nie użyłabym aż tak wielkiego słowa. Dopiero się wdrażam – powiedziała. – Na razie mój wkład jest skromny. Muszę się wiele nauczyć. Nie wiem, co mogłabym panu wytłumaczyć. Ostatnimi czasy stowarzyszenie boryka się z mnóstwem problemów. Nie mamy nawet miejsca, gdzie moglibyśmy się spotykać. Chciałabym, żeby nadal była nim nasza biblioteka, ale Amadeo nie wyrazi na to zgody.

Oczy don Octavia rozbłysły.

– Widzę, że otrzymałem właśnie odpowiedź na pytanie, którego jeszcze nie zadałem. Miałem zamiar zapytać panią, w jaki sposób mógłbym pomóc państwu w działalności. Teraz już wiem. Od dzisiaj mają państwo do dyspozycji salę w Wielkich Domach Towarowych El Siglo. Posiadamy kilka przestronnych salonów zarezerwowanych na działalność kulturalną. Właśnie dzisiaj chcę zaproponować pani mężowi zrobienie wystawy w jednym z nich. A jeśli chodzi o państwa stowarzyszenie, musi mi pani jedynie

powiedzieć, kiedy macie zamiar wznowić działalność, a sala zostanie przygotowana i zarezerwowana. Nawet pani sobie nie wyobraża, jak bardzo się cieszę!

Teresa uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd wstała tego dnia. Uśmiech na jej twarzy ujawnił idealną urodę, która wręcz zaniepokoiła Octavia.

– Moi towarzysze bardzo się uradują, kiedy się o tym dowiedzą – dodała.

– Proszę im powiedzieć, że ja również nie posiadam się z radości. I że mój ojciec z pewnością też tak by postąpił. Kiedy chcą państwo zacząć?

– Przypuszczam, że jak najszybciej. Z jakim wyprzedzeniem muszę pana poinformować o dacie?

Machnął ręką beztrąsko.

– Nie ma pośpiechu. Jeśli chodzi o panią, drzwi mojej firmy zawsze stoją przed panią otworem.

Gospodyni zamilkła zmieszana. Octavio upajał się tą chwilą. Przypomniał sobie te nieliczne informacje, których udzielił mu Amadeo przed ślubem o swojej narzeczonej. To była dziewczyna z dobrego domu, wykształcona, piękna i cudownie niewinna, bardzo spodobała się pani Marii del Roser. Była kimś, kogo można cały czas prowadzić pod rękę i bez trudu wyobrazić sobie jako matkę swoich dzieci. Dopóki Octavio nie poznał panny młodej, nie dziwiło go, że przyjaciel opowiadał o przyszłej małżonce bez większego żaru w głosie. W końcu i wcześniej nie okazywał namiętności w stosunku do żadnej znanej mu kobiety. Ale teraz, kiedy siedział w odległości pół metra od Teresy, obserwując jej reakcje, lęki, wdzięczność, podkreślone delikatnością gestów i lekkich, jakby dziewczęcych perfum, nie rozumiał, dlaczego Amadeo nie mówił o niej z większym zapalem.

Uprzejma odpowiedź stworzyła między nimi przepaść milczenia. Na szczęście z pomocą przyszła im aura. Na wewnętrznym dziedzińcu bowiem niespodziewanie lunęło. Teresa nagle wstała.

– Co się stało? – zapytał don Octavio zarażony jej zaskoczeniem.

– Moja teściowa pojechała na Ramblę obejrzeć książki.

– Obawiam się, że obejrzy raczej zupę z liter – zaśmiał się Octavio, kręcąc głową. – Zawsze powtarzam, że kwiecień nie jest odpowiednim miesiącem, żeby wystawiać książki na ulicy. Lepiej było, gdy to święto odbywało się siódmego października.

Don Octavio Conde był odczytanym człowiekiem, ale przede wszystkim handlowcem. I jako taki już od dawna był przeciwny decyzji rządu, któremu przewodniczył Macià, dotyczącej przeniesienia Święta Książki z 7 października na 23 kwietnia, żeby połączyć je z religijnymi uroczystościami ku czci patrona. Jego zdaniem obie sprawy nie miały ze sobą nic wspólnego. W dzień świętego Jerzego należało kupować kwiaty i brać udział w nabożeństwach, a 7 października, kiedy w całej Hiszpanii obchodzono rocznicę urodzin Cervantesa, księgarze powinni zbierać swoje żniwo. Chociaż nie umknęło jego uwagi, że obchody urodzin Cervantesa nie należą do priorytetów nowego rządu autonomicznego – po prostu z braku bardziej odpowiedniego lokalnego pisarza świętemu Jerzemu dorzucono tego autora. Nowe święto, przekształcone w uroczystość świecką z nutką tak lubianego przez republikanów katalońskiego nacjonalizmu, odbyło się po raz pierwszy w 1931 roku i było kompletną katastrofą handlową. Następnego dnia księgarze wysłali do przewodniczącego list, żądając zmiany daty, która według nich była wyłączną przyczyną poważnego spadku sprzedaży. Jednym z przytaczanych przez nich powodów, dla których należało utrzymać święto 7 października, było to, że przypadałoby na pierwsze dni miesiąca, a zatem w okresie tuż po wypłacie dla uboższych, „którym nie zawsze starcza pieniędzy do końca miesiąca”. Petycja kończyła się następującym stwierdzeniem: „Co więcej, niedawne wydarzenia polityczne oraz dzień Sant Jordiego, patrona Katalonii, odwróciły wczoraj uwagę tłumów, które nie rzuciły się na księgarnie i stragany z książkami z łapczywością poprzednich lat. Jednakże musimy przyznać, że połączenie Święta Książki z obchodami święta naszego patrona wpłynęło doskonale na klimat odczuwalny na ulicach”.

Teresa zmarszczyła brwi. Na zewnątrz wciąż lało.

– Wszystko stanęło na głowie – mruknął Conde. – Święto Książki w kwietniu, mój ojciec w niebie, król we Francji, a pani wyszła za mąż za mojego najlepszego przyjaciela...

Teresa udała, że nie usłyszała tego ostatniego.

– A mnie się wydaje, że wiosna pasuje do książek – stwierdziła. – Oczywiście jeśli nie pada deszcz.

– Aha, i właśnie dlatego to święto będzie miało powodzenie. Ludzie go chcą, tak jak pani i pani teściowa. Założę się o cokolwiek, że za osiemdziesiąt lat, kiedy po pani i po mnie nie zostanie nawet wspomnienie, ludzie nadal będą wychodzili na ulice w taki dzień jak ten, żeby poopalać się i kupić książki. Wystarczy przejść się, żeby to zauważyć. Nie zrobiła pani jeszcze tego?

Teresa zaprzeczyła słabym ruchem głowy.

– Koniecznie proszę się wybrać na spacer! Całe miasto jest jak wielki targ książek. Ludzie są rozentuzjasmowani, radośni i pełni energii. Brakuje im jedynie pieniędzy. Trzeba przyznać, że ten Macià ma nosa do uroczystości. I wydaje mi się nawet, że ma uprawnienia, żeby je organizować. Może w nagrodę za to, przez co musiał przejść, żeby zostać przewodniczącym naszego rządu. – Zamilkł, by zebrać myśli i uspokoić się. Dodał: – Amadeo byłby oburzony, słysząc mnie, nie sądzi pani?

– Nie wiedziałam, że Macià cieszy się pana sympatią.

Octavio wzruszył ramionami.

– Podobnie jak wielu innych, sympatyzuję z tym, kto rządzi. Różnica polega na tym, że przyznaję się do tego, podczas gdy większość naszych przyjaciół usprawiedliwia swoją postawę skomplikowanymi teoriami politycznymi.

Teresa patrzyła z większym spokojem za okno, bo deszcz powoli słabł. Próbowwała skupić się na rozmowie, chociaż kwestie polityczne niezwykle ją nudziły.

– À propos – dodał Conde. – Słyszałem, że Macià jest przeziębiony, biedaczek. Straci festyn.

Deszcz ustał niemal całkowicie i wówczas z dołu dobiegł odgłos energicznych kroków. Teresa natychmiast rozpoznała chód męża, który w końcu wrócił. Jak zwykle będzie wyglądał wykwinicie i nienagannie, pomyślała. Początkowo się zastanawiała, gdzie poza swoją garderobą tak się szykuje i kto go tak dokładnie goli. Jednak skrytość męża i swego rodzaju świadomość zagrożenia, które stwarzała ta kwestia, spowodowały, że nie żądała wyjaśnień. Postępowała zgodnie ze słowami Tatín, która powiedziała jej na krótko przed ślubem: „Szczęśliwa kobieta to ta, która nie zadaje pytań i nie jest pytana. A dobry mąż to ten, który płaci rachunki i nie przeszkadza”.

Wygląd Amadea potwierdził jej przypuszczenia. Pojawił się jak dandys, trzymając w ręku rękawiczki i kapelusz. Nie okazał zdziwienia na ich widok. Przywitał się z żoną krótkim pocałunkiem w czoło i uścisnął dłoń przyjacielowi. Teresa wstrzymała oddech.

– Czy zapomniałem o jakimś spotkaniu? – zapytał Amadeo, mając na myśli obecność Octavia.

– Absolutnie nie – odpowiedział Conde. – To ja śmiałem przyjść bez zapowiedzi. Udało mi się jedynie skraść trochę czasu twojej żonie.

– Czy coś się stało?

– Przyszedłem prosić, żebyś zaszczycił naszą nową salę wystawą swoich prac.

Amadeo nie skrywał zadowolenia.

– Przejdziemy do gabinetu? – zapytał.

– Powiem, żeby przyniesiono wam coś do picia – zaproponowała skwapliwie Teresa, usuwając się natychmiast na margines męskich spraw.

W duchu powiedziała sobie, że jest głupia. Dlaczego jej mąż ma widzieć coś dziwnego w obecności w domu najlepszego przyjaciela? Jak mogły jej do głowy przyjść tak niegodziwe myśli o tak wspaniałych osobach? Zanim doszła do schodów, Amadeo zawołał do niej z właściwą mu władczością:

– Włóż na siebie coś skromniejszego, kochanie. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do siedziby rządu. – I zwracając się do don Octavia, wyjaśnił: – W tym roku mianowano mnie jurorem konkursu straganów z kwiatami. Też coś! Czy wiesz, że nagrody warte są czterysta peset? Będę musiał się postarać!

Teresa weszła na górę i wybrała inną suknię. Lubiła towarzyszyć mężowi podczas oficjalnych uroczystości. Amadeo był na nich bardziej uważny niż zazwyczaj, uśmiechał się do wszystkich i pokazywał tę część siebie, którą wszyscy podziwiali, zwłaszcza ona. Podczas tych tłumnych imprez, pełnych znanych miejskich osobistości oraz ludzi kultury, Teresa czuła, jak promieniuje własnym światłem. W pewien sposób została do tego wychowana i świadoma była siły przyciągania, jaką na innych wywiera jej uroda. Wyczuwała też zazdrość, którą zarówno ona, jak i Amadeo budzili na każdym kroku.

Ale z innego też powodu lubiła te wieczory: prawie zawsze spotykała wtedy swoją siostrę Tatín, której ustrojonej głowy z radością wypatrywała wśród banalnych fryzur gości. Głowa najstarszej z sióstr Brusés zawsze wyróżniała się w tłumie. Nie sposób było się pomylić: najbardziej ekscentryczny pióropusz, wiązanka kwiatów czy niegustowne ozdoby zawsze nosiła jej siostra. Po pachnącym różami uścisku jej zwariowany potok słów pozwalał Teresie zapomnieć o wszystkich troskach.

Tego dnia Teresa bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała paplaniny Tatín. W piersi czuła okropny ucisk, chęć do niepohamowanego płaczu i niezrozumiałe przeczucie, które ją przerażało. Wiedziała, co powie jej Tatín, kiedy podzieli się z nią wszystkimi obawami. „Mężowie wszystkim się nudzą, Tessito. A do tego posiadają wolność, do myślenia i działania. Twój jest taki sam jak każdy inny. Dziękuj Bogu, że jeszcze wyciąga cię z domu. A jeśli czegoś ci brakuje, poszukaj sobie kochanka. To najlepsze rozwiązanie”.

Teresę gorszyły te rady, z których w żadnym wypadku nie zamierzała skorzystać, ale słuchała ich, ponieważ działały na nią jak balsam. Po rozmowie z Tatín jej najpoważniejsze zgryzoty rozpuszczały się jak cukier w wodzie.

Przebierając się, tym razem w trochę dłuższą suknię w płowym kolorze, Teresa zapragnęła, żeby Tatín była obecna na oficjalnym przyjęciu w siedzibie władz. Chciała, by jak zwykle zbeształa czule Amadea za zaniechanie żony. Chciała, by pobyła z nią dłużej, ignorując wielbicieli, i opowiedziała jej towarzyskie plotki lub o szczegółach swoich najnowszych podbojów. Chciała również podzielić się z nią czymś, o czym chwilowo wiedziała tylko ona – chociaż Maria del Roser wyczuła to instynktownie tego ranka – i powiedzieć jej, że jeśli urodzi dziewczynkę, chciałaby nazwać ją jej imieniem. Nie María Auxiliadora, lecz Tatín. Tatín Lax Brusés. Imieniem kobiety niezależnej.

Aczkolwiek w tej sprawie będzie musiała uzyskać aprobatę męża. Podobnie jak we wszystkim.

**Spis zawartości pudełka po herbatnikach
znalezionego w zamurowanym pokoju Violety**

- Dziecięcy rysunek w kolorach czerwonym, czarnym, niebieskim i zielonym. Przedstawia kobietę (w długiej spódnicy). Wymiary: 28 x 20 cm.
 - Wycinek z „La Vanguardii” z działu „Wiadomości lokalne” z relacją z pogrzebu pani Marii del Roser Golorons de Lax, opublikowaną 27 grudnia 1932 roku.
 - Nekrolog opublikowany w „La Vanguardii” 27 sierpnia 1914 roku:
„MAŁA Violeta Lax y Golorons, urodzona w Barcelonie, ZMARŁA opatrzona świętymi sakramentami i błogosławieństwem apostołskim (R.I.P.). Jej pogrążona w żałobie matka oraz bracia, pani Maria del Roser Golorons wdowa Lax, Amadeo i Juan; pracownicy Fabryk Laxa oraz Manufaktur Goloronsów i pozostali krewni zawiadamiają przyjaciół i znajomych o tej bolesnej stracie i proszą o modlitwę za nią oraz uczestnictwo w kondukcje pogrzebowym, który wyruszy dzisiaj, w czwartek, o godzinie dziesiątej z domu przy pasaje Domingo 7 do kościoła parafialnego pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, a stamtąd na Cmentarz Wschodni. Nie zostaną rozesełane osobiste zaproszenia”.
 - Ilustrowany katalog Wielkich Domów Towarowych El Siglo. Sezon jesień–zima 1899/1900. 130 stron.
 - Strony od 9 do 11 z „La Vanguardii” z 27 grudnia 1932 roku, zawierające relację z pożaru El Siglo, do którego doszło dwa dni wcześniej.
 - Dwie fotografie z innej gazety (nie wiadomo jakiej). Na obu widać masę zniekształconych belek wewnątrz zniszczonego budynku, z którego nienaruszona pozostała jedynie część elewacji. Przez okna bez szyb widać fragment Rambli, a w oddali wieżę katedry. Pod drugim zdjęciem widnieje napis: „Widok hali głównej po katastrofie”.
 - Strony od 41 do 48 „Światła przyszłości. Przeglądu badań psychologicznych i nauk pokrewnych”. Numer 272 z czerwca 1934 roku. Zawiera artykuł „Wspomnienie o zmarłej Marii del Roser Golorons. Tekst napisany w hołdzie przez Teresę Brusés de Lax, wygłoszony podczas minionego Kongresu Spirytystycznego w Barcelonie”.
 - Wydrukowany program V Światowego Kongresu Spirytystycznego (Pałac Widowiskowy w Barcelonie, 1–10 września 1934 r.). Wśród prelegentów figuruje Teresa Brusés de Lax.
 - Dwadzieścia drukowanych programów wystaw Amadea Laxa w różnych miastach hiszpańskich i europejskich (z lat 1923–1940). Jeden z nich pochodzi z sali wystawowej w El Siglo i datowany jest na grudzień 1932 roku.
 - Fotografia studyjna podpisana przez B. Moreno („calle de la Canuda 8”) przedstawiająca całą służbę zatrudnioną w domu Laxów. Sześć kobiet i dwóch mężczyzn w różnym wieku. Czworo najstarszych siedzi. Pozostali stoją za nimi. Kobiety ubrane są w ciemne uniformy z fartuszkami i czepkami. Na odwrocie napisano ołówkiem: „Rok 1910. Eutimia, Felipe, Vicenta, Julián, Rosalía, Higinio i Carmela”. Kolejność wymienienia nie odpowiada porządkowi, w jakim pozują sfotografowani. Na liście imion brakuje Conchity, która również widnieje na fotografii (stoi; pulchna, odrobinę wyższa, z kokiem na czubku głowy i uśmiechem na twarzy).
 - Fotografia studyjna podpisana przez B. Moreno. Mały chłopiec (mniej więcej dwuletni) z Conchą ubraną w uniform. Tym dzieckiem jest Amadeo Lax. Na odwrocie napis ołówkiem: „1890 rok”.
 - Pocztaówka z rzymskim Koloseum (czarno-biała) z 5 października 1908 roku, zaadresowana do „Conchy Martínez Cruces. Pasaje Domingo 7. Barcelona. Spagna”. Tekst brzmi: „Kochana Concho, spójrz, jak wygląda Rzym. Jest cały w ruinach. Z pewnością Ty znalazłabyś sposób, żeby wszystko naprawić. Nim go znajdziesz, ja szukam swojego sposobu, żeby stać się wielkim malarzem. Zobaczysz, że mi się to uda, tak jak przepowiedziałaś.

Ściskam Cię, Twój Amadeo”.

– Pocztówka z wieżą Eiffła w Paryżu (kolorowana). Ta sama adresatka. Data 19 listopada 1928 roku. „Szanowna Concho, Amadeo poprosił, bym napisała do Pani i poinformowała, że u nas wszystko w porządku oraz że nasza podróż przebiega bez niespodzianek. Chciałby, żebyśmy się lepiej poznały. Powiedziałam mu, że nie będzie to dla mnie trudne, skoro jest Pani kobietą, której on zawdzięcza życie. Serdecznie pozdrawiam, Teresa”.

– Pocztówka z placu Świętego Piotra w Rzymie (kolorowana). Ta sama adresatka. Data 7 grudnia 1928 roku. „Kochana Concho, po zwiedzeniu Berlina, Mediolanu i Bolonii dotarliśmy do Rzymu. Amadeo darzy te strony ogromnym uczuciem. Mówi, że bez wahania zamieszkałby we Włoszech. Jednak na razie tak się nie stanie: po Bożym Narodzeniu, a przed Nowym Rokiem jedziemy do Grecji. Wszystko u nas w porządku, a podróż jest wspaniała. Pozdrawiam serdecznie, Teresa”.

– Pocztówka z Partenonem (kolorowana). Ta sama adresatka. Data 31 grudnia 1928 roku. „Jedynie kilka słów z serca kultury Zachodu, żeby życzyć wszystkim pomyślnego roku 1929. Serdecznie pozdrawiają Amadeo i Teresa”.
Charakter pisma Teresy.

– Pocztówka ze sfinksem w Gizie (czarno-biała). Data 10 stycznia 1929 roku. Ta sama adresatka. „Kochana Conchito, Amadeo bardzo pragnął poznać Tutenchamona i oto jesteśmy. Panuje straszny upał nawet o tej porze roku. Ja natomiast chciałabym jedynie ruszyć w ostatni etap naszej podróży. Ostatnio częściej myślę o powrocie do domu, niż zachwycam się nieznanymi krajobrazami. Amadeo uważa, że tego należy spodziewać się po mężatce. Gorąco pozdrawiam, Teresa”.

– Telegram z 25 lutego 1930 roku. „Wracamy jutro. Przyślij po nas duży samochód. Lot Marsylia–Barcelona. Lądowisko El Prat. O jedenastej. Amadeo”.

STRASZNY POŻAR W BARCELONIE

Ogień niszczy Wielkie Domy Towarowe El Siglo

Wielkie Domy Towarowe El Siglo SA zniszczył potężny pożar. Ten popularny dom handlowy położony w samym sercu Rambli, stanowiący dowód katalońskiego potencjału kupieckiego, w niedzielę strawiły płomienie, które w ciągu niecałych dwóch godzin pochłonęły wielkiego ducha firmy oraz to, co osiągnięto za cenę ogromnego wysiłku na przestrzeni wielu lat. Miasto pogrążyło się na kilka dni w szczerym usprawiedliwionym bólu. Świąteczną atmosferę Bożego Narodzenia zakłóciła wielka katastrofa, której sceną była najbardziej barcelońska aleja. We wszystkich domach podczas spokojnych godzin rodzinnych świąt pojawił się jakiś smutny komentarz dotyczący tego tragicznego zdarzenia, o którym wiadomość rozprzestrzeniała się po całym mieście z prędkością charakterystyczną dla złych wiadomości. Zwykły rytm życia mieszkańców miasta uległ zburzeniu, a smutny widok gęstych słupów dymu wznoszących się nad budynkiem – które z okolic Barcelony unaoczniały, jak wielką stratę poniosło miasto – pozostanie na zawsze w pamięci obecnego pokolenia. Byliśmy świadkami zniszczenia w wyniku nieszczęśliwego wypadku prawdziwie barcelońskiego domu towarowego, który rozślawiał prestiż katalońskiego handlu nawet za granicą. Niewątpliwie El Siglo był czołowym sklepem wielobranżowym w Barcelonie, na całym półwyspie i nie przesadzając, jednym z najlepszych magazynów na świecie, o głębokich tradycjach mieszczańskich. Niemniej musiało aż dojść do katastrofy, aby barcelończycy zrozumieli, jak kochali ten luksusowy, wspaniały i nowoczesny dom towarowy i jak byli do niego przywiązani.

Pożar wybuchł nagle i rozprzestrzeniając się, nie pominął żadnego działu, dlatego też kiedy strażakom w upartym heroicznym wysiłku udało się zlokalizować jego źródło i zapobiec dalszej ekspansji, trzy budynki El Siglo były już tylko jednym ogromnym paleniskiem – co nie tylko postawiło bogate przedsiębiorstwo w krytycznej sytuacji, ale spowodowało też, że znikło z powierzchni ziemi miejsce, gdzie zarabiała na swoje utrzymanie ponad tysiąc ubogich rodzin.

Miejsce katastrofy

Okolo wpół do jedenastej rano w niedzielę kilka przechodzących Ramblą osób zauważyło, że ze szczelin w metalowych drzwiach Wielkich Domów Towarowych El Siglo wydobywają się kłęby dymu. Natychmiast podniesiono alarm, a stróże i funkcjonariusze straży miejskiej patrolujący okolicę pośpieszyli poinformować o tym przełożonych oraz straż pożarną. Dymu było coraz więcej. Wypełniał cały budynek i wydostawał się przez liczne balkony od strony Rambli de los Estudios. Domy Towarowe El Siglo zajmowały trzy budynki oznaczone numerami 3, 5 i 7 przy Rambli de los Estudios. Pod numerem jeden mieszczą się biura Filipińskiej Kompanii Tytoniowej, a na parterze ma siedzibę Banco Hispano Colonial. Z drugiej strony El Siglo przylega do budynku Królewskiej Akademii Nauk i Sztuk, w którym na dole mieści się teatr Poliorama. Na tyłach El Siglo znajduje się wąska, szeroka na niewiele ponad dwa metry, calle Xuclá, na którą wychodziło czworo czy pięcioro wielkich drzwi dotkniętego nieszczęściem sklepu. Jeszcze jedno wyjście znajdowało się od strony plaza del Buensuceso i prowadziło do działu spożywczego.

Należy pamiętać, że w El Siglo sprzedawane były wszelkiego rodzaju artykuły. Budynek miał

powierzchnię kilku tysięcy metrów kwadratowych rozłożonych na siedmiu piętrach, z których każde mieściło różne działy. Dział zabawek był jednym z najważniejszych w całym sklepie i zajmował znaczną powierzchnię na parterze od strony calle Xuclá.

Pierwsze próby gaszenia ognia przeprowadziło siedmiu strażników pilnujących domu towarowego w dni świąteczne. W tym celu próbowali użyć kilku gaśnic rozmieszczonych strategicznie w różnych działach, lecz powstała od samego początku chmura dymu była tak gęsta, że uniemożliwiła działanie – strażnicy musieli pospiesznie opuścić budynek, żeby się nie udusić. Jeden z nich, José Sánchez, próbując ugasić rozprzestrzeniający się szybko pożar, doznał oparzeń obu rąk, które opatrzono mu w lecznicy przy calle Sepúlveda. Dym wydostający się przez drzwi od strony Rambli był tak gęsty, że wstrzymano ruch samochodów i tramwajów na bocznym pasie prowadzącym w dół alei. Krótco po jedenastej nadjechała pomoc z miasta. Strażacy pospiesznie zaczęli montować urządzenia i sikawki. Przyjechały oddziały rezerwowe ze wszystkich posterunków dowodzone przez swoich komendantów.

Tymczasem ogień na podobieństwo podpalonego lontu w zawrotnym tempie rozlewał się po całym parterze budynku, szczególnie po dwóch jego częściach bezpośrednio przylegających do Akademii Nauk, i to, co wcześniej było dymem, zmieniło się w pochłaniające wszystko płomienie. Trudno sobie wyobrazić prędkość, z jaką płomienie rozprzestrzeniły się na cały sklep. Lady, obrazy, tkaniny, zabawki oraz inne artykuły sprzedawane w El Siglo były łatwopalne, toteż jak za sprawą smagnięcia niewidzialnego podmuchu wszystko spłonęło w ciągu zaledwie kilku minut. O wpół do pierwszej widok uszkodzonego budynku od strony Rambli robił niezwykle wrażenie. We wszystkich drzwiach i balkonach ramy i żaluzje płonęły jak pochodnie, wydobywały się z nich wysokie płomienie, w których skwierczała woda lana przez strażaków z sikawek. Ogień jednak był tak silny, że strumienie wody ledwo go tłumili. Cała część budynku widoczna od strony Rambli przypominała ogromne ognisko. Od ognia biło takie gorąco, że podejście bliżej było niemożliwe. Podczas pierwszych prób ugazzenia pożaru jeden ze strażaków, który odważył się wejść do budynku, zaczadził się i musiał zostać przewieziony do lecznicy. Również jeden ze stróżów odniósł lekkie obrażenia.

Obsuwa się elewacja

Ogień wspomagany lekkim wiatrem wiejącym w kierunku południowym ożywił się nadzwyczajnie w części przylegającej do calle Xuclá. Ponieważ od tamtej strony niemożliwa była akcja ratunkowa ze względu na niebezpieczeństwo zawalenia się ścian, strażacy musieli dostać się na sąsiednie balkony i dachy, żeby stamtąd skierować na płomienie strugi wody. Gwałtowność pożaru była w tej części tak wielka, że spodziewano się w niedługim czasie zawalenia ścian. I rzeczywiście, godzinę później z łoskotem runęła spora część gzymsu, a niedługo potem zawaliło się kilka metrów elewacji. Jako że spodziewano się tego zagrożenia, nie było ofiar w ludziach.

O wpół do drugiej, po wyczerpujących próbach strażakom wspomaganym przez służby miejskie i wielu obywateli udało się zahamować niszczycielski ogień. Zawaliły się dachy i piętra budynku, nietknięte pozostały tylko ściany nośne i skrzydło, w którym mieścił się kantor. Wewnątrz nadal płonął ogień, lecz w dużym stopniu opanowany. Od strony plaza del Buensuceso płomienie nadal wieńczyły szczyt elewacji, ale widocznie już słabły. W tej części budynku, gdzie znajdował się dział spożywczy i alkoholowy, doszło do licznych wywołujących panikę eksplozji. Według techników wybuchły puszki konserw, butelki z alkoholem oraz tym podobne artykuły.

Przyczyny pożaru

Pomimo zeznań osób obecnych na miejscu zdarzenia od pierwszych chwil nie jest pewne, czy pożar wybuchł, jak niektórzy twierdzą, w wyniku krótkiego spięcia w jednym z okien wystawowych od strony

Rambli i stamtąd rozprzestrzenił się na piętrach połączonych ze sobą wielką wewnętrzną klatką schodową. Dlatego też praca strażaków od początku była bardzo utrudniona. Rozmiary pożaru przerosły odrobinę tych oddanych swojej pracy ludzi. Wkrótce jednak zorganizowali się, chociaż rezerwy wody i środków gaszących potrzebnych w czasie tej wyjątkowo wielkiej katastrofy w mieście okazały się niewystarczające pod każdym względem.

Na miejsce zdarzenia na samym początku przybyli również funkcjonariusze służb bezpieczeństwa i szturmowych oraz straży miejskiej z tego terenu, którzy wspomagali strażaków w ich trudnym zadaniu, ale też utrzymywali porządek wśród gapiów masowo tam przybywających, gdy wieść rozeszła się po mieście.

Trudno opisać panikę, jaka wybuchła wśród mieszkańców calle Xuclá, których mieszkania mógł w każdej chwili ogarnąć ogień. Słysząc było wołania o pomoc, okrzyki bólu, wiele rodzin, zabierając jedynie najpotrzebniejsze rzeczy, opuściło w popłochu swoje domy. Płomienie wydostające się z El Siglo były tak gwałtowne, że zajmowały żaluzje i balkony domów przy calle Xuclá. Partery budynków przy tej ulicy, mieszczące różnego rodzaju lokale, również szybko opustoszały.

Strażacy rozpoczęli tam interwencję, ponieważ wzrastało zagrożenie, że ogień rozprzestrzeni się na sąsiednie domy. Przerazająca jest sama myśl o tym, do jakiej doszłoby katastrofy, gdyby również one się zapaliły, w takim wypadku bowiem z pewnością spłonąłby rozległy kwartał budynków zamieszkiwanych przez setki rodzin. Podobnie przerazające sceny miały miejsce na placu i na calle del Buensuceso, gdzie stoi wiele budynków w formie klina na terenie zajmowanym przez Domy Towarowe El Siglo. Niektórzy mieszkańcy nie byli w stanie wytrzymać napięcia i nie czekając na ostrzeżenia, spakowali kufry i ubrania. Od strony plaza del Buensuceso siły lotnictwa wojskowego, zakwaterowane w dawnych koszarach o tej samej nazwie co plac, od pierwszych chwil współpracowały zarówno przy gaszeniu ognia, jak i utrzymaniu porządku.

Budynek jako jeden wielki stos

Pomimo interwencji strażaków, którzy gasili pożar równocześnie z trzech stron uszkodzonego budynku, lejąc na niego całą dostępną wodę, o godzinie dwunastej ogień osiągnął przerazające rozmiary. Przez dach wydostawały się ogromne płomienie spowite czarnym gęstym dymem, wznosząc się na wysokość setek metrów. Cały sklep przypominał gigantyczny stos, ze wszystkich otworów buchał niszczycielski ogień.

Oprócz tłumu gapiów, liczącego co najmniej pięćdziesiąt tysięcy ludzi, krótko po wybuchu pożaru na miejsce przybyli członkowie rodziny będącej właścicielami El Siglo, panowie Eduardo i Javier Conde. Obaj byli zdruzgotani. Zwłaszcza don Javier, z którym mieliśmy możliwość przez chwilę porozmawiać.

– Ubolewam nie tyle ze względu na nas – powiedział nam – ile ze względu na pracowników, którzy zostaną bez pracy. Część doświadczy z pewnością takiego smutku jak my, ponieważ należy pamiętać, że niektórzy pracowali w firmie od trzydziestu czy czterdziestu lat.

Don Javier skorzystał z okazji, by poinformować nas, że w miniony piątek przejął funkcję dyrektora El Siglo w miejsce starszego brata, Octavia, który właśnie w dzień Bożego Narodzenia odpłynął do Stanów Zjednoczonych na pokładzie statku „Magallanes”. Słynny przedsiębiorca planuje wkrótce rozpocząć w Nowym Jorku własną działalność, która według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie równie udana jak wszystkie dotychczasowe, potwierdzając jego smykałkę do interesów.

Straty

Są poważne. W chwili obecnej nie da się ich określić, chociaż możliwe, że osiągną sumę trzydziestu

milionów peset. Zarówno budynek, jak i towar podlegały ubezpieczeniu. Gdyby pożar wybuchł w innym czasie, straty nie byłyby tak duże, ponieważ tradycyjnie przed świętami Bożego Narodzenia, Nowego Roku i Trzech Króli w El Siglo zgromadzono wszelkiego rodzaju artykuły, a zwłaszcza przedmioty fantazyjne i zabawki. Właściciele na razie nie zdecydowali, czy przystąpią do odbudowy sklepu.

Domy Towarowe El Siglo zostały założone pięćdziesiąt lat temu. Nigdy nie doszło w nich do pożaru z wyjątkiem drobnych, natychmiast ugaszonych zapróśzeń. Poza tym były zaopatrzone w obsługiwane przez najętych strażaków pełne wyposażenie, w gaśnice i węże pożarnicze, które w tych okolicznościach na nic się zdały.

O piątej po południu w niedzielę przewodniczący rządu autonomicznego pan Francisco Macià zjawił się na miejscu katastrofy, żeby osobiście zapoznać się z trwającą nadal akcją dogaszania pożaru. Pozostał tam około godziny.

Noc z niedzieli na poniedziałek

Strażacy, oświetlając reflektorami wnętrze budynku, spędzili noc na ugaszaniu małych, płonących nadal w ukryciu punktów zapalnych.

Komendant straży pożarnej, pan Jordán, powiedział nam właśnie, że ponieważ w nocy mogło nastąpić zjawisko retrakcji słupów oraz innych metalowych elementów podporowych, wchodzenie do budynku było bardzo niebezpieczne. Wydaje się jednak, że zagrożenie to znikło, toteż o drugiej w nocy otworzono ruch uliczny na plaza del Buensuceso. Tysiące osób przeszło przed spaloną fasadą, przyglądając się ogromnej stercie gruzu, w którą zamieniły się bogactwa zgromadzone w domach towarowych. Niemniej środki ostrożności utrzymano w odniesieniu do gapiów na Rambli oraz calle Xuclá, gdzie nadal istniało zagrożenie.

Podczas zdarzenia rannych zostało dwóch strażaków i trzech pomagających przy gaszeniu obywateli. Obu rannych strażaków odwiedził burmistrz. W aptece przy calle del Carmen 21 udzielono pomocy czterem kobietom – wszystkie były mieszkankami calle Xuclá – które dostały ataku na tle nerwowym.

Tragiczne zakończenie

Od wczorajszego rana zezwolono na ruch pieszych po Rambli i plaza del Buensuceso, jednocześnie przeprowadzono prace zapobiegające dalszemu osuwaniu się budynku. O piętnastej trzydzieści miejsce wypadku ponownie odwiedził przewodniczący rządu autonomicznego pan Macià w towarzystwie małżonki, pani Lamarca. Przybył tam również burmistrz doktor Aguadé, deputowany do Kortezów don Martín Esteve oraz kilku radnych. Zgodnie z deklaracjami złożonymi przez pana Ribégo, szefa straży miejskiej, zważywszy na brak zagrożeń, możliwe jest, że dzisiaj przywrócony zostanie ruch tramwajowy oraz kołowy na Rambli.

W czasie tej oficjalnej wizyty z wielkim łośkotem zawaliły się główne schody domu towarowego, wykonane z kutego żelaza na wzór schodów w innych wielkich europejskich sklepach. Huk był ogromny i wywołał panikę wśród gapiów stojących w odległości dozwolonej przez policjantów. Nikt nie ucierpiał.

XXI

Urodzić się, umrzeć, a w międzyczasie znaleźć coś, czym można się zająć. Na tym polega życie w lekkim uproszczeniu.

W domu przy pasaje Domingo na pierwsze narodziny trzeba było czekać dwadzieścia lat, aż do 23 października 1920 roku. Tego dnia Vicenta zaczęła rodzić, śmiejąc się z satyrycznego kupletu czytanego przez jej męża. Julián był z natury tak poważny, że recytując humorystyczne strofy, wydawał się przezabawny. Żona była jego najbardziej oddaną słuchaczką.

*Odkąd się ożeniłem,
gusta mi się zmieniły.
Kiedyś każda mi się podobała,
A teraz, przyznam się panu,
podobają mi się wszystkie.
Wszystkie oprócz żony.*

Sześć godzin bólu, bo tyle trwał poród Vicenty, nie było już takie śmieszne. Wszystkie wolne akurat kobiety co do jednej starały się jej pomóc i wspólnie sprowadziły na świat drobną sniadą nieślubną dziewczynkę, której rodzice nadali imię Laia. Było to wielkim wydarzeniem zarówno w suterenie, jak i w domu, w którym ostatnimi czasy mieszkańców jedynie ubywało.

Z trzeciego piętra wiało smutkiem. Dawny dziecięcy pokój był teraz dziwnym salonikiem, którego nikt nie używał. Pokój Violety został zamknięty na cztery spusty. Amadeo opuścił swój pokój i przeniósł się na poddasze, gdzie z wielkim trudem próbowały dostać się pokojówki, żeby czasem posprzątać. Nadal również istniał pokój Juana, niezamieszkaany, czekając na coraz bardziej sporadycznie pokazujących się w tym domu gości. Jedynie biblioteka, w której nadal – chociaż coraz rzadziej – odbywały się spotkania Środowego Koła, wyglądała tak samo jak zawsze. Drugie piętro, gdzie mieściły się głównie pokoje pani, zachowało dawny klimat. Maria del Roser nie lubiła zmieniać przyzwyczajzeń ani związanych z nimi miejsc, dlatego też w dalszym ciągu pisała przy swoim biurku w stylu angielskim, haftowała krzyżykami, siedząc w swoim fotelu przy oknie, i ubierała się w ogromnej garderobie przy wyrafinowanej łazience, która w czasach, gdy została wybudowana, stanowiła wyjątkowy luksus. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się puste pomieszczenia, które zajmował kiedyś pan Rodolfo. Maria del Roser miała wystarczająco dużo odwagi, żeby wynieść z nich meble, ale nie na tyle dużo, żeby ponownie je zagospodarować, więc trwały tam w oczekiwaniu na jakieś rodzinne wydarzenie. Główne pokoje na pierwszym piętrze najmniej odczuły te rodzinne wędrówki. Gdybyśmy zatrzymali się w salonie, gabinecie czy na dziedzińcu wewnętrznym, moglibyśmy mieć wrażenie, że w tych miejscach czas się zatrzymał. O ile, oczywiście, nie bylibyśmy drobiazgowi i nie zauważylibyśmy drobnych zmian: pojawienia się obrazów na ścianach czy zmiany gatunków roślin. Na wypadek gdyby kogoś to interesowało, szydełkowe serwetki, których pełno było w salonie, chwilowo nadal leżą na swoich miejscach, oddając milczący hołd zdolnej prababce, która je wydziergała. Czasy się zmieniają, lecz gusta mieszkańców tych pomieszczeń pozostają stałe.

Wspomnieliśmy, że w roku 1920 obfitującym w przeprowadzki Juan Lax Golorons został ojcem Juanem. Kapłaństwo było kulminacją długiego procesu rozpoczętego sześć lat wcześniej, kiedy

niewzwykle zdolny młodszy z braci poinformował matkę o swojej decyzji wstąpienia do seminarium jezuitów. Wiadomość ta popsowała pani Marii del Roser śniadanie i cały dzień, w którym zaplanowaną miała długą listę spotkań trwających aż do podwieczorku.

– Przynosisz złe wieści – powiedziała matka, widząc go wchodzącego do saloniku z tajemniczą miną. – Poznaję to po twoim spojrzeniu.

– Myli się matka. Chcę podzielić się z matką swoim szczęściem. – Spokojna reakcja matki zachęciła go do mówienia dalej: – Podjąłem decyzję dotyczącą mojej przyszłości.

Przez ostatnie miesiące wdowa Lax zamartwiała się, obserwując, jak jej młodszego syna męczy jakieś strapienie, którego nie umiała sobie wytłumaczyć. Najpierw zaniedbał studia, następnie porzucił pracę, którą sama mu dała, przekupując pierworodnego syna. Zaczął chudnąć, mizernieć, bywać poza domem i pić. Takie zachowanie nie zdziwiłoby jej, gdyby chodziło o buntowniczego i niezadowolonego z niczego Amadea, ale w przypadku Juana stanowiło powód do niepokoju. Ilekroć z nim rozmawiała, otrzymywała sensowne odpowiedzi i obietnice poprawy, lecz w rzeczywistości niewiele znaczące. Juan zaczął mieć zmienne nastroje. Zachowywał się jak na niego bardzo nieodpowiedzialnie. Nagle zaczął całe dni spędzać w łóżku, nie mając ochoty z niego wstać.

Poza tym pech chciał, że smutek Juana zbiegł się z agonią Violety i dramat przedwczesnej śmierci dziewczynki całkowicie przesłonił pozostałe rodzinne kłopoty. Tamte miesiące były piekłem, Maria del Roser była w stanie jedynie czuwać przy swojej córeczce aż do końca, modląc się za nią i zaniedbując wszystko inne. Choroba Violety była ostatnią sprawą łączącą członków rodziny. Starali się walczyć z nią, wysyłając chorą do szwajcarskich sanatoriów, gdzie – jak zapewniano – uzdrawiano z najgorszych przypadłości członków rodzin królewskich. Jednak w ten sposób tylko przedłużyli agonię dziewczynki. Po jej śmierci nie zdarzyło się już nigdy nic, co byłoby w stanie ponownie ich złączyć. Nie tylko odeszło od nich najmłodsze dziecko w domu: stracili również wiarę, że możliwe jest naprawienie nieszczęścia.

Podczas tych smutnych miesięcy ojciec Eudaldo był stałym gościem w domu i właśnie do niego zwróciła się Maria del Roser, kiedy uwolniona od okrutnej rutyny choroby zauważyła, w jakim stanie jest jej młodszy syn. Duchowny pospieszył jej z pomocą, mając świadomość, że sprawy duchowe wymagają czasami równie szybkiej interwencji jak cielesne, i spędził ponad osiem godzin zamknięty z Juanem w pokoju, rozmawiając z nim tak nieuchwytnym szeptem, że z zewnątrz nie dało się niczego dosłyszeć.

Następnego dnia chłopak poszedł na mszę o ósmej rano i pojawił się na obiedzie, chociaż nie odezwał się do starszego brata ani słowem. Maria del Roser podziękowała Bogu za cudowne pośrednictwo księdza. Cieszyła się z obrotu spraw, dopóki Juan nie zaskoczył jej swoim pomysłem wstąpienia do seminarium duchownego. Tego dnia Maria del Roser złorzeczyła zagubionym owieczkom i skłonności duszpasterzy do ich odzyskiwania. Przeklęła również – co od pewnego czasu zdarzało jej się dość często – kolejność, z jaką jej synowie przyszli na świat. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Juan urodził się pierwszy.

– Ależ synu, jak to możliwe? – zaprotestowała, słysząc tę wiadomość. – Nigdy wcześniej nie okazywałaś zbytniego zainteresowania religią...

– Bóg mnie wezwał. Powiedziałbym więcej: ocalił mnie.

– Ocalił? Od czego, kochanie?

– To już nieważne. Najważniejsze, że to zrobił, a ja potrafiłem go usłyszeć. Ojciec Eudaldo pomógł mi to zrozumieć.

– A co będzie z twoją wspaniałą przyszłością? Czy masz zamiar ją zaprzepaścić?

– Wręcz przeciwnie. Wiążę swoją przyszłość z miejscem, gdzie będę przydatny.

Maria del Roser zacisnęła usta. Juan, widząc, że ostatni komentarz jej się nie spodobał, ujął jej dłonie.

– Nie mam na myśli matki. Matka zawsze mnie wspierała. Ale są sprawy, na które nie ma i nigdy nie będzie rozwiązania. Niech matka nie udaje, że tego nie widzi.

Maria del Roser rzeczywiście o tym wiedziała. Podobnie jak wiedziała, że wszystkie ukryte aluzje Juana dotyczą Amadea. Mimo to nie chciała przyjąć do wiadomości, że nie ma na to sposobu. Po tylu latach nadal nie rozumiała urazy, jaką żywili do siebie jej synowie. I oczywiście nadal za wszystko obarczała winą siebie.

Decyzja była nieodwołalna. W wieku dwudziestu lat Juan wstąpił do seminarium jezuickiego. Dwa lata później otrzymał święcenia niższe, kolejno ostiariusza, lektora, egzorcysty i akolity, których wtedy nadal udzielano. Kontynuował studia prawnicze i wkrótce potem wyjechał do Madrytu na studia teologiczne. Został wyświęcony na kapłana 30 września 1920 roku, w wilgotny i upalny dzień niesprzyjający żadnej uroczystości, nawet kościelnej. Wspaniała ceremonia odbyła się w barcelońskiej katedrze pod przewodnictwem Jego Ekscelencji Juana Joségo Laguardy, który po raz ostatni osobiście wyświęcał. W ławce zarezerwowanej dla rodziny oprócz Marii del Roser zasiedli: ojciec Eudaldo, Conchita i kilkoro dalekich krewnych. Większość służących Laxów również była obecna, chociaż nieco z tyłu. Ku swojemu zdziwieniu starsza pani bardzo się wzruszyła na widok syna klęczącego przed biskupem i do końca życia jako jeden z najbardziej przejmujących momentów w życiu wspominała chwilę, gdy Jego Ekscelencja nakładał na Juana stulę i ornat, podczas gdy wokół rozbrzmiewała litania odmawiana w oparach kadzidła.

Amadeo nie mógł uczestniczyć w święceniach brata. Rok 1920 był dla niego ważny, po raz pierwszy pojechał wtedy do Nowego Jorku, przyjął zlecenie od Hispanic Society of America i sprzedał dwa tuziny obrazów amerykańskim kolekcjonerom sztuki, którzy zapłacili za nie bajątkowe sumy. Ruch milionerów wzbudził zainteresowanie kilku muzeów i nazwisko Amadea Laxa było przez kilka dni na ustach wszystkich. I mówiono by o nim dłużej, gdyby niechęć do spotkań towarzyskich nie skłoniła go do powrotu do domu.

Okazało się, że amerykańska podróż wywarła również decydujący wpływ na jego wewnętrzną postawę. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że przekroczywszy trzydziestkę, jest dojrzałym mężczyzną, który powinien pomyśleć o ustatkowaniu się. Dlatego też postanowił ograniczyć nieco swoje dotychczasowe życie lekkoducha. Przed wejściem na pokład statku w Nowym Jorku zatelegrafował do Trescentsa: „Proszę dopilnować, żeby jak najszybciej pozbyć się lokatora z mieszkania na Ramblí de Catalunya. Po powrocie mam zamiar zrobić z niego nowy użytek”.

Spacerując po pokładzie pierwszej klasy luksusowego transatlantyku „Marqués de Comillas”, którym odbył drogę powrotną, Lax nie mógł przewidzieć, w jaki sposób okoliczności będą sprzyjać jego zamiarom. Zaledwie bowiem kilka dni po jego powrocie z Nowego Świata, 27 grudnia 1920 roku, Banco de Barcelona ogłosił bankructwo. Był poniedziałek. Trescents zjawił się o wpół do dziewiątej rano z miną, jakby nastąpił koniec świata. Amadeo siedział w salonie, golony przez pana Severa, swojego stałego golibrodę. Przyjął adwokata ze względu na powagę sprawy.

– Banco de Barcelona tonie. Ogłoszono to dzisiaj rano: nie są w stanie obsłużyć żadnej transakcji. Wszyscy wycofują środki. Szerzy się panika. Przed kasami ustawily się długie kolejki. Próbowałem skontaktować się w pana imieniu z panem Estruchem, ale powiedziano mi, że jest chory i nikogo nie przyjmuje. Prawdopodobnie najważniejsi udziałowcy i klienci spotkają się z burmistrzem. Szczerze mówiąc, sądzę, że powinien pan w tym uczestniczyć.

Amadeo uniósł brew. Jeden policzek pokryty miał mydłem, a drugi na wpół ogolony. Pan Severo zachowywał się, jakby był głuchy.

– Zgoda, Trescents. Zrobię wszystko, co uzna pan za stosowne. Czy ma pan dane dotyczące strat, jakie może w naszych interesach spowodować ta sytuacja?

– Oczywiście, proszę pana. – Prawnik uniósł rękę, pokazując plik dokumentów. – Oto one. Myślę, że powinien je pan przeczytać.

– Czy jest bardzo źle?

– Wolałbym, żeby sam pan ocenił.

Po przejrzeniu wyliczeń i stwierdzeniu, że jego życia nie dotknie żadna zmiana po zatonięciu najważniejszego banku w mieście, Amadeo uznał, że sytuacja nie jest zbyt poważna. Jednak poszedł za radą adwokata, podobnie jak posłuchałby lekarza. Zjawił się na spotkaniu, odnowił kontakty z różnymi bankierami, zadzwonił do wybranych klientów, poparł oświadczenie, w którym zwracano się do rządu Maura o pilną pomoc, i podpisał wiele dokumentów. Udało mu się uratować drobną część inwestycji w dewizach, których dokonał w banku pełnomocnik.

Oczywiście w następnych dniach wiele mówiło się o przyczynach tego zdarzenia, którego zarzewia należało prawdopodobnie szukać w latach wojny w Europie, kiedy to katalońscy przemysłowcy odnotowali tak ogromne zyski.

– Zbyt dużo pieniędzy w rękach spekulantów. Skąpstwo nigdy nie popłaca – orzekł don Octavio Conde, równie bogaty jak on, ale o wiele ostrożniejszy.

Trescents czuł się winny strat i na dowód skruchy chciał nawet zrezygnować ze stanowiska, lecz Amadeo się nie zgodził. Nigdzie nie znalazłby drugiego takiego jak on.

– Czy zrobiłeś to, o co prosiłem, z mieszkaniem przy Rambli de Catalunya? – zapytał, nie zważając na cały ten zamęt.

– Oczywiście, proszę pana.

– Czy były jakieś problemy?

Chwila milczenia podsumowała dramat zarządcy, który raz jeszcze wykonał czarną robotę za swojego pana.

– Jak zwykle w takich przypadkach, proszę pana – odpowiedział prawnik.

– Dobrze. Sądzę, że chwilowo nie musimy się go pozbywać. Nie uważasz?

– Oczywiście, proszę pana. Poza tym to nie jest dobry moment na sprzedaż.

Amadeo poparł jego słowa skinieniem głowy, wziął ogłoszenie, które wyciął z gazety, i pokazał je Trescentsowi.

– Co ty na to? – zapytał.

Na wycinku widoczny był wspaniały rolls-royce model Silver Ghost.

– Cudowny.

– Zamów go dla mnie. Chcę dokładnie taki jak na fotografii.

Trescents schował wycinek.

– W całym tym zamęcie nie zdążyłem zapytać, jak się panu udał pobyt w Nowym Jorku.

– Wspaniale. Nie widzisz? To właśnie ma w sobie ta ziemia. Człowiek ma ochotę pozbyć się wszystkiego, co nie jest nowe i nowoczesne.

„Nowe i nowoczesne – powtórzył w myślach Trescents. – Najbardziej wyświechtane przymiotniki, jakie istnieją”.

O to, żeby jej syn się ustatkował, pani Maria del Roser toczyła boje przez kilka lat. A dokładnie od pewnego ranka, kiedy usłyszała dobiegające z poddasza odgłosy tupotu jakby królika i posłała na górę uzbrojoną w wielką miotłę Carmelę, która wróciła po chwili, zduszonym głosem opowiadając o dziewczynie radośnie biegnącej po pracowni „panicza”, jak ją Pan Bóg stworzył.

Wbrew swoim zwyczajom tego ranka Maria del Roser wtrącała się do spraw syna i spadkobiercy. Z elegancją weszła po schodach, bez wahania wkroczyła do dawnej graciarni, a teraz pracowni, i zamknęła oczy – acz zbyt późno – żeby oszczędzić sobie widoku nieprzyzwoitej sceny na łóżku królującym wśród porozrzucanych w nieładzie płócien, sztalug, krzeseł i szmat. Nadal nie patrząc, powiedziała:

– Panienko, proszę natychmiast przerwać tę czynność i ubrać się. Muszę porozmawiać z synem w cztery oczy.

Zaledwie dwudziestojednoletni Amadeo nie odezwał się słowem. Nie odważyłby się okazać matce nawet krztyny zuchwałości, jaką się wykazywał podczas częstych nocnych eskapad. Widząc grzecznego młodzieńca ze spuszczonym wzrokiem, nieznajoma wyszła zza parawanu i chwyciła swoją torebkę obszytą sztucznymi kamieniami. Maria del Roser zmierzyła wzrokiem jej niedwuznaczny strój, mówiąc:

– Szofer odwiezie panią we wskazane miejsce. Życzę miłego dnia i dziękuję za wszystko.

Trochę starsza od Amadea dziewczyna nie potrafiła nawet znaleźć słów pożegnania, zaskoczona uprzejmością, z jaką właśnie wyrzuciła ją pani domu.

Maria del Roser zamknęła drzwi, usiadła na skraju łóżka syna i odezwała się do niego surowiej niż kiedykolwiek:

– Spodziewam się, że po raz ostatni miałeś czelność sprowadzić dziwkę do mojego domu. Czy w tym mieście nie ma domów schadzek? Czy mam ci przypomnieć, że to nie jest taki przybytek? Kompromitujesz nazwisko swojego ojca i moje. Nie pozwolę na to.

Amadeo oczywiście nie zgadzał się z takim postawieniem problemu, ale wykazał się na tyle dobrymi manierami – i rozsądkiem – że nie odezwał się słowem.

– Z drugiej strony niepokoi mnie, że uganiaś się za dziewczynami. Czy obawiasz się kobiet o tym samym statusie społecznym co ty? Czy wolisz łatwe podboje, na jakie pozwalają ci te niedouczone dziewczyny z przedmieść? Uważasz się za tak miernego, że zamiast przestrzegać reguł gry, uciekasz się do podstępów? Jeśli będziesz postępował dalej w ten sposób, obawiam się, synu, że prędzej czy później nabawisz się jakiejś choroby wenerycznej albo przyprowadzisz mi synową ulicznicę. Zmądrzej wreszcie, do diabła. Jesteś na to wystarczająco dorosły, a przede wszystkim masz pozycję. Nie przynos nam więcej wstydu.

Skończywszy swój monolog, Maria del Roser wyszła z wyniosłością królowej Saby, pozostawiając za plecami ciszę, jaka zapada po wypowiedzeniu wojny.

Od tego dnia nie było panny na wydaniu z dobrego domu, o której nie wspomniwałyby synowi.

– Czy znasz pannę Garí? Słyszałam, że świetnie gra na pianinie. Była uczennicą Enriquego Granadosa!

Amadeo bez przekonania potakiwał głową.

– Ona jest nudna, matko. I nadal nosi gorset!

– Dowiedziałam się – próbowała innym razem – że córka bankiera Benignego de la Riva ubiera się zgodnie z najnowszą modą, w luźne stroje. I że uczyła się we francuskiej szkole. Czy chcesz, żebym zaprosiła ją na podwieczorek?

– Niech matka robi, co chce – odpowiadał obojętnie Amadeo. – Chyba ją znam. Jest wielka jak słoń.

– Któregoś dnia spotkałam na torach wyścigowych pannę Carles-Tolrá. Ma ładną figurę i twarz, ale jest zbyt szczupła jak na mój gust. Znasz ją?

– Tak, Octavio przez jakiś czas się z nią spotykał. Jest chorobliwie rozrzutna.

Kiedy wdowa Lax dowiedziała się, że u Brusésów są cztery piękności na wydaniu, pospiesznie wzięła sprawy w swoje ręce. Napisała do pani Matilde, którą widywała czasem na imprezach dobroczynnych,

wychwalając w kilku zdaniach szlachetność jej rodziny, a następnie wspomniała, że jej bardzo bogaty spadkobierca, którego diabeł opętał na punkcie malarstwa, mógłby namalować portrety jej złotowłosych nimf. Pani Matilde, która była przede wszystkim damą, niezwłocznie przesłała Amadeowi bilecik informujący, że zamierza zlecić mu kilka rodzinnych portretów. Dla niepoznaki obrazów miało być jednak więcej, niż jej zasugerowano. Zleciła mianowicie uwiecznienie wszystkich swoich pasierbów. A także siebie, aby mieć okazję przyjrzeć się kandydatowi z bliska. Oczywiście nie wspomniała artyście o jego zaniepokojonej matce, która poprosiła ją o tę przysługę.

Maria del Roser była jej dozgonnie wdzięczna.

Amadeo nie zrezygnował ze sprowadzania kobiet do domu, ale nauczył się robić to podczas nieobecności matki.

Pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia letnie miesiące są idealnym czasem na tego typu rozwiązłość. Dlatego Amadeo, nie przepadając za letniskiem ani letnikami, zostawał w Barcelonie pod byle pretekstem. Z własnej woli zrezygnował ze wszystkich służących i musiał długo tłumaczyć się matce, w jaki sposób poradzi sobie bez kogoś, kto przygotowuje mu posiłki czy wyprasuje ubrania. W końcu z obawy, że doña Maria del Roser nie będzie chciała wyjechać, zgodził się, by na czas nieobecności stałych służących zatrudnić dozorcę, prasowaczkę i pokojówkę.

Pierwsze lata były najlepsze. Amadeo spędzał swoje prywatne wakacje, zachowując się jak maharadża. Najważniejsza decyzja danego dnia dotyczyła wyboru restauracji, w której miał zjeść obiad. Rano chodził po domu nago. Rzadko malował. Wolał robić to popołudniami, korzystając z długiego dnia. Oczywiście pod warunkiem że nie był zajęty odwiedzinami jakiejś panienki. Wieczorem chodził do teatru lub kabaretu przy avenida del Paralelo, często w towarzystwie swojego przyjaciela Octavia, który pożądał rozrywki nie mniej niż on.

– Gdyby teraz zobaczyli nas nasi ojcowie, natychmiast by nas wydziedziczyli – mruknął Amadeo, śmiejąc się na myśl o ekscesach, których się dopuszczali.

Miał dużo racji. Gdyby jego ojciec mógł, nałożyłby na niego jedną ze swoich modelowych kar. Ojciec Octavia nigdy zbyt nie wtrącał, ale tylko dlatego, że przeczuwał, iż jego pierworodny syn sam się zmieni, nim będzie na to zbyt późno.

Jak zakłęcie zatrzymujące czas, wybieramy te wypowiedziane przez siedzącego w salonie Amadea słowa, żeby dać początek następnemu zdarzeniu. Mogliśmy wybrać każde inne podobnie wyglądające wieczorne spotkanie z wielu, jakie odbyli tutaj obaj rozpustni przyjaciele od serca. Chociaż żadne nie byłoby tak symboliczne jak to.

Widzimy ich siedzących w wielkich fotelach z żółtego aksamitu. Naturalnie w kominku nie ma ognia. Drzwi na patio są szeroko otwarte. Jest rok 1913, obaj skończyli po dwadzieścia cztery lata. Wieje przyjemny wietrzyk, choć niewystarczający, żeby złagodzić upał panujący w Barcelonie pod koniec lipca.

– Najlepsze, co możesz zrobić z kobietą, to ukształtować ją według własnego widzimisię – stwierdza Amadeo, patrząc na stiuki na suficie i ciągnąc ze swobodą, lekko rozweselony alkoholem: – Wziąć ją w stanie naturalnym, jak nieoszlifowany diament, zeszlifować z niej najpierw wszystko co zbędne, a następnie nadać jej dokładnie taki kształt, jakiego pragniesz. To jak tresowanie pieska występującego na jarmarku: taka sama potulność i plastyczność. I tym lepiej dla niej, bo w ten sposób coś jej zostanie, kiedy rzucisz ją dla następnej, nie sądzisz?

Wybuchają prostackim śmiechem, chociaż obaj wiedzą, że słowa Amadea wcale nie były żartem. To, jak podkreślił wyższość mężczyzn nad kobietami, jest dla niego zwyczajnym zachowaniem: przychodzi na przedstawienie, zwraca uwagę na najmłodszą z tancerek czy solistek, a kiedy opada kurtyna,

odwiedza ją w garderobie. Zanim gdzieś ją zabierze, każe jej się porządnie wykąpać, zawozi ją do eleganckiego salonu mody, tam zostaje przebrana za elegancką damę, a następnie zabiera ją na kolację przy dyskretnie ustawionym stoliku w Café Suizo, gdzie cały personel przyzwyczajony już jest do wszystkich jego ekscesów i nic nikogo nie dziwi. W lokalu jego towarzyszka pije francuskiego szampana aż do utraty kontroli nad sobą, śmieje się głośno i przez chwilę ludzi, że wkroczyła do innego świata. Noc kończy się dla niej w łóżku – własnym lub wynajętym – w którym zazwyczaj budzi się sama. Na stoliku nocnym znajduje hojny napiwek. Pod drzwiami zawsze czeka Felipe gotowy zawieźć ją z powrotem w miejsce, do którego należą.

– Ale znam niejedną, która absolutnie nie dałaby się urobić – odpowiada Octavio. – Nowoczesne kobiety bardzo się różnią od swoich antenatek.

Amadeo oddała tę myśl stanowczym ruchem ręki.

– Pod tym względem nowoczesność popełnia błąd.

– I nie widzę również powodu, żeby niektóre kuplecistki miały się zmieniać choćby o jotę. – Octavio się uśmiecha oszołomiony niedostępną urodą kobiety, którą widział tego wieczoru.

Właśnie wrócili z teatru. Byli w Salón Doré, gdzie podziwiali Piękną Olimpię, której Octavio jeszcze nie znał. To logiczne. Obowiązki, jakie nałożył na niego ojciec, ostatnimi czasy oddaliły go od nocnych rozrywek. Teraz prowadzi życie katalońskiego kupca. Co oznacza chodzenie spać o wpół do jedenastej wieczorem. Nie ma czasu na kobiety. Dzięki Bogu ma przyjaciela, który dba o jego zdrowie i potrzeby i na bieżąco informuje go o tym, co się dzieje w mieście. Gdyby nie Amadeo, stałby się już dawno dwudziestokilkuletnim starcem. Piękna Olimpia jest nowością, o której mówią wszyscy, i nie miałby o niej pojęcia, gdyby nie przyjaciel. I jest szczęśliwy, mogąc przyznać rację tym wszystkim, którzy wychwalają wdzięki pięknej kuplecistki, oraz tym, którzy jej pożądamy. Od dzisiaj Octavio jest jednym z jej najzagorzalszych wielbicieli.

Obaj półnaczy młodzieńcy rozkoszują się chwilą, rechocząc leniwie i kończąc trzecią butelkę brandy. Za chwilę Amadeo wyciągnie asa z rękawa.

– Przez Piękną Olimpię nigdy się nie ożenię – stwierdza Octavio, dramatyzując dla zabawy. – Mam się żenić po tym, jak zobaczyłem takie ciało? Czy myślisz, że gdzieś znajdę drugą taką jak ona? Co mogłoby mnie zadowolić, kiedy już ujrzałem raj?

Octavio przymyka oczy, wypowiadając te słowa z patosem wieszacza. Jest podchmielony i nie zamierza sobie żałować alkoholu w ciągu kolejnych godzin.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – przytakuje przyjaciel. – Co byś dał za to, żeby jej spróbować?

Octavio wybucha śmiechem.

– Kogo? Tej bogini? Ja?

– Masz z tym jakiś kłopot? Czy ta myśl cię przeraża?

– Sam sobie odpowiedziałeś! Nie jestem odważny. Nie nadaję się do walki w pojedynku. A słyszałem, że jest utrzymanką jakiegoś przemysłowca.

– Uważam, że żadna kobieta nie jest godna pojedynku – zauważa Amadeo, podczas gdy Octavio z powątpiewaniem kręci głową. – Przemysłowca? Skąd wiesz?

– Całe miasto o tym huczy. Mówi się również, że to on ją odkrył i pchnął na drogę kariery.

– To musi być wpływowy człowiek – wtrąca Amadeo zachwycony tą grą.

– I szczęśliwy – przyznaje Octavio, w rozbawieniu udając porażkę. – Mieć tylko dla siebie piękność, która ma u ciebie dług wdzięczności! Kto by tak nie chciał?

– Ile gotów byłbyś zapłacić, żeby być na jego miejscu?

– Załatwisz mi noc z Olimpią? Co za hojność! Znasz jej sponsora czy może skłonny jesteś stanąć w moim imieniu do pojedynku?

– Jeśli chcesz stoczyć o nią pojedynek, nie mam nic przeciwko temu, ale ostrzegam cię, że mam bardzo celne oko.

Octavio reaguje, lecz alkohol zamroczył mu jasność umysłu. Drapie się po policzkach, marszczy brwi – niestety, nie udaje mu się rozwiązać zagadki. Amadeo postanawia mu pomóc, odkrywając karty.

– Ja jestem tym przemysłowcem, o którym słyszałeś.

Octavio otwiera szeroko oczy i usta. Jego osłupiały wyraz twarzy wywołuje śmiech przyjaciela.

– Ty?

Jedyną odpowiedzią jest wybuch śmiechu.

– Nieprawda! Robisz sobie ze mnie żarty!

Amadeo wstaje, wyjmując klucze z kieszeni marynarki i wręcza je przyjacielowi.

– Sam się przekonaj. Rambla de Catalunya dwadzieścia sześć, trzecie piętro. To mieszkanie Olimpi. Znaczący moje mieszkanie, którego jej użyczyłem. Sypialnia jest w głębi. Powiedz jej, że ja cię przysłałem.

– Tak po prostu? A jeśli będzie spała?

– Zbudź ją i każ, żeby obsłużyła cię tak, jakbyś był mną.

Octavio czuje, jak pożądanie przyspiesza mu puls i wywołuje w kroczu nieznośne pieczenie.

– Na co czekasz? Będziesz tu stał jak gamoń? – pyta Amadeo.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. Jeśli to podstęp, przysięgam, że cię zabiję.

Amadeo uśmiecha się zadowolony.

– Lepiej zacznij się już zastanawiać, jak mi za to podziękujesz. Jestem przekonany, że jej umiejętności w łóżku spodobały ci się bardziej niż występy na scenie.

Octavio wydaje z siebie coś w rodzaju wycia i pospiesznie wkłada koszulę, marynarkę i trzewiki.

– Jak wyglądam? – pyta, przeczesując włosy palcami. Śmierdzi alkoholem.

– Czarująco.

– Życz mi powodzenia!

Zbiega po schodach, jakby gonił go sam diabeł. Amadeo nalewa sobie kolejny kieliszek, gasi światło, wychodzi na patio i kładzie się w hamaku pod gwiazdami. Przepelnia go euforia podobna do tej, jaką odczuwa złoczyńca, który właśnie dopuścił się występku i nie został przyłapany. Wyobraża sobie zaskoczenie Olimpi, kiedy w środku nocy napadnie ją Octavio, oraz posłuszeństwo, z jakim dziewczyna obsłuży go na dźwięk imienia Amadea. Myśli o używającym sobie z nią przyjacielu. Przewiduje smutne wyrzuty, jakimi Olimpia przywita go następnej nocy. Rozkoszuje się upokorzeniem, które być może zobaczy w jej oczach. Strachem, że od tej pory takie rzeczy będą się zdarzały. Czuje ukłucie podniecenia.

Zasypia, pragnąc nadejścia następnego dnia, a wraz z nim relacji Octavia.

Komary są dla niego bezlitosne.

Od: Violeta Lax

Data: 7 kwietnia 2010

Do: Drina Walden

Temat: PILNE

Musisz mi pomóc, Drino. Potrzebny mi numer telefonu obecnych właścicieli *Portretu don Octavia Condego*, który wisiał w jego gabinecie w El Siglo. Pamiętasz go? To jeden z obrazów mojego dziadka, który jest częścią wystawy portrecistów. Na zdjęciach opublikowanych miesiąc temu w „USA Today” znajdował się tuż za burmistrzem w czasie koktajlu po wernisażu (to, że nie odpowiadam na Twoje maile, nie oznacza, że nie czytam linków, które mi przysyłasz). Proszę Cię, nie zachowuj się jak ja i odpowiedz mi szybko.

Obiecuję, że kiedy trochę się uspokoję, opiszę Ci, czym jestem tak bardzo zajęta. Tymczasem mogę Ci tylko powiedzieć, że wywiad w CNN nie należy do moich priorytetów. Wymyśl coś, jeśli w ten sposób pozbędziesz się kłopotu, ale uwolnij mnie od konieczności pokazywania się w mediach, proszę. W tej chwili to ostatnia rzecz, na którą miałabym ochotę. I nie gniewaj się na mnie.

Całusy.

Vio

Od: Drina Walden

Data: 7 kwietnia 2010

Do: Violeta Lax

Temat: Re: PILNE

Dziwi mnie Twoja skleroza, Violeto. Obecnym właścicielem portretu, o którym wspominasz, jest barcelończyk nazwiskiem Gabriel Portal – wydaje mi się, że jakiś daleki krewny portretowanego – który przez ponad rok tak bardzo zanudzał nas swoimi ograniczeniami i wymogami, że o mało nie uznaliśmy sprawy wystawienia tego obrazu za nie do przeskokowania. Załączam stworzoną przez nas jego wizytówkę, na której znajdziesz wszystkie przydatne informacje. Na przykład że mieszka w górnej części Barcelony, ma sześćdziesiąt cztery lata i jest prawdziwą grubą rybą.

Jeśli chodzi o wywiad dla CNN, to obawiam się, że obudziłaś się za późno. Prawie dwa tygodnie temu musiałam stawić czoła wielkiej awanturze za to, że ich wystawiłam do wiatru z tym wywiadem. Sprawa była poważna, z pogroźkami włącznie, i otarła się o szefostwo. Myślę, że po powrocie będziesz musiała niejednemu się tłumaczyć, czym byłaś tak bardzo zajęta, że zignorowałaś jedną z sieci telewizyjnych o największej oglądalności na świecie.

Przykro mi, Violeto, ale tym razem nie mogę Cię pochwalić. To były ciężkie dni. Naprawdę tak się nie robi.

Ściskam.

Drina

Od: Daniel Clelland

Data: 8 kwietnia 2010

Do: Violeta Lax

Temat: Skończyłem powieść

Cześć, Kochanie.

Mam dla Ciebie bombę: skończyłem powieść! Do tej wspaniałej wiadomości w rytm bicia werbli dołączam kolejną: świat istnieje nadal! Stwierdzenie tego jest dla mnie dziwne po tylu miesiącach życia w innej epoce, ale to prawda. Myślę, że jestem w stanie ponownie do niego wrócić i nie okaże się to zbyt traumatyczne.

Mówiąc krótko, Violín: oddałem książkę i moja wydawczyni przesłała mi już swoje pierwsze komentarze, być może zbyt entuzjastyczne jak dla kogoś, kto tak jak ja uczy się – i to z korzyścią – najwięcej na ostrych opiniach innych. Ale najlepsze jest to, że po raz pierwszy od trzech lat jestem człowiekiem wolnym od zobowiązań.

To mi przypomniało, że mam przed sobą życie do odkrycia, wspaniałe dzieci i i podróżującą po Europie żonę, o której nie mam wiadomości od wielu tygodni.

Czy u Ciebie wszystko w porządku? Czy stało się coś wartego opowiedzenia? Czy Twoje milczenie jest spowodowane czymś więcej niż tylko szacunkiem dla mojej pracy? Czy wiesz, że za dziesięć dni są Twoje urodziny? Postanowiłem zostawić dzieci z moją matką i złapać pierwszy samolot do Barcelony. Jestem w stanie euforii i mam potrzebę wyjścia z nory. Poza tym nie chcę, żebyś obchodziła swoje czterdzieste urodziny sama i tak daleko od domu.

Kocham Cię.

D.

XXII

– Odpowiadaj! Zadałem ci pytanie!

Donośny głos don Rodolfa Laxa dopada zniecka stojącego przed nim ponurego chłopaka. Amadeo próbuje twardo się trzymać. Jego ojciec ma nerwy w strzępach. Przerasta go rola wymierzającego sprawiedliwość sędziego i nie rozumie, jak to możliwe, że Amadeo ma charakter takiego wrażliwca. Na dodatek w salonie czeka na niego z ważnymi sprawami kilku dżentelmenów, którzy zaczynają się niecierpliwić.

Z założenia jest to rozmowa między mężczyznami. Tyle że jeden z nich nie wydaje się chętny do żadnej rozmowy.

– Powiesz w końcu czy nie? Nie mam na to całego dnia, synu.

Amadeo wytrzymuje wzrok ojca i próbuje zyskać na czasie. Z doświadczenia wie, że don Rodolfo krótko wytrzymuje w roli sędziego w rodzinnych sporach. Zmęczony tą pantomimą Rodolfo uderza pięścią w stół. W efekcie flakonik z eliksirem Bertrana – „na wszelkiego rodzaju ataki nerwowe” – spada na dywan i jego śmierdząca zawartość się rozlewa. Nie łagodzi to napięcia. W tym momencie ktoś puka do drzwi.

– Wejść! – rozkazuje don Rodolfo inkwizytorskim tonem.

– Przyszedł ojciec Antonio Iñesta – informuje Eutimia, na której od dawna żadne krzyki nie robią wrażenia.

Ojciec i syn wymieniają spojrzenia naładowane znaczeniem zrozumiałym jedynie dla nich. Widzom – jeśli jacyś tu są – należy wyjaśnić, że ojciec Iñesta jest rektorem szkoły w Sarrià.

– Powiedz mu, że zaraz go przyjmę – rozkazuje don Rodolfo. – Podobnie jak pozostałych panów.

Ochmistrzyni ma wiele lat doświadczenia.

– Zauważyłam, że zaczęli się odrobinę niecierpliwić, i podałam im śniadanie. Najedli się do syta i humor im się poprawił. Proszę się nie martwić. Jeśli będzie się pan dłużej spóźniał, przygotuję im jajecznicę z ziemniakami.

– Chyba mnie też przydałyby się ze dwa jajka na cierpliwość, Eutimio. – Rodolfo mówi, wymawiając dobitnie słowa i wbijając wzrok w syna, więc ochmistrzyni rozumie, że aluzja nie jest skierowana do niej, i wycofuje się po cichu. Zanim całkowicie zamknie drzwi, pan ciągnie: – Albo i cztery, jeśli wreszcie mi nie powiesz czegoś, co będę mógł przekazać ojcu Iñestie.

– Nie mam nic do powiedzenia, ojcze. Podejrzewam, że on przedstawi własną wersję. Proszę ojca jedynie, żeby uwierzył ojciec w moją niewinność.

– To nie jest sąd, do diabła! – krzyczy Rodolfo rozwścieczony. – Nie mów tak!

Amadeo pogrąża się w milczeniu. Patrzy na śmierdzący syrop wsiąkający w dywan. Zapada gorzka cisza. Wtedy Maria del Roser otwiera drzwi i ukazuje się w nich jej zaniepokojona twarz.

– W saloniku zrobiła się kolejka jak do rzeźnika, kochanie! Czy nie zamierzasz nikogo przyjąć?

– Powiedz to swojemu synowi. Zwariuję przez niego.

– A on, sądząc po tym, co do mnie dotarło, przez ciebie ogłuchnie. – Wkracza zdecydowanie do gabinetu, podchodzi prosto do buteleczki ze środkiem uspokajającym, podnosi ją, stawia na stole, palcami przeczesuje włosy męża. – Nie denerwuj się, myszku. Nie powinieneś.

Z premedytacją Maria del Roser zbliża dekolt do twarzy don Rodolfa. Zastanawia się, jaki wpływ będą miały na niego nowe perfumy, którymi skropiła wszystkie swoje codzienne ubrania. Ich francuscy

twórcy zapewniają, że powstały z japońskich kwiatów i że to ulubiony zapach królowej Marii Krystyny.

Don Rodolfo wdycha. Japońskie kwiaty lekko go uspokajają.

– Zejdź mi z oczu – rzuca do Amadea, który pospiesznie wychodzi z gabinetu.

Pan domu wkłada nos między ściągnięte gorsetem piersi żony. Zamyka oczy. Pozwala, by jego puls odzyskał zwykły rytm. Od razu czuje się lepiej.

– Ach, Rorró, jesteś prawdziwym lekiem na moje nerwy. Należałoby cię skropić i sprzedawać w aptekach.

Śmieje się zadowolona z pochlebstwa. Kiedy intuicyjnie wyczuwa gotowość Rodolfa, rozluźnia objęcia i spogląda na niego z pewnej odległości. Ma podkrążone oczy, ale nie jest blady. Jego słowa są jednak gorzkie.

– Gdybyś nie była taka, jaka jesteś – mówi – powiedziałbym ci, że nie znajduję w naszym synu żadnej mojej cechy.

Maria del Roser zaczyna masować gruby kark don Rodolfa. Robi to na sposób wschodni, przystający do zapachu jej ubrań. Aż w końcu jej mąż się odzywa:

– Muszę popracować. Jeśli każę dłużej czekać tym szanownym dżentelmenom, w końcu ogłoszą mnie wrogiem monarchii.

Maria del Roser nie żąda wyjaśnień, lecz Rodolfo sam dodaje:

– Polawieja i Maristany przyszli porozmawiać o wizycie króla Alfonsa w naszych fabrykach. Skoro tak go męczą pokazywaniem byle fabryczki w kraju, poprosiłem, żeby mógł zobaczyć również nasze. Poproś, by weszli, z łaski swojej. I bądź miłą dla ojca Iñesty. Jezuici nie są przyzwyczajeni do czekania.

Maria del Roser wychodzi wykonać swoją misję, a Rodolfo zaczyna realizować zburzony plan porannych spotkań. Na szczęście sprawa wizyty monarchy zostaje szybko załatwiona i ma jeszcze czas, żeby przyjąć w ciągu niecałego kwadransa dwóch petentów: młodego architekta nazwiskiem Raspall, który pragnie poinformować go o swoich chęciach i pracowitości na wypadek przyszłych zleceń, oraz niejakiego Tomása Trescentsa, małomównego adwokata, choć ze wspaniałymi referencjami. Prawnik bardziej przypada mu do gustu. I aktualnie jest dla niego przydatniejszy. Na wszelki wypadek zostawia sobie pod ręką jego wizytówkę.

Ojciec Iñesta jest postawnym mężczyzną, któremu obfite owłosienie na całym ciele – a w szczególności brwi oraz włosy na czole i rękach – nadaje wygląd wielkiego przedstawiciela rodziny człekokształtnych. Największe wrażenie robią uszy. Są tak ogromne, pulchne i czerwone, że Rodolfo myśli, że gdyby mógł je odciąć i poprosił kucharkę, aby je ugotowała, wyszedłby z nich wspaniały rosół. Stojąc przed nim w czarnej sutannie, czwororożnym birecie i z dłońmi schowanymi w mankietach rękawów, przypomina Komandora z ostatniego aktu *Don Juana* Joségo Zorrilli. Dla dopełnienia sceny brakuje jedynie, żeby zaprosił don Rodolfa, by wstąpił z nim do piekieł. Opada teraz chudymi pośladkami na fotel i odzywa się piskliwym i bynajmniej nie widmowym głosem:

– Mam nadzieję, że rozumie pan, iż epizody, które miały miejsce z winy pańskiego syna Amadea, przynoszą wstyd naszej instytucji. Gdyby nie pana pozycja, musielibyśmy natychmiast usunąć go na zawsze ze szkoły. Jednak biorąc pod uwagę reputację pańskiej rodziny oraz wstawiennictwo pańskiego drugiego syna, Juana, zgodziliśmy się zrobić wyjątek. Ale pod warunkiem że uczeń stanowczo się zobowiąże do przestrzegania wszystkich bez wyjątku zasad panujących w naszej szkole, w szczególności zasad dyscypliny i posłuszeństwa, oraz zgodzi na to, że będzie musiał w ramach pokuty w jakiś sposób wynagrodzić szkodę kolegom, których pobił. Mam nadzieję, że nie oceni pan tych środków jako zbyt surowe.

Don Rodolfo Lax potrząsa głową. Nie dlatego, że uznaje je za zbyt dotkliwe – generalnie żaden środek dyscyplinujący nie wydaje mu się wystarczający w przypadku Amadea – lecz dlatego, że nie

rozumie nic z tego, co się stało.

– Czy byłby ojciec tak miły i wytłumaczył mi, co się wydarzyło? – pyta.

– Czy sam winowajca nie powiedział panu? – dopytuje się ksiądz.

– Odkąd wrócił, nie chce nic powiedzieć.

Ojciec Iñesta wykrzywia usta na znak dezaprobaty.

– Powinien pan go do tego zmusić – stwierdza, po czym niechętnie zaczyna opisywać zdarzenie: –

W poniedziałek podczas porannych lekcji Amadeo zaatakował dwóch kolegów i swojego brata. Jednemu z nich wbił w ramię cyrkiel. Drugiego, raczej słabowitego chłopca cierpiącego na astmę, zaczął okładać pięściami, aż rozbił mu górną wargę i nos. Juan ucierpiał najmniej, ponieważ gdy otrzymał pierwszy cios w brzuch, inni uczniowie stanęli w jego obronie. Widząc, że został osaczony, Amadeo uciekł przez okno. Na szczęście postanowił przyjść tutaj, jak dowiedzieliśmy się później. Kiedy do klasy wszedł stróż, już go nie było.

– Nie ma ksiądz pojęcia, jak bardzo mi przykro – wyszeptał zawstydzony Rodolfo. – Czy tamci chłopcy czują się dobrze?

– Tak, dzięki Bogu. Są jedynie przestraszeni. Oczywiście nie tak bardzo jak ich rodzice.

– Wyobrażam sobie. Amadeo prześle im list z przeprosinami.

– Jeśli mógłbym coś zasugerować, sądzę, że lepiej by było, gdyby osobiście ich przeprosił. Każdego z osobna. Żeby miał nauczkę.

Rodolfo, skubiąc brodę, przez chwilę myśli, ile czasu straci przez to zdarzenie.

– Obiecuję ojcu, że wezmę to pod uwagę i że Amadeo naprawi swoje winy – mówi.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– A co się tyczy szkoły, proszę pozwolić, że zaproponuję darowiznę, która zadośćuczyni za kłopoty.

Rodolfo bierze ozdobioną godłem Banco de Barcelona książeczkę czekową, wypisuje czek na pokaźną kwotę, podpisuje go i podaje ojcu rektorowi.

– To bardzo miłe z pańskiej strony. Wspólnota zawsze ma pilne wydatki. Dobrze przynamniej, że syn ma w panu przykład do naśladowania.

Don Rodolfo odprowadza ojca Iñestę do drzwi i proponuje, że jego szofer odwiezie jezuity samochodem do szkoły. Duchowny nie odmawia. Można by powiedzieć, że bardziej pasuje do tego świata, chociażby ze względu na darowiznę, którą właśnie przyjął.

Don Rodolfo po powrocie do gabinetu przygląda się bałaganowi na biurku, czując się wybity z rytmu. Trudno mu oddalić myśli o reprimendzie jezuity i skupić się na bieżących sprawach. Ma ochotę zawołać Amadea i przelać na niego całą nagromadzoną złość.

Na szczęście dla jego syna musi pilnie zająć się interesami. Następną sprawą jest zakup ziemi. Ale nie takiej zwyczajnej ziemi.

– Działki znajdują się tuż obok budowanej świątyni. U zbiegu ulic Valencia, Mallorca i Rosellón, dokładnie tam, gdzie pan powiedział – oznajmia schorowany adwokat, wskazując drżącą ręką miejsce na planie miasta.

Don Rodolfo patrzy na mapę terenu i nie może powstrzymać pomruku zadowolenia.

– Są drogie – dodaje zbliżający się do emerytury lub zapaści prawnik.

– Jeśli planowany projekt stworzenia wokół świątyni parku dojdzie do skutku, za kilka lat ich cena wzrośnie czterokrotnie. A wie pan przecież, że Gaudiemu prawie nikt nie ośmiela się przeciwstawić. Kupmy je jak najszybciej.

– Słyszałem, że trwają starania, by ściągnąć nuncjusza papieskiego i pokazać mu, jak postępuje budowa.

– Jak postępuje budowa? Przecież tam jest zaledwie parę kamieni na krzyż! – śmieje się don Rodolfo.

– Ale niech przyjdzie, niech przyjdzie, pokażemy mu je. Watykańskie błogosławieństwa podnoszą ceny!

Sprawy mają się dobrze, lecz dzisiaj Rodolfa nic nie cieszy. Nawet dekolt Rorrity. Złe zachowanie starszego syna krąży mu po głowie jak natrętna mucha.

Przed obiadem, kiedy salonik w końcu opustoszał, przyjmuje jeszcze gościa, który przybył niezapowiedziany i przeprasząc.

– Proszę mi wybaczyć, że przychodzę tak po prostu, ale przysłała mnie mój syn w bardzo ważnej sprawie – mówi don Eduardo Conde, który stoi przy oknie, trzymając w rękach srebrną laskę i melonik i uśmiechając się pod przystrzyżonym wąsem.

Przyszedł w sprawie wybryku Amadea. Chociaż jego postawa jest zaskakująca. Gdyby to był prawdziwy proces, byłby świadkiem obrony.

– Nie chcę zabierać panu czasu, jedynie spełnić prośbę Octavia, który od niedzieli jest oburzony tym, co uważa za niesprawiedliwość kolegów i arbitralność ojców jezuitów. Muszę przyznać, że nigdy bym nie pomyślał, że mój syn ma takie poczucie sprawiedliwości, i podoba mi się, że broni najlepszego przyjaciela. To go nobilituje w moich oczach i myślę, że powinien pan rozważyć jego słowa. Według jego opowieści zachowanie Amadea nie było agresją, lecz obroną konieczną. W wieczór przed dniem rodzinnych odwiedzin koledzy dopuścili się niewybaczalnego czynu, wykorzystując jego pracę i talent dla własnego interesu. Krótko mówiąc, ukradli mu owoc jego wielomiesięcznych trudów. Amadeo nie wspominał o tym, ponieważ jak mówi mój syn, byłoby śmieszne zrobić to przy wszystkich. Poza tym nie mógł niczego udowodnić i najprawdopodobniej pozostali zaprzeczyliby jego słowom, ośmieszając go jeszcze bardziej. Z tego właśnie powodu wziął sprawiedliwość w swoje ręce i zamiast publicznego oskarżenia wybrał osobiste porachunki. Sądzę, że uzasadnione jest to porywczością naturalną dla jego wieku.

Wysłuchawszy słów czcigodnego znajomego, którego bardzo sobie ceni jako poważnego i uczciwego człowieka, Rodolfo stwierdza, że ten dzień wcale nie robi się lepszy.

– Kradnąc mu, powiedział pan? Co ma pan na myśli?

– Według mojego syna Amadeo od pierwszego dnia szkoły codziennie maluje. I do tego bardzo ładnie. Czasami również pisze. Oczywiście po kryjomu, ponieważ ojcowie jezuitów nie tolerują żadnych rozrywek tego rodzaju, tym bardziej poza klasą. Wygląda na to, że pański syn chowa swoje utwory i rysunki pod materacem łóżka. W małych celach, w których chłopcy śpią, nie ma chyba zbyt wielkiej prywatności, więc koledzy znaleźli kryjówkę i zabrali mu je.

– Kto?

– Octavio nie chciał podać mi nazwisk.

– Rozumiem. A wie pan, czy mój drugi syn był wśród nich?

– Nic o tym nie wiem.

– Co się stało z rysunkami?

– Wszystkie zostały nagrodzone w konkursie w zeszłym tygodniu. Zadowoleni zwycięzcy odebrali nagrody, pamięta pan? Powinny przypaść Amadeowi, ponieważ to były wszystko jego prace.

Rodolfo próbuje sobie przypomnieć rysunki zdobiące w zeszłą niedzielę ściany korytarzy internatu. Były wspaniałe. Nawet ktoś słabo znający się na sztuce był w stanie to zauważyć.

– A pamięta pan ten świetny utwór poetycki o powołaniu, który przeczytał Juan? – mówi dalej Eduardo.

Oczywiście, że pamięta. Poczł się niezwykle dumny, że jego młodszego syna wybrano, aby wyrecytował przed całą szkołą utwór własnego autorstwa. Juan już ich przyzwyczał do takich dowodów swojej inteligencji, ale tym razem przeszedł samego siebie. Rodolfo pamięta również, że

Amadeo był ponury przez cały występ i nie odezwał się, kiedy matka, będąc pod wrażeniem wzniosłych idei w połączeniu z harmonijnymi rymami, skarciła go czule:

– Bierz przykład z brata, kochanie, a może któregoś dnia zaskoczysz nas równie pięknymi wierszami. Wiem, że ty także jesteś bardzo zdolny.

Rodolfo otwiera szeroko oczy.

– Octavio powiedział mi, że utwór, za który tak entuzjastycznie oklaskiwaliśmy Juana, był dziełem Amadea. Sam był świadkiem, jak co wieczór pisał wiersz w samotności swojej celi – dodaje Eduardo Conde i na jego gładkim czole zarysowuje się kilka szarych zmarszczek.

Rodolfo przeklina dzień, w którym wziął udział w niedzielnym święcie w szkole. Gdyby to zależało od niego, nigdy nie poszedłby na te okropne pokazy rodzinnej dumy pomieszanej z fałszywie nabożną gościnnością. Jakby nie wystarczyło, że musi znosić męki w czasie tygodnia. Im bardziej stara się zagłębić w ten chaos, tym mniej jasna jest dla niego postawa ludzi – nawet własna.

W paradzie świadków brakuje najważniejszego: Juana. Jednak na przesłuchanie go trzeba poczekać do letnich wakacji. Zasady szkoły dotyczące komunikacji z uczniami podczas roku szkolnego są ściśle przestrzegane i w tym wypadku działają na jego korzyść, zapewniając mu pewną bezkarność. Rodolfo uznaje, że takich spraw nie należy załatwiać przez telefon. Przy okazji kolejnej rodzinnej niedzieli, w której nie zamierza brać udziału, poprosi Marię del Roser, żeby się dowiedziała, co się stało, lecz przewiduje z góry, że nie da to żadnego rezultatu.

Kiedy w końcu świadek siada w fotelu dla gości – zbyt dla niego dużym – zdarzenie jest już zbyt odległe i nie obchodzi prawie nikogo.

– Nic nie zrobiłem – brzmia słowa Juana.

– Czy ten wiersz, który przeczytałeś podczas uroczystości... był twój?

– Tak... – szepcze ledwo słyszalnym głosem.

– Spójrz na mnie, Juanie. To bardzo ważne. Czy możesz mi dać na to słowo honoru? – pyta ojciec, patrząc władczo w oczy synowi, zbyt małemu na to, żeby mógł być poddany wszystkim zasadom tak oficjalnego przesłuchania.

– Tak... – szepcze znowu chłopiec.

– I dajesz słowo, że nie brałeś udziału w żadnym spisku przeciwko bratu?

– Nie... Tak... Ja nie... To znaczy... O co ojciec pytał?

– Brałeś udział czy nie, do diabła?

– Nie.

Lakoniczność odpowiedzi jest podejrzana.

Kiedy Rodolfo uznaje, że nic więcej się od Juana nie dowie, i pozwala mu opuścić gabinet, Conchita musi naprawdę się postarać, żeby uspokoić świadka, który trzęsie się przez dłuższą chwilę z powodu surowości sędziego oraz własnych kłamstw. Conchicie udaje się zrozumieć kilka przerywanych czkawką słów, które wywołują jej niepokój.

– Jeśli ich wydam, zbiją mnie. Tak mi powiedzieli.

Conchita przytula chłopca. Ośmiela się zasugerować:

– Dlaczego nie przeprosisz brata i nie załatwicie tego po męsku między sobą?

Juan zamyka oczy i udaje, że nie słyszy.

Podczas letnich wakacji bracia nie patrzą sobie w oczy i przez cały czas się unikają. Juan obawia się spotkania sam na sam z Amadeem. Boi się jego lodowatego spojrzenia i milczenia naładowanego wyrzutami. Całymi dniami zachowuje wylężnioną czujność, którą Conchita próbuje przerwać.

– Dalej, Juanie. Przepróż brata. Nikt oprócz nas nie będzie o tym wiedział.

Juan kręci głową, myśląc o reakcji ojca, gdyby doszło do niego, że go okłamał.

– Nic nie zrobiłem.

Rola Conchity jako mediatorki nie przynosi efektów pomimo jej starań.

– Czy możesz wyobrazić sobie, co czuł twój brat, przepraszając rodziców kolegów? Don Rodolfo kazał mu to zrobić. Przeprasić każdego z osobna w ich własnych domach! Czy uważasz, że to jest sprawiedliwe?

– Nie można bić – odpowiada Juan – a on ich pobił.

Ostatecznie niania próbuje porozmawiać z panią.

– Obaj popełnili błąd. To niesprawiedliwe, że tylko jeden musiał ponieść konsekwencje.

Maria del Roser nie może nic zrobić. Rodolfo ma dość tego tematu i nie chce ponownie otwierać sprawy. Próbuje być sprawiedliwa, mówiąc:

– Amadeo nigdy nigdzie się nie przystosował. Nikogo nie lubi.

Zanim ponownie rozpocznie się szkoła, państwo Lax zgodnie postanawiają zatrudnić dla syna prywatnego nauczyciela, który zajmie się jego edukacją. Będzie przychodził codziennie i wprowadzi mu ścisły program nauczania.

To rozwiązanie satysfakcjonuje wszystkie strony. Juan wraca do szkoły jako bohater tej dziwnej bitwy. Amadeo zamyka się w sobie bardziej niż kiedykolwiek. Pomiędzy braćmi niewypowiedziane słowa otwierają przepaść nie do pokonania. Doña Maria del Roser ma czyste sumienie. Don Rodolfo całkowicie zapomina o sprawie. Już zamkniętej.

Rankiem w dniu, gdy Juan wraca do internatu jezuitów, Amadeo zachodzi mu drogę u szczytu schodów i rzuca:

– Nigdy ci nie wybaczę. Nawet za tysiąc lat.

Szanowna Pani!

W pierwszych słowach tego listu chciałabym pogratulować Pani z okazji ślubu, o którym dowiedziałam się z kronik towarzyskich. Z tego co mi wiadomo, był on jednym z najwspanialszych ślubów, jakie widziano w mieście w ostatnich latach, a do tego odbył się w katedrze. Jakie to cudowne. Oczywiście zważywszy na urodę panny młodej, nie mogło być inaczej.

Proszę mi wybaczyć, że ośmielam się pisać do Pani, Tereso. Obawiam się, że list ten nie zawiera dobrych wiadomości. Być może nie znienawidzi mnie Pani, jeśli na swoją obronę powiem, że umieram i że te słowa to jedyny sposób, żeby uwolnić mą duszę od straszego cierpienia, jakie towarzyszy mi od lat. List dotrze do Pani rąk, kiedy mnie już nie będzie na tym świecie. Świadomość tego zapewnia mi w ostatnich godzinach spokój, którego nie zaznałam od bardzo dawna. Proszę Panią o wybaczenie z pokorą i – chociaż może się to Pani wydać dziwne – czułością.

Zwracam się do Pani jak do siostry, ponieważ czuję właśnie, że nimi jesteśmy. W końcu dzieliłyśmy coś o wiele bardziej intymnego niż to, co łączy dwie kobiety urodzone pod tym samym dachem: miłość do tego samego mężczyzny. Proszę się nie niepokoić. Doskonale wiem, że Pani i ja, zarówno pod tym względem, jak i innymi, nie możemy mierzyć się tą samą miarą. Dla niego byłam jedynie kolejnym luksusem w epoce marnowania czasu i młodości. Kiedy go poznałam, Pani była jeszcze dzieckiem. Ostatni raz widziałam go ponad dziewięć lat temu. Moja i Pani droga nigdy się nie przecięły. Nie stanowią dla Pani żadnego zagrożenia. Ani dla nikogo innego.

Mając trochę ponad dwadzieścia lat, Amadeo był cudownym opiekunem, młodym mężczyzną o nieodpartym uroku. Ja byłam szesnastoletnią głupią dziewczyną, ładną i ambitną, która pechowo stała się obiektem pożądania obu synów pracodawcy. Pani jako kobieta, która znalazła się może w podobnej sytuacji, z pewnością wie, jakie niebezpieczeństwo pociąga za sobą zbyt duże zainteresowanie. Popełniłam błąd, uważając się za lepszą od innych. Życie robotnicy w fabryce włókienniczej – które wiedli od zawsze moi rodzice – z dnia na dzień wydało mi się zbyt ograniczone. Juan mówił mi o miłości, uczuciach, przyszłości, Amadeo zaś mówił o sławie, szczęściu i bogactwie. Postanowiłam nie rezygnować ze swoich ambicji, nie tracić młodości, patrząc, jak rosną kolejne bele bawełnianej tkaniny, nie ulegać nikomu, nie wybierać najbardziej konwencjonalnej drogi.

Właśnie moja ówczesna pewność siebie sprawiła, że Juan zwrócił na mnie uwagę. On był inny: skromny, czarujący. Nie wyglądał na tego, kim był, raczej na jednego z robotników, chociaż był mądrzejszy i lepiej wykształcony. Naprawdę interesował się nami. Uważał, że rewolucja robotnicza jest konieczna i że obowiązkiem pracodawców jest zrozumieć ją i poprzeć, aby raz na zawsze skończyć z niedostatkiem i nędzą. Juan za młodu – kiedy miał osiemnaście lat – dużo bywał w fabryce, zadawał pytania zarówno starym, jak i młodym robotnikom, ich odpowiedzi zapisywał drobnym pismem w zeszycie wypełnionym cyframi i wykresami. Słuchał wszystkich, poświęcał im czas i uwagę.

Wyprzedzał swoją epokę, był dalekowzroczny. Kiedy po raz pierwszy ujrzałam go rozglądającego się po fabryce, zwróciłam uwagę na to, jak na mnie patrzył. Kilka tygodni później wyznał mi bezwarunkową miłość. Byłam dla niego oziębła, mając przewagę kogoś, kto jest przedmiotem uległej miłości. Juan był pierwszym mężczyzną, który wyznał mi swoje uczucia. Pierwszym, który zwariował na moim punkcie. I to jak! W końcu zdobył mnie swoją wytrwałością, eleganckimi słowami i sposobem bycia wykształconego rewolucjonisty. Nasz romans był niewinny i krótki, typowy dla młodych ludzi o podobnym pochodzeniu, którzy jeszcze nie wiedzą niczego o świecie, a nawet o sobie. Kiedy powiedział mi, że jest synem don Rodolfa Laxa, wyśmiałam go. Nie uwierzyłam mu. Tak bardzo różnił się od paniczów, których znałam! I wtedy pojawił się Amadeo.

Nigdy nie widziałam wytworniejszego mężczyzny ani takiego, który byłby bardziej z tego dumny. Przyjechał do

nas tylko raz, lecz jego zachowanie zrobiło na nas ogromne wrażenie. Nie miał nic wspólnego z serdecznym dostojnością jego ojca ani z proletariacką naiwnością brata. On uważał się za właściciela i tak się zachowywał. Nie pozostawiał cienia wątpliwości na temat tego, co sądzi o robotnikach. Był ponad naszą nędzną egzystencję.

W tamtych czasach przez cały dzień pośpiewywałam sobie. Moje piosenki, w większości pikantne, cieszyły się pewną popularnością wśród koleżanek. Niejedna mi mówiła: „Szkoda, że marnujesz talent w tych wilgotnych halach. Powinnaś występować na scenie”. W nocy śniło mi się, że triumfuję w teatrach, podobnie jak Pilar Alonso, La Fornarina, Raquel Meller czy wiele innych. Że podróżuję z licznymi kuframi przez różne kraje i pożąda mnie wielu mężczyzn. Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym nie spotkała Amadea na swojej drodze. Być może wyszłabym za mąż za Juana i mielibyśmy razem dzieci. Nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej niż zostanie matką wielu maleństw. Być może udałoby mi się otworzyć sklep z galanterią czy zakład krawiecki; zawsze lubiłam szyć. Prowadzilibyśmy godne życie pozbawione niespodzianek. I teraz nie pisałabym do Pani, znajdując się na krawędzi śmierci.

Lecz Amadeo miał wobec mnie inne plany, choć nie udało mi się dowiedzieć dlaczego. Czy sam z siebie zakochał się w niepokornej robotnicy, która śpiewała nieprzyzwoite piosenki w jego fabryce? Czy nagle zapragnął zabawić się ze mną w kotka i myszkę? A może jego zainteresowanie miało coś wspólnego ze szczerym uczuciem, jakim darzył mnie jego młodszy brat? Niestety, nigdy się tego nie dowiem.

Pewnego dnia przysłał do mnie swojego prawnika, niejakiego pana Trescentsa o powierzchowności myszy i przypominającego kreta ludzkiej wielkości. Używając zawilego słownictwa, człowiek ten oświadczył mi, że pewien impresario teatralny gotów jest przesłuchać mnie do nowego spektaklu i że powinnam podziękować pracodawcy za tę szansę, ponieważ to on wspominał o mnie wpływowemu przyjacielowi.

Przesłuchanie odbyło się w Salón Doré trzy dni później przed południem. Z fabryki do teatru pojechałam samochodem mojego dobrodzieja. Wszyscy z fabryki życzyli mi powodzenia. Rodzice uściskali mnie wzruszeni z oczami pełnymi łez. „Wypadniesz bardzo dobrze”, powiedzieli.

Całą noc płukałam gardło białkiem z kurzych jaj. Rano ćwiczyłam głos, jak robią wielkie śpiewaczki. W aucie Laxów poczułam się mało warta i brudniejsza niż kiedykolwiek. Przesłuchanie było absurdalną pantomimą. Na widowni zasiadł Amadeo Lax oraz jakiś gruby stary człowiek, którego nazwiska nie pamiętam. Poprosili, żebym pokazała im nogi. Zrobiłam to z zakłopotaniem, które próbowały uciszyć moje marzenia o sławie.

– A teraz piersi – powiedział stary grubas, widząc moją gotowość.

Dużo kosztowało mnie rozpięcie bluzki i wykonanie tego polecenia. Przekonali mnie, mówiąc, że artystką jest się, owszem, dzięki swoim talentom, ale przede wszystkim dzięki miłej dla oka aparycji. A oni nie znają lepszego sposobu sprawdzenia tego drugiego aspektu, jak osobiście się o tym przekonać, i to profilaktycznie jak najdokładniej. Chyba właśnie tego słowa użyli: profilaktycznie. Rozwiązałam hieny.

Oczywiście pokazałam im piersi. I nie musiałam rozbierać się dalej, ponieważ ulitowali się nade mną i pozwolili mi zapiąć guziki.

– Czy nie chcą panowie, żebym zaśpiewała jakiś kuplet? – zapytałam jak idiotka.

– Jeśli masz ochotę... – powiedział ten stary.

Zaśpiewałam Batalion subretek, piosenkę cieszącą się największym powodzeniem w fabryce. Kiedy ją śpiewałam, wszyscy szaleli. Brzmi tak:

Eleganccy paniczce chcą,
to nie żart, śledzić nas z tyłu.
Ale ja zamierzam powiedzieć im
z wielką odwagą,
że wygodniej byłoby im z przodu.

Zatrudnili mnie, nie czekając, aż skończę piosenkę.

– Dzisiejszego wieczoru wystąpisz po raz pierwszy – powiedział mi ten stary. – I będziesz zarabiała siedem peset dziennie. Co ty na to?

Co ja na to? Miałam jedynie szesnaście lat! W fabryce zarabiałam dziesięć peset na tydzień. Która dziewczyna w mojej sytuacji nie zgodziłaby się bez wahania?

Później Amadeo zaprosił mnie na obiad do Café Suizo. Powiedział, że chce to uczcić. Wcześniej zaprowadził mnie do modniarki na calle Consejo de Ciento, od której wyszłam zmieniona w wyrafinowaną lalkę okrytą naturalnymi jedwabiami. Poszliśmy na obiad. Czulałam się jak we śnie.

– Będziesz musiała zamieszkać gdzieś bliżej teatru – powiedział Amadeo, nalewając kolejny raz szampana do mojego kieliszka – i oczywiście przestać widywać się z dotychczasowymi narzeczonymi. Teraz musisz poświęcić się publiczności.

– Z narzeczonymi? – odpowiedziałam z uśmiechem, jednocześnie zdradzając Juana. – Przecież nigdy żadnego nie miałam!

Moja odpowiedź ucieszyła go tak bardzo, że mnie pocałował. I był to namiętny pocałunek.

– Potrzebny ci pseudonim artystyczny – stwierdził. – Montserrat Espelleta nie przykuwa uwagi. Lepiej coś bardziej uniwersalnego. Masz jakiś pomysł?

Nie miałam żadnego, ale on wymyślił za mnie.

– Już mam! – wykrzyknął. – Będziesz Olimpią. Znasz obraz Maneta?

Pokręciłam głową.

– Pasuje do ciebie idealnie. Podoba ci się?

Imię brzmiało mi dziwnie.

– A więc od tej pory będziesz Piękną Olimpią – powiedział. – Postacią stworzoną przeze mnie!

Amadeo wynajął dla mnie pokój w hotelu Cuatro Naciones. Zostawił mnie tam, żebym odpoczęła, i przyjechał wieczorem, żeby zabrać mnie do teatru. Za kulisami pocałował mnie w czoło i życzył mi szczęścia. Oklaskiwał mnie z pierwszego rzędu. Mój debiut odniósł sukces i bardzo szybko całe miasto poznało moje imię. Podniesiono mi pensję po kilku tygodniach. Amadeo zawsze przychodził. Miał w Salón Doré własne miejsce i rzadko nie pojawiał się na przedstawieniu. Później zapraszał mnie na kolację. Wydawał się szczery i miał maniery dżentelmena. Jak można się było spodziewać, całkowicie mu uległam. Nie musiał mnie o nic prosić. Sama otworzyłam dla niego drzwi sypialni. Nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, że tak bardzo można kochać drugiego człowieka.

W tamtych czasach życie artystki nie było łatwe. Barcelona tętniła życiem, pieniądze płynęły jak woda i wszędzie pełno było mężczyzn szukających dobrej zabawy. Mój repertuar w większości obejmował pikantne piosenki. Dawniej takie występy nazywano „teatrem kameralnym”, który w ostatnich latach wyszedł już nieco z mody. Ja dość późno odnowiłam tę wspaniałą tradycję. Chociaż śpiewanie wyzywających kupletów w tamtych szalonych czasach niosło zagrożenia: wielu widzów brało mnie za kogoś, kim nie chciałam być. Dobrze było mieć u swojego boku mężczyznę gotowego do obrony i ochrony. Zważywszy na mój brak doświadczenia, bez niego nie przetrwałabym w tej dżungli nawet miesiąca.

Początkowo Amadeo pełnił swoją rolę z przyjemnością. Kupił dla mnie piękne mieszkanie na Ramblis de Catalunya, gdzie często mnie odwiedzał. Czasami nie wracał do swojego domu przez kilka dni. Kiedy byliśmy razem, żyliśmy w oparach szczęścia i luksusu. Namalował mnie nawet okrytą jedynie chustą flamenco, w której wychodziłam na scenę, żeby śpiewać Rogi pana Paquita. A w pierwszym rzędzie sportretował siebie podziwiającego mnie – swoje dzieło – co rzeczywiście w tym czasie było prawdą. Taka sielanka trwała rok, jedyny czas prawdziwego szczęścia w moim życiu. Dwanaście miesięcy. Później znudził się mną. Mogłabym to przewidzieć, gdybym miała więcej doświadczenia. Prędzej czy później mężczyźni nudzą się swoimi zabawkami i wymieniają je na inne. Lub co gorsza: dzielą się nimi.

Pierwszy był jego nieśmiały przyjaciel, który wcześniej traktował mnie z szacunkiem. Nie mogłam pogodzić się

z tym, że oddają się innym, ale moje protesty, płacz ani błaganie, żeby nie zmuszał mnie do poniżania się w taki sposób, na nic się zdały. Amadeo lubił popisywać się mną w tak małoduszny sposób. Z początku przysyłał do mnie najbliższych przyjaciół lub dawnych kolegów ze studiów. Następnie poszerzył krąg o innych znajomych: klientów, bankierów... Wysłał mnie nawet do starego impresaria teatralnego, który zachowywał się tak, jakbym była jego własnością. Byłam dla niego na tyle nieprzyjemna, że następnego dnia zerwał ze mną kontrakt. Amadeo ostro mnie za to złażał, przypomniał mi, że nie mam prawa lekceważyć żadnego z jego przyjaciół, i zagroził, że mnie zostawi. Następnie wykorzystał tę sytuację: załatwił mi kontrakt w teatrze Arnau za dwadzieścia peset dziennie. Nigdy nie zażądał ode mnie nawet centyma z mojej pensji, ale pewnego dnia dowiedziałam się, że niektórzy moi goście płacili mu za wręczenie im kluczy do mojego mieszkania. I oczywiście były to wielkie kwoty. Spędzenie nocy z Piękną Olimpią było drogą zachcianką, lecz w tej dostatniej epoce – na moje nieszczęście – wielu głupców mogło sobie na to pozwolić.

Miałam zaledwie dwadzieścia lat i o wiele więcej pieniędzy, niż mogłabym wydać, ale moje życie chyliło się już ku upadkowi. Prowadziłam egzystencję pełną zbytków, chodziłam do najlepszych restauracji, cieszyłam się dużą sławą, mieszkalam w jednym z najlepszych miejsc w Barcelonie, pożądali mnie wszyscy interesujący mężczyźni. Jednak na zapleczu tego wystawnego życia istniała inna rzeczywistość: nadużywanie alkoholu i kokainy, upokorzenia tak częste, że nawet przestały mnie boleć. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni Amadeo był w moim łóżku. Opowiadał, że udział Hiszpanii w wojnie jest naturalny. Pamiętam tylko, jak mówił, że katalońscy przemysłowcy modlą się, by wojna trwała wiecznie. Podczas tego ostatniego spotkania poznałam innego Amadea. Był w stosunku do mnie ordynarny, niemiły. Od pierwszego objęcia sprawił mi ból. Śmierdział alkoholem. Z ostatnim tchnieniem przyjemności wcześniejsze bezwstydnne obelgi mieszały się ze łzami. Wtulony w moje ciało płakał rozpaczliwie jak dziecko, ale z siłą mężczyzny, przez cały czas powtarzając:

– Wybacz mi, wybacz mi, wybacz...

Pamiętam, że patrząc mu w oczy, poczułam strach. Nawet dzisiaj nie wiem, co w nich ujrzałam, lecz było to coś strasznego: niemożliwy do ukojenia smutek.

Może się to wydać dziwne, ale tamtej nocy wyczułam jego niechęć, brak zainteresowania mną, a zarazem coś głębszego: jego słabość. Wtedy jeden jedyny raz dostrzegłam prawdziwe oblicze człowieka, który był moim opiekunem i równocześnie przekleństwem. To już nie był ten pewny siebie mężczyzna, którego podziwiałam, lecz ktoś słaby, kryjący się pod maską udawania. Był chory na siebie.

Kiedy wiele miesięcy później odwiedził mnie jego adwokat, w pierwszej chwili pomyliłam go z innymi moimi gośćmi. Zauważyłam jego zakłopotanie. Jego wzrok przesunął się po moim ubraniu – i po tym, co ukrywało – nie wiedząc, gdzie się zatrzymać. Drżał mu głos. Dopiero chwilę później rozpoznałam człowieka kreta. Podobnie jak poprzednio jego krótkowzroczne oczka i szary garnitur były zwiastunem wielkiej zmiany w moim życiu. Tym razem przyszedł, żeby wyrzucić mnie z mieszkania. Biedak cierpiał katusze, zanim udało mu się powiedzieć mi o tym. Nie stawiałam oporu ani nie dyskutowałam. Dał mi tydzień. Nie miałam trudności, żeby zyskać dwa tygodnie.

Wynajęłam apartament przy calle Ganduxer. Pozwoliłam sobie na luksus, żeby przez pewien czas zachowywać się, jakby mężczyźni nie istnieli. Nie udało mi się rzucić alkoholu ani kokainy, chociaż ograniczyłam ich spożycie i nie kupowałam już towaru najlepszego gatunku. Przez pewien czas nadal mi się powodziło. Nie byłam głupia, zarabiałam dużo i byłam doskonale znana wszystkim barcelońskim impresariom. Lata dobrobytu trwały, a mój repertuar nadal się podobał. Uwierzyłam, że mogę radzić sobie sama. Lecz pewnego dnia znienacka wszystko obróciło się przeciwko mnie. Przypuszczam, że zasłużyłam sobie na to. Kto tak szybko dociera na szczyt, powinien spaść z niego z tą samą prędkością.

Nie wiem, co się stało. Pojawienie się kina, koniec kabaretów, zmiana gustów, kryzys gospodarczy, nowoczesność, którą przyniosła ze sobą wystawa światowa? Nie mam pojęcia. Zaczęto zamykać teatry lub dostosowywać ich repertuar do nowej mody na kinematograf. Początkowo istnieliśmy równoległe z tym nowym

wynalazkiem, lecz duży ekran w końcu zmiotł nas wszystkich ze sceny. Tylko tym, którzy umieli dostosować się do nowości, udało się przetrwać burzę. Kiedy zabrakło pracy, musiałam ponownie zacząć się sprzedawać. Nie było już nadziei ani triumfów. Pieniądze prędko się rozeszły. Pewnego dnia odkryłam, że moje krocze pokryte jest wrzodami. Zaraziłam się syfilisem.

Od tamtego dnia minęło kilka lat, popadłam w nędzę. Od moich rodziców nie mam wiadomości już od dawna. Wolę, żeby nie wiedzieli, co się ze mną stało. Nie mam już przyjaciół: ci, których przyciągał luksus, zniknęli wraz z nim. Oczywiście na temat Amadea nic nie słyszałam ani nie chciałam słyszeć już nigdy więcej. Oddałam swoje ciało i duszę pod opiekę sióstr magdalenek i dzięki nim udało mi się dożyć dzisiejszego dnia z niejaką godnością. List, który trzyma Pani w rękach, podyktowałam, leżąc w łóżku, siostrze Elisie, która również dopilnuje, żeby go Pani dostała, kiedy nadejdzie czas.

Pod koniec tej historii znalazł się jednak pewien pozytywny element i o tym chcę Pani powiedzieć, zanim zamilknę na zawsze. Zdarzyło się to zaledwie kilka tygodni temu. Siostra Elisa zapytała mnie, czy jest ktoś, z kim chciałabym się pogodzić, zanim stanę przed Bogiem. Wtedy odważyłam się wymówić po tak wielu latach imię Juana Laxa. Kiedy to zrobiłam, przed oczami przewinęły mi się najlepsze momenty mojego życia. Przypomniłam sobie, jak Amadeo podczas szaleńczych miesięcy mojego sukcesu powiedział mi, że jego brat wstąpił do zakonu jezuitów. O jego wyświęceniu dowiedziałam się z lakonicznej jak zwykle odpowiedzi adwokata rodziny.

– Ojciec Juan – wypowiedziały moje usta, nie wiedząc, z jakiego zakamarka pamięci wyłoniło się to imię.

Zjawił się z jeszcze bardziej odległego miejsca i usiadł na skraju mojego łóżka jako pogodny sługa boży. Wziął mnie za rękę, pocałował w czoło, czym sprawił mi bezgraniczną ulgę. Modlił się za mnie i pomógł mi również to zrobić. Powiedział, że wróci, by dać mi ostatnie namaszczenie. Jego pogodna twarz jest najlepszym wspomnieniem, jakie mogę zabrać z tego świata.

Zanim wyszedł, poprosiłam, aby mi wybaczył, że go skrzywdziłam. Powiedział, że nie on mnie powinien wybaczyć, ponieważ jedyną moją winą była naiwność i młodość. Zapytałam go, komu więc przebaczy. „Nigdy nie będę mógł wybaczyć temu, kto zabawił się naszym życiem w ten sposób”, odpowiedział stanowczym szeptem. Chciałam go zapytać, kogo ma na myśli, kiedy powiedział: „Ta uraza prawdopodobnie zaprowadzi mnie do piekła, ale zaczekam tam na niego tak długo, jak będzie trzeba”.

Zaraz potem w jego spojrzeniu zapanował wcześniejszy spokój.

Odkąd wyszedł z mojej celi, czekam na śmierć i myślę o tym, co się stało. Uważam, że byłoby niesprawiedliwością, gdybym zabrała do grobu wszystko, co wiem. Mimo że moje słowa zaleją Panią tak wieloma strasznymi prawdami, mam nadzieję, że wyciągnie Pani z mojego nieszczęścia jakąś korzyść. Proszę nie popełniać mojego błędu i nie stać się ofiarą własnej niewinności. A w razie potrzeby proszę zaufać swojemu szwagrowi Juanowi. Jestem pewna, że w krytycznej chwili będzie przy Pani całym sercem.

Życzliwa Pani

Montserrat Espelleta

Autoportret, 1963

Olej na płótnie, 90 x 70

MNAC, Kolekcja Amadea Laxa

Amadeo Lax namalował w ciągu całego swojego życia dwanaście autoportretów. Ten był ostatni i bez wątpienia najbardziej osobisty. Uwagę zwraca stopniowanie wykończenia: od zarysu tła – ledwie kilka równoległych pociągnięć pędzla – aż do bardziej starannego wykonania głowy. Uważa się, że kontrast między cieniem i światłem – padającym jedynie na twarz i ręce – jest antycypacją autoportretu, tyle że fotograficznego, Mapplethorpe’a. Jednak różnice pomiędzy tymi dwoma obrazami są znaczące. Autoportret Laxa ukazuje pomarszczoną, wręcz odrażającą twarz i ręce. Obraz jest dowodem na to, że malarstwo Laxa stawało się z czasem bardziej spontaniczne aż do swobody ostatnich dzieł, których dobrym przykładem jest to płótno. Gdyby w dalszym ciągu szedł tą drogą, kolejne prace artysty różniłyby się – i to w znacznym stopniu – od jego wcześniejszego dorobku.

Lax namalował tę bezlitosną wizję siebie – wręcz okrutną karykaturę – w czasach, kiedy żył samotnie, z dala od ludzi w swojej barcelońskiej rezydencji. Oczywiście nie chciał przypodobać się żadnemu klientowi ani iść pod dyktando mody, bo od nowych trendów całkowicie stronił. Zatem realizm w jego pracach ustąpił miejsca rozpasanej szczerości. Niektórzy krytycy uznali obraz za „najsurowsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek twórca rzucił na siebie”.

*Z Amadeo Lax w MNAC,
Wydawnictwo Oreneta, Barcelona, 2004*

XXIII

Tego pięknego majowego poranka, kiedy Teresa Brusés zaczęła mieć skurcze porodowe, pana Laxa jak zwykle nie było w domu.

Pierwszym objawem, którego z braku doświadczenia nie rozpoznała, było ostre klucie w nerkach. Powiedziała o tym Antonii, lecz ona – wciąż dziewica – nie umiała jej pomóc. Dopóki sprawa nie dotarła do uszu Conchity, nikt nie przyspieszył ani nie zmienił nawet na jotę swoich codziennych zajęć. Ale doświadczonej niańce wystarczyło spojrzeć na twarz młodej pani, by wiedzieć, że sprawa jest poważna, więc zaczęła wszystkim rzucać polecenia. Zawiadomiono akuszerkę, przygotowano ręczniki, zagrzano wodę i napełniono nią wielkie misy, w których za chwilę wystygła, zmieniono pościel w głównej sypialni – należącej do Marii del Roser, Teresa bowiem uparła się, że w niej będzie rodziła – wszystko dokładnie wyprasowano, jak gdyby zamiast porodu w domu miało odbyć się przyjęcie, oraz starannie rozłożono całą wyprawkę dla noworodka, żeby każdą sztukę mieć pod ręką, kiedy będzie potrzebna.

Teresa chodziła zdenerwowana po korytarzu, niepokojąc wszystkich wokół. Mówiła, że nie może usiąść i woli chodzić. A do tego boso, ponieważ miała tak opuchnięte stopy, że nie mogła nałożyć nawet pantofli. Nie posłuchała Antonii, która poradziła jej, żeby usiadła w fotelu przy oknie. Ani Conchity, której żal było patrzeć, jak pani snuje się tak opuchnięta przy wtórze skrzypienia drewnianej podłogi korytarza. Co jakiś czas stawiała, jedną ręką opierając się o ścianę, a drugą kładąc na brzuchu, i zamykała oczy, cicho sapiąc. W ciągu dwóch godzin tych spacerów ani razu nie zapytała o pana.

Mało kto mógł przypuszczać, że Teresie najbardziej wtedy brakowało teściowej. Maria del Roser Golorons była dla niej jak matka w czasach, kiedy miała szczęście mieszkać z nią pod jednym dachem. Była zawsze łagodna, mądra, rozważna, cierpliwa i wspaniałomyślna. Jej krótka obecność w życiu Teresy pozostawiła ślad, którego nic nie wymaże. Wiele wypowiedzianych przez nią słów związanych zarówno z najważniejszymi, jak i z drobnymi sprawami młoda pani Lax zapamięta na zawsze. Dzięki niej nigdy nie czuła się obca w domu męża. Maria del Roser z cierpliwością znosiła jej niewiedzę i nauczyła ją wszystkiego: od tego, jak traktować służbę, aż po sposób dokładania węgla do pieca w salonie. Dawała jej również cenne wskazówki, jak dawać sobie radę z reakcjami Amadea, które z początku bardzo ją przerażały. Dzięki niej Teresa dowiedziała się, że jej mąż ma milczące usposobienie, że od czasu do czasu potrzebuje zamknąć się w swojej pracowni na poddaszu, a innym razem musi uciec od ciężącego mu jak kamień życia. Nie powinna się temu dziwić, ponieważ taki już ma charakter. Maria del Roser usprawiedliwiała go: Amadeo kochał ciszę, podobnie jak inni wielcy ludzie, i tak samo jak oni prawie nie okazywał emocji. Synowa będzie miała szczęście, jeśli kiedykolwiek uda jej się wyciągnąć jakąś słabość z jego oziębłego charakteru. To bardzo Teresie pomogło i poczuła wielką ulgę, słysząc te słowa z ust kogoś, kto znał jej męża najlepiej.

Chociaż kiedy zostawała z nim sam na sam, jej lęki wracały. Już podczas podróży poślubnej bała się wielokrotnie, że go rozczarowała. Wydawał jej się taki poważny, powściągliwy w okazywaniu emocji, zawsze opanowany i grzeczny w mowie, że doszła do wniosku, iż nie jest w stanie rozbudzić w nim żadnej namiętności. Podczas tej kilkumiesięcznej podróży po Europie i Azji, pełnej wrażeń i odkryć, Teresa celowo opóźniała wyjście z łazienki najbardziej luksusowych hotelowych apartamentów, żeby znaleźć się w sypialni, dopiero gdy jej mąż zaśnie. Następnie kładła się obok niego z sercem walącym jak oszalałe i przyglądała mu się w milczeniu, rozkoszując się wizerunkiem niemal greckiego boga.

Czasami poruszył się przez sen, jego dłoń opadała na udo, biodro czy łono młodej żony. Teresa zrywała się przestraszona i szeroko otwartymi oczami, obserwując tę cudzą kończynę, wyobrażała sobie tysiące rzeczy, które mogłaby zrobić, gdyby się tylko odważyła. Ale nigdy do niczego nie dochodziło. Umiała jedynie kochać go do szaleństwa. Kochać go i czuć się nieszczęśliwa z powodu poświęcenia, do którego go zmuszała. Robiła sobie takie wyrzuty, natomiast z ust Amadea nigdy żadnego nie usłyszała. Podczas podróży ani razu nie okazał złości. Wręcz przeciwnie: miał nienaganne maniery, spełniał każdą jej zachciankę i kupował jej mnóstwo prezentów. Kiedy dotarli do Rzymu, Teresa bardzo się zaniepokoiła. „Może mu się nie podobam?”, zastanawiała się po raz kolejny, wmawiając sobie brak odwagi, niezdolność do działania, krótko mówiąc, swoje przerażenie przed intymnym zbliżeniem, które jeszcze nie nastąpiło.

Pierwszego ranka w Rzymie, gdy Amadeo planował pokazanie jej Kaplicy Sykstyńskiej, poczuła nagle, że musi zadać mu pytanie, które dręczyło ją od dnia poprzedniego:

– Czy to prawda, że nieskonsumowane małżeństwo może zostać anulowane?

Amadeo, gryząc grzanekę, szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

– Myślę, że tak – odpowiedział.

Teresa zadręczała się tym przez cały dzień. A więc mąż jeszcze może ją odtrącić, bo nie wypełniła obowiązku małżeńskiego! Nie zrobił tego dotąd wyłącznie dlatego, że jest o wiele lepszym człowiekiem od niej, myślała. Wypominała sobie własną głupotę i zakłamanie, ponieważ pozwalała, by mąż woził ją z miasta do miasta i spełniał wszelkie jej zachcianki, a sama nie dotrzymała swojej części umowy.

Amadeo zamarł ze zdziwienia, kiedy tego samego dnia, gdy chciał kupić swojej pięknej żonie wspaniały szal z naturalnego jedwabiu, odpowiedziała:

– Nic nie chcę! Nie zasługuję na to!

Tego wieczoru zebrała się na odwagę. Położyła się w łóżku zaraz po powrocie do hotelu i zamknęła oczy. Widząc to, Amadeo uznał, że źle się poczuła. Zapytał, co jej dolega.

– Miałeś do mnie wiele cierpliwości i jestem ci za to bardzo wdzięczna, ale powinieneś dostać, co ci się należy. Weź mnie!

Oczywiście Amadea rozśmieszyło teatralne zachowanie Teresy, które przypominało poświęcenie jakiejś męczennicy. Poczuła wielki wstyd. Amadeo, kładąc się obok niej z gazetą w ręku i w jedwabnym szlafroku, powiedział tylko:

– Nie w ten sposób. Nie chcę kochać się z bohaterką literatury klasycznej.

I pocałował ją w czoło. Niedługo potem Teresie przyśniło się, że umiera, będąc dziewicą. Tak bardzo się tym przejęła, że zaraz po przebudzeniu postarała się, żeby tego uniknąć.

Tak bardzo go kochała, i to długo przed tym, nim spotkali się ponownie! Amadeo był obecny we wszystkich jej fantazjach dziewczynki, która prędko stała się kobietą. Kochała jego maniery dżentelmena, tajemniczy uśmiech i smutek. Teresa uwielbiała to wszystko jak coś, czego nigdy nie będzie się miało. Kiedy weszła w wiek nastoletni – w absurdalny niepewny czas, gdy człowiek nigdzie i z nikim nie czuje się dobrze – jej miłość stała się tragiczna i jeszcze bardziej wstydliva. Teresa z trudem miała odwagę przyznać się sama przed sobą do swoich najgłębszych pragnień. W jej marzeniach malarz przybierał postać klasycznej rzeźby. Był jednym z tych grzesznych nagich aktów, których zakonnice nie pozwalały jej oglądać, ona jednak wiedziała, że są dziełami wielkich artystów z przeszłości. Wyobrażała sobie Amadea o marmurowej skórze, udach o sprężystej, ledwo dostrzegalnej muskulaturze i zbuntowanych lokach, pokazującego bez wstydu to, czego nawet w myślach nie miała odwagi nazwać. Czując mrowienie pożądania w żołądku, natychmiast zawstydziała się przed sobą i prędko zaczynała odmawiać *Ojczy nasz* połączone z postanowieniem poprawy.

W rzeczywistości nigdy się nie zmieniła. Jej tłące się uczucie nabrało tragicznego odcienia. W wieku lat siedemnastu ni stąd, ni zowąd wybuchła płaczem i czuła się bardzo nieszczęśliwa. Pisała okropne wiersze, które jej rodzeństwo przyprawiały o dreszcze. Marniała z powodu dolegliwości tak niekonkretnej i trudnej do zwalczenia, że żaden lekarz (a badał ją niejedyn) nie mógł jej zdiagnozować, a tym bardziej nic na nią zaradzić. Jak wiemy, dzięki tupetowi Tatín udało się w końcu rozwiązać ten problem. A spojrzenie, jakie skierował na nią Amadeo Lax w salonie spowitym zapachem ryżu na mleku, dokonało cudu. Reszta nie była trudna. Amadeo przyjął zaproszenie na jej bal debutantki. W czasie przyjęcia kilkakrotnie przeprosił za całkowite zmonopolizowanie uwagi bohaterki wieczoru, ale nie zostawił jej nawet na chwilę. Pod spojrzeniami przygnębionych konkurentów, widzących w nim wroga nie do pokonania, Amadeo i Teresa przetańczyli wszystkie melodie zagrane przez orkiestrę, a następnie wyszli do ogrodu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, czym wywołali zgorszenie obecnych. Teresa czuła, że unosi się w powietrzu ze szczęścia. Amadeo przyglądał się delikatnej dziewczynce o niewiarygodnej urodzie, którą od pierwszej chwili wyobraził sobie obwieszoną klejnotami, elegancką, idącą z nim pod rękę, przyćmiewającą przyjęcia, bankiety i wytworne bale. Nigdy nie zdarzyło mu się nic podobnego w stosunku do żadnej z poznanych kobiet.

Kiedy Marii del Roser Golorons udało się porozmawiać z nią sam na sam, ostrzegła ją przed tym, co sama nazywała „męskimi zachciankami” swojego syna. Kobieta – poradziła jej – nigdy nie powinna się zgadzać na sprowadzanie siebie do roli przedmiotu u boku mężczyzny pragnącego grać pierwsze skrzypce. Absurdem jest wymaganie od kobiety, żeby stała się cieniem mężczyzny, żeby zawsze szła, trzymając go pod rękę, wspierając każdy jego krok, jak gdyby była głupia lub niezdolna do podejmowania własnych decyzji. Może mieć własne poglądy, życiowe cele, a nawet pielęgnować własne przyjaźnie, nie przestając być czarującą towarzyszką, którą mężczyzna chwali się podczas spotkań towarzyskich. Dzięki tym słowom Teresa uwierzyła w siebie i w swoje możliwości, odważyła się bywać z Marią del Roser na spotkaniach spirytystycznych, poznała bardzo różnych ludzi i nauczyła się wielu rzeczy. Oczywiście Amadeowi nie podobały się te rozrywki. Uważał, że ta pozorna nauka jest jedynie oszustwem i stratą czasu, ale zgodził się, żeby jego małżonka zajmowała się tym samym, czym zawsze tak bardzo interesowała się jego matka, jak gdyby to, że doña Maria del Roser Golorons spędzała wiele czasu na pisaniu przemówień i wywoływaniu duchów, było jednym ze zwyczajów tego domu.

Ze wszystkich nauk, jakie Maria del Roser próbowała wpoić młodej synowej, najbardziej przydatne były najmniej oryginalne. Aby bóle porodowe nie zaskoczyły jej w całkowitej niewiedzy, teściowa poświęciła tej sprawie całe popołudnie. Siedząc w saloniku przy herbacie i pączkach, teściowa stwierdziła:

– Chciałabym, żebyś wiedziała, że dzieci nie rodzą się przez pępek.

Teresa spojrzała na nią ze zdziwieniem. Maria del Roser ciągnęła temat:

– Dzieci wychodzą przez krocze, bardzo wąskim przejściem zwanym kanałem rodnym.

W tamtych czasach poważne damy rzadko rozmawiały z kimś o takich nieprzyzwoitych rzeczach. Z jakiegoś dziwnego powodu związanego z ignorancją i absurdalnym uczuciem wstydu wolano, by pierworódki rodziły w całkowitej niewiedzy, co szybko przeradzało się w grozę na widok własnego ciała rozrywanego przez dziecko w miejscu, w którym najmniej się tego spodziewały. Maria del Roser nie zapomniała przerażenia, jakiego doznała podczas porodu Amadea. Po wielu tygodniach obserwowania swojego pępka w przekonaniu, że w każdej chwili otworzy się jak kwiat, myślała, że umrze, gdy podczas straszliwego cierpienia ujrzała, jak jej syn wychodzi w innym miejscu wraz z rzeką krwi, i uznała to za nieszczęśliwą pomyłkę matki natury, która zaprowadzi ją do grobu.

Kiedy odzyskała siły, trzymając w ramionach syna, zaczęła wypytywać o to matkę i usłyszała

obojętne słowa:

– Nie uznałam tego za konieczne. To taka niemiła sprawa! Poza tym wszystkie kobiety umieją urodzić.

Zakłopotana tak nieoczekiwaną odpowiedzią Maria del Roser obiecała sobie, że jeśli kiedyś będzie miała córkę, nie pozwoli, żeby była tak niedoświadczona w tej nieuchronnej chwili, a gdy opatrność zabrała jej Violetę, zanim jej obietnica mogła się ziścić, zaczęła uświadamiać Teresę o wszystkim, co uznała za konieczne.

Zabrała się do tego rankiem, kiedy po ośmiu miesiącach małżeństwa Teresa zeszła na śniadanie bardzo blada, z podkrążonymi oczami i skarżąc się na lekkie mdłości. Maria del Roser rozpoczęła naukę, którą sama chciałaby otrzymać, i ujawniła synowej podstawowe szczegóły dotyczące pożytku z pępka i krocza. Tak jak przewidywała, pierwsza lekcja przepelniła uczennicę niepokojem.

– I to boli? – zapytała jeszcze bledsza.

– Tak, kochanie, i to bardzo. Chwilami tak bardzo, że będziesz myślała, że nie wytrzymasz. Ale później ból ustępuje tak szybko, jak się pojawił, a nagroda rekompensuje cierpienie.

Teresa nie wyglądała na przekonaną. Nigdy nie czuła instynktu macierzyńskiego. Dzieci nie robiły na niej większego wrażenia i nie mogła sobie wyobrazić, jak to będzie mieć własne. Pocieszała się, że przynajmniej będzie to dziecko Amadea. To jej pomagało nadać sens słowom teściowej: będzie cierpieć, żeby wydać je na świat, ale ból będzie tego wart.

Wkrótce stało się jasne, że Teresa ma jakieś komplikacje fizyczne. Przeszła pięć poronień, wszystkie w pierwszych tygodniach ciąży, bez większych konsekwencji poza smutkiem, który przez kilka dni gościł w jej spojrzeniu. Smutkiem po czymś, czego nie umiała określić. Nostalgia za możliwością, której nigdy nie pragnęła, lecz która nagle stawała się częścią niej. Badali ją znani lekarze, nie zdiagnozowali jednak żadnej choroby. Po piątym poronieniu Maria del Roser nie była już tą pełną wdzięku nauczycielką, której Teresa tak ufała. W jej umyśle coś spowiła mgła, i to w niezwykle szybkim tempie. Kiedy zaszła w ciążę po raz szósty, straciła już wszelką nadzieję na urodzenie dziecka mężowi. Ale tym razem ciąża rozwijała się poprawnie. Wszystko było dobrze oprócz jednego: Maria del Roser nie zdąży poznać pierwszego wnuka. A przede wszystkim nie pomoże Teresie wydać go na świat.

Powróćmy jednak do pięknego poranka, gdy rozpoczęła się akcja porodowa. Teresa otwiera oczy i zdumiona napotyka spojrzenie tęgiej niskiej kobiety o okrągłej twarzy, wiotkich policzkach i drobnych stopach. Mówi i porusza się szybko, jak nakręcony żołnierz.

– Dzień dobry. Nie zapytam pani, czy pani jest położnicą, ponieważ jest to oczywiste – mówi cienkim głosem, mocno zaznaczając ostatnie sylaby wyrazów z akcentem, który równie dobrze może być aragoński, jak stanowić przyzwyczajenie wynikające z życia z kimś niedosłyszającym. – Jestem Elisa, akuszerka, i od tej chwili musi pani wypełniać wszystkie moje polecenia, począwszy od rozebrania się do naga, włożenia luźnej koszuli nocnej i położenia się na łóżku z rozstawionymi nogami. Czy to jest pani pokój? Pozwolę sobie wejść.

Akuszerka wchodzi do pokoju, a za nią Teresa potulna jak baranek. Przez kilka godzin wszyscy idą za jej przykładem: posłusznie przynoszą wiadra, zabierają brudne ubrania, otwierają lub zamykają okna zgodnie z wydawanymi jak wojskowe komendy poleceniami drobnej zdecydowanej kobiety, która zawładnęła całym domem.

Ze wszystkich jej poleceń Teresa przeciwstawia się tylko jednemu.

– Proszę to zdjąć – mówi Elisa, wskazując łańcuszek z wisiorkiem, który położnica ma na szyi.

Zauważyła go, ponieważ Teresa odszukała go instynktownie pod ubraniem i ścisła w zamkniętej dłoni w rytm skurczów, które stają się częstsze i dłuższe, zabierając jej nawet chwile odpoczynku. Jej ciało drży, jak gdyby chciało się bronić przed tym głębokim bólem, na który nie ma sposobu. W krótkiej

chwili spokoju Teresa ścisnęła obrączkę zawieszoną na złotym łańcuszku, który nosi na szyi od wieczoru 24 grudnia 1932 roku, dokładnie od pięciu miesięcy.

Życie czasami obdarowuje nas pięknymi zbiegami okoliczności. Jeden z nich wiąże się ze złotym łańcuszkiem i obrączką z wygrawerowanym nazwiskiem Francisca Canalsa Ambrósa, o którym tak wiele słyszała. Właśnie tutaj, na tym łóżku, teściowa kazała jej obiecać, że nigdy go nie zdejmie. I właśnie tutaj w pełnym cierpienia momencie Teresa ścisła wisiołek, pamiętając związane z nim drogie słowa. W tym łóżku zmarła Maria del Roser i w tym łóżku urodzi się jej pierwszy wnuk, który może w ten sposób wchłonie odrobinę niewidzialnego dziedzictwa wynikającego nie tylko z więzów krwi. Teresa chciałaby, żeby na kogoś przeszła cała miłość, jaką obdarzyłaby jej dziecko kobieta, która nie dożyła chwili, by je ukołysać.

Nie potrafi krzyczeć. Nawet w najgorszych chwilach życia. W domu wpojono jej dyskrecję i takt, więc nie potrafiłaby wyć z bólu, nawet gdyby bardzo chciała, do czego namawia ją akuszerka.

– Niech pani krzyczy – mówi. – Przekona się pani, jakie to wyzwalające.

Teresa odpowiada długim, podobnym do muczenia gardłowym dźwiękiem. Ścisła pościel, wygina się w łuk, poci, próbuje oddychać i czasami brakuje jej powietrza. Wie, że Tatín wyjechała, więc nie ma sensu jej niepokoić. „Pozna swojego siostrzeńca albo siostrzenicę po powrocie”, myśli. Chciałaby być otoczona znajomymi twarzami, ale nie ma pojęcia, jak ktoś mógłby ją pocieszyć. Nie tęskni za Amadeem. Nawet gdyby był w domu, nie pozwoliłaby mu się do siebie zbliżyć. Umiera ze wstydu na samą myśl, że mógłby zobaczyć ją w takim stanie: skręcającą się z bólu i leżącą z rozchyłonymi nogami przed obcą kobietą, która zagląda w jej wnętrze, czekając na pojawienie się dziecka.

Na korytarzu stoją Antonia, Concha i Vicenta. Również Laia, która obserwuje wszystko przestraszonym wzrokiem i z obrzydzeniem na twarzy. Kiedy Elisa zauważa, że pod drzwiami zaczyna się zbierać zbyt wiele osób – co jest naturalne – postanawia szybko zakończyć widowisko. Żegna wszystkie obecne szorstkimi słowami i zamyka drzwi. Powiadomi je, kiedy dziecko się urodzi, mówi.

My możemy swobodnie znaleźć się w miejscu zakazanym dla ciekawskich. Uważamy jednak, że poród nie jest wydarzeniem, które w tym momencie mogłoby się komuś spodobać lub kogoś zdziwić, dlatego jeśli państwo pozwolą, wybierzemy jego przeciwieństwo. Tutaj służący obgryzają paznokcie z nerwów i zastanawiają się, kiedy wróci pan i czy można jakoś go powiadomić, że właśnie rodzi się jego pierworodne dziecko, my zaś przeniesmy się dalej, w głąb korytarza, do pomieszczeń wychodzących na dziedziniec, które należały do Teresy, odkąd została panią tego domu.

Właśnie za tymi dwuskrzydłymi drzwiami z połączoną klamką, pomalowanymi na majestatyczną biel, zniknęli nowożeńcy wspomnianego wieczoru 4 listopada 1928 roku, a cała służba została na korytarzu, plotkując o skonsumowaniu świeżo zawartego małżeństwa. My, bierni widzowie, doskonale rozumiemy tę ciekawość i wścibstwo, ponieważ doświadczamy obu tych uczuć i sycimy się nimi, unosząc się w powietrzu, połyskując jak drobinki kurzu w świetle, docierając do kryjówek i wszystkich tajemnic. Podobnie jak tamtej nocy, gdy właśnie za tymi drzwiami... nic się nie wydarzyło.

Widzimy to tak, jak gdyby działa się na naszych oczach:

Amadeo zdejmuje marynarkę. Wygląda na zmęczonego. Nic dziwnego, skoro to dzień jego ślubu. Przez pierwsze chwile w pokoju Teresa rozgląda się wokół wyraźnie zadowolona. Łóżko jest posłane. Właśnie wyjęto podgrzewacze i na każdej poduszce leży biała róża. Na stole w rogu, przy zasłonkach, za którymi widać spowity nocą wewnętrzny dziedziniec, stoi taca ze skromnymi przekąskami, na wypadek gdyby państwo młodzi potrzebowali posilić się w nocy. Wszystko starannie przygotowała Conchita przy entuzjastycznej pomocy całej służby.

Teresa w milczeniu patrzy na męża. Ma lodowate dłonie, dreszcz przerażenia przeszywa jej ciało. Patrzy, jak Amadeo zdejmuje kamizelkę i zaczyna rozpinać koszulę. Teresa pospiesznie chowa się

w łazience, zamyka drzwi na zasuwkę. Na wieszaku obok drzwi znajduje rzeczy, w które powinna się przebrać, pozostawione tu zgodnie z jej poleceniem. To delikatny komplet z jedwabiu i satyny w kolorze białym. Rękawy peniuaru obszyte są koronką i szlachetnymi kamieniami, a dekol, który wydawał się skromny u krawcowej, teraz Teresa uważa za zbyt wycięty. Koszula nocna leży na jej ciele jak druga skóra, uwydatnia jej piersi dzięki wciętemu dekoltowi obszytemu delikatną koronką. Aby dodać obu sztukom odzieży nocnej wyrafinowania, krawcowa wykończyła je pięknym trenem, jak gdyby Teresa miała pokazać się w nich w sali balowej.

Teresa rozbiera się ostrożnie. Długo się waha przed zdjęciem bielizny – halki i majteczek – ale dochodzi do wniosku, że nie może mieć na sobie wszystkiego naraz. Koszulę nocną panny młodej uszyto tak, żeby ją włożyć na gołe ciało, i myśl o tym teraz dręczy Teresę. Jej przerażenie wzrasta po włożeniu koszuli i spojrzeniu w lustro. Nigdy nie widziała siebie tak nagiej. Jej piersi są całkowicie widoczne! Przestraszona szuka peniuaru. Zapina go od góry do dołu (krawcowa przyszyła w sumie siedemdziesiąt sześć maleńkich guzików obciążonych atłasem, z trudnością przechodzących przez taką samą liczbę dziurek), co zabiera dość dużo czasu. Następnie myje twarz, ręce, stopy, czesze się, oddaje mocz, ponownie się czesze i perfumuje.

Przed opuszczeniem łazienki przykładła ucho do drzwi. Nic nie słyszy. A jeśli Amadeo zasnął? Byłoby to ogromne szczęście! Ponownie nasłuchuje. Istotnie: jej niepokojowi odpowiada jedynie cisza. Otwiera zasuwkę. Powoli uchyla drzwi i wychodzi.

Amadeo nie usnął. Czeka na nią, paląc w łóżku, patrząc roztargnionym wzrokiem w stronę okien. Jest całkiem nagi. Na ten widok pannę młodą przechodzi dreszcz paniki, a towarzyszy mu reakcja, która rozśmiesza jej męża: Teresa na powrót zamyka się w łazience na zasuwkę. Zmieszana za chwilę wychodzi, próbując się wytłumaczyć:

– Zawsze o czymś zapominam.

Kładzie się do łóżka, nie zdejmując peniuaru, zakrywa rękami dekol, starając się, żeby był mniej widoczny. Jest sztywna jak egipska mumia. Amadeo patrzy na nią z ukosa. Ona na niego również. W pokoju czuć napięcie, które zaraz doprowadzi do wybuchu. Teresa mocno zaciska usta, jej szeroko otwarte oczy patrzą na lampę sufitową, brzuch unosi się i opada w synkopowanym ruchu, uda się zaciskają, aż kolana zaczynają drżeć. Kiedy Amadeo gasi papierosa w popielniczce stojącej na szafce nocnej, Teresa zamyka oczy i przestaje oddychać. Jest jak skazaniec na kilka minut przed egzekucją. On odwraca się bokiem w jej stronę i przygląda się temu przedstawieniu. Gdyby chciał, mógłby posunąć się dalej. Ma do tego pełne prawo. Mógłby rozpiąć guziki lub rozerwać je, aby dotrzeć do tego, co mu się zgodnie z prawem należy. Zresztą jej opór nie byłby większy niż ten dręczący ją zwierzęcy strach, ponieważ wiedziałaby, że Amadeo postępuje tak, jak powinien. Kiedy indziej, myśli, nie zawahałby się. Rzuciłby się na młode drżące ciało żony, żeby wziąć swoją nagrodę, podobnie jak robiło i robi wielu innych młodych małżonków w swoim czasie. Jednak Amadeo, który zbliża się do czterdziestki, nie ma już w sobie tej wielkiej niecierpliwości i pośpiechu co dawniej, chociaż jego pożądanie i energia jeszcze nie wygasły. Woli zaczekać. Może dlatego, że po raz pierwszy nie chodzi o doraźną przyjemność, ale o zdobycie wiernej towarzyszki na resztę życia. Z tego właśnie powodu postanawia wyróżnić Teresę szacunkiem, jakim nigdy nie darzył żadnej kobiety.

Panna młoda otwiera oczy i widzi, że ukochany Amadeo patrzy na nią z uśmiechem. Na jej twarzy strach zmienia się w smutek.

– Bardzo mi przykro – mówi jękliwie. – Rozczarowuję cię, prawda? Nie chodzi o to, że cię nie kocham. Kocham cię całym sercem, tylko że nie wiem... nie wiem, jak...

– Odwróć się twarzą do mnie – szepcze jej mąż.

Teresa uklada się wygodnie. Tren koszuli nocnej krępuje jej ruchy, owijając się wokół stóp

i zmieniając ją w syrenę. Pani młoda kładzie się na boku z ręką pod głowę. Amadeo gasi część światel, przygląda się krzywiznom ciała żony i jest rozbawiony całą sytuacją. Teresa ma boskie ciało, które chciałby posiadać. Jednak nie nastąpi to dzisiaj. Czuje w kroczu palące pożądanie, ale się powstrzymuje.

– Wybacz mi. – Teresa wybucha płaczem. – Wybacz mi, proszę. Bardzo się boję.

Amadeo ucisza ją pocałunkiem w czoło, na który jego młoda żona reaguje wzdrygnięciem.

– Wybaczam ci wszystko – mówi, podziwiając blask jej oczu. – Nie mógłbym ci jedynie wybaczyć nielojalności. Zapamiętaj to dobrze. I odpocznij. Jutro będzie nowy dzień.

Teresa uspokaja się na te słowa. Zamyka oczy i dopada ją zmęczenie po dniu pełnym napięć. Amadeo wychodzi na chwilę z pokoju, idzie do gabinetu, gdzieś dzwoni i wraca do sypialni. Upewnia się, że Teresa śpi, przykrywa ją, ubiera się, chociaż w strój mniej oficjalny od tego, który torturował go przez cały dzień, i wyrusza na poszukiwanie lekarstwa na swoją dolegliwość.

Powróćmy do skutków bardziej chlubnych zdarzeń niż opowiedzianego powyżej.

Pan domu wraca do domu rolls-royce'em, kiedy jest po wszystkim. Conchita czeka, żeby go powiadomić o narodzinach dziecka, ale ten fakt nie działa na jego stalowe nerwy. Idzie po schodach wyprostowany jak zwykle, zachowując postawę, którą podziwia cała służba, a na górze ze zdziwieniem natyka się na tłumek ciekawskich przed drzwiami dawnej sypialni jego matki. Conchita tłumaczy:

– To chłopiec. Wszystko poszło świetnie.

Gdyby zapytał o to Teresę, może w tej chwili nie zgodziłaby się z tym stwierdzeniem. Ma wrażenie, że noworodek pozbawił ją wszystkich sił. Jest słaba, ma rozluźnione kończyny i czuje, że gdyby musiała wstać, nie byłaby w stanie utrzymać się na nogach. Elisa otarła jej twarz mokrym ręcznikiem i teraz stara się uporządkować trochę łóżko. Kazała jej zamknąć oczy i odpoczywać.

Chwilę wcześniej pokazała jej syna, kwilące, miękkie, lekko zsiniałe ciało, na którego widok poczuła zmieszanie i zachciało jej się płakać. Jak w jej wnętrzu mogło powstać coś tak idealnego? Natychmiast przyznaje, że Maria del Roser jak zwykle miała rację: efekt powoduje, że to wielkie cierpienie, którego dzisiaj zaznała, miało sens. Pyta akuszerkę, kiedy będzie mogła przytulić syna, a kobieta odpowiada stanowczo:

– Kiedy nabierze pani sił, kochana.

Teresa zamyka oczy i pozwala, żeby owładnął nią łagodny spokój. Ciało ma obolałe, zmęczone, ale to nic w porównaniu z tym, co się wydarzyło. Odpoczynek dobrze jej robi. W półśnie słyszy, że Elisa stawia obok jej łóżka kołyskę ozdobioną wstążkami i koronkami. Nie wie, czy dziecko w niej leży, ponieważ przed chwilą widziała, jak akuszerka wynosiła je na rękach z sypialni – może aby je pokazać niecierpliwie czekającym służącym. Teresa nie ma pojęcia, po jakim czasie ponownie otwiera oczy i widzi jak zwykle eleganckiego Amadea zagląającego do kołyski. Patrzy tam długo, nie wypowiadając słowa, jak entomolog, który bada rzadkiego jeszcze nieskatalogowanego owada. Wydaje się jej, że choć na jego twarzy nie ma uśmiechu, widnieje satysfakcja.

W kołysce śpi Modesto, również wykończony wielkim wysiłkiem i niewygodami przyjścia na świat, nieświadomy wszystkiego tego, co my, istoty ponadczasowe, już o nim wiemy.

Od: Violeta Lax

Data: 11 kwietnia 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Jesteś tam?

Kochana Mamo. Jestem okropna. Uważam, że moje wyznanie na temat młodszej miłości było zbyt brutalne. Przyznaję, że bawiła mnie myśl o tym, jaką zrobisz minę. Chociaż wobec Twojego milczenia zaczynam podejrzewać, że miałaś zawał. Naprawdę przepraszam, jeśli przesadziłam. Jeśli chcesz, to już nigdy nie wrócę do tego tematu.

Muszę Ci jednak opowiedzieć o przyjeździe Włoszek. Ponieważ program spotkań przygotowany dla nich przez instytucje nie był zbyt napięty, miałyśmy trochę czasu na spacer i bliższe poznanie. Jak sama wiesz, o tej porze roku Barcelona jest wspaniała, a poza tym na szczęście klimat sprzyjał ich chęciom do zwiedzania. Byłam zaskoczona opanowaniem Fiorelli Otrante wobec dziennikarzy, jak gdyby przyzwyczajona była do konferencji prasowych. Uwiodła ich swoją trochę wiejską naturalnością i emocjami, jakimi zawsze emanują jej słowa, kiedy opowiada o matce. Oczy jej błyszczały, gdy powiedziała, że z wielką dumą spełnia ostatnią wolę nieboszczki, ponieważ było to jej nigdy niewyrażone, skrywane przez całe życie marzenie. Możesz się domyślić, jak dziennikarze zareagowali na tak tajemnicze zdanie. Pytali ją, jakie marzenie miała na myśli, ale odparła jedynie, że nie może im tego powiedzieć, ponieważ jej matka nigdy nie chciała rozmawiać o latach poprzedzających jej przybycie nad jezioro Como, i przeprosiła z łagodnym uśmiechem na twarzy.

To były dwa bardzo intensywne dni. Silvana i ja nawiązałyśmy coś, co – jak sądzę – może stać się piękną przyjaźnią. Opowiedziałam jej wiele rzeczy na temat Amadea Laxa, domu, przyszłego muzeum, które dzięki spuściźnie po jej babce w końcu zostanie otwarte. Dopiero po jakimś czasie powiedziałam jej o odnalezieniu zwłok Teresy oraz o śledztwie, które przez ostatnie tygodnie całkowicie zmieniło historię mojej rodziny. Starłam się być ostrożną, szukając winnych. Wydaje mi się, że użyłam słowa „domniemany”, jak w programach informacyjnych, mówiąc o możliwej roli dziadka w tej sprawie. Powiedziałam im, że cała prawda nigdy nie zostanie wyjaśniona, ponieważ pogrzebano ją w starym schowku na szczotki i w odróżnieniu od zwłok babci nie dało się jej ekshumować.

Fiorella po długim milczeniu zapytała:

– W którym roku przypuszczalnie doszło do tego strasznego zabójstwa?

– Według policji pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem – odparłam. – Chyba w trzydziestym szóstym.

Spacerowałyśmy dalej na pozór normalnie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nie zwróciłam uwagi na milczenie Fiorelli. Postanowiłam zabrać je na obiad do Cal Pinxo w Barcelonie. Świeciło piękne słońce i usiadłyśmy przy stoliku na tarasie z widokiem na morze. Zamówiłyśmy porządnie schłodzoną cavę i ryż z owocami morza. Wzniosłyśmy toast za przyszłe Muzeum Amadea Laxa. Powiedziałam im, że zaproponowano mi jego kierownictwo. Wzniosłyśmy kolejny toast. Fiorella wypita kilka kieliszków, zanim przyniesiono jedzenie. Z melancholii widocznej w jej oczach wywnioskowałam, że jest jedną z tych osób, które upijają się na smutno. Uśmiechała się w milczeniu, patrząc na morze z dziwnym dla niej smutkiem. Nagle odwróciła się do córki i wyrzuciła z siebie:

– To nieprawda, że nic nie wiem o życiu twojej babki w Barcelonie. Raz, jeden jedyny raz opowiedziała mi o nim. Była pijana, tak jak ja teraz. Poprosiła, żebym nikomu o tym nie mówiła.

Sądziłam, że rozumiem jej powody, ale w rzeczywistości aż do dzisiaj niczego nie rozumiałam.

Silvana spojrzała na matkę ze zdziwieniem. Ja poczułam się niezręcznie, więc powiedziałam, że muszę pójść do łazienki. Fiorella złapała mnie za rękę.

- Nie odchodź, Violeto. To dotyczy również ciebie. - Nalała sobie kolejny kieliszek. Tym razem patrzyła na mnie, mówiąc: - Moja matka opuściła Barcelonę dziewiętnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, zaledwie kilka godzin po wybuchu wojny domowej, na pokładzie niemieckiego frachtowca i pod fałszywym nazwiskiem. Miała szesnaście lat i umierała z przerażenia. Z powodu strzelaniny i kanonad, które słychać było w całym mieście, oraz ze względu na coś, co widziała lub zrobiła kilka godzin wcześniej. Powiedziała mi, że coś straszego, chociaż nigdy nie wyznała, co to było. Opowiedziała, jak długo patrzyła na oddalające się miasto, aż straciła je z oczu, o smutku, jaki wtedy czuła, myśląc o swoich rodzicach, o przerażeniu z powodu ucieczki z mężczyzną, który jak wiedziała, nigdy nie będzie jej dobrze traktował.

- Tak powiedziała babcia? - zapytała Silvana. - Skąd mogła wiedzieć?

Fiorella Otrante wzruszyła ramionami.

- Ponieważ była jedynie służącą. Młodą ładną służącą, którą pan domu polubił i zabrał ze sobą w podróż w najgorszym momencie swojego życia.

Silvana otworzyła szeroko oczy w osłupieniu.

- Służącą?

Muszę przyznać, że mnie również zaskoczyła ta wiadomość.

- Twoja babcia zawsze wiedziała, że on odejdzie. W gruncie rzeczy uważali, że wojna potrwa krótko i w ciągu kilku tygodni wszystko wróci do normy. Ale tak się nie stało i po hiszpańskiej wojnie domowej wybuchła światowa, a sprawy się skomplikowały. Twój dziadek musiał zostać za granicą dłużej, niż przewidywał. W Nesso zawsze był przejazdem. Raczej nigdy nawet nie pomyślał, żeby tam z nią zamieszkać.

- To, co mówisz, jest straszne - stwierdziła Silvana. - Czy to znaczy, że się nie kochali?

- Twoja babcia była przekonana, że nigdy jej nie kochał. Była jedynie antidotum na samotność. Tymczasowym rozwiązaniem. A ona... - Przerwała, łyknęła wina. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałam, żeby cierpiała z powodu jego odejścia albo wspominała go ze smutkiem, choć oczywiście to mogła być tylko poza. Jedyne, co zrobiła, by zachować pamięć o nim, to utrzymanie w dobrym stanie jego pracowni nad jeziorem. Zainwestowała w swoją przyszłość.

Wydało mi się, że nieoczekiwane zwierzenia Silvany zaczynają rzucać trochę światła na tajemnicę obrazów.

- To mogłoby tłumaczyć - wyraziłam przypuszczenie - dlaczego chciała oddać obrazy, istotę siebie, w miejsce, do którego należała. Chociaż jeśli muzeum ostatecznie zostanie otwarte w dawnym domu, będzie to znaczyło o wiele więcej, niż mogła przewidzieć.

Fiorella chciała mi odpowiedzieć, lecz Silvana, wyraźnie poruszona, zadała ważniejsze pytanie:

- Dlaczego babcia nigdy nie wróciła do Barcelony?

- Rodzice zginęli niedługo po jej wyjeździe, próbując bronić rezydencji państwa Laxów. Ta wiadomość dotarła do niej o wiele później i odtąd mojej matki nic już tam nie ciągnęło. Poza tym wtedy ja już byłam na świecie, a Lax odszedł, zostawiając jej na własność dom w Nesso. Nad jeziorem było nam dobrze. Koniec końców nie obszedł się z nią tak źle. Zapłacił jej za wszelkie usługi.

- Jak możesz mówić w ten sposób, mammo? Nie obszedł się z nią źle? Porzucił ją. I ciebie też.

- Spędził z nią więcej czasu, niż mogła się spodziewać. Był hojny. Twoja babcia opowiadała mi,

że prowadzili bardzo dyskretne życie i prawie w ogóle nie pokazywali się w miasteczku. Kiedy wychodzili, sąsiedzi brali ich za ojca i córkę, a oni nigdy nie wyprowadzali ich z błędu, bo to działało na ich korzyść. Bali się, że w końcu dosięgnie ich sprawiedliwość i będą musieli wracać. Zawsze myślałam, że twoja babcia obawiała się tego ze względu na swój wiek i fakt, że nie byli małżeństwem, ale po tym, co nam powiedziała Violeta, podejrzewam, że nie chodziło o to, lecz o coś o wiele poważniejszego i gorszego. O prawdziwe przestępstwo, w które oboje byli uwikłani.

– Myślisz, że babcia mogła współuczestniczyć w morderstwie? Na Boga, mamó, to przecież absurd! Czy naprawdę uważasz, że babcia byłaby do czegoś takiego zdolna?

– Każdy z nas ma wiele twarzy, kochanie – odpowiedziała Fiorella. – I każdemu pokazujemy jedną z nich. Nie wiemy, jaka była babcia, kiedy miała szesnaście lat. Wiem jedynie tyle, bo o tym sama mi powiedziała, że bardzo się bała. I oczywiście nie miała żadnego doświadczenia.

Silvana z niedowierzaniem pokręciła głową. Fiorella spojrzała mi w oczy. Wydawało mi się, że zaraz się rozpłaczę.

– A jeśli chodzi o oddanie obrazów, zastanawiam się nad tym od dawna. Moja matka była przez lata w tajemnicy kochanką Laxa. To, że przedstawiające ją wyuzdane obrazy wiszą obecnie obok eleganckich portretów Teresy Brusés oraz wielu innych, jest aktem sprawiedliwości, który jak przypuszczam, lubiła sobie pod koniec życia wyobrażać. Dlatego tak skrzętnie to zaplanowała. W końcu zajmie należne jej miejsce i wyjdzie z ukrycia.

Nie chcę skończyć tego listu, nie mówiąc Ci o tym, co w zasadzie napisałam już wyżej: dostałam propozycję, by zostać w Barcelonie i kierować nowym Muzeum Amadea Laxa. To moje od dawna pielęgnowane marzenie, ale teraz, kiedy się spełnia, nie wiem, jaką podjąć decyzję. Z jednej strony podoba mi się pomysł zmiany otoczenia, zamieszkania w tym mieście o łagodnym klimacie, oddalenia się trochę od pilnych spraw, pośpiechu i obowiązków w Chicago i zajęcia się pilnymi sprawami, pośpiechem i obowiązkami w Barcelonie. Podoba mi się ten plan i muszę porozmawiać o nim z Danielem, lecz coś tłumi moją radość. Możesz nazwać mnie głupią, kiedy Ci o tym powiem, albo może już sama się tego domyśliłaś.

Odkąd pamiętam, podziwiałam dziadka. Nie tylko za jego talenty malarskie, ale również jako człowieka. Poruszała mnie jego odwaga, poświęcenie i siła emocjonalna. Jak wiesz, wygłosiłam wiele wykładów wychwalających jego wytrwałość w malowaniu Teresy nawet po tym, jak go porzuciła. Sądziłam, że jest w tym jednoznaczny znak od zakochanego mężczyzny, który ciągle czekał, aż zdarzy się cud i ukochana kobieta wróci. Zawsze byłam przekonana, że dziadek umarł, czekając na nią, i że tylko obrazy pozwalały mu zachować o niej pamięć.

Z tych romantycznych wyobrażeń nic nie pozostało. Okazało się, że dziadek nie był silnym mężczyzną, jakiego zawsze podziwiałam, lecz człowiekiem bez moralności, zdolnym do odpychającej nikczemności. Zabójcą, którego sumienie nie powstrzymało przed związaniem się z inną kobietą, cieszeniem się życiem i malowaniem tego, czego nie malował nigdy wcześniej. Te wspaniałe obrazy z Nesso są dowodem na to, jak potrafił poukładać sobie życie na nowo, otworzyć w swojej karierze nowe drogi, aby skutecznie i oryginalnie je rozwijać. Wyobrażam sobie dziadka skupionego na pracy w atelier nad włoskim jeziorem i już sama ta myśl mnie odstręcza. Jak mógł? Jak był w stanie zacząć wszystko od nowa?

Nie wiem, czy chcę kierować muzeum poświęconym takiemu człowiekowi, Mamó. Nie wiem nawet, czy należy uczcić jego pamięć. Tak, tak, każdy z nas ma wiele twarzy, jak powiedziała Fiorella. Genialny artysta nie musi być wzorem człowieka. Nie należy być takim przewrażliwionym; jeśli chodzi o dzieła sztuki, nie można pozwolić, żeby uczucia wpływały na

obiektywne oglądanie dzieł. Wiele razy mówiłam podobne słowa, lecz nigdy nie odnosiły się do dziadka. Przez cały czas o tym myślę i nie umiem podjąć decyzji. Kusi mnie, żeby tu zostać, ale nie jest kuszące zostanie z nim, z żywym wspomnieniem o tak godnym pożalowania człowieku, jakim był Amadeo Lax.

Nadal będę się nad tym zastanawiać i obiecuję, że prędzej czy później podejmę jakąś decyzję.
Całuję Cię mocno.

Vio

PS Daniel się pakuje. Mówi, że chce tu przyjechać, żeby świętować ze mną moje urodziny. Skończył pisać powieść i jest przeszczęśliwy. To znaczy, że mam mało czasu. Jeśli chcę pożegnać się z przeszłością, musi to się stać, zanim terazniejszość przypuści szturm na moje życie.

Od: Valérie Rahal

Data: 12 kwietnia 2010

Do: Violeta Lax

Temat: Jestem

Nie, Córeczko, nie obawiaj się. Twoje słowa nie doprowadziły mnie do zawału, choć muszę przyznać, że były wielką niespodzianką. Przychodzi mi do głowy mnóstwo pytań, które zadałabym, gdybyś nie była moją córką, ale w tym wypadku myślę, że lepsze będzie milczenie. Cieszy mnie myśl, że wszystko to jest częścią innego okresu w Twoim życiu, i dziękuję Bogu, że Twój mąż ruszył się i jedzie do Ciebie. Sądzę, że jego towarzystwo dobrze Ci robi i że przez kilka dni bez dzieci, w tak pięknym mieście, będziecie mieli czas, by porozmawiać o wielu sprawach. Nie gniewaj się, ale mam wrażenie, i to nie po raz pierwszy, że w tym trochę przypominasz swojego ojca. Jeśli nie ma przy Tobie kogoś, kto by Cię kontrolował i dawał Ci poczucie bezpieczeństwa, groźnie się zbliżasz do uczuciowej rozsypki. Wasi partnerzy bardziej niż towarzyszem życia powinni być strażnikami czuwającymi, żeby żadna pokusa Was od nich nie oddaliła. Myślę, że Daniel jeszcze tego nie zauważył, i powinnaś go przed tym ostrzec.

Pewnie nie to chciałybyś usłyszeć po tak zaskakującym wyznaniu, wiem. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że należę do pokolenia, które włożyło dość dużo wysiłku, żeby w końcu zarówno zrozumieć świat, jak i pozwolić mu na mącenie w swoim życiu. Poza tym jestem Twoją matką i są rzeczy, których matki nie chcą zrozumieć, nawet jeśli potrafią. Mimo wszystko chciałabym, żebyś opowiedziała mi zakończenie tej tak dla Ciebie ważnej historii. Czy nie Ty mówiłaś, czego nie powinni robić narratorzy, jeśli chcą zdobyć szacunek czytelników? Opuszczenie zakończenia jest jedną z tych rzeczy. Moim zdaniem.

Kocham Cię.

Mama

XXIV

Nikt nie wie, jakie zakończenie ma ta historia ani czy w ogóle ma jakieś. Może powinniśmy poszukać go rankiem w Boże Narodzenie 1932 roku, kiedy przy pasaje Domingo 7 rozlega się dzwonek i pojawia się nienagannie ubrany i świeżo ogolony don Octavio Conde, pytając o panią Teresę. Otwiera mu Antonia, która zaczyna się już przyzwyczajając do odwiedzin przyjaciela rodziny, zaprasza go do salonu, bierze jego płaszcz oraz kapelusz i proponuje mu coś do picia, lecz don Octavio odmawia.

O tej porze w domu panuje spokój. Doña Maria del Roser pojechała na mszę o dziewiątej w kościele Niepokalanego Poczęcia, potem zaś zaplanowała poranne zakupy świąteczne w El Siglo w towarzystwie Conchity. Amadeo o świcie wyjechał do pobliskiej Tiany, gdzie kilka dni wcześniej umówił się na spotkanie z bogatym arystokratą, który chce zlecić mu namalowanie fresku w jadalni swojej rezydencji.

Oczywiście don Octavio wie, że ich nie ma.

– Czy powiedziałaś mu, że jestem w domu? – pyta biała jak papier Teresa.

– Tak, proszę pani.

Teresa nie ukrywa niezadowolenia tą niezapowiedzianą wizytą. Serce bije jej tak mocno, że obawia się, iż pokojówka może je usłyszeć.

– Powiedz mu, że źle się czuję i nie mogę go przyjąć – decyduje.

Kiedy Antonia wychodzi, Teresa siada przy toaletce i patrzy na siebie w lustrze. Wygląda okropnie. Szczupłość uwydatniła jej brodę i kości policzkowe. Szyję przecinają brzydkie żyłki, pod oczami ma worki. Przez pierwsze miesiące ciąży – jest w czwartym – mdłości trwające od rana do wieczora uniemożliwiały jej zjedzenie czegokolwiek. Do tego należy dodać osłabienie po kilku poronieniach, które przeszła, zanim w końcu nasienie Amadea zaowocowało w jej łonie, oraz wewnętrzny niepokój wywołany obecnością Octavia, jak również jego nieobecnością. Z tych trzech dolegliwości ostatnia jest najnowsza i najbardziej dokuczliwa.

Głos Antonii wrywa ją z zamyślenia.

– Mówi, że przyszedł się pożegnać – informuje pokojówka.

„Pożegnać?“, niepokoi się Teresa, przypominając sobie rozmowę z Octaviem sprzed kilku dni po zakończeniu cotygodniowego spotkania grupy spirytystycznej. Chwycił ją wtedy za rękę i powiedział, że zamierza wyjechać daleko, by rozpocząć nowe życie. Dodał, że ostatnio czuł przez cały czas, że nigdy nie będzie szczęśliwy ani że nie może zabronić tego kilku innym osobom, które kocha najbardziej na świecie. Starła się zbagatelizować jego słowa, choć wywołały w niej głęboki żal, ale on mówił dalej. „Podjąłem już decyzję – powiedział – pozostało mi jedynie wybrać najlepszy moment, żeby ją zrealizować“. Poczowała, jak ściska ją w gardle. Zwłaszcza kiedy dodał: „Chociaż bez wątpienia nastąpi to wkrótce“. „I nie ma sposobu, żeby temu zapobiec?“, zapytała cicho. „Obawiam się, że nie. Żeby tak się stało, życie musiałoby potoczyć się zupełnie inaczej. Na chwilę obecną sytuacja skłania mnie raczej do wycofania się z gry“, odpowiedział Octavio z błyskiem w oczach, zniewalając się uśmiechając.

Na samą myśl, że Octavio miałby zniknąć z jej życia, Teresie robi się słabo.

– Czy mam go odprawić, proszę pani? – dopytuje się Antonia, stojąc w drzwiach.

Teresa zaprzecza ruchem głowy. W głębi duszy zastanawia się, czy powinna postąpić zgodnie ze swoim pragnieniem czy z zasadami.

– Powiedz mu, że zaraz przyjdę – mówi pokonana.

Kiedy wchodzi do salonu, Octavio w skupieniu i zamyśleniu patrzy na rozpalony kominek.

– Jestem – mówi chrapliwym, złamanym głosem.

Nie wyciąga do niego ręki. Ich powitanie jest lodowate i na dystans, jak między dwiema osobami, które się nienawidzą. Lub między dwojgiem ludzi, którzy postępują zgodnie z konwenansami, mimo że najbardziej na świecie pragnęliby według nich nie postępować.

Na znak Teresy oboje siadają. Początkowo oddzieleni stojącym między nimi fotelem. Później on, być może zmęczony wykańczającym go udawaniem, wstaje i zajmuje miejsce bliżej niej. Przez chwilę przygląda się jej niewiarygodnie błękitnym oczom, od jakiegoś czasu usilnie w nich szukając namiętności, która nigdy nie została potwierdzona słowami. Tymczasem Teresa z trudem próbuje powstrzymać wzbierające w oczach łzy, żeby ich nie zauważył. Żeby ich tylko nie zauważył. Za nic na świecie nie wybaczyłaby sobie, gdyby w ten sposób zdradziła Amadea. Chociaż w głębi duszy tak bardzo pragnęłaby wyznać Octawiowi wszystko, co do niego czuje.

– A więc wyjeżdża pan – mówi.

– W rzeczy samej.

Teresa pozwala ciszy narastać. Milczenie pełne jest niewypowiedzianych słów. W tej chwili są one całkiem zbędne.

– I kiedy pan wyjeżdża?

– Jutro rano. Zarezerwowałem na „Magallanesie” dwuosobową kabinę w pierwszej klasie.

Teresa potwierdza otrzymanie informacji. Kabina dwuosobowa. Octavio nadal żywi nadzieję, że nie wyjedzie sam. Po to właśnie przyszedł: żeby jej o tym powiedzieć. Żeby wprowadzić w jej życie zamęt. Tyle że nigdy nie ubrałby tego w słowa. Za bardzo lubi Amadea i za bardzo zależy mu na niej, by odważył się nalegać czy chociażby spróbować. Poza tym ona nigdy nie okazała swoich uczuć. Czy to możliwe, że zdradziły ją gesty, spojrzenia albo drżenie głosu? A może dwie kochające się osoby komunikują się na tysiąc innych sposobów, a nie jedynie za pomocą słów?

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo mi przykro, że pan wyjeżdża – udaje jej się powiedzieć.

Mówiąc te słowa, bawi się wstążką przy spódnicy. Nagle odczuwa strach, że była zbyt dosłowna, i dodaje:

– Amadeo też będzie żałował. Czy już o tym wie?

– Jeszcze nie. Powiadomię go dzisiaj. Chociaż wątpię, żeby było mu przykro.

– Proszę tak nie mówić. Amadeo bardzo pana ceni.

Chce dodać coś więcej, ale się powstrzymuje. Próbuje ukryć rozpacz, która pali ją od środka. Patrzy ze spuszczoną głową na trzewiki Octavia. Czyste, eleganckie, jak on cały. Nie może uwierzyć, że jutro już go nie będzie. Że już nigdy go nie zobaczy.

– Przyszedłem również, żeby dać to pani na pamiątkę – przerywa milczenie Octavio.

Podaje jej niezbyt dużą książkę w skórzanej okładce.

– To nie było konieczne, Octavio – odpowiada Teresa, biorąc książkę i czytając na głos: – *Spirytystka*, Teófilo Gautier.

– To książka o spirytyzmie. Pomyślałem, że spodoba się pani. Będę szczęśliwy, jeśli przeczyta ją pani z uwagą. I weźmie pod rozwagę. Oczywiście nie teraz. Kiedy będzie się pani czuła mniej skrępowana. Ja zawsze będę na panią...

– Napije się pan kawy? – proponuje Teresa w porę, widząc na korytarzu Antonię z tacą.

Teresa trzyma książkę na kolanach, jakby chciała ją ukołysać. Kilka centymetrów od grzbietu książki, we wnętrzu jej młodego i pięknego ciała, w końcu rozwija się pierwsze dziecko Amadea. Właśnie jego obecność, którą odczuwa jako coś najbardziej prawdziwego w swoim życiu, uzależnia wszystkie jej działania, słowa i decyzje. Nieustannie zastanawia się nad przyszłością tej nowej istoty,

której życie związane jest z jej życiem.

Antonia podaje dwie filiżanki z kawą i odchodzi. Przez okna zuchwale wpadają promienie słońca.

– Proszę mi jedynie obiecać, że przeczyta ją pani z uwagą. Jakbym to ja ją napisał.

Teresa otwiera książkę. Patrzy na ekslibris biblioteki Octavia. To symbole określające go najlepiej: pracowitość, roztropność, mądrość i uczciwość. Oraz jego inicjały. O. C. G. O.

– Zawsze będę ją miała przy sobie – obiecuje mu.

Szybko wypijają kawę i Octavio oznajmia, że musi już iść. Teresa oddycha z ulgą. Jego obecność ją męczy, a nawet w pewien sposób naraża, chociaż ostatnie, co chciałyby zobaczyć, to Octavia wychodzącego z jej domu.

– Przypuszczam, że nic nie zmieni pańskiej decyzji.

– Nic, co mogłoby się zdarzyć.

Odprowadza go do drzwi. Służąca podaje Octawiowi płaszcz i kapelusz.

– Po przyjeździe do Nowego Jorku prześlę pani swój nowy adres. To znaczy – poprawia się, widząc Antonię tak blisko – pani i pani mężowi.

Najchłodniejsze ze wszystkich pożegnanie, którego każdy szczegół obserwują Antonia i Laia, jest również dla obojga najbardziej bolesne. Chociaż oczywiście żadne z nich tego nie okazuje. W końcu znienawidzone konwenanse stają na przeszkodzie ich pragnieniom.

Teresa idzie na górę jakby nieobecna i zamyka się w swoim saloniku, gdzie będzie płakała ponad godzinę. Potem przypomni sobie o książce, otworzy ją i wśród napadów płaczu przeczyta zaznaczone zdania. Nie dostrzeże jednak ukrytej w nich wiadomości. Jeszcze nie teraz.

Amadeo wraca przed obiadem. Natychmiast budzi w nim niesmak dziwna atmosfera panująca w domu. Teresa swoje słabości ukrywa w pokoju. Jego matka, która ostatnimi czasy nie jest już w stanie niczego zapamiętać, nie pojawia się na obiedzie. W salonie nakryto dla dwóch osób i małżonkowie zasiadają do stołu w żałobnym milczeniu. Teresa prawie nic nie je, on również w końcu traci apetyt, widząc jej przygnębienie. Jakby siedział przy stole z jakąś zjawą. Kiedy zmęczony pyta ją, co się, do cholery, z nią dzieje, otrzymuje wymijającą odpowiedź:

– Nic. Jestem zmęczona.

Gabinet stanowi dzisiaj kryjówkę wściekłego nieobliczalnego mężczyzny. Tam przynoszą mu kawę i kiedy ją miesza, wzrok wbija w czarny wir przypominający jego myśli. Nie mija nawet pięć minut, a słyszy nieśmiałe pukanie do drzwi. Antonia kłania się, wycierając dłonie w fartuch uniformu, który przypomina te dawne, chociaż zgodnie z nową modą jest krótszy, węższy i lżejszy. Bez wątplenia dawne długie spódnice nadawały się jedynie do zamiatania podłogi.

– Czy mogę wejść? – pyta kobieta.

– Wejdz i zamknij drzwi.

Antonia przypomina wystraszonego ptaka. Idzie przygarbiona, z opuszczonymi ramionami, na jej kościstych plecach brakuje jeszcze tylko garbu. Wyciąga do przodu głowę, co w tej chwili nadaje jej wygląd skrzydlatego padlinożercy.

– Spóźniłaś się – wymawia jej Amadeo.

– Przepraszam. W kuchni było dużo roboty.

– Czy mogę się dowiedzieć, co się dzieje z panią?

Pokojówka ani chwili się nie waha. Pewnym głosem doświadczonego donosiciela, wolnego od poczucia winy, wyjaśnia:

– Rano miała niespodziewanego gościa.

– Gościa? Kogo?

– Don Octavia, proszę pana. Był tu jakieś pół godziny. Odkąd sobie poszedł, pani nic nie robi, tylko

płacze.

Amadeo patrzy ze zmarszczonym czołem na czarny jak jego nastrój napój w filiżance i zamyśla się na chwilę.

– O czym rozmawiali?

– Nie wiem, proszę pana. Przez cały czas cicho szeptali. I milkli w mojej obecności.

Amadeo podnosi filiżankę do ust i pije ostrożnie. Jego ruchy są powolne, ale myśli działają na pełnych obrotach.

– Czy przyniósł jej kolejne prezenty?

– Tylko jeden, proszę pana. Inny niż wszystkie.

Antonia triumfalnie wkłada ręce do kieszeni fartucha i z jej głębi, jakby z zaświatów, wyciąga książkę w brązowej okładce ze skóry.

– Zabrałam ją z pokoju pani, kiedy zeszła na obiad. Z pewnością jej szuka, ponieważ nie rozstawała się z nią ani na chwilę – mówi triumfalnie.

Dzięki Antonii Amadeo wie o wszystkich podarunkach, które dostarczano do domu w ostatnich miesiącach i które jego żona odrzucała jeden po drugim. Pewnego razu przyjechał samochód wypełniony różami herbacianymi, ulubionymi kwiatami Teresy. Innym razem były to słodycze, bukiety, a nawet skrzynka z perskim kotkiem. Wszystkie zostały odesłane tam, skąd przybyły, kiedy tylko z zagadkowym wyrazem twarzy Teresa przeczytała przyczepione do nich bileciki.

Ten ruch przesyłek dopiero się rozpoczynał, gdy Antonia z własnej woli zaoferowała panu swoje usługi.

– Może chciałby pan wiedzieć, co się dzieje w domu podczas pana nieobecności – rzekła. – To poważne, z tego co widziałam.

Amadeo zapytał ją, czego chce w zamian za taką zdradę. Starą chciwą służącą interesowały jedynie pieniądze. Sprzedawała swoją panią, którą wychowała, w zamian za garść banknotów, ot, taki domowy judasz z twarzą pokrytą dziobami po ospie. Amadeo czuł do niej odrazę, choć to ukrywał, ponieważ oferowane przez nią usługi bardzo mu odpowiadały. Koniec końców jej propozycja wywołała w nim głęboką satysfakcję: zdrada służącej w stosunku do Teresy była namiastką kary za to, że Teresa zdradzała jego.

W rzeczy samej dzisiejszy prezent ma niewiele wspólnego z kwiatami, słodyczami i kotami. Amadeo ogląda książkę. To francuska powieść, na pozór dość lekka – bez wątplenia lektura dla naiwnych kobiet – na wyklejce zauważa ekslibris przyjaciela z dzieciństwa przedstawiający te same symbole, które umieścił na jego portrecie kilka lat temu. Teraz przeklina symbole i człowieka, który je zainspirował. Gdyby mógł, zmieniłby je na inne, bardziej pasujące do prawdy. Na węża na przykład. Żywy obraz nielojalności, jaką przedstawia jego dawny przyjaciel. Kartkując książkę, Amadeo zwraca uwagę na zaznaczone zdania. Przeczuwa – opierając się na własnym doświadczeniu oraz znajomości darczyńcy – że mogą zawierać ukryty kod, i postanawia dokładnie im się przyjrzeć.

Każe wyjść Antonii, która zgina kolano, co ma przypominać dygnięcie, choć raczej wygląda, jakby ugięły się pod nią nogi. Zostawszy sam w gabinecie, Amadeo szuka ukrytej wiadomości. Pod literami zauważa kropki, podkreślone cyfry na niektórych stronach, bierze kartkę i pióro, notuje, składa w całość. Rozszyfrowuje. Ogarnia go wściekłość.

Kiedy jego oczom ukazuje się cała odczytana wiadomość, pięścią uderza w blat stołu. Zrywa się i podchodzi do biblioteczki obok portretu swojej matki. Wyjmuje trzy tomy starej ilustrowanej Biblii i sięga w lukę na półce. Wyciąga pistolet Little Tom skonstruowany przez Aloisa Tomiszkę, mieszczący sześć kul, o pięćdziesięciodzieciomilimetrowej lufie, i wkłada go za pas spodni, zabezpieczając porządnie jedną z szelek. Nie zapomina o książce. Zdecydowanym krokiem schodzi na dół. Antonia

pomaga mu włożyć marynarkę i podaje kapelusz, informując równocześnie, że doña Maria del Roser i Conchita jeszcze nie wróciły z zakupów. Wsiadając do rolls-royce'a i uruchamiając silnik, Amadeo zauważa ciemne przenikliwe oczy Lai patrzącej na niego z kuchni. Wtedy po raz prawie ostatni córka kucharki spogląda na swojego pana z naiwnością kogoś, kto intuicyjnie wyczuwa przerażające tajemnice kryjące się w świecie dorosłych, ale nic o nich nie wie.

Za dwadzieścia czwarta samochód kierowany przez pana domu z rykiem wypada z pasaje Domingo na zatłoczoną Paseo de Gracia, gdzie w tym tak ważnym dniu panuje bardzo wzmożony ruch, niewiele się różniący – pominąwszy wygląd pojazdów i nadal obecne na ulicach powozy konne – od tego, który nastanie po upływie wielu dziesięcioleci.

Popołudnie jest chłodne, Antonia pospiesznie zapala ogień w kominku i dokłada do pieca. Jest zbyt wcześnie, żeby zająć się zagrzaniem łóżek, ale nie na tyle, żeby nie zaproponować swojej pani czegoś ciepłego do picia. Zastaje ją leżącą na kanapie, patrzącą na ulicę z bezbrzeżną melancholią. Na widok służącej Teresa wyciera łzy z obu policzków i pyta:

– Czy nie widziałas książki, którą dzisiaj rano przyniósł mi don Octavio? Zostawiłam ją tutaj, ale nie mogę jej teraz znaleźć.

Pokojówka zaprzecza wymijająco, skrępowana, i pyta panią, czy chciałaby napić się herbaty.

– Nic nie chcę, dziękuję.

Służąca przystaje w odległości kilku kroków i patrzy na nią, przechylając głowę. Tej scenie towarzyszy jedynie odgłos ich oddechów. Oddech Teresy jest bardziej przyspieszony. Antonia oddycha głęboko i spokojnie.

– Powinnaś wziąć się w garść, Tessito – odzywa się słodkim głosem. – Twój mąż traci cierpliwość.

Teresa wzrusza ramionami.

– Już mnie nie obchodzi, co pomyśli – odpowiada.

– Nie mów tak. Będziesz miała dziecko.

Na samą myśl o tym Teresa znów nie może powstrzymać się od płaczu. Wyciąga z rękawa zieloną chusteczkę pasującą idealnie do falban sukni ciężowej i wyciera nią łzy. Jej oczy promieniają smutkiem.

– Pewnie myślisz, że jestem głupia, prawda? Mała dziewczynka, która sama nie wie, czego chce – dodaje.

– Nigdy bym tak o tobie nie pomyślała, Tessito. Uważam jedynie, że nie zaznałaś szczęścia, na które zasłużyłaś.

– Co masz na myśli?

– Twojego męża. Jest dla ciebie za stary. I nie dba o ciebie. Prędzej czy później z tej okazji skorzysta ktoś, kto kręci się wokół porzuconej kobiety.

– Sądzisz, że don Octavio wykorzystuje tylko sytuację?

Antonia nie wypowiada swojej opinii.

– Nie znam go na tyle, żeby go osądzać.

– Co mi masz do zarzucenia? – pyta Teresa z uroczą naiwnością. – Czy nie powinnam była go słuchać? Nawet jeśli to wszystko nie mieściło mi się w głowie?

– Co ja mogę ci zarzucić, moje dziecko? Ani razu nie widziałam, żebyś zachowała się niewłaściwie.

– Ale pragnęłam go! A to również jest grzechem. I zdradą. Ja również jestem współwinna!

Teresa płacze z goryczą, której Antonia nie może znieść. Schyla się i obejmuje ją tak samo, jak kiedy była dzieckiem i rozpaczała, ponieważ starsza siostra nie pozwalała jej przymierzyć swoich kapeluszy. To objęcie jest osobliwe, krępujące i kościste, włożone w ramy zmierzchu widocznego przez okno jak obraz.

– Uczucia są bardzo dziwne, Antonio. Uwielbiam męża. Wiesz dobrze, że kocham go najbardziej na świecie. Kochałam go już w dzieciństwie, a mój podziw dla niego był jeszcze większy. Ale ostatnio budzi we mnie jedynie litość.

– Litość?

– Dziwi cię to, prawda? Wiem, że trudno w to uwierzyć. Każdy, kto go zna, widzi w nim silnego, pewnego siebie człowieka, artystę o międzynarodowej sławie. Ale ja wiem, że jest w nim coś więcej. Słabość, sprzeczności, lęk, ból. Oraz inne kobiety, o których wolałabym nie wiedzieć.

Antonię cieszą te wyznania. Zawsze lubiła wsadzać nos w cudze słabości.

– To przecież normalne... – szepcze.

– Oczywiście. Wiem, że mężczyźni jego stanu mają kochanki – odpowiada Teresa z nutką obrzydzenia w głosie – ale czy uważasz, że tacy mężczyźni jak on płaczą jak dzieci przy swojej żonie po tym, jak ją posiadli? Że powtarzają ciągle „nigdy nie odchodź ode mnie, nigdy nie odchodź ode mnie”, szlochając? Że chwilę później ocierają łzy i znikają na trzy, pięć, siedem dni bez żadnego wytłumaczenia? Z początku przerażał mnie. Sądziłam, że zdołam go uleczyć, zmienić, że moja miłość go uzdrowi. Teraz dałam sobie już z tym spokój.

Z dołu dochodzi stłumiony dźwięk silnika citroena. Doña Maria del Roser wraca wykończona zakupami. Julián – którego nazywa Felipe – pomaga damom wysiąść z pojazdu. Conchita podaje ramię starszej pani, żeby złapała się go, idąc po schodach. Doña Maria del Roser idzie prosto do swoich pokoi. Czuje się źle – stara niańka wspomina o niestrawności po zjedzeniu krokietów – i potrzebuje odpoczynku. Antonia pomaga jej położyć się do łóżka i przynosi herbatę z ciasteczkami. Nie tknąwszy ich, doña Maria del Roser zapada w lekki sen – obudzi się z niego za kilka minut, żeby dopełnić przedostatniego aktu tej historii, o którym wspominaliśmy wielokrotnie: poszukiwanie klucza, wspomnienie Violety, oddział służących i Teresa przewyciężająca swoje cierpienia, by zatroszczyć się o teściową w tych – choć jeszcze tego nie wie – ostatnich chwilach jej życia.

Z tego wszystkiego należy jedynie zwrócić uwagę na antrakt, podczas którego Teresa na prośbę teściowej wchodzi do jej pokoju i zaskoczona napotyka przytomny wzrok Marii del Roser, tak bardzo podobny do tego, jakim spoglądała, kiedy się poznały. Posłusznie siada na łóżku i słucha słów płynących z ust starszej pani, której umysł jakby nagle rozproszył zachodzącą go mgłę.

– Włóż rękę za dekolt mojej koszuli nocnej – prosi ją. – Znajdziesz tam złoty łańcuszek z zawieszoną obrączką. Weź je. Od tej chwili należą do ciebie. Chcę, żebyś nigdy ich nie zdejmowała. Dostałam je po śmierci mojego dobrego przyjaciela, któremu sama podarowałam tę obrączkę. Na jej wewnętrznej stronie zobaczysz jego nazwisko i zrozumiesz, o kim mówię. Ten człowiek, gdziekolwiek teraz jest, będzie nad tobą czuwał, kiedy mnie zabraknie.

Teresa powstrzymuje się od płaczu. Pokój spowity jest mrokiem. Maria del Roser wydaje się spokojna, chociaż jej słabe dłonie drżą, wyglądając jak śpiące gołębice.

– Nie umrze matka. To tylko niestrawność. – Przestraszona Teresa zaprzecza temu, co przed chwilą usłyszała.

Lecz teściowa jej nie słucha.

– Zawieś go na szyi – nalega. – Chcę zobaczyć, jak w nim wyglądasz.

Pomimo swojej powściągliwości Teresa spełnia prośbę teściowej.

– Obiecuj, że nigdy go nie zdejmiesz.

– Obiecuję.

Na te słowa Maria del Roser wzdycha i zamyka oczy. Ma zimne dłonie. Teresa ściska je w swoich. Teściowa oddycha powoli. Kiedy Teresa myśli, że zasnęła, z jej ust wydobywa się stłumiony szepc:

– Już tu są. Przyszli po mnie.

Teresa uświadamia sobie, że powróciły majaki.

– Są wszyscy – dodaje starsza pani, uśmiechając się.

Nie wydaje się, że cierpi. Majaki raczej są miłe.

– Jak dobrze, że przyszedłeś, Violetto – szepcze nagle Maria del Roser. – Bardzo za tobą tęskniłam.

Jej spokój jakby mąciło dziwnie radosne niewytłumaczalne uniesienie. Z ust zaczynają się wydobywać długie ciągi niezrozumiałych słów. Prawdopodobnie odpowiedzi w jakiejś wymyślonej rozmowie, w której Maria del Roser opowiada niewidzialnemu rozmówcy o zdarzeniach z ostatnich dwudziestu lat.

– Myszku, kochany mój... – brzmią jej ostatnie zrozumiałe słowa, po czym zapada w sen.

Teresa zostaje przy niej jeszcze chwilę. Następnie wstaje powoli i wychodzi, nakazując służbie czuwać przy starszej pani przez całą noc. Pokojówki spełniają to polecenie, zmieniając się co jakiś czas. Co chwilę jedna zagląda do sypialni Marii del Roser, sprawdza, czy pani śpi spokojnie, i wychodzi po cichu, żeby jej nie zbudzić.

Kiedy rankiem pojawia się Conchita, żeby pomóc swojej pani w codziennych czynnościach, Maria del Roser leży już martwa i zimna, z błogim uśmiechem zastygłym na ustach.

Prawdopodobnie minie wieczność, zanim się dowiemy, co zaszło w brzemienną w wydarzenia Wigilię 1932 roku, kiedy Amadeo wrócił do domu już po zmroku, milczący, z surowym spojrzeniem, które przyprawiłoby o dreszcz każdego, kto by na niego popatrzył. Wróćmy do tego momentu, by znaleźć brakujący element łańcucha.

Wrócił pan domu. Nie przyniósł broni, ale ma książkę Gautiera, którą rzuca na żółty aksamit fotela w salonie. Następnie zamyka się na swoim poddaszu, zdejmuje buty, pada na łóżko i wbija zagubiony wzrok w belki na suficie. Właśnie tam znajduje go Teresa, kiedy zjawia się, żeby powiadomić go o tym, co się dzieje w domu. On słucha jej niewzruszony, z wyrazem pogardy zastygłym na twarzy. Teresa tak bardzo martwi się zdrowiem teściowej, że nawet nie zauważa, iż coś gnębi jej męża. A może zdała sobie z tego sprawę, lecz jest jej to obojętne. Już się go nie boi. Ani nie podziwia. Jest jej go tylko żal.

Po wyjściu żony Amadeo obsesyjnie powraca pamięcią do tego, co usłyszał po południu. Jakby oprócz tych kilku słów wypowiedzianych przez jego przyjaciela Octavia nie istniało nic innego i jakby niepokój i złość miały go już nigdy nie opuścić. Wie, że sposób, w jaki te przeklęte słowa prześladowają go w tej chwili, jest jedynie zapowiedzią tego, jak będą go dręczyć do końca życia.

Zamyka oczy. Nienawidzi. Ze wszystkich sił. Teresy za zwątpienie, które zasiała w jego sercu już wiele miesięcy temu i które w ostatnich tygodniach, dzięki relacjom służącej, zostało potwierdzone. Nienawidzi bladej swojej młodej żony i leż, które nie on wywołał. Nienawidzi smutku, z jakim Teresa patrzy na niego, odkąd sama również ma wątpliwości i zadaje sobie pytania. Nienawidzi przypuszczenia, że chciałaby być gdzie indziej, w innych ramionach, z dala od niego. Nienawidzi uczciwości Octavia, tej jego drugiej skóry, której nigdy nie był w stanie z niego zerwać; nienawidzi szczerego przyznania się do porażki, które było dzisiaj jego odpowiedzią na przesłuchanie Amadea, na jego rozbrajająco słabą argumentację zbitą przez wroga, który – jak Octavio przyznał – udowodnił, że jest silniejszy od niego. Nienawidzi wyższości przeciwnika i śmieszności, na którą w swoim odczuciu się naraził, zjawiając się u niego.

Po raz enty przypomina sobie tę scenę. Poszedł spotkać się z przyjacielem i znalazł go tam, gdzie się spodziewał: w gabinecie na drugim piętrze, w pomieszczeniu o ścianach wyłożonych drogim drewnem, które dawniej należało do don Eduarda i w pewnym sensie nadal do niego należy, ponieważ portret założyciela imperium wisi na głównej ścianie i pilnuje każdego ruchu syna.

Amadeo wszedł bez pukania. Octavio przestraszył się, lecz nie wypowiedział ani słowa. Nawet

krótkiego powitania.

– Czy nie zamierzałeś się ze mną pożegnać? – pyta wściekły Amadeo.

– Ależ miałem to w planach. Nigdy bez pożegnania bym nie wyjechał – odpowiada Octavio z powagą.

– Z tego co wiem, z Teresą już się pożegnałeś – mówi Amadeo jakby z wyrzutem. – Jest zdruzgotana.

Amadeo drży. Próbuje zamaskować to, chowając ręce, ale zdradza go dolna warga. Jego oczy utkwione w przyjacielu błyszczą dziwnym światłem. Octavio próbuje to wszystko sobie jakoś wytłumaczyć, nie potrafi jednak. Kiedy Amadeo kładzie na stole powieść Gautiera, czuje, że na sekundę traci zmysły. Nie rozumie, jak książka mogła trafić w jego ręce. Czy jest coś, o czym wie Amadeo, a on nie?

– Ona cię kocha – wyrzuca z siebie Lax.

To ostatnie wyznanie, jakie Octavio spodziewał się usłyszeć. Otwiera barek i nalewa dwie duże szklanki whisky. Jedną podaje gościowi, a połowę drugiej opróżnia jednym haustem.

– Kocha cię, skurczybyku – powtarza Amadeo, opadając na krzesło.

– Czy powiedziała ci to?

– Nie musiała. Wiem.

– Chyba się mylisz, Amadeo. Naprawdę – odpowiada Octavio z absolutnym przekonaniem.

Amadeo przerywa mu:

– To wszystko nie było konieczne. Oszustwo, zaloty, tajny plan ucieczki... Mogłeś mi o tym powiedzieć, przecież zawsze dzieliliśmy się wszystkim, i dałbym ci wolną rękę. To upokorzenie jest zbyt wielkie i nie wydaje mi się dobrą zapłatą po tylu latach przyjaźni.

Amadeo, którego ma teraz przed sobą Octavio, jest dla niego prawie obcym człowiekiem. Jedynie raz odkrył słabość podobną do dzisiejszej: tamtej nocy przed laty w bursie w Sarrià, kiedy planował zemstę na chłopcach, którzy ukradli jego rysunki. Wtedy dowiedział się o swoim przyjacielu czegoś bardzo ważnego: że do wszystkiego jest zdolny. Kiedy poczuje się zdradzony, traci rozum. Octavio za chwilę przekona się o tym po raz drugi w życiu.

Amadeo wyjmuje pistolet, który trzymał za plecami, i przykłada go do skroni.

– Przyszedłem, żeby zejść ci z drogi – mówi, kładąc palec na spuście.

Octavio jest zaskoczony. Rzuca się ku niemu, ale Amadeo cofa się o krok.

– Na Boga, Amadeo! Natychmiast odłóż tę broń!

Łapie go za rękę, walczą, Octavio w końcu daje radę odsunąć lufę od skroni przyjaciela, choć Amadeo stawia opór, szamoczą się. Wtem pada strzał – Octavio zdążył przytrzymać broń, nikt nie został ranny, pocisk trafił w ścianę blisko portretu jego ojca. Otwiera drzwi gabinetu. Za nimi zebrało się kilku pracowników z niepokojem malującym się na twarzach. Uspokaja ich gestem, chociaż minę ma niezbyt przekonującą. Następnie wraca do gabinetu, ponownie napelnia szklanki, chowa pistolet do szuflady i próbuje poukładać sobie myśli.

– Amadeo, uspokój się, proszę – mówi, starając się również sam dojść do siebie. – Nigdy nie chciałem być nieuczciwy w stosunku do ciebie, wręcz przeciwnie. Zdradziły mnie moje uczucia i przyznaję, że zachowałem się jak dziecko. Może nie powinienem był tak postąpić, lecz zapewniam cię, że była to niewinna i nieudana gra. Teresa zawsze mnie odrzucała. Nigdy nie usłyszałem z jej ust nic, co by świadczyło o wzajemności. Jednak i ciebie, i ją darzę uczuciem tak głębokim, że nie pozostaje mi nic innego, jak wyjechać. Błagam cię o przebaczenie. Nie proszę cię o to samo dla Teresy, ponieważ jest niewinna.

Amadeo wygląda na zmęczonego i opadłego z sił jak na poły spalona słomiana kukła. Siada i pije w milczeniu. Po opróżnieniu szklanki wstaje, nalewa sobie i pije dalej. Tłumaczenia go nie przekonują, ale rozumie, że tylko tyle może oczekiwać po rozmowie, która nigdy nie powinna była się odbyć.

Nie mówi nic więcej. Otwiera drzwi i przechodzi pewnym krokiem przez drugie piętro aż do wielkich modernistycznych schodów z marmuru i stali. Jest późno, lecz w domach towarowych wciąż panuje ożywienie.

Oglądając się już na schodach, Amadeo widzi, jak jego przyjaciel, siedząc w fotelu, napełnia szklanę po sam brzeg, podczas gdy don Eduardo patrzy na niego z obojętną wyniosłością z obrazu na ścianie.

Przed wyjściem na ulicę zauważa w jednym z okien wystawowych kolejkę jeżdżącą w koło, załadowaną prezentami na niby.

Nie wie, że ten obraz jest już wspomnieniem. Jednym z tych, które będą towarzyszyć mu zawsze.

Od: Violeta Lax

Data: 14 kwietnia 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Niedopowiedziany koniec

Kochana Mamo,

obawiam się, że oblałam zaległy egzamin. Najbardziej niezapomniana historia mojego życia odpłaciła mi pięknym za nadobne. Mam już koniec, na jaki zasłużyłam. Osądź sama.

Margot została przewieziona tydzień temu na OIT, gdzie mogą ją odwiedzać także osoby niebędące członkami rodziny. Poszłam tam przedwczoraj rano. Szeroko uśmiechnięta młoda pielęgniarka zapytała mnie, czy jestem „kimś od niej”. Ponieważ uznałam, że będą dziwnie mi się przyglądać, jeśli powiem: „jestem jej przeszłością”, ograniczyłam się do terażniejszości i odpowiedziałam: „Koleżanką”. „Obawiam się, że nie możesz wejść”, rzekła bardzo grzecznie. Pomyślałam, że jest zbyt uśmiechnięta jak na osobę zatrudnioną w miejscu, gdzie umiera tyle ludzi. Miałam już odejść, kiedy dodała: „Ale jeśli chcesz, możesz porozmawiać z jej córką”.

Z córką? Byłam tak zaskoczona, że w pierwszym odruchu chciałam sobie pójść. Uciec (dziwne!). Nie zrobiłam tego, ponieważ właśnie w tej chwili córka pojawiła się na korytarzu ze spuszczoną głową, idąc w naszą stronę. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie z zaciekawieniem. Oceniłam jej wiek na jakieś dwadzieścia kilka lat. Jest bardzo wysoką blondynką. Pierwszą moją myślą było to, że nie jest w ogóle podobna do Margot. Pielęgniarka zaimprovizowała niedokładną pospieszną prezentację: „To znajoma Margot. Już jej powiedziałam, że nie może wejść. Chciałaby porozmawiać z rodziną”. Następnie zwróciła się do mnie i oznajmiła: „To Isabel. Zostawiam was, żebyście mogły porozmawiać”. I zniknęła.

Zamurowało mnie. Do zdziwienia dołączyło pewne uczucie bliskości. Gdzieś już widziałam tę dziewczynę. „Czy my się znamy?”, zapytałam ją. Pewnie przywykła do takich pytań, ponieważ powiedziała: „Ja ciebie nie, ale może widziałaś mnie w telewizji. Jestem aktorką”. „Nie sądzę, mieszkam w Stanach”, odparłam. Wzruszyła ramionami. Nic się nie odezwała. Co za głupia rozmowa, prawda? Czysty absurdalny humor u bram śmierci.

„Mam jej powiedzieć, że kto przyszedł?”, zapytała nagle.

Wyglądała na zmęczoną. Przypuszczam, że długim siedzeniem w szpitalu. Znów się zawahałam. Moje milczenie ją zaniepokoiło. Twarz jej stwardniała.

„Znasz ją osobiście czy jesteś jej fanką?”, zapytała gotowa do obrony. Podejrzewam, że nie po raz pierwszy wielbicielka jej matki próbowała się do niej dostać. I dodała jeszcze bardziej spięta: „Nie jesteś chyba dziennikarką?”.

„Nie. Nie – odpowiedziałam. – Tyle że nie widziałyśmy się wiele lat”. I chyba żeby usprawiedliwić swoją reakcję, dodałam: „Tak wiele, że nie wiedziałam nawet, że ma córkę”.

„No cóż”, uśmiechnęła się, „jak widzisz, ma”.

„Czy mogę zapytać, ile masz lat?”

„Jasne. Dwadzieścia jeden”.

Czyli urodziła się w 1989 roku. Ja mieszkałam z Margot od 1995 do 1997 i nigdy nie wspomniła, że ma córkę. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, i wtedy dziewczyna powiedziała: „Nie jestem jej córką, tylko córką Patricii, jej żony, i jakiegoś sympatycznego dawcy nasienia. Szweda według tego, co zawsze mówiła mi matka. Nie wiedziałaś o tym? Opowiadałam o tym w wielu wywiadach”.

Przyznałam, że o niczym nie miałam pojęcia.

„Poznałam ją w dwutysięcznym roku, kiedy związała się z moją matką”, dodała.

„Czy jest przytomna?”, zapytałam, wskazując jakieś nieokreślone miejsce w strefie dla mnie zabronionej.

„Coraz rzadziej. Miewa przebłytki świadomości”.

„A twoja matka? Czy mogłabym z nią porozmawiać?”, zapytałam, prawdopodobnie pragnąc obecności kogoś w moim wieku.

Teatralnie pokręciła głową.

„Obawiam się, że będziesz musiała zadowolić się mną. Umarła w zeszłym roku na to samo co Margot. Smutne zrzędzenie losu, nie wydaje ci się? Jak gdyby rak był zaraźliwy. Przypuszczam, że będę następną, bo podobno to jest dziedziczne”.

Beztraska i swoboda, z jaką Isabel mówiła o tym dramacie, wydawały mi się szokujące.

„Powiesz mi w końcu, kim jesteś?”, wyskoczyła.

„Oczywiście. Nazywam się Violeta Lax. Myślisz, że mogłabym przyjść tu kiedy indziej?”

„Spróbuj. Ale gdy moją mamę tutaj przywieźli, nie przeżyła nawet dwóch wieczornych wiadomości. Jeśli przysłaś, żeby powiedzieć jej coś ważnego, myślę, że trochę się spóźniłaś. Chociaż możesz to napisać, jeśli chcesz, a ja przy okazji jej przeczytam”.

Nie bardzo mi pasowało, że ta zuchwała, pozbawiona kompleksów dziewczyna stanie się rzecznikiem moich najbardziej intymnych uczuć, lecz nie miałam innego wyjścia. Poszukałam wizytówki i napisałam: „Chociaż tak późno, chcę Cię przeprosić, że odeszłam bez pożegnania. Całuję Cię. Vio”.

Podaliśmy kartonik Isabel, która bez skrępowania zaraz przeczytała wiadomość. Następnie spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

„Czy o tobie jest ta piosenka?”, zapytała.

Z mojego milczenia wywnioskowała, że tak. Dotknęła ręką czoła, uniosła brwi i szeroko otworzyła oczy. Jak gdybym właśnie przekazała jej niesamowitą wiadomość.

„Nieźle! To prawdziwa bomba! I masz niezłe jaja, żeby tu przychodzić”.

Nie mogłam wytrzymać tej rozmowy ani chwili dłużej. Poprosiłam, żeby zapisała mi swój numer telefonu, i zapytałam, czy mogę do niej zadzwonić następnego dnia. Nie miała nic przeciwko temu. Pożegnała się ze mną przyjacielskim i miłym:

„Żegnaj, Vio. Żegnaj, Violeto”.

Myślę, że ta piosenka z 1998 roku, włączona obecnie do ostatniej płyty jej autorki, huczała jej w głowie równie głośno jak mnie:

Bez pożegnania

Odeszłaś, Violeto,

dziewczyno marzenie, poetko.

Nicznym dryfujące złudzenie

byłaś mą spadającą gwiazdą.

Odeszłaś ode mnie

bez jednego „żegnaj”,

a pożegnalny pocałunek

był kawałkiem życia,

który zabrałaś nam obu.

Nie rozpakowuj walizek,

nie zaznasz spokoju.

Tobie zostawiam swoją duszę.

Żegnaj, Vio, żegnaj, Violeto.

Zadzwoiłam do niej dzisiaj rano. Jej słowa mnie zaskoczyły:

„Wiesz już, prawda?”

„O czym?”

„Cholera, Violeto. Margot umarła. Mówili o tym we wszystkich porannych programach informacyjnych”.

„Nie mam telewizora, przykro mi”, usprawiedliwiłam się.

Mówiła stłumionym głosem. Ja musiałam się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć płaczem.

„Bardzo mi przykro”, powiedziałam. „Bardziej, niż sądzisz”.

„Słuchaj, jeśli masz ochotę, możemy spotkać się kiedyś i pogadać. Może po pogrzebie.

Przyjdiesz, prawda?”

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nie mam ochoty iść. Cmentarz nie jest dobrym miejscem na spotkania. Zwłaszcza dla zmarłego.

„Dobra, wszystko jedno”, odpowiedziała. „Posłuchaj, nie mam dzisiaj zbyt dużo czasu. No wiesz, ze śmiercią jest dużo roboty. Jeśli masz ochotę, spotkamy się kiedyś i porozmawiamy na spokojnie”.

Zgodziłam się, ale doskonale wiem – i myślę, że ona też – że nie spotkamy się nigdy. Chciałam się już pożegnać, kiedy dodała: „Przeczytałam jej wiadomość od ciebie”.

Serce zabiło mi gwałtownie.

„Co powiedziała?”

„Nic. Milczała. Odeszła bez pożegnania z tobą. Myślę, że jesteście kwita”.

Nawet teraz nie mam pojęcia, czy mówiła poważnie czy nie. Zanim się rozłączyła, dodała:

„Uśmiechnęła się. Nie robiła tego od wielu dni. Myślę, że sprawiłaś jej radość, Violeto”.

Jutro kupię wszystkie gazety.

XXV

Nieuniknione, chociaż przyjemne dla pani Teresy zobowiązanie towarzyskie zmusiło ją do spędzenia w Barcelonie wieczoru 17 lipca 1936 roku. Wybierała się z Amadeem na premierę sztuki *Głupia panna z loczkim*, komedii, którą napisał don Pedro Muñoz Seca. Po spektaklu w Polioramie zjedli kolację z popularnym autorem, z którym Amadeo pozostawał w luźnym kontakcie od czasu, kiedy poznali się w Madrycie kilka lat wcześniej. Był to miły wieczór ożywiony pikantnymi żartami oraz opowieściami don Pedra, które Teresie bardzo przypadły do gustu. Współmałżonkowie ich obojga, mniej wymowni, wnieśli do tego spotkania jako kontrpunkt swoją bezbarwność.

Po drugiej w nocy państwo Lax wjeżdżają na dziedziniec dla powozów. Pan prowadzi swój najnowszy kaprys: to mercedes benz 500K, czerwony kabriolet, któremu poświęca więcej uwagi niż jakimkolwiek człowiekowi. Teresa jedzie obok niego niewzruszona jak sfinks, zła, że podmuchy powietrza potargają jej loki, pomimo że okryła je chustką w kwiaty, i zaniepokojona zamieszkami na ulicach oraz widokiem ludzi gotowych buntować się przeciwko wszystkiemu. Jednak nie w tym problem, bo barcelończyków nie dziwią zamieszki ani znajoma obecność wichrzycieli. Chodzi raczej o to, że powietrze przenika zapach prochu i złe przecucia.

Teresa jest zdenerwowana. Nie miała zamiaru wracać do domu przed zakończeniem uciążliwej przebudowy dziedzińca wewnętrznego. Nienawidzi towarzyszącego pracom murarskim wszechobecnego brudu, którego nie można zmyć ani uniknąć. A jeszcze bardziej nie może znieść myśli, że musiała opuścić swój letni raj w Caldes d'Estrach, które stało się jej kryjówką, kołem ratunkowym, terapią na kłopoty przeżywane przez resztę roku i wreszcie jedynym miejscem, gdzie udaje jej się zapomnieć o wszystkim i naprawdę być szczęśliwą. Morze i zapach sosen mają na nią kojący wpływ. Lubi długie spacery po plaży, po której tyle razy chodziła z Marią del Roser podczas ich nielicznych wspólnych wakacji. I lubi mieć przy sobie odwiedzającą ją zawsze Tatín, która czasami zostaje tam na dłużej. „Jestem jedynym członkiem rodziny, który w twoim domu ma prawo do talerza, sztućców, spluwaczki i świecy”, często żartuje jej starsza siostra, która przyjeżdża do Caldes zawsze w dobrym towarzystwie. Na przykład w tym roku towarzyszy jej rosyjski dżentelmen pochodzący z tak znakomitego i starego rodu, że nie ma odwagi nawet powiedzieć o tym głośno. Jak wszyscy bogacze, doskonale wie, że w tych dniach buntu i zamętu wróg może czaić się za każdymi drzwiami.

Ale podczas letnich dni Teresę najbardziej uspokaja – chociaż przyznając to, cierpi katusze – nieobecność męża, którego niechęć do rezydencji w Caldes przez lata nie uległa zmianie.

Teresa wysiada z samochodu po monosylabowym pożegnaniu i ze zmęczoną dystynkcją rusza schodami prosto do swoich pokoi. Na samą myśl o tym, co tam zastanie, czuje ogromną niemoc. Wszyscy służący przebywają w Caldes, gdzie są bardziej potrzebni, z wyjątkiem Lai, którą zostawiła w Barcelonie, żeby opiekowała się Amadeem. Kiedy dociera na górę, obawiając się najgorszego i czując obrzydzenie na samą myśl o pokrywającym wszystko białym kurzu, czeka ją miła niespodzianka. W jej pokojach panuje nienaganny porządek, z mebli zdjęto prawie wszystkie pokrowce – na tę jedną noc! – pomieszczenia wywietrzono, a łóżko pościelono. Na stolku w garderobie leży jej atlasowy komplet do spania i pantofle z chwostami. Widząc staranność, z jaką wszystko przygotowano, ma wrażenie, że jest z nią Antonia, i zastanawia się, czy wystarczająco docenia dziewczynę, która jeszcze niedawno była wścibskim dzieciakiem.

Zdejmując wieczorową suknię, przypomina sobie pewne wydarzenie sprzed kilku lat. Laia mogła

mieć wtedy jakieś dziesięć lat. Teresa i jej teściowa wsiadły do citroena, by pojechać na mszę do kościoła Niepokalanego Poczęcia. To musiała być niedziela, a ona nie wiedziała, że znów jest w ciąży. Już na Paseo de Gracia poczuła silne mdłości i musiała poprosić Juliána, by natychmiast zawrócił do domu. Weszła po schodach, zakrywając sobie usta dłońmi, by nie wymiotować po drodze, a kiedy otworzyła drzwi do swojego saloniku, chcąc iść do łazienki, natknęła się na córkę szofera, która stała w garderobie w jej butach i przyglądała się swoim nogom w lustrze. Złapana na gorącym uczynku dziewczynka pobladła ze strachu.

Kiedy Laia była już w stanie zareagować, odłożyła buty na swoje miejsce, zgasiła światło i wyszła stamtąd z sercem walącym jak oszalałe. Przez kilka dni czekała na reprimendę, która nigdy nie nastąpiła. Wręcz przeciwnie, ilekroć gdzieś w domu się spotykały, pani Teresa patrzyła na nią wzrokiem pełnym rozbawionego porozumienia. Najbardziej zaskoczyło ją, że na urodziny dostała pudełko zapakowane w czerwony błyszczący papier – w środku znalazła parę przepięknych butów na obcasie. Pierwszych w życiu.

Teresa czuje ulgę po zdjęciu całego ubrania – z wyjątkiem majtek – i bierze koszulę nocną ze stołka. Szlafrok zostawia w nogach łóżka. Jest zbyt gorąco i nie zamierza nikogo przyjmować. Nie jest też śpiąca. Siada na kanapie, żeby przez okno popatrzeć na pustą ulicę. Powietrze nawet nie drgnie. W odróżnieniu od jej myśli, które biegają tam i z powrotem. Myśli o dzisiejszym wieczorze.

Komedia była trywialna, ale bardzo zabawna. Podobała się jej bardziej niż wcześniejsza sztuka tego autora, satyra na komunizm zatytułowana *Gęś*, na której Amadeo tak bardzo się śmiał, że omal nie dostał wylewu. Istnieje taki rodzaj śmiechu, który Teresa uważa za obraźliwy. To śmiech tego, kto patrzy na świat z góry. Istnieje także śmiech tego, kto patrzy na siebie w krzywym zwierciadle i na widok tego, co widzi, wybucha śmiechem. Ten śmiech Teresa lubi najbardziej i może dlatego jej ulubioną komedią pióra Muñoza Seki jest *Zemsta don Menda*. Uśmieła się, oglądając ją po raz pierwszy kilka lat po premierze! Nie dziwi jej wcale, że nadal jest grana. Uwielbia ją oglądać. A Pedro Muñoz Seca wydaje jej się taki jak jego sztuki: szczery i utalentowany, posiadający niezwykły dar sprawiania, że inni zapominają o swoich kłopotach. Teresa myśli, że oprócz niego zna tylko jedną taką osobę: swoją ukochaną Tatín.

Myśl pociąga za sobą myśl i Teresa przypomina sobie pewne popołudnie, kiedy po raz pierwszy odważyła się otworzyć serce przed siostrą. Właśnie tu, w saloniku. Tatín siedziała w fotelu, a Teresa na kanapie – tak jak w tej chwili – osłabiona, ponieważ nie jadła od czterech dni. Najstarsza z sióstr Brusés spojrzała na nią, zacisnęła usta, złapała się pod boki i skarciła ją:

– Czy można wiedzieć, co tu robisz nieubrana o tej porze? Wyglądasz okropnie. Złe się czujesz?

Pragmatycznej Tatín wystarczyły cztery zdania, żeby zrozumieć powagę dolegliwości, na jaką skarżyła się Teresa. Spojrzała na książkę Théophile’a Gautiera, którą siostra pokazała jej z szacunkiem, wyznając jednocześnie, że przeczytała ją przez ostatnie lata tak wiele razy, że prawie całą zna na pamięć. Teresa opowiedziała, jak ważna jest dla niej ta książka, gładząc opuszkami palców narysowane na ekslibrisie Octavia symbole, jakby to był on. Tego popołudnia młodsza siostra wyznała to, czego nie miała zamiaru powiedzieć nikomu. Była chora z wątpliwości i niezdecydowania. I ogłupiała miłością, której się nie spodziewała.

– Każdego wieczoru przed zaśnięciem wyobrażam sobie, że jestem z Octaviem w Nowym Jorku i że jesteśmy szczęśliwi. Tylko w ten sposób udaje mi się zaznać odrobinę spokoju – powiedziała.

Tatín, której zmysł praktyczny nigdy nie pozwolił ulegać choremu romantyzmowi, ucięła sprawę, przechodząc do sedna:

– To dlaczego do niego nie pojedziesz?

Teresa spojrzała na nią, jakby usłyszała jakieś bluźnierstwo. Jej siostra mówiła dalej:

– Nie trać więcej sił, głuptasie, i jedź do mężczyzny, przez którego nie śpisz ani nie jesz!

Teresa szeroko otworzyła przestraszone oczy.

– Jak mogłabym zostawić Amadea?

– Daj spokój, nie ty pierwsza! Cudzołóstwo jest stare jak świat.

Teresa poczerwieniała. Nie była w stanie myśleć o sobie w tych kategoriach. A tym bardziej o mężu.

Tatín widząc, że jej siostra nigdy się nie zgodzi na takie rozwiązanie, zaproponowała inne. Równie pragmatyczne, a przy tym – chociaż na krótką metę – bardziej zgodne z prawem.

– Możesz też się rozwieść. To lepsze wyjście niż być nieszczęśliwą do końca życia. Twój mąż jest egocentrykiem, który myśli jedynie o swoich kochankach, samochodach i obrazach. Ale czasy się zmieniły! Przecież teraz kobiety mogą nawet głosować!

Teresa słuchała jej ze smutkiem na twarzy.

– Poza tym pojechałabym z tobą. Nowy Jork mnie zachwyca! Już od jakiegoś czasu zastanawiam się nad kupnem tam małego mieszkanka. Kiedy się tam urządzimy, nietrudno nam będzie odnaleźć twojego Octavia. Mam bliskich znajomych w Stanach, chętnie nam pomogą. Musi być jakiś powód, że nie napisał do ciebie. Ten człowiek jest dżentelmenem i obie o tym wiemy.

Tatín mówiła z taką pewnością, że Teresa po raz pierwszy poczuła, iż istnieje lekarstwo na jej chorobę. Po tej rozmowie zaczęła patrzeć na swoje życie w inny sposób. Nie jak na ciężkie jarzmo łączące ją z mężczyzną, którego nie uważała już za swojego, i z miejscem równie jak on obcym, ale jak na kilka dróg prowadzących do wielu innych możliwości, wśród których może wybrać najlepszą dla siebie. Przypomina sobie teraz słowa Marii del Roser: „My, kobiety, możemy swobodnie budować swoją przyszłość i uciekać od naszych dręczycieli”. Co by powiedziała teraz na to, że dręczycielem, przeciw któremu Teresa próbuje się zbuntować, jest jej własny syn?

Teresa posępnieje na wspomnienie Amadea, wielbionego przez nią Amadea. Zastanawia się, czy zawsze tak było, czy to ona go zmieniła. „Jesteś zbyt dobra, Tessito. Dają ci mężczyznę i w ciągu zaledwie roku robisz z niego człowieka bezużytecznego”, powiedziała jej kiedyś Tatín. Ostatnimi czasami Amadeo zachowuje się inaczej. Zabronił jej uczestniczyć w spotkaniach Koła Spirytystów – „tej bandy wariatów”, jak ich nazywa – i nie pozwala wychodzić z domu, chyba że w towarzystwie Conchity. Czasami patrzy na nią z przerażającym ją chłodem. Innym razem daje jej prezenty i mówi, że chce, aby wszystko było jak dawniej. Jest zdezorientowana. I odizolowana, a to jeszcze gorsze. Z ważnych dla niej osób została jedynie Tatín.

Antonia odeszła na początku 1933 roku, okazując zdeterminowanie podjętą decyzją i nie racząc jej wytłumaczyć. Teresa bardzo żałowała, że ją straciła, ale stała się tylko kolejną nieobecną już w jej życiu osobą. Jak Octavio, Maria del Roser, Amadeo, którego kochała...

Chociaż trzeba przyznać, że Tatín warta jest ich wszystkich. Jest zdolna do niesamowitych czynów. Jak na przykład do tego, żeby pójść porozmawiać z Amadeem o smutnym losie siostry.

– Twoja żona gaśnie jak świeca – powiedziała mu. – Sądzę, że powinieneś coś zrobić, żeby temu zaradzić.

Rozmowa odbyła się w gabinecie i charakteryzowała się napięciem rozmówców oraz swego rodzaju oficjalnością. Tatín, występując w roli głowy swojej rodziny, którą przyjęła wiele lat wcześniej, naświetliła fakty, rozważając wszystkie ich strony – łącznie z wiekiem i marzycielskim usposobieniem Teresy. Amadeo zaczekał, aż skończy, po czym rzekł niewzruszony:

– Twoja siostra ma to, czego chciała, szwagierko.

Po wyjściu ze spotkania Tatín Brusés była przekonana, że Teresa powinna jak najszybciej porzucić męża. Powiedziała jej o tym i od tamtej chwili wspólnie zaczęły obmyślać strategię bazującą na trzech głównych elementach: rozwadze, sposobności i szybkości. Latem 1936 roku, kiedy to po krótkiej

dygresji spotykamy się ponownie, dużo o tym rozmawiały, siedząc w cieniu sosen rezydencji w Caldes. Zaplanowały już wszystkie szczegóły. Tatín zarezerwowała dla nich obu i dla małego Modesta kabinę na parowcu odpływającym z Barcelony 10 września. Oczywiście w tajemnicy, ponieważ nikt nie mógł dowiedzieć się o tych planach. Pozostało tylko wybrać najwłaściwszy moment, żeby powiadomić o tym Amadea.

Siedząc w tę wilgotną upalną barcelońską noc na kanapie stojącej przy oknie, Teresa postanawia, że zrobi to następnego dnia po śniadaniu.

Nazajutrz rano jest słoneczny, gorący i przesycony ostrym zapachem prochu. Na ulicach od wczesnych godzin panuje duże poruszenie, ze wszystkich stron dobiegają stłumione okrzyki. O świcie Teresa widziała, jak trzech młodzi mężczyźni napadli na stróża nocnego i zabrali mu broń – wystraszyła się, że za chwilę wtargną do jej domu. W obecnej sytuacji można spodziewać się wszystkiego.

Amadeo również się niepokoi. Pozbawiony informacji z powodu braku gazet, dzisiaj bowiem się nie ukazały, próbuje mieć pod kontrolą sytuację, której nikt nie potrafi kontrolować. Późnym rankiem jacyś ludzie zaczęli łomotać do drzwi i musiał przegnać ich na oczach przerażonej Lai, mierząc do nich z pistoletu. Czuje się jak pan feudalny na zamku w czasie powstania chłopów pańszczyźnianych. Chociaż wie, że sam długo nie zdoła stawiać oporu. W końcu około południa udaje mu się wyjść z domu. Kiedy wraca po rozmowie z dobrze poinformowanym przyjacielem Albertem Despujolem, myśli ma jaśniejsze, a nastrój weselszy. Jeśli sytuacja nie poprawi się za tydzień lub dwa, jak wszyscy oczekują, najlepiej będzie schronić się we Włoszech. „Tutaj czyha na nas poważne niebezpieczeństwo – powiedział Albert Despujol. – Jeśli zostaniemy, ci prostacy komuniści będą walczyć z nami ogniem i mieczem”.

Tego ranka Laia podała śniadanie każdemu z państwa osobno. Na tacy Teresy nie mogła położyć jak zwykle herbacianej róży. Różany krzew, podobnie jak inne rośliny na dziedzińcu wewnętrznym, został wyrwany. W jego miejscu leży teraz podłoga z ciemnego drewna, a nad nią rozpościera się szklana kopuła wsparta na pokrytych ziarnistą zaprawą ścianach. W nowym pomieszczeniu śladem po robotnikach są jedynie narzędzia, które obiecali zabrać po południu. Później Laia będzie musiała sama wszystko posprzątać. Kiedy rodzina wróci z wakacji, to będzie tak, jakby pokojom przybyło nowe dziecko.

Teresa powoli idzie na dół po schodach ubrana jedynie w atlasową koszulę nocną i szlafrok w kolorze łososiowym, mając na stopach delikatne pantofle z jedwabnymi chwostami. Laia przygląda się jej z takim zachwytem jak w czasach, kiedy była dzieckiem.

– Czy mogłabyś zadzwonić do swojego ojca i poprosić, żeby przyjechał po mnie o piątej? – pyta ją Teresa, wchodząc do salonu.

Laia odkłada na później wykonanie polecenia. Kiedy w końcu ma zamiar to zrobić, jest to już zbędne.

Z fotela przy kominku pani Teresa z przykrością patrzy na dawny dziedziniec. Drzwi z wielobarwnym witrażem są na swoim miejscu, lecz za nimi otwiera się *terra incognita*, niemająca nic wspólnego z wypełnionym zielenią słonecznym miejscem wytchnienia, które tak bardzo lubiła. Teraz gołe szorstkie ściany czekają na przyście malarzy. Nawet obłożona kafelkami dolna część nie pomniejsza ich ponurego wyglądu. Z oddali dochodzą odgłosy wybuchów. Teresa zastanawia się, czy nie powinna już jechać. W tej chwili za plecami słyszy głos Amadea.

– Dzień dobry, kochanie – mówi. – Czy akceptujesz zmiany?

Odwraca się, żeby na niego spojrzeć. Amadeo jest nienagannie ubrany w swój dwurzędowy garnitur, trzyma w ręku słomkowy kapelusz i pudełko ozdobione kokardą. Teresa nieśmiało przytakuje ruchem głowy.

– Przyniosłem ci prezent – oznajmia jej mąż.

Jego szlachetność rozbraja Teresę, której serce bije jak oszalałe, ponieważ czuje, że zbliża się chwila prawdy.

– Dlaczego? – pyta.

– Czy potrzebny jest powód? Nie pytałaś o nie podczas naszej podróży poślubnej, kiedy spełniałem wszystkie twoje zachcianki.

Teresa uśmiecha się smutno. Podróż poślubna wydaje się jej taka odległa. A ona ma już niewiele wspólnego z tamtą niewinną przerażoną dziewczyną, która ubóstwiała swojego męża ponad wszystko.

Wracają do salonu, żeby otworzyła prezent. Siadają w fotelach z wytartego żółtego aksamitu.

– Trzeba zmienić to obicie, wygląda okropnie – komentuje pani domu, jak gdyby miała zamiar zająć się tą sprawą.

Siedzą naprzeciwko siebie. Teresa kładzie pudełko na kolanach, rozwiązuje wstążkę, podnosi wieko. Ze środka wygląda puchata główka i patrzy na nią dwójgim olśniewających oczu w kształcie migdałów. To perski kociak. O białej długiej sierści. Ma na szyi obrózkę z zawieszka, na której napisane jest „Dickens”.

Teresa patrzy na zawieszka i pyta:

– Dickens?

– Przecież zawsze go lubiłaś, prawda? To musi być bardzo wiktoriańskie stworzenie. Pomyślałem, że będziesz zadowolona, że ma już imię.

Teresa wyjmuje zwierzątko z pudełka, kładzie je na kolanach i głaszcze. Kociak mruży oczy i mruczy z zadowoleniem.

– Modesto będzie zachwycony – szepcze Teresa, wiedząc, że chłopiec w tym roku okazuje wyraźne zainteresowanie światem zwierząt.

Amadeo patrzy na nią w milczeniu, z lekko przekrzywioną głową. Teresa boi się tego spojrzenia, ponieważ wie, co ono oznacza. Amadeo, który wcześniej nią gardził, teraz desperacko jej potrzebuje. Czuje, że to wstęp do jednego z jego wybuchów szału, które dawniej ją przerażały, a obecnie ich nienawidzi.

– Chciałbym, żeby wszystko było jak dawniej. Zawsze byłaś taka szczęśliwa. Patrzyłaś na mnie jak nikt inny. – Amadeo wyciąga rękę i jak dziecko próbuje jej dotknąć palcem.

Ale ona szorstkim gestem odpycha jego rękę.

– Już nic nie będzie takie jak dawniej, Amadeo.

Powiedziała to, zebrała się na odwagę. Serce jej wali jak oszalałe, w głowie pulsuje nerwowy ból. Czuje, że wypowiadając te słowa, przekroczyła granicę. Amadeo patrzy na nią, nie rozumiejąc tego, co widzi, ani tego, co słyszy. Kotek jednym susem zeskakuje z kolan swojej pani, drepcze niezdarnie po kamiennych płytach i wskakuje na inny fotel, jak gdyby zajmował miejsce na widowni, żeby obejrzeć spektakl, który za chwilę się rozpocznie. Teresa oddycha z trudem. Czuje suchość w ustach. Zbiera się na odwagę, której nigdy dotąd nie miała, i mówi:

– Chcę rozwodu.

Teraz on ma wrażenie, że znalazł się na jakiejś innej planecie. W świecie pogardy i nieistnienia, zdrady i oszustwa. Potrząsa głową. Jest przekonany, że to, o czym mówi Teresa, po prostu się nie zdarzy. Nie musi nawet się nad tym zastanawiać, rozważać propozycji. Nie. Teresa nie opuści go. Nie pozwoli jej na to. Nigdy nie był niczego bardziej pewien: jego żona nie postawi na swoim. Nawet jeśli zmuszony będzie zakazać jej widywania się ze wszystkimi, łącznie z jej siostrą zmiłą.

Odpowiada krótko:

– Mowy nie ma.

Teresa drży. Ma zimne dłonie i nagle dopada ją strach.

– Nie mogę być dalej z tobą, Amadeo. Nie Kocham cię już tak jak kiedyś. Czuję, że nasz związek jest farszą. Budynkiem o pięknej fasadzie, lecz w środku ze zgniłymi belkami, które zaraz runą. Nie zasługujesz na to.

– Głupia jesteś – nagle Amadeo podnosi głos, zaskakując ją – i naiwna. Nadal myślisz o Octaviu, prawda? Myślisz, że o tym nie wiem?

Teresa nie obawia się prawdy. Wręcz przeciwnie, zawsze jej broniła. Prawda jest lepsza od kłamstwa bez względu na to, jak może okazać się bolesna. Ale ta złota zasada nie ma zastosowania do Amadea. Wie doskonale, że jej mąż jest wrażliwcem, dla którego prawda może stać się śmiertelną raną.

– Teraz to nie ma znaczenia, Amadeo.

– Oczywiście, że ma! Czy sądzisz, że on czeka na ciebie po drugiej stronie Atlantyku? Że jakby nigdy nic rozpocznie nowe życie w miejscu, gdzie nikt was nie zna? Czy nie zastanawiałaś się, idiotko, nad tym, dlaczego Octavio nigdy do ciebie nie napisał? Nawet żeby podać ci swój nowy adres? Umiesz jedynie do niego wzdychać jak jakaś głupia dzierlatka?

Teresa się waha. Czuje się zraniona i ośmieszona. Doskonale zdaje sobie sprawę, że kierowany nienawiścią Amadeo jest zdolny do wszystkiego. Patrzy na niego z innego wymiaru i czuje niewymowną litość. Amadeo ma twarz wykrzywioną wściekłością, na skroniach i szyi widać pulsujące żyły, jego krzyki zaalarmowały Laię, która wbiegła na górę, lecz natychmiast się wycofała. Teresa słucha, siedząc nieruchomo na żółtym aksamicie fotela, patrząc przez przeszkłone drzwi na przebudowany dziedziniec i czekając, aż burza się uciszy.

Nie ma pojęcia, że Amadeo ma jeszcze jednego asa w rękawie. Pewność, z jaką Teresa trwa przy swoim, powoduje, że postanawia go użyć. To jego ostatnia deska ratunku.

– A co by było, gdybyś się dowiedziała, że Octavia nie ma w Ameryce?

Teresa kręci głową. Nie chce tego słuchać. Udaje obojętność. Amadeo oburącz mocno łapie ją za twarz. Teresa czuje na policzkach jego gorące spocone dłonie. Patrzą sobie w oczy wyzywająco. Wreszcie Amadeo oznajmia zachrypłym głosem:

– Octavio nie żyje, dziwko. Nie żyje!

Ofiara połknęła haczyk. Wielki drapieźnik jest usatysfakcjonowany. W końcu patrzy na upadek dumnego stworzenia, które powstało dzisiaj przeciw niemu z zamiarem zdruzgotania mu życia. Wreszcie widzi, jak czerwienieje, wybucha płaczem i jęczy. Spogląda na nią, jak gdyby jej nie słyszał. Jak gdyby jedynie napawał się sceną jej upadku. W milczeniu, tak jak ogląda się wielkie zwycięstwa. Z zamyślenia wrywa się, dopiero kiedy Teresa, szlochając, bije go w piersi i krzyczy:

– Co masz na myśli? O czym ty mówisz?!

Wtedy Amadeo opowiada jej o Wigilii 1932 roku. O swoich odwiedzinach u Octavia. O rozmowie w jego gabinecie. Wspomina, że kiedy wychodził, Octavio był pijany i nalewał sobie kolejną szklanekę whisky. W barku stały jeszcze trzy pełne butelki i może pójść o zakład, że Octavio wlał je w siebie przed zamknięciem sklepu. Odesłał do domu strażników, żeby być sam; powiedział im, że osobiście włączy alarmy. Dał też wolny wieczór strażakom pracującym w budynku. Właśnie jeden z nich był ostatnią osobą, która widziała go przy życiu. Nazywał się José Sánchez i powiedział, że szef był tak pijany, iż z trudnością stał na nogach. Przez chwilę strażak myślał, czyby wbrew otrzymanym poleceniom nie zostać na miejscu, ale była wigilia Bożego Narodzenia i zwyciężyła chęć spotkania się z rodziną, więc zamknął drzwi i poszedł do domu. Następnego dnia obudziła go żona, wołając, że El Siglo płonie. Pierwszą osobą, o której pomyślał, był don Octavio. Gdy wychodził, szef spał oparty czołem o biurko. Kiedy dotarł na Ramblę, przebił się przez tłum gapiów i zapytał o don Octavia, ale nikt nie wiedział, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Wszyscy mówili mu, że don Octavio rankiem tego dnia odpłynął

do Ameryki. Strażak zaczął pomagać przy gaszeniu pożaru i ryzykując życie, próbował dotrzeć do gabinetu na drugim piętrze. Trzeba go było odwieźć do szpitala, ponieważ uległ poważnym poparzeniom. Przeżył jednak i dowiedział się, że w zgłiszczach nie znaleziono ludzkich zwłok. W ogromnej górze powyginanych żelaznych belek było to poszukiwaniem igły w stogu siana. W końcu strażak uznał, że don Octavia nie było w budynku. Pewnie biedaczysko miał inne problemy na głowie, skoro nagle został bez pracy. Dlatego też więcej o tej sprawie nie rozmawiano. Trzeba przyznać, że poczciwy Conde zachował dyskrecję, nawet umierając. Wspaniały był z niego człowiek.

– To wszystko nieprawda! – ryczy Teresa z wściekłością. – Jak może nie żyć? Przecież musiano by zorganizować pogrzeb, w gazetach by napisali!...

– Oczywiście – odpowiada Amadeo z niespodziewaną radością w głosie – pod warunkiem że ktoś by o tym wiedział.

– Jak to możliwe, że tylko ty o tym wiesz? Uważasz, że jesteś mądrzejszy od policji?

– Opowiedział mi o tym sam José Sánchez w zamian za drobny napiwek. Poza tym zapominasz, kochanie, że tam byłem. I dałem Octawiowi powody do picia. Przypuszczam, że zasypiając, był tak pijany, że nie miał o niczym pojęcia. A może wcześniej się zabił, kto wie. W tym celu zostawiłem mu swój pistolet, ale nie mogę być tego pewien. Wiem tylko, że nie wsiadł na statek.

– Wiesz? Sprawdzałeś?

– Owszem. – Uśmiecha się zadowolony. – Wynająłem człowieka, który miał podejść do niego w Nowym Jorku pod pretekstem pomocy przy bagażach. Biedak zatelegrafował do mnie bardzo zdziwiony, informując, że żaden don Conde nie podróżował na pokładzie „Magallanesa” i że jego kajuta przez całą podróż była pusta. Powiedziano mu, że w pierwszej klasie zdarzają się takie rzeczy, ponieważ bogacze są bardzo zapominalscy. Co ty na to? Czy to nie robi na tobie wrażenia?

Teresa nie potrafi odpowiedzieć. Próbuje jedynie na próżno poukładać myśli i znaleźć wyjście z sytuacji. Amadeo dręczy ją, napawając się swoją zemstą.

– I co teraz? Nadal chcesz wyjechać do Nowego Jorku?

Teresa nie ma pojęcia, jak udaje się jej zebrać siły, żeby odpowiedzieć pomimo wszystko zdecydowanym tonem:

– Do Nowego Jorku nie. Ale chcę odejść.

Amadeo płonie, jak gdyby to zdanie zapaliło pochodnię. Teresa wpada w panikę. W przerażenie, które towarzyszy domniemanemu końcowi. Lax wstaje i wymierza puchatemu kociakowi tak brutalnego kopniaka, że zwierzę uderza o front kominka i pada martwe. Teresę przechodzi dreszcz przerażenia. Wstaje, żeby odejść do swojego pokoju, lecz Amadeo łapie ją za włosy i przyciąga do siebie. Ma spojrzenie szaleńca. Z czoła spadają mu wielkie krople potu. Łapie ją za ramiona i potrząsa nią. Wypowiada słowa przepelnione złością, podłymi obelgami, które nigdy przedtem nie wyszły z jego ust. Zapala się jak stóg siana. Im bardziej krzyczy, tym bardziej chce mu się krzyżeć. W im większą wściekłość wpada, tym silniejsze czuje pragnienie, żeby przekraczać kolejne granice. Aż w końcu jego dłonie obejmują jej bladą szyję. I zaciskają się.

Amadeo żałuje, kiedy jest już za późno. W uszach rozbrzmiewa mu przenikliwy świst. Odrywa ręce od zsiniałego gardła Teresy. Ciało jego żony opada na podłogę jak zepsuta lalka. Amadeo rzuca się obok niej na kolana. Po raz ostatni wymawia jej imię. Wielokrotnie je powtarza, łkając. Zwija się w kłębek, kładzie głowę na jej piersiach i płacze jak dziecko. Leży tak dłuższą chwilę, aż ciało Teresy zaczyna stygnąć. Wtedy w przeblýsku świadomości rozumie, że musi coś z tym zrobić.

Ociera łzy i wstaje. Patrzy, jakby nie miał z tą sceną nic wspólnego.

W tym momencie zauważa Laię stojącą w drzwiach i spoglądającą na niego z przerażeniem. Ona również płacze.

Popołudnie 18 lipca 1936 roku mija w dużym zamieszaniu. Kiedy murarze zjawiają się, żeby zabrać narzędzia, natykają się na drobną zmianę. Drzwi do schowka, które z tak wielką dokładnością pokryli lakierem, zamknięto na klucz, a klamkę wyjęto. Dodatkowo pan domu zaskakuje ich, zlecając pilne zadanie, za które proponuje podwójną zapłatę. Zabierają się do pracy bez zadawania pytań. Grubą warstwą gipsu pokrywają główną ścianę dawnego dziedzińca, o dziwo, wraz z drzwiami. Kiedy kończą, po drzwiach nie ma śladu. Oczywiście nikt nie wie, co zostało ukryte za nimi.

Podczas gdy robotnicy pracują, Amadeo chodzi zamyślony tam i z powrotem. Przeraża niepodobnym do siebie zachowaniem, z rozstrojonymi nerwami, co jakiś czas płacząc i spoglądając na postępujące prace. Chodzi po domu, zbierając przedmioty i wrzucając je bez ładu i składu do skrzyni należącej kiedyś do jego matki. Są wśród nich dokumenty, biżuteria i gotówka.

Około godziny siódmej wychodzi z domu. Woli złapać taksówkę, niż jechać jednym ze swoich zbyt przykuwających uwagę samochodów. Wraca po półgodzinie, pokazuje Lai zakupione właśnie dokumenty i mówi z triumfem w głosie:

– Hiszpańskie paszporty i wizy niemieckie. Jutro wsiądziemy na frachtowiec, który wypływa wcześniej rano. Popłyniesz ze mną. Powiedziałem, że jesteś moją córką.

– Dokąd?

– Do Włoch. Musisz pozbyć się tego mundurka. Idź do garderoby Teresy i włóż, co chcesz.

Laia jest posłuszna. Nigdy nie przypuszczała, że spełnienie tak długo skrywanego marzenia sprawi jej tak głęboki ból. W garderobie Teresy zapachy przypominają o pani – Laia będzie nią pachniała, kiedy opuszczą dom, dopóki nie pozbędzie się ubrań, których nigdy nie powinna była włożyć. Sparaliżowana strachem dziewczyna ogląda suknie, które tyle razy ukradkiem podziwiała, i nie wie, na co się zdecydować.

Tymczasem Amadeo, wściekły jak nigdy, maluje w domu ostatnie dzieło. Kiedyś tu wróci, za kilka lat, ale nic nie będzie już takie jak tego wieczoru. Przyniósł pudełko z farbami, paletę i pędzle. Miesza fiolety, ochry, indygo i błękity, które odzwierciedlają stan jego duszy. Stojąc na pozostawionej przez murarzy drabinie, maluje swój pierwszy fresk, którym wcale nie będzie malowidło zamówione przez milionera z Tiany. Namaluje go we własnym domu, na dawnym dziedzińcu, który właśnie stał się grobowcem. I nie będzie na nim roślinnych motywów, martwej natury czy jakiejś mitologicznej fantazji. Będzie na nim ona. Jego obsesja. Jego Teresa. Nieprawdopodobna piękność o umykającym spojrzeniu, jakim patrzyła tego poranka, kiedy chciała go zostawić. Teresa patrząca dalej, niż sięgało jej życie, poza horyzont, który dla niej namalował. Jego Teresa, jedyna kobieta, którą pragnął uszczęśliwić. Stracona na zawsze, choć zatrzymana w ścianach tego domu.

Amadeo opuszcza dom w towarzystwie służącej przebranej za damę, zanim farba wyschła. Suchy trzask, z jakim zamykają się drzwi głównego wejścia, rozbrzmiewa uparcie w pokojach jak wolne samotne echo.

Od: Violeta Lax

Data: 16 kwietnia 2010

Do: Valérie Rahal

Temat: Decyzje

Kochana Mamo,

wczoraj przez dwie godziny rozmawiałam z Danielem. Byliśmy w idyllicznym miejscu (wiem, że lubisz znać takie szczegóły), na tarasie przy plaży restauracji Aqua, do której wybraliśmy się z okazji moich urodzin. Bardzo się cieszę, że przyjechał (z pewnością Ty również jesteś z tego zadowolona), ponieważ smutno byłoby mi świętować samej czterdziestkę.

Postanowiłam przyjąć propozycję kierowania nowym Muzeum Amadea Laxa. Częściowo zawdzięczam tę decyzję Tobie i Twoim słowom. Masz rację: mogę podziwiać Laxa malarza i gardzić Laxem człowiekiem w taki sposób, że żadne z obu tych uczuć nie będzie miało wpływu na moją pracę. Mogę również pracować nad tym, żeby prawda wyszła na jaw. Pokazać na przykład prawdziwą osobowość Teresy Brusés. Napisać coś o niej i o jej życiu u boku tak utalentowanego i skomplikowanego artysty, jakim był dziadek.

W tym celu wczoraj spotkałam się z panem Gabrielem Portalem. Jest praprakuzynem (czy coś w tym guście) Octavia Condego, domniemanego kochanka Teresy, z którym jak zawsze uważano, uciekła do Nowego Jorku w 1936 roku. Trudno uwierzyć, że to stwierdzenie oparte jest na pomyłkach, plotkach i nadinterpretacjach faktów, ale tak już jest. Podejrzewam, że zbieg tej daty z wybuchem wojny domowej miał wpływ na to, że nigdy nie przeprowadzono dogłębnego dochodzenia w tej sprawie. Jediną osobą próbującą coś zrobić był ten niepozorny arystokrata, którego miałam przyjemność poznać i który stara się spisać dobrze udokumentowaną historię swojej rodziny. Kiedy zapytałam go, co się stało z Octaviem Condem, wzruszył ramionami i powiedział: „Zniknął”.

Wyjaśnił, że udało mu się dowiedzieć o swoim krewnym tylko tyle, że na parowcu „Magallanes” wykupił kajutę na rejs z 25 grudnia 1932 roku z Barcelony do Nowego Jorku. Mimo wszelkich prób nie znalazł jednak żadnych informacji o nim w portach, do których statek zawijał. Ani na Wyspach Kanaryjskich, ani na Kubie, ani w Nowym Jorku. Przez wiele lat sądził, że Octavio zmienił nazwisko, by podróżować incognito i prowadzić dyskretne życie z kochanką. Ale skoro kochanka z nim nie wyjechała, ta teoria nie ma sensu. Nie odnalazł go również na żadnym z dwudziestu cmentarzy, które przeszukał. Nie ma żadnego wiarygodnego wyjaśnienia tej zagadki. Pan Gabriel wspomniał o kilku hipotezach: „Albo nigdy nie wyjechał, albo mieszkał tu pod fałszywym nazwiskiem, albo uciekł z kraju, może do Włoch Mussoliniego, gdzie w tamtych czasach schroniło się wielu bogatych barcelońskich przemysłowców. Albo zmarł podczas wojny domowej...”. Na koniec stwierdził:

„To równanie nie do rozwiązania. Za dużo w nim niewiadomych”.

Tak oto moja barcelońska podróż dobiega końca. Wczoraj pokazałam Danielowi rodzinną rezydencję. Murarze nadają kształt Muzeum Amadea Laxa. Moje biuro mieścić się będzie w suterenie, w której dawniej były pokoje dla służby. Całkiem niezłe zachowane kuchnie staną się częścią wystawy. Budynek będzie gotowy pod koniec roku, a jego otwarcie nastąpi 22 lutego, w urodziny dziadka. Do tej daty z całą rodziną muszę zjawić się w Barcelonie. Daniel jest zachwycony.

Dlatego też jutro spakuję się i wrócę do domu. Muszę w jakiś sposób wynagrodzić Drinie wszystkie problemy, jakie miała z mojego powodu przez tych kilka tygodni, i przeżyć burę, jaką

dostanę od szefów Art Institute. Chyba bardzo się zdziwią, kiedy im wręcę rezygnację. A tak przy okazji, udało mi się przekonać tatę, żeby przyjechał na otwarcie, i chciałabym, żebyś Ty również na nim była, jeśli nie masz nic lepszego do roboty. Byłabym szczęśliwa, mając Was oboje przy sobie.

Na koniec dzisiaj rano odwiedziłam grób Teresy. Kupiłam ogromny bukiet czerwonych róż i przeszłam słonecznymi alejkami cmentarza, by się z nią pożegnać. Dochodząc do niszy, pomyślałam, że to niesprawiedliwe, by jej szczątki spoczywały w anonimowym betonowym grobie, i postanowiłam zamówić marmurową płytę z jej imieniem. Lecz na miejscu czekała na mnie niespodzianka, ponieważ grób wyglądał inaczej. Nie był już anonimowy. Leżała na nim piękna płyta z czarnego granitu z wyrytymi srebrnymi literami:

Teresa Brusés Bessa

(1907-1936)

TWÓJ SYN I WNUCZKA NIGDY O TOBIE NIE ZAPOMNĄ

Na wąskiej półce leżał bukiet zwiędniętych białych stokrotek. Zabrałam je i położyłam w ich miejsce moje róże. To Ty mi mówiłaś, że ulubionymi kwiatami taty są białe stokrotki, prawda?

Poszłam również pożegnać się z ludowym świętym. Jego grób był pokryty tyloma kwiatami, wotami i ofiarami jak za pierwszym razem. Przyjrzałam się sławnej szczelinie przecinającej po przekątnej płytę nagrobną, mając nadzieję, że ujrzę w niej blask z zaświatów, ale nic takiego się nie stało. Chociaż muszę przyznać, że święty spełnił moją prośbę. Chyba obiecałam Ci o niej powiedzieć, jeśli się spełni, prawda? No dobrze: poprosiłam, żeby pomógł mi wyjechać z Chicago. Nie byłabym w stanie żyć tam dłużej.

Zaskoczyłam Cię?

Jako zapłatę za jego skuteczne usługi postanowiłam zostawić Francescowi Canalsowi Ambrósowi łańcuszek i obrączkę z jego imieniem. Nie mam pojęcia, jak znalazły się na szyi Teresy ani jakie znaczenie miały dla niej, ale wydało mi się, że najlepiej będzie mu je oddać.

Na tym lepiej zakończę. Tak bardzo lubię tę nową klawiaturę, że skłonna jestem pomyśleć, iż rzuciła na mnie jakiś czar. Kiedy zaczynam pisać, zdaje mi się, że nie będę mogła skończyć.

Chciałam Cię tylko ostrzec, żebyś się nie wystraszyła. Wracam z nogą w gipsie. Miałam dość wstydlivy wypadek. Schodząc na dół po wizycie w domu Laxów, gdzie poszłam z Danielem, potknęłam się o liść winorośli przy pierwszym stopniu i zwichnęłam kostkę. Jestem niezdarna, wiem, ale kto do cholery wpadł na pomysł, żeby właśnie w tym miejscu, pod nogami, umieścić taką dużą ozdobę?

Twoja kulejąca, produktywna, barcelońska i odzyskana

Vlolin

Kochany Amadeo,

mam poważne wątpliwości, czy ten list dotrze do Twoich rąk. Ponieważ nie mam żadnego innego adresu do Ciebie, postanowiłam, że wyślę go do hotelu w Rzymie, w którym byłeś ostatnim razem, kiedy miałam o Tobie wiadomości, z nadzieją, że ktoś Ci go przekaże. Napisałam do kuzynki Alessii z zapytaniem, czy wie, gdzie mogę Cię znaleźć, ale bez skutku. Chociaż powiedziała mi, że Modesto ma się dobrze. Jest już duży (siedem lat!) i zdaje się, że ma zamiar pójść śladem ojca: napisała, że ma zdolności plastyczne i uwielbia wymyślać różne historie.

Tutaj nastąpiły wielkie zmiany. Piszę do Ciebie, żeby Cię o nich poinformować. Meble zostały rozkradzione, podobnie jak samochody, lampy, dywany, fortepian, gramofon i wszystko, co było w pokojach wartościowe. Mimo że broniliśmy się jak lwy. Pozytywną rzeczą jest to, że uratowaliśmy dom od pożarów, które pochłonęły inne okoliczne rezydencje i stały się poważnym zagrożeniem. Również nie wiadomo jakim cudem udało nam się uratować obrazy – ukryliśmy je w dawnym pokoju z telefonem. Żadnemu z tych dzikusów nie przyszło na myśl, żeby tam zajrzeć, a może dzieła sztuki ich nie interesowały.

Udało nam się też ocalić pokój Violety. To był pomysł sprytnego Higinia. Pamiętasz go? Przed wojną służył u Was jako dozorca, ale od tamtej pory powodziło mu się bardzo dobrze. Przyszedł pewnego dnia z wiadomością, że wierni niektórych parafii zamurują kaplice i ołtarze, żeby uniknąć zniszczenia ich przez antyklerykałów. Gdzieś zdobył cegły i cement i własnoręcznie postawił ścianę, którą potem pomalowaliśmy wspólnie. Wtedy byliśmy jeszcze w komplecie, byli wszyscy ci, których pamiętasz z ostatniego lata: Julián, Vicenta, Aurora i ja. Carmeli nie było, ponieważ zgodnie z Twoim poleceniem pojechała do Awinionu z małym Modestem, żeby odwiedzić go do domu Twojej kuzynki. Nie wróciła już i ślad po niej zaginął. Najprawdopodobniej pojechała do swojej wsi, gdzie chyba mieszkali jej już bardzo starzy rodzice.

Ale mówiłam o pokoju Violety. Zanim ściana zasłoniła drzwi, chciałam zostawić w pokoju kilka pamiątek: książkę w skórzanej okładce, z którą Teresa nigdy się nie rozstawała, mszał podarowany mi przez Twoją matkę, kiedy nauczyłam się czytać, oraz moje pudełko z pamiątkami. Wiem, że to tylko starocie, lecz pomyślałam, że ocalając je, ratuję pamięć o Violecie, kochaną pamięć po Twojej matce i kilka urywków historii rodziny, którą przez dużą część życia uważałam za swoją.

W ostatniej mojej relacji bez wątpienia nie uda Ci się odnaleźć żadnej informacji o biednej Lai. Miała zaledwie szesnaście lat, kiedy wybuchła wojna. Na pewno pamiętasz, że została z Tobą w Barcelonie. No cóż, nie było jej tam po naszym powrocie z Caldes, kiedy cudem ocaleni zjechaliśmy pod koniec lipca 1936 roku. Jej rodzice zawsze żywili nadzieję, że gdzieś przeżyła lub może dołączyła do jakiejś grupy rewolucjonistów. Nigdy im nic nie powiedziałam, ale zawsze byłam przekonana, że ktoś zabił ją, wiedząc, że została sama w domu i nie mogła się bronić, podobnie jak inne młode wspaniałe służące. Nie ujrzeliśmy jej nigdy więcej. Julián i Vicenta zmarli, nie mając wieści o córce, i wydaje mi się, że teraz są już pewnie wszyscy troje w niebie.

Później coraz częściej ludzie znikali i pojawiali się ponownie bez żadnego wyjaśnienia. Na przykład Higinio dołączył do oddziału milicji, doszedłszy do wniosku, że walka robotnicza oznacza lepszą przyszłość i że należy zwalczyć tych, którzy starali się podporządkować sobie robotników. W tych dniach zamordowano wiele ważnych osobistości i nie masz pojęcia, jak wiele razy dziękowałam Bogu, że pozwolił Ci uciec z tego piekła. Co jednak dziwne, Higinio wrócił po kilku miesiącach, pod koniec wojny, chociaż był już po stronie zwycięzców. Nigdy nam nie powiedział, w którym momencie zmienił przekonania, a my też nie pytaliśmy go o to. Szczerze mówiąc, nie obchodziło mnie to z powodu ogromnej radości, jaką poczułam na jego widok. Poza tym dobrych ludzi poznaje się po ich czynach. Higinio wkroczył do Barcelony z wojskami nacjonalistów i przy pierwszej nadarzającej się okazji przyszedł do domu, żeby się dowiedzieć, co się z nami dzieje. Razem z Aurorą przyjęliśmy go jak najlepiej

i podzieliłyśmy się z nim odrobiną jedzenia, jaka nam została. Opowiedziałyśmy mu, że Vicentę zabito na ulicy, kiedy niosła katalońską flagę i krzyczała separatystyczne hasła. A on uściskał nas i powiedział, że postara się, by reszcie nic się nie stało. I rzeczywiście! Był naszym aniołem stróżem i opiekunem domu. Załatwił nam pracę szwaczek i prasowaczek. Co tydzień przychodził z workami pełnymi ubrań, zabierał gotowe rzeczy i płacił gotówką. Nigdy nie pytałyśmy, skąd je przynosi, ale pracy było tak dużo, a on odwiedzał nas tak często, że pozwoliło nam to żyć spokojnie, chociaż ciężko pracując. Podczas tych częstych odwiedzin między Higinim i Aurorą narodziło się silne uczucie. Pobrali się dwa miesiące temu i miałam zaszczyt być świadkiem na ich ślubie. Teraz, kiedy bardzo podupadłam na zdrowiu, opiekują się mną jak własną matką. Mam wielkie szczęście, że Bóg mi ich zesał.

Nie tylko Higinio wrócił. Zrobiła to również Antonia. Chociaż obawiam się, że w tym wypadku niespodzianka nie była aż tak miła. Stała się wyższej rangi milicjantką. Nie masz pojęcia, jak ona krzyczała. Podejrzewam, że towarzysze brali ją za nawróconą zakonnice, a ona nie wyprowadzała ich z błędu. Pojawiła się dumna i rzucając pogrożki: albo się do niej przyłączymy, albo nas zabije i spali dom z nami w środku. Wpadła we wściekłość, widząc, że nie ma już co zabierać, ponieważ inni ją w tym uprzedzili. Nie zostawili nam nawet jednego garnka w kuchni. Julián stawiał jej czoło i jeden z jej towarzyszy zranił go w brzuch bagnetem. Pochowaliśmy go trzy dni później. A propos, na pogrzebie obecny był Twój brat Juan. Zjawił się nagle, ubrany w cywilne ubranie i tak wychudzony, żeśmy go nie poznali. Przez pierwsze lata wojny prześladowania jezuitów były bardzo wzmożone. Udało mu się przez jakiś czas ukrywać w domach nielicznych odważnych wiernych. Ale teraz sytuacja uległa zmianie i nie czuł się bezpiecznie w żadnym miejscu. Próbowaliśmy mu pomóc, lecz następnego dnia przyszli po niego dwaj księża i zabrali go ze sobą. Z tego co mówili, zamierzali wsiąść na statek płynący do któregoś z krajów południowoamerykańskich. Mam nadzieję, że im się udało.

Wśród republikańskich wojsk, które na trzy miesiące zrobiły sobie kwaterę główną z naszego domu, widywaliśmy znajome twarze. Niektórzy mówili, że byli pracownikami Fabryk Laxów, i patrzyli na wszystko z pełnym podziwu szacunkiem. Przynosili worki z pożywieniem, a ja byłam ich kucharką. Wieczorami śpiewali i pili na dawnym wewnętrznym dziedzińcu, zawsze wznosząc na końcu toast za Teresę patrzącą na nich tajemniczo z obrazu na ścianie. Pewnego dnia wyszli i nigdy już nie wrócili. Pozostała nam jedynie smutna cisza, dniami i nocami przerywana wyciem syren. Bywało – zwłaszcza w tym przeklętym 1938 roku – że nocą nie udawało nam się zmrużyć oka dłużej niż przez godzinę. Całe miasto żyło w strachu, z nieba i morza leciały bomby, czasami tak blisko, że słyszeliśmy krzyki rannych i płacz dzieci. Jedna z bomb uderzyła w wypełniony ludźmi tramwaj jadący przez plaza de Catalunya. Na głównych ulicach leżały sterty zwłok. Syreny co jakiś czas przerywały prowadzone między gruzami poszukiwania ludzi, którzy przeżyli. Wszyscy uciekali w przerażeniu, zostawiając umierających. Podobno to były włoskie samoloty. Kiedy to słyszałam, myślałam o Tobie i zastanawiałam się, co Włosi mają przeciwko. Dlaczego Barcelona musiała tyle wycierpieć, żeby ocaleć? Bomby, żalobę, kradzieże, pożary, wojnę, nędzę, upokorzenie i tyle łez.

Obecnie miasto wraca do wcześniejszego stanu, chociaż podzielone na dwie frakcje. Zwycięzcy obnoszą się ze swoim zwycięstwem. Pokonani pospuszczali głowy. Ja nie wiem, po której jestem stronie. Wiem jedynie, że należę do innej epoki. Niezbyt odległej, lecz na pewno minionej. I wiem, że wszyscy, którzy jak ja do niej należeli, bogaci i biedni, zostali pokonani.

Nie masz pojęcia, z jakim zaskoczeniem ujrzałam portret Teresy na ścianie dawnego dziedzińca. Tak bardzo siebie na nim przypomina, jej spojrzenie jest tak realne, że nadal przebiega mnie dreszcz, kiedy na nią patrzę. Pewnie Cię zainteresuje, że fresk nie jest uszkodzony, chociaż wiele nas to kosztowało. Nie mieliśmy okazji o tym porozmawiać, ale nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Nie rozumiem, jak Teresa mogła odejść w ten sposób, zostawiając tych, którzy byli jej najbliżsi: Ciebie i swojego syna. Gdybyś widział minę jej siostry, kiedy jej o tym powiedziałam po rozmowie z Tobą. Raczej nie była zdziwiona. Odparła: „To powinno było się wydarzyć już dawno temu”.

Następnie wydała się jakaś zaniepokojona. Usiadła w fotelu w ogrodzie i przez całe popołudnie do nikogo się nie odezwała. Wyjechała jeszcze tego samego wieczoru. Julián próbował ją zatrzymać, mówiąc, że jest zbyt niebezpiecznie, by samotna kobieta podróżowała samochodem. Ale go nie posłuchała. Miała przy sobie broń i czuła się bezpiecznie. Wtedy nikt nie rozumiał powagi wszystkiego, co wokół się działo. Dowiedzieliśmy się, że napadnięto ją przy wjeździe do Barcelony. Skradziono jej samochód i biżuterię. Gdyby nie wyjęła pistoletu, być może nic by jej się nie stało. Zagroziła jednak napastnikom pistoletem, a oni byli od niej szybsi.

Na koniec pozostaje mi tylko zapewnić Cię, że zrobiliśmy co w naszej mocy w tych tak trudnych czasach. Z pewnością jest tylko kwestią czasu, żeby dla Ciebie wszystko wróciło do dawnego porządku. Jest tu wiele osób, które czekają na Twój powrót, a ludzie Twojego stanu znów zaczynają prowadzić w mieście normalne życie. Ja oczywiście też na Ciebie czekam, lecz obawiam się, że nie dożyję Twojego powrotu. Gdyby los sprawił, że przeczytasz ten list, chciałabym, żebyś wiedział, że przez całe życie kochałam Cię jak własnego syna. Przez całe moje życie. Tak jak obiecałam Ci pewnego dnia czterdzieści jeden lat temu.

Niech Bóg Cię błogosławi, mój aniele.

Conchita

XXVI

Ach, czas, temat uniwersalny. Sprowadza zniszczenie na ludzi. Unicestwia skały. Inspiruje pisarzy. Nudzi duchy.

Z wielką radością uczestniczymy biernie w inauguracji muzeum. Jest tu wielu obcych chcących wygłosić mowę i wszechobecny tłum ciekawskich. Za odmalowanymi ścianami nie kryją się już żadne sekrety, a powiększone bezosobowe pokoje, które stały się rozległymi salami wystawowymi, oddają główną rolę wiszącym w nich obrazom.

Przechadzając się pomiędzy płótnami i zwiedzającymi, cieszymy się jak dzieci na widok Violety na samym środku sali. Tańczy, rozmawia, bije od niej blask. Nareszcie znajduje się w odpowiednim dla niej miejscu. Obok niej Fiorella Otrante ubrana w czarną koronkową sukienkę ociera łezkę, słysząc słowa podziękowania z ust polityków. Ciało jej matki, na zawsze piękne i młode, ukazuje się wszystkim na obrazach wystawionych w głównej sali. Obok portretów Teresy są główną atrakcją wystawy, powieszono po raz pierwszy razem, zgodnie z zamysłem dyrektorki muzeum, która wie, że w ten sposób oddana będzie sprawiedliwość. Jest tam również obecny Modesto trzymający pod rękę młodą blondynkę. Dalej Valérie i jej nauczyciel angielskiego. Silvana patrzy z zadowoleniem. Bliźniaki Iago i Rachel, poważne i podobnie jak my znudzone przemówieniami – duchy tak samo jak dzieci nie cierpią monologów – spoglądają na ojca, pytając go wzrokiem, jak to jeszcze długo potrwa. Daniel uśmiecha się i uspokaja ich bez słowa. Na tę okazję Arcadio przebiera się za eleganckiego mężczyznę. Ma na sobie ciemną marynarkę, świetnie pasującą do szarych spodni, a krawat współgra z kolorem jego butów. Dla niego ta pretensjonalna nudna ceremonia oznacza kulminację długiej walki, której poświęcił życie, a przy okazji zdrowie. Kiedy przejdzie granicę, która jeszcze go od nas dzieli, znajdziemy sposób, żeby wyrazić mu wdzięczność.

Z dziedzińca nieobecna Teresa, z powrotem na swoim miejscu, czuwa nad śmiertelnikami. Zdaje się myśleć: „Biedne istoty niezdolne do nieśmiertelności”. „Pamięć naszych potomków jest krucha”, szepczemy chórem z wdzięcznością, że cokolwiek, nawet coś tak drobnego i fikcyjnego jak fabuła powieści, wspomni o naszym istnieniu na tym świecie.

A teraz najprościej byłoby pozwolić, żeby czas płynął zgodnie ze wskazówkami zegara. Tyle że wskazówki przyszłości przesuwały się spokojnie, a my przyzwyczajeni jesteśmy do silnych emocji. Wolimy wprowadzić zamęt w kalendarzu. Cofnąć czas. W ramach obmyślenia odpowiedniej dla nas rozrywki sporządzić dokładną inwentaryzację, spisać każdy drobiazg. Nazwijmy to „zabawą w odkładanie wszystkiego na dawne miejsce”. Gotowi, do startu...

Po eleganckiej ceremonii inauguracyjnej przez kolejne dwieście sześćdziesiąt trzy dni robotnicy wypełniali budynek hałasem, rusztowaniami i różnymi językami. Po ich odejściu pokój Violety jest ponownie zamurowany i ukryty, a wszystkie jej tajemnice dobrze zabezpieczone na długi czas, jaki przetrwają. Suknie i buty z każdym dniem odzyskują odrobinę blasku, który straciły z upływem czasu. Teresa powraca do swojego zamkniętego i znów niewidocznego grobu, pilnując dawnego dziedzińca, ze ścian znikają odpryski po farbie, a coraz młodsze mury domu są coraz bardziej wilgotne. Potem następuje trzysta tysięcy dni samotności przerywanej jedynie od czasu do czasu jakimiś wścibskimi odwiedzinami, które nie pozwalają nam włóczyć się tu bez celu. Nie mamy na myśli Arcadia. Jego znamy i uważamy, że jest sympatyczny. Lubimy robić zakłady, jak będzie ubrany. W równym stopniu żałujemy, że nie przywiązuje wagi do swojego wyglądu, jak jesteśmy mu wdzięczni za niezwykłą

u ludzi konsekwencję. Arcadio jest jednym z nas. Nie, nam przeszkadzają grubi politycy, którzy chodzą na przyjęcia, ale nie mają pojęcia o niczym. Uwielbiamy psuć im plany, chociaż nasze możliwości – wbrew temu, co myślą ludzie – są w tym zakresie bardzo ograniczone. I nagle znajdujemy się w czasie czuwania przy zwłokach Amadea Laxa i my, duchy, cieszymy się, że dołączy do naszego klubu kolejny członek, lecz nagle zmarły ożywa, otwiera oczy, wstaje ze zdziwieniem i zaczyna chodzić po zakurzonej pustym salonie z kominkiem, czując się równie pusty i zakurzony. Nie dziwi to nikogo, skoro czeka go w przyszłości ponad trzydzieści lat w zamknięciu. Z trudem oddycha, kaszle, sapie. Jego skóra ma żółtawy odcień. Powoli mu się polepsza, zamyka na chwilę oczy, czuje się zmęczony i słaby, pragnie śmierci, która nie nadchodzi, nudzi się. Tak właśnie wygląda samotne życie Laxa po jego powrocie. Zamkniętego na swoim poddaszu, zmęczonego wspomnianiem tego, kim był, i czekaniem na swój koniec. Mało myśli, ponieważ odkrył, że robienie tego doprowadza go do szaleństwa. Uczy się żyć bez wspomnień. Pod wpływem bolesnego oczekiwania podejmuje decyzję: zacznie ponownie malować i będzie to robił do końca. Szuka pędzli i palet w podniszczonych skrzyniach, w których je schował, i po raz pierwszy od bardzo dawna ponownie oddaje się swoim obsesjom. Ogarnięty niepojętym strachem rozpina pierwsze płótno, maluje pierwszy obraz w życiu, które toczy się w odwrotną stronę, aż w końcu spogląda na płótno i odkrywa na nim trupi potworny autoportret. Właśnie tym się stał. Nie ma przyszłości dla kogoś takiego, mówi do siebie.

Mimo wszystko prędko dochodzi do siebie i w miarę jak powraca jego malarski talent, powracają także siły. Zastanawia się, jak można żyć bez malowania. Wspomnienia blakną, ale wystarczą mu do tego, żeby pokrywać plamami kolejne płótna. Teresa jest wszechobecna na tym etapie jego późnej dojrzałości. Jedynie on wie, jak drogo zapłacił za swoją zbrodnię. Nie jest ważne, że według ludzkiego prawa uległa już przedawnieniu, ponieważ jego osądzi tylko Bóg, a kara będzie wieczna i przykładna. Lecz on jest bardziej bezwzględny od Boga. Nigdy sobie tego nie wybaczy.

Mijają następne trzysta pięćdziesiąt dwa miesiące bez zmian. Dziesięć tysięcy dni. Dwadzieścia dziewięć lat. Nie ma znaczenia jednostka, jakiej użyjemy, żeby obliczyć czas, ponieważ upływa zawsze nieubłagane. W tym okresie Amadeo prawie nie wychodzi z domu, posłusznie poddaje się opiece młodej milczącej gospodyni, która w zasadzie tylko dla niego gotuje. Nie przypomina dawnych służących, ma własny dom, przychodzi co rano i wychodzi po południu. Amadeo prawie nigdy nie je kolacji, ponieważ martwi go już sama myśl o tym, że musiałby zejść cztery piętra w dół, by otworzyć lodówkę. Siedzi na poddaszu, grzejąc się piecykiem w zimie i korzystając z cudownej klimatyzacji latem – jedynej nowoczesnej rzeczy, której razem z meblami pozwolił wprowadzić się do swojego życia. Kiedy pojawia się Arcadio, artysta każe dziewczynie posprzątać trochę w dawnym gabinecie i wstawia do niego dwa fotele wyglądające na antyki, choć fałszywe, podobnie jak tak wiele innych rzeczy w jego życiu. Właśnie tam, pod spojrzeniem Teresy, odbywa pierwsze spotkanie z bystrym sympatycznym studentem akademii sztuk pięknych. Również od czasu do czasu spotyka się z Trescentsem – który jest już smutnym rozgoryczonym starcem – i prowadzi z nim długie rozmowy, podejmując wiele decyzji, których zawsze chciał uniknąć. W tym samym miejscu pewnego dnia czyta list na papierze firmowym Towarzystwa Jezusowego przysłany z Peru. Zawiadamia się w nim, że ojciec Juan zmarł na malarię w miejscowości Aucaya w Amazonii. Po krótkim streszczeniu okoliczności śmierci następują kondolencje i polecenie opiece Boga. Na liście widnieje rok 1963, choć opisane w nim wydarzenie wydaje się wcześniejsze. Nie podano konkretnych dat.

Z dnia na dzień kilku robotników w niebieskich kombinezonach wynosi tych kilka mebli, które pozostały w domu. Przybity Amadeo Lax zbiera parę swoich rzeczy i wkłada je do małej walizki. W miarę jak idzie na dół po schodach, jego stopy odciskają się w warstwie nienaruszonego kurzu, który pokrywa wszystko. W jego oczach znów widać ból, kiedy wychodzi na dziedziniec dla powozów

i rozpoznaje ślady po pożarach, popękane mury, puste kuchnie i porzucone w kącie koło, jedyne go świadka jego wyrafinowanych zachcianek z innych czasów. Stojąc tam, czyta długi list napisany osobiście przez jego ukochaną Conchitę. Jedyne drżenie kartek zdradza jego wzruszenie. Następnie chowa list do koperty, dokładnie ją zamyka i patrzy na nią przez dłuższą chwilę. „Adresat nieznany, odesłano do nadawcy”, czyta na odwrocie. Adresatem jest on, a list wysłano do rzymskiego Grand Hotelu. Rzuca kopertę na ziemię i ukrywa ją między wszechobecnymi śmieciami – suchymi liśćmi, resztkami jedzenia, truchłami zwierząt... – w taki sposób, że wystaje jedynie jej róg. Patrzy na niego ze zdumieniem, po raz ostatni rozgląda się wokół, wzdycha i odchodzi spokojnym krokiem, niknąc w słonecznym poranku. Kiedy ponownie go ujrzemy, minie dziewięć lat, a on będzie o wiele bardziej przypominał siebie.

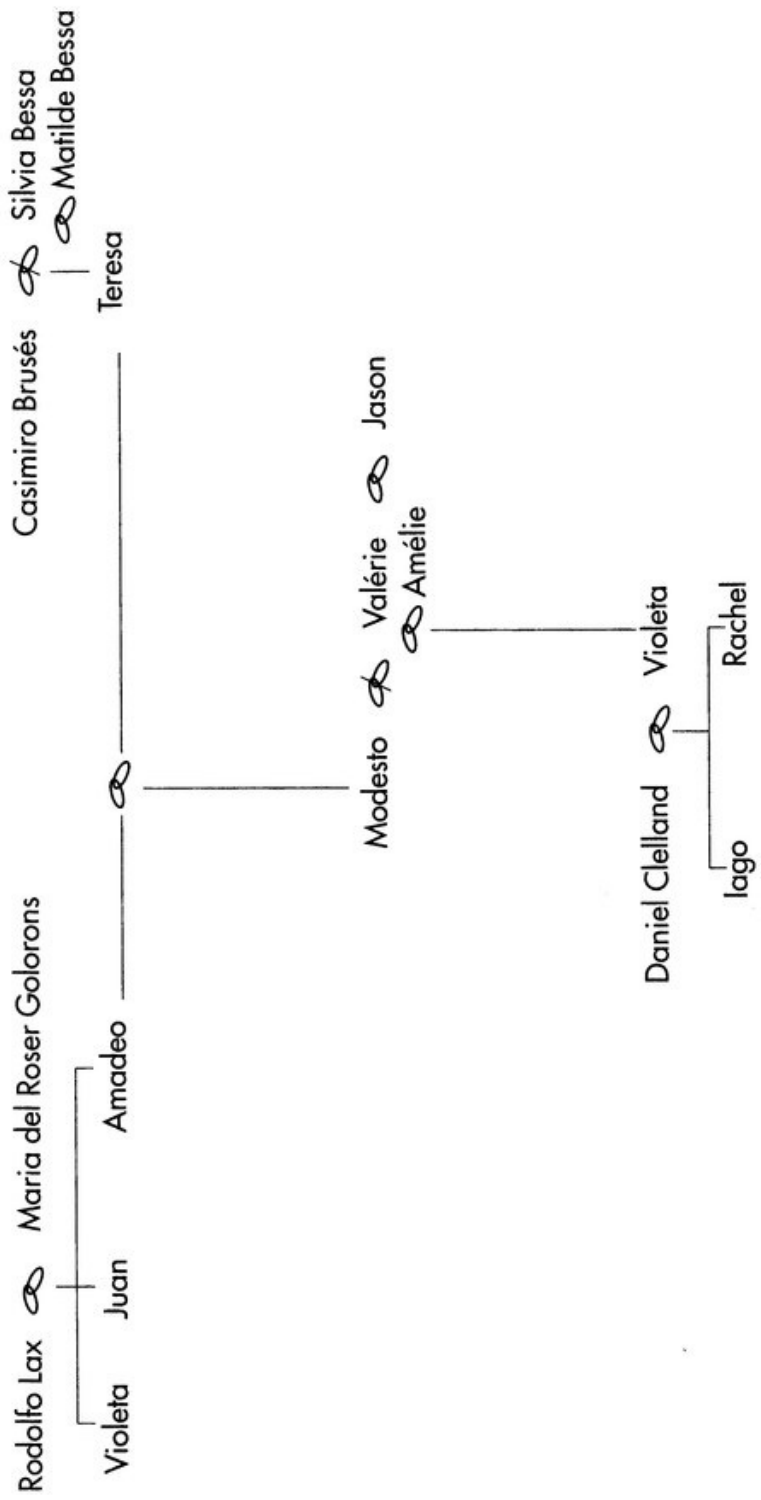
W tym okresie następuje kataklizm, który zmiata wszystko, co napotka na swej drodze. Powracają znajome twarze, wypełniając przestrzeń głosami i wojennymi okrzykami. Dochodzi do napadów, na dziedzińcu dla powozów leżą stosy książek z biblioteki. Zdarzyły się też rozboje, gwałty i morderstwa. Pojawiają się obcy, którzy pozostawiają po sobie wytarte fotele z żółtego aksamitu. Inni oddają dywany, fortepian z kubańskiego drewna, lampy, gramofon, ubrania czy biurka. Grupa uzbrojonych krzykaczy nadjeżdża luksusowymi samochodami pana Laxa i po kolei odstawia je na swoje miejsce. Pozostają służący przerażeni odgłosem bomb i wiadomościami o strasznych mordach i rewoltach. Również ten widok rozplywa się stopniowo, służący wychodzą i wszyscy czekamy na zamknięcie drzwi po raz ostatni przez Amadea.

Trzaśnięcie drzwiami rozlega się jak dalekie echo, przez pokoje przebiega straszny trzask, który zapowiada zmianę czasu, koniec i początek wielu rzeczy, aż w końcu wybucha przeraźliwie jak grzmot w samym środku kamiennych murów.

I moglibyśmy brnąć tak dalej, tańcząc w nieskończoność.

Przywołać do życia Teresę, odmłodzić Laię i zwrócić ją matczynemu łonu, wpuścić z powrotem promienie słoneczne na dziedziniec wewnętrzny i zasadzić różane krzewy i bluszcz, pozwolić wrócić Antonii i ożywić Marię del Roser, ponownie pójść do ślubu, oddać małą Teresę Brusés jej zwariowanej rodzinie, żywić nadzieje na pogodzenie się braci, sprawić, żeby don Rodolfo powrócił z klasztornego dziedzińca sióstr hieronimitek, zamówić litry perfum, którymi Rorró skrapiała sobie dekolt, by otumanić swojego męża, wyczyścić na błysk meble i zasłony, podziwiać przepych żółtego aksamitu foteli w salonie, a na koniec położyć każdy najmniejszy przedmiot na swoje miejsce, rozebrać ściany cegła po cegle i pozostawić to miejsce pustym i niezamieszkanym tak jak wtedy, kiedy don Rodolfo Lax Grey, człowiek spoglądający w przyszłość, po raz pierwszy zatrzymał się tutaj, zmarszczył czoło i wyobraził sobie, jak będzie wyglądał jego dom.

Niniejsza powieść została napisana w Mataró, Madrycie, Turégano i Como między kwietniem 2009 a listopadem 2010 roku.



Spis postaci

(Postacie podkreślone istniały naprawdę)

Albert Despujol, Josep Maria (1886–1952). Baron de Terrades, polityk monarchista, przemysłowiec i burmistrz Barcelony w epoce frankistowskiej. W 1909 roku ożenił się z Marią del Carmen Muntadas i Estruch, dziedziczką właściciela przedsiębiorstwa włókienniczego La España Industrial, którego był dyrektorem. Uciekł z republikańskiej Barcelony w 1936 roku, znalazł schronienie we Włoszech, a następnie w Sewilli przyłączył się do tzw. Alzamiento Nacional.

Aldo. Mąż Silvany Gentile, lekarz z Nesso.

Alexia. Kuzynka Amadea Laxa. Wychowywała Modesta Laxa od czwartego roku życia aż do wieku dorosłego.

Alfons XIII (Madryt, 1886 – Rzym, 1941). Król Hiszpanii od urodzenia aż do ogłoszenia II Republiki w 1931 roku. Syn Alfonsa XII i jego drugiej żony, Marii Krystyny Austriackiej (królowej regentki do 1902 roku, kiedy to jej syn osiągnął pełnoletniość), ożenił się w wieku dwudziestu lat z Wiktorią Eugenią Battenberg. Wyjechał z kraju po wyborach w 1931 roku.

Amélie. Osobista asystentka Modesta Laxa Brusésa, ojca Violety, a następnie jego druga żona.

Antonia. Niania Teresy Brusés i jej siostr, a od 1928 r. pokojówka i prasowaczka w domu Laxów.

Aurora. Służąca w domu Laxów. Później żona Higinia.

Bassegoda, Ramón. Bassegodowie byli rodziną architektów, polityków i uczonych żyjącą w początkach XIX wieku, z czasem stali się autorytetami w kwestii dzieł Gaudiego. Postać ta jest zlepkiem powstałym na bazie biografii niektórych członków tego rodu.

Bastardas, Albert (1871–1944). Barceloński adwokat i polityk, członek partii Partit Republicà Autonomista, z której ramienia w 1908 roku został mianowany zastępcą burmistrza Barcelony. Opuścił kraj po rozwiązaniu przez dyktatora Prima de Riverę Związku Katalońskiego, w którego tworzeniu brał aktywny udział. Wrócił do Barcelony po ogłoszeniu II Republiki, a w 1932 roku został deputowanym do katalońskiego parlamentu. Po zakończeniu wojny domowej w 1939 roku opuścił kraj.

Bessa, Matilde (1832–1919). Druga żona don Casimira Brusésa, ciotka Silvii.

Bessa, Silvia (1874–1907). Pierwsza żona don Casimira Brusésa. Matka jego siedmiorga dzieci, między innymi Luisy, Marii, Silvity, Tatín i Teresy.

Brusés, Casimiro (1868–1905). Ojciec Teresy Brusés. Kupiec tytoniowy i wełniany. Zginął w katastrofie transatlantyku „Príncipe de Asturias”. Wydarzenie to zostało umieszczone w powieści kilka lat wcześniej od jego prawdziwej daty, 5 marca 1916 roku. W katastrofie zginęło 457 osób.

Brusés, Luisa. Siostra Teresy Brusés. Czwarta z rodzeństwa.

Brusés, María. Siostra Teresy Brusés. Piąta z rodzeństwa.

Brusés, Silvita. Siostra Teresy Brusés. Szósta z rodzeństwa.

Brusés, Tatín (1897–1936). Siostra Teresy Brusés. Trzecia z rodzeństwa.

Brusés Bessa, Teresa (1907–1936). Najmłodsza z córek Casimira Brusésa i Silvii Bessy. Żona i muza Amadea Laxa.

Canals Ambrós, Francesc (1877–1899). Znany powszechnie jako Santet del Poblenou, pochowany na Cmentarzu Wschodnim w Barcelonie, jego grób jest obiektem kultu. Prawdopodobnie pracował

w Wielkich Domach Towarowych El Siglo.

Carmela. Pokojówka w domu Laxów od 1890 roku.

Clelland, Daniel (ur. 1965). Mąż Violety Lax Rahal. Pisarz.

Conde Jiménez, Eduardo (1838–1914). Urodzony w Madrycie, w bardzo młodym wieku wyemigrował do Hawany, gdzie rozpoczął karierę handlową. Po objechaniu całego świata i zdobyciu znakomitego wykształcenia z zakresu finansów poznał swojego przyszłego wspólnika Pabla Puerta oraz ojca swojej przyszłej małżonki Dionisia Gómeza, który był wówczas jednym z najślynniejszych przedsiębiorców na świecie. Po zawarciu związku małżeńskiego z Cecilią Gómez del Olmo rodzina przenosi się do Hiszpanii i wybiera Barcelonę, żeby założyć w 1881 roku sklep z bielizną, który pod nazwą Conde, Puerto y compañía miał swoją pierwszą siedzibę przy Rambli de Santa Mónica. Później firma rozrasta się i przenosi na Ramblę de los Estudios, gdzie od 1921 roku zmienia nazwę na Wielkie Domy Towarowe El Siglo. Człowiek interesujący się kulturą, był wielkim mecenasem sztuk i pod wieloma względami wyprzedzał swoje czasy. Jego zainteresowania spirytystyczne są jednak fikcją stworzoną na potrzeby powieści. Miał wiele dzieci, niektóre dalej prowadziły rodzinne przedsiębiorstwo.

Conde Gómez del Olmo, Octavio (1899–1932). Syn Eduarda Condego Giméneza oraz Cecylii Gómez del Olmo. Fikcyjny dyrektor Wielkich Domów Towarowych El Siglo.

De la Cuadra, Emilio (1859–1930). Przedsiębiorca z Walencji, założyciel Hiszpańskiego Głównego Towarzystwa Automobilowego E. de la Cuadra, Spółka komandytowa. Pracował nad rozwojem pojazdów napędzanych silnikami elektrycznymi. Po niepowodzeniu w produkcji jednego z jego omnibusów przeznaczonego dla hotelu Colón w Barcelonie ponownie wstąpił do wojska, gdzie awansował do stopnia generała brygady. Pewne składniki jego firmy przejął jeden z głównych wierzycieli (J. Castro), zapoczątkowując markę Castro, przy której pracować będzie Mark Birkigh i następnie wraz z Damianem Mateu utworzy znaną markę Hispano-Suiza.

Domingo Soler, Amalia (1835–1909). Niskiego pochodzenia jedna z pionierek spirytyzmu w Hiszpanii, założycielka czasopisma „Światło Przyszłości” oraz obrończyni praw kobiet i wolności religijnej. W latach 70. XIX wieku prowadziła za pośrednictwem mediów żarliwą polemikę z duchownym Vicentem de Manterolą, który uważał, że spirytyści są nawiedzeni przez szatana. W samym tylko 1880 roku napisała 125 artykułów. Uczestniczyła aktywnie w I Kongresie Spirytystycznym, który odbył się w Barcelonie we wrześniu 1888 roku.

Estruch, Josep. Pochodzący z bogatej rodziny syn postępowego senatora, był dyrektorem Banco de Barcelona w 1920 roku w momencie bankructwa tej instytucji. Rządząca junta obwiniła go o tę upadłość.

Eutimia. Ochmistrzyni domu Laxów w latach 1880–1919.

Espelleta Torres, Montserrat (1895–1930). Robotnica w Przędzalni Laxa od dziewiątego do osiemnastego roku życia, kiedy zadebiutowała na estradzie. Pod pseudonimem Pięknej Olimpiii na scenach Salón Doré czy Arnau odnosiła triumfy w Barcelonie w czasach poprzedzających wystawę światową 1929 roku.

Gambús, doktor (1856–1922). Lekarz rodziny Laxów.

Gentile, Silvana (ur. 1971). Córka Fiorelli Otrante. Żona Alda i matka dwojga dzieci.

Golorons, Maria del Roser (1866–1932). Dziedziczka imperium tekstylnego z Mataró – Manufaktur Goloronsów, wyszła za mąż za Rodolfa Laxa w 1888 roku. Matka Amadea, Juana i Violety.

Golorons, bracia. Bogaci przemysłowcy tekstylni z miasta Mataró, posiadający dom przy calle de La Riera – głównej ulicy miasta – oraz letnią posiadłość w Argentynie. Ojciec i wuj Marii del Roser Golorons.

Güell, Eusebi (1846–1918). Przemysłowiec i polityk kataloński, zięć markiza de Comillas. Zbił majątek na Kubie i po powrocie otworzył kilka fabryk. Jego nazwisko znane jest na całym świecie dzięki mecenatowi roztoczonemu nad architektem Antonim Gaudím.

Jason. Drugi mąż Valérie Rahal – jej były nauczyciel angielskiego – i ojczym Violety.

Juanita. Kucharka w domu Laxów. Żona szofera Felipego i matka Juliána, który objął funkcję po ojcu.

Laguarda i Fenollera, ekscelecja (1866–1913). Biskup Barcelony od 1909 roku, mianowany przez papieża Piusa X. Według niektórych współczesnych kronikarzy był człowiekiem zaangażowanym politycznie, otwarcie wyrażającym swoje poglądy i mającym reputację świętego.

Lax Frey, Rodolfo (1860–1909). Urodzony w Vic, bardzo szybko sprzedaje spadek i przenosi się do Barcelony, gdzie staje się jednym z twórców rozwoju i dobrobytu miasta. Żeni się z Marią del Roser Golorons w 1888 roku. Ojciec Amadea, Juana i Violety.

Lax Brusés, Modesto (ur. 1932). Syn Teresy Brusés i Amadea Laxa. Wykładowca uniwersytetu w Awinionie specjalizujący się w teatrze, ekspert od Bertolta Brechta.

Lax Golorons, Amadeo (1889–1974). Pierworodny syn Marii del Roser Golorons i Rodolfa Laxa. Światowej sławy malarz, przedstawiciel ruchu novecentisme. Ojciec Modesta.

Lax Golorons, Juan (1894–1963). Młodszy syn Marii del Roser Golorons i Rodolfa Laxa.

Lax Golorons, Violeta (1898–1914). Młodsza córka Marii del Roser Golorons i Rodolfa Laxa.

Lax Rahal, Violeta. Córka Modesta Laxa i Valérie Rahal. Specjalistka od twórczości Amadea Laxa.

López Bru, Claudio (1853–1925). Drugi markiz de Comillas, syn Antonia Lópeza Lópeza i posiadacz jednej z największych fortun epoki. Był właścicielem Hiszpańskiego Towarzystwa Transatlantyckiego, Filipińskiej Kompanii Tytoniowej, Kolei Północnych. Zmarł bezdzietnie.

Macià, Francesc (1859–1933). Wojskowy i polityk republikański, zwolennik niepodległości katalońskiej oraz przewodniczący Generalitat de Catalunya (rządu autonomicznego) w latach 1931–1933. Założyciel partii Estat Català i Esquerra Republicana de Catalunya. Na zesłaniu w czasie dyktatury Prima de Rivery, której otwarcie się przeciwstawiał. Proklamował Republikę Katalońską jako część hiszpańskiej federacji 14 kwietnia 1931 roku. Kiedy ten projekt upadł, negocjował i był autorem pierwszego Statutu Autonomicznego Katalonii.

Mallais, Margot (1962–2010). Piosenkarka i kompozytorka, bardzo popularna w latach 90. XX wieku w Hiszpanii i Francji.

Higinio. Dozorca w domu rodziny Laxów od 1922 do 1936 roku. Następnie wojskowy i mąż Aurory.

Martínez Cruces, Concha (1870–1941). Mamka, niańka, dama do towarzystwa u Laxów od 1890 roku aż do swojej śmierci.

Maura, Antonio (Palma de Mallorca, 1853 – Torrelodones, 1925). Hiszpański polityk. Pięciokrotny prezes Rady Ministrów w latach 1903–1921.

Montull, Felipe. Szofer Laxów od 1889 do 1903 roku. Ojciec Juliána, męża Vicenty.

Montull, Julián. Szofer Laxów od 1900 roku aż do wybuchu wojny domowej.

Montull Serrano, Laia (1920–2010). Córka Vicenty Serrano i Juliána Montulla. Pokojówka Laxów.

Muñoz Seca, Pedro (1879–1936). Hiszpański pisarz i dramaturg, autor sztuk bardzo popularnych w tamtej epoce. Jego najbardziej znanym dziełem jest *Zemsta don Menda*. Konserwatysta, napisał kilka komedii krytykujących rząd II Republiki. Wybuch wojny domowej zaskoczył go w Barcelonie, gdzie uczestniczył w premierze swojej komedii *Głupia panna z loczkiem*. Został zatrzymany na plaza de Catalunya, przewieziony do Madrytu i rozstrzelany kilka dni później przez siły republikańskie w czasie masakry w Paracuellos del Jarama.

Olimpia – patrz Espelleta Torres, Montserrat.

Otrante, Fiorella (ur. 1938). Włoska dziedziczka, córka Eulalii Montull i matka Silvany Gentile.

Paredes. Sierżant barcelońskiej policji (*mossos d'esquadra*).

Pérez, Arcadio (ur. 1947). Osobisty sekretarz Amadea Laxa od 1968 roku. Przyjaciół rodziny.

Plandolit, José Rafael. Barceloński przedsiębiorca, wspólnik Manuela Girony w Banco de Barcelona.

Primo de Rivera, Miguel (1870–1930). Hiszpański wojskowy, polityk i dyktator, 2. markiz de Estella, 7. de Sobremonte oraz grand hiszpański. Był dowódcą okręgu wojskowego w Walencji, Madrycie i Barcelonie. Za aprobatą Alfonsa XIII i przy wsparciu Kościoła, wojska i siły konserwatywnych stanął na czele rządu wojskowego, który powierzył mu władzę w państwie. Ostatecznie został jej pozbawiony przez króla i wysokich rangą wojskowych, złożył dymisję w 1930 roku i uciekł do Paryża.

Puig i Cadafalch, Josep (1867–1956). Architekt, historyk sztuki i polityk urodzony w Mataró, mieście, którego był architektem miejskim przez pięć lat. Uważany za ostatniego architekta modernistycznego i pierwszego przedstawiciela ruchu novecentisme. Autor symbolicznych budynków, jak również barceloński radny, prezydent Związku Katalońskiego w 1917 roku i regionalny deputowany (w latach 1913–1924).

Rahal, Valérie. Matka Violety Lax i żona Jasona.

Rosalía. Prasowaczka u Laxów od 1890 do 1925 roku.

Sanllehy Alrich, Domingo (1847–1911). Burmistrz Barcelony w latach 1906–1909. Markiz de Caldes de Montbui. Właściciel ziemski, adwokat i finansista. Uczestniczył w zakładaniu szkół świeckich i rozpoczął przebudowę starej części Barcelony.

Samà, Salvador de (1861–1933). Polityk liberalny, grand hiszpański i dożywotni senator. Był dwukrotnie burmistrzem Barcelony: w latach 1905–1906 oraz 1910–1911. Miał pałac w stylu orientальnym przy Paseo de Gracia, róg Gran Vía. Był właścicielem terenów, na których znajduje się park Güella – sprzedał je Eusebiowi Güellowi w 1899 roku.

Selvas, Ricard. Architekt odpowiedzialny za projekt Biblioteki Amadea Laxa.

Serrano, Vicenta (1889–1937). Kucharka Laxów od 1910 roku, kiedy zastąpiła Juanitę, aż do wybuchu wojny domowej.

Torres-Solanot, wicehrabia de (1840–1921). Antonio Torres-Solanot y Casas. Brał aktywny udział w rewolucji 1868 roku jako sekretarz junty rewolucyjnej w Huesce. W 1871 roku wdraża się w spirytyzm, tworząc czasopismo „El progreso espiritista”. Od roku 1872 prezes hiszpańskiego Towarzystwa Spirytystycznego. Wydał kilka książek i prac na temat spirytyzmu. Wraz z Fabianem Palasím Martínelem otwierał w Hiszpanii pierwsze szkoły świeckie. Zmarł jako kawaler.

Urgell, Modest (1839–1919). Malarz i dramaturg kataloński, znany ze swoich wiejskich katalońskich pejzaży oraz obrazów przedstawiających cmentarze, bardzo sławnych pod koniec XIX wieku. Od 1894 roku wykładał pejzaż w Escuela de la Lonja w Barcelonie. Cieszył się dużą popularnością, odniósł sukces komercyjny. Pracował również w teatrze jako impresario, scenograf i dyrektor.

Viñas, Francesc (1863–1933). Tenor urodzony w Moiá. Zadebiutował w Mataró w 1888 roku oraz tego samego roku w barcelońskim Gran Teatre del Liceu, a w następnym w mediolańskiej La Scali, później koncertował w najsłynniejszych europejskich i amerykańskich operach. Specjalizował się w kilku dziełach Wagnera. Na krótko przed odejściem na emeryturę w 1918 roku wstąpił się wykonaniem Wagnera po katalońsku.

Wiktoria Eugenia (1887–1969). Wnuczka angielskiej królowej Wiktorii. Hiszpańska księżna małżonka dzięki swojemu małżeństwu z Alfonsem XIII.

Vives, Miguel (1842–1906). Założyciel Towarzystwa Spirytystycznego w Vallés, z którego wywodzi się Katalońskie Towarzystwo Spirytystyczne. Zwany Apostołem Dobra za posiadanie tej wspaniałej

cechy.

Walden, Drina. Asistentka Violety Lax.

Komentarz autorki i podziękowania

Chciałabym wyjaśnić, że *Zamknięte pokoje*, chociaż osadzone w realiach historycznych, to powieść całkowicie zmyślona. Amadeo Lax i jego rodzina są fikcyjnymi bohaterami, podobnie jak wszystko, co zostało w powieści przypisane rządowi autonomicznemu i Museu Nacional d'Art de Catalunya (MNAC). Fikcyjne są także wszelkie publikacje opisujące obrazy Laxa lub losy jego spuścizny artystycznej. Jednakże wymienione muzea istnieją naprawdę, będąc bezsprzecznie interesującymi miejscami mieszczącymi w swoich wnętrzach zbiory z epok, o których piszę. Również Octavio Conde jest postacią fikcyjną, chociaż jego rodzina istniała naprawdę. Rodzina Conde założyła pod koniec XIX wieku Wielkie Domy Towarowe El Siglo, modelowe przedsiębiorstwo w swojej branży, będące prekursorem pozostałych hiszpańskich domów handlowych oraz prawdziwą instytucją dla barcelończyków. Zatrudniało tysiąc pięciuset pracowników. Domy towarowe spaliły się rankiem pierwszego dnia świąt 1932 roku. Oficjalną przyczyną pożaru było zwarcie, które nastąpiło w kolejce w jednym z okien wystawowych. Nie było ofiar śmiertelnych. Obiekt odbudowano w rekordowym czasie, w nowej lokalizacji przy calle Pelai, jednak niebawem wojna domowa, później druga wojna światowa oraz następujące głębokie zmiany społeczne nie pozwoliły odzyskać mu dawnego splendoru. Faktem jest również zatonięcie statku parowego „Príncipe de Asturias” i śmierć Casimira Brusésa, chociaż w rzeczywistości katastrofa miała miejsce nieco później, niż pozwoliłam sobie opisać w książce – 6 marca 1916 roku.

Stowarzyszenie spirytystyczne zbierające się w środowe wieczory w bibliotece Laxów nie istniało naprawdę, ale istniały podobne, na przykład Towarzystwo Spirytystyczne Ludzkie Bractwo z siedzibą w Sabadell, któremu przewodniczył Miguel Vives. Co ciekawe, stowarzyszenie to, wzorujące się na podobnych amerykańskich i angielskich, również spotykało się w środy. Spirytyzm był prądem duchowym i ideowym, który głęboko się odcisnął na hiszpańskim społeczeństwie pod koniec XIX wieku. Miał licznych zwolenników, w wielu miastach powstały stowarzyszenia – pionierami były miasta Andaluzji. W 1882 roku stworzono podwaliny pod to, co nieco później stanie się Hiszpańską Federacją Spirytystyczną, a w roku 1888 w Barcelonie odbył się I Międzynarodowy Kongres Spirytystyczny. Pojawiło się również wiele czasopism, wśród których wyraźnie prym wiodło „La luz del porvenir” pod redakcją Amalii Domingo Soler. W innych krajach prąd ten miał sławnych zwolenników, takich jak pisarze Arthur Conan Doyle czy Victor Hugo. Ten ostatni wypowiedział słowa, które ukazują się podczas automatycznego pisania Francesca Canalsa w rozdziale XV. Ostre kampanie potępiające spirytystów, organizowane przez Kościół katolicki, naruszyły publiczny wizerunek tych intelektualistów jeszcze przed powstaniem II Republiki, ale definitywnie ze zwolennikami tego ruchu rozprawił się frankizm. Spirytyści pozostali w ukryciu przez pięćdziesiąt lat i w styczniu 1984 roku ponownie zorganizowali kongres w Terrassie w aglomeracji barcelońskiej.

Francesc Canals Ambrós, znany jako „el Santet del Poblenou”, jest czczony jak święty na barcelońskim Cmentarzu Wschodnim, chociaż nigdy nie doczekał się kanonizacji. Jego obłożony wotami i kwiatami grób od dziesięcioleci jest najczęściej odwiedzanym miejscem na tym cmentarzu.

Opis pożaru Wielkich Domów Towarowych El Siglo został zapożyczony prawie w całości z relacji opublikowanej w dzienniku „La Vanguardia” z 27 grudnia 1932 roku. Pozwoliłam sobie jedynie trochę go skrócić, dodać dramatyzmu zawaleniu się schodów – do którego doszło, tyle że nie w obecności służb ratowniczych – oraz dodać pojawienie się fikcyjnego członka rodziny Conde, Octavia. Co do

pozostającej części nie mogłam oprzeć się pokusie oddania hołdu anonimowemu kronikarzowi, który przedstawił swoim współczesnym szczegółowy opis chaosu i destrukcji.

Podróż Alfonsa XIII w 1908 roku – z wyjątkiem przeziębienia i omdlenia, które prowadzą go do domu Laxów – opisano w całości w relacjach prasowych. Z nich właśnie dowiedziałam się, że król miał wiele powodów, żeby zasłać podczas objazdu Katalonii. Aktywność Alfonsa XIII w czasie podróży była tak intensywna, a wyjazdy do stolic prowincji tak liczne, że w tamtych czasach zyskał przydomek „El Cametes” („Cienkonogi”).

Klasztor Montesión, obecnie w Esplugues de Llobregat, znany jest ze swojego koczowniczego charakteru. Wywodzi się z dawnego klasztoru, aktualnie mieszczącego się na calle de Montsió, który przez wieki zajmował tereny w pobliżu Via Laietana. W 1866 roku postanowiono uratować go i przenieść kamień po kamieniu na Ramblę de Catalunya, gdzie budynki klasztorne zrekonstruowano i zwrócono zakonnikom. Klasztor, zamieniony w kościół parafialny Świętego Rajmunda z Penyafort, bez szwanku przetrwał Tragiczny Tydzień, a nawet wojnę domową, lecz po jej zakończeniu zakonnice nabyły nowy teren w Esplugues i przenieśli się tam ze swoimi murami. Tym razem jednak mogły zabrać jedynie dziedziniec wewnętrzny, ponieważ władze miejskie nie zezwoliły na przeniesienie siedziby parafii.

Vincenta śpiewa fragmenty *La pulga* – kupletu śpiewanego w Hiszpanii najpierw przez Pilar Cohen, nieco później rozślawionego przez Bellę Chelito – a Olimpia *Batallón de modistillas* (Batalion subrotek) autorstwa Alvara Retana y Aquina, śpiewaną przez La Troyanę w 1915 roku. Paszkwil na Wagnera, który cytuje Emilio de la Cuadra w rozdziale XIII, napisał César González Ruano, a zaczerpnięty został z *auca*⁸, którą stworzył dla swojego przyjaciela Ignacia Agustiego, Agustí zaś cytuje go w swoich wspomnieniach. Satyryczne wersety Juliána w rozdziale XXI zostały napisane przez anonimowego autora i opublikowane w dziale dowcipów dwutygodnika wydawanego przez Wielkie Domy Towarowe El Siglo w 1887 roku. Elegię o Barcelonie napisaną przez Conchitę w jej dzienniku z wojny domowej zaczerpnęłam z innego utworu pióra poety Joana Maragalla, napisanego niedługo po Tragicznym Tygodniu.

Nie byłoby możliwe napisanie tej książki bez przeczytania pozycji, które okazały się dla mnie wielką pomocą: książek *Cendra i ànima*, *La matinada* i *Entre Ariel i Caliban* wchodzących w skład *Wspomnień* dramaturga, pisarza i poety Josepa Marii de Sagarri; książki wspomnieniowej *Per camins de Franca* dziennikarza Agustiego Calvet i Pasquala piszącego pod pseudonimem Gaziell; *Abans que el temps ho esborri* Francesca Xaviera Baladii; *Episodis de la burgesia catalana* Francesca Cabany; *Edificis viatgers de Barcelona* Jordiego Peñarroy; *L'esplendor de la Barcelona burgesa* Lluísa Permanyera; *Cartas europeas. Crónicas en El Sol, 1920–1928* Josepa Marii de Sagarri i Josepa Ply; *Escrits sobre art* Joaquína Torresa Garcíi; *Un senyor de Barcelona* Josepa Ply; *História crítica de la burgesia a Catalunya* Antoniego Jutglara; *Ganas de hablar* Ignacia Agustiego; *Quan Barcelona portava barret* Sempronia; katalogu wystawy *L'encís de la dona. Ramon Casas al Liceu i a Montserrat* oraz następujących periodyków: „La Vanguardia”, „El Siglo. Órgano de los grandes almacenes, Diario de Barcelona”, „El diluvio”, „Il·lustració catalana” oraz „La luz del porvenir: Revista de estudios psicológicos y ciencias afines”.

Jednocześnie podziękowania za wspaniałomyślność i pomoc przy dawaniu mi wskazówek na temat określonych aspektów tej powieści niech przyjmą: Eduard Paredes, Carles Arola, Salvador D. Aznar Cervantes, Adela Farré, María Luisa Yzaguirre, Mónica Montaña, Javier Rodríguez Alvarez, Valeria Martínez Franco oraz pracownicy Biblioteka de Catalunya, a w szczególności Luis Conde. Również Alicia Soria za pierwszą inspirację. Angeles Escudero, Francesc Miralles, Sandra Bruna, Claudia Torres oraz Deni Olmedo za to, że jako pierwsi przeczytali wszystkie wersje tej książki. I moi wydawcy, Míriam Vall i Pema Maymó, za entuzjizm, z jakim wykonują swoją pracę. A także wszyscy ci, którzy

nadal są w stanie wzruszyć się garstką słów.

-
- ¹ *Culés* (kat.) – nazwa kibiców klubu FC Barcelona. Pochodzi od katalońskiego słowa *culo* – „tyłek”. Na dawnym stadionie barcelońskiego klubu, Les Corts, nie było krzesełek, tylko drewniane trybuny z ławkami. Kiedy patrzyło się podczas meczu na nie z tyłu, widać było całe rzędy „tyłków” (ten przypis i następne pochodzą od tłumaczki).
 - ² Ildefonso Cerdá Suñer (1815–1876), hiszpański inżynier i polityk. Stworzył plan przestrzenny dzielnicy Eixample w Barcelonie. Uważany za ojca urbanistyki epoki modernizmu.
 - ³ Enric Prat de la Riba (1870–1917), kataloński pisarz i polityk. Twórca doktryny „narodowości katalońskiej”. Pierwszy prezes Instytutu Studiów Katalońskich. Projektodawca i inicjator powstania Wspólnoty Katalońskiej, załączka władz autonomicznych regionu, której przewodniczył aż do swojej śmierci.
 - ⁴ Bonito (hiszp.) – Śliczny.
 - ⁵ Po katalońsku: Cech kierowców i szoferów domaga się statutu, który zatwierdza naród kataloński.
 - ⁶ Statut Autonomiczny Katalonii – dokument ustanawiający m.in. narodowość katalońską, instytucje autonomiczne regionu, ich finansowanie, relacje z centralnym rządem w Madrycie itp. Pierwszy projekt statutu powstał w 1919 r.
 - ⁷ Święto Sant Jordiego – obchodzone 23 kwietnia katalońskie święto zwane również Świętem Książki i Róży, podczas którego pary wymieniają między sobą prezenty: mężczyzna otrzymuje książkę, a kobieta różę. W Barcelonie tradycyjnie stragany z książkami i kwiatami mieszczą się na Rambli.
 - ⁸ Rodzaj historyjki obrazkowej, gazetki arkuszowej bardzo popularnej w Katalonii.